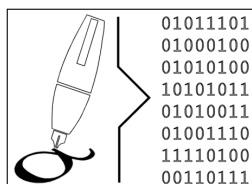


MERCEDES LACKEY

PRAWO MIECZA

Przełożył: Leszek Ryś



Tytuł oryginału:

By the Sword

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1990 r.

*Dedykowane pamięci Stana Rogersa,
piosenkarza, poety, inspiratora, którego słowa
i muzyka były dla mnie natchnieniem
i dały mi odwagę, gdy potrzebowałem jej najbardziej.*

KSIEGA PIERWSZA
Pościg Kerowyn

Pierwszy

— O Błogosławiona — ostrożnie!

Wszyscy po kolei odwrócili się, zatrzymując wzrok na Kero i jednym z chłopców, który właśnie wypuszczał z rąk półmisek z niebotyczną ilością chleba. Brzęk naczyń i jazgot ludzkich głosów urwał się jak nożem uciał. Głos Kero zabrzmiał w ciszy niczym sygnał kornetu, jednak nikt nie zareagował na to wezwanie do broni. Wszyscy wydawali się zmieszani czy też sparaliżowani niezdecydowaniem. Zataczając się, podkuchenny zrobił jeszcze dwa kroki do przodu. Jadalna rzeźba, dwa niezdarne, korpulentne jelenie (byk i łania spoczywająca w pozycji półleżącej) zaczęła osuwać się z nadmiernych rozmiarów patery, którą próbował unieść sam, bez niczyjej pomocy.

„Durnie!” Kerowyn rzuciła jeszcze jedno przekleństwo, tym razem używając słów, na których dźwięk twarz jej matki okryłaby bladość, lecz wydawało się, że jedynie ona obdarzona jest mózgiem i wolą działania. Pędem przebiegła po mokrej, śliskiej posadzce kuchni i pochwyciła brzeg półmiska w chwili, gdy ogromny, słodki przysmak z rumianego, posmarowanego białkiem ciasta, zaczął chylić się ku kamiennym płytom podłogi.

Bryłowaty pagórek zatrzymał się tuż przed żłobionym, ozdobnym brzegiem półmiska. Podtrzymała go, a wtedy młody Derk, cały zlany potem, zaczerpnął tchu, odzyskał równowagę i przejął od niej dwudziestofuntowe brzemie słodkiego, nadziewanego rodzynkami chleba. Ułożył sobie półmisek prawidłowo na barkach i skierował się do Wielkiej Sieni, aby go tam postawić przed weselnymi biesiadnikami.

Na moment Kero zamieniła się w słuch. Nagle spoza zamkniętych, kuchennych drzwi dosłyszała zrywające się krzyki oraz oklaski, gdy chlebowa rzeźba wyłoniła się z przejścia. W kuchni ponownie zapanował harmider.

Kero oblizła z potu górną wargę i westchnęła. Jakżeby chciała też tak zataczyć się do tyłu, oprzeć o ścianę i zaczerpnąć tchu. Nie śmiała jednakże pofolgować sobie ani na chwilę. Nie w czasie wydawania potraw. Niewątpliwie w tej samej chwili, w której zrobiłaby sobie przerwę, ze trzy razy otarliby się o katastrofę. Gdyby tylko na moment odwróciła uwagę od przygotowań, zawaliłby się cały misternie ułożony harmonogram.

Doskonale wiedziała, że nie powinna być w kuchni, lecz raczej spędzać czas tam, na zewnątrz, razem z gośćmi, czyniąc honory pani na zamku. To właśnie byłoby „godziwe”.

„A niech sześć piekieł pochłonie godziwość. Jeśli ojciec chce, aby uczta zakończyła się sukcesem, muszę być tutaj, a nie bawić się w wielką damę.”

W kuchni panował upał jak w jednym z owych sześciu piekieł. Stłoczono tutaj dwa razy więcej ludzi niż mogła pomieścić. Kucharz, olbrzymi człowiek o posturze zapaśnika, stał ściśnięty wraz ze swoimi pomocnikami po jednej stronie ogromnego stołu, ciągnącego się przez całą długość pomieszczenia. Zwykle pracowali po obu jego stronach, lecz tej nocy przemykali naprzeciw nich tam i z powrotem posługacze z półmiskami oraz misami i niech bogowie w swej opiece mają tego, kto zastąpiłby im drogę.

Kero przepędziła od drzwi grono sług zwerbowanych spośród stajennych. Bardziej przywykli oni do tego, by im roznoszono dzbany z piwem, niżli do tego, by roznosić je samemu. Wtem dostrzegła coś kątem oka i przystanęła na chwilę dostatecznie długi, aby złapać drewnianą łyżkę. Sięgnęła nią ponad rozległym, pokrytym bliznami nacięć blatem stołu i trzepnęła po knykciach jednego z paziów, przywołując go do porządku za próbę wydłubania palcami słodkiego kremu z weselnego tortu, który stał wyniośle samotny na końcu stołu, przysunięty do samej ściany. Chłopak zaskowyczał i odskoczył do tyłu, zderzając się z jednym z pomocników kucharza, czym zarobił na rzucone spoде łba spojrzenie i kolejne uderzenie łyżką.

— Zostaw to, Perry! — skarciła go, grożąc mu przy tym łyżką. — To będzie na koniec ceremonii. Nie waż mi się o tym zapomnieć! Jutro, jeśli o mnie chodzi, możesz się objeść odpadkami aż do mdłości, lecz dziś w nocy zostaw to w spokoju albo zaboli cię coś więcej niż knykcie. Obiecuję ci to.

Chłopak o zmierzwionych włosach wydusił z siebie płaczliwe przeprosiny, po czym zaczął się dąsać. Aby wybić mu z głowy ten napad posępnego humoru, przysunęła do niego garść płytkich drewnianych miseczek z poleceniem dopilnowania, aby minstrele zostali nakarmieni.

„Pewnego dnia... Rozwydrzony bachor. Szkoda, że ojciec go nie odesłał do jego zaślepionej mamusi. Z kota więcej pożytku niż z niego, zwłaszcza gdy wszyscy są zbyt zajęci, aby mieć na niego oko.”

Na szczęście wystarczy, że Perry pojawi się z pełnymi pajd chleba, płaskimi misami, a minstrele sami już dopilnują swego posiłku. Kero nie spotkała jeszcze pieśniarza, który nie wiedziałby, jak dogodzić sobie na uczcie.

Kończono podawanie pierwszej potrawy; teraz nadszedł czas na placek z warzyw i naczynia, które słomianowłosa Ami nurzała w balii w gorączkowym pośpiechu, by były gotowe w samą porę. Kero posłała następną partię posługaczy, obładowaną ciężkimi plackami i stosami głębokich mis, w chwili gdy wnoszono resztki dziczyzny oraz poćwiartowane szczątki chlebowych jeleni.

„Dobrze, że to monstrum nie uderzyło o ziemię” — pomyślała trzeźwo, stając na drodze wlokącego się za posługaczami Perry’ego i odsyłając go z powrotem po ręczniki dla gości weselnych, aby mieli w co wytrzeć ociekające tłuszczem palce. „To — w związku z godłem rodziny Dierny, czerwonym jeleniem — z całą pewnością zostałyby uznane przez jej krewnych za zły omen”. W tej potrawie nie było żadnych subtelnosci. Wszystkim bogom i boginiom niech będą dzięki. . .

„Ojcu marzyły się jeszcze inne rzeźby w cieście. Tym razem miał to być nieokiełznany ogier — świadectwo męskości mego ukochanego brata, co nie ulega wątpliwości. Dobrze, że kucharz wpadł w szał na widok tej absurdalnej rzeczy, którą już mieli wepchnąć do pieca!”

Kiedy wniesiono ostatnie puste naczynie i wyszedł ostatni, ślaniający się posługacz i kiedy wszyscy zebrani w kuchni przystanęli na chwilę, aby wesprzeć się ciężko o stół lub o ściany, wachlując rozgrzane oblicza, na moment zapanował spokój. Kero pomyślała z tęsknotą o chłodnym nocnym powietrzu tuż za jej plecami, za grubymi deskami drzwi, ale właśnie wścibski nos zarządcy jej ojca ukazał się w przejściu, więc ze stłumionym westchnieniem oderwała plecy od zniszczonego drewna.

— Jakież skargi? — zapytała czystym głosem, wznoszącym się nad pomruk pomocników i ryk płomieni w piecu.

— Tylko to, że obsługa jest zbyt wolna — odpowiedział Wendar, ocierając swoją łysą głowę rękawem. — Na ząb Audri, dziecko, jak ty tutaj możesz wytrzymać? Na tych stołach można by upiec następną potrawę!

Kero wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że do tego przywykłam. Przyszłam tutaj jeszcze przed świętem. Wiesz przecież, że tak czy siak zajmuję się wszystkim, i to jeszcze, od czasu zanim zmarła matka.

Teraz proste te słowa wywołały jedynie tępy ból. Ów kapłan miał rację. . .

„Niech go lichol!” . . . czas w istocie leczy rany, a przynajmniej jej rany. Czas i zajęcia, które nie pozwalają nawet odsapnąć.

— Przykro mi, że niczego nie mogę zrobić w sprawie obsługi — ciągnęła dalej, pilnie nadstawiając ucha, czy aby nie hałasują wracający posługacze. — W ciągu kilku świec niewiele ze sztuki usługiwania można wpoić chłopcom stajennym i zaciężnym żołdakom.

— Wiem o tym, moja droga — zarządca, chudy człowiek o steranym wyglądzie, który był skrybą, tudzież prowadził księgi starej kompanii najemników Rathgara, położył po ojcowsku dłoń na jej ramieniu, a ona musiała oprzeć się pokusie, by jej nie strącić. — Myślę, że wspaniale sobie radzisz, lepiej niż ja bym to zrobił. Doprawdy szczerze tak myślę. Nie pojmuję, jak ci się to udaje, skoro masz tak znikomą pomoc.

„Ponieważ ojciec jest zbyt skąpy, aby wynająć dodatkową pomoc dla mnie, a zarazem zbyt dumny, by zadowolić się czymkolwiek pośledniejszym niż ucztą

weselna, godna książęcego dworu. Lord Orsen Brodey przystał na to małżeństwo; lord Orsen Brodey musi zobaczyć, że nie jesteśmy nieokrzesanymi barbarzyńcami... nawet, jeśli córka Rathgara musi całą ucztę spędzić w kuchni w otoczeniu najmitów...”

Poczuła, jak policzki i uszy zalewa jej rumieniec gniewu. To nie było uczciwe — nie dlatego, że także chciałaby być obecną w Wielkiej Sieni, popisując się przed potencjalnymi konkurentami i ich ojcami, lordowskimi gośćmi, ale dlatego, że Rathgar nigdy nie myślał o niej, gorzej — pomyślałby o niej tylko jak o małżeńskiej przynęcie.

Myślał przede wszystkim o małżeństwie Lordana... znacznie ważniejszym związku małżeńskim Lordana. Nade wszystko to on jest mężczyzną i dziedzicem... a Kero jest ledwie dziewczką.

Zacisnęła szczęki, usiłując sprawić pogodne lub przynajmniej obojętne wrażenie, jednak odrobina urazy musiała przebić maskę spokoju i kompetencji. Wendar ponownie poklepał ją po ramieniu, wydawał się zmartwiony.

— Szkoda, że nie umiem ci pomóc — stwierdził z żalem. — Powiedziałem twojemu ojcu przed trzema laty, kiedy... kiedy...

— Kiedy umarła matka — dokończyła krótko Kero.

Zakaszła.

— Uhu, w istocie. Powiedziałem mu, że jest ci potrzebna gospodyni, ale nie chciał o tym słyszeć. Rzekł, że dajesz już sobie doskonale radę i nie potrzebujesz pomocy.

Kero zacisnęła zęby, a potem z wysiłkiem rozluźniła się.

— Jakoś nie jestem tym zaskoczona. Ojciec... — zagryzła mocno wargi, urywając w pół zdania.

Nic dobrego by nie wynikło z tego, co zamierzała powiedzieć, niczego by to nie zmieniło.

A jednak to wciąż kołatało się w jej głowie. „Ojciec zawsze tolerował mnie o tyle, o ile schodziłam mu z oczu, o ile jego kolacja pojawiała się w porę i w zamku nie cuchnęło jak w stajni. Przypuszczam, że gdyby ktokolwiek napomknął mu o tym, że czternastoletniej dziewczynki nie powinno się przymuszać do pełnienia samodzielnej roli pani na zamku, odparłby, że dziewczęta z jego wioski wstępowały w związki małżeńskie i były matkami w czternastym roku życia, pomijając milczeniem fakt, iż wszystko, na co je było stać, to dwuizbowa chata i stado owiec oraz że zazwyczaj wcale nie było im to w smak...”

Westchnęła i dokończyła w sposób, który nie przysporzył Wendarowi większych zmartwień niż te, z którym już musiał sobie radzić.

— Ojciec ma inne kłopoty na głowie. Tak jak i ty, Wendarze. Masz się pełną gości i nikogo, kto by dawał baczenie na służbę.

Wendar zaklął i ruszył spieszenie do drzwi prowadzących do Wielkiej Sieni. Właśnie wracała grupa posługaczy z naręczami brudnych naczyń po ostatnim da-

niu. Unikając zderzenia, Wendar ustąpił im z drogi i zręcznie prześlizgnął się pomiędzy dwoma do przejścia.

Teraz przyszła kolej na nadziewane gołębnie. Danie to wymagało jedynie mis pełnych chleba, dzięki czemu pracujący w kuchni mogli zdążyć z umyciem wnoszonych akurat półmisek przed podaniem potrawy z ryb — placka z węgorza.

„Wielka Biesiada w całej okazałości. I któż musiał wszystko tak wykoncytować, aby nasz mały zacofany zamek mógł wystąpić z dostateczną liczbą dań, by sprostać wszystkim wymaganiom? Ja, oczywiście. Balie pełne węgorzy od wielu dni stojące w ogrodzie, fosa pełna ryb w sieciach, klatki z gołębiami i kurami, doprowadzającymi nas wszystkich do szaleństwa... nie mówiąc już o pozostałym inwentarzu.” Kero wytarła ręce i nieco wyżej podwinęła rękawy pokrytej mąką, samodziałowej koszuli. „Przekłete spódnice. Spodnie byłyby wygodniejsze. Pomocnice muszą chodzić w bryczesach, dlaczegóż więc ja nie mogę?” Głowiła się, czy Dierna ma jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, ile pracy wymaga Wielka Biesiada. Powinna. Pobierała przecież nauki u Sióstr Agnethy — została odesłana do klasztoru w stosownym wieku ośmiu lat, a więc powinna mieć dostatecznie dużo czasu na naukę „niewieściego rzemiosła”.

Dierna powinna była otrzymać właściwy instruktaż w niewieściech rzemiosłach, a także w sztuce bycia kobietą, cokolwiek to znaczyło... W przeciwieństwie do Kero, co skwapliwie wypominał Rathgar, gdy nie udawało jej się sprostać jego wyobrażeniom o „kobiecości”.

„Pamięć wybiórcza” — stwierdziła w duchu. „Wciąż zapomina, że to on był tym, który zdecydował, iż nie mógłby się beze mnie obejść. W opinii Rathgara właściwym ideałem bóstwa dla kobiety była Agnetha W Pszenicznej Koronie, a nie dzika, poskramiająca rumaki Agnira, ulubienica Kero. W katedrze przy zamku Agnecie poświęcono kaplicę, chociaż inne aspekty Pani Troistej reprezentowały jedynie niewielkie płaskorzeźby, wyryte na postumencie statui. Tam, w samym sercu katedry, Agnetha uśmiechała się z miodową słodyczą sponad swoich bliźniąt, ze snopami zboża u stóp, otulona w szatę brzemiennych w owoce winogron, z wiszącą u przepaski z kwiecia kądzielą i spoglądającymi na nią rozmiłowanym wzrokiem owcami. Rozsypane zaś na postumencie płatki śniegu i ślady kopyt były jedynym symbolem dwóch pozostałych aspektów, Agnomy i Agniry. Rathgar aprobował Agnethę, od czasu do czasu czując napływ uczuć religijnych, zwłaszcza po wychyleniu kielicha.

Doskonale, po uczcie, po weselu, kiedy zajdzie księżyc miesiąca panny młodej, Kero prawdopodobnie przekaze klucze do zamczyska Diernie. To położy kres farsie udawania, że sprawia jej przyjemność zamknięcie w kuchni, spiżarni czy al-tanie dla kobiet dzień po bezkresnie nudnym dniu. Dierna była wystarczająco uległa, by zadowolić zarówno Rathgara, jak i jego syna, a na dodatek robiła wrażenie kompetentnej, kiedy Kero oprowadzała ją naprędce po zamku, tuż po przyjeździe dziewczyny.

Kero wyrwali z zadumy słudzy z półmiskami i spiętrzonymi wysoko pajdami wilgotnego chleba. Poleciała im wrzucić chleb do sakw, czekających na rozdanie pomiędzy nędzarzy. Nadeszła pora na głębokie misy pełne placków z węgorza.

Kucharz wsadził głowę aż po ramiona do pieca, wydobywając kolejny przysmak. Do uszu Kero dotarł rozkaz jednego z pomocników, aby najpierw wyniesiono ciasto.

— Hej tam, zaczekajcie! — wstrzymała okrzykiem posługaczy.

Podeszła sztywno do stołu w swych bufiastych spódnicach ze zwykłego, brązowego lnu. Zmieniła rozporządzenie, odbierając ciasto jednemu ze zmieszanych wyrostków i wpychając mu w ręce stos czystych, głębokich mis. Zagonionemu, młodemu chłopcu było to obojętne; chciał jedynie, aby ktoś wręczył mu właściwą rzecz do niesienia i powiedział, co ma z nią zrobić.

Kero powtórzyła instrukcje udzielone przy zupie, wydając kolejne stopy naczyń.

— Po jednej misie na dwóch biesiadników. Stawiajcie je między nimi. Kiedy skończycie roznosić chleb, weźcie z kredensów płaskie półmiski na chleb, wręczcie każdemu z gości po jednym, a potem wróćcie po ciasto.

Słowa powtarzane każdemu słudze ułożyły się jakby w rytmiczny psalm. Dalej już Wendar pokieruje ludźmi; nieważne, że chodzili do tych samych miejsc przez całą noc. Teraz, utrudzeni, odrętwiali robotą i panującym zgiełkiem, myśleli jedynie o chwili, kiedy uczta się skończy, a oni sami będą jeść i wprawiać się w świąteczne otępienie.

Prawdopodobnie o tej porze Dierna już zaczęła opadać z sił. Kero nie zażdościła jej zbyt. Kiedy zapoznawała ją z obowiązkami na zamku, Dierna wydawała się odrobinę nieśmiała — zaś Kero dobrze wiedziała, jak wychuchane potrafią być dziewczęta szkolone przez siostry. Nie były ignorantkami, o nie. Siostry dbały o to, aby edukacja ich pupilek obejmowała wszystkie dziedziny życia. Możliwe, że właśnie to stanowiło problem; Dierna była jak młody giermek, który przez cały swój krótki żywot przyglądał się fechtunkowi na miecze, lecz dopiero teraz, w wieku piętnastu lat, po raz pierwszy miał unieść do góry ostrze. Wiedziała, co powinno się wydarzyć, lecz nie była w stanie sprostać sytuacji.

Pierwszy z posługaczy wrócił po swój placek. Kero upewniła się, czy aby nie zabrał go bez ręcznika owiniętego na ręce. Zastanawiała się, podając na pozór nie kończącym się strumieniem ręczniki i placki, jak postąpiłby Rathgar; co rzekłby, gdyby pierwsza wieczerza okazała się niesmaczna lub gdyby zabrakło dla niego czystych koszul.

Prawdopodobnie nic. Albo raczej znalazłby sposób obwinienia za to Kero.

„Co się dzieje z tym człowiekiem?” — po raz tysięczny zadała sobie to samo pytanie. „Robię wszystko, co w mojej mocy z tym, co od niego dostaję! I nie byłoby tak źle, gdyby nie szukał dziury w całym. Być może gdyby udało mi się go przekonać, aby radził sobie beze mnie, a samej wstąpić do klasztoru...”

Przyglądała się kucharzowi przygotowującemu kolejny przysmak — ogromną kopię zamku, w otoczeniu jadalnego krajobrazu — i dopilnowała, aby do jego wyniesienia wyznaczono dwóch ludzi. Akurat w tej chwili mieszanina zapachów mięsa, ryb i drobiu nie była tak apetyczna; prawdę mówiąc, wywołała u niej nieprzyjemne skurcze żołądka. Kiedy wszystko dobiegnie końca, będzie miała najwyżej ochotę na chleb z serem i trochę kompotu.

A może sensacje żołądkowe powodowała myśl o tym, co by się stało, gdyby rzeczywiście wstąpiła do klasztoru? Siostry, chociaż nie były magami, słynęły z umiejętności odkrywania w ludziach rzeczy, które woleliby zachować w sekrecie. A jeśli Kero uda się tam i okaże się to czymś więcej niż tylko kuchenną plotką? Co się stanie, jeśli siostry odkryją całą prawdę?

„Ojciec może dużo powiedzieć o babce. Stara wiedźma było najbardziej cywilizowanym określeniem, jakiego kiedykolwiek wobec niej użył. Co by się stało, gdyby odkrył, że miał w domu własną młodą wiedźmę? Wyhodowałby miot kociaków, to by uczynił. A potem wydziedziczyłby mnie. Nie dość, że jeżdżę na koniu lepiej niż Lordan i sama ujeżdżam moje zwierzęta, to na dodatek poluję na jelenie i odyńce razem z mężczyznami. Na domiar złego wkładam ubranie Lordana do konnej jazdy. Jeśli kiedykolwiek odkryje, że jestem wiedźmą z urodzenia, to, jak myślę, wypędzi mnie z zamku.

Mieszanina kuchennych zapachów wciąż nie pobudziła nawet cienia jej apetytu. Pomogła kucharzowi udekorować następne danie łądogami rukwii wodnej oraz innymi ziołami i zżuła łądyżkę mięty, dla odświeżenia ust i uspokojenia rozstrojonego żołądka.

„Gdybanie niczego nie zmieni” — napomniała siebie. Nigdy nie uczynił niczego poza bawieniem się tym pomysłem i nigdy nie chciał ryzykować tego, że Wendar nie podoła obowiązkowi. Jedyną rzeczą, jaką się Wendar kiedykolwiek zajmował, było prowadzenie ksiąg i zarządzanie posiadłością. A zarządzanie zamkiem to coś więcej niż wypisywanie kont. Układała łądyżki rukwii z przesadną starannością. „Gdyby nad tym pomyśleć, to przede wszystkim Wendar mógł zniechęcać ojca do odesłania mnie. Przypuszczam, że nie powinnam go winić. Ma dostatecznie dużo zajęć i bez dodatkowego obciążania obowiązkami związanymi z zamkiem. To dlatego, być może, ojciec wciąż powtarza, że moje odejście byłoby niewygodne”.

„Dlaczegoż musiała umrzeć matka?” — pomyślała w nagłym porywie gniewu. „Dlaczego musiałam zostać sama z tym wszystkim na barkach?”

Przez chwilę naprawdę targnął nią gniew na Lenorę, a potem w poczuciu winy za tego rodzaju myśli poczerwieniała na twarzy. Ukryła pełne zmieszania rumieńce, nabierając sobie czystej wody do picia z wiadra stojącego w najbardziej oddalonym od pieców kącie kuchni.

Przystanąła na jakiś czas, wpatrzona w wodę w wiadrze, wzburzona i nieszczęśliwa. „Skąd przychodzą mi do głowy takie myśli? Tak nie można; matka

nie chciała umrzeć w ten sposób. To nie była jej wina. Uczyniła wszystko, aby mnie przygotować, kiedy przekonała się, że już nie wyzdrowieje. Skąd mogła wiedzieć, że ojciec nikogo nie najmie do pomocy? I, jak sądzę, dobrze się stało, że nie wylądowałam u sióstr. I to nie tylko z tej przyczyny, że krew więdźm płynie w moich żyłach. Siostry także, prawdopodobnie, nie zaakceptowałyby mnie: tropiącej zwierzynę, polującej z sokołami niczym chłopiec trawiący cały czas na jazdę konną. W domu mam przynajmniej niekiedy okazję uciec i bawić się w odosobnieniu; z klasztoru nigdy nie wy dostałabym się na zewnątrz.”

„Na Kłosy Agnethy — jakże ktokolwiek może to znieść, nie popadając w obłęd? Z kuchni do altany, z altany do spiżarni, ze spiżarni z powrotem do kuchni. Gotowanie, robienie przetworów, suszenie. Przędzenie, tkanie i szycie. Uganianie się za służbą, jak jaka plotkara z jęzorem, pilnując, aby każdy wypełniał swoje obowiązki. Ścieranie, zamiatanie i pranie. Polerowanie i naprawianie. Gotowanie, gotowanie i jeszcze raz gotowanie. Warzenie i pieczenie ciast. Z domu przynajmniej mogę uciec i jeździć na koniu, kiedy tylko staje się to nie do zniesienia...”

Za kuchennymi drzwiami zapanował nagły bezruch. Coś w tej ciszy zmusiło Kero do podniesienia głowy i rzucenia ostrego spojrzenia w kierunku wejścia.

Wtedy zerwały się wrzaski.

Przez jedną chwilę przypuszczała, że ten niepokój jest czymś, czego się wszyscy spodziewali, mając zarazem nadzieję, że się nie wydarzy. To mogła być zadawniona waśń, eksplodująca ze świeżą gwałtownością. Rathgar sprosił przede wszystkim licznych sąsiadów, nie wyłączając ludzi od dłuższego czasu wiodących spory ze sobą, jednakże nie z samym Rathgarem. To dlatego zakazano wnoszenia wszelkiej broni do Wielkiej Sieni, a i niechętnie patrzono na nią w obrębie zamkowych murów. Oczywiście wyłączając ludzi Rathgara. Nikt nie czułby się bezpiecznie pod strażą ludzi uzbrojonych jedynie w girlandy kwiecia i włócznie bez grotów. Rathgar spodziewał się, że nadmierne picie może obudzić zadawnione żale lub wywołać nowe i sprowokować do bitki.

Jednak Kero czuła, że to coś daleko bardziej poważnego od zwykłej sprzeczki między dwoma łatwo wpadającymi w zacierzewienie mężczyznami. Świeży zartarg czy nie, Rathgar mógł sobie łatwo poradzić w każdym przypadku, lecz jednak hałas narastał, a nie uspokajał się.

Mglisty instynkt podpowiadał jej, aby lepiej nie sprawdzała osobiście, co się tam dzieje.

Wsparła się jedną ręką o ścianę, czując zimne muśnięcie lęku między łopatkami. Uzmysłowała sobie, iż nadszedł czas wypróbowania umiejętności, z której rzadko ważyła się korzystać na terenie zamku.

Zamknęła oczy i otworzyła swój umysł przed myślami ludzi, którzy ją otaczali.

Niełatwo przyszło jej rozchylić misterne zasłony, którymi przez lata szczelnie

otaczała myśli. Zwłaszcza w obecności tylu ludzi. Początkowo zdawało jej się, że żal po śmierci matki doprowadzi ją do obłądu, ale zrządzenie losu sprawiło, iż stało się inaczej. Wśród prywatnych rzeczy Lenory, przekazanych Kero, było kilka ksiąg jej babki, czarodziejki Kethry. Kero nigdy nie domyśliła się, co popchnęło ją do wybrania właśnie tej księgi, ale błogosławiła dokonany wybór jak dar zesłany przez boginię. Księga udowodniła jej, że dochodzące do niej „głosy” są w rzeczywistości intensywnymi myślami ludzi z jej otoczenia. I, co dla zdezoorientowanej dziewczynki było ważniejsze, księga nauczyła ją, jak zablokować te głosy. Teraz jednakże będzie musiała usunąć tę zapewniającą dobre samopoczucie barierę, przynajmniej na krótką chwilę.

Zgiełk, który powodzią wdarł się pod jej czaszkę, właściwie nie był bolesny, ale wywoływał dezorientację. Był dokładnie taki, jaki zapanowałby w malutkiej izbie, wypełnionej dwukrotnie większą liczbą wyjących, rozkrzyczanych ludzi niż powinno się ich w niej znajdować.

„Uspokój się — to jest tak, jakbyś była zamknięta w kuchni. . .” Żołądek podskoczył jej do gardła. Przywarła plecami do ściany tak oszołomiona, jakby ktoś zakreślił nią jak bączkiem — jedną ze starych zabawek Lordana.

Ból i lęk wywoływał bezwład myśli zalewających jej mózg, wypełniły go przelotne obrazy obcych, nie mających na sobie lordowskich barw, obleśnych obdartusów, lecz mimo to dobrze uzbrojonych. Zdawała sobie połowicznie sprawę z obecności posługaczy, paplających w przerażeniu, strumieniem napływających do kuchni przez drzwi naprzeciw niej. Jednak całą jej uwagę przykuwała płatanina panicznych myśli spoza drzwi. Wreszcie „zobaczyła” i mało brakło, aby zwymiotowała. W Wielkiej Sieni obcy urządzili rzeźnię, ścinając nie tylko stawiających opór, ale każdego, kto stanął im na drodze.

Myśli ofiar opanowały jej umysł. Z trudem wyswobodziła się z chaosu, uwalniając go z ich rozpaczliwych, nieświadomych, kurczowych uścisków. Raptownie jej myśli otarły się o coś. Coś przerażającego. Tego, co czuła, nie można było w tej chwili wyrazić słowami: dla niej czas stanął w miejscu. Wiedziała z przeraźliwą dokładnością, jak w oczach ściganego królika wygląda wielki, toczący ślinę z pyska, ogar. Cokolwiek to było, było zimne, jeśli myśl może być zimna; lodowate jak oślizła pijawka, żyjąca na bagnistych moczarach poniżej pastwisk dla bydła. Tkwiło w tym coś chytrego i plugawego. Nie było to plugastwo w znaczeniu fizycznym, ale poczucie, że mózg stojący za tymi myślami nigdy nie zadowoliliby się przyjemnością przez większość ludzi uważaną za normalną. Kero nie była także w stanie dokładnie ich rozszyfrować; to, czego doświadczyła, było podobne do tego, co „słyszała”, kiedy po raz pierwszy odkryła w sobie tajemnicze zdolności — tak jakby słuchała kogoś, kto mówił zbyt cicho, aby można było odróżnić poszczególne słowa.

Jednak najgorszy był fakt, że to otarcie się wywołało zmianę w owych nie do końca zrozumiałych myślach. Tak jakby zaalarmowała ich właściciela, że znalazł

się pod obserwacją.

Ścierpła jej skóra na karku, na ramionach poczuła gęsią skórę, kiedy myśli nieznajomego przybrały nowy, natarczywie ostry wyraz. Pod wpływem przeżnienia udało jej się oderwać i oswobodzić mózg, zatraskując szczelnie wrota w swoich ochronnych murach.

Mokra od potu otworzyła oczy, czując ze strachu mdłości. Stwierdziła, że upłynęło dużo mniej czasu niż to sobie wyobrażała. Słudzy w dalszym ciągu tarasowali przejście do kuchni, a dochodzące spoza nich wrzaski tylko się nasiliły.

Przez mgnienie oka jedyną rzeczą, na jaką miała ochotę, było krzyczeć i stchórzyc tak jak pozostali. A nawet zemdleć, jak to już uczyniły niektóre z dziewczek kuchennych, niepostrzeżenie osuwając się bezwładnie pod stół. Dokładnie w tym momencie wezbrało w niej coś tak twardego i niewzruszonego jak mury otaczające jej myśli. Nagle była w stanie spokojnie zebrać myśli.

„Drzwi na tylne podwórze. Jeśli obejdą nas od tyłu, znajdziemy się w pułapce...”

Otrząsnąwszy się z paraliżującego strachu, podbiegła do tylnych drzwi kuchennych, zamknęła je i spuściła żelazny skobel, który zwykle zasuwano na noc. Zgiełk za jej plecami był tak przemożny, że odgłos ciężkiej, opadającej na podpory zasuwki zupełnie utonął w ogólnym tumulcie.

Obróciła się. Stała na palcach, aby sięgnąć wzrokiem ponad stłoczoną, odgradzającą ją od drzwi tłuszcza, gorączkowo szukając dwóch ludzi — Wendara i kucharza. Na moment łysa głowa Wendara ukazała się w wolnej przestrzeni obok stołu. Udało jej się też dostrzec, gdzie jest kucharz: tuż u jej boku wzniesiona, owłosiona ręka wywijająca pogrzebaczem. Kucharz coś pokrzykiwał, ale nie zdołała usłyszeć ginącego w ogólnym harmidrze głosu.

„Wendar służył razem z ojcem, a kucharz nikomu nie przepuści niewczesnych żartów. Po prawdzie to kucharz robi wrażenie, jakby był gotów stanąć na czele odsieczy!”

Wbiła się w tłum ciał. Przedzierała się przez kuchnię, pracując łokciami, wymierzając ciosy rozhisteryzowanym sługom, którzy zdawali się nie mieć więcej rozsądku niż stado przerażonych owiec. Kiedy usunęła ze swej drogi ostatnią szlochającą dziewczkę, ciągnąc za tył jej szorstkiego, skórzanego stanika, zwróciła na siebie uwagę Wendara w prosty sposób: złapała go za kołnierz i przyciągnęła się do jego ucha.

— Musimy zatrzymać ich w drzwiach — ryknęła, nie słysząc prawie samej siebie. — Musimy ich tam powstrzymać, bo jeśli dostaną się tutaj, zabiją nas wszystkich!

Wyglądało na to, że Wendar również nie wiedział, kim byli „oni”, ale przynajmniej natychmiast zrozumiał jej słowa. Odwrócił się, wyciągnął ponad stołem rękę i pochwycił kucharza za koszulę. Zadowolona, że zajmie się resztą, Kero rozejrzała się w poszukiwaniu broni; porwała ciężką, okrągłą przykrywą rondla

i najdłuższy w jej zasięgu nóż do mięsa, po czym podbiegła do drzwi.

Ani na moment za wcześnie.

Nie było żadnego ostrzeżenia, że najeźdźcy odnaleźli na wpół ukryte schody do kuchni. Lecz on stał właśnie tam; przysadzisty, szeroki cień w przejściu; miecz niedbale wepchnięty za pas. Było oczywiste, że nie spodziewał się oporu. Zatrzymał się na chwilę i zmrużył oczy, patrząc na jasno oświetloną kuchnię. Nagle zobaczył Kero i szczerząc zęby w uśmiechu, sięgnął po nią.

Kero nie miała czasu na zastanawianie się. Trening wziął górę tam, gdzie rozum zawiódł.

„To nie jest lekcja tańca, dziewczyno!” Gdzieś w zakamarkach mózgu rozległy się słowa zbrojmistrza, kiedy zadała cios po nie chronionych oczach człowieka. „To jest najnikczemniejszy sposób walki — uderz tego człowieka teraz i uderz go tak, iżby wiedział, że na dobre jest już przeklęty. Nuże!”

Zbrojmistrz Dent mógł zostać przepędzony z zamku za nauczanie Kero cze-
gokolwiek poza łucznictwem i dobrze o tym wiedział. Zrobił, co mógł, aby ją zniechęcić, kiedy zjawiała się na treningu obok Lordana. Dopiero gdy przyłapał ją na niezdatnych próbach zadawania owczym skórom ciosów zbyt dla niej długim i ciężkim, ćwiczebnym ostrzem, zrozumiał, że Rathgar i tak będzie go podejrzewał o udzielanie lekcji Kero. Doszedł więc z nią do porozumienia.

W zamian za niechętną obietnicę, że nigdy nie dotknie broni długiej, obiecał nauczyć ją walki na noże. Nie w smak mu to było, jednakże Kero postawiła sprawę jasno: tylko w ten sposób utrzyma ją z dala od zbrojowni i pola ćwiczeń.

Robota nożem była, jak to określił Dent, najniższą, najnikczemniejszą formą walki i, na wypadek gdyby Kero znalazła się w rozpaczliwej sytuacji, nauczył ją każdej sztuczki, z jaką zapoznał się w swoim życiu pośród ulicznych burd.

Przedziwnym zrzędzeniem losu walka na noże była jedynym rodzajem pojedynku, jaki można było prowadzić w ciasnym, kuchennym przejściu — jedynym miejscu, w którym nożownik miał przewagę nad miecznikiem. Dziękując bóstwu, które zainspirowało porozumienie z Dentem, po raz kolejny zamierzyła się w twarz swego napastnika, kiedy ten uniknął jej groźnego ostrza, klnąc ze strachu. Sięgnął po swoją broń. Z obu stron krępowwały go ściany, a za plecami miał schody; na dodatek ruchy utrudniał mu jelec, który zaczepił się o zaniedbaną zbroję.

Raptem nie była już osamotniona. U jej boku stanęli kucharz i Wendar. Kucharz w jednej ręce dzierżył rożen tak długi jak jej ramię, a w drugiej topór rzeźnicki, zaś Wendar (z rondlem na głowie podobnym do dziwaczного hełmu) uzbrojony był w jeszcze dłuższy rożen, na jaki można było nadziać w całości świnie lub cielę. Kucharz dźgnął ostrym końcem rożna; zaatakowany bandyta odskoczył, dostając się w zasięg Wendara, a ten uderzył go ciężkim prętem z lanego żelaza w głowę, wginając mu zupełnie hełm. Rozbójnik upadł do tyłu, lecz inny zajął jego miejsce.

Teraz więcej ludzi stłoczyło się na schodach. Ilu? Tego Kero nie umiała określić. Jeden z nich zwłókł leżącego ze swej drogi, a pozostali odciągnęli go w ciemność.

Trójka obrońców zablokowała przybyszom przejście. Kero atakowała od dołu, Wendar od góry, a kucharz zajął środek, osłaniając oboje przykrywą zabraną przez Kero. Wtedy jeden z młodych giermków zaczął nad ich głowami ciskać w twarze przeciwników gorącą rzepę z warząchwii jak z katapulty. Na schodach już i tak było ślisko, a to pogorszyło sytuację, nikomu poza tym nie walczy się dobrze, gdy lecą mu w oczy parzące warzywa.

Najeźdźcy cięli i kłuli, ale ostrożnie. Coraz więcej służących nabierało ducha; tak przynajmniej Kero przypuszczała, gdyż z obu jej stron kuchenne przejście nagle zaroiło się od noży i pogrzebaczy.

Wtedy zbójce ustąpili. Wycofali się po schodach na górę, osuwając się i ślizgając po kamieniach. Kero zdawało się, że niejednen najeźdźca uchodzi naznaczony — poparzony lub spływający krwią.

To było tak, jakby stała obok samej siebie, w roli obojętnego obserwatora. W uszach słyszała dudnienie własnego serca, a jednak czuła się dziwnie spokojna. Grupa trzech intruzów, stała tuż poza zasięgiem fruujących rzep, w połowie schodów, przypatrując się obrońcom kuchni. Niełatwo było ich dostrzec; ścisk ciał w przejściu odcinał światło padające z kuchni, a przybysze zasłaniali większość światła dobiegającego z góry. Kero żałowała, że nie może dojrzeć ich twarzy. Niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

„Jeśli przyniosą z góry pień i ruszą z nim na nas, mogą się przez nas przebić” — wpadło jej do głowy. „O Agniro, błagam, nie pozwól pomyśleć im o tym...”

Kero wydawało się, że przybysze sprzecząją się, zmrużyła w ciemności oczy i natężyła słuch, ale nie mogła dosłyszeć niczego poza wrzaskiem dochodzącym ze znajdującej się powyżej sieni. Jeden z obcych wskazał gniewnie na Kero, ale pozostali dwaj potrząsnęli głowami i pociągnęli go za ramię.

Ten jednakże, zaciętrzewiony, odtrącił dłonie kamratów i ruszył po schodach w dół. Był olbrzymi, bardzo dobrze chroniony przez ciężki, drewniany pawęż. Kero wstrząsnęły dreszcze, kiedy uzmysłowiła sobie, że może on runąć na nich pod osłoną tarczy, dając swoim kompanom szansę przebycia wąskiego przejścia. Wyglądało na to, że i on właśnie rozważał tę możliwość.

Jednakże ktoś zza pleców Wendara cisnął w niego nożem do ćwiartowania mięsa. Był to szczęśliwy rzut. Nóż lupnął szpicem w pawęż napastnika, pograżył się w drewnie i zatrzymał rozedrgany. Rozbójnik przeraził się, zataczając się ustąpił o krok do tyłu, zaklął niezrozumiale i ulegając kompanom, wycofał się za nimi po schodach, pozostawiając kuchnię jej obrońcom.

Teraz przyszła kolej na przekleństwa Wendara i próbę ruszenia śladem napastników. Panika ścisnęła ją za gardło, gdy zrozumiała, co seneszal zamierza uczynić.

„Najdroższa bogini!” — Kero schwyciła go za prawe ramię, kiedy przemykał obok niej i uwiesiła się na nim, tamując jego ruchy tak długo, aż kucharz ujął go z lewej strony, uniemożliwiając mu szarżę na górę w ślad za najeźdźcami.

— Stój! — krzyknęła przejmująco, w jej głosie zabrzmiało coś więcej niż tylko histeria. — Stój, Wendarze! Prawdopodobnie w niczym nie jesteś w stanie tam pomóc! Nawet nie jesteś uzbrojony!

To go powstrzymało. Spuścił wzrok na osmolony, ociekający tłuszczem rożen, trzymany w dłoni, i zaklął w taki sposób, że poczerwieniały jej uszy. Lecz przynajmniej nie podjął ponownej próby szarży na nieprzyjaciela.

— Stół — powiedział kucharz.

Tego było im trzeba. Jak jeden mąż zawrócili do kuchni i z pomocą pozostałych obleżonych zawlekli masywny stół do wejścia, przewrócili go na bok, czyniąc z niego mocną barykadę, która miała ich ochronić przed atakiem taranu. I uczyniwszy wszystko, co było w ich mocy, czekali.

Drugi

Kero przykucnęła pod osłoną przewróconego stołu, usiłując nie myśleć o swoich krewnych, którzy byli w sieni u góry. Łomoczące serce nieomal rozsadziło jej pierś. Próbowwała oddalić od siebie strach, ponieważ teraz, gdy nie była zajęta walką, sparaliżował ją z poczwórną siłą. Starła się powstrzymać łzy.

„Na górze są wyćwiczeni wojownicy. Cokolwiek zrobisz, to dla nich nieistotne. Uzbrojeni czy nie, potrafią zatroszczyć się o siebie.”

Służący wpatrywali się w nią; w nią, kucharza i Wendara. Mogła czytać z ich twarzy, z ich szeroko rozwartych oczu i trzęsących się rąk. Jeśli ktokolwiek z trzech przywódców załamię się, jeśli zdradzi najmniejszą oznakę przerażenia, które Kero ze wszystkich sił starała się zamknąć w sobie, resztę obłożonych ogarnie panika.

Ścisnęła zaimprovizowaną broń; jakimś cudem nie drżały jej dłonie. Żałowała, że nie może zasłonić uszu, aby zagłuszyć potworne odgłosy dochodzące z góry. Miała ochotę krzyczeć, płakać albo zrobić jedno i drugie. Bolało ją gardło; ścisnęło w żołądku. „Jakże mogłam pomyśleć kiedykolwiek, że opowieści o bitwach są podniecające? Błogosławiona Triado, co tam się dzieje na górze? Wygrywamy czy przegrywamy? Jakże moglibyśmy wygrywać? Nikt z zebranych na górze nie jest uzbrojony...”

Wendar nawet nie mrugnął okiem. Całą uwagę skupił na klatce schodowej. Wpatrywał się w światelko migające na szczycie schodów. Był na przemian biały, to znów czerwony z gniewu. Kero chciałaby wiedzieć, co spodziewa się on usłyszeć.

Jeśli to nie było piekło, to na pewno jego przedsiónek.

* * *

Nim odgłosy walki ucichły zdawało się, że minęła wieczność. A potem nastąpiła przerażająca chwila ciszy, po której rozległo się zawodzenie.

— Koniec! — zakrzyknął Wendar i susem przesadził barykadę.

Tym razem nikt nie próbował go zatrzymać.

Kero nie omieszkła ruszyć w jego ślady. Przełaząc przez stół, zaczepiła spódnica o jego nogę. Zatoczyła się na ścianę i szarpnięciem uwolniła, rozdzierając suknię na sporej długości.

Wendara nie było już widać. Wdrapała się na czworakach po śliskich od rzepy schodach, prostując się tuż przed ich szczytem. I wówczas stwierdziła, zupełnie zaskoczona, że wciąż trzyma w rękach pokrywkę od garnka i nóż.

Ostrożnie wyjrzała spoza futryny drzwi i serce w niej zamarło. Nóż razem z przykrywką wypadły jej ze zmartwiałych dłoni i z głośnym łoskotem potoczyły się po schodach za jej plecami; chwiejąc się wkroczyła w sam środek najgorszego z nocnych koszmarów.

Gdy szła zataczając się, ktoś chwycił ją za nadgarstek.

To Wendar, uprzytomniła sobie po chwili. Seneszał pociągnął ją w dół, tuż obok siebie. Klęczał u boku człowieka tak poranionego i zalanego krwią, że aż trudnego do rozpoznania. Nagle ranny jęknął i otworzył oczy. Wtedy zorientowała się, kim był. . .

„Dent. Agniro zbaw!”

Wielokrotnie pomagała przy opatrywaniu ran. Kiedy myśliwi natknęli się na wilka czy odyńca, odnosili rany nieraz równie ciężkie jak te i stąd jej ręce same wiedziały, co robić, podczas gdy myśli błędziły aż do zawrotu głowy. „Krew, tak okropnie dużo krwi. . .”

Dent skończył na jej rękach, ale dookoła leżeli inni; mnóstwo innych. . . Jak lunatyczka przechodziła od jednego do drugiego, opatrując ich rany strzępami oderwanymi od swoich podartych spódnic lub czymkolwiek, co wpadło jej w ręce. Niektórzy — tak jak Dent — zmarli, kiedy czyniła wszystko, by ich ocalić. Inni, mający więcej szczęścia, często popadali w omdlenie lub byli już nieprzytomni w chwili, gdy ich odnajdywała. Ci, którym szczęście nie dopisało, wyli w agonii tak długo, dopóki ich zdarte gardła nie pozwalały im nawet na szept.

Sień zamieniła się w zbryzganą krwią jatkę. Sprzęty były przewracane, żywność stratowana; wszędzie kobiety, tu i ówdzie spędzone w bezładne gromadki niezdolne wymówić słowa, z szeroko rozwartymi, otępiętymi z przerażenia oczami; inne wyjące, zawodzące lub szlochające bezgłośnie obok swoich zabitych i rannych.

Z tego mrowia gości, jedynie garstka zachowała spokój, pracując z pobielającymi wargami, z wyrazem zawziętości na twarzach, próbując tak jak Kero wydrzeć z rąk Pani Śmierci kilka żywotów więcej.

Jedna z kobiet, prosta jak struna, z roztargnieniem poklepała Kero po ramieniu, śpiesząc obok niej ze wzrokiem utkwionym w jednym z wojów, który leżał rozciągnięty za plecami dziewczyny. Zaskoczona Kero rozpoznała matronę z rodu Dunwythie, kobietę o granitowej twarzy, która nigdy dotąd nawet nie skinęła głową w jej stronę.

Teraz to było bez znaczenia. Nic nie miało znaczenia z wyjątkiem tamowania krwi, łagodzenia bólu, nastawiania połamanych kończyn. Na terenie całego zamku nie było ani jednego męża zdolnego do noszenia broni, który nie byłby ranny; nie było ani jednego mężczyzny, który nie odniósłby ran za wyjątkiem tych kilku służących, którzy zbiegli do kuchni. Każdy, kto stawiał opór, został z miejsca zabity. Pośród zabitych i rannych znajdowała się grupa młodych chłopców i kobiet — niektórzy z martwych wciąż ściskali w dłoniach to, co znaleźli pod ręką i co posłużyło im za broń.

Dawno już Kero przekroczyła próg odrętwienia, pograżając się w otępieniu. Jej skrwawione po łokcie ręce pracowały nieprzerwanie prawie bez udziału woli. Powłóczyła obolałymi i strudzonymi nogami, przechodząc od jednego ciała do drugiego. Czar znieczulenia, które nią zawładnęło, trwał niczym nie zakłócony. Ocknęła się dopiero na dźwięk własnego imienia. Nagle poczuła, że ktoś nią potrząsa. Czyjeś ręce przywracały ją rzeczywistości, która wdzierала się w pustkę, w jakiej znalazł się jej mózg.

Zamrugła oczami. Dwie kuzynki Dierny szarpały ją za ramiona, płacząc i paplając coś bezładnie. Nie mogła dopatrzeć się sensu w tym, czego od niej chciały. Rozhisteryzowane wlokły ją, łkając, w stronę podium, gdzie stały Wysokie Stoły. Ledwie przeciągnęły ją o parę kroków, usłyszała młody, męski głos, znany jej jak własny, ciskający okropne przekleństwa.

Wyswobodziła się i ni to biegnąc, ni to zataczając się, ruszyła w kierunku małej grupki stojącej wokół jednego ciała. Ponownie rozległo się przekleństwo, a potem wycie dokładnie w chwili, gdy dotarła na miejsce, odciągając kogoś na bok — chyba kucharza — od leżącej na podłodze postaci.

To był jej brat Lordan — z twarzą wykrzywioną grymasem bólu i rozwartymi, szklanymi oczami. Wyrzucał z siebie tyrazy i jęki, podczas gdy Wendar opatrywał mu potworną ranę w boku.

Gdy Kero klękała obok niego, seneszał na krótko podniósł wzrok, by natychmiast powrócić do przerwanej zajęcia.

— Pchnięcie ominęło wnętrzości — rzekł przez zaciśnięte zęby. — Przeszło obok żołądka i płuc. Kelles jedynie raczy wiedzieć jak. Jednak nie mogę powiedzieć: przeżyje czy nie. Bez pomocy Uzdrowiciela. . .

Nie musiał kończyć zdania. Kero doskonale wiedziała, jakie byłyby szanse Lorda bez pomocy magii lub też bez dotyku Uzdrowiciela. Prawdopodobnie nie umarłby od zadanej rany, ale na skutek upływu krwi i zakażenia.

Nie mogła dla niego uczynić niczego, o co już by się Wendar nie zatroszczył. Złościła ją własna bezradność. Chciała coś zrobić, będąc świadomą, że nic pożytecznego zdziałać nie potrafi. Wolno stanęła na nogi i zaczęła krążyć dookoła, próbując myśleć o czymś, co zwiększyłoby szansę Lordana.

„Nic tu po mnie” — nienawidziła tej myśli, nienawidziła uczucia, iż nie panuje nad niczym tak przerażona, że aż dzwoniłaby zębami, gdyby mocno nie zwarła

szczęk.

Rozejrzała się po sieni i zobaczyła, że ostatnie ofiary są opatrywane, ciała martwych już wynoszone, a kobiety nadto rozhisteryzowane czy też otępiełe, aby robić cokolwiek, zgromadzone po jednej stronie sieni przez grupę starszych niewiast, które prały dla zamku — oraz kilka mleczarek.

„Ojciec” — pomyślała nagle. „Gdzie jest ojciec?” Rozejrzała się, obchodząc dookoła wianuszek ludzi stojących nad Lordanem i szukając Rathgara. Dopiero wtedy dostrzegła zmasakrowane ciało, ułożone na stole, na wpół przykryte całunem z obrusa, jakby już leżące na marach.

Zadziwiająco, lecz widok martwego ojca nie wstrząsnął nią. Zastanawiała się, czy nie spodziewała się tego od momentu, kiedy po raz pierwszy rozejrzała się po sieni. Wiedziała, co musiało się wydarzyć. Rathgar ruszył na rozbójników z pustymi rękami i pustą głową w chwili, kiedy oni wdarli się do sieni. Czysta furia przytłumiła jakąkolwiek myśl o ostrożności.

Przymknęła powieki, próbując przywołać do wyschniętych od szoku oczu obowiązkowe łzy, ale poczuła jedynie gniew i rozdrażnienie. „To ty byłeś najemnikiem, ojcze.” — myślała ze złością o milczącej postaci. „Lepiej się na tym znałeś! To ty mogłeś rozkazać zbrojnym odegrać rolę straży tylnej, a samemu sprowadzić wszystkich na dół, do kuchni, zanim zaroilo się tutaj od nich, lecz musiałeś bronić swojego zamku osobiście, nieprawdaż? O niczym innym nie myślałeś, tylko o tym! Czy wpadło ci w ogóle do głowy, aby usunąć swą biedną synową w bezpieczne miejsce?”

Rozejrzała się za Dierną, spodziewając się odnaleźć ją pośród rozhisteryzowanych lub na wpół oszalałych kobiet i nie zobaczyła jej. Nigdzie jej nie było.

Przypuszczając, że dziewczyna może ukrywać się za krzesłem, czy też tulić się ze strachu w czyichś ramionach, Kero zwróciła się do jednej z dwóch kuzynek Dierny, które przylgnęły do niej, kurczowo szczepione i omdlewające z trwogi.

— Gdzie ona jest? — stanowczo zapytała Kero. „Jeśli jest ranna, jej rodzina nigdy nam tego nie wybaczy.” Równocześnie przewidywała ich reakcję tak zimno jak lichwiarz odliczający monety. „Zażądają satysfakcji. Nic to, że ojciec nie żyje, a Lordan może nie przeżyć nocy. Zażądają ceny za krew, a po tej katastrofie nie będzie nas stać na zapłatę.”

Dziewczyny tępo się w nią wpatrywały. Ujęła najbliższą stojącą i potrząsnęła bezlitośnie.

— Twoja kuzynka, dziewczko! Gdzie ona jest? Gdzie jest Dierna?

Dziewczyna jękając się wybałuszyła oczy. Kero potrząsnęła małą idiotką, aż ta zagrzechotała zębami, próbując zmusić ją, aby powiedziała coś do rzeczy, ale ani od niej, ani od jej siostry nie wydobyła nic oprócz łez i lamentów. Z niesmakiem trzymała wyprostowaną dziewczynę w swych mocnych rękach, rozważając, czy jej nie spoliczkować i tym sposobem nie wtłuc jej odrobiny rozumu do głowy.

— Została porwana — wychrypiał przepojony bólem głos z dołu, na prawo

od jej łokcia.

— Co? — Kero wypuściła z rąk małego mazgaja.

Dziewczyna natychmiast osunęła się w objęcia równie zapłakanej siostry. Spojrzała na mężczyznę, który to powiedział; jednego ze zbrojnych z zamku, który leżał oparty o ścianę na prowizorycznym sienniku z obrusów i przesiąkniętych krwią płaszczy, część tej krwi należała przypuszczalnie do niego. Patrzył na nią spod czapy bandaży. Prawe ramię przywiązano mu mocno do boku.

— Została porwana — powtórzył. — Widziałem. Zabrali ją i wtedy odeszli.

Zakaszła. Złapała kielich z podłogi i znalazła walający się pod stołem dzban, w którym wciąż jeszcze było nieco wina. Uklękła obok niego i pomogła mu się napić. Zadzwonił zębami o metalową krawędź, a potem z jękiem zległ ponownie.

— Widziałem to — powtórzył, zamykając oczy. — Spędziłem z lordem Rathgarem dziesięć lat, zaprzysiężony. Lady, ja nie... to nie jest kłamstwo. Przysięgam. Mag był razem z nimi.

— Ee — co?

Przez moment poczuła zmieszanie. Co też mógł mag mieć wspólnego z tą rzezią?

Zbrojny ponownie otworzył oczy.

— Mag — powiedział raz jeszcze. — Musiał tu być. W pierwszej chwili stoję na murze i nic nie słyszę, nic nie widzę. Nagle jakby tchnienie mgły, czegoś mokre, czegoś zimne i ja nie mogę się ruszyć, nawet, co by rozpatrzeć się dookoła... Wtedy nadjeżdża kupa jeźdźców, nikt na nich nie woła... Wjeżdżają przez bramę, a ja widzę, że to są obwiesie, ale ktoś im dał rzetelną broń... — Ostatnie słowo utknęło mu w gardle.

Leżał, dysząc przez moment ciężko, w cierpieniu. Kero ścisnęła kielich tak mocno, że aż jej knykcie zbieleły.

— Wciąż nie mogę ni drgnąć, ni krzyknąć — kontynuował, wpatrując się w pustkę. — Nie mogłem. Nagle słyszę okrzyki w sieni i wtedy już mogę się ruszyć. Wbiegam tutaj, wprost na tych, którzy na mnie czekają. — Zakaszła i jego twarz wykrzywił spazm bólu. — Czekają za każdym rogiem, tak jakby znali to miejsce, lady. Umknąłem im i wpadłem aż do sieni. To wtedy widzę, jak bierą pannę młodą — lord Rathgar, on leży pokonany. O bogowie, miejcie ich w swojej pieczy! Położyli ostatnich jej obrońców i zabrali ją. To wtedy walka ustała; zwycięzcy zwinęli się, zgrabili, co mogli, i odeszli — Zamrugał i ponownie skupił na niej wzrok. — Próbowałem, lady. Próbowałem...

Teraz przypomniała sobie jego imię: Heward.

— Wiem o tym, Heward — odrzekła błędząc myślami.

Wydawało się, że to go uspokoiło. Zamknął oczy i zatopił się w sobie.

„Mag — to miało sens. Zwłaszcza gdy pomyśle, jak ojciec nienawidził magów. Może jeden z jego wrogów był magiem albo nim został. Miał i innych wrogów; być może któryś z nich połączył siły z drugim. Mogli wyczekiwać okazji,

by go zaskoczyć, zemścić się, kiedy się tego nie spodziewał.” Wstrząsnęły nią dreszcze. Wyprostowała się. Obrzuciła niewidzącym spojrzeniem jatkę, w jaką zamieniła się sień. „To musiała być — ta rzecz — ta mroczna rzecz, o którą otarły się moje myśli. Może jeden z wrogów ojca przekupił maga. Tak też mogło być. Mógłby to być ktoś, kto znał go na tyle, aby wiedzieć, że nie trzyma własnego maga w domu. I musiałby to być ktoś, kto wiedział o weselu. . .”

„Na ząb Agniry!” Zadrzała. „On nas zniszczył! Nikt nie może wyruszyć za Dierną — w całym zamku nie ma męża zdolnego dosiąść konia! A jeśli nie podejmiemy przynajmniej próby. . . Znam jej wuja! Ogłosi między nami krwawą waśń. Wybije nas do ostatniego, zajmie zamek. . .”

Wuj Dierny, potężny lord baron Reichert niejedną raz pod pretekstem obrazu rodziny powiększał swoje posiadłości. Nie byłby skłonny przepuścić okazji takiej jak ta — a do czasu, kiedy król by się o tym dowiedział, baron dopilnowałby, żeby na zamku nie było nikogo, kto dowiódłby niewinności Lordana. Jeśli by dopisało im szczęście, uszliby z życiem. Jeśli nie — baronowi nic z tego, że przeżyją.

„Będziemy bez szans” — myślała przynębiona. „Jeżeli nikt za nią nie wyruszy, by choć upozorować próbę ratunku. . .”

Słodka twarz Dierny w kształcie serduszka jak zjawą stanęła jej przed oczami. „Najdrożsi bogowie, biedulka. . .”

Ostatnia, nieproszona myśl wywołała w Kerowyn coś nieoczekiwanego. Poczula przemożny zawrót głowy. Na oślep wyciągnęła rękę ku ścianie, szukając oparcia. Lecz ściana ustąpiła natychmiast pod naciskiem jej dłoni. Opanował ją lęk, że osunie się na ziemię, zemdleje, jak jedna z głupiutkich kuzynek Dierny. Nie upadła jednakże. Otworzywszy oczy, nie zobaczyła sieni, lecz trakt i niewyraźne kształty w świetle księżyca. Oddział konnych.

Na moment dojrzała dziewczkę: skrępowaną, z kneblem w ustach, posadzoną na koniu przed jednym z jeźdźców, wysokim, wychudłym człowiekiem, w szatach raczej niż w zbroi. Szok i przerażenie wypełniały jej szeroko rozwarte oczy, były z delikatnych rysów jej woskowobiałej twarzy. Z wyglądu miała raczej jedenaście niż czternaście lat.

Strach zamienił się w gniew, w oburzeniu utonęły wszelkie inne uczucia. To było niesprawiedliwe. Dziewczyna ledwie przestała być dzieckiem.

Kero zmrużyła oczy. Wizja — jeśli to było to — rozwiąła się, ustępując innej. Prosty, zwykły miecz. Jej własna ręka, ujmująca rękojeść miecza, tak jakby należał on do niej.

„Ależ ja nie mogę. . .”

Ponownie zamigotały przerażone oczy Dierny. „Błogosławiona Triado! Ledwie czternaście lat, otoczona opieką przez całe życie jak szklany ptaszek i równie krucha.”

Widzenie pierzchło. Przed oczami ponownie miała sień. Na moment opuściło ją poczucie gniewu. „Ja jedynie mogę wyruszyć ich śladem. Jeśli spróbuję ją

odbić, jej wuj nie będzie miał pretekstu, aby ruszyć na Lordana.” Skuliła ramiona i zadrżała. Wtedy powrócił gniew, tym razem silniejszy. „O bogowie najmilsi — sam na sam w towarzystwie tych bękartów — nie mogę siedzieć tutaj z założonymi rękami, mazgać się jak jej kuzynki. Nie mogę. Tu nie o honor idzie, nie o dumę, to nie jest opowieść z ballady. Nie mogę siedzieć beczynnie, wiedząc, co się z nią stanie, gdy tylko poczują się bezpieczni. Muszę spróbować temu przeszkodzić.”

Wtedy przyszło jej na myśl coś jeszcze. Między gniewem i strachem mignął malutki cień szansy.

„A może babka okaże mi pomoc.”

Nagle decyzja wyruszenia w ślad za najeźdźcami nie wydała się tak szalona.

Obróciła się na pięcie i biegiem ruszyła do wyjścia dla służby, lecz tym razem zamiast schodzić w dół, udała się na górę, do korytarza, który biegł przez całą długość sieni i prowadził do pomieszczeń rodzinnych. Jej izba położona była w pierwszej wieży narożnej, tam, gdzie korytarz zakręcał pod kątem prostym w prawo. Chwyliła kaganek oliwny, zapaliła go od latarni i wbiegła po krótkich schodach do okrągłej komnaty na górze. Było tutaj chłodno w zimie i upalnie w lecie, we wszystkich porach roku panował przeciąg, lecz komnata owa należała do niej, co oznaczało, że znajdowały się tu przedmioty, o których nie wiedział nawet Lordan.

Zapaliła wiszącą obok drzwi lampę i zdmuchnęła kaganek. Kiedy płomyk urósł, podeszła do wysokiego, zasłoniętego łoża i ściągnęła siennik na podłogę. Łoże Kero wykonane było w starym stylu. Było to swego rodzaju pudło z drewnianym spodem w miejscu zwyczajnej, naciąganej sieci z lin. Sekret związany z dnem tego łoża odkryła, będąc jeszcze dzieckiem. Można je było podnieść na zawiasach, odsłaniając drugą, płytszą szufladę.

Wciąż leżały tam schowane skarby z dzieciństwa: poducha pełna snów, przysłana przez babkę Kethry, ulubiony wypchany konik, dwa drewniane rycerzyki, którymi Lordan nigdy się nie bawił i nigdy za nimi nie zatęsknił, kiedy mu je zabrała, gdy był niemowlęciem. . .

Lecz teraz, prócz tych przedmiotów, znajdowała się tutaj odzież, z której jej brat już wyrósł oraz zbroja; komplet z cienkiego łańcucha, wykuty dla niego, kiedy rozpoczynał ćwiczenia; porzucony i od dawna zapomniany w zbrojowni. Zbroja nie pasowała już na niego, był na to zbyt szeroki w barach, lecz na niej leżała znakomicie. Z westchnieniem ulgi zrzuciła strzępy spódnic i założyła spodnie, pończochy oraz skórzaną tunikę z rękawami. Związała włosy najlepiej, jak potrafiła, rozważając przez moment, czyby ich nie obciąć, ale doszła do wniosku, że będą przydatne pod hełmem. Następnie przyszła kolej na kolczugę. Bez pomocy giermka przy jej nałożeniu trzeba było się nieźle skręcać i wiercić, zarzucając biodrami tak, że nawet ladacznica wybałuszyłaby oczy. Pomimo najwyższych wysiłków kolczuga wczepiła się w jej włosy. Szarpnęła głową, wrywając przy tym ich

kosmyk. W końcu ostatecznym podrzutem bioder naciągnęła ją z głośnym brzękiem. Kolczuga ochraniała ją od szyi aż po kolana; przecięto ją z przodu i z tyłu tak, aby noszący ją mógł dosiąść konia. Nałożyła dodatkowo skórzany kaftan dla stłumienia nieuniknionego pobrzękiwania pierścieni, buty do konnej jazdy i ruszyła do drzwi.

Jednakże jedyną bronią, jaką miała, były noże. „Nie umiem władać mieczem” — pomyślała, zawahawszy się, z jedną dłonią na klamce od drzwi. „Ale noże mogą nie na wiele się przydać przeciw dłuższej broni. Może mimo wszystko warto wziąć jeden miecz ze sobą.”

A więc, zamiast wrócić drogą, którą przysła, skierowała swe kroki do komnaty brata i jego małej, prywatnej zbrojowni, z nadzieją, że jeźdźcy zbytnio się w tym czasie nie oddalą.

Izby Lordana znajdowały się w głębi tego samego, tonącego w ciemności korytarza w połowie drogi pomiędzy jej wieżą a czymś, co służyło jej matce za Jasną Izbę. Kero nigdy nie miała czasu bawić się w wielką damę, spędzającą czas w otoczeniu służebnic, ani też nigdy nie lubiła marnotrawić czasu na delikatne robotki ręczne, nawet jeśli mogła sobie na to pozwolić. Jasną Izbę zamknięto więc do chwili, kiedy Lordan znajdzie sobie młodą żonę albo też Rathgar ponownie się ożeni. Ponieważ do tego ostatniego nigdy nie doszło, Lordan zamienił Jasną Izbę w zbrojownię, by nie przechowywać swego oręża w zimnym, nieprzyjemnym i mrocznym pomieszczeniu na dole. Bez wątpienia ich ojciec wściekłby się, gdyby się o tym dowiedział, ale Kero nie widziała powodu, aby mu o tym mówić. Jeśli Lordan miał ochotę polerować swoje miecze tutaj, na górze, w zalanej słońcem Jasnej Izbie, to dlaczego mu tego zabraniać? Słońce nigdy nie wyrządziło szkody ani metalom, ani chłopcom, przynajmniej Kero nigdy o tym nie słyszała.

Pchnięciem otworzyła drzwi i weszła do środka. Przez okna Jasnej Izby zaglądał księżyc w pełni. Wisząca na stelażu zbroja niesamowicie przypominała Lordana. Tam, gdzie księżycowa światłość odbijała się od wypolerowanego metalu, połyskiwał on miękkim, srebrzystym blaskiem. Chwilami refleksy te wywoływały iluzję ruchu.

Miecze Lordana zwisały ze stelaży, gdzie za czasów Lenory trzymano czółenka tkackie. Kero wiedziała, o który jej chodzi: o jedno z pierwszych ostrzy Lordana, lekki, krótki miecz, najbardziej podobny do noża. Najłatwiej byłoby nim władać, gdyby przyszło co do czego.

„O Agniro, spraw, aby do tego nie doszło...”

Spięła tunikę pasem, wahała się jeszcze przez moment, a potem rezolutnie nasadziła na głowę mały, okrągły hełm z nosalem, wiszący obok na ścianie. Być może nie stanowił on dostatecznej ochrony, ale było to lepsze niż obnażona głowa.

Z przyległych izb Lordana wiodły schody do zewnętrznych stajni, zwykle zamkniętych, ale tak ona jak i Lordan odbyli tyle nielegalnych wypraw przy świetle księżycy, że od dawna wiedziała, jak po ciemku otwierać ciężki, stary zamek.

Wrota wciąż jeszcze były zamknięte, ale jej ręce, chociaż trzęsły się nieco, nadal pamiętały sposób podważenia skobla cienkim ostrzem noża. Zmusiła się do powolnego oddechu, wmawiając sobie, że nie ma w tym nic niezwykłego. Oparta o futrynę próbowała nie myśleć o tym, co robi. Powiodło się. Zamek zgrzytnął i wrota skrzypiąc otworzyły się.

Schody kończyły się w masztarni. Osłonięte światło, które zwykle tam się paliło, zmusiło ją do zmrużenia załzawionych oczu. Spoza drzwi nie dochodziły jednak żadne dźwięki zaniepokojonych koni, zaś sama masztarnia wyglądała jak śmietnik.

Gdy jej oczy przywykły do światła, ujrzała podłogę zarzuconą siodłami i innymi elementami uprzęży. Koni nie było. Skrzydła drzwi do przegród w stajni były szeroko otwarte. Zwierzęta, których rozbójnikom nie udało się ukraść, niewątpliwie zostały wypłoszone. Bezmyślne stworzenia, zapewne rozpierzchły się na cztery wiatry, galopując aż do ochwacenia.

„No i tyle z wysłania kogoś po pomoc” — rozmyślała ponuro. „Aż do jutra, w najlepszym razie. Nawet goście nie będą w stanie nikogo odesłać”.

Istotnie, ktoś zaplanował to bardzo dobrze.

„Z małym wyjątkiem”. Kero podbiegła do jednej z przegród, która i tak stałaby pusta, nawet gdyby jeden z gości nie przywiódł tutaj doskonałej rasy ruma-ka, chociaż tę przegrodę rezerwowano dla wierzchowca Kero. Jej klacz z hodowli Shin’a’in większość czasu spędzała na pastwisku. Od ostatnich topniejących śniegów aż do pierwszych opadów. Kero wieszała zwykle uprzęż Verenny na przepierzeniu przegrody. Nie zajmowała tam wiele miejsca, gdyż dziewczyna nigdy nie dopuściła, aby na grzbiet młodej klaczy Shin’a’in zakładano cokolwiek innego poza jej własną uprzężą. Rathgar był znawcą jednego — koni — i przekazał swą wiedzę dzieciom. Kero opiekowała się i osobiście ujeżdżała Verennę, jeśli tylko nie miała pilniejszych zajęć.

Uprzęż wciąż tam wisiła: derka, siodło o lekkich strzemionach, niewiele cięższe od derki, uździenica bez wędzidła i lejce. Zebrała wszystko, przerzuciła postronek przez ramię i wyszła ze stajni na pastwisko.

Niektóre konie przesadziły ogrodzenie, inne rozbiegły się po łące. Zobaczyła je w świetle księżyca — ciemne, drepczące w kółko na samym końcu łąki kształty, rzeniem okazujące niepokój. Schwytnie ich będzie niemożliwe, dopóki się nie zmęczą.

„Módl się, żeby Verenna nie uległa panice jak inne” — myślała, przygryzając wargę. „Jeśli wpadła w popłoch. . .”

Kero wydeła wargi i przenikliwie gwizdnęła. Trzy razy. Prawie wyskoczyła ze skóry, kiedy coś miękkiego i ciepłego trąciło ją w plecy.

O bogowie! Udało jej się zdusić okrzyk, który przeraziłby klacz, ale upuściła na ziemię uprzęż. Klacz spłoszyła się nieco, tańcząc nerwowo. Kero stała przez chwilę roztrzęsiona. Trwało to dość długo. Tak długo, aż Verenna przezwyciężyła

strach i ostrożnie zbliżyła się do swego jeźdźca, zanim jeszcze Kero całkowicie zapanowała nad sobą.

Klacz obwąchała ją trwożliwie. Kero zdobyła się na spokojne wyciągnięcie ręki i podrapanie Verenny po uchu, odzyskując do reszty panowanie nad sobą. W końcu mogła zdjąć postronek z ramienia i zarzucić go na kark Verenny rękami spokojnymi na tyle, by przeciągnąć opaski ponad uszami klaczy.

Osiadanie Verenny zabrało niewiele czasu. Klacz stała posłusznie, cicho, tak jak ją wyszkolono, gdy Kero zarzucała na jej grzbiet derkę i siodło oraz mocowała popręgi. Następnie przyszła kolej na napierśnik i podogonie. W ciemności Kero macała przez chwilę na ślepo, szukając sprzączek, i na koniec mocno dociągnęła popręgi pod brzuchem. Verenna prychnęła lekko, ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, zachowywała się nad wyraz spokojnie.

„Na całe szczęście” przyznała w duchu Kero, wsuwając stopę w strzemień i dosiadając Verenny. „Nie jestem pewna, co bym zrobiła, gdyby odmówiła mi posłuszeństwa”.

Poprowadziła klacz do ogrodzenia, schyliła się i złapała za zasuwę od bramy. Bramę na pastwisko można było otworzyć, siedząc na koniu. Podczas całego manewru Verenna zachowywała się spokojnie, chociaż tańczyła, drobiąc w podskokach w miejscu. „Na szczęście spłoszone konie nie tłoczą się dookoła, gotowe wystrzelić galopem.” Verenna stąpała niezwykle lekko. Czyniła nie więcej hałasu niż kozioł, zawracając w miejscu tak, aby Kero mogła przymknąć za sobą bramę i opuścić zasuwę. Dziewczyna właśnie na to liczyła; w walce z najeźdźcami będzie musiała wykorzystać wszystko, co dawało jej przewagę.

Kiedy stępa ruszyły od bramy, Verenna odruchowo zwróciła się na południe. Kero zwykle prowadziła ją ścieżkami dla zwierząt w dziczy leżącej na ziemiach ojca, a najkrótsza droga w te strony wiodła właśnie traktem na południe. Klacz dygotała pod siodłem. Konie są zwierzętami pełnymi przyzwyczajęń, tymczasem jej świat stanął tego wieczora na głowie, najpierw z powodu napaści obcych ludzi i najazdu koni na jej pastwisko, a potem z powodu pojawienia się Kero. Wyjazd w środku nocy wywoływał u klaczy nerwowość i zmieszanie. A tymczasem Kero zdezorientowała ją jeszcze bardziej, zawracając w całkowicie odwrotnym kierunku do tego, którego się spodziewała. Na zachód, a nie na południe. Z dala od terenów łowieckich i głównej osady.

Stanęła, ponownie parsknęła i bryknęła lekko. Kero ściągnęła lejce. Klacz opierała się jeszcze przez moment, a potem poddała się, potrząsając łbem.

„Biedactwo, nie wiesz, co my tu robimy w środku nocy, prawda?” Kero pozwoliła jej tak stać, dopóki nie przestała się trząść, popuściła lejce i dotknęła piętami jej boków. Posłusznie, choć wciąż poparskując w proteście, klacz skierowała się na zachód, w górę najmniej gościnnej części doliny, wzdłuż nikłego szlaku wiodącego do granicy ziem należących do zamku.

Trakt był bity tylko w granicach tych ziem, potem zamieniał się w ścieżkę dla

kóz i dalej w ścieżynę dzikich zwierząt. Verennie wcale się on nie podobał. Wiatr kołysał otaczające chaszczki i krzewy z ostrzegawczym szelestem. Pośród cieni-
stych drzew klacz i jeździec z trudnością odnajdywali wzrokiem szlak. Każdy koń
z hodowli nomadów Shin'a'in umie odnaleźć drogę w nierównym terenie i w wa-
runkach dużo gorszych niż te, ale to nie oznacza, że musi to lubić. Klacz stuliła
uszy. Kero wyczuła z jej naprzężonych mięśni, że najmniejsze nawet poruszenie
spłoszy ją, a wtedy prawdopodobnie poniesie.

„Szlak ten był tak upiorny, że wiedźma mogłaby złożyć tu wizytę.” Kero
uważnie przyglądała się każdemu poruszeniu, jakie dostrzegła kątem oka, każdy
dźwięk budził w niej lekką obawę. Kiedy już przyszło co do czego, czuła się rów-
nie nieswojo jak Verenna. Szlak wiódł do jej babki, której siedzibę zwano „Wieżą
Kethry”. Kero nie jeździła tędy zbyt często, lecz mimo to nieźle znała drogę. Ja-
ko dziecko sadzano ją na poduszce za siodłem stajennego albo przynajmniej raz
w miesiącu przemierzała tę drogę na swoim własnym, tłustym kucyku. Jednakże
później, podczas choroby Lenory, jeździła tędy nie częściej niż dwa razy do roku.
A od śmierci swej matki nie była tutaj ani razu. Nie z braku ochoty; Rathgar nie
zabraniał jej tego wprost, lecz niewątpliwie dawał to do zrozumienia. Kero, jako
pani na zamku, miała pełne ręce roboty i wydawało jej się, że nigdy nie wystarczy
jej czasu na odwiedzin u babki, która także nie przysłała nigdy żadnego zapro-
szenia, nakłaniającego do złożenia jej wizyty, a więc może i ona nie miała ochoty
podejmować gości. . .

„I być może wciąż nie ma. Tego ryzyka nie zdołam uniknąć”.

O ile Kero sobie przypominała, dom babki właściwie nie był wieżą, lecz
wyglądem bardziej przypominał kamienną fortecę, jakimś sposobem wydłubaną
z ziemi i przeniesioną na klifowe zbocze. Kero przetarła piekące oczy rękawem,
żałując, że zamek nie jest tak warowny jak Wieża, która — jak jej się zawsze wy-
dawało — wrastała w skłon klifu, albo też została wycięta w żywej skale. Jedyne
dostęp do niej stanowiły wąskie strome schody. Jej babka może i jest wiedźmą,
ale zatroszczyła się o to, aby ustrzec się przed nieproszonymi gośćmi.

Verenna potknęła się i Kero musiała ją uspokoić. Teraz, gdy oddaliły się od
zamku, otoczyły je zwykłe, nocne odgłosy, tak jakby tego wieczoru nic się nie wy-
darzyło. W oddali zahuczała sowa. Poza człapaniem kopyt Verenny Kero słyszała
jedynie cichy szelest liści, trącanych przez nocne zwierzęta poszukujące wiecze-
rzy.

„Matka mówiła, że babka proponowała przebudować zamek, na kształt Wieży,
lecz ojciec odrzucił ten pomysł” — przypomniała sobie nagle. „Dlaczego? Nie
był aż tak głupi, aby odtrącać pomoc. Czyż nie dlatego, że nie chciał już niczego
więcej zawdzięczać babce?”

Tak mogło być. Każda piędź posiadłości, którą Rathgar nazywał swoją, w isto-
cie stała się jego poprzez Lenorę, wniesiona przez nią w wianie. Nie mógł się
z tym pogodzić, tego Kero była pewna. Rathgar nie lubił nikomu niczego zawdzię-

czać. Uparty, zawzięty, pewny swoich racji wolał polegać tylko na sobie i nie dopuścić do pokrzyżowania własnych planów w stosunku do ziemi oraz dzieci.

„Ale kochał matkę” — pomyślała, pozwalając Verennie samej odnajdywać drogę w niskim poszyciu. „Wiem, że kochał matkę, nie tylko jej majątek. Przyносił jej posiłki i karmił ją własnymi rękami, kiedy osłabła tak, że nie mogła się ruszyć. Nigdy nie powiedział jej złego słowa, przenigdy. Nigdy nawet nie spoj-rzał na inną kobietę, dopóki żyła, i myślę, że nie miał na to ochoty, kiedy od nas odeszła”.

W tym świetle wzrok Verenny spisywał się znacznie lepiej niż Kero. Właści-wie musiała w tej chwili uważać jedynie, aby nie spaść z siodła — i mieć się na baczności przed przypadkowymi rabusiami oraz dzikimi zwierzętami. Trudno było uwierzyć w to, że Rathgar naprawdę nie żył.

Och! Ojczu! Pomyślała o tych szczęśliwych chwilach, które spędziła w jego towarzystwie. O tym, jak uczył ją polować, jak był dumny z jej wykształcenia. „On ledwie potrafił się podpisać — myślała czując ucisk w gardle — a jednak był tak bardzo dumny ze mnie, Lordana i matki. Zwykł był chwalić się przed przyja-ciołmi naszym wykształceniem. Zwykł był opowiadać, że potrafię lepiej prowa-dzić księgi od Wendara i że Lordan spisuje historię rodziny — wtedy wyciągał jego kroniki i nakazywał mi odczytywać je na głos wszystkim przy wieczerzy. I zwykł był mówić nam obojgu, że idziemy w ślady dziadka Jadreka, wspominał, jakim cieszył się poważaniem i jakże powinniśmy być dumni z takiego przykła-du”. Mogła go zobaczyć nawet w tej chwili, siedzącego przyłóżku Lenory, z Lor-danem po prawej, a z nią po lewej stronie oraz przypadkową księżką, którą czytali, trzymając na kolanach.

— Nie bądźcie tacy jak ja — mawiał z powagą. — Nie rezygnujcie z szansy, aby się uczyć. Spójrzcie na mnie — zbyt głupi byłem, aby robić cokolwiek poza wywijaniem mieczem. Gdyby nie wasza matka, prawdopodobnie skończyłbym w jakimś szynku, w nocy wyrzucając opojów, a w dzień zamiatając podłogę.

Mówiąc to oglądał się do tyłu, przez ramię, wyciągał rękę i delikatnie dotykał palców Lenory. Wtedy oboje uśmiechali się do siebie. . .

„Co się stało?” — pytała sama siebie przez duszące w gardle łyzy. „Wiem, że zmienił się po śmierci matki. Czy dlatego, że nie byłam w stanie być taka jak ona? Z jego strony spotykałam się tylko z krytyką. Czasami zastanawiałam się, czy on mnie nienawidzi. Czasami nie byłam pewna, czy on w ogóle wie, że żyję. Może gdybym nie była całkowitym przeciwieństwem matki, byłoby nam lepiej ze sobą”.

Verenna przystanąła na chwilę, nadstawiając uszu. Kero spiesznie przetarła oczy i wpatrzyła się przed siebie w cienie pod drzewami upstrzone cętkami księ-życowego światła. Wysunęła nóż z pochwy, kiedy ponownie rozbrzmiały odgłosy, które zaalarmowały konia; szelesty, tak jakby coś bardzo wielkiego przeciskało się przez gęstwinę.

Rozległ się trzask, na którego dźwięk serce podskoczyło jej do gardła, a potem coś stanęło na ścieżce w świetle księżycyca.

Ogier.

Verenna spłoszyła się, ogier zobaczył je i trzepnąwszy ogonem zanurkował w gęstwinie po drugiej stronie szlaku. Serce Kero ponownie zaczęło bić. Ponagliła Verennę. Klacz nie chciała ruszyć się z miejsca i aż się spociła, kiedy Kero zmusiła ją do posłuszeństwa, lecz kiedy minęły miejsce, gdzie pojawił się ogier, nieco się uspokoiła.

„Może myślał, że nie byłam mu posłuszna w nauce” — rozważała, próbując uspokoić klacz za pomocą poklepywania jej po szyi. „Sądził, że powinnam więcej czasu spędzać na czytaniu, a mniej przy koniach. A niech mnie, zdałam każdy test, jakiemu poddał mnie nauczyciel! Czy to źle, że lubię przebywać na dworze, a nie znoszę zamykać się w czterech ścianach wtedy, kiedy mogę robić coś na zewnątrz?! Cóż w tym złego? Książka jest dobra na niepogodę, gdy nie ma nic do roboty, ale po co wysiadywać nad książkami, kiedy wiatr wzywa cię po imieniu?”

Nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Lordan tymczasem wykorzystywał każdą okazję, by ślęczyć nad książką lub pytaniami doprowadzać nauczyciela do obłędu. Jakby w nim zebrała się cała miłość do nauki — tak Kero jak i jego.

„Księgi, miłościwi bogowie, posiada więcej ksiąg niż ktokolwiek, kogo znam. I jeśli mu na to pozwolić, wyda połowę wiana Dierny na jeszcze więcej książek... jeżeli przeżyje do tego czasu.”

Oczy zapiekły ją i ponownie zwilgotniały, gardło się ścisnęło. Przeciągnęła rękawem po oczach, zastanawiając się, czy Lordan przetrzyma noc.

„Gdybym tylko mogła ściągnąć do zamku babkę... jeśli ma taką moc, o jaką, zdaje się, wszyscy ją podejrzewają. Ojcu zrobiłoby się niedobrze, gdyby dowiedział się o historiach, jakich nasłuchiwałam się w kuchni. Powiadają, że babka wybudowała Wieżę w ciągu jednej nocy, posługując się magią, tuż przed wyprawieniem się z zamku i przekazaniu go matce w prezencie ślubnym. Powiadają, że jej domownikami są gigantyczny wilk i jaszczurka-demon. Powiadają, że może kogoś uśmiercić lub uzdrowić spojrzawszy jedynie na niego. I jeśli jest w tym tylko połowa prawdy, z pewnością będzie miała to, czego potrzebuję, by ocalić Lordana i odbić Diernę”.

Kero nachyliła się nad szyją Verenny, aby uniknąć smagania po twarzy nisko wiszącymi gałęziami i zamyśliła się nad tym, o co poprosić. Być może o coś, co ciska błyskawice; magiczną różdżkę sprowadzającą demony, eksplodujące strzały, a może o tego gigantycznego wilka?

„Przy pomocy magii nawet ja powinnam ocalić Diernę. I magia z pewnością może ocalić Lordana... chyba że babce na tym nie zależy”.

Na samą myśl o tym zamarło jej serce. Każda następna wydawała się gorsza od poprzedniej.

„Nigdy nie wysłała posłańca, nic nie przysłała po śmierci matki. Może to oj-

ciec ją rozeźlił, odbierając jej córkę. Może żywi do nas prawdziwą nienawiść. Może wyobraża sobie, że to my wszyscy jej nienawidzimy. Zgorzkniała i zła. Może magia opanowała jej mózg i babka oszalała”.

— Lady Kerowyn — rozległ się głos w ciemności.

Trzeci

— Lady Kerowyn — odezwał się głos z cienia pod drzewami.

Przerażenie zacisnęło się lodowatą dłonią na gardle, dławiąc jej oddech. Nie było żadnego ostrzeżenia, najmniejszego poruszenia, tylko głos wybiegający z ciemności przy ścieżce tak ostry jak krakanie kruków. Kerowyn podskoczyła; piszcząc mimowolnie, ściągnęła lejce Verenny. Klacz szarpnęła się z rzeniem do tyłu. Zatańczyła szaleńczo, ale na szczęście nie poniosła.

Kero poczuła, jak kamienieje jej serce. Krew tętniła jej w uszach, kiedy zmagala się, aby uspokoić Verennę. Z lejcami w trzęsących się dłoniach wyteżyła wzrok w kierunku ciemnych kształtów pod drzewami. Coś tam było, tyle że nie mogła nawet odróżnić: człowiek to czy nie, kobieta czy mężczyzna.

— Kim jesteś? — odparła, mając nadzieję, że głos jej się nie załamie. — Czego chcesz?

— Mieszkam tutaj — odrzekł głos — a to więcej niż mogę powiedzieć o tobie. Czego szukasz aż tutaj, poza granicami ziem twego ojca, lady Kerowyn? Dlaczego nie leżysz bezpiecznie w swoim łożu, w zamku swojego ojca?

„Ten głos brzmi, jakby należał do starej kobiety” — doszła do wniosku Kero. „Nieprzyjemnej starej kobiety. W rodzaju tych, które czynią piekło z życia swojej synowej”. Zdziwiałe, kpina w tonie starej kobiety oraz jej słowa spowodowały, że poczuła się spokojniejsza i zaczęło narastać w niej rozdrażnienie. „A to więcej, niż mogę powiedzieć o tobie. Jeszcze czego!”

— Jeśli naprawdę tutaj mieszkasz, wiesz o tym, że czarodziejka lady Kethryveris jest moją babką! — zawołała w odpowiedzi. — Muszę się z nią zobaczyć, byłabym ci wdzięczna, gdybyś ustąpiła mi z drogi. Straszysz mojego konia.

— W środku nocy? — odparowała starucha. — Ubrana w męskie szaty? Z bronią przy boku?

Wyszła na środek drogi, blokując ją całkowicie, jednak wciąż pozostając cieniem, w którym Kero nie zdołała dostrzec nic poza zakapturzonym kształtem odzianym w długi płaszcz.

— Na jakąż to szaloną wyruszasz wyprawę, dziewczyno?

Kero cała stężała z gniewu, nieumyślnie zmuszając Verennę do tańca na ugiętych zadnich nogach. Kiedy udało jej się lepiej zapanować nad sobą i klaczą,

opowiedziała starej kobiecie o najeździe w tak niewielu słowach, jak to tylko było możliwe, choć zastanawiała się, po co się trzusi.

— Jadę poprosić moją babkę o pomoc — zakończyła. — A teraz bądź uprzejma zejść mi z drogi!

— Tak ubrana? — kobieta wydała z siebie krótkie szczeknięcie. — Myślę, że masz w planie coś innego. Myślę, że rozważasz pościg za tymi zbójami i próbę ocalenia dziewczki, którą ze sobą zabrali.

— I co z tego? — odgryzła się Kero, wysuwając gniewnie podbródek do góry. — Jaki ty masz w tym interes?

— Głupia jesteś, dziewczyno — stwierdziła cierpko starucha, chrząknęła i splunęła w pył tuż przed kopyta Verenny. — Spadłaś z księżycy. To jest zadanie dla mężczyzn, a nie dla głupiutkiej dziewczynki, która nabiła sobie głowę bajkami. Działasz prawdopodobnie pod wpływem ignorancji albo zwykłej pychy, jedno i drugie doprowadzi cię do śmierci. Wracaj do siebie, dziewczyno. Wracaj do damskich robótek. Wracaj tam, gdzie twoje miejsce.

Każde słowo wprawiało Kero w coraz większą furję. Zirytowana poczuła oblewające ją gorąco, potem zimno i w pierwszej chwili, kiedy stara kobieta skończyła, zbyt była rozłoszczona, aby wydusić z siebie słowo. Verenna nie ułatwiała jej sprawy. Klacz reagowała zarówno na gniew Kero, jak i na coś, co dostrzegała — czy też wydawało jej się, że dostrzega — pod drzewami. W końcu udało jej się zatrzymać mokrą od potu, przewracając oczami Verennę tuż przed starą kobietą.

Kimkolwiek była stara jędza, zdawała się co najmniej tak samo nieroztropna jak oskarżona przez nią o to Kerowyn, nie przesunęła się bowiem ani o piędź, nawet podczas najgorszych swawoli Verenny.

— To, co robię albo też planuję zrobić, nie ma nic wspólnego z pychą — wycedziła Kero w napięciu poprzez zaciśnięte zęby. Verenna zarzuciła łbem i parsknęła ostrzegawczo. — Tam nie został nikt, kto byłby zdolny ruszyć konno za nimi w pościg. Nikt, stara kobieto. Ani jeden mąż zdolny do konnej jazdy i uniesienia broni, jedynie garstka przerażonych sług i paziów oraz dwóch złamanych artretyzmem mężczyzn, którzy nigdy nie dosiadali koni. Jeśli nie pojedę śladem Diorny, nikt inny tego nie uczyni. Jeśli zaczekam na tak zwaną „właściwą” pomoc, ona umrze lub stanie się coś jeszcze gorszego. Ludzie, liczący na okup za jeńca, nie starają się zabić na miejscu każdego dorosłego w sile wieku. Nie mam wyboru, stara kobieto.

Zamierzała jeszcze coś dodać, ale nie była w stanie. Ze strachu głos uwiązał jej w gardle. Racja była po jej stronie, a jednak... „Wszystko, co powiedziałam, to prawda i wszystko, co powiedziała ona, to też prawda, lecz sprawy zaszły już za daleko, by się teraz wycofać. Wyboru dokonałam w zamku”.

— Dokonałam wyboru i zgodnie z tym będę żyła, albo też doprowadzi mnie to do śmierci — dokończyła, mając nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco dzielnie. Zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie robi wrażenie nieroztropnego bufona.

— I zobaczę się z moją babką, czy ustąpisz mi z drogi, czy też nie!

Dotknęła piętami boków Verenny i klacz skoczyła do przodu. Stara kobieta usunęła się zwinnie w ostatnim momencie. W kilka chwil Kero oddaliła się cwałem poza zasięg jej wzroku lub głosu.

Kero ściągnęła lejce, zaraz gdy klacz wyładowała w cwale swe zdenerwowanie. Zdradliwy szlak ciągle tonął w ciemności. „Ostatnie, czego mi trzeba, to aby Verenna złamała nogę, gdy Wieża będzie w polu widzenia. Już powinnam ją zobaczyć” — pomyślała, unosząc głowę i usiłując przebić się wzrokiem przez gałęzie drzew. „Ta stara kobieta w opowieściach byłaby demonem zesłanym przez maga, który porwał Diernę, aby zawrócić mnie z drogi — albo stworzeniem należącym do babki, przysłanym, by mnie wypróbować. Jeśli była demonem, cały ich rój rzuci się teraz moim tropem”.

Włosy zjeżyły jej się na karku na samą myśl o tym. Nie mogła oprzeć się pokusie, aby przystanąć, odwrócić się i zerknąć na ścieżkę za plecami.

Nic. Jedyne ruchome cienie konarów i sowa przelatująca bez szmeru ponad dróżką. Nawet Verenna wydawała się spokojniejsza. Już nie opierała się lejcom. Nie oblewał jej pot.

„Na tym kończą się opowieści” — pomyślała Kero odrobinę zakłopotana dzi-
kimi obawami. „Czasami obłąkana, stara kobieta jest zwyczajną, obłąkaną, starą
kobietą”.

* * *

Wieża była dokładnie taka, jaką ją Kero zapamiętała, a przynajmniej ten niewielki fragment, który można było dostrzec w ciemności. W połowie klifowego skłonu, obok drzwi, paliło się pojedyncze światło. Może było tam jeszcze jedno okno, ale światełko, przenikające przez kotary lub też okiennice, było zbyt nikłe, aby Kero zdołała z całą pewnością stwierdzić, co tam jest.

Gdy zsunęła się z siodła, Verenna zarżała czujnie. Teren u stóp klifu oczyszczono z drzew i krzewów, zostawiając szeroką, otwartą łąkę. Jednak nie była to starannie wypielęgnowana i skoszona łąka. Porośnięta polnymi kwiatami i trawą do kolan, bardziej była podobna do naturalnej polany.

Blask księżyca, nie ograniczany przez drzewa i krzewy, bez przeszkód oświetlał ten trawiasty obszar, dzięki czemu przed Kero rozpostarł się wyraźny widok. Na początku schodów wbito palik do przywiązania postronka.

Nagie, kamienne stopnie były wąskie i strome. Nawet koń ze stadniny Shin'a'in nie byłby w stanie ich przebyć, szerokość ich z biedą starczała na jednego człowieka.

„Na szczęście nie boję się wysokości” — pomyślała trzeźwo, patrząc podejrzliwie na schody. „No cóż...”

Spętała Verennę przy paliku na dostatecznie długim postronku, aby mogła skubnąć nieco trawy. „Za późno dla wilków, zbyt wcześnie dla górskich kotów — mam nadzieję”.

Jeszcze raz obejrzała się za siebie na ścieżkę i raz jeszcze nie dostrzegła, ani nie usłyszała nic nadzwyczajnego. Odwróciła się i ruszyła w górę schodów, przesuwając dłonią po szorstkiej, kamiennym ścianie, roztropnie wpatrując się w stopnie, a nie w otwartą przestrzeń. Skała wciąż była nagrzana popołudniowymi promieniami słońca. Zmusiła się, by iść na tyle szybko, na ile starczało jej odwagi, przeskakując po dwa, stosunkowo płytkie stopnie naraz; chętnie przebyłaby owe schody biegiem, ale oparcie dla stóp było niepewne, a padające światło zbyt zwodnicze.

Kiedy dotarła do szczytu, poczuła zmęczenie w nogach. Przystanęła na chwilę, aby wyprostować plecy i dziarsko unieść podbródek, po czym ujęła zimny metalowy pierścień, osadzony we wrotach, i zastukała. Dźwięk pierwszego uderzenia był stłumiony, tak jakby drzwi były znacznie grubsze, niż wydawały się na pierwszy rzut oka.

Wrota zaczęły się otwierać, nim jeszcze zdążyła dokończyć drugie uderzenie. Spiesznie puściła pierścień, zanim wyrwał jej się z dłoni.

Kiedy wrota stanęły otworem, obudziła się do życia latarnia, której dotąd nie zauważyła. Żółte, miękkie światło padło na kobietę o srebrnych włosach i zielonych oczach, niezwykle podobną do matki Kero, Lenory. Z wyjątkiem włosów upływający czas nie zostawił na niej śladu; była tak szczupła i trzymała się tak prosto w niebieskiej, aksamitnej szacie jak młoda dziewczyna. Odznaczała się pełnymi gracji, chociaż powolnymi ruchami. Poza kurzymi łapkami naokoło oczu, liniami rozdzielającymi brwi i zmarszczkami od śmiechu w obu kącikach ust jej twarz nie była pomarszczona. Wyglądała dokładnie tak, jak ją Kero zapamiętała... Mijający czas powinien był pozostawić po sobie jakieś znaki...

— Kerwyn? — Czarodziejka zmarszczyła brew. — Wiedziałam, że stało się coś złego, ale... mniejsza o to. Wejdz.

Kero precyzyjnie się ostrożnie obok swojej babki, zważając, aby jej nie dotknąć i próbując nie wlepić w nią wzroku. Nigdy nie wiadomo, o co mogłaby się obrazić i Kero wciąż musiała sobie przypominać, iż ta dziwna, wiecznie młoda kobieta jest jej babką. „Nie do wiary, że nadal tak wygląda. Matka wyglądała starzej, nie tylko dlatego, że była tak bardzo chora”. Zamykając wrota, Kethry odwróciła się i Kero skorzystała z okazji, aby rozejrzeć się dookoła.

Nie było tutaj przedpokojów. Znalazła się od razu w swoistej bawialni, która zajmowała całe dolne piętro Wieży. Pełno tu było zwykłych, wygodnych sprzętów, typowych dla każdej kobiecej komnaty. Stały tutaj przy oknie ramki do haftowania, przed kominkiem kosz z przędzą i drutami, a wszędzie leżały stopy niedbale

porozrzucanych poduszek. Wyściełane meble były już nieco podniszczone. Kero zadrżała pomimo niespodziewanego ciepła panującego w izbie. W pomieszczeniu było mroczno i Kero nie była przekonana, czy ma ochotę zaglądać głębiej w tę ciemność.

Rozległ się głuchy odgłos zamykanych przez Kethry wrót, która jednak nie zsunęła skobla na podpory. Kero spojrzała na nią, mając nadzieję, że nie zauważyła ona zaciekawienia swojej wnuczki. Babka odwróciła się z zasepionym wyrazem twarzy. Kero nie umiała stwierdzić, czy to z jej powodu, czy z jakichś innych przyczyn. Splotła za plecami dłonie i zdenerwowana czekała, aż jej babka się odezwie.

— Czulałam coś... złego... w dole, w dolinie — mgliście powiedziała Kethry z wygiętą do góry brwią, wpatrzona w coś poza plecami Kero. — Coś magicznego. Oczekiwałam posłańca, ponieważ przyrzekłam Rathgarowi, kiedy poślubiał Lenorę, że nie przekroczę granic jego dominium nie proszona — lecz nie spodziewałam się, że ty nim będziesz.

„Obiecała ojcu — droga Agniro!” Kero zrobiła głęboki wdech, zapamiętując ten strzęp informacji na przyszłość. Jeśli będzie jakaś przyszłość. „Tak dziwnie wygląda — błogosławiona Triado, chyba nie ma sklerozy...”

— Jestem jedyną zdolną dosiąść konia, lady Kethryveris — zaczęła.

— Babko — Kethry przerwała jej cierpko, na chwilę skupiwszy swoją uwagę. — Ja jestem twoją babką. Nie zaszkodzi tak mówić. Siadaj — mówiła dalej, wskazując na ławkę u drzwi i siadając po przeciwnej stronie. — Cóż wydarzyło się tam na dole, że to ciebie wysłali ze słowem?

Kero kiwnęła głową, czując skradający się po plecach dreszcz prawdziwego strachu. Głośno przełknęła ślinę. „Nie, nie ma sklerozy” — pomyślała. „Jeśli w dalszym ciągu przyznaje, że jest moją babką — chce się do tego przyznawać — może okaże nam swoją pomoc...”

— Nikt mnie nie przysyłał, babko. Nikt nie mógł mnie przysłać. Przybyłam z własnej woli. To — to straszne...

Opowiedziała o wszystkim po raz drugi, widząc, jak z każdym słowem coraz bardziej skupiona Kethry oddala się od niej. Kiedy była w połowie, jej babka sprawiała wrażenie potężnej, obcej postaci, jaką czyniono ją w pieśniach. Kero wyn mówiła dalej, czując nieprzyjemny ciężar w żołądku, próbując nie załamać się w obliczu tej opanowanej kobiety o istic królewskim sposobie bycia.

Opowiadając, zaczęła ponownie przeżywać całą historię. Żołądek podskoczył jej do gardła, zaciskającego się od zduszonego szlochu.

„Muszę przez to przejść. Muszę sprawić, aby mi uwierzyła. Nie uda mi się, gdy będę płakać jak dziecko”.

Mówiła względnie spokojnie — a przynajmniej tak jej się wydawało — póki nie dotarła w swej opowieści do momentu, kiedy wyszła z kuchni. Zacięła się, zająknęła odrobinę, zacisnęła szczęki i brnęła dalej. Przed oczami miała leżące

ciała. . .

Dobrze do chwili, kiedy zobaczyła ofiary z rodziny. Najpierw Lordana, a później Rathgara. . . I tego było już zbyt wiele. Straciła resztkę panowania nad sobą i rozkleiła się zupełnie.

Nastąpiło krótkie poruszenie, kiedy jej babka zerwała się z miejsca. Otoczyły i przytuliły ją ciepłe ramiona. Zaczęła szlochać w obleczone niebieskim aksamitem ramię. Poczwała, że jej babka tuli ją, tak jak nikt tego nie robił od czasów śmierci matki. Nie wiedziała, że tego potrzebowała aż do chwili, kiedy ją to spotkało. . .

Cała rozpacz i lęk, które nosiła w sobie od momentu, kiedy ten koszmar się zaczął, spłynęły wraz ze łzami. Płakała, aż napuchły jej obolałe oczy i poczuła pieczenie w nosie. Kethry nie powiedziała słowa, po prostu tuliła ją do siebie, od czasu do czasu głaszcząc po włosach. Opornie, z dużym ociąganiem uwolniła się z kojących objęć, aby dokończyć opowieść. Musiała to zrobić, zaciskając mocno pięści oraz. . . powieki, gdyż łzy znowu napływały jej do oczu.

— Dasz sobie radę? — zapytała Kethry, kiedy Kero skończyła.

Kero wzięła głęboki oddech, otworzyła oczy i wzruszyła ramionami.

— Nie mam innego wyjścia — odrzekła. — Powiedziałam już: tylko ja zostałam.

Kethry kiwnęła głową, usadowiła wnuczkę na fotelu. Jej oczy zwięzły się; odwróciła wzrok od wygodnego mebla, wpatrując się w jakiś odległy punkt.

Ożywienie zniknęło z twarzy czarodziejki, a pojawiły się na niej chłód i rezerwa.

— Ci ludzie — powiedziała beznamiętnie. — Opisz ich jeszcze raz.

— Nie wyglądali najlepiej — odparła Kero jękając się. — Jak szczury. Jak najgorsi bandyci. Szumowiny w rodzaju tych, których nigdy nie najmujemy, tyle że ich broje były dobre. Nie nowe, lecz nie dość jeszcze splamione, aby mogli nosić je długo.

— Żadnych odznak, insygniów?

— Nic, co zwróciłoby moją uwagę — powiedziała, nie bardzo wiedząc, o czym myśleć.

— Jak na nich leżały? — nalegała babka.

— Co? — Teraz Kero naprawdę oblały zimne poty.

Babka zdawała się niecierpliwić.

— Nie jesteś prostaczką, dziecko, jak na nich leżały? Dobrze czy kiepsko? Za duże były czy za małe, wiszące na byle jakich rzemieniach czy. . . ?

— Och. . .

Teraz, kiedy wracała do tego myślami, uświadomiła sobie, że broje w przeważających przypadkach były kiepsko dopasowane. Za ciasne na niektórych, ziały otworami. Innym zbyt obszerne kolczugi opadały aż na knykie.

— Przeważnie kiepsko wyglądały.

— Aha. Pewna jesteś, że nie chcesz wrócić i sprawdzić, czy nie ma tam prócz ciebie jeszcze kogoś, kto byłby zdolny wyruszyć tropem Dierny? — Przyjrzała się Kero badawczo. — Wydaje mi się, że dokonałaś już dostatecznie wiele. Osobiście nie powiedziałabym, żebyś się do tego nadawała.

— Nie. — Kero powiedziała to z największą mocą, na jaką mogła się zdobyć. Kethry kiwnęła głową i zmieniła temat.

— Czy wyglądało na to, że ktoś im przewodził?

Zadawanie pytań trwało tak długo, iż Kero gotowa była krzyczeć z powodu straty czasu. I Kethry wciąż powracała do pytania, czy ona naprawdę nie chce zawrócić z drogi. Odpowiedziała na wszystko najuczciwiej, jak potrafiła, odnosząc niemal wrażenie, że jej babka szuka usprawiedliwienia, by z miejsca odrzucić jej prośbę, zanim jeszcze przyoblekła ją w słowa. Nie ulegało wątpliwości: zachowywała się tak zniechęcająco i lekceważąco jak ta starucha na szlaku.

„Nie będzie chciała mnie wysłuchać. Uważa, że wszystkiemu winien jest ojciec, a nasz los jest jej obojętny.”

Kero trzęsa się teraz. W oczach Kethry pojawiło się światełko, które wcale jej się nie podobało. Zimne i twarde — niespokojne? Być może. Z twarzy czarodziejki niczego nie można było wyczytać.

A jednak, kiedy wydawało się, że Kethry skończyła swoje indagacje i wstała, aby ze skrzyżowanymi ramionami chodzić tam i z powrotem w głębokiej zadumie, Kero nabrała powietrza w płuca, by wygłosić starannie przygotowaną mowę, zanim jej babka zdoła ją odesłać.

„Nigdy nie będę miała drugiej szansy...”

— Babko — powiedziała z naciskiem — ja muszę udać się za Dierną. Jeśli tego nie zrobię, nikt z rodziny nie ocaleje, kiedy jej wuj rozpocznie krwawą waśń. Możliwe, że mnie oszczędzi, lecz nigdy Lordana.

Kethry zamrugnęła oczami. Wydawało się, jakby otrząsnęła się z transu.

— Rzeczywiście, wiem o tym, moje dziecko — stwierdziła oschle. — Miałam już do czynienia z baronem Reichertem. Tego człowieka nie zadowoliliby nawet zawładnięcie całym światem. Zresztą — mniejsza o to. Opowiem ci o tym później. A więc czego ode mnie chcesz?

— Pomocy! — krzyknęła Kero. — Lordan nie przeżyje nocy bez Uzdrowiciela. I ja także potrzebuję wsparcia. Magicznej broni, czegoś, co umożliwi mi wyrwanie Dierny z rąk tych bandytów...

„Zaklęcia przywołującego błyskawice, poskromionego demona — czegoś, co uderzyłoby na nich z daleka, abym sama nie podchodziła zbyt blisko” — pomyślała.

— Oni nie są bandytami, dziewczyno — wtrąciła się Kethry ze zmarszczoną, wygiętą w łuk brwią. — A przynajmniej nie jest nim ten mag. Kimkolwiek, czymkolwiek by nie był, jest zręczny. Ukrył przede mną swoją obecność aż do chwili samego ataku. Pragnie dziewczycy. Jest mu do czegoś potrzebna. Podejrze-

wam, że został wynajęty, a dziewczyna jest nagrodą dla niego za tę nocną robotę. Podejrzewam, że twój ojciec miał o jednego wroga za dużo, wroga, który postanowił wziąć ostateczny odwet, skończyć z nim, położyć kres jego rodowi. Albo co innego. . . — spojrzała ostro na Kero i nie dokończyła wywodu.

„Jest coś, o czym wie ona, a czego nie wiem ja” — uzmysłowiła sobie raptownie Kero. „Coś, czego mi nie powie”.

— Mimo wszystko potrzebuję broni, babko — nalegała. — I Lordan. . .

— Lordan przeżyje do czasu, kiedy tam dotrę — powiedziała nagle czarodziejka, odwracając się tak szybko, że aż serce Kero podskoczyło w piersi. — Zaufaj mi. A co do pościgu za tymi bandytami. . . Skąd twoje przekonanie, że możesz coś zdziałać? Nie jesteś wyszkolona w magii ani nie władasz bronią.

— Muszę spróbować — upierała się Kero. — Muszę. Nie ma nikogo innego i to ty powiedziałaś, że wuj Diorny. . .

— Dlaczego ty? — powtórzyła Kethry.

— A dlaczego nie ja? — Kero wstała, wyprostowała się na tyle, na ile pozwoliły jej na to jej trzęsące się kolana, buntowniczo podnosząc do góry głowę. — Dlaczego nie ja? Z twoją pomocą. Kiedy byłaś w moim wieku, dokonywałaś więcej, znacznie mniej mając.

Była podniecona, gotowa powiedzieć dużo więcej, lecz ku jej zaskoczeniu Kethry kiwnęła głową.

— Jest w tym ziarno prawdy, dziecko — przyznała miękko babka. — Większe, niż możesz przypuszczać. A ja wiem, kim jest ten, na kogo czekam przez wszystkie te lata. . .

„Czeka? Przez. . .”

— Zostań tutaj.

Czarodziejka przeszła przez izbę do jednego z pograżonych w cieniu kątów, pochyliła się nad którąś ze skrzyń i otworzyła ją ze zgrzytem żelaznych zawiasów.

Odwróciła się, trzymając w rękach coś długiego, smukłego. Kiedy ponownie stanęła w świetle, Kerowyn zobaczyła, że był to miecz. Nie było to imponujące ostrze; rękojeść ze zwykłego metalu owinięto rzemieniem. Pochwa była równie skromna.

— Trzymaj — powiedziała Kethry, podając go jej. — Zobaczmy, czy przylgnie do ciebie.

Kero bezwiednie wyciągnęła rękę, aby ująć rękojeść. Kiedy jej dłoń zamknęła się na niej, Kethry ściągnęła pochwę.

Na mgnienie nie dłuższe od westchnienia na głowni zapłonął napis, tak ognisty, jarzący się bielą, jakby miecz właśnie wyjęto z samego serca kuźni. Kero zaparło dech w piersiach, lecz Kethry tylko pokiwała głową bez zaskoczenia.

— On bardzo chce ciebie, dziecko. Jesteś jedyną z moich córek i wnuczek, do której przemówił. Teraz należy do ciebie — lub raczej ty należysz do niego. —

Kethry nasunęła pochwę na zupełnie teraz zwyczajne ostrze. — Bierz swój scyzoryk. Kiedy on przemawia, to — jak sędzę — nie ma nikogo, kto by go odtrącił.

— Co on powiedział? — zapytała Kero, czując coś dziwnego na samym dnie mózgu. Jakby ktoś poddawał ją testowi, jednak jej uwagę przykuły słowa babki. „Wnuczki? Córki? Myślałam, że matka. . .”

— Kobiety Potrzeba wzywa mnie, Kobiety Potrzeba stworzyła mnie. Na jej Potrzebę odpowiem, gdy mój stwórca rozkaże.

Kethry przechyliła głowę na bok, aby przeszyć Kero badawczym spojrzeniem.

— To jest mój miecz — Potrzeba, wnuczko. Miecz, który nosiłam przy boku przez większą część życia. Teraz należy do ciebie; na złe i dobre. Łączą cię z nim więzy, jakie nigdy nie połączą cię z istotą żyjącą, mężczyzną czy kobietą. Jednak nie wydaje mi się, abyś przeklęła ten interes.

Zaskoczony Kero miecz nieomal wypadł z ręki. To jest słynne ostrze Kethry? Nawet do niej dotarły opowieści o tym mieczu.

— A. . . a. . . le ja nie wiem, jak. . .

— Nie musisz — powiedziała Kethry pewnym tonem. — On zaopiekuje się tobą. Przynajmniej w tym wypadku. No cóż, zobaczysz.

Kero udało się opanować, zamknąć rozdziawione usta i wsunąć pochwę za pas, usuwając stare ostrze zabrane ze zbrojowni Lordana.

— Babko — powiedziała powoli, patrząc to na miecz, to na Kethry — przed chwilą chciałaś odesłać mnie do domu. Teraz wręczyłaś mi to i wysyłasz mnie w pościg za najeźdźcami. Dlaczego?

Kethry splotła za plecami dłonie, oddaliła się o kilka kroków, zmierzyła Kero wzrokiem od stóp do głów wyraźnie zadowolona.

— Poddałam cię próbie — odrzekła spokojnie. — To, czego się podejmujesz, na zawsze zmieni twoje życie. Och, powstrzymaj zwątpienie — ja wiem, o czym mówię. Zmieni. Droga, którą zamierzasz wyruszyć, nie jest dla bojaźliwych, ale ciebie, zdaje się, ulepiono z mocniejszej gliny niż biedną Lenorę. — Kethry wolno pokiwała głową. — Tak, myślę, że ci się to uda.

„Co się stało?”

W jednej chwili Kero stała w samym środku Wieży Kethry, przed obliczem swojej babki, a potem nagle poczuła zawrót głowy, jakby podłoga zapadała się pod jej nogami — znalazła się u stóp schodów.

Zamrugła oczami. Oświetlana przez księżyc łąka delikatnie zatańczyła przed jej oczami. Oszałamiające — błogosławiona Triado. . . Zataczając się przeszła dwa kroki z wyciągniętymi przed siebie rękami i natknęła się na łopatkę Verenny. Klacz parsknęła trwożliwie i odskoczyła, tak jakby aż do tej chwili nic nie wiedziała o obecności Kero.

Oszołomienie zniknęło. Dziewczyna raptownie podniosła wzrok i zobaczyła,

że światła na Wieży zamigotały i zgasły, przez co pogrążyła się ona w całkowitych ciemnościach.

— O bogowie! — Patrzyła na Wieżę, nie mogąc niczego dostrzec.

Coś jej podszeptało, że gdyby nawet ponownie odbyła całą drogę na górę, mogłaby rozbić sobie o drzwi pięść na krwawą miazgę, a i tak nie zwróciłaby na siebie uwagi żywego ducha. Usłyszała wszystkie odpowiedzi, jakie miała usłyszeć, przynajmniej na razie.

Spojrzała w dół, na miecz wiszący u jej pasa. Nie był to ten, który zabrała z zamku, lecz ten, który, jak pamiętała, wręczyła jej babka. Uspokajająco pogłaskała klacz po grzbiecie.

— Myślę, Verenno, że zostałam odprawiona — stwierdziła cicho. — Nie usłyszałam odpowiedzi, po którą przybyłam. . .

„Ale być może otrzymałam w zamian coś lepszego” — pomyślała wolno. „W każdym razie, więcej niczego się nie dowiem”.

Zacisnęła zęby i wskoczyła na konia, nie czekając, aż opanuje ją strach.

— Spokojnie, dziewczyno — zwróciła się do klaczy, skierowując ją ponownie na szlak, którym przybyły. — Czeką nas ciężka droga.

Tarma shena Tale'sedrin, Kal'enedral, wojownik Klanu Jastrzębi Shin'a'in, przynagliła nieco swego wysokiego, siwego, bojowego rumaka na szlaku wiodącym do Wieży Kethry. Klacz zaprotestowała parsknięciem, przechodząc z kłusa do szybkiego stępa. Przemierzanie tej drogi w nocy wcale jej się nie podobało, nie mówiąc już o poganianiu prawie u celu podróży.

— To, co nas czeka, jeszcze mniej ci się spodoba, staruszek — powiedziała Tarma do klaczy, klepiąc ją po szorstkiej sierści na szyi. — Łudzisz się, że odpoczniesz w ciepłej stajni. Obawiam się, że wyruszymy z powrotem, gdy tylko dowiem się, co planuje moja partnerka.

— *A więc zamierzasz ruszyć tropem dziewczyny?* — Na dnie mózgu rozległ się gruby, znajomy głos, w którym pobrzmiwała nuta aprobaty. — *Doskonale. Lubię ją. Ruszyłbym za nią sam, nawet gdybyś odmówiła. Nie brak jej odwagi.*

— Och, tak, bez wątpienia. Mnóstwo zuchwałości i niewiele rozsądku, ale tak się rzeczy mają, kiedy jest się młodym — odparła Tarma, zwracając się do kudłatej bestii wielkości cielęcia, biegnącej truchtem z głową obok jej strzemiesienia.

Kyree podniósł do góry swój wilczy łeb, tak że jego duże, lśniące oczy spotkały się z jej wzrokiem i zamrugał powiekami. — *No właśnie. To mi bardzo przypomina pewnego barbarzyńcę z plemienia Shin'a'in, którego poznałem wiele lat temu.*

— Barbarzyńcę?! — wykrzyknęła Tarma, aż zdziwiona klacz zastrzygła uszami. — Kto tu kogo wyzywa od barbarzyńców? To ty jesz mięso na surowo. I ryby — miłościwa Bogini, cóż to za nikczemny pomysł!

— *Gotowanie rujnuje smak* — Warrl odrzekł wyniośle. — *Niektóre z najbardziej cywilizowanych istot na ziemi jedzą surowe ryby.*

— Najdroższa Bogini, nic dziwnego, że umierają młodo. Tak, ruszam jej śladem. Chcę się tylko dowiedzieć, jakież plany ma Kero odnośnie nas obu. — Tarma przypomniała swej klaczy dotknięciem obcasów, że powinna poruszać się truchtem. Klacz parsknęła i ociągając się przyspieszyła kroku. — Czy tam, w zamku, zwietrzyłeś coś w magicznych wnykach Kethry?

— *Nie* — Warrl, stworzenie z pełnych magii Wzgórz Pelagiru, sam posiadał pewne zdolności magiczne. Nigdy nie wyjawiał tego, co potrafił, ani Tarmie, ani jej przyjaciółce. W przeszłości umiał rzucać magiczne zaklęcia mogące zabić człowieka. Pewnego razu zdołał udać martwego, wydobyć Tarmę z transu zesłanego przez demona i wyczuć energię magiczną. Potrafił też porozumiewać się, przesyłając myśli wprost do mózgu Tarmy, co oznaczało, że mógł to uczynić z każdym, kogo by wybrał.

Tarma zawsze bardzo sobie ceniła jego umiejętności, ale nigdy bardziej niż tej nocy. Byli już w odległości kilku mil od Wieży, wracając ze swych dorocznych odwiedzin w Klanie Tale'sedrin, kiedy Warrl wyczuł, że alarm, umieszczony przez Kethry w zamku, daje znać o niebezpieczeństwie. Przyspieszyli, wiedząc, że Kethry będzie ich potrzebować, gdy Warrl zwietrzył dziewczynę, jadącą na złamanie karku prosto w kierunku Wieży. Poznał ją oczywiście; znał wszystkie dzieci i wnuczki Kethry, choć one mogły nie wiedzieć, kim on jest. Dostatecznie często grał rolę szpiega Kethry; Rathgar nie zdawał sobie sprawy z istnienia kyree, a tego, o czym nie wiedział, nie mógł zabronić. I często jedynie dzięki wycieczkom Warrla do zamku Kethry ustrzegła się przed złamaniem danego Rathgarowi słowa.

Bez trudu zatrzymali Kerowyn; nawet konie wyhodowane przez Shin'a'in niełatwo przechodzą obok czegoś tak wielkiego i mięsożernego jak kyree. Tarma odegrała wtedy małe przedstawienie, poddając Kero próbie, podczas gdy wraz z Warrlem wydobywała informacje ze słów i myśli dziewczyny. Tarma wyczuła desperację w jej głosie, strach pod przykrywką brawury.

„Biedne dziecko” — myślała Shin'a'in, żałując, że nie strzeże tyłów „dziecka”, żałując, że nie może okazać współczucia. „Nie była na to przygotowana”.

— *Cieszę się, że ją przechwyciłaś* — powiedział kyree, wyraźnie nadążając za tokiem jej rozumowania. — *Mimo wszystko mogłaby czegoś takiego spróbować, jeśli byłaby tak lekkomyślna i nakarmiona bajkami, jak ją o oskarżyłaś. Jeśli byłaby podobna do swojej matki. . .*

— Nie jest, Gwiazdzistookiej niech będą dzięki.

Tarma nie darzyła Lenory szacunkiem zarówno za życia, jak i po śmierci. Antypatia była obopólna, lekceważenie ze strony Tarmy, strach zmieszany z pogardą ze strony Lenory. Nazywając swą towarzyszkę barbarzyńcą, Warrl po prostu się z nią droczył. Lenora uważała tak naprawdę.

— Lenora nie zdobyłaby się na nic innego jak tylko omdlenie i histerię. Dziewczynie wyjdzie na dobre pozbycie się takiego ojca, chociaż można sobie co nieco obiecywać po chłopcu. Tym razem pomożemy jej, a potem dopilnujemy, aby dowiedziała się o swoich krewnych i Klanie — wtedy będzie mogła podjąć decyzję, co ma zamiar zrobić ze swoim życiem.

— Przede wszystkim trzeba jej pomóc — wpadł jej w słowo kyree. — Jest odważna, inteligentna, ale...

— Ale? A niech mnie! Dokonałam więcej, mając mniej w jej wieku. — Tarma powiedziała to z większym przekonaniem niż czuła.

„Ile ona ma lat — szesnaście, siedemnaście?” — pomyślała. „Nie wyszkolona we władaniu bronią? Miłościwi bogowie, ćwiczyłam przez całe życie, a potem jeszcze raz przez to przesłam u leshya'e Kal'enedral...”

Nieprzyjemne myśli. Najlepiej od razu ułożyć wszystkie plany, a potem zobaczymy, czy dziewczyna przetrwa próbę. Od tego miejsca klacz znała każdy kamień na drodze i Tarma nie miała ochoty tracić ani chwili na szukanie śladów Kerowyn. Warrl raz zaszczekał i — do czego byli zdolni tacy jak on — zerwał się do dzikiego, szaleńczego biegu w kierunku mrocznego, urwistego klifu, na którym wznosiła się Wieża.

Kiedy Tarma doprowadziła klacz do zbocza, Warrla nigdzie nie było widać, tak wysorował się do przodu.

— *Lady zakłada siodło* — nadbiegły jego myśli, osłabione przez skały i odległość. — *Jesteśmy w stajni.*

Światło księżyca w pełni oświetlało miejsce, gdzie ścieżka wyginała się na zboczu czegoś, co wyglądało jak powierzchnia litej skały, biegnącej w kierunku schodów, prowadzących do Wieży. Tutaj szorstki granit pozwalał zaczepić się jedynie karłowatym drzewom, zaroślom i mchom. Nie było natomiast żadnych śladów stajni. Oczywiście tego właśnie życzyła sobie Kethry.

Klacz podrzuciła łbem, kiedy Tarma zsunęła się z siodła, sztywno, z obolałym po długiej jeździe prawym biodrem.

„Lepiej by było, gdyby ten cały rozgardiasz przypadł na przyszły tydzień” — zadumała się, próbując rozruszać nogi. „Miałabym okazję zanurzyć się w ciepłej kąpieli... przespać kilka nocy we własnym łóżku... Ech, mięknę na stare lata”!

Tak jak za każdym razem, gdy robiła tę sztuczkę, tak i teraz klacz znarowiła się, kiedy przyszło jej forsować ukryte wejście! Tarma ściągnęła szal, którym przewiązywała włosy, i zasłoniła nim oczy klaczy. Weszła prosto w zbocze klifu, wiodąc za sobą potulnego konia.

Ta sztuczka oczywiście nie udawała się byle komu, a jedynie tym, którym Kethry zdradziła zakłęcie. Dla każdej innej osoby granitowa powierzchnia ściany nie była iluzją, lecz prawdziwą, masywną skałą, po której można by się wspinać. Tarma wciąż nie mogła się zdecydować, co o tym myśleć i, tak jak jej klaczy, nie bardzo jej się podobało przenikanie przez skały. Nieustannie przychodziło jej na

myśl, że pewnego dnia coś się nie powiedzie i utknie w połowie drogi.

Przebywszy trzy stopnie w absolutnej ciemności, wyłoniły się wraz z kłaczą w tunelu wiodącym do stajni należących do Wieży. Tunel, stajnie i „odrzwia” były jedyną magiczną ekstrawagancją, na jaką pozwoliła sobie Kethry. Tunel oraz stajnie wydrążono w litej skale przy pomocy magii i rozjaśniono wiecznymi, czarodziejskimi świetlikami. Skalne ściany wygładzono i wypolerowano tak, że granit lśnił jak marmur. Czarodziejskie świetliki rozbłyskały tuż przed Tarma i gasły, kiedy obok nich przechodziła. „Skromne to, lecz atrakcyjne”, tak to skwitował Warrl. Tarmę przyprawiało to o klaustrofobię.

Odgłosy jej kroków i kopyt kłaczy odbijały się wzdłuż korytarza echem, obwieszczając ich przybycie. Dziwne, lecz Wieża — o której wszyscy myśleli, że to Keth wzniosła ją w tym miejscu potęgą swej magii — stała już tutaj, kiedy po raz pierwszy otworzyły podwoje szkoły tam, gdzie teraz był zamek. Oprócz znanego wejścia prowadziła stąd droga ucieczki przez piwnice. To właśnie ją Keth powiększyła o stajnię i tunel, by na koniec rzucić maskujące zaklęcie.

Na końcu tunelu było dużo jaśniej. Tarma zmrużyła nieco oczy, kiedy wprowadziła kłacz do właściwej stajni. Tak jak o tym doniósł już Warrl, krzątała się tam Kethry. Osiodłała wierzchowca, ładując na niego przybory medyczne. Kethry nie była głupia; przebrała się w jeden ze swoich starych kostiumów podróży: w sięgającą kolan szatę z kapturem i spodnie z miękkiej, lecz wytrzymałej, beżowej wełny. Teraz czarodziejka zmusiła swoją siwą, bojową kłacz do ukłęknięcia, tak aby mogła wygodnie usadowić się w siodle. Podczas gdy Tarma wciąż była w stanie wsiąść na konia bez pomocy, Keth już tego uczynić nie potrafiła i w żaden sposób nie próbowała ukryć tego faktu.

„Biedna Keth. Porusza się z taką gracją, że nikt by nie przypuszczał, jak bardzo bolą ją kości”.

— *Nie jesteśmy tymi, kim byliśmy, towarzyszko-w-myśli* — Ponuro dorzucił Warrl.

Rozłożył swoje cielsko obok chłodnej, kamiennej ściany i leżał, ciężko dysząc po biegu. Teraz, w świetle, był jeszcze bardziej imponujący. Żaden wilkopies, żaden kot polny z Równin Dhorisha nie przerastał go rozmiarami. Był zdolny kłapięciem swoich straszliwych szczęk rozpołowić ludzkie udo.

— Nie mogłabyś przybyć bardziej w porę, she'enedra — odezwała się czarodziejka, kiedy jej kłacz dźwignęła się na nogi. — Rano zobaczyłam, że jesteś już niemal w domu. Kiedy poczułam, że w dolinie dzieje się coś złego, sprawdziłam, gdzie jesteś i stałam się świadkiem waszej małej wymiany zdań z Kerowyn. — Mówiąc to, sprawdzała wszystkie rzemienie na tobołkach, upewniając się, że nic się nie rozluźni. — Wybieram się do zamku, by zobaczyć, co mogę zrobić...

— Nie martw się, przyjechałam tutaj tylko po to, aby powiedzieć ci, że będę stróżką dziewczyny — przerwała jej Tarma. — Nie musisz mnie prosić.

— Nie jest tak bezbronna, jak myślisz — odrzekła Kethry, zawiązując swe

długie, srebrne włosy z tyłu głowy, przypinając je na miejsce szpilkami.

Spojrzała swoimi szmaragdowymi oczami na partnerkę. Tym razem Tarma nic z nich nie zdołała wyczytać.

— Tak? — Uniosła do góry brew.

— Ja... Potrzeba obudził się dla niej.

Cisza. „Cztery córki, cała rzesza wnuczek i wychowanków — o uczniach już nie mówiąc — i nikogo, kto wykrzesalby choć iskrę z tego kawałka cyny. Najdrożsi i najmiłościwsi bogowie. Raz przynajmniej ta przeklęta rzecz wybrała właściwy moment, aby wtrącić swoje trzy grosze! O ile miecze stać na to”.

Tarma wzięła głęboki wdech, wiedząc dobrze, że jej siostra-w-przysiędze oczekuje od niej jakiejś reakcji.

— Nie jest ani wojownikiem, ani magiem. A więc co on jest w stanie dla niej uczynić?

Kethry zawróciła swoją klacz łbem w kierunku tunelu.

— Coś musi. Ochraniać przed magią, zrobić z niej prawdziwą waleczną wiedźmę. Coś, o czym nie wiem. Z całą pewnością wiem tylko to, że życie nie jednej, lecz dwóch młodych kobiet zależy od tego. Potrzeba wyteży wszystkie swe siły.

Tarma rozważała to przez chwilę.

— W takim razie lepiej natychmiast wyruszę w drogę. A i młodemu Lordanowi się nie polepszy, jeśli i ty nie ruszysz się z miejsca.

Kiedy Kethry nie drgnęła, Tarma zmarszczyła brwi.

— Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

Czarodziejka wykrzywiła twarz w grymasie.

— Myślę, że Rathgar został zdradzony. Powiedziałam Kero, że ten, kto opłacił maga i bandytów, był prawdopodobnie jednym z wrogów Rathgara, ale to było kłamstwo. Myślę, że to był wuj Dierny. Ten bękart Reichert.

Tarma zamrugła oczami i zaklęła tak szpetnie, że na moment nawet czarodziejskie świetliki przygasły.

— To wszystko ma sens, prawda? Fakt, że najeźdźcy wiedzieli o uczcie tej nocy, to, że niemal wszyscy będą nieuzbrojeni oraz, że wiedzieli, gdzie wszystko się znajduje. Ten bękart miał chrapkę na zamek od niepamiętnych czasów. Nie darzyłam Rathgara sympatią, ale zasłużył sobie na lepszy los.

— „Ten bękart” prawdopodobnie nie zmartwiłby się zbytnio, gdyby i ojciec Dierny zginął przez przypadek, a ziemie oddane w zastaw przypadły mu w udziale — zauważyła ponuro Kethry. — Krótko mówiąc, miej się na baczności przed kolejnymi niespodziankami i jeśli uda ci się znaleźć coś, co wiązałoby jego z tą masakrą, przynieś to tutaj.

Tarma kiwnęła głową.

— Będę węszyć.

Zatroskany wzrok Kethry rozjaśnił się. Skierowała konia do tunelu.

— To mi oszczędzi mnóstwa trosk. Jadę zrobić dla Lordana, co w mojej mocy.

— A ja przypilnuję, aby twój młody miecznik ostał się w jednym kawałku. —
Tarma wskoczyła na siodło ku wielkiemu niezadowoleniu wierzchowca i ruszyła tunelem w ślad za Kethry. — I niech bogowie mają nas w swej pieczy!

Czwarty

Księżyc zaszedł, lecz Tarma z łatwością podążała za Warrlem. Za każdym razem, gdy znikał jej z oczu, mogła być pewna, że naprowadzi ją ponownie na swój trop, pozwalając sobie przy tym na cierpkie uwagi. Bardziej była zaniepokojona podłożem, po którym stąpała jej klacz w tym niewyraźnym oświetleniu. Jeden fałszywy krok i odsiecz mogłaby zakończyć się złamaniem przedniej nogi. Konie z hodowli Shin'a'in były nielecho sprytnie, ale wypadek może przytrafić się każdemu.

Była zadowolona, że zostawiła swoją starą klacz podczas odwiedzin Klanu dwa lata temu i wzięła sobie młodsze zwierzę. To była czwarta z kolei bojowa klacz o imieniu Hellsbane, lecz jak dotąd najlepsza. Chociaż z natury bardziej leniwa od pozostałych trzech, odznaczała się bystrzejszymi zmysłami, wyższym poziomem zdrowego rozsądku oraz niesamowitą zdolnością odnajdywania ścieżek.

Warrl jak zwykle był niezrównany; mimo poplątanych śladów odnajdywał trop Kero bez wielkich trudności. Może i był tak stary jak Tarma, ale jego nos był w jak najlepszym porządku.

— Jest dla mnie zagadką, jak ta dziewczyna odnajduje ślad bandytów. Zręczny z niej myśliwy, ale nie aż tak zręczny i nie w nocy...

— *Miecz?* — zasugerował z roztargnieniem Warrl. — *Kethry wspominała, że nie wiemy wszystkiego o tym, co potrafi. Nigdy nie widzieliśmy go w rękach kogoś zupełnie nie wyszkolonego.*

Tarma obruszyła się odrobinę na myśl o ostrzu, przez które ona i jej she'enedra miały tyle kłopotów i przyznała rację.

— *Powiem ci, Kudłata Mordo, nigdy nie byłam zupełnie szczęśliwa, jeśli chodzi o to ostrze. Za dużo w nim własnego rozsądku. Przez ten przekłety przedmiot Keth znalazła się raz, czy dwa razy o włos od śmierci.*

— *Bracia Jastrzębie nazywają go „miecz-duch”* — przypomniał jej Warrl, zatrzymując się na rozdrożu, aby zwietrzyć zapach. — *Wasza Gwiazdzystooka łączyła was węzłem, pomimo jego wcześniejszych związków z Kethry, tak więc przypuszczam, że nie jest on nieprzyjazny, jedynie... hmm... uparty?*

Tarma skrzywiła się na dobór słów kyree.

— Może. A niech to, teraz cieszę się, że to lichy ma swój własny rozum. Jedynymi kobietami, którym w promieniu wielu mil grozi niebezpieczeństwo, są Kero i narzeczona jej brata. W grupie tych bandytów nie ma kobiet, prawda?

— *Żadnej nie zwietryłem* — potwierdził kyree, skręcając na rozwidleniu dróg na zachód.

Tarma popędziła konia jego śladem.

„W takim razie obiekt i cel są jasne. Nic nie pomiesza nam szyków. Kero będzie potrzebować wszelkiej pomocy.”

— *Mówiąc precyzyjnie, my dwoje nie jesteśmy zupełnie bezużyteczni.*

Trop prowadził w stronę wzgórz. Pozornie wydawało się, że zniknął. Warrl biegł z nosem przy gołej ziemi, szybko i bez szmeru.

Bez księżycy było ciemno jak w worku. Tarma rozluźniła się. Odpoczywała, ufając zmysłom swojego wierzchowca i Warrla.

— *Stój!*

Tarma zareagowała natychmiast, tak samo jak i jej klacz. Wytrzeszczyła oczy w ciemności, z ledwością mogąc odróżnić ruchomą plamę na tle jaśniejszej połaci trawy i gleby.

„Co jest?” Myśl ta była przeznaczona dla niego. Tarma nie umiała bezpośrednio przesyłać myśli, lecz on mógł je odczytywać i robił to. Wykorzystali ten jego talent podczas niejednej zwiadowczej eskapady.

— *Interesujące. Zsiadła tutaj z konia.*

Tarma zsunęła się z siodła, krzywiąc się nieco, gdy obciążyla swoją chorą nogę. Poprowadziła klacz do Warrla tak cicho, jak tylko mogła, aby go nie rozpraszać. Podniósł łeb i złapał zapach bryzy w chwili, gdy Tarma stanęła obok niego.

— *Fascynujące. Obozowisko bandytów jest gdzieś tu, w pobliżu. Wietrzę zapach dymu, gromady ludzi oraz znużonych koni, zaschniętej krwi i, jak myślę, Dierny. Co oznacza, że Kerowyn jakoś się domyśliła, że oni są blisko...*

Ponownie przyłożył nos do ziemi.

— *To miecz, jak przypuszczam, ją ostrzegł. Lub też ją prowadzi.*

„Albo nią dyryguje” pomyślała Tarma z przekąsem, wspominając dawne czasy.

— *Może. Myślę, że odprowadziła konia... tam...*

Tarma puściła z rąk lejce Hellsbane, spętała ją przy ziemi i ostrożnie skierowała się w stronę, którą wskazywał nos Warrla. W odległości kilku stóp od ścieżki, za niskim wzniesieniem, napotkała łożysko potoku z płynącym na dnie strumyczkiem, o brzegach porośniętych drzewami. Tam, gdzie drzewa rosły najgęściej, odnalazła klacz Kero, spętana na dostatecznie długim postronku, aby mogła się napaść i napić do syta. Zadowolona, że dziewczyna należycie zadbała o swojego wierzchowca, przywiązała Hellsbane obok klaczy dziewczyny i wróciła do Warrla.

— Jeśli on sprawuje nad nią kontrolę, to przynajmniej nie poddaje się temu biernie. I co teraz? — zapytała.

Przesuwał się do przodu o kilka stóp naraz.

— *Aha. Tutaj opadła na kolana. Zwiad na czworakach.* — Podniósł łeb, aby popatrzeć na nią. — *Doradzałbym to samo, sądząc z mocy zapachów.*

Tarma pokiwała głową z podziwem. „Najjaśniejsza Bogini. Ten przeklęty miecz w końcu robi coś, jak należy. W porządku, Kudłata Mordo, zobaczymy, co ty i ja możemy uczynić, by obejść obóz dookoła i dostać się na drugą stronę”.

Kerowyn wstrzymała konia. Ledwie mogła rozpoznać przed sobą ubity trakt i rozstaje, na których się znalazła. Patrzyła na trop, próbując przypomnieć sobie zasłyszane opowieści o ostrzu babki. Mówiły one coś o Kethry, posługującej się mieczem jak mistrz szermierki, chociaż nigdy się tego nie uczyła. Mogłoby to znaczyć, że to tej rzeczy zawdzięczała swe umiejętności. Czy mógł on zmienić kogoś w doskonałego tropiciela? Być może.

Położyła dłoń na rękojeści i poczuła coś w rodzaju mrowienia, jakby jej dłoń delikatnie kluto szpileczkami. Coś w tym jest, z całą pewnością, nawet jeśli ona nie wie co. Z drugiej strony, nie była zbyt pewna, czy chce się tego dowiedzieć, mając jeszcze inne możliwości wyboru.

Usadowiła się ostrożnie w siodle i opuściła ochronną zasłonę, otaczającą jej myśli. Tym razem bardzo powoli. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było, aby ta obślizgła rzecz dowiedziała się, że ona jest blisko.

Złowiła mnóstwo bezładnych myśli, pełnych przemocy, niezbyt jasnych i logicznie nie powiązanych, a kiedy otworzyła oczy, stwierdziła, że stoi zwrócona twarzą na zachód. Doskonale, zatem na zachód.

Za każdym razem, gdy gubiła trop, odnajdywała go, ostrożnie opuszczając zasłonę myśli, „nasłuchując”. Lecz potem droga zamieniła się w ścieżkę, a ścieżka, zwężając się, zanikła zupełnie. Panowały zbyt głębokie ciemności, aby podejmować próbę wytropienia bandytów tradycyjnym sposobem.

Nie miała wyboru. Niechętnie wysunęła ostrze do połowy z pochwy i odprężyła się. Otaczające ją ciemności zaczęły się rozjaśniać, wkrótce była w stanie widzieć tak, jakby zbliżał się niedaleki świt. Przez chwilę, gdy w zdumieniu rozglądała się dookoła, pomyślała, że uległa jakiemuś złudzeniu: poprzez wzgórze wiódł rząd iskierok posępnego światła. Wtedy zdjęła dłoń z rękojeści i stwierdziła, że z chwilą, gdy wypuściła miecz z ręki, drobniutkie iskry zniknęły wraz ze zdolnością wyraźnego widzenia.

„A więc, co to oznacza?” Zsiadła z konia i znów położyła dłoń na mieczu. Ponure światło zabłysło ponownie. Badając twardy grunt, dostrzegła niewyraźne odciski kopyt. To był właśnie kierunek obrany przez bandytów. W chwili, kiedy odnalazła ich trop, światło zgasło, ona jednak wciąż widziała tak dobrze jak do tej

pory.

„Pozwala mi robić to, co jestem w stanie sama zrobić. Spełnia rolę instruktora, jak sądzę. W sytuacji, w której wystarczają moje własne zdolności, usuwa się na bok, pozwalając mi działać samodzielnie”.

Ujęła miecz w prawą rękę, lejce klaczy w lewą i podążała tropem, dopóki coś nie podszeptało jej, aby przystanąć. Dalsza jazda wydawała się niewłaściwym rozwiązaniem.

„Może nadszedł czas, aby się przekonać, jakie są ich zamiary”. Pozwoliła, by jej umysł otworzył się. Przytulona do ciepłej, wilgotnej od potu szyi Verenny i przymknawszy oczy udała się na „poszukiwanie” bandytów.

Odnalazła ich z łatwością, cały ich obóz, ze strażnikami rozstawionymi dookoła małej dolinki, którą zajęli dla siebie. Większość z nich była pijana, rozsiewając dzikie, pogmatwane myśli. Dierna była z nimi, jeszcze żywa, z niewielkim stosunkowo uszczerbkiem na zdrowiu. Lecz wraz z nią był. . .

Kero szczerze zatrzasnęła osłonę. On był tam razem z nią — to zimne, obślizgłe zło, którego obecność wyczuła uprzednio. Tym razem jego zmysły nie ostrzegły go o jej obecności, lecz tylko dlatego, że był czymś zajęty. Nieopatrznie znalazła się jednak bliżej wykrycia, niżby sobie tego życzyła.

Rozejrzała się, oceniając swe szansę. Niedaleko miejsca, gdzie stała, płynął mały strumyk z rosnącymi po obu stronach drzewami. Nie dawało to wiele osłony, ale dla wszystkich poza nią noc była tak głęboka i ciemna, że mogła ukryć wszystko. Pod osłoną krzewów Verenna będzie zupełnie niewidoczna. Trzeba było jedynie zmusić ją do zachowania ciszy. . .

Prawdopodobnie klacz nie napasła się dostatecznie. Najpierw było zamieszanie związane z ucztą, a potem męcząca, nocna jazda. Jeśli pozostawi Verennę luźno spętaną tak, aby mogła skubać trawę i pić, to może zajmie się tym i nie będzie hałasować.

Wprowadziła klacz do zagajnika, prosto nad wodę, i spętała ją na małej polance tuż obok strumyka. Polankę otaczały krzewy i drzewa; kiedyś i ona mogła być częścią łożyska, dopóki coś nie zmieniło biegu strumienia.

„Verenna powinna być tutaj bezpieczna, a jeśli nie wrócę, będzie prawdopodobnie w stanie się uwolnić” — pomyślała.

Zostawiła małą klacz skubiącą łapczywie trawę. Ostrożnie ruszyła przed siebie, z początku na nogach, a później na czworakach, przelotnie odsłaniając myśli w poszukiwaniu swoich wrogów, dopóki nie przekonała się, że najdalej wysunięci strażnicy stoją za następnym pagórkiem. Ukryła się pod krzewami i pod tą osłoną zaczęła się czołgać.

Przez cały ten czas ciemniało jej przed oczami. Czy to miecz pozbawił ją przewagi, czy może tracił swą moc? Czy użycie magii mogło w jakiś sposób zdradzić ją przed nieznanym magiem? Teraz widziała jakby przy pełni księżyca.

„Doskonale, to wystarczy” — pomyślała dokładnie w chwili, kiedy usłyszała nieostrożne kroki jednego ze strażników i szelest krzewów, gdy się przez nie przedzierał. Rozpłaszczyła się pod osłoną zarośli, wciąż trzymając miecz w ręce, z twarzą przyciśniętą do piaszczystego gruntu, z bijącym ze strachu sercem, czekając, aż on przejdzie obok niej. Minał ją, nie starając się nawet zachować ciszy. Przeszedł sztywno, poskrzypując i brzęcząc zbroją, nie zdając sobie absolutnie sprawy z jej bliskości.

Nie zaczęła swobodniej oddychać, dopóki nie znalazł się daleko poza zasięgiem głosu, nie podniosła nosa z piasku i nie wytarła go o grzbiet dłoni, dopóki nie zaszedł jeszcze dalej.

„W porządku, wiem, gdzie są strażnicy” — pomyślała. Bawiła się nerwowo rękojeścią miecza, gdy wyślizgnęła się spod osłony gałęzi. „A więc w jaki sposób ich ominę? Wygląda na to, że są rozstawieni całkiem niedaleko od siebie. Może nie powinnam ich unikać?”

Niełatwo przychodziło jej przypomnieć sobie opowieści, snute przez starych najemników: bitewne wspominki, opowieści o zasadzkach — coś, co byłoby teraz dla niej przydatne, a nie kłamstwa wyśpiewywane przez bardów.

„Dent opowiedział Lordanowi, jak to razu pewnego musiał wdrzeć się do nieprzyjacielskiego obozu. Powiedział, że strażników rozstawiono dookoła, lecz że nie przywykli oni do wspólnej pracy i nie obwoływali się wzajemnie, a więc nie wiedzieli, czy któryś z nich nie został usunięty, dopóki nie zaczął go szukać jego zmiennik. A więc on sprzątnął jednego i wprowadził całą kompanię przez utworzony w ten sposób wyłom w linii. . .”

Udało jej się jakoś zostawić za plecami cały strach i żal. Teraz, kiedy czekały ją zmagania na śmierć i życie, łatwiej było jej myśleć. Ból został daleko, nie liczyło się nic, poza nadchodząca chwila i dziwnym podnieceniem, które wyostrzyło jej zmysły.

„Jeśli prześlizgnę się między nimi, wciąż będą stanowić zagrożenie za moimi plecami. Mogę zapomnieć, że tam są i któryś z nich może uderzyć na mnie od tyłu. Muszę się jednego pozbyć.

Ledwo podjęła decyzję, już skradała się za strażnikiem, który właśnie przeszedł obok niej. Nie działała według jakiegoś ułożonego planu, wydawało jej się jedynie, że ten człowiek jest najbardziej nieostrożny. Przemykała za nim, trzymając miecz w prawej dłoni oraz przedzierając się stosunkowo cicho przez gąszcz, który ona widziała, a on nie.

„Jeśli uda mi się skoczyć na niego od tyłu, uderzę go w tył głowy rękojeścią miecza, tak jak pokazywał to Dent. . .”

Była od niego na wyciągnięcie miecza. Na pół wyciągnięcia. Zaczął się odwracać. . .

Nagle przestała panować nad własnym ciałem. Jakby stała się kukielką we władaniu jakiejś niewidzialnej siły; poczuła, że jej mięśnie napinają się, kiedy

strażnik zaczął wpatrywać się w ciemność obok niej. Stwierdziła, że wykonuje raptowny unik i kuca pod krzewami, o których istnieniu przed chwilą w ogóle nie wiedziała. Ostrożnie zrobił kilka kroków w jej kierunku, lecz niczego nie był w stanie dostrzec, a ona trwała w takim bezruchu, w jakim mogła ją utrzymać tylko rządząca nią tajemnicza moc.

Nagle, kiedy strażnik odwrócił się do niej plecami, poderwała się ujawszy oburącz rękojeść miecza i, przepełniona dzikim podnieceniem, wbiła ostrze w ciało wroga, pomiędzy żebra, wykorzystując cały impet skoku. Żelazo zazgrzytało o kości. Rozbójnik wygiął się w tył, wydając z siebie zduszone westchnienie i upuszczając własny miecz. Wolną ręką złapała go za szyję, przebijając go na wyłot, aż po jelec. Na chwilę oboje zamarli, a potem strażnik upadł. W tym samym momencie zebrała siły i szarpnęła mocno, uwalniając ostrze z martwego już ciała.

Następnie odzyskała kontrolę nad sobą tak samo nagle, jak ją utraciła. Ona była tą osobą, która, z otwartymi od szoku ustami, z sercem łomoczącym o żebra zataczając się, odeszła dwa kroki od trupa. To ona niemal odwróciła się i uciekła biegiem do zagajnika, gdzie zostawiła Verennę, aby zabrać ją i wrócić do domu galopem. . . Jedyne świadomość, że bandyci ją usłyszą i zabiją, powstrzymała ją przed postąpieniem w ten sposób.

„Zabiłam człowieka” — pomyślała! Trzęsły jej się nogi. Poczula w ustach kwaśny smak żółci i ogarnęły ją mdłości. „Zabiłam człowieka. Własnoręcznie. . .”

Nie знаła właściwie ciosu, który go uśmiercił. Czegoś takiego Dent jej nigdy nie uczył. To miecz zmusił ją do tego, ona uderzyłaby gałką od tyłu.

To była sprawka miecza. Bez wątplenia. Tylko magiczny miecz mógł nią pokierować jak marionetką. Potrzeba był magicznym mieczem, o którym powiadano, że dawał Kethry tę moc, jaką najwyraźniej obdarzył teraz Kero.

„Nigdy nie sądziłam, że to się stanie, że on tak zapanuje nade mną. Myślałam. . . myślałam, że on pokaże mi tylko, jak się robi pewne rzeczy”.

Nie tak to sobie zaplanowała. Z obrzydzeniem spojrzała na trzymane w rękę ostrze, na plamiącą je krew. Miała ochotę porzucić je natychmiast. . . Lecz wtedy przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl.

„Udałam się do babki, szukając broni albo demona. Czy ten bandyta byłby mniej martwy, gdybym uderzyła w niego błyskawicą albo rzuciła go demonom na pożarcie? Lepiej jest zabić własnoręcznie, czy zrobić to na odległość?”

Oczywiście, ani tak, ani tak nie było dobrze. . .

„On ranił i zabijał moich ludzi. Może nawet kogoś, kogo znam”. Zdobyła się na odwagę, uspokoiła dłonie i zmusiła się do wytarcia ostrza w tunikę zabitego. „Mógł wybrać uczciwe życie. Pomaga trzymać Diernę w niewoli. Mógł dokonać wyboru i dokonał go. A więc i ja dokonuję mojego.”

Zaczęła się ponownie przeciskać na czworakach przez zarośla w stronę obozu, tak cicho, jak to tylko było możliwe. Jej ręce pełne były drzazg, posiniaczyła sobie kolana o skały, ale nie było to gorsze niż niektóre z obrażeń doznanych podczas

zbierania jagód czy też szkolenia Verenny. Jak do tej pory.

Jak do tej pory dopisywało jej szczęście. Dzięki mieczowi. Wciąż jeszcze dostawała gęziej skórki na myśl, że prawdopodobnie kiedyś znów przejmie nad nią kontrolę. Nie miała wyboru, jeśli zamierzała uratować Diernę, ale wcale jej się to nie podobało. „Przejmuje kontrolę, ot, tak sobie, bez ostrzeżenia. Do czego jest jeszcze zdolna ta rzecz? O czym nie wiem? Co będzie, jeśli zamieni mnie w jakiegoś potwora?”

Lecz jej babka mu ufała.

„Przypuszczam, że nie ma powodu, abym mu nie ufała” pomyślała. Złapał ją kurcz. Zatrzymała się i wyprostowała nogę, czekając przez chwilę, by mięśnie się rozluźniły. „Jednak nie mogę nie myśleć o tym, ile naprawdę wiedziała o nim babka. Może i przed nią coś ukrywał”.

Ta myśl dodawała otuchy.

Dokładnie w tym momencie dobrnęła na gęsto zarośnięty skraj zapadliska. Jaskrawożółty płomień ogniska, oświetlając krzewy, ostrzegł ją, że tuż za nimi usytuowany jest obóz. Wśliznęła się pod osłonę jednego z największych i najbardziej kolczastych krzaków. A sprawa nie była taka prosta. Cienkie witki czepiały się jej włosów i drapały ją po twarzy. Sterczące korzenie, zahaczając o pas i tasiemki tuniki, przeszkadzały w posuwaniu się do przodu. W końcu dotarła do brzegu. Gałęzie zwisały tutaj ponad zapadliskiem, tworząc pomiędzy nią i płonącym ogniem rodzaj zasłony. Usuwając sprzed oczu jedną z gałązek, ostrożnie wyjrzała na rozłożone w dole obozowisko. Od bijącego światła zmrużyła oczy.

Nieco poniżej, całkiem blisko, z pół tuzina mężczyzn, zupełnie pijanych, rzucało dla zabawy kośćmi do gry czy też ludzkimi knykciami. Dwaj stali, a pozostali siedzieli w nierównym kręgu, przyglądając się temu, który właśnie rzucał raz za razem. Uzbrojenie złożyli na stosie dokładnie u stóp urwiska, na którym znalazła kryjówkę. Byli brudni, nie ogoleni, odziani w przedziwne ubiory, niektóre z nich musiały niegdyś być przedniej jakości, lecz teraz wszystkie były splamione, obrócone w łachmany i tak brudne, że nie użyłaby ich nawet do zmywania podłogi w stajni.

Nieco w tyle znajdowała się druga grupa podobnych obwiesi, rozłożonych dookoła ogniska, raczących się winem z jednego skórzanego wora oraz przycupniętych przed stosem łupów zagrabionych z zamku. Dalej płonęło źle ułożone ognisko, z jednej strony dymiące, z drugiej buchające płomieniem, a za ogniskiem. . .

Dierna.

Jej jasnopurpurowa suknia tworzyła jaskrawą plamę koloru, która natychmiast przyciągnęła wzrok Kero. Leżała z twarzą zastygłą z przerażenia, częściowo przekrecona na bok, rzucona do stóp wysokiego, chudego człowieka, ubranego w długi, czerwony płaszcz do końskiej jazdy rozcięty z przodu i z tyłu. Człowiek ten usiadł na głazie, ostrząc nóż i nie zwracając najmniejszej uwagi na swawole swoich ludzi. Ani, co dziwne, na Diernę, chociaż rozdarta suknia odsłaniała jej nogi

aż po uda.

Kero, zaciskając zęby, patrzyła gniewnie, jak nieznajomy wyciągnął rękę w stronę kulającej się Dierny i złapał ją za długie, niczym nie związane, ciemne włosy. Wplótłszy w nie swoje palce, szarpnął okrutnie, przyciągnął dziewczynę do siebie i jednym cięciem noża odciął jej pukiel włosów.

Kero zagryzła wargę, poruszona nagłą myślą. Nie tego się po nim spodziewała.

Na jej oczach zerwał się ze swego zaimprovizowanego siedziska, niecierpliwym kopnięciem usuwając Diernę spod nóg, i położył pukiel na płaskiej skale, wewnątrz pierścienia płomieni.

„Może któryś z tych drani skoczy na niego od tyłu” — pomyślała z nadzieją. „Obecność dziewczyny w zasięgu ręki musi ich drażnić do szaleństwa. Jeśli jeden z nich podejmie próbę, sięgnie po nią, to na pewno wybuchnie bójka. Albo zareaguje człowiek, w którego władzy się znalazła, albo zrobi to jeden z pozostałych; tak czy siak raz zapoczątkowana bójka musi się rozszerzyć. Jeśli tak się stanie, może zdołam się tam przedrzeć i wydostać ją, dopóki będą się bili”.

Ale rabusie ignorowali człowieka w płaszczu; ignorowali Diernę, co było jeszcze dziwniejsze. Nawet jeśli ten dziwny mężczyzna. . .

„Mag. To musi być mag”.

. . . nawet jeśli ten dziwny mag wydał rozkaz, aby zostawili Diernę w spokoju, tacy obwiesie nie byliby w stanie nie zwrócić na nią uwagi. Łypaliby na nią z nadzieją, że trafi im się gratka, gdy mag odwróci się do nich plecami. Lecz jej równie dobrze mogłoby tam nie być. Nie ignorowali jej — zachowywali się tak, jakby jej w ogóle nie widzieli.

Kero ponownie skupiła swoją uwagę na magu, który na płaskiej skale — jakby na ołtarzu — położył jakieś parafernalia. Umieścił pukiel włosów na metalowym rusztowaniu stojącym na samym środku skały, podniósł coś, czego Kero nie mogła dostrzec i zaczął tym zataczać kręgi nad płonącymi włosami.

„To mi się nie podoba. To mi się wcale nie podoba”.

W chwilę później włosy zjeżyły jej się na karku, kiedy koliste brzegi skały rozjarzyły się, jakby mag ułożył okrągły stos z ciemnoczerwonych, żarzących się węgli. W kręgu pojawiła się mała luka. Mag odłożył swój instrument i gdy tylko rozjarzone brzegi skały przygasły, przekroczył je.

Powrócił do swojego głazu. Jego spieszne kroki zdradzały pewne zniecierpliwienie. Wyciągnął rękę i postawił Diernę na nogi, ciągnąc ją za skrupowane nadgarstki. Jęknęła, dźwięk ten wzniosł się ponad całym hałasem obozu. Żaden z rabusiów nawet nie podniósł oczu.

„To mi się jeszcze mniej podoba”.

Mag włókł zataczającą się dziewczynę i wepchnął ją przez lukę do ognistego kręgu. Oczyścił powierzchnię skały z wszelkich przeszkód jednym machnięciem wolnej ręki, a potem kopnięciem podciął dziewczynie nogi, powalając ją na ziemię u swych stóp. Ponownie machnął dłonią i luka w ognistym kręgu zamknęła

się, gdy płomienie z obu stron wygięły się w łuk i zetknęły w środku. Następnie wyciągnął nóż z kieszeni swojego płaszcza, pochwyił Diernę za włosy i zanim Kero zdążyła nabrać tchu, rozciął swej ofierze policzek od ucha aż po podbródek.

Przez jedną chwilę Kero leżała sparaliżowana, zmagając się z mieczem o to, kto zdobędzie kontrolę nad ciałem i ruszy do czynu. I w tym momencie zawahania wkroczył ktoś czy też coś innego.

Na zewnątrz pierścienia płomieni zapanował zgiełk. Jedno uderzenie serca później Kero rozpoznała, że jest to odgłos pół tuzina koni rżących ze strachu. Grzmot kopyt był jedynym ostrzeżeniem, jakie dotarło do uszu rabusiów, nim całe stado zwierząt, oślepię paniką, stratowało obozowisko. Płomienie ogniska buchnęły wysoko deszczem kolorowych, kulistych błyskawic, olbrzymich iskier i eksplozji, gdy konie przebiegały obok, tętniąc kopytami. Ogarnięte jeszcze większą paniką rozpiechły się na wszystkie strony. I jakby jeszcze nie dość było chaosu, jeden i hulaków z niezrozumiałym okrzykiem bólu upadł w ognisko, trzymając się za gardło. Rabusi ogarnęła taka sama panika, jak ich wierzchowce.

„To była strzała!” Kero uzmysłowiła to sobie na mgnienie oka przed tym, nim jej uwagę ponownie przykuła Dierna i mag, który sprawował nad nią władzę. „Tam jest ktoś inny, ktoś noszący w sercu urazę i łuk w ręku”.

Nie dane jej było dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ mag znowu znalazł się w centrum jej uwagi. Coś — obłok dymu, krwawo zabarwiona mgła — wzbiło się z kamienia, na wysokość jednego i na szerokość dwóch ludzi; od wewnątrz nierówno rozświetlone poświata, jak chmury w letnią noc migotliwym blaskiem błyskawic. Mag ustąpił do tyłu, wypuszczając z rąk dziewczynę. „To” zebrało się w sobie, zwijając się i cofając, dokładnie tak, jak gotowy do ataku wąż. A potem skoczyło do przodu i przyssało się do ociekającego krwią policzka Dierny. Rozległ się krzyk dziewczyny — wysoki, przenikliwy, jak pisk królika przed śmiercią.

Kero nie była w stanie się ruszyć; w tej chwili i ją paraliżował taki sam strach jak Diernę. Lecz nie powinna była temu ulegać, gdyż w chwili, gdy zaprzestała oporu, górę wziął miecz — wypędził ją z zarośli, strącił w dół zbocza w kontrolowanym upadku i w jakiś sposób postawił na nogi, gdy tylko znalazła się na samym dole. Płomienie nadal huczały od eksplozji; garść dziko obiegających obozowisko wierzchowców wciąż jeszcze tratowała wszystko, co napotkała na drodze. Panowało takie zamieszanie, że Kero zdołała przebyć połowę obozowiska, zanim ktokolwiek ją dostrzegł.

Jednak nawet wtedy rabusie mieli dość własnych zmartwień, ponieważ nieznaną sprzymierzeniec w ciemności wypuszczał starannie wycelowaną strzałę za strzałą, trafiając najeźdźców ze zdumiewającą regularnością. Trzech ugodzonych leżało nieruchomo na ziemi, dwóch innych trzymało się za boki, wrzeszcząc głośno. Jeden z bandytów dojrzał Kero i ruszył wprost na nią. . . Po czym stanął jak wryty, gdy Kero wzniosłszy swój miecz, nie przerwała szalonej szarży. To, co zobaczył, sprawiło, że jego twarz stała się biała jak mleko. Odwrócił się i uciekł

w ciemności.

Powtórzyło się to dwa razy, gdy to biegnąc, to zataczając się przemierzała obóz rabusiów, unikając oszalałych ze strachu koni i ogni wznieconych przez eksplodujące ognisko. Kilku pechowców zdołało stanąć Kero na drodze. Miecz nie dał im drugiej szansy. Teraz Kero nawet nie próbowała mu się opierać. Wciąż czuła dziki strach, lecz i odurzał ją animusz. Ledwie zwracała uwagę na przeciwników. Byli dla niej jedynie celem, z którym należało się uporać, tak nieosobowym jak zbiór owczych skór w zbrojowni Denta.

Obiegła dookoła buchające płomieniami ognisko, przesadziła leżące ciało, uśmierciła głupca, który usiłował zagrozić jej drogę, uzbrojony jedynie w nóż o krótkim ostrzu, zabijając go jednym z tych oburęcznych pchnięć nie do odparcia i szarpnęła się gwałtownie, stając na granicy żarzącego się kręgu. Nie była w stanie przedostać się przez niego. Istniała tam prawdziwa granica, wyznaczona purpurową linią. Cienka, karmazynowa obręcz mogłaby równie dobrze być wykuta z żelaza.

Spojrzała do góry i zobaczyła, że stwór wciąż wsysa się w policzek Dierny. Światło w jego wnętrzu stawało się mocniejsze, bardziej regularne, pulsujące jak tętno. Na wargach maga zaigrał nikły uśmiech. Wykonał gest, jakby czymś rzucał. Żółtozielone światło w kształcie sztyletu oderwało się od jego dłoni. Próbowała zrobić unik, ale miecz jej nie uwolnił. Instynktownie przygotowała się więc na najgorsze. Lodowaty strach zmroził ją od stóp do głów. Ale nie wydarzyło się nic. Znalazłszy się od niej na wyciągnięcie ręki, światło sztyletu zgasło, zniknęło. Zamrugła oczami, próbując zrozumieć to, co się właśnie zdarzyło. „Cisnął we mnie magicznym przedmiotem, który do mnie w ogóle nie dotarł. Spodziewał się mnie zabić...” — pomyślała.

Mag patrzył zbity z tropu; cofnął się kilka kroków. Miecz skwapliwie to wykorzystał. Pod jego wpływem Kero postąpiła krok do tyłu i potężnym ciosem rozrąbała świetlny pierścień, jakby wycinała sobie przejście. Kawałek karmazynowej bariery natychmiast pociemniał. Kero, pchnięta mocą ostrza, przesadziła tę pociemniałą część jak dziewczka ognisko w noc świętojańską. Skok skończył się na dwa kroki przed płaską skałą, Dierną i tym potworem, wessanym jak pijawka w jej policzek. Dierną już nie krzyczała. Leżała rozciągnięta na skale, jęcząc cicho, tak jakby to stworzenie okradało ją z sił. Miała zamknięte oczy i wydawała się nic nie wiedzieć o obecności Kero.

Miecz świsnął ponownie, ale nie zamierzył się na, przypominającego pijawkę, stwora. Przez jedną straszliwą chwilę Kero myślała, że próbuje zabić Diernę, lecz głównia przekreśliła się w jej dłoni, tnąc pomiędzy dziewczyną a podobnym do pijawki obłokiem, tak blisko twarzy Dierny, że na ostrzu osiadło kilka kropelek krwi z jej zranionego policzka.

Mag wykrzyknął gniewnie coś niezrozumiałego. Obłok cofnął się i gdy Dierna wracała do sił, ustąpił pola, staczając się ze skały; dziwny stwór jeszcze bardziej

niż do tej pory przypominał pijawkę. Zanim zdołał ponownie wbić się w policzek Dierny, Kero wskoczyła na skałę, zasłaniając dziewczynę. Zamierzyła się mieczem, zmuszając potwora do odwrotu. Rozjarzył się gniewnie, pewny siebie, sycząc na Kero; wściekłe, wewnętrzne ruchy były oznaką zimnej, śmiertelnej furii.

Rozwścieczony mag recytował coś rytmicznie w języku niezrozumiałym dla Kero, lecz — jak coś jej podszeptało — zrozumiałym dla miecza. Po raz pierwszy poczuła bijące od niego emocje: dziwny, z wolna narastający gniew, gorący jak kuźnia i ciężki jak żelazo.

Jej lewa ręka puściła jelec i sięgnęła za pas, po sztylet. Cisnęła nim w maga. Zaatakowany podniósł do góry rękę; sztylet trafił go w dłoń... i nie wyrządzając szkody, odbił się z brzękiem od skały.

Kero miała ochotę uciec, lecz nie pozwolił jej na to miecz. Mogła tylko stać, stanowiąc łatwy cel. Mag zaśmiał się szyderczo i wznosił dłonie. Rozjarzyły się na chwilę niezdrową czerwienią, a potem żar zajaśniał i pomiędzy rękami strzeliła iskra. Mag złączył dłonie nad głową, wycelował i posłał piorun — nie, nie w jej kierunku, ale w podobny do pijawki obłok. Ten skręcił się konwulsyjnie, lecz Kero odniosła wrażenie, że nie z bólu. Nabrał większej solidności, w mgnieniu oka zwiększywszy swoje rozmiary dwukrotnie, groźnie nad nią majacząc.

Pożerał ją gniew miecza. Przeniosła chwyt z rękojeści na ostrze. Balansowała swym mieczem w ten sposób, jakby był gigantycznym nożem. I wydawało się, że w tej chwili nie ważył więcej niż sztylet. Wzięła rozmach i rzuciła nim jak dziadą. Mignął w przestrzeni oddzielającej ją od maga; prosty jak strzała, z głuchym odgłosem wbił się w żołądek do połowy ostrza. Mag wydał zduszony okrzyk, przeszedł, chwiejąc się, dwa kroki do przodu i upadł, wbijając miecz w siebie aż po jelec.

Krzyk obłoku-pijawki odbił się echem w mózgu Kero. Wydawał się rozłupywać jej czaszkę. Upadła na kolana i zasłoniła uszy. Wrzask przepłoszył wszelkie myśli z jej mózgu. Pozostało jedynie uczucie bólu. Nie mogła jednak oderwać wzroku od potwora. Jej oczy były spętane jakby hipnotycznym pulsowaniem wewnętrznego światła. Światło migotało gorączkowo jak oszalałe. Obłok rozciągnął się, przerzedził, wyciągnął do góry, urósł do wysokości trzech mężczyzn... a potem eksplodował, znikając z potężnym grzmotem.

Oślepią Kero zamrugała, wstrząśnięta i zdrętwiała, po czym z wolna odsunęła dłonie od uszu. Cisza, słychać było jedynie trzask ognia i odległe dudnienie kopyt. Podniosła się z ziemi, trzęsąc się tak mocno, że miała kłopoty z ustaniem na uginających się kolanach. „Najmilsi bogowie, co się stało? Nie mogłam zabić czegoś takiego, prawda?” Miała złudzenie, że spędziła pół nocy na wyczekiwaniu, lecz nic się już nie wydarzyło. W końcu wzięła się w garść i ślaniając się podeszła do Dierny.

Dziewczyna leżała spokojnie obok skały, z szeroko otwartymi oczami i twarzą

bladą jak kreda. Zamrugła, ale był to jedyny ruch, jaki wykonała. Przez chwilę Kero obawiała się, że Dierna oszalała lub zdarzyło się coś jeszcze gorszego. Jednak kiedy Kero weszła w krąg światła z przygasającego ogniska, zobaczyła, że oczy branki były przytomne. Dierna ujęła podaną jej rękę w swe skrepowane dłonie, pozwalając Kero podnieść się do pozycji siedzącej.

— K-K-Kerowyn? — wyjąkała dziewczyna słabym głosem po długiej chwili ciszy. — Czy to naprrrawdę ty?

— Tak myślę — odpowiedziała niepewnie Kero, przykładając sobie dłoń do skroni, kiedy rozglądała się z roztargnieniem dookoła w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby uwolnić nadgarstki dziewczyny.

Chociaż niedaleko leżał sztylet maga, z jakiegoś powodu wzdragała się go dotknąć. Odnalazła swój własny nóż i przy jego pomocy przecięła rzemienne więzy Dierny.

Uwolniona dziewczyna przycisnęła rękaw do wciąż krwawiącego policzka i rozplakała się. Kero nie mogła się domyślić, czy płacze z bólu, strachu, czy z powodu oszpeconego policzka.

Zaczęła szukać czegoś, co mogłoby jej posłużyć za bandaż, ale kiedy się odwróciła...

Stara kobieta w znoszonej, skórzanej tunice, w zbroi, która leżała na niej tak dobrze, jak źle na rabusiach ich własne, zjawiła się znikąd, aby stanąć między nią a ogniem.

Kero krzyknęła, zatoczyła się do tyłu, odwróciła gotowa do ucieczki — i krzyknęła ponownie, stanąwszy w obliczu największego wilka, jakiego kiedykolwiek w życiu widziała. Patrzył na nią lśnącymi oczami, w których odbijał się ogień, gdy gorączkowo szukała wokół siebie broni.

— Skończ z tym, mała idiotko — rozległ się zrzędlawy głos tuż zza jej pleców. — Jesteśmy przyjaciółmi. To jasne.

„Ten głos...”

Ponownie odwróciła się szybko; w samą porę, aby zobaczyć starą kobietę idącą obok w stronę ciała maga. Wilk, spozierający bystro na obie, okazywał wszelkie oznaki inteligentnego zainteresowania. Kobieta przez chwilę badała ciało, a potem pochyliła się nad nim i wyrwała miecz babki jednym szarpnięciem. Zanim Kero zdążyła wykrztusić słowo, zrobić cokolwiek, kobieta podała go jej rękojeścią do przodu. Zdumiona przyjęła miecz, niezdolna do uczynienia cokolwiek.

— Wyczyść to — burknęła stara kobieta, ze zmarszczoną srogo brwią. — Do licha, dziewczyno, przecież dobrze wiesz! Nigdy nie rzucaj swoją jedyną bronią! Tylko dlatego, że raz ci się udało... och, marnuję czas. Zabieraj tę ciamajdę, swoją bratową, i wracaj do domu.

Powiedziawszy to, kobieta odwróciła się na pięcie i nachyliwszy się nad najbliższym trupem, wyrwała strzałę z jego pleców. Kero stała, gapiąc się tępo na

wilka, który zeskoczył ze skały i przyłączył się do staruchy.

Dopiero wtedy Kero stwierdziła, że są jedynymi żyjącymi i poruszającymi się istotami w całym obozie i że wiele leżących ciał miało przecięte brzuchy lub gardła. Jej dzieło, czy raczej dzieło miecza; koniec końców, to bez znaczenia.

Nic na to nie mogła poradzić; tego było za wiele. Jej wnętrzości zbuntowały się i tym razem nic nie zdołało ich powstrzymać. Chwiejąc się podszła do skały i oparła się o nią, wstrząsana paskudnymi nudnościami.

Spodziewała się, że Dierna wpadnie teraz w histerię, ale po pierwszych nudnościach, kiedy miecz babki wypadł jej ze zmartwiałych palców, to ona właśnie pomogła jej ustać, gdy pozbywała się kolacji, obiadu, śniadania, a potem nawet wspomnień o jedzeniu. Na koniec, gdy wnętrzości Kero uspokoiły się z braku czegokolwiek, co mogłyby jeszcze z siebie wydalić, Dierna otarła jej spocone czoło zakurzonym aksamitnym rękawem i pomogła jej usiąść na niegdysiejszym ołtarzu.

Kero rozejrzała się w poszukiwaniu miecza; leżał tuż poza zasięgiem ręki. Dierna podążyła za jej spojrzeniem. Czując skrępowanie, poklepała ją po ramieniu.

— Podam ci go — powiedziała głosem zachrypniętym od krzyku i płaczu. — Ty zrobiłaś wszystko dzisiejszej nocy. Mniejsza o tę przerażającą kobietę.

„Przerażająca kobieta. Teraz sobie przypominam, gdzie słyszałam ten głos. Stara kobieta. To był ten sam głos, który słyszałam na drodze. Stara kobieta, która zatrzymała mnie w drodze do Wieży...”

Kiedy Dierna podniosła miecz z niezdarnością, wywołaną głównie tym, że starała się go nie dotknąć i utrzymać od siebie na wyciągnięcie ręki, Kero szukała starej kobiety, wodząc wzrokiem wokoło. Nie było jej. Ani wilka. Ani wszystkich zdatnych do użytku strzał.

— Proszę — powiedziała Dierna, wysuwając miecz rękojeścią w stronę Kero.

Ta wpatrywała się w dziewczynę, nie biorąc go do ręki. Okropne, głębokie do kości rozcięcie goiło się na jej oczach, goiło się szybciej niż jakakolwiek rana, którą Kero w życiu widziała. Zanim zdążyła otrząsnąć się ze zdumienia i odebrać ostrze z niechętnych rąk Dierny, rana zasklepiła się i znikła, zamieniwszy się w cienką, różową linię, nie zostawiając nawet blizny.

„On leczy? Najmilsza Agniro, on także leczy? Po tym, jak zamienił mnie w berserkerę, oszalałego zabójcę? I co tutaj robiła ta stara kobieta?”

Tupot kopyt roztańczonego konia spowodował, że odwróciła się, aby ujrzeć — w tę noc pełną cudów — jeszcze jedną niespodziankę.

Olbrzymi wilk powrócił. W pysku trzymał lejce dwóch koni; jeden należał do Kero, a drugi pochodził, jak rozpoznała, ze stajni zamkowej. Verenna, mokra ze strachu, drżała mocno, najwyraźniej zbyt przerażona, aby próbować ucieczki, podczas gdy drugie zwierzę, zbyt znużone, nie zwracało uwagi na swego niecodziennego „stajennego”. Wilk podprowadził konie prosto do niej i warknął, co

wywołało rzenie spłoszonej Verenny. Kero złapała końce lejców, dyndające z jego pyska i wilk natychmiast puścił konie wolno. Verenna szarpnęła łbem, próbując umknąć, ale Kero ją przytrzymała. Przerazona klacz, wywracając oczami, tańczyła nerwowo, miecz po raz wtóry wypadł Kero z ręki i wylądował na ziemi. W końcu dziewczyna musiała złapać klacz za nozdrza i zacisnąć je mocno, odcinając dopływ powietrza, aby ją uspokoić.

Podnosząc miecz po raz drugi, rozejrzała się dookoła z poczuciem winy, ale starej kobiety wciąż nie było w zasięgu wzroku. Czowała, że jeśli natychmiast nie oczyści ostrza, to naprawdę zostanie zbesztana, a jakoś nie miała ochoty na sztyderstwa groźnej, starej wiedźmy.

„Jak, u licha, utrzymam konie, czyszcząc tę przeklętą rzecz?” — pomyślała. Rozejrzała się dookoła i w rezultacie przywiązała obydwie konie do palików w zaroślach. Mogła jedynie mieć nadzieję, że to wystarczy; jeśli uciekną, nie sądziła, aby wilk był skłonny przyprowadzić je po raz drugi.

Miecz pokrywała skorupa brudu. Kero musiała odciąć spodni kawałek tuniki i skorzystać z resztek pozostałych w porzuconym worze na wino, aby oczyścić oręż przed włożeniem go do pochwy. Ogień przygasał, kiedy kończyła. Wsunęła ostrze za pas i wzrokiem poszukała Diorny, spodziewając się zobaczyć ją leżącą gdzieś w omdleniu, tak nieporadną i roztrzęsioną, jak jej kuzynki. Zamiast tego zobaczyła, że dziewczyna przegląda stertę łupów, należących do jednego z rabusiów, który wygrywał w grze w kości. Przewracała stos patykami, odrzucając wybrane rzeczy na podarty płaszcz, który rozciągnęła z jednej strony.

— Diarna! — krzyknęła Kero i aż skrzywiła się, kiedy dziewczyna podskoczyła, straciła równowagę i upadła.

Odeszła od koni i zbliżyła się znużona, aby podać Diornie rękę.

— Wybacz. Ale cóż ty, w imię Sześciu Piekieł, robisz?

Twarz dziewczyny wyrażała upór.

— Szukam moich prezentów ślubnych — odpowiedziała.

— Co?! — Kero nie była pewna: krzyczeć, śmiać się czy płakać.

Uprowadzono ją. Przyjaciele i nowi krewni zostali zabici. Niemal skończyła w gardzieli jakiegoś potwora. „Po takich przeżyciach ona szuka kilku nędznych kielichów?”

— Szukam moich prezentów ślubnych — powtórzyła dziewczyna. — Należą do mnie, mnie je wręczono i ja, ja... nnnie mam zamiaru pozwolić, aby te b-b-bestie je sobie zabrały!

Oczy zaszyły jej łzami. Kero wyczuła, że dziewczyna wpadnie w histerię, gdyby próbowała jej przeszkodzić w poszukiwaniach. Westchnęła:

— Niektórzy z tych rabusiów rzucali o nie kośćmi. Pozwól mi sobie pomóc. Przy okazji — z Lordanem wszystko w porządku, a przynajmniej wszystko będzie z nim w porządku do czasu, kiedy wrócimy. Moja babka, czarodziejka Kethryveris, tak powiedziała.

— Naprawdę? — wymamrotała dziewczyna, wyławiając srebrną tacę ze ster-ty śmieci. — To dobrze. Cieszę się, że mimo wszystko będziemy mieć wesele. Lordan jest bardzo miłym chłopcem.

Kero o mało się zadławiła. „To dobrze? Jest szczęśliwa z powodu ślubu? Kiedy mój ojciec i brat. . .”

Przez chwilę Kero musiała zachować głęboki spokój, odliczając wolno, aby nie wpaść w pasję i nie zabić dziewczyny, której ruszyła na ratunek.

„Stop. Nie zabijaj jej. Nie zdaje sobie sprawy z tego, jak to zabrzmiało. Nie mów jej, co o niej myślisz. Krzycząc na dziewczynę niczego nie osiągniesz. Lordan jest dla niej niemal obcy, nie znała go zbyt długo. Cóż to jest: tydzień czy coś koło tego? A jeśli nie wyjdzie za mąż za niego, znajdą jej innego oblubieńca w ciągu kilku tygodni. Najprawdopodobniej nie tak przystojnego i na pewno nie tak młodego, jednakże równie obcego. . .

Najmilsze boginie, to mogłabym być ja!

Nic dziwnego, że chce odzyskać swoje prezenty ślubne. To jedyna jej własność, jedyne rzeczy, które naprawdę posiada. Nie jest nawet panią samej siebie.”

Kero odnalazła ostatni komplet srebrnych kielichów do wina, których szukały. Były pogięte, ale wciąż jeszcze rozpoznawalne. Rzuciła je na płaszcz. Wtedy Dierna podniosła oczy, łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Podbiegła do Kero i zarzuciła jej ręce na szyję. Kerowyn przytuliła ją nieporadnie, kiedy zaczęła szlochać jej w ramię.

— K-Kerowyn, myślałam, że oni mnie zabiją! — płakała Dierna. — Myślałam, że nikt nie pojawi się na czas! B-byłaś w-w-wspaniała! . . .

Trwało to dobrą chwilę. Biedne dziecko. Biedactwo. Kero poklepywała ją po plecach dla dodania otuchy, dopóki potop nie ustał. Wtedy poprowadziła ją do boku zapasowego konia i powiesiła wypchany dobytkiem płaszcz u siodła. Koń był tak zmęczony, że brzęczący toból nie wzbudził jego sprzeciwu.

— Gdzie jest podkolannik? — zapytała Dierna, próbując znaleźć część upręży końskiej, do której była w siodle przyzwyczajona.

— Nie ma — odpowiedziała Kero, wdrapując się na grzbiet Verenny. — Będziesz musiała dosiadać konia tak jak ja.

— Jak. . . ale. . . — Dierna zbladła, a potem jej dolna warga zaczęła drżeć. — Ale. . . ale. . . ja nie mogę! To nie jest. . . moja sukienka. . . to nie po kobiecemu!

Kero przymknęła powieki, błagając Agnirę o cierpliwość.

— Twoja sukienka wisi w strzępach — zwróciła uwagę. — Prócz tego nikt nie spodziewa się ujrzeć cię żywą, Dierno. Nikt nie zauważy, że jedziesz okrakiem. A teraz przetnij swoją sukienkę i wynośmy się stąd, zanim któryś z tych rabusiów powróci.

Kiedy Dierna nie mogła się zdecydować, trzymając luźno w palcach wręczony jej mały nóż, Kero dodała:

— Ta rzecz podobna do pijawki może nie być martwa.

Dziewczyna pisnęła, przecięła spódnicę sukni tak, aby móc przerzucić nogę nad siodłem i wsunęła stopę w strzemień. Wskoczyła na konia tak szybko, jak tylko mogła sobie tego życzyć Kero.

„Błogosławiona Agniro, uchron mnie przed kobiecością, jeśli na tym ona polega” — pomyślała Kero. Słowa te zamieniły się w podświadomą modlitwę, gdy chwyciła za lejce konia Diorny, aby poprowadzić go za swym własnym. „Po prostu oszczędź”.

Piąty

— *A więc co teraz powiesz o dziewczynie?* — zapytał Warrl, będąc w nastroju do konwersacji, kiedy Tarma sortowała porozrzucaną własność rabusiów.

— Jestem pod wrażeniem — przyznała Shin'a'in.

Przykucnęła na piętach, opróżniła sakiewkę i oddzielała miedź od srebra. Nie dlatego, że było mnóstwo tego pierwszego — tego drugiego było jeszcze mniej — ale Tarma była duszą oszczędną, a młody Lordan będzie potrzebował wszelkiej pomocy. Będzie musiał opłacić dostateczną ilość najemników, aby wybić z głowy sąsiadom zakusy przyłączenia jego włości do ich własnych. Na to potrzeba było gotówki, a srebro i miedź były równie w cenie jak złoto.

— Myślę, że możemy dobrze ocenić, ile z tego, co się wydarzyło, było dziełem miecza, a ile dziewczyny — ciągnęła, wsypując miedziaki do dużej, skórzanej sakiewki, która jeszcze niedawno służyła za bukłak na wino. — Poza brawurą nie ma odrobiny oleju w głowie.

— *Nie tak jak pewien barbarzyński nomad, którego niegdyś znałem* — prychnął rozbawiony Warrl.

Tarma zignorowała go po prostu i przeniosła się w pobliże sterty złupionych prezentów ślubnych, które przeoczyła Dierna. Oczywiście leżały one pod jednym z ludzi, których ustrzeliła Tarma i być może dlatego pozostały nie zauważone...

Potrząsnęła głową nad przesiąkniętym krwią, jedwabnym płaszczem. „Niedobrze, to jest prezent ślubny zupełnie zniszczony i nie do użycia”. Cisnęła go do ogniska.

— Kiedy byłam młodsza, nigdy nie twierdziłam, że mam mnóstwo oleju w głowie. Teraz — mój Boże — wolę wkładać minimum wysiłku, a to wymaga planowania. To była dobra robota z tymi końmi, Kudłata Mordo.

— *Dziękuję. A ty przy strażnikach okazałaś swoją zwykłą efektywność.*

Warrl wywęszył coś w ziemi i popchnął łapą w stronę swojej towarzyski-w-myśli mały, złoty pendent. Schwyciła go zwinnie i wrzuciła do odpowiedniej sakiewki.

— Musisz planować coś grubiańskiego. Prawisz mi komplementy — droczyła się z nim, obdzierając leżące u jej stóp ciało ze wszystkiego, co mogło się przydać, odrzucając różnorodne przedmioty na odpowiednie kupki. — A jednak ci

powiem. Przeżyłam ciężkie chwile, kiedy ten mag rozpoczął swój krwawy rytuał. Myślałam, że ten głupi miecz zawładnie dziewczyną, zamieniając ją w łatwy, soczysty cel, zanim będziemy mieli szansę odwrócić ich uwagę.

— *Nie sądzisz, że on wiedział, co robimy?* — Warrl przywlókł pęk sakw podróżnych do ognia, aby Tarma mogła w nich pomyszkować, a potem stanął obok i przekrzywiwszy łeb, obserwował ją z zaciekawieniem.

— Nigdy nie wiedziałam, co ten miecz zauważa, a co nie — przyznała się Shin'a'in. — Wiem, że ta przeklęta rzecz potrafi być zdumiewająca, kiedy ma na to ochotę — ale nie sądzę, aby nawet Kethry udało się kiedykolwiek go przejrzeć, a ona należy do klasy Adeptów. Na pewno wiemy jedynie to, że on leczy, dzięki niemu mag staje się mistrzem w walce, a wojownik jest chroniony przed magią. I nigdy nie wystąpi przeciw kobiecie.

— *Oraz że kobieta w niebezpieczeństwie przyciąga go, jak Przynęta jastrzębia.*

— To także — westchnęła Tarma, myśląc o wszystkich przypadkach, kiedy to się zdarzyło. I o wszystkich wynikających z tego kłopotach. Nie wspominając płatnych zadań, których musiała się podjąć. — Co zrobiłeś z resztą podjezdaków?

— *Zagoniłem je do wąwozu bez wyjścia. Nigdzie nie uciekną. Założyłem, że będziesz miała na nie ochotę.*

Warrl wyrażał się z większym niż zazwyczaj zadowoleniem i nie bez powodu. Kiedy Tarma skończy zbierać wszystko, co jest do odratowania, pozostawi tutaj tyle, że wystarczy dla przynajmniej trzech sfor zwierzęcych. Same konie były coś niecoś warte, choć były to źle traktowane, karłowate zwierzęta. Większość koni dosiadanych przez rabusiów nie była skradziona z zamku.

— *Będą warte więcej, jeśli Lordem ofiaruje je jako premię każdemu najemnikowi, który wstąpi w jego szeregi, aniżeli je sprzeda* — nadmienił Warrl, podążając jak zwykle z łatwością za tokiem jej rozumowania. — *Nie jest częstym zwyczajem dawanie najemnikowi szansy nawet na tak karłowatego podjezdaka jak jeden z tej grupy.*

— Dobra myśl. Dopilnuję, aby zdał sobie z tego sprawę. — Wyprostowała się i omiotła spojrzeniem resztki obozowiska. — Sądzę, że zabrałam wszystko, co było warte zabrania. Witajcie sępy przy tym, co pozostało.

— *Żaden szanujący się sęp nie dotknie ani jednego z tych głupców.* — Warrl kichnął ze wzgardą. — *Głupota może być zaraźliwa.*

Tarma prychnęła na zgodę, zawiązując tobolek z wybranymi, srebrnymi talarzami.

— Nie grzeszyli szczególną bystrością, nieprawdaż?

— *Czy nie intryguje cię to? To dziwne.*

Tarma zastygła na chwilę z rękami na ostatnim węźle.

— Teraz, kiedy o tym wspomniałeś — powiedziała powoli — rzeczywiście tak. Myślałby kto, że ci durnie nigdy ze sobą nie współpracowali.

— *Najmowani pojedynczo?* — Warrl oblizał się. — *A potem zebrani do kupy. To tłumaczyłoby pewne rozluźnienie szeregów, brak koordynacji. Rzeczywiście, działali tak, jakby każdy z nich wykonywał jemu tylko wydane rozkazy i do diabła z tym, co miał robić ktoś inny. Kiedy już założyli obóz, jedynym, co zrobili wspólnie było wystawienie wart.*

— Dokładnie tak. — Tarma ponownie przysiadła na piętach, wpatrzona w przygasające ognisko niewidzącymi oczyma. — W takim razie, dlaczego ktoś chciałby zbierać do kupy obwiesiów, wiedząc, że rozpierzchną się w chwili, gdy tylko uporają się z robotą?

Warrl zaczął przechadzać się tam i z powrotem, kołysząc lekko łbem na boki.

— *Ktoś mógłby wyjść z założenia, że ten, kto ich wynajął, chciał, aby zostali łapani?*

— Słuszne spostrzeżenie. Pomyślmy. Jeśli tym głupcom powinęłyby się noga, co wtedy stałoby się z nimi? — Tarma wstała i zaczęła przechadzać się razem z Warrlem.

— *Jeśli nie byliby w stanie porwać dziewczyny, Rathgar zostałby obarczony winą za niezapewnienie jej ochrony. A mnie się wydaje, że — tak czy siak — magowi rozkazano pozbyć się Rathgara za wszelką cenę. Jasnym jest, że ten ktoś dysponował ludźmi, którzy mieli się o to zatroszczyć.* — Warrl przerwał swoją przechadzkę i spojrział na nią. — *Posiadłość znalazłaby się w rękach chłopca.*

— *Którego można by się pozbyć, gdyby tylko panna młoda urodziła dziedzica lub nawet wcześniej.* — Tarma podrapała starą bliznę na grzbiecie dłoni. — *Dobrze, gdyby zaś odnieśli połowiczny sukces i zabili Rathgara, ale pozostawili za sobą ludzi, zdolnych do podjęcia pościgu, minęłoby sporo czasu, zanim udałoby się zorganizować pogoń. I nawet gdyby ta pogoń wreszcie ruszyła, napastnicy mieliby dość czasu, by pozbyć się dziewczyny, a to dałoby rodzinie usprawiedliwiony powód do wszczęcia krwawej waśni.*

— *Jeśli przyjmujemy, że dziewczynę można przeznaczyć na straty...* — myśli Warrla miały gorzki posmak.

Tarma poczuła równą gorycz. Shin'a'in żyli i umierali dla swojego Klanu, a pomyśl, że człowiek może zostać zdradzony dla zysku przez ludzi ze swego rodu, ścinał jej krew w żyłach. Nie dlatego, że nie spotkała się z tym już uprzednio, ale dlatego, że zawsze ścinało jej to krew w żyłach.

— Myślę, że można. Biorąc pod uwagę, kto prawdopodobnie się za tym kryje. Keth domyśliła się tego. Wuj. Baron Reichert.

— *To jest w jego stylu.*

— Zgadza się z tym. Poświęciłby własną córkę, a co dopiero siostrzenicę — zmarszczyła brew. — Zabierajmy konie. Myślę, że kiedy staniemy na miejscu, lepiej będzie, jeśli zabezpieczymy zamek skuteczniej, niż to uczynił Rathgar, w przeciwnym razie panna młoda zostanie wdową, nim rok upłynie. Zakładając,

że i ona dożyje do tego czasu.

Słońce zbliżało się do zenitu, kiedy Tarma wpędziła znużone, konie do przejścia w obronnym obwałowaniu, otaczającym ziemie zamkowe. Przejeżdżając pod opuszczaną kratą poczuła swędzenie skóry. Kethry otoczyła już to miejsce barierą przeciw magom.

Zamek był czymś więcej niż tylko twierdzą. Było to małe, otoczone murami miasteczko, z niewielkim pastwiskiem czy może dużym wybiegiem dla koni w obrębie umocnień. Kamienne mury obsadzono dziwnym oddziałem złożonym z kobiet, starych mężczyzn i chłopców. Jednak Tarma kiwała głową z aprobatą, poddawszy ich inspekcji, po tym, jak zsiadła z konia i prowadziła go do stajni. Wszyscy, uzbrojeni w różnorodną broń, z którą najlepiej byli obznajomieni, zachowywali czujność. Sprawiali wrażenie zdeterminowanych. Chłopcy trzymali proce i łuki, starcy — dzidy i kusze, a kobiety — noże, sierpy i cepy. Ogorzała cera i mocna budowa zdradzały, że te kobiety i chłopcy zostali skrzyknęci z gospodarstw, sąsiadujących z zamkiem. Tarma dobrze знаła chłopów. Każdy najemnik ich zna. Można ich przestraszyć, lecz jeśli zdecydują się bronić, nie warto przeciw nim występować. Chłopi, podobni do tych, zabili wielu ludzi taką właśnie „wieśniaczą” bronią.

Najwyraźniej spodziewano się jej przyjazdu. W każdym razie wieśniacy z okolic zamku pamiętali ją z minionych dni, kiedy razem z Keth prowadziły tu szkołę. Chłopi sięgają pamięcią daleko wstecz i kilku z nich ją rozpoznało. Ona przypomniawszy sobie jedną czy dwie osoby, kiedy wjechała w obręb murów, na tyle blisko, aby rozróżnić twarze. Należała do nich stojąca nad bramą kobieta, która zamachała na przywitanie i ponownie skupiła uwagę na drodze, osłaniając ręką oczy i wachlując się kapeluszem. Obok niej, oparty o ścianę, stał niebezpieczny sierp o długim ostrzu; świeżo naostrzony, sądząc po bijącym od niego blasku. Tarma widziała go w jej rękach podczas żniw i nie miałaby ochoty rozbudzić jej gniewu.

Nikt nie zszedł, aby zaoferować pomoc, co dobrze świadczyło o dyscyplinie. Kethry najwyraźniej udało się przekonać ich o powadze sytuacji.

„Może i starzeję się — pomyślała Tarma z pewną dozą oschłej przyjemności, zeskakując z siodła — ale dzień, w którym Shin’a’in potrzebuje pomocy przy stadzie wyczerpanych koni, jest dniem jej całopalenia”.

Jej wojenna klacz szła za nią do wejścia z trzema jucznymi końmi kroczącymi trop w trop za nią. W czasie gdy ona rozkulbaczała i zdejmowała uprzęż ze swoich czterech koni, Warrl zagnał resztę do najdalszego kąta podwórca, tuż obok zagrody. Kiedy sakwy i siodła wylądowały na stercie obok drzwi, Tarma wraz z Hellsbane pognały przed sobą trzy znużone, powłóczące w kurzu kopytami podjezdki, aby dołączyły do reszty. Warrl utrzymywał konie w ryzach samą

swoją obecnością, a dzięki Hellsbane zachowały spokój, kiedy Tarma otwierała obydwie skrzydła drzwi do zagrody.

Zagwizdała i poprzez otwarte wrota patrzyła, jak Warrl leniwie staje na nogi. Szczeknął raz, a Hellsbane odegrała rolę towarzyszącego owczarka. Biednym zwierzętom było tego aż nadto. Spłoszone jego widokiem, ruszyły zmęczonym kłusem i powłócząc kopytami, przeszły obok Tarmy na pastwisko. Zamknęła za nimi wrota i wróciła na wybrukowany, zalany słońcem podwórzec, powłócząc nogami jak one.

Czekał tam już na nią kyree. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że dośkwierał mu każdy rok życia, który miał za sobą.

— *Czy to już koniec?* — zapytał z nadzieją Warrl, wywieszając jęzor.

— Dla ciebie tak — odparła, przeciągając się i przy każdym ruchu odczuwając dawno odniesione rany. — Lepiej dowiem się, jakie zamiary ma Kethry.

— *Jeśli nie weźmiesz mi tego za złe, udam się na posiłek, a potem rozłożę się na chwilę.* — Warrl skierował się w stronę kuchni ogrodowej. — *Myszę, że ten podkuchenny wciąż jeszcze mnie pamięta.*

— Chciałabym zrobić to samo — westchnęła do siebie. — A, niech to. Grzesz ni nie znają spokoju. . .

Przechodząc obok sterty pakunków, chwyciła sakwy z biżuterią oraz pieniędzmi. „Nie sądzę, aby ktokolwiek z otoczenia był nieuczciwy, ale po co ryzykować?” Wrota zamkowe uchylono do połowy. Pchnięciem otworzyła je na oścież i nie zapowiedziana weszła do środka.

W zewnętrznej sieni panował chłód i — dla jej oczu strudzonych na skąpanym w jasności podwórzu — głęboka ciemność. To nie miało znaczenia, miejsce to było dla niej domem przez, długie lata; znała każdy kamień w ścianie, każde pęknięcie w podłodze. „O ile Rathgar nie postawił posągów na środku drogi, powinnam odnaleźć drogę do Wielkiej Sieni z zawiązanymi oczami” — pomyślała. — „Założę się, że to tam jest Kethry”.

Nie myliła się.

W Wielkiej Sieni było niemal tak jasno, jak na podwórzu. Wysokie na trzy piętra pomieszczenie oświetlał rząd biegnących u samego szczytu wąskich okien. Nie było to tak ryzykowne, jak mogłoby się wydawać. Na zewnątrz nich biegł balkon spacerowy, który, podczas oblężenia, mógł służyć za galerię łuczniczą, zaś ściany zewnętrzne zbudowano z gładkiego kamienia. Kethry znajdowała się w środku Wielkiej Sieni, nadzorując pół tuzina pomocników, jak zwykle żwawo i energicznie, z podwiniętą do kolan suknią i włosami upiętymi pod chustą. Urządziła w całej Wielkiej Sieni coś w rodzaju lazaretu, a pacjentów nie brakowało. Liczba rannych przeraziła lekko nawet Tarmę; można było pomyśleć, że rozkazy wydane najeźdźcom specjalnie kładły nacisk na zadanie jak największych strat i obrażeń w możliwie najkrótszym czasie.

„O to mogło właśnie chodzić” — pomyślała trzeźwo, posuwając się w labi-

ryncie mat rozłożonych na kamiennej posadzce. „Im więcej ucierpieli sprzymierzeńcy Rathgara, tym lepiej dla Reicherta. Nie byłiby w stanie wesprzeć chłopca oraz, co bardzo prawdopodobne, nie mieliby na to także ochoty”.

Kethry klęczała przy boku człowieka, który był przytomny i z nią rozmawiał. Oderwała wzrok od swego pacjenta i podniosła oczy. Jej znużony uśmiech powiedział Tarmie wszystko, czego jej było trzeba, o nocy czarodziejki — długiej i wyczerpującej, lecz nagrodzonej w jedyny liczący się sposób: obrażenia, w najgorszym wypadku, były tylko powierzchowne. Tarma pokiwała głową i podczas gdy Keth w dalszym ciągu była zajęta opatrywaniem głęboko przeciętej nogi ranego, zwolniła kroku, aby przybyć w chwili, kiedy ta ukończy opatrunek.

— Wygląda na to, że spędziłaś nie byle jaką noc, she'enedra — cicho powiedziała Shin'a'in do wstającej z klęczek Kethry. — Jak czuje się chłopiec?

— Będzie żył — odpowiedziała, wsuwając kosmyk włosów pod chustkę. — Prawdę mówiąc, myślę, że nie minie sporo czasu, a stanie na nogi. Utrzymywałam jego organizm w równowadze na odległość, gdy tylko Kero opowiedziała mi, co się wydarzyło, a mnie udało się rzucić lecznicze zaklęcie, którego nauczyłam się od Bezimiennej.

Tarma potrząsnęła głową i skrzywiła się.

— Nigdy nie mogłam tego zrozumieć. Mag klasy Adepta i w połowie przypadków nie jest w stanie uzdrowić nawet skaleczonego palca.

— Moc nie ma tu nic do rzeczy — odparowała Kethry — i to jest piekielnie frustrujące.

— W takim razie, myślę, że twoje sukcesy w uzdrawianiu mają równie wiele wspólnego ze stanem desperacji, w jakiej się znajdujesz, jak z czymkolwiek innym — odparła kobieta-wojownik, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, napinając bolące ścięgna. — Za każdym razem, kiedy naprawdę trzeba było, żeby to pomogło, pomagało. Nie udawało ci się jedynie wtedy, kiedy próbowałaś rzeczy trywialnych.

— Hm, może i tak. No cóż, z chłopcem wszystko w porządku i jest za to tak wdzięczny, jakby sobie tego każdy życzył, niech bogowie jego serce pobłogosławią. Dziewczyna zaś z drugiej strony... — Kethry przewróciła oczami z ekspresją. — Najmilsi bogowie i moce! W życiu nie słyszałaś takich szlochów i nie widziałaś takiej komedii. Kero przybyła gdzieś nad ranem i z Jej Wysokością było wszystko w porządku, dopóki jedna z tych idiotek, kuzynek, nie zauważyła jej i nie zaczęła miauczeć. Wtedy, myślałby kto, że każdą ranę zadano jej gładkiemu, blademu ciału.

— Tego mniej więcej się spodziewałam — wtrąciła lakonicznie Shin'a'in. — Zakułaś ją za to w dyby, czy co?

— Odesłałam na górę do izby dla kobiet, razem z resztą jej rozhisteryzowanych krewniaczek — dokończyła Kethry; jej usta zacisnęły się ze wstrętem w cienką linię. — Kero zaś wysłałam do łóżka, natychmiast po wizycie u brata.

Ta dziewczyna jest ulepiona z nie byle jakiej gliny.

— I tak być powinno — stwierdziła Tarma; odczuła przyjemność, że Kero nie rozsypała się natychmiast po powrocie w bezpieczne miejsce. — Nie zawsze to się sprawdza. No dobrze, idę do łóżka. Nie omieszkaj wkrótce zrobić tego samego!

— Wkrótce, do diabła — prychnęła kobieta-mag. — Zaraz to zrobię. W tej chwili nie ma tu nic do roboty, z czym nie poradziłby sobie ktoś inny. Jest tutaj pół tuzina pomocników, bardziej wypoczętych i równie zręcznych.

Tarma złapała się za tunikę nad sercem.

— Błogosławiona Gwiazdzistooka! Ty obarczasz pracą innych! Myślałam, że nigdy tego dnia nie doczekam!

Kethry na niby wymierzyła jej cios, kobieta-wojownik zrobiła unik.

— Uważaj, bo zamienię cię w żabę!

— Och, zrobiłabyś to? — zapytała z nadzieją Tarma. — Żab nikt nie wyciąga w środku nocy z łóżka na ratunek głupim dziewczuchom.

Kethry tylko wyrzuciła do góry ręce z niesmakiem i odwróciła się, aby odszukać jednego ze swoich „pomocników”.

„Do tej pory sadło powinno być już gotowe” — myślała Kero odstawiając na bok moździerz i tłuczek, aby sprawdzić małe naczynie z sadłem, które podgrzewała w łaźni wodnej. Spiżarnia była ciemna, chłodna i przepojona zapachami setek różnych ziół. Ze wszystkich „kobięcych” miejsc w całym zamku, to było ulubionym miejscem Kero. Dierna wciąż jeszcze mdlała za każdym razem, gdy wystawiła stopę poza próg izby dla kobiet — zbrojowni ponownie zamienionej na rozkaz podnieconej Dierny w komnatę dla kobiet — tak więc babka Kethry powierzyła sporządzanie lekarstw rękom Kero.

„To wypełnia mi czas” — pomyślała dziewczyna ze szczyptą smutku. „Przynajmniej jest to pożyteczne zajęcie. Nie to, co robótki ręczne Dierny”. Niektóre z recept Kethry podyktowała z pamięci i o tych Kerowyn nigdy do tej pory nie słyszała; zupełnie ją zafascynowały. Zamykanie się w spiżarni przestało być tak nudnym zajęciem, jak do tej pory.

Kryjówka w spiżarni była właśnie tym — kryjówką. Krewni Dierny, szczególnie płci żeńskiej, poddawali ją szczególnym testom. Czasami zachowywali się, jakby była istotą tak dziwną i pozaziemską, jak gigantyczny wilk Tarmy. Przy innych okazjach stanowiła dla nich główne źródło rozrywek. Rozmawiali z nią tak rzadko, jak to tylko możliwe, ale była pewna, że zmyślają na jej temat szalone opowieści, gdy znajduje się po drugiej stronie izby dla kobiet.

„Nie wygląda na to, żeby spędzali czas na jakimkolwiek innym zajęciu, to oczywiste” — pomyślała z goryczą, ostrożnie zdejmując z ognia naczynie pełne roztopionego sadła i przesiewając do niego sproszkowane zioła. „Zdumiewające są ich zdolności znikania w różnych miejscach, kiedy prawdziwa robota czeka”.

Zmieszała zioła z sadłem energicznymi uderzeniami szpatułki, wyładowując nieco swej złości na kobiety na naczyniu z balsamem. Była znużona odbieraniem dziwnych, rzucanych kątem oka, spojrzeń; znużona tak, że wciąż jeszcze nosiła rzeczy po Lordanie, a nie stroje, które „przystoją” kobiecie — z czystej przekory.

„Kiedy uczę chłopców łucznictwa, kiedy sprzątam i dźwigam, siedzę w spiżarni lub opiekuję się rannymi — zbuntowała się — bryczesy są o całe niebo praktyczniejsze od spódnic. Dlaczegożbym miała ich nie założyć? Babka i ta kobieta, Shin’a’in, zakładają...”

Tutaj musiała się uśmiechnąć. „A wszystkie tak boją się babki i jej przyjaciółki, że jeśli jedna z nich wygląda na niezadowoloną, prawie tracą przytomność”.

Balsam pachniał cudownie. Już tym bardzo różnił się od medykamentów, które zwykle tutaj przygotowywała. Westchnęła. Zaczęła mieszać nieco wolniej, czując zbliżającą się melancholię. Życie nie było już takie samo i wydawało się, że nigdy nie będzie.

„To nie tylko one, lecz wszystko dookoła. Nikt nie traktuje mnie już tak samo. Ani służba, ani Wendar, ani nawet Lordan. Dlaczego wszystko uległo zmianie? To nie ma sensu. Ja się nie zmieniłam. Oczywiście, ojciec...”

Myśl o Rathgarze wywołała w niej poczucie winy. Zdawała sobie sprawę, że powinna go opłakiwać — Dierna robi to na pewno. Dziewczyna przewróciła garderobę Lenory w poszukiwaniu żałobnych szat i kazała je przerobić na siebie i swoje dworki. Na pogrzebie zachowywała się tak, jakby Rathgar był jej ojcem, a nie Kero.

„Zrobiła to za nas dwoje, za mnie i za Lordana” — wspominała z przekąsem Kero. „Może chodzi tu o to, że kiedy żyła matka, nie widywałam się z nim zbyt często, a gdy odeszła, on nigdy, prawdę powiedziawszy, nie miał mi wiele do powiedzenia poza słowami krytyki. W rzeczywistości, sądząc z tego, jak często się widywaliśmy, równie dobrze mogłabym zostać oddana w obce ręce. Dent i Wendar lepiej byli mi znani!” Westchnęła ponownie. „Musi być ze mnie oziębła suka, skoro nawet nie potrafię opłakiwać śmierci własnego ojca”.

Usłyszała odgłos kroków na kamiennej posadzce na zewnątrz. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

— A więc to tutaj się ukrywasz — rozległ się szorstki głos za jej plecami. — Wojowniku, błogosław! Tutaj jest ciemno, jak w jaskini! Co ty robisz? Zamieniasz się w nietoperza?

— Musi być ciemno — wyjaśniła Kero, nie odwracając się i głowiąc się, co spowodowało tutaj tę straszną kobietę-wojownika. — W świetle wiele ziół traci moc.

— Wierzę ci na słowo. — Shin’a’in wśliznęła się ostrożnie do wąskiej i ciasnej spiżarni, usuwając się z drogi Kero. — Ludzie z mojego plemienia nie gromadzą zbyt wiele zapasów. Na jeden, najwyżej dwa sezony. Nie mów mi, że podoba ci się tutaj.

— Czasami — odpowiedziała Kero. — Jest lepiej niż... — ugryzła się w język, aby nie kończyć zdania.

— Jest lepiej niż tam, na zewnątrz, gdzie kury i kurczaki gdaczą na ciebie z dezaprobatą. — Shin'a'in dokończyła za nią. — Wiem, jak to jest. Tylko dlatego ich języki nie imają się mnie, ponieważ są głęboko przekonani, że rozplatałabym niewyparzone ozory, gdyby cokolwiek do mnie doszło.

Zachichotała i zaskoczona Kero odwróciła się, aby przyjrzeć się dziwnej kobiecie.

— Nigdy nie zostałyśmy sobie we właściwy sposób przedstawione. Na imię mi Tarma — Tarma shena Tale'sedrin, mówiąc precyzyjniej — Shin'a'in z Klanu Jastrzębi. Jestem, od zamierzchłych czasów towarzyszką twojej babki i to ja w połowie przyczyniłam się do tego, że twój ojciec jej nie akceptował.

— Ty? — powiedziała Kero, zafascynowana bezpośrednim zachowaniem się tej kobiety o jastrzębiej twarzy. — Ale... dlaczego?

— Ponieważ był święcie przekonany, że ona i ja dzielimy tarczę — to znaczy, że jesteśmy kochankami, moja droga. Mylił się całkowicie, ale nigdy nie dał się przekonać. — Tarma ledwie drgnęła, lecz nagle w jej dłoni pojawił się mały nóż o wąskim ostrzu. Zaczęła sobie czyścić paznokcie. — Inną przyczyną tego, że jej nie akceptował, był fakt, iż obawiał się nas obu. Nie znałyśmy naszego miejsca, byłyśmy w stanie zrobić dokładnie każdą rzecz, do jakiej zdolny jest mężczyzna. Ale to zamierzchłe czasy, nie warto o nich mówić.

— Czy to za twoją sprawą mogliśmy dostać konie Shin'a'in do hodowli? — zapytała Kero, błyskawicznie łącząc ze sobą kilka faktów.

Tarma zachichotała.

— Do licha, jesteś bystra. Strzał prosto w dziesiątkę, jel'enedra. Słuchaj, przepraszam, że byłam wobec ciebie tak twarda, wtedy, w tę noc na drodze. Poddawałam cię próbie, czy coś w tym rodzaju.

— Domyśliłam się tego — odpowiedziała Kero.

Promień światła padł na nóż i odbił się od niego. Nóż wydawał się tak ostry, że mógłby skaleczyć nawet wiatr.

Shin'a'in kiwnęła głową z nikłym, pełnym satysfakcji uśmiechem w kącikach ust.

— Doskonale. Miałam taką nadzieję. Chcę, abyś wiedziała, że według mnie zachowałeś się tam całkiem nieźle. Zadygotałeś tylko raz, kiedy było po wszystkim. Wiesz, marnujesz się przy tym wszystkim.

— Przy czym? — zapytała Kero, zdezorientowana nagłą zmianą tematu.

— Tym, wszystkim... — Shin'a'in machnęła nożem w nieokreślonym kierunku, obejmującym cztery ściany spiżarni i to, co było za nimi.

Kero ukryła swoje zmieszanie, zwracając całą uwagę na balsam i z wysiłkiem panując nad rękami.

— Takie życie — ciągnęła Tarma — to dla ciebie zbyt małe wyzwanie. Drze-
nią w tobie znacznie większe możliwości. W moim plemienu mówią: „Zamknij
jastrzębia w klatce dla kanarków, a i tak będzie jastrzębiem”. Pomyśl o tym. Mu-
szę iść wdrożyć nieco dyscypliny pewnym zaciężnym strażnikom, ale będę w po-
bliżu, gdybyś mnie potrzebowała.

Na tym skończyła. Usunęła się Kero z oczu i zniknęła. W jednej chwili była
tam, a w drugiej już jej nie było; zostawiła za sobą jedynie kołyszące się drzwi do
spiżarni na znak, że tędy przeszła.

* * *

— No dobrze, kapuściane łby, nuże, odrobinę zwawiej zadawajcie te ciosy!
Dziesięcioro mężczyzn i kobiet — ci, którzy nie pełnili służby — zadali ciosy
dziesięciu kompletom skór, jak gdyby ich życie od tego zależało.

„Oczywiście, ich życie od tego zależy”.

Tarma przechadzała się wzdłuż linii zaciężnych strażników, z zaszępioną twa-
rzą, lecz w głębi ducha była zadowolona. Byli to solidni wojownicy, godni za-
ufania, z dobrymi referencjami, tak jak ona i Keth w początkowych dniach swej
kariery.

Jedyną różnicą było to, że kariery tych wojowników rozpoczęły się dawno.
Zwykle nie mieli już dokąd pójść, mogli tylko się staczać.

Ponieważ była w stanie dać z góry jucznego konia i wypłacić połowę żołdu,
jej plonem była śmietanka najlepszych najemników. Żaden z nich nie zapowiadał
się na wojownika, opiewanego w legendach, ale dla Lordana nadawali się znako-
micie. Większość osiągnęła wiek średni; szukali posady, która pomogłaby im się
ustatkować, być może pomyśleć o małżeństwie i dzieciach. To dlatego nie przy-
stali do żadnej kompanii najemników. Wyruszanie w pole co rok, to robota dla
młodych...

„I głupców” — pomyślała — „którymi ci panowie i te panie nie są.”

— Uderz w to jeszcze raz! — krzyknęła ponownie, mając poczucie czegoś
znajomego.

Ile razy wykrzykiwała te same słowa, na tym samym podwórzu?

„Tyle, że wtedy słuchały ją uszy młode, a nie wytrawne. Ci ludzie doskonale
zdają sobie sprawę z absolutnej konieczności codziennych ćwiczeń. Mimo desz-
czu, śniegu czy palącego słońca”.

Trzydziestu wytrawnych wojowników. To wystarczy. Nawet baron Reichert
dwa razy się zastanowi. I do tego jeden wyjątkowy rekrut...

W średnim wieku, jak pozostali. Niczym nie wyróżniająca się od reszty. Na-

wet kolor skóry o złotym odcieniu i wzrost — była bardzo wysoka jak na kobietę — nie były niczym wyjątkowym pośród najemników. Miecze do wynajęcia przybywały z każdego zakątka znanego świata i pewnych miejsc spoza jego granic; Beaker wyglądała jeszcze dziwniej niż ta kobieta. Zachowaniem nie odróżniała się od innych, nie domagała się specjalnych przywilejów, ani nie starała się zwrócić na siebie uwagi. Tarma musztrowała tego rekruta tak bezlitośnie, jak i pozostali. Nie poświęcała jej ani więcej, ani mniej uwagi.

Lyla Stormcloud pochodziła z dalekiego południa i zachodu; dalej niż Równiny Dhorisha. Półkrwi Shin'a'in, odziedziczyła po ojcu złotą karnację i czarne oczy; lekkonoga po matce, Prawdziwym Bardzie, przepełnionej podwójną dozą zamiłowania do wędrowności w tej tułaczkiej profesji. Życie pośród nomadów Klanu odpowiadało jej znakomicie, a Tale'sedrin, złożony z usynowionych sierot, przyjął ją z otwartymi ramionami, z czym mogłaby się nie spotkać w „czystej krwi” Klanie. Jakże się radowali, mając w swych szeregach Prawdziwego Barda!

Prawdziwy Bard — zawodowiec i w innej profesji, wyuczony w wieku dziecięcym, którą przekazała z kolei swojemu dziecku.

Zabójca.

„To dobrze, że Klan nic o tym nie wiedział aż do chwili, kiedy sporo czasu minęło od momentu przyjęcia jej w szeregi plemienia, w oparciu o jej talent i aktualnie wykonywany zawód.

I diablo to dla niej dobrze, że przyznała się do tego, zanim ktoś nie wyniuchał prawdy na własną rękę. Ale cieszę się, że tak się stało, szczególnie w tej sytuacji”. Aby zlikwidować zabójcę, najlepiej znaleźć innego zabójcę. Między brwiami zamyślonej Tarmy pojawiła się głęboka zmarszczka. „Wojownikowi niech będą dzięki za to, że zesłał jej matkę do Tale'sedrinu, a podwójne dzięki, że Lyla zgodziła się spakować manatki i przenieść tutaj na moje wezwanie.”

Lordanowi groziło niebezpieczeństwo dopóty, dopóki baron Reichert uważał go za bezbronny. Gdyby Tarma i jej partnerka mogły pozostać na dłużej, nic ani nikt nie zdołałby się tutaj wśliznąć. Teraz, gdy Kethry nie była już związana obietnicami złożonymi Rathgarowi, mogła postawić ochronną zasłonę przeciw magom, zdolną odeprzeć każdy magiczny zamach na wnuka, wyjąwszy zakłęcie rzucone przez Adepta. Gdyby Tarma mogła tutaj osiąść na stałe...

Lecz nie mogła tego uczynić i wiedziała o tym. Były i inne okoliczności; nie najmniejszą rolę odgrywał fakt, że lata jej młodości minęły już dawno, a ochrona przed zabójcami była robotą dla młodej osoby. To wtedy pomyślała o Lyli. Potem trzeba było jedynie posłać magiczną wiadomość przez Keth do szamana Tale'sedrinu Jadreka, który nawiasem mówiąc, był synem Kethry. Następnie, gdy Lyla wyraziła zgodę, dokonano poprzez Jadreka pewnej tajemniczej transakcji, dotyczącej plemion Tale'sedrinu z Puszczy Pelagiris, po to, aby dziewczynę tutaj sprowadzić. „Wciąż nie jestem pewna, w jaki sposób przybyła tu tak szybko. Bracia Jastrzębie znają sekrety magiczne, o których nie wiedzą nawet Kethry i inni

Adepci. Pewnie jedynie szamani Klanu orientują się, co oni potrafią. Lecz i oni milczą na ten temat”.

Nawet Lyla nie miała pojęcia, jak się tutaj znalazła; opowiedziała, jak to Jaredk zaprowadził ją na skraj puszczy i że następną rzeczą, jaką sobie uświadomiła, było to, że wychodzi z jaskini niedaleko Wieży.

„No i dobrze, pozwólmy im dochowywać tajemnic. Nie sądzę, abym miała ochotę zaznajamiać się z nimi”.

Teraz Lordan był na tyle bezpieczny, na ile Tarma była to w stanie zapewnić. Bez wątplenia bezpieczniejszy, niż można by kupić to za pieniądze. . .

Przyjemnie było patrzeć na Lylę; nie trwoniła sił i była niemal tak dobra jak Tarma w swych najlepszych czasach; lepsza od Tarmy obecnej, która utraciła dużo ze swej sprawności nie przez zaniedbanie treningu, brak woli, a przez stare kości, sztywne, pokryte bliznami mięśnie, wolniejszy refleks i zmysły już nie tak wyostrzone. . .

„Świat należy zatem do młodych. Przynajmniej jest młodzież, którą z przyjemnością oglądam. Taka, jak młoda Kero”.

Miała nadzieję, że użyła właściwych słów; nie powiedziała ani za dużo, ani za mało. Mówiąc zbyt wiele, mogłaby przepłoszyć ptaka z powrotem do gniazda; w przeciwnym wypadku Kero mogłaby nie zrozumieć, że dookoła rozciąga się wielki świat oraz niebo, gdzie można rozwinąć skrzydła.

„Jeśli umiem dobrze osądzać, ona ma refleks i instynkt, a trzeba jej jedynie umiejętności i siły, by przyćmić Lylę. Ma to w sobie. Nie brak jej także inteligencji i odwagi, co jest jeszcze ważniejsze. Z tym wszystkim, może być kimś więcej niż tylko zwykłym najemnikiem. Lecz jeśli będę naciskać, zbuntuje się, albo spłoszy”.

— Doskonale! — powiedziała głośno i złani potem wojownicy opuścili swoją broń. Ich twarze wyrażały różne odcienie wdzięczności. — W porządku, panowie i panie, do łaźni. Truchtem, marsz!

„Nigdy nie sądziłam, że znajdę się tutaj” — po raz setny pomyślała Kero, spoglądając na resztę gości weselnych ponad krawędzią swojego pucharu. Próbowała opanować nerwowość; opanować ogarniające ją pod warstwami odświętnej sukni, uczucie duszności. „Powinnam wrócić do kuchni”. Lecz nie musiała już wracać to kuchni, nigdy więcej. Babka Kero dopilnowała tego. Mieli teraz odpowiednią gospodynię, co było bardzo korzystne, gdyż Dierna nie dorosła jeszcze do rządzenia w kuchni i nadzorowania służby, tak jak Kero. Doskonale za to radziła sobie z wydawaniem rozkazów gospodyni: dokąd najlepiej posłać i jakich służących. Było to coś, czego Kero nigdy nie wiedziała. Dierna była też cudowna przy warsztacie tkackim i w pracy z igłą — wkrótce Lordan stanie się zamożnym handlarzem materiałami wełnianymi, jeśli dziewczyna będzie miała coś do

powiedzenia. W szpitalu była niemal bezradna, ale...

„To także może robić gospodyni”.

Gospodynią została zubożała kobieta z dobrego domu, wyszukana przez Kethry dzięki licznym i tajemniczym kontaktom. Kero mgliście zdawała sobie sprawę, że w jakiś sposób brali w tym udział krewni.

„Wuj? Ciotka? Ktoś powiązany ze szkołą magów, jak sądzę”.

Coś było w sposobie, w jaki została wywłaszczona. Jakaś niesprawiedliwość. Kethry nie zagłębiała się w szczegóły, kiedy Dierna była w pobliżu. Czy możliwe, że było to coś, w co zamieszany był wuj Dierny, baron? No cóż, bez względu na to, jaka była tego przyczyna, kobieta była teraz tutaj, wdzięczna za posadę. Nie będąc ani szlachcianką, ani służącą, doskonale nadawała się do tej roli — niezupełnie poddana i nie całkiem w rodzinie.

Doskonale, jaką nie była Kero, która zbytnio zbliżyła się do służących, by czuli przed nią „właściwy” respekt. Tak właśnie wyraziła to matka Dierny.

Powiedziała znacznie więcej, sądząc, że Kero tego nie słyszy. Kero spojrzała na ową lady: siedziała naprzeciw młodej pary i królowała nad swoją połową stołu.

„Cieszę się przez wzgląd na Lordana, że ona nie będzie musiała pozostawać tutaj dłużej. Mogłabym ją zamordować, plamiąc jego honor. Niech bogom będą dzięki za babkę i Tarmę” — pomyślała Kero, gdy Lordan i jego narzeczona dzielili się pucharem wina, robiąc do siebie słodkie oczy. „One są jak huragan, magiczny huragan. Wdzierają się, zaprowadzają porządek i zbierają się do odlotu, zanim ktokolwiek zacznie mieć do nich pretensje. Nawet Dierna”.

Oddając sprawiedliwość, młodziutka oblubienica nie dała po sobie poznać, że nie w smak jej to „wtrącanie się” Kethry. Pomimo skarg matki. Miała pełne ręce roboty, nawet z gospodynią do pomocy. Dierna przejęła opiekę nad Lordanem, gdy tylko Kethry oświadczyła, że jest na tyle silny, by go odwiedzać, a on natychmiast zakochał się w wybrance.

„Są zauroczeni sobą” — pomyślała z rezygnacją Kero. „Przypuszczam jednak, że to dobrze”.

Rozejrzała się po Wielkiej Sieni, po pozostałych gościach weselnych, przypominających wyglądem grządkę wielokolorowych, kwitnących kwiatów; wielu z nich równie dojrzałych do przesadzenia. Połowa nie była w stanie ustać, wszyscy nosili jakiś znak żałoby, lecz raczej nie kładło się to cieniem na weselisku. Wendar pilnował, by wino płynęło nieprzerwanym strumieniem, zaś biesiadnicy gadali tak głośno, że niemożliwością było słuchać minstreli, znajdujących się na końcu sieni. Wszelka wrogość została zapomniana, przynajmniej tak to w tej chwili wyglądało.

Ona jednak wciąż chwytiała dziwne spojrzenia, rzucane w jej kierunku. Przyprawiało ją to o katusze, lecz nie opuszczała swojego miejsca, zachowując godność.

„Jestem bohaterką i źródłem zakłopotania”.

Takie było tego wszystkiego podsumowanie. Zajrzała w głąb swojego pucharu, czując ogarniającą ją — jakże znajomą — melancholię.

Nie pasowała tutaj. Nie należała do nich. Nawet jej własny brat zerkał na nią tak, jakby nagle stała się dlań obca.

„Uratowałam Diernę. To uczyniło ze mnie bohaterkę. Pozostał tylko jeden drobny kłopot — jestem siostrą Lordana” — pomyślała.

Już doszły do jej uszu słowa niektórych rówieśników Lordana, droczących się z nim o jego „starszego brata Kero”. To sprawiało, że czuł się niezręcznie, pomimo że był jej szczerze, głęboko za wszystko wdzięczny, pomimo że zaofiarował jej wszystko, czego tylko zapragnie — łącznie z połową ziemi. A to go zawstydzalo.

To on powinien być tym, który uratował swą narzeczoną. Czyż nie tak jest w opowieściach? A nie ktoś z rodzeństwa.

„Nie jego siostra.”

Mogła opowiadać do utraty tchu, że to miecz Kethry wszystkiego dokonał. Nic się nie liczyło, gdyż to ona ruszyła w pościg, a miecz jej w tym nie pomógł. Teraz oni o tym mówili — o pościgu. Słysząc było nawet plotki o pieśni.

Dierna nie chciała jej w izbie z kobietami, choć Kero nie miała wcale ochoty bywać w izbie dla kobiet. Z całą pewnością nie pasowała do tego miejsca.

„Wciąż patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby myślała, że jestem — jak to Tarma kiedyś powiedziała — she’chorne. Jakbym zamierzała nagle rozpocząć załoty. Tak, jakby mój widok przyprawiał ją o gęsią skórę”.

Kero wypila połowę wina ze swego pucharu. Paż momentalnie podszedł do niej, sięgnął ponad ramieniem i dolał trunku. Silny, owocowy zapach uderzył ją w nozdrza, nie wywołując najmniejszego pragnienia.

„Szkoda, że nie mam odwagi się upić”.

Zaciężni strażnicy nie chcieli jej w swoich barakach. Nie dlatego, że przestawanie tam z nimi nie było „kobiece”, sprzeczne z ich zwyczajami. Już i tak mieli w swoich szeregach wiele kobiet. To dlatego, że nie pasowała tam ze względu na zajmowaną pozycję. Była szlachcianką, należała do rodziny, nie było dla niej miejsca pośród sił najemnych.

A starzy przyjaciele spośród służby wciąż odnosili się do niej jak do jakiejś półbogini.

„Nie ma tu już dla mnie miejsca” — pomyślała. To stwierdzenie zaczęło powoli torować sobie drogę do jej świadomości, powtarzała je tak często. „Po prostu, nie pasuję tutaj. Jeśli dłużej pozostanę, myślę, że oszaleję. Duszę się. Tarma miała rację. Można zamknąć jastrzębia w klatce dla ptaków, jak kanarka, ale on pozostanie jastrzębiem”.

Zwróciła uwagę na poruszenie przy drugim stole i zobaczyła, że babka z przyjaciółką opuszczają swe miejsca. Wyglądało to na ostateczne i w dodatku całkiem dobrowolne wyjście. Coś jej podszeptało, że wracają do Wieży. Nie były już tutaj potrzebne, a więc wycofywały się dyskretnie, z wdziękiem.

„Żałuję, że nie mogę zrobić tego samego. . .”

I wtedy doznała olśnienia.

„Dlaczegoż nie mogłabym zrobić tego samego? Dlaczegoż nie miałabym po prostu odejść?” Wyprostowała się na swoim miejscu, czując rumieńce podniecenia na policzkach. „I tak muszę zwrócić miecz babce, a więc dlaczego by nie wyjść razem z nimi? Może będą chciały mnie czegoś nauczyć. Czyż Tarma nie mówiła, że kiedyś prowadziła szkołę?”

Im więcej o tym myślała, tym pomysł wydawał się rozsądniejszy i tym trudniejsza do zniesienia była myśl o pozostaniu w zamku. W końcu przeprosiła sąsiadów przy stole, na co nawet nie zwrócili uwagi — i wysliznęła się z Wielkiej Sieni na korytarz. Kiedy się tam znalazła, zawinęła powyżej kolan krępujące ruchy spódnice i pobiegła do swojej izby. Na korytarzu nie było służących, którzy mogliby ją zobaczyć i chociaż rozdarła jeden rękaw swojej sukienki, nie dbała już o to. Niech Dierna sprezentuje ją którejś ze swoich pokojówek. „Ja na pewno drugi raz jej nie włożę”.

Zrzuciła ją, gdy tylko weszła w progi swojej izby, cisnęła na stertę w kącie i wywlokła spod łóżka sakwy podróżne. Gorączkowo przewróciła do góry nogami zawartość kufra i szafy z ubraniami, odrzucając bez zastanowienia większość z tego, co ta, znalazła i układając na łóżku to, co postanowiła zabrać.

Zadziwiająco, jak niewiele z tego, co posiadała, pragnęła zatrzymać. Zbroję, kolczugę, z której wyrósł Lordan, kilka osobistych skarbów i kosztowności oraz książki, pozostawione jej przez Lenorę. . . Wszystko zmieściło się w dwóch sakwach, a zostało jeszcze sporo miejsca. Rozejrzała się, ostatnim spojrzeniem obejmując izbę. Uzmysłowała sobie, że nie ma tu już nic z niej, ani też dla niej. Odwróciła się więc na pięcie i wyszła. Kolczuga pobrzękiwała radością, która zaczynała ją wypełniać.

Na zewnątrz nawet stajenni opuścili stajnie, biorąc udział we własnej wersji uczty weselnej. Tym lepiej. Dzięki temu będzie mogła osiodłać Verennę i wyjechać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Klacz przybiegła na gwizd. Stała spokojnie podczas zakładania siodła i uzdy. Gdy Kero wskoczyła na siodło, poczuła zapach Verenny, jakby klacz była tak samo jak ona gotowa opuścić to miejsce. Dotknęła delikatnie piętą boku klaczy i Verenna skoczyła do przodu. Przebyły kłusem podwórzec, zbliżywszy się cwałem do bramy. Tę w murach zewnętrznych minęły w pełnym galopie. Kero roześmiała się, gdy zalało ją słoneczne światło, a wiatr rozwiały włosy. Verenna galopowała pod nią bez wysiłku. Teraz już nic nie stanie na jej drodze!

Lecz na widok dwóch postaci na koniach, czekających na nią na rozstajach dróg, gwałtownie ściągnęła lejce. Ze strachu ogarnęły ją mdłości. Zbliżyła się stępa.

„Co się stanie, gdy mnie odeślą? Co będzie, jeśli nie zechcą zabrać mnie ze sobą?”

— Dlaczego zmarudziłaś tak długo? — zapytała Tarma.

Szósty

Było dokładnie tak, jak to sobie Kero wyobrażała, przychodząc po naukę.

— Rąbanie drewna jestem w stanie zrozumieć — powoli powiedziała Kero, w prawej ręce wając nieznaną ciężar siekiery.

Zmierzyła okiem wyznaczony cel — dziwny układ dwóch pni, umocowanych do drzewa — i przesunęła dłoń nieco dalej po drewnianym trzonku. Nie była to zbyt wielka siekiera i gnębiło ją przecucie, że przerąbanie się przez partię pni, ustawionych na skraju polany zajmie sporo czasu. W ciągu minionych kilku dni udało jej się już zadrasnąć nieco pnie większą siekierą użytą w konwencjonalny sposób, ale to narzędzie ją zaskoczyło. Nie było dużo cięższe od toporów, którymi walczyli niektórzy z ludzi Rathgara.

— Rąbałam dla was drewno od chwili, gdy tutaj przybyłam i mogę zrozumieć, że wciąż jest wam potrzebne na opał. Lecz po co mocować pnie tak, abym cięła pod tym kątem?

Warrl — olbrzymie, wilkopodobne stworzenie Tarmy — prychnął, przewrócił się z boku na bok w słonecznej plamie i stulił do tyłu uszy w świętym oburzeniu. Jemu podobnych nazywano kyree, jak ją poinformowała Tarma — niepotrzebne jej było świadectwo jego inteligencji; mogła to stwierdzić na własną oczy. W ciągu ostatnich kilku tygodni przyzwyczaiła się do jego obecności i teraz łatwiej jej przychodziło odczytywać jego zachowanie niż wyraz twarzy Tarmy.

Tarma zachichotała złośliwie i oparła się o stertę drewna. Gdyby Kero tego spróbowała, prawdopodobnie straciłaby na dół połowę pni. Sterta nie drgnęła nawet o piędź.

— A co, jeśli niczego nie rozumiałaś? — zapytała Shin'a'in. — Jeśli nie potrzebujemy porąbanego drewna?

— Co? — głupawo odezwała się Kero. Zamrugęła oczami. — Masz na myśli to, że ogrzewacie ten wielki, kamienny kadłub magią? Ależ wydawało mi się, że powiedziałyście...

— Iż więcej trudu kosztuje posłużenie się przy czymś magią, niż zwykłe zrobienie tego? Tak — odparła Tarma; nikły uśmiešek na jej twarzy mógł doprowadzić do szału. — Nie, nie ogrzewamy go magią. Tak, używamy drewna, lecz mimo to, nie trzeba, abyś ty rąbała. Płacimy za to kilku sympatycznym chłopom

o mięśniach jak woły. A więc dlaczego prosiłabym cię o rąbanie drewna, wręczając ci przy tym różnej wielkości siekiery? I dlaczego kazałabym ci rąbać pod różnymi kątami?

Kero ponownie zamrużyła powiekami. Odpowiedź nasunęła jej się wraz ze wspomnieniem Lordana, ćwiczącego z owczymi skórąmi.

— Bo chcesz, abym wzmocniła ramiona i barki — powiedziała natychmiast. — Wszystkie, a nie jakąś szczególną grupę mięśni.

— A ponieważ i tak to robisz, możesz przy okazji uczynić coś pożytecznego. Poza tym, jeśli naprawdę będziesz rąbać drzewo, nie sprzeciwisz się. Rąbiąc w skóry — możesz. Mnie już się sprzeciwiłaś.

Tym razem Tarma roześmiała się w głos, ale Kero nie mogła jej mieć tego za złe; coś jej mówiło, że Shin'a'in nie bawi się jej kosztem, lecz że opowiada sardoniczny żarcik.

— Na równinach stawiano nas przy miechach w kuźni, kazano nosić wodę dla całego obozu. Posyłano nas do setek prac. Bądź wdzięczna, że każę ci tylko rąbać drewno. Zgrubienia od siekiery, które robią ci się na skórze dłoni, będą mniej więcej w tych samych miejscach, w których życzyłybyś sobie zrogowaceń od miecza.

Kero westchnęła i zadała swój pierwszy, staranny cios. Teraz, gdy wiedziała, dlaczego wykonuje to ćwiczenie, przestało ono być tak bardzo zniechęcające. „Mam zamiar dużo staranniej zadawać ciosy. Może wyrzuci to na niej wrażenie” — przyrzekła sobie w duchu.

Na pewno nie wywarła wrażenia na swojej babce. Kethry sprawdzała ją na wszelkie sposoby. Stawiała przed nią świece i namawiała, by je zapaliła, myśląc o ogniu, kładła niewielkie przedmioty i pytała, na które z nich rzucono czar. Najwyraźniej babka srodze się zawiodła, gdyż po trzech dniach poddała się, stwierdzając, że będzie jej lepiej w rękach Shin'a'in.

„Lecz nie odbiera mi miecza” — pomyślała. Owa zagadka nie dawała Kero spokoju. Machała siekierą po łuku, raz za razem powtarzając ten sam ruch, od czasu do czasu przerzucając siekierę z ręki do ręki pod czujnym okiem Tarmy. „Miecz należy do babki, lecz ona go nie odbiera. Nie rozumiem tego, jest to magiczny miecz i nikt przy zdrowych zmysłach nigdy nie oddałby z własnej woli czegoś takiego. A ona wciąż powtarza, że przemówił do mnie i że do mnie należy. No więc, cudownie. Przemówił do mnie. A teraz, co ja powinnam z nim zrobić?”

— Szybciej — poleciła Tarma.

Kero przyspieszyła ciosy, starając się, by spadały zawsze w to samo miejsce; dokładnie z góry na dół, w wąską szczelinę, którą udało jej się naciąć z boku pni. Pnie te były mocno przywiązane po obu stronach kikuta drzewa. Kiedy żyło, udało mu się zapuścić korzenie dokładnie w środku polanki; korzystając w pełni ze słonecznego światła, wyrosło wyższe od okolicznych drzew. Być może był to błąd. W szczyt kikuta, na wysokości mniej więcej dwóch ludzi, uderzył piorun. Rozsz-

czepienie u wierchołka nie sprawiało wrażenia dzieła dokonanego ręką ludzką.

„Pewnie babka wpadła któregoś dnia w kiepski nastrój...”

To nie było miejsce, gdzie Tarma szkoliłaby swoją nową wychowaną lub też sama ćwiczyła fechtunek na miecze; był to rodzaj prymitywnego zaplecza dla Wieży — z jednej strony z dużym, zewnętrznym paleniskiem, na którym można było upiec jelenia w całości, a z drugiej — ze stertą drewna opałowego, przygotowanego do porąbania oraz znajdującym się w samym centrum starym, martwym pniem opasanym dookoła żelaznymi obręczami. Wielkie, stare, martwe drzewo. Kero ledwie była w stanie objąć resztki pnia ramionami.

— Nieźle — zauważyła Tarma.

Odepchnęła się od sterty drew na opał, gestem zatrzymała Kero, po czym wolnym krokiem podeszła do dwóch bali i uważnie zaczęła badać nacięcia. Kero otarła rękawem pot z czoła i dla rozluźnienia potrząsnęła rękami.

— Zupełnie nieźle, zważywszy twój opóźniony start. Możesz to zakończyć w dwukrotnie krótszym czasie?

Spojrzała na Kero w taki sam sposób, jak zwykł to robić Dent — wzrokiem w rodzaju: „uważaj na to, co powiesz, bo będziesz musiała tego dotrzymać”. Kero zlizwała słoną wilgoć z górnej wargi i obejrzała dwa bliźniacze bale. Zostały przecięte odrobinę poza połowę. Cel, który stworzyła, znajdował się tuż ponad żelaznymi opaskami, mocującymi bale do pnia.

„A więc, jeśli zbliżę się do końca, prawdopodobnie odłamią się pod własnym ciężarem”. Zmrużyła oczy, spoglądając w słońce; rozproszone światło, przedostające się przez gęstą roślinność, utrudniało dokładne określenie położenia słońca. Jednak zbliżało się południe, to można było stwierdzić z całą pewnością. Zaburczało jej w brzuchu, jakby dla przypomnienia, że wstała o świcie i od śniadania dzieli ją już sporo czasu.

„Im wcześniej to przerąbię, tym wcześniej będę mogła dostać coś do jedzenia. Nieco chleba z serem, może kiełbaski, kompot, owoce. Wiem o tym, że ona je wy czarowuje; gruszki, winogrona oraz świeżo dojrzałe jabłka podawane wszystkie razem nie są rzeczą zwykłą o tej porze roku”.

— Sądzę, że tak — powiedziała ostrożnie. — Spróbuję.

Tarma stanęła z boku i kiwnęła głową. Kero przystąpiła do pracy pod wpływem bodźca, jakim było wspomnienie smaku przyszłego posiłku — szczególnie kompotu.

Szybko zaczęło jej brakować tchu; poczuła klucie w boku, nie mogła się powstrzymać od łapania powietrza ustami, co tylko wysuszyło jej gardło. Zmęczenie zaćmiło jej wzrok. Oczy piekły ją od potu i wpadających wilgotnych włosów. A jednak, w końcu usłyszała dźwięk, którego oczekiwała: trzask pękającego drewna. Najpierw po jednej stronie pnia, a potem z drugiej. Kiedy zadała ostatni cios, opuściła ramię i odeszła od drzewa; dwa bale odgięły się w stronę pnia pośrodku i przy akompaniamencie drugiego trzasku, odłamały się i upadły na ziemię.

To Kero miała raczej ochotę upaść na ziemię. A już na pewno chciała wypuścić siekiere z ręki, ociężałej teraz tak, jakby ważyła tyle samo, co pień drzewa. Jednak nie zrobiła tego; tej lekcji nauczyła się wcześniej. Kiedy po stoczonych walce upuściła miecz ćwiczebny, Tarma podniosła go, obdarzając ją spojrzeniem pełnym czystego, bolesnego rozgoryczenia. Nigdy w życiu nie czuła się tak całkowicie bezwartościowa, ale najgorsze miało dopiero nastąpić.

Starannie i cierpliwie, słowami zrozumiałymi dla pięciolatka, Tarma wyjaśniła, dlaczego nikt nigdy nie postępuje z bronią w ten sposób, nawet kiedy jest zmęczony, a broń wykonano z metalu na garnki i nadaje się jedynie do ćwiczeń. Następnie, jakby to nie było dość upokarzające, odłożyła ostrze i kazała Kero rąbać drwa i nosić wodę przez trzy dni pod rząd, zamiast rannego rąbania i noszenia wody tylko przed popołudniowymi ćwiczeniami.

Tak więc teraz ścisnęła małą siekiere, dopóki Tarma jej od niej nie odebrała.

— No dobrze, młokosie — powiedziała tym swoim poważnym tonem, gdy Kero uniosła dłoń, z poczuciem jakby zrobiono ją z drewna, które porąbała. — Wracajmy do Wieży, do gorącej kąpieli i posiłku. Zasłużyłaś na to. — Potem uśmiechnęła się. — A po posiłku, odrobina łagodnych ćwiczeń, hmmm?

Kero podniosła rękę do czoła, ocierając brwi oraz tył głowy przesiąkniętym wilgocią rękawem.

— Pani — zaskrzeczała — za każdym razem, kiedy mówisz o „odrobinie łagodnego treningu”, kończy się to tym, że padam na wznak, nie mogę ruszyć ani ręką, ani nogą. Okrutny z ciebie tyran.

Tarma tylko zaśmiała się cicho.

Posiłek w Wieży odbywał się w sposób tak „cywilizowany”, jak tego mogłaby sobie życzyć nawet matka Kero. Cała ich trójka zasiadła przy kwadratowym, drewnianym stole na jednym z górnych, zalanych słonecznymi promieniami balkonów. Orzeźwiający wietrzyk suszył wilgotne włosy Kero. Pomimo tego, że upięła je mocno, kosmyki wymykały się spod wstążki, a wiatr ciągnął za nie, igrając nimi jak kociak niciami. Próbowwała zapanować nad niesfornymi włosami, ale one wciąż wymykały się i w końcu dała za wygraną, pozwalając, by trzepotały na wietrze. Tutaj nie było nikogo, kto by zwracał uwagę na to, czy wygląd jej jest „godny szacunku” czy nie.

Czuła się znacznie lepiej po gorącej kąpieli, chociaż mięśnie wciąż ją bolały w różnych dziwnych miejscach po tym małym, porannym ćwiczeniu. Co więcej, wiedziała, że w nocy będzie jeszcze bardziej obolała. Lecz była to niewielka cena za wolność.

„Wyzwolona od izby dla kobiet, od nudy, od udawania, że jestem kimś, kim nie jestem”. Myśl ta wiodła w sposób naturalny do drugiej: „A więc, kim teraz jestem? Co powinnam zrobić ze sobą?” I do jeszcze jednej: „Dlaczego nie jestem

taka jak Dierna? Zadowolona z tego, że jestem damą?”

Były to niepokojące i nieprzyjemne rozważania. Problemy, z którymi nie umiała sobie poradzić. Z wysiłkiem skupiła uwagę na troskach dnia codziennego. Takich na przykład jak jedzenie.

„Nie wiem, gdzie się babka zaopatruje, ale Wendar gotów by zabić, aby się tego dowiedzieć”. Na środku stołu, na półmisku, leżały ser, kiełbaski i chleb. Prosty posiłek — na pewno nie tego rodzaju, jakim delektuje się potężny mag — lecz był on smaczniejszy od wszystkiego, czego kiedykolwiek próbowała Kero. To nie tylko głód zaostrzał apetyt; nawet kiedy czuła przyjemną sytość, jedzenie ze stołu Kethry smakowało wybornie.

Obok półmiska ustawiono drugi, z owocami; nie tylko z jabłkami, gruszkami i winogronami, lecz także wiśniami.

„To zdecydowanie nie jest naturalne. To są świeże jabłka, sezon na gruszki się skończył, winogrona są dojrzałe, ale wiśni nie będzie przed upływem następnego księżycy, a jabłka będą dojrzewały dopiero na jesień”.

Lecz słońce grzało cudownie, jabłko, które właśnie podzieliła na ćwiartki, było przyjemnie cierpkie i przez chwilę Kero nie miała ochoty myśleć o niczym.

„Będę rozkoszować się nimi, bez względu na to, jak się tu znalazły. Ojciec mylił się w sprawie babki i pewnie w ogóle nie miał racji, jeśli chodzi o magów”.

— Myślisz, że gotowa jesteś posłuchać rodzinnych historii? — zapytała Kethry, rzucając w jej kierunku długie spojrzenie ponad wiekowym stołem, gdy Kero wyciągnęła rękę po kiełbasę. — Wydaje mi się, że czeka cię sporo niespodzianek. Po pierwsze: masz pewnych, raczej niezwykłych, kuzynów. Prawdę powiedziawszy, jest ich sporo.

Kero zamarła z ręką wyciągniętą do połowy.

Czarodziejka rozparła się na swoim wyściełanym krześle, założyła sobie niesforny kosmyk włosów za ucho i uśmiechnęła się na widok jej miny. W swej szarej, samodziałowej szacie zupełnie nie wyglądała na legendarnego, budzącego powszechną obawę maga. Sprawiała wrażenie matrony ze szlacheckiej rodziny.

„A ja muszę wyglądać jak wyrzucona na brzeg ryba” — pomyślała Kero, próbując zamknąć usta.

— Nie patrz, jakby piorun w ciebie strzelił — powiedziała Tarma. Sięgnęła ponad stołem, wybrała kiełbasę i wsadziła ją Kero do ręki. — Nazwisko rodowe nie zostało obłożone infamią. Jedyne — no cóż, masz dużo więcej krewnych, niż ci się zdaje. Kuzynów, na przykład.

— Mam? — zebrała rozbiegane myśli, zrobiła głęboki wdech.

Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że wciąż ściska kiełbasę. Położyła ją ostrożnie na swoim talerzu.

— To znaczy, wcześniej powiedziałaś coś o córkach i wnuczkach, ale matka nigdy o kimś takim nie wspominała — więc nie wiedziałam, co o tym myśleć. Ilu? Czy matka ma siostrę, albo...

— Twoja matka miała sześcioro rodzeństwa, sióstr i braci, młokosie — wtrąciła się Tarma, śmiejąc się od ucha do ucha, na widok osłupienia na twarzy swojej wychowanki.

Mówiąc to, zabawiała się końcem swojej szarej wstążki. Jej warkocz był tak gruby jak nadgarstek Kero i siwy jak maść własnej klaczy.

— Twoja babka i ja jesteśmy zaprzysięgłymi w obliczu bogini siostrami. Pamiętam, że już ci to wyjaśniałam.

Kiedy w końcu Kero kiwnęła głową, ciągnęła dalej:

— Doskonale, nie powiedziałam ci tego, że zanim ją spotkałam, mój Klan został wybity przez tych samych bandytów, których ona zobowiązała się powstrzymać.

— To było moje pierwsze zadanie czeladnicze — dodała Kethry, gdy Tarma przerwała na chwilę, wpatrując się w długą chmurę wiszącą nad drzewami. — Zajęli całe miasteczko i terroryzowali mieszkańców. Tarma śledziła ich aż do tego miejsca. Udało mi się ją tam zatrzymać, zanim dała im się zabić.

— Hm, w pojedynkę i ty zdziałałabyś niewiele więcej, Zielonooka — kpiąco odparła Tarma, powracając do rozmowy. — No dobrze. Zdecydowałyśmy się połączyć siły i udało się. Rzeczywiście, zdołałyśmy wykończyć bandytów i przeżyć to doświadczenie. To wtedy wpadło nam do głowy, że tworzymy niezłe dobraną parę.

— Następnie rzeczy nieco się skomplikowały — zachichotała Kethry, wrzucając sobie winogrono do ust.

— Nieco? — Tarma wzruszyła ramionami. — Przypuszczam, że tak jak kradzież rumaka bojowego może nieco rozdrażnić Klan. W każdym razie najważniejsze było to, że wróciłyśmy na Równiny, ona została zaadoptowana przez Shin'a'in i przysięgła starszyźnie, iż odbuduje dla mnie Klan. W końcu spotkała i poślubiła twojego dziadka Jadreka i niech mnie licho, jeśli samodzielnie nie zaludniła Tale'sedrinu!

Roześmiana Kethry naprawdę się zarumieniła.

— I Jadrek przyłożył do tego rękę — zwróciła uwagę, podnosząc wymownie palec w stronę swojej towarzyszki.

— No tak, to prawda; i jego dobra krew też — Tarma przeciągnęła się i objęła swoimi sękatymi dłońmi kolano.

— To już inna historia. We troje wychowaliśmy siedmioro dzieci, na tym koniec. Potem zażądaliśmy zwrotu stad, przyjęliśmy z innych klanów sieroty i trudnych młokosów, którzy pragnęli zacząć wszystko na nowo. Tale'sedrin jest teraz prawdziwym Klanem; mniejszym niż przed masakrą, ale rozrasta się. To zabawne, jak wielu młodym konkurentom cieknie ślinka na myśl o tym naszym załóżku Klanu i ludziach w nim zrodzonych — ale z drugiej strony, dla nas kolor blond jest egzotyczny.

— Lecz... nie rozumiem — zaprotestowała Kero. — Jeśli wszyscy moi wujowie i ciotki są Shin'a'in, dlaczego ja nie jestem? Jak to się stało, że jestem tutaj, a nie tam?

— Słuszne pytanie — przyznała Tarma. — Oto jak się te sprawy mają. Choć Keth przysięgła swoje dzieci Klanowi, to jednak robiąc to, zobowiązała się, że będą miały prawo do pozostania w Klanie, a nie, że będą musiały to zrobić. To młodzi decydują sami, we własnym imieniu, dokąd mają zamiar pójść. Nie zmuszamy nikogo do robienia tego, do czego się nie nadaje. Równiny są zbyt surowym miejscem, nie przebaczą nikomu, kto nie kocha ich na tyle, aby na nich przetrwać. A więc w przypadku takim jak Keth, czyli przyrzeczonej klanowi młodzieży adoptowanej krwi, dzieci do szesnastego roku życia spędzają połowę czasu z Klanem i wtedy wybierają, czy chcą zostać na zawsze u Shin'a'in czy iść własną drogą. Pięcioro twoich wujów i ciotek wybrało drogę Shin'a'in oraz porzuciło Tale'sedrinu, kiedy osiągnęło odpowiedni wiek.

— Matka tego nie zrobiła. I? — Kero zapytała z zaciekawioną.

„Dlaczego ktoś chciałby pozostać tutaj? Zamek jest, pewnie, najnudniejszym zaściankiem świata”.

— Właśnie do tego zmierzałam — Tarma obrzuciła ją jednym z tych spojrzeń. — Z dwójki rodzeństwa, która nie przystała do Klanu, syn poszedł śladem matki, rozpoczynając tam, gdzie ona skończyła: przejmując Białe Wiatry — szkołę dla magów, którą ona ufundowała i zorganizowała w zamku — przeniósłszy ją jedynie do posiadłości, którą zdobył dzięki matactwom... Hm... — Rzuciła dyskretnie okiem na Kethry, która sprawiała wrażenie rozbawionej. — Wybacz. Na którą sobie zasłużył. To był twój wuj Jendar. Nie w tym rzecz, iż życie Klanu nie spodobało mu się, ale że mógł zostać Adeptem, a wszelkie talenty magiczne uległyby tam zmarnowaniu. Jest jeszcze jeden syn i on ma dar do magii — to twój wuj Jadrek — lecz jest on szamanem Shin'a'in. Twoja matka Lenora urodziła się ostatnia. Twój dziadek zmarł, kiedy była jeszcze malutka, a my miałyśmy nieco kłopotów w szkole, którą byłyśmy przez cały czas zajęte. Być może aż nadto zajęte. Ona — no cóż... — Tarma zakaszłała, zakłopotana. — Powiedzmy, że była inna. Śmiertelnie bała się koni, dostawała dreszczy na myśl o sposobie życia Klanu, tak więc, zaprzestałyśmy nawet posyłać ją na Równiny. Mól książkowy, tak jak Jadrek, ale nie potrafiła logicznie myśleć, była niezdyscyplinowana, bez talentów naukowych. Nie interesowała się niczym poza balladami, opowieściami i romansami. Żadnych umiejętności, poza tymi godnymi wyrafinowanej damy. Żadnego talentu do magii.

— Krótko mówiąc, rozczarowała nas, biedactwo — westchnęła Kethry, owijając kosmyk srebrnych włosów dookoła palców. — Spędzała cały swój czas w sąsiedniej siedzibie rodowej i jedyne, na co miała naprawdę ochotę, było zostać czyjąś narzeczoną. Dzieliła te same marzenia z dziewczętami, które znała. Ja byłam dla niej źródłem zgorszenia, Tarma przerażała ją. W końcu oddałam ją Lythan-

dom, do czasu aż osiągnęła szesnaście lat, po czym sprowadziłam ją z powrotem tutaj. Wróciła jako prawdziwa dama i do niczego innego się nie nadawała.

Kero myślała przez chwilę o swojej matce, zaskoczona, że po raz pierwszy od wielu miesięcy — lat — myśli te nie przynosiły bólu, związanego ze stratą. Nawet gdy Lenora czuła się dobrze, była bardzo krucha, nie nadawała się do niczego, co zmusiłoby ją do wyjścia poza mury zamku, także do jazdy konnej dla przyjemności. Miała skłonność zapadania na każdą chorobę, o którą się otarła. „Nic dziwnego, że nie lubiła Tarmy, ani jej Klanu. Życie w namiocie przez trzy księżycy każdego roku musiało być dla niej piekłem”.

— A więc, jakie były twoje zamiary? — zapytała ostrożnie. — Matka nie była osobą, którą można by pozostawić własnemu losowi. Lepiej było dla niej, aby ktoś roztoczył nad nią opiekę.

Kethry uśmiechnęła się lekko. Pogłębiły się linie dookoła jej oczu.

— Delikatnie powiedziane, ale właściwie. Szczerze mówiąc, nie miałam żadnego pomysłu, poza wydaniem jej za męża. Chciałam znaleźć dla niej naprawdę właściwego męża, takiego, którego nauczyłaby miłości, lecz po doświadczeniach z jednym konkurentem, w desperacji szukałam takiego, przy którym przetrwałaby małżeńskie doświadczenie. — Jej spojrzenie stało się surowe. — A propos, tym konkurentem był baron Reichert. Wtedy jeszcze nie był baronem, a jedynie młokosem niewiele starszym od Lenory, jednakże, wielce doświadczonym jak na swój wiek. Steranym życiem, można by powiedzieć.

— Można by — zgodziła się Tarma. — Ja wołałabym powiedzieć: zepsutym, rozpuszczonym i zwichniętym — nigdy nie interesował się niczym poza ziemią. A więc kiedy zobaczył, jak delikatna była twoja matka — do licha — prawie zatańczył z radości.

Sposępniała. Kero mnóstwo odczytała z jej zmarszczonych brwi.

— Potrzeba pojęła to także. A niech mnie, miecz prawie zmusił Keth, aby go dobytek i na miejscu przebiła Reicherta. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ta głupia rzecz miała zupełną rację i musiałyśmy się zdrowo nabiedzić, aby nie stać się morderczyniami. Biorąc jednak pod uwagę ostatnie wydarzenia, może powinniśmy były zaryzykować.

Kethry westchnęła i pochyliła się odrobinę do przodu.

— Tak, wpadłyśmy wtedy w kabałę. Wiedziałam, że Reichert nie przestanie nas nachodzić tak długo, jak długo ona będzie niezamężna, a Lenora okazała się na tyle nierozsądna, że był w stanie przekonać ją, iż ona go naprawdę kocha. Nie wiedziałam, co począć. Rozwahałam nawet możliwość wszczęcia kłótni i wydziedziczenia jej na tak długo, aby Reichert stracił zainteresowanie. Wówczas zjawił się twój ojciec, eskortujący bogatą, młodą czarodziejkę i szukający zajęcia, gdy jego służba dobiegnie końca. Silny, przystojny, znający mnóstwo opowieści o dalekich krajach, które odwiedził — oraz zdumiewająco cierpliwy w niektórych okolicznościach. Osobiście pomyślałam, że jest przysłany przez bogów.

— Zakuta pała — mruknęła Tarma pod nosem.

Kero skrzywiła się lekko; nie na to, co powiedziała Tarma, lecz dlatego, że nie mogła zmusić się, aby się z tym nie zgodzić. Przebywała już w Wieży od kilku tygodni i z każdym upływającym dniem jej poprzednie życie wydawało się coraz mniej realne, odrobinę bardziej odległe. Przypuszczała, że powinna czuć żal po stracie Rathgara, lecz za każdym razem, gdy próbowała wzbudzić w sobie stosowne uczucia, potrafiła jedynie przypominać sobie niektóre z jego nierozsądnych postępów oraz niemiłe słowa, jakie od niego tak często słyszała.

„Zamieniam się w jakiegoś nieludzkiego potwora” — pomyślała z poczuciem winy. „Nie potrafię nawet uszanować pamięci własnego ojca”.

— Może i miał zakuty łeb, she'enedra, ale był dokładnie takim mężczyzną, jakiego Lenora potrzebowała i chciała. Wielkim i mocnym, który by ją bronił i rozpieszczał. — Kethry popatrzyła do góry na oślepiająco niebieskie niebo, podążając wzrokiem w ślad za nowym obłokiem. — Zaproponowałam, żeby zatrzymał się na jakiś czas i od chwili, kiedy Lenora po raz pierwszy go zobaczyła, wiedziałam, że ją pociągał. Muszę jej przyznać, że przynajmniej zachowała odrobinę rozsądku — Reichert przerażał ją równie lub nawet znacznie bardziej niż kiedykolwiek ciebie. Obawiałam się po prostu, że on to spostrzeże i zdoła ją przekonać o swojej nieszkodliwości.

— Delikatne kurczęta raz ujrzawszy łasicę, zawsze ją odtąd rozpoznają — odparła Tarma, drapiąc jednym palcem nasadę swojego... podobnego do dzioba, nosa. — To nie jest rozsądek, to instynkt. O, Jasna Pani, sądzę, iż powinnam być zadowolona, że instynkt jej nie zawiódł. Rok pod jego opieką i straciłabyś córkę, ziemię oraz prawdopodobnie byłabyś obleżona w Wieży.

— Prawdopodobnie. — Kethry przytaknęła jej ze znużeniem. — No dobrze, ale kontynuując opowieść: ta młoda czarodziejka była ostatnią wychowanicą, którą miałyśmy zamiar się zająć; w ciągu kilku lat chciałyśmy odejść na emeryturę. Tak więc, pozwoliłam Rathgarowi przebywać w pobliżu oraz powiedziałam Lenorze, że zamierzam wprowadzić go nieco w błąd.

— O tym słyszałam! — wykrzyknęła Kero. — Jeśli masz na myśli to, że matka udawała córkę gospodyni, by mógł bez przeszkód zalecać się do niej... — Kethry przytaknęła kiwnięciem głowy i Kero zarumieniła się. — Kiedy byłam mała, wydawało mi się to romantyczne.

Tarma prychnęła.

— Romantyczne! Najmilsze boginie — sądzę, że taki był jej sposób myślenia. Obie drżałyśmy ze strachu o to, że jeśli on dowie się, iż Lenora jest córką Kethry, nawet mu przez myśl nie przejdzie zalecać się do niej. Chciałyśmy jedynie oddać ją komuś, kto by się nią zaopiekował, nie wykorzystując jej.

— Wszystko udałoby się świetnie, gdyby nie sam Rathgar — powiedziała Kethry, potrząsając głową. — Gdybym zdawała sobie sprawę, jakie uczucia żywi w stosunku do magów... Cóż, ona była w nim zakochana, a on był nią wprost

oszołomiony. Wydawało się, że wszystko wspaniale się powiedzie. On ją poprosił o rękę, ona propozycję przyjęła, a ja powiedziałam mu, kim ona jest naprawdę. . .

— I świat się zawalił. — Kero mówiła to z absolutną pewnością.

Znała swojego ojca, domyślała się, jaka mogła być jego reakcja w obliczu takiej rewelacji. Wściekłość z powodu zwodzenia go; wściekłość, że kobieta-mag jest matką jego ukochanej. Nie upłynęło dużo czasu, a przekonał sam siebie, że Kethry knuje coś przeciw niemu i zrobił wszystko, aby wyrwać swą ukochaną Lenorę spod „śmiertelnego” wpływu jej matki.

— Nie zauważyłam, jak spada mi na głowę — przyznała Kethry. — Powinnam, lecz nie zauważyłam. Potem było już za późno. Moja córka uległa romantycznej miłości. Rathgar był nieskazitelnym bohaterem. Cokolwiek słyszała ode mnie na jego temat, przyprawiało ją o histerię. Była przekonana, że pragnę ich rozdzielić.

— Myślała, że to za jego sprawą słońce wschodzi i zachodzi — stwierdziła Tarma z niewypowiedzianym niesmakiem, jej jastrzębią twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. — Do diabła, dobrze się stało, że był to człowiek uczciwy i niezłośliwy, bo gdyby nawet ją obić, mówiąc, iż zasłużyła sobie na to, uwierzyłaby mu. Jak to możliwe, by jakakolwiek kobieta, z własnej woli, postawiła się w takiej sytuacji?

— Sądę, że powinnam była to przewidzieć — odrzekła ponuro Kethry. — Po pierwsze, to ja spowodowałam cały ten bałagan. Znasz słowa powtarzane przez ludzi: „Stawiaj ostrożnie żądania, bo mogą się spełnić”. Po raz pierwszy znalazła się w towarzystwie kogoś, kto uważał, że jest cudowna taka, jaka jest — bezbronna i słaba — i kto nie próbował zmuszać jej do zrobienia czegoś konstruktywnego z własnym życiem. Oczywiście wydawało jej się, że to on zawiesił księżyc na niebie.

Tarma wyrzuciła ręce do góry.

— Wciąż tego nie rozumiem. Keth zmierzała do małżeństwa, ponieważ wszystko było lepsze od dania Reichertowi jeszcze jednej szansy. No dobrze, to właśnie wtedy Lenora doszła do wniosku, że Keth i ja jesteśmy starymi, głupimi babami i zaczęła słuchać jedynie Rathgara. A kiedy przekonał się, że ma wszystkie atuty w ręku, zaczął wysuwać żądania. W końcu doszło do tego, że kiedy urodził się Lordan, zmusił Keth do złożenia obietnicy, iż bez zaproszenia nie postawi stopy w posiadłościach zamkowych.

— A więc to dlatego. . . — głos Kero zamarł.

Mnóstwo rzeczy zaczęło teraz nabierać sensu.

— Myślę, że obawiał się, iż będę próbowała mu ją odebrać — odezwała się Kethry po długiej chwili milczenia, wypełnionej jedynie odgłosem wiatru, szumiącego w liściach poniżej balkonu. — Naprawdę uważam, że bardziej zależało mu na mojej córce niż na posiadłości. Z drugiej strony zaś nigdy nie umiał się pogodzić z tym, że nawet najmniejsza część nowo uzyskanego bogactwa pochodzi

ode mnie. Sądzę, iż wciąż się spodziewał, że będę usiłowała wywierać na niego presję za pośrednictwem. . . ziemi, Lenory, a także was, dzieci.

„Prawdopodobnie bardziej niż czegokolwiek innego nienawidził życia pod czyjąś kontrolą. Może dlatego, że nasłuchiwał się aż do obrzydzenia rozkazów, kiedy był młodszy; nie mam pojęcia. Za to wiem na pewno, że nigdy nie uwierzył, iż babka nie knuje żadnego planu wymierzonego przeciw niemu”.

Tarma wstała ze stołka, przeciągnęła się i przysiadła na kamiennej poręczy balkonu.

— No cóż, nie jestem tak wspaniałomyślna — burknęła. — Ten człowiek był zwykłym najemnikiem; odrobinę lepiej urodzonym od większości, ale gdzie mu tam do ziemianina. A tego właśnie przez całe życie pragnął — zdobyć ziemię i stać się szlachcicem. Tego pragnie większość najemników, gdy tylko stracą zapał do walki. Wszyscy chcą osiąść na miejscu, o którym mogliby powiedzieć, że jest ich własnością. I tak sprawa wygląda.

Kero przesunęła się niespokojnie na swojej drewnianej ławce i odłożyła ostatnią kielbaskę, nawet jej nie spróbowała. Odnosiła niejasne wrażenie, że powinna bronić Rathgara, ale nie mogła. Obydwie miały rację. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Rathgar uwielbiał jej matkę, lecz znała też jego zachłanną obsesję na punkcie swojej ziemi.

Uświadomiła sobie ponadto, że nie było sposobu, by Kethry kiedykolwiek przekonała go, iż nie zależy jej na ziemi, dopóki jej córka jest szczęśliwa. On po prostu nie był w stanie tego zrozumieć. Zbyt często Kero słyszała go rozprawiającego o głupocie jakiegoś znajomego czy podwładnego, gdy zrzekali się swych włości dla dobra dzieci. Rozumowanie — w jego mniemaniu — było poprawne. Przede wszystkim, jeśli ktoś wyzbywa się posiadłości, to jakże zapewni utrzymanie temu dziecku, jakże zapewni mu dziedzictwo?

„Rezygnacja z dziedzicznych praw pod nakazem chwili?” Pewnego razu, kiedy Lythandowie zakończyli sąsiedzki spór, zapisując sporny grunt we wspólne władanie, usłyszała go mówiącego: „Głupota i szaleństwo! Wasze dzieci nie będą wam za to wdzięczne, kiedy dorosną do własnego rozumu!”

I teraz była pewna, że takie było źródło jego głęboko zakorzenionej goryczy — zawdzięczał wszystko nie tylko matce swojej żony, nie tylko kobiecie, ale i magowi; osobie, która zapracowała sobie na to samodzielnie i uczciwie.

To go musiało dręczyć najbardziej. Magowie nie byli godni zaufania; mogli zmienić rzeczywistość zgodnie z własnymi zachciankami, byli źródłem wszelkiego zła na tym świecie. . .

— Skończyło się na tym, że zaczęliście handlować końmi krwi Shin'a'in — powiedziała Tarma, wyrывая ją z głębokiego zamyślenia. — Nie wiem, czy się orientujesz, jak rzadkim wypadkiem jest sprzedaż przez nas ogiera, lecz pozwoliliśmy, aby Rathger dostał jednego. . . nie wykastrowane zwierzę, przeznaczone na rzeź, ale mimo wszystko był to ogier. Rathgar nie chciał słuchać Keth w spra-

wie ziemi, nie był zbyt inteligentny i nie posiadał kapitału. Balansował na krawędzi katastrofy, nigdy nie osiągał zysku. Nam powodziło się dobrze, lecz my prowadziłyśmy szkołę. Ten teren jest zbyt kamienisty, by nadawał się pod uprawę; dzierżawcy ledwie wiązali koniec z końcem. Ostatecznie namówiłam Klan, aby przyznał tu stado najlepszych zwierząt rzeźnych i sprzedał je po obniżonej cenie. On umyślił sobie, że przechytrzy tępych barbarzyńców. Nie zależało nam na tym; dzięki temu wszedł w posiadanie czegoś, za co mógł utrzymać zamek i Lenorę, bez wydzierania wszystkiego do gołej ziemi czy ucisku dzierżawców. A potem, kiedy ty i twój brat dorośliście na tyle, by móc ujeżdżać własne zwierzęta, spowodowałam, że kilka dobrych, młodych klaczy znalazło się w kolejnej partii, którą zakupił.

Wystawiła twarz do słońca i wiatru. Kero przyszło na myśl, że Tarma bardzo przypomina nadgryzioną zębem czasu statuetkę z brązu. Twardą i zarazem pełną niewytłumaczonej gracji.

— Nie było to wcale takie trudne — kwaśno powiedziała Kethry. — Naprawdę nie było. Przede wszystkim, co roku udawałyśmy się w podróż do Klanu, by odwiedzić resztę dziatwy. Opłacił się ten cały kłopot z przekonywaniem go, że wy dwoje powinniście mieć te konie, a potem wmówienie mu, że to wszystko było jego własnym pomysłem. Jedynie w taki sposób byłam w stanie robić cokolwiek dla was po tym, jak wycofałam się do Wieży, złożwszy obietnicę pozostawienia was w spokoju.

— A więc co o tym wszystkim myślisz? — zapytała Tarma, ponownie zwracając swoje jasnoniebieskie oczy na Kero. — Nieczęsto się zdarza, że ktoś dostaje cały Klan na członków rodziny, i to ni z tego ni z owego.

— Czy ja się kiedykolwiek z nimi spotkam? — zapytała pod wpływem impulsu. — Z moimi wujami, ciotkami, wszystkimi...

Tarma roześmiała się.

— Och, wyobrażam sobie. Lecz teraz ty i ja jesteśmy umówione na wcześniejsze spotkanie.

Przez chwilę Kero poczuła się rozczarowana, a później uśmiechnęła się. Nie jest przecież tak, że wszystko musi się dziać od razu. „Spójrz, ile się wydarzyło w ciągu minionych kilku tygodni! Myślę, że mogę trochę poczekać”.

— W takim razie chodźmy, zanim nam obu zeszywnieją mięśnie — odpowiedziała z uśmiechem — albo zanim zdążę pomyśleć, co zamierzasz ze mną zrobić na ćwiczeniach!

Rzeczą, w sprawie której Tarma była absolutną fanatyczką, była czystość. Nalegała, aby Kero brała kąpiel zarówno każdego ranka po pracy, jak i po południowym treningu. W Wieży nie brak było ciepłej wody, odmiennie niż w zamku — tego rodzaju magicznym ekstrawagancjom Kethry skłonna była oddawać się z wielką ochotą. Kiedy już minęło pierwsze zaskoczenie, Kero stwierdziła, że podoba jej się pomysł dwukrotnej kąpieli w ciągu dnia. Gorąca woda znakomi-

cie łagodziła ból mięśni, a wieczorna kąpiel była świetną sposobnością do snucia rozmyślań, zwłaszcza gdy w zasięgu ręki miało się lekką kolację i dobre wino. Podczas kolacji Kethry opuściła wnuczkę, mówiąc, kiedy Kero zapytała ją o to, że „każdemu potrzebna jest odrobina prywatności”. Kero było wszystko jedno. Zwykle, po długotrwałym moczeniu w wodzie, szybko zapadała w sen i wąpiła, czy mogłaby być dobrym kompanem.

Mając do dyspozycji niewyczerpaną ilość gorącej wody, stwierdziła, że bierze przykład z Tarmy; przygotowuje pierwszą kąpiel, aby zmyć z siebie brud i pot, opróżnia wannę i ponownie nalewa gorącej, czystej wody, aby się w niej wymoczyć.

Kąpielowa komora w jej komnacie była dużo przyjemniejsza od podobnego pomieszczenia w zamku. Była co najmniej tak wielka jak jej sypialnia, a w balii mogłyby się wygodnie pomieścić dwie osoby. Balia wyglądała, jakby wydrążono ją z granitowego głazu, wypolerowanego następnie na lustrzany połysk. Po obu stronach znajdowały się tam wygodne, spłaszczone miejsca, których rozmiary pozwalały na ustawienie kubka lub misy. Pośrodku, z kurków w ścianie, wypływała ciepła i zimna woda. Wystarczyło jedynie pociągnąć za niewielką dźwignię, połączoną z czymś podobnym do śluzu, i woda ze strumienia w górach lała się do balii. Kethry pokazała jej zbiorniki na szczycie klifu, na którym wzniesiono Wieżę, wyjaśniając, że są one częścią oryginalnej budowli.

„Oryginalnej budowli. Nawet Keth nie wie, ile ona ma lat... Zdumiewające”. Pobudziło to Kero do rozmyślań, kim byli budowniczy i jak wyglądali.

„Cenili sobie wygody, to jasne” — dumiała leniwie, sącąc wino. W ścianie komory kąpielowej wprawiono ogromnych rozmiarów okno, wykonane z miniaturowych, romboidalnych szklanych gomółek ręcznej roboty. Oszklone okna były pomysłem Kethry; poprzedni mieszkańcy albo sądzili, że szkło nie jest im konieczne, albo nie umieli go wyprodukować. Tej nocy Kero zobaczyła, że wschodzi księżyc w pełni i po powtórnym napełnieniu balii oraz zdmuchnięciu świec zapatrzyła się w niego i w gwiazdy. „Biorąc pod uwagę wszystkie niewiarygodne rzeczy, które budowniczy byli w stanie stworzyć, nie potrafię sobie wyobrazić, aby nie mogli odlać małego szkiełka. Zastanawiające. A może byli tak potężni, że za pomocą magii rzeczywiście zdołali utrzymywać zimowe wichry z dala od Wieży?”

Księżycowe światło przenikało przez parę unoszącą się nad jej kąpielą i dotykając powierzchni wody, zamieniało ją w pomarszczone zwierciadło. Nagle rozśmieszyły ją te fantazje, gdyż odpowiedź była oczywista dla każdego, z wyjątkiem romantyczki.

„Oczywiście, szkło jest kruche, a babka sama stwierdziła, że nie ma pojęcia, jak długo to miejsce stało opuszczone. Kręci się tutaj aż nadto wron i szcurów-rabusiów, aby rozkraść je do ostatniego odłamka. Błogosławiona Agniro, musiałam otrzeć się o nieco matczynych głupstewek”.

Roześmiała się głośno. Woda zachlupotała o ścianki bali, gdy sięgnęła ręką po karafkę, aby ponownie nalać sobie kielich wina. To wtedy poczuła, że jej mięśnie nie są wcale tak obolałe i sztywne, jak się tego spodziewała.

„Muszę się przyzwyczajać” — pomyślała z zaskoczeniem. „Na Triadę, zaczynałam już myśleć, że nigdy nie przestanie mnie boleć! A jednak, to zabawne, nawet gdy chciałam umrzeć z bólu mimo wszystko podobało mi się to. . .”

Tego popołudnia po raz pierwszy Tarma udzieliła jej lekcji prawdziwej walki na miecze. Upominając ją: „niech ci się zdaje, że jestem jedną z tych drewnianych kłód”, Shin’a’in nauczyła ją kilku podstawowych ruchów, a potem poprawiała z nią ich szybkość. Zanim skończył się wieczór, Kero potrafiła wykonać prosty układ cios-zastona-cios błyskawicznie, ze wszystkich sił, i sądziła, iż jej nauczycielka jest zadowolona. Dzisiejszy dzień był lepszy nawet niż wczorajszy, kiedy to Tarma zaczęła uczyć ją tropienia. Dowiedziawszy się raz, czego ma szukać, Kero stwierdziła, że tropienie śladów, przemierzającego połacie puszczy jelenia, borsuka, a nawet samego Warrla, jest zaskakująco łatwe.

Oczywiście, żaden z nich nie próbował ukryć swojego tropu. Kero przeczuwała, że gdyby Warrl chciał ukryć swój ślad, można by go odszukać jedynie przy pomocy magii.

Najwięcej zadowolenia w dzisiejszych ćwiczeniach przynosiło jej samodzielne zdobywanie umiejętności. Miecz wisiał na ścianie w jej komnacie. Kero nie miała zamiaru stamtąd go zdejmować, dopóki nie będzie potrzebować jego niesamowitego wsparcia.

„Czy tym właśnie chcę się zajmować? — zapytała nagle samą siebie. „Czy tego pragnę się uczyć?” Zadumała się nad tym pytaniem, a w tym czasie księżyc w oknie wspiął się jeszcze wyżej. Kwadrat srebrzystego światła ześliznął się z wodnej powierzchni i, skradając się po podłodze, pogrążył w mroku tę część kąpielowej komory. „Przypuszczam, że to ma sens” — pomyślała z pewnym niepokojem. „Zawsze byłam najlepsza, gdy trzeba było wykazać się sprawnością fizyczną. Jazda na koniu, polowanie, puszczenie sokołów. . . wyblągana u Denta walka na noże. Z godziwych umiejętności dobra byłam jedynie w tańcu. . .”

Jedyną rzeczą, którą potrafiła zadziwić Tarmę, była jej zręczność w postugiwaniu się łukiem. „Zapytała mnie, dlaczego, ruszając w pościg za rabusiami, nie zabrałam ze sobą łuku. Kiedy powiedziałam, że nie wpadło mi to do głowy, myślałam, że z miejsca machnie na mnie ręką.” Kero westchnęła. „Tak trudno jest traktować ludzi jak wrogów. . . Przynajmniej nie zachowuje się wobec mnie tak obrzydliwie, jak Dent w stosunku do Lordana”.

Dent był bezlitosny dla swojego młodego wychowanka. Nigdy nie dał mu drugiej szansy. Przeklinał, czasami bił płazem, doprowadzał do krańcowego wyczerpania, a nawet jeszcze dalej. A zarazem, natychmiast po zakończonej lekcji był niezmiernie uprzejmym, dobrym człowiekiem. Chwalił Lordana za to, co zrobił dobrze, wskazywał błędy, by opowiadając później Rathgarowi o jego postępach,

używać dokładnie tych samych słów, pochwalnych i krytycznych.

„Nigdy nie potraktował mnie w ten sam sposób, lecz skąd wrażenie, że to ulgowe traktowanie nie było żadną łaską z jego strony?” Przymknęła oczy i zanurzyła się nieco głębiej w gorącą wodę. „Być może połowa z tego, czego uczy mnie Tarma, jest naprawianiem błędów, których wcześniej nabyłam? No cóż, widzę przynajmniej niejaki postęp. Z każdym dniem daję sobie radę nieco lepiej, z każdym dniem ona uczy mnie czegoś nowego, a potem rozmawia ze mną tak samo jak Dent z Lordanem”.

Uwagi Tarmy sprawiały przyjemność; brzmiały ciepło, przynosiły zadowolenie. Jej komplementy nie wiązały się z żadnym „ale”. Kiedy powiedziała, że Kero robi coś dobrze, myślała tak naprawdę, bez zastrzeżeń.

„Mam nadzieję, że jej zanadto nie nudzę. Przynajmniej jestem cierpliwa. Lordan wpadał w taką wściekłość, kiedy nie potrafił czegoś zrobić poprawnie, że wybiegał z pola ćwiczeń i chował głowę do końskiego żłobu. I Tarma nie może powiedzieć, abym cierpiała na brak determinacji”.

Księżyc wspiął się w końcu do takiego punktu, że poświata przestała oświetlać okno. W komorze kąpielowej zapadły całkowite ciemności. I skończyło się wino.

„Sądzę, że czas iść do łóżka” — zdecydowała się. „Zanim zasnę w balii”.

Palcami stopy wymacała szpunt w dnie, chwyciła ogniwo przymocowanego do niego łańcucha między wielki i pozostałe palce — i pociągnęła. Kiedy po raz pierwszy Tarma pokazała jej odpływ z balii, rozbawiło ją to i zaskoczyło. W domu, aby całkowicie opróżnić balię, najpierw trzeba było ręcznie wybrać wodę, a potem przechylić ją na bok. Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego do tej pory nikt nigdy nie pomyślał o czymś takim.

Podniosła się powoli. Obok balii, na wieszaku z pręta, wisiał gruby ręcznik. Wyciągnęła po niego rękę i stanęła na wyłożonej płytami podłodze. To była jedyna nieprzyjemna rzecz w komorze — wyłożona kamiennymi płytami podłoga była zimna!

Tak zimna, że Kero szybko wysuszyła się i odwiesiła ręcznik na miejsce. Tarma nagrodziła ją jednym z tych spojrzeń, kiedy zdarzyło jej się rzucić ręcznik na podłogę, i to nasunęło Kero myśl, że w Wieży nie ma nadmiaru służących. Dlatego od tamtej pory starannie odkładała wszystkie rzeczy.

Naciągnęła starą koszulę, w której zwykle spała, i z wolna, cichutko szła po podłodze do swej komnaty. Tarma życzyła sobie, aby trenowała bezszelestne poruszanie się, kiedy tylko to było możliwe, tak by się stało odruchem. Kero sama doszła do wniosku, że nauka bezszelestnego poruszania się w ciemności jest bardzo dobrym pomysłem, a więc ćwiczyła każdej nocy.

Zostawiwszy za plecami korytarz, odwróciła się, aby zapalić pozostawioną na półce przy drzwiach świecę.

Kiedy potem znów odwróciła się ze świecą w dłoni, pomyślała, że wpadła w objęcia koszmaru.

Zęby, wpięrow zobaczyła jedynie zęby: ogromne kły, białe, błyszczące w świetle świecy. I oczy. Rozmiarów wielkich orzechów; lśniące złym, zielonkawym żarem.

Siódmy

Krzyknęła ze strachu, odskakując pod ścianę, wypuściła świecę z rąk. Wszystko za jednym zamachem. Płomyk zgasł natychmiast, pogrążając ją w zupełnej ciemności. Po omacku odnalazła ścianę i wzdłuż niej zaczęła posuwać się do wyjścia, mając nadzieję wymknąć się do komnaty kąpielowej, zanim to — czymkolwiek było — uzmysłowi sobie, że ona ucieka. Łamała sobie głowę, cóż takiego okropnego wydarzyło się, że to coś uszło uwagi Tarmy i babki.

— *Dziecko* — parsknął jakiś głos, nie wiadomo skąd.

Wydawało się, że dochodzi ze wszystkich stron naraz. Zamarła.

— *Dziecko, nie jestem Demonem Śniegu. Nie pożeram niemowląt. Przyszłym tu dzisiaj porozmawiać z tobą.*

Nie drgnęła i w głosie pojawił się ton znużenia.

— *Proszę, będziesz uprzejma zapalić świecę i usiąść?*

— Kim...? — zająknęła się. — Gdzie jesteś?

— *Tutaj.*

Coś zimnego i mokrego szturchnęło ją między piersiami. O mało znowu nie zaczęła krzyczeć.

— *Jestem Warrl, mały mazgaju. Spotykasz się ze mną codziennie!*

— Warrl? — Wyciągnęła rękę ostrożnie i dotknęła kudłatego łba, mniej więcej na wysokości swojej klatki piersiowej.

Rzeczywiście, pod palcami wydawało się, że to Warrl.

— *Skoro już trzymasz tu rękę, możesz podrapać mnie po uchu.*

Rzeczywiście brzmiało to tak, jak wyobrażała sobie, że mówiłby Warrl. Jeśli Warrl byłby w stanie mówić.

— W jaki sposób... — zaczęła.

Wpadł jej w słowo.

— *Mówię do ciebie myślą* — powiedział niecierpliwie. — *Jest to dokładnie to samo, co i ty mogłabyś robić, gdybyś chciała, a druga osoba posiadała dar słyszenia myśli.*

Poczuła lekki powiew i usłyszała cichutkie chrobotanie, dźwięk, który mógłby być skrobaniem pazurów po podłodze.

— *Proszę, zapal świecę i chodź do łóżka. O tak, grzeczne dziecko.*

Uklęka i na ślepo macała po posadzce, dopóki jej lewa ręka nie natrafiła na świecę. Zapaliwszy ją, wyprostowała się, trzymając ją w dłoni i stwierdziła, że Warrl ponownie przyjął tę samą pozycję, co w momencie, kiedy weszła do komnaty. Wyciągnięty na łożu, zajmował całą jego połowę.

— Rozgość się, proszę — powiedziała z przekąsem, lekko rozdrażniona teraz, kiedy jej serce ponownie zaczęło bić w piersi.

— *A dziękuję, właśnie to robię* — odparł równie ironicznie.

Przeszła przez komnatę i wstawiła świecę do lichtarza u wezłowania, nawet nie rzuciwszy na niego okiem. Dopiero kiedy wspięła się na łóżko, siadając na kocu ze skrzyżowanymi nogami, spojrzała mu w oczy.

— A więc, skoro przez cały czas jesteś w stanie rozmawiać, dlaczego tego nie zrobisz? — spytała rzeczowo.

— *Nie było powodu, dla którego powinnaś o tym wiedzieć* — odpowiedział spokojnie. — *Teraz jest.*

— I co to — błagam, powiedz — jest za powód?

— *Chcę wiedzieć, dlaczego ukrywasz swój dar.*

Serce zamarło jej ponownie. Nie mogła udawać, że go nie rozumie; przeczuwała, że jeśli spróbuje przekazać kłamstwo wprost, z mózgu do mózgu, zostanie przyłapana. Wiedział doskonale, o co pyta, książki jej matki nazywały tę zdolność „darem”.

Ociągała się, usiłując zyskać na czasie.

— Nic nie ukrywam — odparowała.

To była prawda; Kethry nie zapytała jej, czy jest w stanie odbierać myśli, ani nie poddała jej odpowiedniemu testowi.

Równocześnie jej myśli biegały w kółko, jak myszy złapane na dnie szklanego słoja.

„Jeśli babka dowie się o tym, zmusi mnie, abym została magiem, a ja nie chcę zostać magiem, chcę być taka, jak Tarma. . .”

Kyree stulił uszy z grymasem na pysku.

— *PROSZE!* — „myślkrzyknął” do niej.

Aż się skrzywiła, ale przynajmniej zastopowało to jej rozbiegane myśli.

Głęboko westchnął.

— *Znacznie lepiej. Dziękuję, dziecko. Nie mam zamiaru zdradzać twoich sekretów Kethry, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, ale to, co zrobiłaś, jest właśnie powodem, dla którego chcę z tobą porozmawiać.*

— Co ja zrobiłam? — wyszeptwała.

W głowie wciąż jeszcze huczało jej od jego „krzyku”. Jego uszy ponownie stanęły sztywno wyprostowane.

— *Za każdym razem, gdy czujesz się bezpieczna i koncentrujesz się na jakimś skomplikowanym problemie, z którym wiążą się mocne uczucia, robisz dokładnie to, co właśnie zrobiłaś. Myślisz „na głos”. Bardzo głośno, mógłbym dorzucić,*

dużo głośniej, niż sobie z tego zdajesz sprawę. Łatwo sobie wyobrazić, że można cię usłyszeć stąd aż do następnego zamku, jeśli ktoś na to zwraca uwagę.

— Naprawdę? — potrząsnęła głową.

To wydawało się nieprawdopodobne.

— *Naprawdę* — powiedział z naciskiem. — *Niemal tak głośno, jak ja, gdy przed chwilą „krzyknąłem” i w przeciwieństwie do mojego „krzyku”, który był przeznaczony tylko dla ciebie, twoje myśli są słyszalne dla każdego, kto potrafi je odebrać. Masz szczęście, że twoja babka nie posiada Daru, bo twój sekret nie byłby sekretem.*

Splaszczył uszy i wyglądał na urażonego, marszcząc brew w sposób, który w innych okolicznościach mógłby być zabawny.

— *To bardzo przykre i nieprzyjemne. Nie będę podważał twojego prawa do nieujawniania swoich zdolności, ponieważ nie wiążą się one ze sztuką magiczną, lecz muszę nalegać, abyś przeszła szkolenie. I to szybko, zanim spowodujesz nieszczęśliwy wypadek.*

Kero przełknęła pierwsze słowa odpowiedzi cisnące się jej na usta: że przeszła już szkolenie. Oczywiście było, że to, czego się nauczyła na własną rękę, nie wystarczało.

„Z pewnością nie, jeśli ktoś taki jak Warrl może mnie słyszeć aż od Lythandów” — pomyślała.

— Potrafię chyba zatroszczyć się o siebie — powiedziała ostrożnie.

O źdźbło uniosła się jego warga. Kłapnął zębami z irytacją. Skuliła się instynktownie. Jego kły były bardzo ostre i długości jej kciuków.

— *Nie zdajesz sobie sprawy, że nie byłoby mnie tutaj, gdyby to była prawda? W żaden sposób nie możesz nauczyć się tego sama. A nie wyszkolona... no cóż, na poły przeszkolona... wystawiasz się na potworne niebezpieczeństwo. Jedyne szczęściu zawdzięczasz to, że mag, którego zabiłaś, nie posiadał dużego Daru Myśli. Gdyby posiadał... no cóż, w tej chwili spełniałabyś prawdopodobnie każdą jego zachciankę. Zapanować nad mózgiem kogoś, kto posiada Dar, lecz jest nie wyszkolony, jest śmieszną błahostką. Twoje bariery ochronne są słabe, nie dysponujesz środkami ochronnymi drugiego stopnia. W tej chwili jesteś bardziej bezbronna niż osoba zupełnie nie Obdarzona. Obwieszczasz ten fakt po wszechświecie za każdym razem, gdy jesteś przygnębiona!*

Wciąż jeszcze istniał jeden problem: Kero nie chciała, aby babka dowiedziała się o jej zdolnościach. A czy ktoś inny mógłby ją tego nauczyć?

— Nie mogę... — Potrząsnęła głową.

Warknął i kichnął, jakby zwietrył zapach, którego nie lubił.

— *Musisz być tak tępa? Proponuję ci, że osobiście będę cię uczył. Nikt, nigdy się o tym nie dowie, nawet moja towarzysząca-w-myśli.*

— Ty? — Ledwie mogła w to uwierzyć. — Ale dlaczego?

Położył łeb na łapach i westchnął.

— *Samoobrona, dziecko. Samoobrona. Jestem coraz bardziej znużony próbami odizolowania ciebie. Czasami zakłócasz mój odpoczynek. No więc, w interesie spokojnego snu. Czy zaczniemy pracować nad tak zwaną „twoją osłoną”? Zupełnie źle się do tego zabierasz.*

„A mnie się poprzednio wydawało, że jestem przepracowana” — pomyślała Kero, cicho jęknąwszy, gdy dwa tygodnie później otwierała mętne oczy rankiem, który wstał zbyt wcześnie. Nauczyła się budzić wraz z pierwszymi, wpadającymi przez wschodnie okno promieniami słońca. Miała wrażenie, że z każdym dniem promienie uderzały w jej powieki wcześniej o jedną markę na świecy.

„Najgorsze w tym wszystkim jest to, że gdyby Tarma wiedziała, iż Warrl nie daje mi spać przez pół nocy, to pewnie pozwoliłaby mi później wstawać. Lecz jeśli jej powiem... Nie, nie mogę. Nie wiem, co by na to powiedziała. Wiem, że zdradziłaby sekret babce”.

Kero przetarła oczy kostkami palców i powoli usiadła. Sądząc po wyglądzie czystego nieba w różowym odcieniu, zapowiadał się kolejny piękny dzień, a to oznaczało, że Tarma będzie dzisiaj pełna werwy. Kero zaczynała tęsknić za dniami słoty; jeszcze bardziej do chłodnej i wilgotnej pogody, z gęstymi porannymi mgłami. W obu przypadkach bolały Tarmę stawy i aż do późnego rana zostawała w łóżku, a ćwiczenia Kero ograniczały się do praktyki na ringu przeciw owczym skórcom i innym celom. Nie było to szczególnie uprzejme cieszyć się ze złego samopoczucia nauczycielki, ale Kero stwierdziła, że w tym przypadku nad poczuciem winy z łatwością brała górę przyjemność związana z dłuższym wylegiwaniem się w łóżku.

Przez ostatni tydzień została zwolniona z obowiązku rąbania i znoszenia drewna. Teraz jej poranna praktyka obejmowała układy taneczne z mieczem i pchnięcia przeciw owczym skórcom; po południowym posiłku spędzała godzinę lub dwie nad księgami, a późnym popołudniem pojedynkowała się z Tarmą. Już więcej nie zastanawiała się nad tym, co z sobą zrobi. Zamierzała zostać najemnikiem, tak jak Tarma, jak kobiety, które Kethry wynajęła do ochrony Lordana i zamku. Najemnikiem, ale jakim? — jedynie to pytanie snuło jej się po głowie. Księgi, z których uczyła ją Tarma, dotyczyły strategii i taktyki, sposobów przemieszczania i walki całych armii. Kero jeszcze nie była w stanie zrozumieć, na co mogłoby się jej to przydać.

Może Tarma miała jakiś przemyślany plan. Kero była gotowa uczyć się wszystkiego, czego Tarma sobie życzyła, a przyszłość sama się ułoży. Tarma zawsze powiadała, że „żadne nauki, żadna wiedza, nigdy nie idą na marne”. Jeśli nawet na nic się to nie przyda, nie będzie źle, gdy szeregowy wojownik będzie miał pojęcie o ruchach całych armii, mogąc przewidzieć rozkazy.

Przeciągnęła się, wyginając do tyłu, a potem wśliznęła ponownie pod ciepłe koce. — „Tylko poleżę sobie odrobinę dłużej” — pomyślała, delektując się „ciszą” we własnych myślach. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele „podślu-

chuje”, dopóki Warrl nie nauczył jej właściwej ochrony: uziemienia, skoncentrowania i rozproszenia. Latami jej myślom towarzyszył w tle jakiś gwar, podobny do hałaśliwego tłumu na turnieju, słyszanego z odległości kilku mil. Teraz to ucichło i ulga była niewiarygodna. Nie rozumiała do końca, jak użyteczna jest dla wojownika ta szczególna umiejętność, dopóki Warrl jej tego nie zaprezentował. Udowodnił jej, że może wykorzystać tę taktyczną przewagę w wielu sytuacjach: poczynając od tego, co robiła podczas pościgu i „podśluchiwania” obszaru w poszukiwaniu myśli przeciwników, aż do odgadywania zamiarów wroga w czasie walki, parowania jego ciosów, zanim jeszcze zdążył je zadać. A jednak, nie do końca podobało jej się wykorzystywanie tego daru w ten sposób.

Przyląpała się na tym, że ponownie zapada w drzemkę. Obudziła się, zrywając się gwałtownie. Odrzuciła przykrycie i przerzuciła nogi nad brzegiem łoża, zanim po raz wtóry uległa pokusie snu. Krótka wizyta w komorze kąpielowej i spryskanie zimną wodą rozwiązały problem. Woda była tak zimna, że aż jej dech zaparło, ale teraz bez wątplenia wytrzeźwiała do reszty.

„Nie podoba mi się czytanie innym w myślach, bez ich wiedzy” — stwierdziła zdecydowanie, naciągając bryczesy i tunikę. „Nie wydaje się to uczciwe. Może w okolicznościach naprawdę wyjątkowych — jak samotny pościg za Dierną — jest to usprawiedliwione. To znaczy, gdy szansę są tak marne, że trzeba wykorzystywać dosłownie każdą przewagę, którą się dysponuje. Lecz jeśli jest to tylko starcie jeden na jednego. . . Nie, to nie w porządku”.

Zacisnęła rzemienie swojej tuniki i sięgnęła po buty.

„Prócz tego, jeśli będę nadmiernie z tego korzystała, wkrótce nie będę w stanie ukryć tego faktu. A wtedy co? Ludzie mnie znienawidzą lub będą się mnie bali. Wówczas przestanie to już stanowić przewagę, stanie się zawadą. Nie, nie chcę tego, mam już dość odróżniania się od innych”.

Myśl ta wiodła do tego samego, czym kłopotowała się od pierwszej chwili przyjazdu tutaj.

„Co ze mną jest?” — zapytała samą siebie, zaciskając mocno rzemienie butów na nogach. „Dlaczego nie mam takich samych pragnień, jak wszyscy? Każda kobieta chce znaleźć męża i mieć dom pełen dzieci. Nawet babka i Tarma mają rodziny. Tarma, gdyby nie była Zaprzysiężona Mieczowi, też zajęłaby się wychowaniem własnych dzieci, zamiast pomagać babce”.

Pokręciła głową, jej wcześniejszy, radosny nastrój ulotnił się.

„Nie lubię dzieci, a gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, posądziłby mnie o to, że jestem jakimś potworem. Nienawidzę zamknięcia w ciasnej, ograniczonej przestrzeni i nie chcę spędzać życia, zajmując się innymi! Jedyne, co kapłani mają do powiedzenia w tym względzie, ogranicza się do stwierdzenia: jakąż to radość powinna rozpierać kobiety, gotowe poświęcać się dla swojej rodziny. Błogosławiona Triado, czy to ja jestem szalona, czy wszyscy pozostali?”

Skoro nie można było, w żaden sposób, udzielić sobie na to odpowiedzi, szarp-

nęła za ramię butów i zacisnęła je mocno, pomrukując z rezygnacją. Wyszła wyładować zły humor i całą niepewność na owczych skórkach.

Prywatny ring ćwiczebny Tarmy nie znajdował się na zewnątrz, pod dachem Wieży, lecz w drugiej obok stajni jaskini wydrążonej w skale o ścianach szorstkich i nierównych. Od dawna zmęczyły ją ćwiczenia w wilgoci, na zimnie, a na samą myśl o treningu na śniegu dostawała dreszczy. Prócz tego, w czasach, kiedy ona i Keth panowały na zamku, przyzwyczała się mieć wewnętrzną komnatę ćwiczebną. Ta była znacznie od tamtej mniejsza, lecz przestrzeń dla dwudziestu wychowanków nie była jej już potrzebna.

Kero ćwiczyła zapamiętałe; był to jeden z tanecznych układów z mieczem Tarmy i pod jej baczny spojrzeniem. Serce Zaprzysiężonej Mieczowi rozpieła duma. Zgoda, to ćwiczenie było jednym z najprostszych, lecz wykonanie Kero było doskonałe. Swobodne jak oddech.

„Dziewczyna jest naturalna” — pomyślała, czując przyjemność zmieszaną ze zdziwieniem. „Latami trenowałam młokosów i nigdy nie było między nimi kogoś o tak naturalnym talencie. Dopiero teraz — u schyłku moich dni — nie tylko uczę kogoś takiego, ale jest to dziecko adoptowane przez Klan”.

Od tygodni polowała na Kethry, zbierała się na odwagę, aby pomówić o dziewczynie. Keth była rozczarowana, iż jeśli chodzi o sztukę magiczną, Kerowyn okazała się kompletnym zerem, chociaż przyznała swojej partnerce, że dziewczyna sprawia wrażenie bardziej rozluźnionej.

Teraz Kethry nareszcie przyszła, aby popatrzeć na ćwiczenia Kero i Tarma poczuła, że jest gotowa postawić swoje pytanie.

— No dobrze — powiedziała Kethry, gdy Kero wykonywała następne w kolejności ćwiczenie, nieco trudniejsze niż poprzednie. — Wygląda, że nieźle sobie radzi. To nie jest Potrzeba, nieprawdaż?

— Nie, jest to pomalowane, drewniane ostrze ćwiczebne — odrzekła Tarma. — Zrobione własnoręcznie przeze mnie. Te same rozmiary, waga i kształt, aby mogła przyzwyczać się do ciężaru i wyważenia. Potrzeba wisi na ścianie. To jej decyzja. Stwierdziła, że ta przeklęta rzecz zostanie tam tak długo, aż ona będzie pewna swoich umiejętności, pewna, że to, co robi, zawdzięcza własnej zręczności, a nie mieczowi, który nią powoduje.

— A więc? — zapytała Keth.

— A więc, co? — przekomarzając się odparła Tarma.

— A więc, jaka ona jest? — warknęła zirytowana czarodziejka. — Nadaje się do czegoś, czy nie?

Ku całkowitemu zdumieniu Tarmy, gardło jej się zacisnęło i oczy zaszyły łzami. Przez chwilę nie mogła wydusić słowa. Skonsternowana Kethry zagryzła wargę.

— Och, nie — wyszeptała. — Skoro nie ma żadnego talentu do magii, byłam

pewna. . . Co my z nią poczniemy?

Tarma otarła oczy grzbietem dłoni i zakaszłała, by odzyskać głos.

— Keth, she'enedra, źle mnie zrozumiałaś. Dziewczyna jest dobra, bardziej niż dobra. Rok, tylko jeden rok szkolenia i kompanie będą ustawiać się w kolejce, aby ją mieć.

Pociągnęła Kethry do jednej z wnęk, ukształtowanych przez nieregularne ściany jaskini, tak aby Kero nie zauważyła ich, gdy przyglądają się z cienia.

— Spójrz na nią; spójrz na jej ruchy. Ona ma wrodzony talent, Keth, jest wychowanicą, która przytrafia się nauczycielowi raz w życiu. O ile ma on szczęście. Nigdy nie otrzymała żadnego wyszkolenia, nie licząc marnego instruktazu walki na noże, a mimo to posługuje się mieczem, jakby urodziła się z nim w dłoni. Dziś robi rzeczy, których większość moich dawnych uczniów nie była w stanie wykonać po dwóch latach nauki. Prawdopodobnie zarobiłaby na sobie i teraz, gdyby komuś był potrzebny podstawowo wyszkolony rekrut.

— A za rok? — Kethry przyglądała się bardziej swojej wnuczce niż Tarmie.

— Po upływie tego roku będzie mogła ubiegać się o przyjęcie do najlepszych kompanii i wezmą ją tam na oficcerski trening. Oczywiście nie powiedzą jej tego, ale ona zostanie oficerem dużo szybciej, niż udało się to mnie czy tobie. Nie tylko posługiwanie się orężem przychodzi jej z taką łatwością, tak samo świetnie czuje się w polu. — Szturchnęła Kethry łokciem dla zwrócenia uwagi. — A przy okazji, Warrl polecił ci przekazać, że miałaś rację: ona posiada Myślmówcę. Polecił też dodać, że zajął się jej treningiem.

Kethry odprężyła się.

— Dobrze, doceniam jego subtelny zmysł składania obietnic. Wiesz, obawiałam się, że byłaś nieszczęśliwa, ponieważ ona jest okropna i nie wiedziałaś, jak mi to powiedzieć.

Tarma zachichotała.

— Prawie nie wiedziałam. I trudno powiedzieć, abym była nieszczęśliwa. Dość ucznia takiego jak ona, jest wystarczająco zdumiewające, ale to, że okaże się jedną z nas. . . no cóż, jedyną rzeczą, która uszczęśliwiłaby mnie jeszcze bardziej byłoby, gdyby Jadrek mógł ją tutaj zobaczyć.

Keth uśmiechnęła się lekko.

— On prawdopodobnie wiedział o tym prędzej od nas. Złóż ode mnie piękne dzięki Warrlowi. Obawiałam się, że jest myślmówcą, ale nie mogłam się w żaden sposób o tym przekonać. Sądziłam, że otacza osłoną swe myśli, ale mogło to mieć związek z koncentracją uwagi. Lepiej jej będzie w rękach — łapach — Warrla, niż w moich.

— Myślę, że ma pełne łapy pracy — powiedziała Tarma, przypominając sobie, czego się dowiedziała tego ranka od Warrla: *„Jest tak samo uparta jak ty za najlepszych lat, towarzyszeko-w-myśli, i tak samo małomówna. Nic mi nie powie,*

wszystko muszę z niej wyduszać. Bogom niech będą dzięki, że jest tylko jedna i nie muszę uczyć jej bojowej magii myślowej. Nie chce uczyć się ofensywnych technik.”

Prychając wyraził opinię o jej postawie.

— *Wypełniona moralnymi skrupułami jak jeden z tych na wpół szalonych Heroldów!*

— W takim razie mam dla ciebie propozycję. — Kethry wzięła głęboki wdech.

Tarma stłumiła westchnienie; Keth czyniła tak tylko wtedy, kiedy zamierzała poprosić o coś, co, jak wiedziała, nie będzie się podobać partnerce.

— Dałabyś radę uczyć dwoje? Twój drugi wychowanek będzie miał już za sobą kilka lat dobrego instruktażu, a więc będzie mniej więcej na poziomie Kero, jak sądzę.

Tarma zastanowiła się nad tym przez chwilę. „Chciałabym poświęcić Kero całą swoją uwagę, ale jej potrzebne jest współzawodnictwo”.

— To zależy — odpowiedziała po chwili. — Zależy, kto jest tym wychowankiem, na ile dam sobie z nim radę. Łatwiej jest uczyć dwoje, a i obecność kogoś innego będzie trzymała ją w ryzach. Współzawodnictwo zrobi jej bardzo dobrze, szczególnie jeśli dojdzie do wniosku, że konkuruje o moją uwagę. Lecz nie mogę sobie pozwolić, aby jakiś dzieciuch odciągał mnie od niej i szczerze mówiąc, więcej z żadnym dzieciuchem nie wytrzymam.

— Otrzymałam „błagalny” list od Megrarthona — odparła Kethry, obserwując Kero i w roztargnieniu wyskubując drobinę lśniącego, tkwiącego w skalnej ścianie kwarcu. — Nadszedł przed kilku dniami, ale musiałam zdobyć się na odwagę, aby zapytać wpierw o Kero.

— A więc, czego chce od nas król Rethwellanu? — zapytała Tarma, lekko zaskoczona. — Wysłał go Jego Wysokość król Megrarthon Jadrealyn we własnej osobie, czy też mój dawny uczeń Jad? A wspomniał coś przy okazji o swoim ciosie?

— Wysłał go twój dawny uczeń i wspomniał, że podagra w ramieniu nazbyt mu doskwiera; nigdy już nie weźmie porządnego zamachu, ma jednak nadzieję, że nie będzie to już potrzebne. — Kethry westchnęła i Tarma domyśliła się dlaczego.

Król był w listach do nich zawsze bardzo otwarty, a ostatnio czuło się w nich głębokie nieszczęście. Polityka Rethwellanu, nawet w najlepszych czasach, była wyjątkowo pokrętna i król ciągle żałował, że miecz jego ojca opowiedział się za nim. Trzy „państwowe” małżeństwa, z których dwa wyprane były z wszelkiego uczucia, zaowocowały nadmiarem synów i córek, a jeden z synów utrudniał mu życie. Tarma i Kethry należały do szczupłej garstki ludzi, z którymi mógł pozwolić sobie na otwartość. Niejeden raz Tarma zmieniała mu pieluszki, była jego mentorem na drodze miecza, a Keth opiekowała się nim w czasach pierwszej miłości i złamanego serca.

Wspólnie, zanim ukończył pierwszy rok życia, dopomogły w osadzeniu jego ojca na tronie, co czyniło je bardzo starymi przyjaciółkami rodziny.

— Ten jego średni syn jest. . .

— Grek'ka'shen — powiedziała Tarma z niesmakiem.

Padlinożerca, łączący najgorsze cechy i nawyki wszystkich zjadaczy padliny znanych Shin'a'in, żywiący się tym, czego nie tknęłyby sępy, śpiący na gnijących szczątkach swej zdobyczy, pożerający nawet własne młode pod wpływem kaprysu.

Kethry kiwnęła głową.

— A więc pisywał do ciebie?

— Ostatnio nie, ale dostałam list podczas pobytu na Równinach. Nie widziałam powodu, dla którego miałabym cię tym martwić. — Twarz Tarmy wykrzywił grymas. — Wiesz, czasami zastanawiam się, czy powodem, dla którego królewska linia Rethwellanu ma tyle kłopotu, nie są przypadkiem paskudne imiona nadawane dzieciom.

— To teoria dobra jak każda inna — odpowiedziała Kethry, z trudem zachowując powagę.

Imiona, które Jad ponadawał swoim chłopcom, były wyjątkowo okropne, ale osiem imion dziewczęcych było jeszcze gorszych. Wszystkie miały znaczenie historyczne i wszystkie były tak samo nie do wypowiedzenia jak wycie kyree. Obrzydliwe imiona były dla nich dyżurnym źródłem żartów.

— Faramentha jest tak bystry i godny zaufania, jak tylko mogłabyś sobie tego życzyć, lecz Karathanelan nadrabia to, sprawiając Jadowi trzykrotnie więcej kłopotów niż jego starszy brat. Jego najnowszym błazeństwem jest słowne ubliżanie najmłodszemu chłopcu, dopóki młodzieniec nie zapłonie gniewem i nie rzuci się na niego. Biedne pacholę zbiera potem cięgi za to, że jest zapalczywym brutalem, ponieważ Thanel jest. . .

— Przystojnym, słabym, złośliwym lalusiem, wykorzystującym to, że jest niższy i lżejszy od drugiego chłopca — wtrąciła Tarma. — Pamiętasz, widziałam go, kiedy pojechałam razem z Faramem, aby odstawić go do Jada i byłam świadkiem, jak uczynił z niego swego dziedzica. To dlatego powiedziałam Jadowi, że nie chcę go tutaj oglądać. Już w wieku trzynastu lat postanowił, że skoro nie jest dziedzicem, to koronę zapewni mu łoże i osobisty urok. Raczej mu się to uda. Jakaś głupiutka księżniczka ze starym, sklerotycznym ojcem ulegnie pięknemu obliczu, ciętemu dowcipowi oraz wdzięcznym manierom i strawi życie w brzemiennej formie, podczas gdy on będzie zabawiać się w łóżku z jej dworkami, dręczyć jej pieski pokojowe i opróżniać skarbiec do dna.

Kethry potrząsnęła głową.

— Z tego, co mówi Jad, wynika, że masz rację. Powiedziałam mu, że popełnia błąd, pozwalając Irenii wychować Thanela, zamiast oddać go w obce ręce, a teraz ten błąd jest nieodwracalny. No cóż, biorąc to wszystko razem, Jad ma nadzieję wysłać Thanela tam, gdzie nie będzie mógł psocić, lecz do tego czasu musi usunąć z jego otoczenia najmłodszego brata.

— Bo w innym przypadku będziemy mieli do czynienia z bratobójstwem. — Tarma kiwnęła głową. To rozwiązanie było logiczne i raczej eleganckie. Zwłaszcza, że nauczy to zapalczywego chłopca nieco jakże potrzebnej dyscypliny, dając mu okazję do ćwiczeń. — Chce, abyśmy przyjęły najmłodszego. To byłby Darenthallis, prawda? Największy dzieciuch z całej gromadki?

— Zgadza się. Nie ma talentu do magii, a więc będzie twój. — Kethry przekrzywiła głowę. — Masz na to ochotę?

Tarma przeciągnęła się, czując, jak trzeszczą jej wszystkie stawy.

— Dla dobra Jada i dla dobra chłopca. Ze słów Jada wynika, że najmłodszy nie jest podobny do Farama, a to oznacza, iż nietrudno będzie go uczyć. Rozumiem, że chłopiec jest porywczy i stanowi łatwy cel dla Thanela. Gdybym mogła, nie pozwoliłabym, aby jakikolwiek chłopiec musiał znosić coś takiego. Nie cierpię dręczycieli, a Thanel należy do najgorszych — jest inteligentny. Chociaż muszę przyznać, że dużo w tym winy samego Jada. Nie znalazłby się w tarapatach, gdyby nie próbował konkurować z tobą liczbą spłodzonego potomstwa.

Kethry uśmiechnęła się, ulotniło się z niej napięcie.

— Miałam nadzieję, że to powiesz. Możliwe, że jest jeszcze jedna przeszkoda do pokonania. Moja wnuczka nie jest, powiedziałabym, „nieatrakcyjna”. Na dodatek, pewnie jest nie tylko dziewicą, ale nawet pojęcia nie ma. . .

Tarma uśmiechnęła się diabelsko; wiedziała, co się święci i nie miała zamiaru pozwolić Keth zrzucić tego na swoje barki. Zwłaszcza, że zgodziła się uczyć drugiego młodzieńca.

— Lepiej będzie, jeśli ty jej to powiesz, prawda? Przede wszystkim, jesteś jej babką i wiesz doskonale, co się stanie, kiedy każę dwojgu młodym pracować razem.

— Ale.. — powiedziała cichutko Kethry.

Tarma nie przerywała wypowiedzi.

— Myślę, że to doświadczenie dobrze im zrobi. Chłopiec był trzecim w kolejności za dziedzicem Faramem i Thanelem Pięknym. Będzie mu miło, jeśli młode dziewczę zwróci na niego uwagę.

— Ale. . . — powtórzyła Kethry.

— I musisz przyznać, że ja kiepsko nadaję się do wtajemniczania Kero w prawa natury. Żyję w celibacie, pamiętasz? — Tarma bawiła się zakłopotaniem swojej towarzyszki.

Keth obarczała ją zadaniem wyjaśniania tych podstawowych spraw każdemu chłopcu, który wstąpił w progi ich szkoły, a skoro liczba chłopców, przechodzących przez jej ręce, zwykle dwukrotnie przekraczała liczbę dziewcząt, Tarma musiała spełniać ten kłopotliwy obowiązek dwa razy częściej niż Keth. Teraz but nasadzono na inną stopę i Tarma zamierzała zabawić się na to konto.

— Nie mówiąc o tym — dokończyła — że jeśli twoja córka była taką oślicą, by utrzymywać ją w całkowitej niewiedzy, twoim zadaniem jest to naprawić.

Na twarzy Kethry odbiło się rozczarowanie.

— Masz oczywiście rację. Jeśli zamierza wstąpić w szeregi kompanii, musi się dowiedzieć o wszystkim.

— Do licha, masz rację. Musi — powtórzyła Tarma, poważniejąc. — Od higieny obozowej do urazów po gwałcie. A ponieważ pracowałaś razem z Uzdrowicielami Słonecznych Jastrzębi, lepiej jesteś przygotowana do tego niż ja. To nie są problemy, przed którymi mieliby stanąć chłopcy, ani ja nie musiałam zawracać sobie tym głowy. Ale możesz się nie śpieszyć, jak myślę. Powiedz jej o rzeczach podstawowych i ochronie przed ciążą, a resztę zostaw na później. — Wyszczerezyła zęby w uśmiechu. — Pomyśl o tym jak o czesnym za to, że zgodziłam się wziąć Darena.

Kethry potrząsnęła głową.

— Niepoprawny najemnik.

Tarma zachichotała.

— W ten sposób można sprawdzić, kiedy najemnik nie żyje. Przestaje odbierać żołd.

Intuicja podszeptała Kero, że się na coś zanosi. Tarma była ostatnimi czasy nieco roztargniona, marszczyła nieznacznie brwi, tak jak wtedy, gdy chodziła głęboko zamyślona. Lecz kiedy Kero przekonała się, że nie ona wywołuje to zmarszczenie brwi, odprężyła się. Cokolwiek trapiło Tarmę, ona nie miała na to wpływu. A więc jedynie czujnie otwierała na wszystko oczy, lecz skoncentrowana była na tym, z czym mogła sobie poradzić. Snuła różne domysły, ale nie było nic, na czym mogłaby się oprzeć. W końcu nadszedł kres spekulacji, kiedy pojawiwszy się na ćwiczebnym ringu z naręczem ekwipunku, stwierdziła, że jest już tam Tarma. W pełnej zbroi, w hełmie z opuszczoną przyłbicą — ćwiczyła. Nie była sama.

Razem z nią ćwiczył fechtunek młody chłopiec; już to było dostatecznie zaskakujące. Wyglądał mniej więcej na rówieśnika Kero, która zeszywniała od rudochowo, kiedy oboje przerwali zajęcia i odwrócili się na dźwięk jej kroków. Był raczej przystojny, kościsty, nie do końca ukształtowany. Miał długie, jasnobrązowe włosy i piwnoszare oczy. Wyższy od Tarmy, poruszał się jak żreback, który stawiając krok, nie jest do końca pewny, gdzie wyląduje kopyto. Nosił dobrą zbroję — bardzo dobrą, używaną, lecz troskliwie opatrzoną i w doskonałym stanie. A na dodatek w jednej z małych nisz leżała zwinięta opończa, wraz z jakimiś dodatkowymi drobiazgami. Opończa była równie wyśmienitej roboty jak zbroja i wydawało się, że zdobyło ją rodowe godło. Z tego wszystkiego wynikało jedno: chłopiec był wysoko urodzony. Implikacje tego faktu nie przypadły Kero do gustu.

Tarma poczekała z odezwaniami się, aż Kero zbliżyła się do nich. Odstoni-

ła przyłbicę i spojrzała na Kero chłodnym, oceniającym wzrokiem. Młodzieniec przestępował z zakłopotaniem z nogi na nogę.

— Kero — powiedziała Tarma neutralnym, beznamiętnym tonem. — To jest Darenthallis, dla nas Daren. Będzie ćwiczył tu razem z tobą.

W pierwszej chwili Kero poczuła żal. „Dlaczego?” W drugiej — zazdrość. „We dwie było nam ze sobą dobrze”.

Wolno zrobiła krok do przodu z obojętnym wyrazem twarzy. Lecz jej myśli nie były obojętne. „Nie potrzeba im pieniędzy, a teraz Tarma będzie spędzać połowę czasu z nim, co oznacza, że będę się o tyle mniej uczyła od niej. To niesprawiedliwe! Sądząc z jego wyglądu, mógłby mieć każdego nauczyciela, jakiego by zapragnął! Dlaczego odbiera mi mojego?”

Przyglądała się jego zbroi z zazdrością; z bliska wyglądała jeszcze lepiej niż na pierwszy rzut oka. Specjalnie na niego dopasowana, kombinowana zbroja łuskowa z kolczugą o tak drobnych ogniwach, że wyglądały jak plecione na drutach. A nawet jeszcze nie przestał rosnać — coby znaczyło, że gdzieś, ktoś, nie dba, ile kosztuje dopasowanie nowej zbroi za każdym razem, gdy młodzieniec trochę podrośnie. Nagle rozpoznała imię. Niewielu jest młodych mężczyzn imieniem Darenthallis na świecie i prawdopodobnie tylko jednego stać było na tej jakości zbroję: Jego Wysokości Księcia Darenthallisa — trzeciego syna króla.

To wyjaśnia, jak nakłoniono Tarmę do tego, aby go uczyła i praktycznie spowodowano, że to jemu Shin'a'in poświęci lwią część swego czasu.

„Przywilej wysokiego urodzenia” — u Kero poczucie krzywdy wzrosło w trójnasób. „Ja musiałam zasłużyć sobie na miejsce tutaj, a on przychodzi i zabiera mi je”.

Nie okazała jednak tego po sobie, ani zachowaniem, ani żadnym grymasem. Od dawna nauczyła się panować nad wyrazem swojej twarzy. Rathgar niewiele wiedział o poczuciu krzywdy u swoich dzieci i ich buntowniczej naturze.

Daren uśmiechnął się; sprawiał wrażenie zadufanego w sobie, przekonanego o swej wyższości. W Kero zagotowało się. „Doskonale, zaraz przekonamy się o twojej wyższości. Zwłaszcza, gdy trafimy do lasu. Jeśli kiedykolwiek w życiu coś wytropiłeś, mój młody panie, będzie to dla mnie wielką niespodzianką”.

— Jestem Kerowyn — powiedziała, skinąwszy nieznacznie głową i nie podając ręki; mogła uwolnić jedną, lecz zdecydowała się tego nie robić.

— Daren — odpowiedział. — Jesteś jedną z uczennic lady Kethryveris?

„Pomijając fakt, że mam w rękach zbroję i zakładając, że nie mogłabym być nikim innym jak tylko milutką kobietką-magiem” — pomyślała.

— Jestem jej wnuczką — odrzekła cierpko. — I uczennicą Tarmy Kal'enedral.

Lewa brew Tarmy uniosła się odrobinę do góry, lecz poza tym jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

— Doskonale, a teraz, kiedy już się poznaliście — powiedziała cicho — dlaczegoż by nie zabrać się do roboty?

Poczucie krzywdy nie przestawało dręczyć Kero przez następnych kilka tygodni. Daren w niczym nie był lepszy od niej, a zwłaszcza w łucznictwie. Nie omieszkał jednak zachowywać się tak, jakby był; protekcyjnym tonem udzielał jej nieproszonych rad, dając do zrozumienia: dlaczego taką dziewczynkę jak ty, interesują męskie sprawy? Burzyło to krew w jej żyłach.

Mimo to jakoś powściągnęła swój temperament. Po każdym z tych lekceważących komentarzy zawsze zwracała się do Tarmy o radę, jakby nie słysząc słów Darena. Na nieszczęście, czasami narażała się tym na rykoszet. Na usta Tarmy wypływał ten jej leniwie powolny, sardoniczny uśmiezek i odpowiadała:

— Sądzę, że Daren trafił prosto w dziesiątkę.

Daren głupkowato się śmiał, Kero piekły uszy i musiała zagryzać wargi, żeby „przypadkowo” nie trafić go tarczą w arogancki podbródek. Po czym opuszczała przyłbicę, ze wszystkich sił starając się spuścić mu lanie, jakiego nie dostał w życiu.

Nocami, przed pojawieniem się Warrla na wieczornej lekcji myślmagii, kipiała od gniewu, leżąc w kąpielni. „To niesprawiedliwe” — powtarzała w kółko jak litanie. „Miał najlepszych nauczycieli od momentu, kiedy nauczył się chodzić; a ja miałam Tarmę tylko przez kilka księżyców! Dlaczego miałabym się z nim dzielić? I w czym jest lepszy ode mnie, czego jemu nie mogłyby dać pieniądze i władza?” Lecz na tym to właśnie polega, nieprawdaż? Życie nie jest sprawiedliwe; potęga i władza zapewniają wszystko: poczynając od ludzkich umiejętności i na ludzkim życiu kończąc. A jeśli przez przypadek ktokolwiek staje na drodze — jego pech. Niewątpliwie za doprowadzenie jej rodu niemal do ruiny sporo zapłacono; potęga prawdopodobnie ochraniała tego, w którego głowie zrodził się ten pomysł. A teraz i pieniądze, i władza razem spiskowały, aby ukraść jej przyszłość...

... jeśli będzie się spokojnie temu przyglądać.

Nie zrobi tego, przyrzekała sobie każdej nocy. „Zmuszę go do współzawodnictwa o każdą chwilę. Okażę się o tyle lepsza, że Tarma zrozumie, iż traci na niego czas i ponownie zajmie się tylko mną. Doprowadzę do tego. Muszę”.

Sprzyjała jej okoliczność, że w lesie Daren był bezradny jak dziecko, nie umiając odszukać nawet najwyraźniejszych śladów. Udzielała mu rad tym samym protekcyjnym tonem, którego on używał w stosunku do niej i widząc, jak się jeży, śmiała się w duchu. Rano, kiedy zbiegła po schodach do stajni, zamierzała postępować tak samo. Dzisiaj miała odbyć się całodzienna zabawa w „kotka i myszkę”, jak ją nazywała Tarma. Warrl miał być myszką. Daren nie domyślał się, że Warrl jest czymś więcej niż tylko wielkim, dziwnie wyglądającym psem, a Kero nie zamierzała mu o tym mówić. Przede wszystkim — ich zadaniem było korzystać z rozumu i zwracać uwagę na otoczenie, a jeśli on nie był w stanie do tej pory zauważyć tego, że kyree jest czymś niezwykłym, nie widziała powodu, dla którego miałaby go w tej materii oświecać. A poza tym, dawało jej to przewagę, która w połączeniu z jej umiejętnościami tropiciela, powinna umożliwić jej osiągnięcie

celu wcześniej o całą markę na świecy.

Miejszem spotkania była stajnia. Kero doszła tam przed Darenem i swoją nauczycielką. Rano rzut oka powiedział jej wszystko, czego jej było trzeba, o pogodzie za oknem. Dzisiaj będą mieli typowy w tych stronach, późnojesienny dzień — zimny, wilgotny i ohydny. Pomimo że chmury nie zebrały się jeszcze nad ich głowami, Kero widziała je na horyzoncie: płaskie i szare, zapowiadające mżawkę na cały dzień. A więc ubrała się odpowiednio w nieprzemakalną szatę na koszulę z jagnięcej wełny, kamizelę z owczej skóry, wełniane pończochy i spodnie. Daren przygotował się na zimno, ale nie na całodzienny ziąb w deszczowej pogodzie. Miał na sobie skóry, które bardzo dobrze na nim leżały, lecz które raz przesiąknawszy wilgocią, na niewiele się przydadzą. Jediną jego ochroną na wypadek mżawki była wełniana opończa, jaskrawordzawej barwy, która wyróżniać się będzie w szaro-brązowym lesie jak róża na grządce z kapustą i która będzie się rozdzierać, czepiając się każdej gałązki, o ile on nie zachowa wyjątkowej ostrożności. Tego nie można było powiedzieć o szarej narzucie Kero. Ciernie nie tak łatwo zaczepią się o mocno utkane, nasyczone tłuszczem płótno. Nie bez trudu Kero ukryła pełen wyższości uśmieszek.

Tarma spojrzała na Kero w sposób, z którego ona nic nie mogła wywnioskować, lecz nie odezwała się. Daren zobaczył wieśniaczy strój dziewczyny i z kolei on obdarzył ją rozbawionym, pełnym wyższości uśmiechem.

Kero zastanawiała się przez chwilę, czy nie ostrzec go przed zbliżającym się deszczem, ale ten uśmiech spowodował, że zmieniła zdanie. „Jeśli jest za głupi, aby przewidywać pogodę i zbytnio zarozumiały, aby poprosić o radę kogoś, kto jest przygotowany na niepogodę, której on sam nie przewidział, to może sobie pocierpieć” — pomyślała z rozdrażnieniem. „I nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę go trzęsącego się z zimna, zacierającego ręce w tej pięknej, nasiąkniętej wodą skórze”.

— Powiedziałam wam, że to będzie „zabawa w kotka i myszkę” z Warrlem — rzekła Tarma, przerywając jej tok myślenia. — Nie powiedziałam wam tylko, że reguły się zmieniły.

Kero zdrętwiała, zapominając o zemście. Zauważyła, że Daren przestał się uśmiechać, zatrzymał wzrok na Tarmie, jakby próbując odczytać jej myśli.

— Będzie to gra w „obce terytorium” — mówiła Shin’a’in. — Reguła numer jeden: jesteście na terytorium wroga, za liniami, na tropie szpiega; musicie założyć, że cokolwiek zrobicie czy powiecie, może was przed wrogiem zdradzić. Reguła numer dwa: nie zostawiajcie żadnych śladów; wróg mógł wysłać za wami tropicieli. Reguła numer trzy: to jest prawdziwa wyprawa zwiadowcza, co oznacza, że nie działacie w pojedynkę. Reguła numer cztery: wracacie z misji oboje lub oboje przegrywacie.

Przy „regule numer trzy” Kero zrozumiała, że Tarma pije do nich. Przy „regule numer cztery” domyślił się tego Daren. Wściekłemu spojrzeniu, którym ją

obrzucił, dorównywało jej poczucie rezygnacji. „Ona tego nie może zrobić. Mam mieć na głowie tego aroganckiego głupca przez cały dzień? A jeśli nie uchronię go przed upadkiem na nos, to ja mam przegrać?” Tylko jedna rzecz powstrzymała ją od powiedzenia nauczycielce swego zdania na ten temat: pewność, że Tarma poddaje ją próbie, tak jak to zrobiła na rozstajach dróg. Tym razem próba nie dotyczyła jej odwagi, lecz rozsądku i zdolności słuchania rozkazów.

Daren nie czuł żadnych tego rodzaju skrupułów.

— Nie mówisz chyba poważnie! — powiedział rozdrażniony. — Mam za sobą lata treningu, a ty oczekujesz ode mnie, że będę ciągnął za sobą tę małą zawalidrogo i opiekował się nią. . .

— Oczekuję od ciebie wysłuchania rozkazu i wykonania go, młody człowieku. — Tarma odparła spokojnie, bez śladu emocji. — Spodziewam się, że będziesz trzymał buzię na kłódkę. Dostałam polecenie od twojego ojca. Masz odnosić się do mnie, jak do swojego oficera. Twój ojciec zezwolił mi postępować z tobą, jak mi się podoba. Bądź wdzięczny, że rozkazuję ci robić tylko to. Jak możesz oczekiwać, aby kiedykolwiek wypełniano twoje rozkazy, skoro sam nie nauczysz się ich wypełniać?

Daren gapił się na nią przez chwilę z otwartymi szeroko ustami, podczas gdy Kero zawrzała gniewem. „Zawalidroga? Lata treningu, he? W takim razie, dlaczego nie jest w stanie iść tropem królika przez milę, nie gubiąc go?”

— Dałam wam rozkaz — powiedziała Tarma, podkładając mu palec pod brodę i zamykając mu usta. — Pamiętajcie o regułach.

Obróciła się na pięcie i weszła z powrotem po schodach, zostawiając ich samych w stajni. Wściekłość malująca się na twarzy Darena nie zachęcała do rozmowy, a więc Kero tylko wzruszyła ramionami i poszła w dolinę.

Daren podążył jej śladem i wyprzedził ją, tak więc, kiedy wyłonili się z tunelu, on maszerował z przodu. Kero z rozmysłem trzymała się z tyłu, zmuszając go, aby na nią zaczekał. Zgodnie z regułami, jeśli ucieknie od niej, przegra.

„Zaczynam w tym dostrzegać i dobre strony” — pomyślała, gdy nieco stłumiła gniew. „O ile tylko nie dam się ponieść emocjom”.

Niebo już zaciągnęło się chmurami, zszarzało aż po horyzont: a przynajmniej jak okiem sięgnąć poza osnowę czarnych, ogołoconych z liści drzew. Daren czekał na nią niecierpliwie przy ukrytych drzwiach do stajni i wskazał na wyraźny ślad łapy Warrla, odcisnięty na ziemi obok ścieżki.

— Poszedł tędy — powiedział młody mężczyzna i zagłębił się w krzewy, zostawiając zdradzieckie włókno ze swojej opończy na pierwszym ciernistym krzaku, obok którego przeszedł.

Kero pozostawiłaby je tam, tyle że ona nie zapomniała o regułach. „Nie zostawiajcie śladów!” — brzmiał rozkaz Tarmy. A ponieważ jej ocena zależała od jego postępowania jak od jej własnego. . .

Westchnęła i zanim minęła krzak, zdjęła rdzawe włókno z ciernia. Kiedy dogoniła Darena, wciąż jeszcze ssała skaleczony palec.

— Zapomniałeś o tym — powiedziała z przekąsem, podając mu włókno, zanim zdążył oskarżyć ją o marudzenie.

Wziął od niej nic, zamykając z trzaskiem usta, i zmarszczył brwi. Nie powiedział ani słowa, odwrócił się, aby zbadać grunt, nie zwracając na nią uwagi.

Po przekroczeniu łożyska wyschniętego strumienia, spostrzegła, że tutaj trop Warrla się urywa. Oczywiście było, co każde, w miarę przebiegłe zwierzę uczyniłoby w tej sytuacji — przez chwilę posuwałoby się łożyskiem, by następnie opuścić je w miejscu, gdzie nie zostawiłoby wyraźnych śladów. Na podłożu zasłanym suchymi liśćmi, na przykład. Tyle, że Warrl nie był zwierzęciem.

Kero zbadała trop i zauważyła, że ślady były lekko zamazane, pazury odbiły się nieco zbyt głęboko.

„Wrócił po własnych śladach, co za bestia!” — pomyślała z podziwem. „Nie sądziłam, że on to potrafi!”

Daren ruszył w górę strumienia, a nie w dół, niedwuznacznie dając do zrozumienia, żeby udała się w stronę przeciwną; wróciła po śladach i odnalazła miejsce, gdzie Warrl dał susa w bok na... tak, na stertę suchych liści. Na wierzchu liści suchych leżało kilka starych i wilgotnych, a pewna ich ilość została dodatkowo rozrzucona niedawnymi podmuchami wiatru. To było wskazówką, że liście zostały poruszone.

Zaczekała obok tych wyraźnych śladów na rozwścieczonego Darena. Upłynęło już około jednej marki na świecy, od kiedy zaczęła siąpić spodziewana mżawka i tak jak to przewidziała, jego wełniana opończa przemokła na wylot. Drżał z zimna, skórzane ubranie prawdopodobnie ocierało go do żywego mięsa w miejscach, gdzie stykało się z jego skórą. Humoru mu to nie poprawiało.

— Miałeś pójść w dół strumienia! — ryknął. — Musiałem zrobić to za ciebie! Ty leniwa suko, miałeś coś zrobić, a nie stać i czekać na mnie...

— Opuścił ścieżkę w tym miejscu — powiedziała, zaciskając dłonie, aby go nie uderzyć. — Wrócił po własnych śladach, a potem dał susa w bok na tę stertę liści.

Daren spojrzał na nią z pogardą.

— Nie jestem jakimś żółtodziobem, który by wierzył w bajki Pelagiru. Jestem księciem Rethwellanu i uczyli mnie najwybitniejsi myśliwi na świecie. Ty...

To ją wyprowadziło z równowagi, chwyciła za rzemienie wiszące z przodu jego skórzanej tuniki i pociągnęła go za stertę liści. Zaskoczenie spowodowało, że przez tych kilka kroków pozwolił się tak wlec.

— Czy to wygląda jak bajka Pelagiru, chłopczyku? — zasyczała, wskazując na bardzo wyraźne odbicie łapy w glinie. — Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zaczniesz szybko dorastać, aby wiedzieć, w co wierzyć, a w co nie. Pokonałam cię w tej grze pięć razy z sześciu i ty wiesz o tym, a więc, czy nie sądzisz, że lepiej

by było, abyś przestał pozować na wielkie i potężne książątko, a posłuchał kogoś, kto — jak się składa — jest w tym lepszy od ciebie?

Wyrwał jej się. Twarz mu poczerwieniała.

— Od kiedy pół roku treningu daje ci prawo do zachowywania się jak znawca?! — wykrzyknął.

— Od kiedy...

Tyle tylko zdołała powiedzieć.

Coś bardzo czarnego i bardzo dużego wyłoniło się z krzewów za jej plecami. Nie miała szans na to, aby się temu przyjrzeć. Następnie zdała sobie sprawę, że leci w powietrzu. Ledwie starczyło jej czasu, aby skulić się i osłonić głowę, zanim uderzyła w pień drzewa.

Potem przed oczami miała tylko ciemność i gwiazdy.

Ósmy

To był najgorszy ból głowy, na jaki kiedykolwiek cierpiała... i najbardziej niewygodne poślanie. Odniosła wrażenie, że czuje ściółkę leśną. Bezlistną, kłującą ściółkę.

„Co się stało?”

Kero usiłowała się poruszyć i stłumiła jęk, kiedy każdy mięsień, każdy staw sprzeciwił się temu. Wydawało się, że cała lewa strona jej ciała jest jednym bólem. Głowa bolała ją tak, jak wtedy, gdy kopnął ją jeden z koni i doznała wstrząsu mózgu.

— No i co? — To był głos Tarmy. — Obydwoje narobiliście niezłego bałaganu.

Otworzyła oczy, krzywiąc się na widok światła. Tarma stała oddalona o około dwadzieścia kroków od niej; tuż za nią leżał Daren, oparty o pień drugiego drzewa, tak jakby po zderzeniu zsunął się po nim w dół. Drobniotka mgiełka osiadała na jej twarzy; wilgoć skraplając się, dostawała się do jej oczu i z boku głowy spływała aż na kark. Miała wyschnięte usta. Zlizwała z warg wilgoć.

„Wygląda na to, że jego potraktowano tak samo jak mnie” — wywnioskowała Kero. Wstrząsnęły ją dreszcze. Jej wełniane ubranie, nawet przemoczone, było w stanie utrzymać ciepło, ale przez dobrą chwilę musiała leżeć na zimnej ziemi i to wyssało ciepło z jej ciała.

— Udało się wam spartaczyć wszystko, co poleciłam wam wykonać — stwierdziła ozięble Tarma, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, pod ciemnobrązową, przeciwdeszczową narzutą.

Wyraz jej surowej twarzy był jeszcze zimniejszy i bardziej nieprzystępny niż zazwyczaj. Przenosiła lodowate spojrzenie swoich niebieskich oczu raz po raz, z jednego na drugie.

— Po pierwsze, nawet wam do głowy nie przyszło, aby ułożyć plan albo przynajmniej dogadać się, kto i co będzie robił. Potem ty, Daren, pędem przystępujesz do gry, zostawiając za sobą ślad, którym mogłoby pójść dziecko, tak że Kero musi stracić dwa razy więcej czasu, zacierając go za tobą. Następnie ty, Kero, pozwalasz Darenowi tracić czas na próżnych poszukiwaniach, wiedząc od momentu zauważenia śladów Warrla, że szuka on wiatru w polu. Z kolei oboje wszczyńacie

sprzeczkę, ile powietrza w płucach. Cała armia mogłaby was podejść, a wy nic o tym byście nie wiedzieli, póki nie byłoby za późno.

Obrzuciła oboje groźnym spojrzeniem. Kero nie próbowała nawet drgnąć pod tym przeszywającym wzrokiem.

— Razem ze mną pracowała nad tym Keth — kontynuowała bezlitośnie Tarma. — Zdecydowaliśmy, że ten marsz będzie dla was niebezpieczny, aby was nauczyć, że jeśli zawiedziecie, poczujecie ból; dokładnie tak, jak to jest w prawdziwym życiu. Waszą kłótnią wyzwoliliście jedną z pułapek. No i dwa cymbały dały się nabrać, dwoje głupców, niezdolnych do wykonania prostego rozkazu: trzymania gęby na kłódkę. Doskonale, mam dla was kolejne małe zadanko: wróćcie do domu. Jest tylko jeden warunek. Dopóki nie zaczniecie współpracować, nie będziecie w stanie odnaleźć drogi powrotnej. — Uśmiechnęła się nieprzyjemnie i odwróciła na pięcie.

Idąc sztywnym krokiem, rozplynęła się w deszczu.

Kero podniosła się ze zgniecionej ściółki. Gałązki drapały ją, gdy gramoliła się powoli na kolana. Stała cała roztrzęsiona. Głowę rozsadał jej potworny ból. Przypuszczała, że wzdłuż jej lewego boku ciągnie się wielki siniak, od szyi aż po kolano. Na szczęście wylądowała na ściółce. Pomiędzy nią a ziemią znalazła się dostateczna warstwa martwych liści, aby oddzielić ją od gołej gliny. Cała była pokryta listowiem. Wyglądało to tak, jakby w nim spała. Otrzeptała się najlepiej, jak potrafiła, i czekała na Darena.

Aby utrzymać równowagę, Daren, wstając, oparł się o pień. Stał przy nim, chwiejąc się mocno na boki. Sprawiał wrażenie równie roztrzęsionego jak ona. Kiedy spostrzegł, że mu się przygląda, rzucił jej wściekłe spojrzenie i odszedł kulejąc śladem Tarmy, nie obejrzawszy się za siebie.

„Co za młody bękart!” — pomyślała urażona. „Doskonale, możemy grać każde o swoje...”

Wtedy to rozejrzała się wokoło.

W ciągu minionych kilku miesięcy stale gościła w tym lesie. Nie było stąd daleko do tylnego wejścia do Wieży. Nastala późna jesień, większość liści opadła, co powinno ułatwić orientację pośród drzew pomimo padającego deszczu.

Teraz niczego nie mogła rozpoznać. Zgubiła się, w zupełnie niewytłumaczalny sposób. Nie zdążyła trzy razy odetchnąć, a z mgły wypadł Daren. Ze zwieszoną głową, kulejąc, jak raniony, rozwścieczony byk, zderzył się z nią.

— Hej! — wrzasnęła obruszona.

Złapał ją w chwili, gdy zaczęła się przewracać, a potem odepchnął od siebie.

— Co ty wyprawiasz, wpadając na mnie w ten sposób! — wypluła z siebie.

— Nigdzie cię nie było widać! — odkrzyknął, czerwieniąc się ponownie. — Wskoczyłaś, ot, tak sobie. Znikąd!

— Nic takiego nie...

Ale on ponownie odszedł, tak szybko, jak tylko mu na to pozwoliły jego potłuczone nogi, tym razem udając się w przeciwnym kierunku.

„Ten...” — Nie była w stanie wymyślić wyzwiska, którym by go mogła obdarzyć. „Ta świnia! Ten szczur! Nierozsądny, świński ryj, zadufany w sobie, arogancki...” Rozejrzała się rozszoszczona, grzbietem dłoni usuwając wodę i mokre włosy z oczu. Niewyraźny kształt, majaczący w deszczu, poza i ponad drzewami to mógłby być klif, na którym stała Wieża.

„Myślę...” To coś ulegało momentalnym zmianom. Kurcząc się i rosnąc, czasami kryjąc się całkowicie za drzewami. „No dobrze, jakiś kierunek muszę obrać. Założę się, że dotrę z powrotem, bez względu na to, co powiedziała Tarma. I założę się, że on — nie. Muszę jedynie kierować się na Wieżę, pamiętając o tym, gdzie byliśmy. Albo odnaleźć ślady Tarmy”.

Zaczęła iść kulejąc i uważnie wypatrując tropów, które wyznaczyłyby drogę. Natrafiła na mnóstwo strzępków wełny, pewną wskazówkę, że był tutaj Daren. Natrafiła również na ślady jego stóp i swoich własnych. Nie odnalazła jednak niczego, co przypominałoby tropy Warrla czy też Tarmy i chociaż często przystawała dla uważnego zbadania terenu, nie zobaczyła żadnych punktów orientacyjnych, które wyglądałyby na znajome, ani żadnej wskazówki, że Wieża była bliżej choćby o piędź. Równie dobrze mogłaby być na drugim końcu świata. Nie zdołała nawet stwierdzić, czy zatacza kręgi czy nie. Puszcza wydawała się całkowicie wymarła. Regularny dźwięk kropel uderzających o martwe liście zagłuszał każdy inny odgłos, kiedy przystawała, aby nasłuchiwać. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się słońce; niebo pokryła jednolita szarość. Serce pulsowało jej w pierś, żołądkiem wstrząsały nudności; wędrówka była torturą, lecz przynajmniej było jej cieplej, niż gdy stała nieruchomo. Kiedy przystawała, aby wyłować jakiś dźwięk z odgłosów padającego deszczu, momentalnie zaczynała trząść się z zimna. W końcu, z braku lepszego pomysłu, sięgnęła do pasa po nóż i zaczęła nacinać pnie drzew.

„To przynajmniej powinno zapobiec krążeniu w jednym miejscu” — pomyślała, powłócząc nogami w stosach miękkich od wilgoci liści, wstrząsana dreszczami od zimnego deszczu, który strumyczkami spływał jej po karku. „O ile tylko utrzymam kierunek, dojdę do miejsca, które rozpoznam. Muszę w końcu odnaleźć takie miejsce. Albo natknę się na klif, albo natrafię na ścieżkę, albo odnajdę strumień. A jeśli nie, to dojdę do drogi. Muszę przejść przez strumień, przez drogę albo ścieżkę. Na ziemiach Wieży nie ma innych dróg”.

Tak przynajmniej jej się wydawało do chwili, gdy przystanęła, aby ulżyć swojemu potłuczonemu ciału; bok bolał ją tak, że miała ochotę płakać. Spoczęła oparta o pień drzewa. A kiedy poczuła się trochę lepiej i zaczęła znaczyć pień, najpierw rzuciła okiem na jego drugą stronę.

Ujrzała swoją pierwszą sześcioramienną gwiazdę, wyżłobioną starannie na korze, tak jak ją tego nauczyła Tarma: aby szkody wyrządzone drzewu były jak

najmniejsze, lecz znak mimo to widoczny. Wciąż był on tak świeży, że wiatr nie zdążył porwać, czepiających się pnia, okruchów kory.

W panice rozejrzała się dookoła, pewna, że było niemożliwe, aby dotykała tego drzewa. Miejsce w żadnym wypadku nie wydawało jej się znajome. A jednak nie ulegało wątpliwości, że zostało oznaczone. Uczepiła się szorstkiej kory, czując nagle słabość i zawroty głowy.

„Ależ to niemożliwe... Rozpoznałabym tę skałę w kształcie świni, czy też tę małą jaskinię u jej stóp! I drzewo z jastrzębim gniazdem w rozwidleniu! W żadnym wypadku nie zapomniabym tej kępy ostrokrzewu — jedynej zielonej rzeczy, jaką widziałam po południu”.

Niemniej, był to jej znak. W miejscu, którego nie widziała na oczy. Przymknęła powieki; zawroty głowy i nudności nasiliły się. Zwalczyła je, tłumacząc sobie, że nie wolno jej wpadać w panikę. Kiedy ponownie otworzyła oczy, strach porwał ją za serce. Krew boleśnie zatętniła jej w skroniach, gdyż, na dodatek, zaczęła tracić wzrok...

Zrozumiała jednak, że to nie w oczach jej ciemnieje, lecz że słońce zachodzi. Zmierzch zapadał szybko, a ona nie była bliżej domu niż w chwili, gdy opuszczała ich Tarma.

Tarma... „Nie zamierza zostawić nas tutaj na całą noc. Oboje jesteśmy ranni, nic nie mieliśmy w ustach przez cały dzień. Wróci po nas. Wróci po mnie, na pewno... W tym, co się wydarzyło, nie było mojej winy. Ja przestrzegałam reguł”.

Przez chwilę w to wierzyła. A potem, gdy pomyślała o tym, jak rozgniewana była jej nauczycielka pod maską obojętności, serce w niej zamarło. Zrozumiała, że tej nocy pomoc nie przybędzie. „Nie jesteśmy dziećmi. Noc w lesie nie zabije żadnego z nas. Będziemy jedynie żałować, że nie umarliśmy. Nawet jeśli przestrzegałam reguł, to nie upewniłam się, że on robi to samo. W wypadku, gdyby nie dorósł do tego, powinnam przerwać grę i wrócić do domu”.

Za plecami usłyszała trzask, a później hałas, spowodowany przez kogoś, kto przedzierał się przez krzewy, zamiast poszukać ścieżki. Wiedziała, kto to, nim się jeszcze odwróciła. Żadne zwierzę nie narobiłoby takiego hałasu. Żadne zwierzę nie chodzi po puszczy, kulejąc na dwie nogi.

„To dobrze, że naprawdę nie znajdujemy się na wrogim terytorium. Słyszeliby go już od dawna”.

Przeszła na drugą stronę drzewa i oparła się o nie plecami, aby obserwować niewyraźną postać, w miarę zbliżania się coraz wyrazistszą. W końcu był już tak blisko, że można go było z łatwością rozpoznać.

Odłożyła nóż i patrzyła na chwiejnie podchodzącego do niej Darena. Trząśł się wyraźnie pod swoją przemokniętą, wełnianą oponczką. Poplamiona gliną, straciła swój ładny, rdzawo-brązowy kolor, a potargana była w tak wielu miejscach, że trudno je było zliczyć. Daren wyglądał zaś dużo gorzej niż jego odzienie.

Zachowywał się tak, jakby jej nie widział. Zachowywał się tak, jakby niczego

nie widział.

— Hej — powiedziała znużona, kiedy na ślepo brnął obok niej.

Stanął jak wryty. Zamrugał oczami, jakby zaskoczył go jej widok. Może tak i było. Im więcej Kero o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że to jej babka maczała palce w zmianie znajomego terenu w nieznaną okolicę. Czyż w jednej z ksiązek Tarmy na temat prowadzenia wojny nie czytała o zakłęciu, które otumaniwszy głowę wroga, powoduje, że nie może on rozpoznać otoczenia?

— K-k-kero? — wykrztusił Daren, jękając się z zimna. — Czy t-t-ty też wciąż nie możesz odnaleźć drogi?

— Sądzę, że tak — odpowiedziała z ociąganiem.

Zapadła głęboka noc. Wraz z nią nasiliła się ulewa. Ktoś musiał podjąć decyzję, a wyglądało na to, że Daren zapomniał nawet własnego imienia.

„Musimy się z tego wykaraskać, musimy znaleźć schronienie na noc, inaczej będziemy łazić w kółko, dopóki nie padniemy bez sił”.

Jedyne, co było w pobliżu, to ta olbrzymia skała wielkości stajni zamkowej, którą zauważyła wcześniej; i w tej chwili, niewielka pusta przestrzeń u jej stóp była najbliższym miejscem, gdzie mogli szukać prawdziwego schronienia.

— Posłuchaj — powiedziała, łapiąc go za łokieć i wskazując wyłaniającą się z mroku skałę. — Tam, pod tą skałą, jest dostatecznie dużo miejsca, abyśmy oboje mogli się wcisnąć, uchodząc przed deszczem. W tej chwili, gdybym nawet wiedziała, gdzie jestem, nie byłabym w stanie wyruszyć w powrotną drogę. Jeszcze jedna marka na świecy i nie będzie można odróżnić własnej dłoni.

Przez moment wydawało się, że Daren zaprotestuje. Zmarszczył brwi i zaczął odsuwać się od niej. Najwyraźniej jednak był już u kresu sił; poddał się, gdy przyciągnęła go do siebie i oboje, chwijając się w potokach deszczu, poszli w kierunku kryjówki.

Nie sądziła, że w jaskini będzie tak sucho i że będzie ona większa, niż wynikałoby to z jej pobieżnej oceny. Kiedy na czworakach wczołgała się do środka, lewą ręką namacawszy drogę, pod jej palcami zazgrzytał piasek. Suchy, stosunkowo czysty piasek. Wyglądało na to, że nie ma tu nic poza stertą suchych liści leżących pod tylną, ścianą, nawianych tutaj przez wiatr. Nie było na przykład węży i zbyt wielu kamieni. Miejsca było dość, aby oboje znaleźli schronienie przed niepogodą. Liście łagodziły najostrzejsze krawędzie skalnej ściany. Nie proszony, Daren ściągnął swoją opończę i otulił nią oboje.

Jej przewidywania co do nadchodzących ciemności okazały się prawdziwe. Przed wejściem do jaskini nie można było już nic zobaczyć tuż po znalezieniu przez nich schronienia. Z tego powodu i w jaskini zapanował kompletny mrok.

— Przynajmniej nie musimy obawiać się niedźwiedzi i wilków ani niczego — odezwał się Daren, przerywając długą ciszę.

Oboje w końcu przestali się trząść; mimo to Kero wątpiła, aby któremuś z nich zrobiło się naprawdę ciepło. Pomyślała z bolesną tęsknotą o gorącej herbacie,

swojej kąpieli i ogniu na kominku w komnacie.

„To niesprawiedliwe. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby on nie i zachowywał się jak dureń. Nie byłabym potłuczona i posiniaczona, gdyby odznaczał się odrobiną rozsądku”.

Mimo wszystko rozgoryczeniem niczego nie zwojuje. Gdyby Daren doszedł do wniosku, że ona go obraża i opuścił ją w rozdrażnieniu, zamarzyłyby na śmierć. Teraz ogrzewali się nawzajem, tak że w małej jaskini można było jakoś wytrzymać. Gdyby jej przyszło zostać tutaj samej, rozpadłaby się na kawałki, tak trzęsła się z zimna.

— Myślisz, że jesteśmy bezpieczni, bo nic z odrobiną oleju w głowie nie wyszłoby na ten deszcz? — zapytała Kero. — Prawdopodobnie masz rację. Chyba, że jest nieco prawdy w opowieściach o wodnikach, choć wątpię, aby którekolwiek z nas mogło stać się przedmiotem szczególnego zainteresowania wodnika.

— Nawet wodniki nie będą włączyć się w tym deszczu — odparował Daren. Jego głos zabrzmiał głucho i przygnębiająco. — Najmilsi bogowie, ależ mnie boli! Czuję nawet włosy.

— Wiem, co masz na myśli — ponuro powiedziała do niego Kero. — Im jest chłodniej, tym bardziej twardnieją moje siniaki. — Zawahała się na moment i dodała: — Wiesz, mogliśmy zrobić to lepiej.

— Co masz na myśli przez my... — powstrzymał się. — Przypuszczam, że masz rację. Mogliśmy. Ja tylko... nigdy nie sądziłem, że myślisz o tym wszystkim poważnie. Nigdy nie sądziłem, że możesz mi dorównać. Jesteś przecież dziewczyną.

— No więc? Połowa najemników, wynajętych przez babkę do ochrony zamku, jest dziewczynami — odparowała zwięźle Kero. — Połowa najemników, którzy osadzili twojego ojca na tronie, była dziewczynami. Jego siostra, kapitan Słonecznych Jastrzębi, była dziewczyną. Myślałam, że wpadnie ci do głowy, iż sam fakt, że jest się dziewczyną, nie oznacza pustki w głowie ani tego, że nie można posługiwać się niczym bardziej niebezpiecznym od igły.

— Zamierzasz zostać najemnikiem? — jego głos wzniósł się spiralą do góry i załamał. — Ależ... dlaczego?

— Ponieważ jakoś muszę zarobić na swoje jedzenie i ubranie — powiedziała gorzko. — Nikt nie zamierza mi nic dać. Mój ojciec był zwykłym najemnikiem, zanim poślubił matkę, i poza bratem babka jest moją jedyną krewną. Jeśli zdołam, nie zamierzam spędzić życia u niej na garnuszku ani jako ciotka czy stara panna. Widziałam zbyt wiele ciotek, starych panien, chodzących w kieracie domowym, który żonom zazwyczaj jest nie w smak. I naprawdę nie interesuje mnie sprzedawanie niczego poza moim mieczem.

Z ataku kaszlu, który go opanował, a po którym zapadło milczenie, wywnioskowała, że jej słowa wprowadziły go w zakłopotanie.

W końcu chrząknął i zapytał:

— Właściwie kim ty jesteś? Odzywasz się jak szlachcianka, lecz ubierasz się jak wieśniak.

— To dlatego, że w warunkach gry w „kotka i myszkę” ubiór wieśniaczy jest dużo wygodniejszy, niż ci się wydaje — wyjaśniła, przesuając się nieco, aby ulżyć bolącym pośladkom. — Zieleń i brąz wtapiają się w puszcę. Nie można walczyć w spódnicach i gorsetach. Ani polować, ani jeździć konno. Nic nie można robić, tylko ładnie się wygląda. Sam byś się przekonał, gdybyś zadał sobie trud i przyjrzał się uważniej wieśniakom pracującym na polu; ci wyglądający na chłopców i mężczyzn są w rzeczywistości kobietami.

— Naprawdę? — Najwidoczniej nigdy nie przyszło mu to do głowy.

— Jakże, u licha, można pracować sierpem, skoro przeszkadza ci w tym spódnica? — zapytała go. — Miałbyś swoją spódnicę w strzępach! A my mieliśmy działać na terytorium przeciwnika. Prawda? Ubrałam się więc tak jak wieśniak, aby trudno było mnie dostrzec, a nawet gdyby ktoś mnie zauważył, mógłby dojść do wniosku, że nie jestem groźna. I w dodatku było mi ciepło; wieśniacy wiedzą, jak ubrać się w złą pogodę. A ciebie, z twoją jaskrawoczerwoną opończą w środku martwej puszczy, z tego jedynie powodu zakuto by w dyby, jak podejrzewam.

— Och! — Jakże miło dla jej ucha zabrzmiał smutek w jego głosie.

— A więc właśnie się przekonałeś na własnej skórze, jak skutecznie ochroniły cię na deszczu przed zimnem te twoje myśliwskie skóry — nie ustępowała. — Nie zwracałeś rano uwagi na pogodę ani nie zapytałeś o nią Tarmy, nieprawdaż? Ani razu nie słyszałam, byś pytał na co się zanosz, kiedy wychodziliśmy na cały dzień. Od dnia twojego przyjazdu była wyjątkowo — jak na tę porę roku — ładna, jeśli chcesz znać prawdę.

— Mogłaś mi powiedzieć — stwierdził ponuro.

— Dlaczego? — Ogrzewał ją własny, tłumiony gniew. — Przybyłeś tutaj i zająłeś czas mojej nauczycielce, odbierając ją mnie. Traktowałeś mnie, jakbym była zbyt głupia na to, aby wiedzieć, że obrażasz mnie swoim poczuciem wyższości. Zachowywałeś się tak, jakbyś spodziewał się, że będę podniecona tak zwanym „przywilejem” ćwiczenia wespół z tobą. Dlaczego miałabym ci cokolwiek mówić? Dlaczego miałabym dzielić się z tobą swoją przewagą? Nie kiwnąłeś palcem, aby sobie na to zasłużyć.

Sztyniał w miarę, jak mówiła. Czekwała na wybuch, który, jak wiedziała, musi nastąpić po jej słowach.

Nic takiego się nie stało.

— Dlaczego jesteś tutaj, Kerowyn? — zapytał wolno. — Wiem tylko, że jesteś wnuczką lady Kethry. Myślałem. . . przypuszczałem, że dla ciebie te nauki Tarmy są tylko zabawą, lecz ty mówisz o wyruszeniu i zaoferowaniu swojego miecza na sprzedaż. . .

— Nie mówię o tym. Ja to zrobię — stwierdziła z naciskiem. Zaburczało jej w brzuchu, jakby dla przypomnienia, że upłynęło sporo czasu, od kiedy jadła po

raz ostatni. — Nie mam wyboru, jeśli nie zamierzam żyć na garnuszku u brata, dopóki nie zdecyduje się znaleźć dla mnie odpowiedniego męża. Gdyby ktokolwiek mnie wziął, nie miałabym już nic do powiedzenia. I oczywiście gorszyłabym całą rodzinę Dierny. Naturalnie przy takim założeniu musiałabym pokornie poślubić każdego, kogo brat by dla mnie wyszukał — jak mała, grzeczna dziewczynka. Nie sądzę, aby mi na tym zależało.

„A jeśli niektóre aluzje na temat barona, poczynione przez babkę, są prawdziwe” — pomyślała — „podejrzewam, że i on byłby zainteresowany tym, abym nie wydała na świat konkurenta do objęcia zamku”. Kethry właściwie nie oskarżała o nic barona, ale Kero potrafiła doskonale kojarzyć fakty na własną rękę, włączając w to kilka, o których Kethry nie wiedziała. Baron był żywo zainteresowany małżeństwem Dierny i przysłał w prezencie ślubnym bardzo piękny komplet sreber, jednakże na wesele nie przybył ani on, ani nikt inny z jego rodziny. Mógł wiedzieć, że coś złego miało się wydarzyć.

„I miał doskonałą okazję, aby wszystko zaplanować”. Kero była bardzo zadowolona, że Tarma dokonała zaciągu tak dobrze wyszkolonych strażników. Nie było cienia wątpliwości, że Kethry także nie spuszczała z tego miejsca magicznego oka, ponieważ obietnice złożone przez nią Rathgarowi stały się nieważne z chwilą jego śmierci.

— Nie wiem, dlaczego twój brat miałby zadawać sobie trud szukania męża dla ciebie. . . — rozpoczął Daren.

Coś w sposobie, w jakim to powiedział, spowodowało, że problem dręczący ją od tygodni, stał się nagle jasny i zrozumiały. Wpadła Darenowi w słowo:

— A jeśli ja nie chcę, aby on „szukał dla mnie męża”? Jeśli jestem zupełnie szczęśliwa bez męża? Dlaczego inni sądzą, że powinno radować mnie strojenie się we wstążki i oddanie jakiemuś mężczyźnie, którego nigdy nawet nie widziałam? Nie jestem taka pewna, czy miałabym ochotę być przekazana — jak nagrodzona klacz — komuś, kogo ledwie poznałam!

— Ależ ja sądziłem, że tego właśnie pragnie każda dziewczyna. — Zabrzmiało to, jakby był naprawdę zdumiony. — Wszystkie moje siostry o tym marzą, a przynajmniej, wszystkie o tym rozmawiają.

— Tarma nie — przypomniała mu. — Ani babka. Ani twoja ciotka Idra. Ani ja. Czy każdemu mężczyźnie cieknie ślinka na myśl o wyruszeniu w pole i rąbaniu ludzi na kawałki?

— No cóż — przyznał — nie. Moje kuzynki. . .

— No cóż, nie — znowu wpadła mu w słowo. — Nie każdy mężczyzna pragnie tego samego. W takim razie, dlaczego każda kobieta powinna mieć takie same pragnienia? Nie jesteśmy słodkimi ciasteczkami upieczonymi na identyczny brązowy kolor i posypanymi cukrem, abyście wy, mężczyźni, mogli pożerać nas, kiedy wam na to przyjdzie ochota. — Była dumna z tego porównania, ale wspomnienie o ciasteczkach spowodowało, że głód stał się jeszcze bardziej do-

tkliwy.

— Nie — odpowiedział. — Niektóre z was przypominają dzikie jabłka.

— Dzikich jabłek nie można pożerać — odcięła się.

„Chociaż teraz zjadłabym nawet dzikie jabłko, gdybym je znalazła” — stwierdziła w duchu. Odwróciła się do niego plecami, gdyby mogła, ale nie było na to dość miejsca.

— Mężczyznom wcale nie jest łatwiej, wiesz? — powiedział, przerywając ponurą ciszę, zakłócaną jednostajnym bębnieniem deszczu o martwe, rozmiękłe od wody liście. — Przedstawia nam się jakąś dziewczynę wybraną dla nas przez rodziców. Oczekuje się od nas, abyśmy rozkochali ją w sobie szaleńczą miłością tak, aby szła do ołtarza uśmiechnięta, a nie zapłakana. Po czym wymaga się od nas wypełnienia wszystkich planów ułożonych przez ojców, nie dbając o nasze zdanie w tym względzie. Ja po prostu miałem szczęście. Faram jest najlepszym bratem na świecie, a ja nie mam ochoty na koronę. On uważa, że byłbym dobrym Lordem Wojny. Zawsze nieźle radziłem sobie ze strategią, a więc nie będę robił czegoś, co mi się nie podoba. Skoro zaś jestem najmłodszy, nikt nie oczekuje ode mnie wybrania sobie narzeczonej, dopóki sam tego nie zapragnę. Biedny Faram musi dokonać wyboru, nim nadejdzie noc świętojańska i niech bogowie mają go w swej pieczy, jeśli nic nie będzie słychać o nadejściu dziedzica w czasie przesilenia zimowego.

Wyrzucił wszystko z siebie, jakby nosił to w sobie zbyt długo. Kero uzmysłowiła sobie, że go słucha i że odczuwa dziwne współczucie.

„Może zbyt dużo władzy i wysoka pozycja są równie doskwierające, jak ich brak”.

— Do czego więc ty jesteś zmuszany? — zapytała cicho. — Bo do czegoś chyba tak?

Westchnął i skrzywił się z bólu wywołanego ruchem żeber.

— Podoba mi się planowanie i lubię ćwiczyć walkę — powiedział. — To jest jak taniec, tyle że lepsze, bo w tańcach dworskich tracisz mnóstwo czasu, nie ruszając się wiele. Lecz... ja nigdy... naprawdę nikogo nie zabiłem... .

— A ja tak — odpaliła bez namysłu. — I to nie jest tak jak w balladach. Jest to raczej okropne uczucie.

Poczuła, że skrzywił się ponownie.

— Tego się właśnie obawiałem — przyznał się. — Obawiam się, że... nie będę w stanie tego zrobić... — głośno przełknął ślinę.

Wydawało się, że dopiero teraz zrozumiał to, co powiedziała.

— Ty kogoś zabiłaś? — zapytał z lekka piskliwym tonem.

— No cóż, miecz zabił... .

— To ty jesteś tą Kerowyn? — zapiszczał.

Po głosie nie umiała ocenić, czy był mile zaskoczony czy wręcz przeciwnie.

— Ja jestem jaką Kerowyn? — zapytała. — Nie wiedziałam, że jest nas więcej.

— Tą, o której opowiadają pieśni. Tą, która uratowała narzeczoną swojego... — głos mu się załamał -... swojego brata... magicznym mieczem babki.

— Przypuszczam, że to o mnie chodzi — rzekła ciężko — ponieważ dookoła nie może roić się od wielu Kerowyn z magicznym mieczem. To miecz wykonał większość roboty, jakby to on był wojownikiem, a ja bronią.

— Nie wiedziałem, że to ty jesteś tą Kerowyn — zaczął. — Ja nie...

— Widzisz — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Dlaczego miałyby to zmienić twój sposób odnoszenia się do mnie? Według mnie ocenianie kogoś na podstawie krwawych pieśni, które o nim napisano, jest kiepską metodą ferowania wyroków. Mnóstwo pieśni napisano o babce i Tarmie. Większość z nich jest fałszywa.

— Kiedy... kiedy słyszałem pieśń... pragnąłem się z tobą spotkać — wyszeptał. — Pomyślałem, że to jest dziewczyna, z którą mógłbym pogadać, która nie ma tych idiotycznych wyobrażeń o poczuciu honoru; ona po prostu wie, co jest słuszne. A potem idzie i coś w tej sprawie robi.

— No dobrze, rozmawiasz ze mną teraz — powiedziała gorzko.

Siedziała zgarbiona, opierając się o podściółkę z liści, pragnąc usadowić się w takiej pozycji, która sprawiałaby odrobinę mniej bólu.

— Przypuszczam, że tak. — Ponownie zapadła długa chwila milczenia. — Więc, jak to naprawdę jest?

— Gdybym nie była mokra od potu jak mysz kościelna, posikałabym się ze strachu — rzekła bez ogródek. — Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona.

Z jakąż łatwością przychodziło jej opowiadać mu o rzeczach, z których nie zwierzała się nawet babce: o złości, jaką czuła do Rathgara za to, że dał się zabić w tak głupi sposób, zostawiając ich wszystkich bez ochrony; o takiej samej złości na Lordana, że nie był zdolny ruszyć na ratunek osobiście. Tym razem nie zapłakała. W dodatku nie była już szczególnie zasmucona doznaną stratą, jakby to przytrafiło się komuś innemu, dawno temu. Jakby to zupełnie jej nie dotyczyło.

On opowiedział jej o swoim ojcu, braciach; całkiem sporo o Faramie, dużo mniej o Thanelu. Jednak z tych niewielu słów zgadywała, że Thanel jest intrygantem i tchórzliwym wężem, co prawdopodobnie stanowi najgorszą z kombinacji. Na szczęście ich ojciec zdawał się dobrze to sobie uświadamiać. Kero miała nadzieję, że dobrze rozważył możliwość zorganizowania przez Thanela próby „wypadku”, który przytrafiłby się starszemu bratu. Daren o niczym takim nie wspomniał i Kero doszła do wniosku, że poruszanie tego tematu nie do niej należy.

W nocy zdrzemnęli się nieco. Dla Kero była to niespokojna drzemka; budziła się, kiedy Daren się poruszał, za każdym razem czując bolesne rwanie w potłuczonych miejscach. I niełatwo było jej zasnąć z żołądkiem przyklejonym do krę-

gosłupa. Nie zmrużyła oka aż do świtu. A gdy zrobiło się dostatecznie jasno, aby cokolwiek zobaczyć, dała chłopakowi kuksańca. Musiał leżeć z otwartymi oczami, tak jak i ona, ponieważ ściągnął z nich opończę bez słowa i oboje wyczołgali się ze swojej kryjówki.

Skała, pod którą się schronili, nie przypominała już swym kształtem świni. Było to znajoma skałka o wyglądzie zamku, którą Kero widziała ze sto razy. Od Wieży dzieliła ich odległość zaledwie kilku staj.

Daren patrzył z głupią miną na skałę i mrugał powiekami. Niewątpliwie i on także ją rozpoznał, lecz nie odezwał się ani słowem. A jeśli chodzi o Kero, to tylko potwierdziło jej nocne podejrzenia, że Kethry na cały ten obszar rzuciła jakiś czar, który nie rozproszyłby się, o ile nie zaczęliby współpracować.

No cóż, teraz już działali razem.

Napotkała wzrok Darena; kiwnął głową. Wyprostowali się, na ile to było możliwe i wlokąc się noga za nogą poszli z powrotem do Wieży, podwinawszy pod siebie przysłowiowe ogony. Kero nie była pewna, o czym myśli Daren — i nie widziała powodu, by próbować to z niego wydobyć — ale musiała przyznać, że sami ściągnęli to na swoje głowy. Męczyło ją dotkliwie przecucie, że to jeszcze nie koniec.

Nie myliła się. Daren szedł przed nią, przystanął na chwilę przed kryjącą wejście skałą, powiedział coś zbyt cicho, aby Kero mogła usłyszeć i wszedł. Podążyła za nim. Poczwała, jak panujące w stajni ciepło otacza ją niczym przytulny pled. Tarma stała, obojętnie opierając się o skalną ścianę, tak jakby nie ruszała się stamtąd przez całą noc i była przygotowana na dalsze oczekiwanie. Obrzuciła ich spojrzeniem od stóp do głów, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— W waszych komnatach stoi przygotowany posiłek — powiedziała. — Weźcie ciepłą kąpiel, najedzcie się, a potem, żwawo ruszywszy wasze tyłki, wracajcie tutaj. Czekam na was na ćwiczebnym ringu.

Po kąpieli i posiłku, Kero poczuła się nieco bardziej po ludzku. Dzisiejszy dzień nie zapowiadał się przyjemnie, ale kiedy założyła ciepłe — i suche! — ubranie, musiała przyznać, że najgorsze ma już za sobą.

„I doskonale wiem o tym, że jeśli nie rozruszamy potłuczonych mięśni, zesztyniejemy zupełnie. A wtedy, jutro, będzie dwakroć trudniej” — pomyślała.

Wychodząc zamknęła drzwi od swojej komnaty. Na schodach doścignęła Darena. Był zdezorientowany — mogła to wyczytać z jego twarzy — i oburzony — to było widać z jego postawy, sztywnej i przygarbionej.

— Co się stało? — zapytała.

Spojrzał na nią przez ramię, jakby spodziewając się kpin z jej strony.

— W domu — powiedział z wahaniem — po czymś takim, co wydarzyło się minionej nocy, rozczulano by się nade mną. Przysłano by sługi z moimi ulubio-

nymi potrawami, kazano by komuś mnie wymasować, a później odesłano by do łóżka...

Przerwał. Uzmysłowała sobie, że jej twarz musiała przypuszczalnie zdradzić niejaki obrzydzenie. Przemyślawszy jego słowa, zdała sobie sprawę, że nie można obarczać winą księcia za to, jak inni ludzie się do niego odnoszą.

— Słuchaj — odezwała się, starając się, aby to zabrzmiało możliwie rozsądnie. — Myślisz, że tak by było w warunkach bitewnych? Pod koniec każdego dnia będziesz się czuł dużo gorzej niż teraz, jeśli kiedykolwiek wybuchnie wojna.

Daren uczynił wysiłek, aby zastanowić się nad tym, co właśnie usłyszał. Z kolei on przystanął na schodach.

— Przypuszczam, że masz rację — odpowiedział. — Nie byłoby tam nawet gorących kąpielii, nie mówiąc o reszcie. Prawdopodobnie spalibyśmy w zbrojach, jedząc to, co zostawiłyby nam robaki i szczury.

— No właśnie. Gdyby to była wyprawa zwiadowcza podczas wojny, mielibyśmy szczęście, gdybyśmy się najedli i dostali ciepłe odzienie. — Popatrzyła na niego w stłumionym świetle i wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam... przypuszczam, że jeśli mam nauczyć się dowodzić armiami, może lepiej od zaraz zacząć się przyzwyczajać do pewnych niewygód — stwierdził.

Pod nimi rozległ się odgłos szyderczych oklasków. Światło na półpiętrze przygasało. Tarma stała przez moment na pierwszym stopniu, wciąż klaskając powoli, a potem bardzo wolno zaczęła iść schodami w ich stronę.

— Najwyższy czas, abyś w końcu domyślił się, dlaczego tutaj jesteś, młody człowieku — powiedziała. Kąciki jej ust wygięły się do góry bynajmniej nie w uśmiechu. — Teraz mam coś dla was obojga. Wasz dzień się dopiero zaczyna.

Ćwiczenia, które im zadała, były cięższe niż wszystko, co przeszli do tej pory. Uraza Kero i resztki jej gniewu utonęły w ogólnym wyczerpaniu. Daren był w jeszcze gorszym stanie niż ona, ponieważ jego potłuczenia były znacznie bardziej dotkliwe.

Kiedy wczołgała się — dosłownie — po schodach do swojej komnaty, gotowa była paść na łóżko i spać przez tydzień. Jej dzień jednak jeszcze się nie skończył. Taka zmęczona nie była nawet wtedy, gdy wszyscy z zamku, służący i rodzina, wyszli zbierać plony dzierżawców, by je uchronić przed burzą. Gdyby to od niej zależało, poszłaby prosto do łóżka, zatrzymawszy się po drodze, aby się najeść i wypić tyle wina, żeby nie czuć obolałych kości. Lecz wiedziała, że nie ma wyboru; kolejna gorąca kąpiel lepiej zrobi jej posiniaczonym i sztywnym mięśniom niż sen, chyba że chciałyby zbudzić się jeszcze bardziej obolała. Będzie musiała poświęcić sporo czasu na kolejną kąpiel.

Właśnie zanurzyła się w wodzie, kiedy złożył jej wizytę gość. Tym razem nie na dwóch, lecz na czterech nogach.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że tam jest; kiedy miał na to ochotę, poruszał

się bezszelestnie jak cień. Leżała w balii z zamkniętymi oczami, gdy jego słowa rozległy się w jej myślach. Aż podskoczyła z przerażenia.

— *Właściwie można by ci zadać pytanie: co sobie wyobrażałaś, postępując tak jak wczoraj? Prócz tego, że zgrywałaś się na głupca, oczywiście?*

— Ja? — wypluła z siebie. — To ja grałam zgodnie z regułami! On. . .

— *Zgodnie z literą, może. Nie z duchem.* — Kyree usiadł — podobny do wielkiego, szarego wilka — poza zasięgiem przypadkowych bryzgów wody. — *Wiedziałaś doskonale, że nie jestem po prostu jakimś zwykłym, dobrze wytresowanym, odgrywającym zadaną rolę, zwierzęciem. Dlaczego nie powiedziałaś tego Darenowi?*

— Czy ty myślisz, że on by mi uwierzył? — zapytała rozdrażniona. — Aż do ostatniej nocy nie przyszło mu do głowy, że ja też potrafię myśleć, a więc dlaczegożby miał podejrzewać ciebie o tę zdolność?

— *Twoim zadaniem było przekonać go o tym* — powiedział ozięble Warrl. — *Na tym polega praca w zespole. Jeśli wiesz o czymś, o czym twój kompan nie wie.*

— Dlaczego? — odgryzła się. — To byłaby strata czasu. Wiedziałam, kim jesteś, to wystarczy.

— *Dlaczego? Ponieważ ukrywanie informacji mogło doprowadzić was oboje do śmierci. Co by się stało, gdybyś została obezwładniona? Co by było gdybym ja, wasz przeciwnik, skorzystał z zatajenia przez ciebie tej informacji, aby was rozdzielić? Tak się dokładnie stało, nieprawdaż? Pozwoliłaś mu szukać wiatru w polu, a sama usiadłaś i czekałaś. Gdybym był prawdziwym przeciwnikiem, sprzątnąłbym jego, a potem zaszedłbym cię od tyłu i załatwił. Lecz ty byłaś zbyt zajęta myślami o swojej wyższości, aby zwracać sobie tym głowę, nieprawdaż?*

— Ja? Ja. . .

Oskarżenie było tak samo niesprawiedliwe jak wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionego dnia. Znalazła się w potrzasku, między gniewem i łzami; łzy przy tym w połowie wywoływał gniew.

Siedział i patrzył się na nią — niemy wyrzut sumienia.

— *W końcu znalazłaś się w sytuacji, w której miałaś przewagę i nadużyłaś tego. Mogłaś znaleźć sposób, aby go przekonać, że wiesz, o czym mówisz, i mogłaś to zrobić także poczulby zaskoczenie i wdzięczność. Potem słuchałby znacznie uważniej twoich sugestii. Zamiast tego wystawiłaś na niebezpieczeństwo jego, siebie i całą misję. Wszystko na tle urażonej ambicji.*

— Nie, nie mogłam! Ja. . . — zupełnie nie była w stanie mówić dalej; spróbowała i poczuła dławienie w gardle.

— *Kiedy zostaniesz najemnikiem, czy to działając samotnie, czy razem z kompanią, będziesz zmuszona często współpracować z tymi, których nie lubisz. Stwierdzisz, że pracujesz z ludźmi, pogardzającymi tobą i twoimi umiejętnościami. Jeśli będziesz postępowała według aktualnego wzorca, zdołasz, przy pewnym szczęściu, zabić jedynie siebie samą. Jeśli nie, pociągniesz za sobą setki innych.*

Oczy Warrla lśniły blaskiem niebieskim jak lód, twardym jak najświetniejsza stal.

— *Radzę ci, pomyśl o tym* — powiedział po długiej przerwie, w czasie której nie była nawet w stanie zebrać myśli.

Zaczekał, a kiedy nie odpowiedziała, wstał ruchem tak miękkim, że nie drgnął nawet jeden włos na jego grzbiecie; równie dobrze mógłby być figurką magicznie pobudzoną do życia. Przeszył ją po raz kolejny spojrzeniem swoich wielkich oczu i truchcikiem wyszedł tak cicho, jak się pojawił.

Wyciągnęła szpunt z dna balii, czując nadmierne napięcie nerwowe i zdenerwowanie, by się odprężyć. Woda wypłynęła gładko; ledwie bulgotała, gdy Kero wychodziła z balii. Złapała za kwadrat płótna i zerwała go z haka obok na ścianie. Trąc mocno skórę, jak gdyby usuwając te nieprzyjemne, nieprawdziwe oskarżenia z myśli, wysuszyła się starannie.

Nieprzyjemne, nieprawdziwe i niesprawiedliwe. Z godnością opuściła komorę kąpielową i rzuciła się na łóżko, wrząc z gniewu. „To nie ja gnałam za tropem, zostawiając za sobą znaki i ślady, które dziecko zdołałoby odczytać!” — buntowała się w duchu. „To nie ja zadecydowałam, że on wie wszystko, nie troszcząc się o porozumienie z partnerką! To nie ja podjęłam decyzję o podziale zespołu, to on chciał, abym poszła w dół łożyska, a sam udał się w górę!”

Odwróciła się na plecy, gapiąc się w sufit. Im więcej myślała o krótkim wykładzie Warrla, tym bardziej była wściekła.

„Co go upoważnia do tego, aby osądzać moje postępowanie? Jakim prawem wyrośnięty wilk dyktuje mi, co powinnam, a czego nie powinnam robić? Co on z tego rozumie? On nie jest nawet człowiekiem!”

Wciąż dusił ją gniew, lecz koniec końców wyczerpanie wzięło górę i usnęła.

Następnego dnia rano we wspólnej komnacie pojawił się Daren. Miał zapadnięte policzki i olbrzymie, ciemne kręgi pod oczami. Ponieważ Kerowyn nie posiadała lustra, nie mogła stwierdzić, czy wyglądała podobnie, ale poważnie obawiała się, że tak. Oględnie mówiąc, nie była to spokojna noc.

— Wyglądasz jak z piekła rodem — rzuciła Kero na przywitaniu ponad zastawionym stołem i podając mu gorący chleb.

— Dziękuję — odpowiedział. — I ciebie to dotyczy, gdybyś była ciekawa. Gdzie, u licha, ona zaopatruje się w żywność? Od kiedy tu jestem, nie widziałem ani jednego służącego.

— Magia, jak sądzę — rzekła Kero. — Chociaż... no wiesz, nie tak dużo z tego trzeba gotować. Jedynie chleb i owsiankę. Wszystko inne można podgrzewać, stawiając obok pieca chlebowego. Nigdy nie byłam w kuchni; chyba jest tuż za ścianą. Nie mam pojęcia, w jaki sposób w miejscu tak głęboko osadzonym w klifie zapewniają ciąg powietrza potrzebny w piecu. To mogłaby być magia, ale

widziałam tutaj dziwniejsze rzeczy.

— Komory kąpielowe, na przykład.

— Ummm.

Popatrzyła na stół; szynka i chleb pojawią się znowu przy kolacji, owoce i ser po południu, jaja na twardo dłużej zachowują świeżość, a owsianka zostanie zjedzona na śniadanie. Cała ich czwórka lubiła zjeść pełną jej misę, z cukrem i ze śmietaną.

— Kucharz z dwoma pomocnikami poradziłby sobie z tym, a pomocnikom starczyłoby jeszcze czasu na sprzątanie i pranie — powiedziała. — Wszyscy sprzątamy w swoich komnatach, co oznacza, że służący miałyby do sprzątania jedynie wspólne komnaty.

Zaskoczony Daren spoglądał na nią, mrugając powiekami. Napełniła swoją misę owsianką, dodając sporo cukru klonowego i słodkich rodzynek, zostawiając porcję w sam raz dla niego.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytał.

— Co wszystko? Nonsensy o gospodarstwie domowym?

Tarma i jej babka najwyraźniej skończyły jeść śniadanie. Zniknęły, wychodząc jednym z wyjść, które zawsze było zamknięte na klucz. Jednak Kero wiedziała, co kryło się za tymi drzwiami. Magiczna pracownia babki. Raz złożyła tam wizytę i nie miała ochoty robić tego powtórnie.

Daren wybrał potrawy i poszedł za nią do jednego z małych stolików w pobliżu paleniska.

— Myślałem, że nie interesuje cię małżeństwo i rodzina.

— Nie interesuje. Gospodarzyłam na zamku przez pięć lat po śmierci matki i prawie przez dwa lata przed śmiercią. — Skrzywiła się i starannie odcięła kawałek szynki. — Nienawidziłam tego, ale i tak nauczyłam się, jak to się robi. Dlaczego wyglądasz tak, jakbyś miotał się na łóżku przez całą noc?

— Bo się miotałem — odpowiedział. — Przekłęte koszmary.

Odłożyła nóż i widelec.

— Ty też?

Kiwnął głową. Nagle zamarł w połowie przeżuwania i zaczął się na nią gapić. W końcu przełknął i zapytał:

— Byłaś w środku jakiejś bitwy? W grupie zwiadowczej? I udałaś się na poszukiwanie sześciuosobowego oddziału?

Przytaknęła.

— I ty tam byłeś. Pokłóciliśmy się o coś?

— Tak. A potem? — pochylił się do przodu.

— Potem... nie chciałeś mnie słuchać, czy też ja nie chciałam słuchać ciebie. Nie mogę sobie przypomnieć. Lecz grupa rozdzieliła się i oboje przeoczyliśmy coś ważnego, ponieważ po powrocie utraciliśmy połowę zwiadowców i odkryliśmy, że wróg zaszedł nas od tyłu...

— I wszyscy po naszej stronie zostali zabici. — Opadł z powrotem na krzesło, zamykając oczy. — O, bogowie. Myślałem, że to tylko sen. . .

— To był tylko sen — do rozmowy przyłączył się nowy głos.

Kethry. Daren drgnął, a następnie próbował zerwać się na nogi.

— Siedź — rozkazała Kethry.

Miała dziś na sobie przyodziewek z samodziału w tym samym kolorze co opończa Darena, lecz — jakby na podkreślenie tego, co powiedziała mu wcześniej Kero — nie była to szata, ale bryczesy i długa tunika.

— Gdyby to był sen proroczy, zostałyby wyzwolone sygnały ostrzegawcze i dowiedziałabym się o tym.

— Jeśli to nie było prococtwo — zapytała z wahaniem Kero — to co to było?

Kethry uśmiechnęła się, jakby spodziewała się właśnie tego pytania.

— Ostrzeżenie — odpowiedziała. — Miejsce to wydaje się wyzwalać w ludziach takie rzeczy. Zdarzyło się to może z tuzin razy, od kiedy przeprowadziłyśmy się tutaj. Nie jest to żadna przepowiednia, o ile jestem w stanie to stwierdzić. Wskazuje tylko na ogólny wynik negatywnych zachowań.

— A więc to, co widzieliśmy, nam się nie przytrafi? — Daren zapytał z nadzieją.

— Nie. Raczej nie — powtórzyła Kethry — i nie będzie się wam to śnić, o ile nie będziecie się dalej tak zachowywać.

— Lecz w przeciwnym wypadku, będziemy śnić o tym bez przerwy? — Daren wykrzywił się. — Całkiem efektywna metoda zmuszenia kogoś do zmiany zachowania.

— Najwyraźniej budowniczkowie Wieży tak właśnie myśleli. — Kethry poklepała go po ramieniu w sposób bardzo matczyńy, odwróciła się i zniknęła za ciężkimi, drewnianymi drzwiami, wiodącymi do jej pracowni.

Daren westchnął i zwrócił się do Kero.

— Czy to pomoże, jeśli powiem, że zachowałem się jak dureń i przepraszam za to?

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo z przekrzywioną na bok głową.

— Czy to pomoże, jeśli powiem, że byłam tak samo uparta jak ty?

Uśmiechnął się.

— To jest początek.

— Dobrze — odparła. — Zacznijmy od niego. — A potem roześmiała się, czując, że brzemień ulatnia się z jej myśli. — Prócz przeprosin zrobiłabym dużo więcej, aby nie przeżyć ponownie dwóch takich samych dni jak minione!

Ostatnie słowo miało jednak należeć do Warrla, chociaż nigdzie go nie było widać.

— *Najwyższy czas* — rozległ się szyderczy głos w jej myślach. — *Ludzie!*

Jeśli nawet Daren dziwił się, dlaczego ona dusi się owsianką, próbując stłumić śmiech, był zbyt uprzejmy, aby zapytać.

Dziewiąty

Kero studiowała „piaskowy stół” — rzeźbę terenu w miniaturze, pionki w miejsce ludności cywilnej, bydła, walczących mężczyzn i kobiet. „Bezkrwawa wojna” — pomyślała w duchu. „Cała walka sprowadzona do liczb. Czy to tak widzą nas generałowie?”

Czy to już rok upłynął od kłótni z Darenem? Musiało tak być, gdyż ponownie nadeszła zima. Tarma stopniowo zaczęła uczyć ich innych rzeczy: strategii, organizacji dostaw i taktyki. Każdą godzinę spędzali na jakiejś nauce; poczynając od ćwiczeń w posługiwaniu się bronią, na czytaniu fragmentów opisów starożytnych wojen kończąc. Nawet „wolne” godziny zwykle miały coś wspólnego z nauką.

— No dobrze — powiedziała Tarma, opierając się o „piaskowy stół”. Wskazała na pionki reprezentujące siły nieprzyjaciela, które właśnie przed chwilą umieściła w tym miejscu. — To są siły przeciwnika. Jakie są twoje siły, Daren?

Obejrzał swoje pionki, trzymane na dłoni, i porozstawiał je starannie w piasku.

— Pięć kompanii piechoty, jedna konnicy, jedna specjalistów. W krainie takiej jak ta, konie są bezużyteczne. — Umieścił pionka z namalowanym końskim łbem poza „liniami”. — Potrzebuję jeszcze jednej kompanii piechoty i dwóch kompanii specjalnych, jeśli mam odeprzeć twój atak. Górskich wojowników, nieregularnych, jeśli uda mi się takich znaleźć.

— Co oznacza, że przeprowadzasz zaciąg. Kero, co tam masz dla niego do wynajęcia?

Tarma pochyliła się nad stołem, opierając się na rękach i zmrużywszy oczy przyglądała się Kero. Ona reprezentowała Gildię Najemników i wolnych zaciężnych.

— Zgodnie z listą otrzymaną od ciebie może mieć to, czego chce, pod warunkiem że dokona pewnego wyboru.

Przejrzała spis, zastanawiając się, co on mógłby z niego wybrać i na ile pozwalają mu jego środki. Nie wiedziała, jakiego wyboru będzie musiał dokonać; Tarma wiedziała, ale ona grała rolę nieprzyjaciela i udawała, że w niczym się nie orientuje.

Daren ponownie przestudiował dokumenty.

— A więc, co mam do wyboru? — zapytał Tarmę.

— Po pierwsze, jest pełna zaprzysiężona kompania piechoty. Można ją wynająć, a jej baza odległa jest od twoich pozycji o trzy dni marszu. Będziesz jednak musiał wysłać przez granicę posłańca, a więc mam nadzieję, że jesteś w dobrych stosunkach z królem Warrlem. Uśmiechnęła się do kyree, który w tej grze grał rolę wszystkich neutralnych stron.

— *Przemyślę to* — odparł Warrl jowialnie. — *Zależy, jaki prezent dostanę od niego.*

Kero uśmiechnęła się. Wiedziała, że Daren nie jest w stanie słyszeć kyree, co sprawiało, że komentarze Warrla były jeszcze zabawniejsze. Daren ponownie zerknął do swojej listy.

— Stać mnie na wysłanie mu pod pozorem misji handlowej łapówki w postaci stada kilku wspaniałych byków. To jest moja własność prywatna i nie trzeba będzie podnosić podatków.

Warrl położył uszy po sobie. Wyglądał na skrzywdzonego.

— *Łapówki? Jakaż niedelikatność. Sam nie wiem... no dobrze, przypuszczam, że muszę: niedelikatność czy nie.*

Stanął na tylnych łapach, położył przednią na krawędzi stołu i popchnął małą chorągiewkę z napisem „wolna droga”.

— Dziękuję, panie. — Daren badał swoją płachtę papieru ze zmarszczonym czołem. — W porządku, mogę opłacić kompanię piechoty z nadwyżek ze skarbu. A, co z tymi nieregularnymi wojownikami?

— Tu właśnie stoisz przed wyborem — powiedziała Kero. — Możesz wynająć jeszcze dwie zaprzysiężone kompanie albo jedną zaprzysiężoną i dwie wolnych zaciężnych; albo wynająć kompanię wolnych zaciężnych, otworzyć punkty poboru i uformować jeszcze jedną, tymczasową kompanię wolnych zaciężnych. Zaprzysiężona kompania będzie współpracować z wolnymi strzelcami, lecz nie z nowo uformowanymi siłami. W twoim rejonie znajduje się aż nadto pojedynczych wolnych zaciężnych. Będą oni tańsi o około połowę od tak samo licznej kompanii. — Podniosła na niego wzrok. — Tarma po raz pierwszy daje nam taką możliwość. Zawsze wprowadzała zaprzysiężone kompanie do tej gry, nigdy wolnych zaciężnych.

— Prawda — odrzekła Tarma, kiwnąwszy głową. — Przyzwyczailiście się do tego. Czas, by nadać grze nieco bardziej realnego wyrazu. Daren, kiedy będzie potrzebował zaprzysiężonych kompanii, one będą jak zwykle wynajęte przez kogoś innego.

Daren wyduł wargi.

— Hmm. W szkatule zaczyna przezierać dno... Tarmo, jaka jest różnica pomiędzy wolnymi a zaprzysiężonymi kompaniami?

— Wolni zaciężni są dokładnie tym czym są: pojedynczymi mieczami do wynajęcia. Niektórzy mogą wkupić się do kompanii, niektórzy są całkowicie zdani na siebie. Są tańsi, ponieważ nie wpłacają zastawu do Gildii Najemników.

Wstała i Kero zauważyła, że wzdrygnęła się lekko.

„Znów muszą ją boleć stawy” — pomyślała. „Wciąż zapominam, że jest już stara. Teraz, kiedy nastąpiły chłody, będziemy musieli więcej ćwiczyć między sobą i oszczędzać naszą nauczycielkę dla rzeczy, których tylko ona może nas nauczyć”.

— *Dziękuję* — miękko odezwał się w jej myślach Want

— Kero, czy dobrze słyszałem, że niektórzy z tych wolnych zaciężnych tworzą kompanię, czy mam do czynienia jedynie z pojedynczymi osobami? — zapytał Daren. — Nie chcę przeprowadzać zaciągu; zabrałoby to zbyt dużo czasu i musiałbym przydzielić tym ludziom dowódcę spośród moich własnych oficerów. Zgodnie z tymi zapiskami nie mam na to czasu i nie sądzę, abym dysponował dodatkowym oficerem. Prócz tego, przypominam sobie twoje słowa, że zaprzysiężona kompania nie będzie współpracować z uformowanym naprędce oddziałem.

Kero ponownie przejrzała swoją listę.

— Jedna kompania, reszta na własną rękę.

Daren skrzywił się.

— No dobrze. Wynajmę jedną zaprzysiężoną kompanię, mimo wszystko. A teraz jaka jest różnica między kompanią wolnych zaciężnych a zaprzysiężoną kompanią?

Tarma oblizwała wargi.

— Łatwiej jest powiedzieć, czym nie są wolni zaciężni. Zaprzysiężoną kompanię wiąże z Gildią Najemników stosunkowo duża suma zastawu, poza sporą składką płaconą Gildii przez każdy miecz do wynajęcia. Oznacza to, że kompania musi przestrzegać kodeksu Gildii Najemników. Jeśli pogwałci przepisy tego kodeksu, Gildia płaci poszkodowanej stronie za straty z obligacji. A potem zdzieiera skórę ze strony, która dopuściła się przewinienia. I nie jest przy tym delikatna! A jeśli to ty naruszysz kontrakt, Gildia ciebie ukarze grzywną i nie będziesz w stanie wynająć żadnej zaprzysiężonej kompanii przynajmniej przez rok, być może dłużej, zależy to od przewinienia.

— Co to właściwie jest ten kodeks? — zapytała Kero. — Wspominałaś o tym uprzednio. Mówiłaś o kodeksie postępowania indywidualnego, lecz nie o kodeksie kompanii.

— To całkiem proste. Cokolwiek jest zapisane w warunkach kontraktu, jest przestrzegane przez obie strony, co do litery. Zaprzysiężone kompanie nie plądrują krainy swojego pracodawcy, a terytorium nieprzyjaciela jedynie za zezwoleniem tegoż pracodawcy. To załatwia sprawę podrzynania sobie gardeł w wojnie domowej — Tarma obrzuciła oboje spojrzeniem. — Możecie się domyślić dlaczego?

Kero była o włos bystrzejsza:

— To łatwe: jeśli nie zezwalasz na łupiestwo swoim oddziałom, ludność miejscowa stanie po twojej stronie, a to jest bardzo niewygodne dla przeciwnika, o ile nie postępuje podobnie.

— Dobrze. A w dodatku — po co rujnować swoją własną bazę podatkową? W porządku; jeśli zaprzysiężona kompania albo jeden z jej członków podda się, pozwala się im opuścić pole bitwy w spokoju i zgłosić się w punkcie neutralnym. Gildia zapłaci za nich okup; to dlatego poszczególni członkowie płacą co roku składki. Wiecie już o kodeksie postępowania indywidualnego, a więc nie będę się w to zagłębiać. — Tarma oparła się o „piaskowy stół”. — Nie zmienia stron w połowie kontraktu, nie przyłącza się do buntu przeciw pracodawcy, nie rzuca się do samobójczej walki, lecz uczynią wszystko, aby wydobyć pracodawcę całego i zdrowego z tarapatów. Z powodu tych dwóch kodeksów, zaprzysiężone kompanie są bardziej wiarygodne, godniejsze zaufania od nie zaprzysiężonych. To dlatego są tak kosztowne.

Daren jeszcze raz zbadał sytuację na stole.

— Tutaj moje położenie jest złe. Myślę, że lepiej pożyczyć pieniądze lub też znaleźć kupca na niektóre posiadłości Korony i zwrócić się o dwie zaprzysiężone kompanie.

— Co zrobiłbyś, gdybym ustawiła taką kombinację? — Tarma usunęła dwa pionki i umieściła je dalej od granicy.

Daren ponownie przyjrzał się sytuacji.

— Wynająłbym jedną zaprzysiężoną kompanię i jedną wolnych zaciężnych oraz sprawdziłbym, czy nie dałoby się wynegocjować u mojego neutralnego sąsiada, aby stanął po mojej stronie. Te dwie kompanie zagrażają także jego terytorium.

— Dobrze. A co powiesz na to? — Usunęła całkowicie pionki ze stołu.

— Zaprzysiężona kompania piechoty i partyzantka wolnych zaciężnych. A potem zorganizowałbym rzeczy w ten sposób... — Biorąc dwa pionki oznaczające najemników od Kero, ustawił swoje pionki naprzeciw jej. — Ulokowałbym wolnych zaciężnych dokładnie tutaj. Nie złupią mojego kraju, ponieważ cały ten teren to skaliste zbocza. Po usunięciu pasterzy nie będzie tam czego plądrować, a to oznacza, że jedynym opłacalnym posunięciem z ich strony będzie wyruszyć przeciw wrogowi, a nie przeciw mnie. — Obszedł stół dookoła i przyjrzał się sytuacji od strony Tarmy. — Co więcej, nie mogą się zbuntować, bo zajmują pozycję na końcu linii zaopatrzeniowych i wystarczyłoby jedynie, abym ich odciął. Sądzę, że można im zaufać, nie ryzykując zbyt wiele.

Tarma przestudiowała te pozycje i uśmiechnęła się.

— Wyśmienicie. Zagrajmy i zobaczymy, jak potoczy się walka. Kero? Do ciebie należy pierwszy ruch.

Dla Kero były to najbardziej interesujące chwile. Zgodnie z danymi, zebranymi na arkuszu przez Tarmę, oddział partyzancki wolnych zaciężnych był nowo sformowaną kompanią, dość niepewną, lecz zaprzysiężona piechota była starą, uznaną kompanią z niezłym pododdziałem zwiadowców, która równoważyła niedostatki sił nieregularnych. Daren zaplanował sytuację tak, że najgorszym, co mo-

głoby go spotkać, byłaby dezercja wolnych zaciężnych, a ci, oddzieleni od cywilizacji głuchą dziczą, byli — zdaniem Kero — mniej skłonni do tego. Rozgrywka ciągnęła się z górą dwie godziny i w końcu strona Darena wygrała. W tym czasie udało mu się przekupić Warrla, który stanął u jego boku, tak więc zwycięstwo kosztowało go mniej, niż się spodziewał.

— Doskonale. — Tarma nagrodziła ich oklaskami. — Jestem z was dumna. Daren, czy rozumiesz, dlaczego kompanie Karen uczyniły to, co uczyniły?

— Mniej więcej, chociaż byłem zaskoczony elastycznością piechoty — uśmiechnął się do Kero.

Odważemniła uśmiech, czując się rozgrzana jego ciepłem.

— To jedna z tych rzeczy, z którą się często spotkasz w dobrej, zaprzysiężonej kompanii; zaciężni mają za sobą wspólne ćwiczenia w posługiwaniu się różną bronią i posiadają swoje własne grupy posiłkowe — Tarma ziewnęła. — Nawet najlepsze kompanie od czasu do czasu wpadają w tarapaty. Gildia ściąga grzywny, lecz dzieje się to już po wyrządzeniu szkody. To dlatego zaciężni wolą mieć pod kontrolą wszystko, czego im trzeba.

— Doskonale, tych dwóch dodatkowych magów dla bezpieczeństwa mogło się nie trudzić — Daren ziewnął także i Kero musiała zwalczyć chętkę, aby pójść za jego przykładem.

To był długi, lecz dobry dzień. Na deser odnieśli przy „piaskowym stole” zwycięstwo nad Tarmą, co nieczęsto im się przytrafiało.

— Idę się położyć, dzieci — powiedziała Shin'a'in, dmuchnięciem gasząc dodatkową latarnię, a zostawiając jedynie zapalony komplet czterech latarni, po jednej na każdym rogu stołu. — Delektujcie się smakiem zwycięstwa; jutro ja was dostanę.

— Bez wątpienia — roześmiała się Kero. — Jak dotąd, pobiłaś nas pięć razy na siedem.

— To was trzyma w ryzach — odparła Shin'a'in w drodze do drzwi.

Warrl wyszczerzył do nich zęby i ruszył za nią truchcikiem.

Kero zebrała pionki, podczas gdy Daren wygładził piasek na stole.

— To była dobra partia — stwierdził, podając jej pionek, który do połowy pograżył się w piasku. — Wiesz, dużo przyjemniej jest być twoim przyjacielem niż wrogiem.

— W grze czy tak w ogóle? — droczyła się z nim.

— I tak, i tak. — Otoczył ją ramieniem i przytulił.

Tej nocy jego uścisk wydawał się jakiś inny. Przytrzymał ją na mgnienie dłużej niż zazwyczaj, przesuwał dłonie w dół po jej rękach, zanim puścił ją wolno.

— Zmęczona? — zapytał.

Coś w jego głosie powiedziało jej, że ma nadzieję, iż ona odpowie „nie”.

— Właściwie nie. — Odłożyła chorągiewki i pionki do szuflady pod stołem i spojrzała na niego wyczekująco. Nie była zmęczona, kiedy patrzył na nią w taki

sposób. — Czujesz się w nastroju do porozmawiania przez chwilę? — zapytała z nadzieją.

Jej mięśnie naprężyły się odrobinę. Czy odczytywała z jego słów więcej, niż naprawdę w nich było?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu. — To nie była jej wyobraźnia, w jego oczach migotało dziwne światełko, błysk podziwu, który ostatnio często widywała. — W twoim pokoju czy w moim?

— Twoim — powiedziała. — Jest czystszy — roześmiała się, lecz sposób, w jaki na nią patrzył, wywoływał dziwne dreszczyki podniecenia wzdłuż jej kręgosłupa.

Przeciągnęła się i prawie zachichotała na widok jego rozszerzających się oczu. Zdmuchnęła pozostałe latarnie i ruszyła do drzwi.

— Tylko odrobinę — odpowiedział, ale zamiast pozwolić jej iść przodem, złapał ją za rękę, kiedy go mijała.

Przystanęła na moment, a potem uściśnęła jego dłoń. Oddał uścisk, głaszcząc jej dłoń kciukiem. Pociągnęła go za rękę i zaczęli iść w kierunku drzwi. Otoczyła swój umysł szczególnie staranną zasłoną, w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na żadne przecieki...

Wiedziała, na co się zanosi. Już kilka miesięcy temu obudziła się w niej nadzieja, że jest dla niego pociągająca i teraz poczuła wyraźne podniecenie, spostrzegłszy, że reagował na nią, chociaż tak naprawdę nie próbowała go uwodzić. Nawet gdyby sama się tego nie domyśliła, przed kilku dniami Tarma wyrwała ją z błogiej niewiedzy.

„Jesteś młoda, atrakcyjna i jesteś pod ręką” — wyraziła to bez ogródek. „On jest młody, atrakcyjny i nie bardzo pewny siebie, chociaż wątpię, aby był prawnikiem. Jesteś przyjacielem, a więc nie jesteś groźna. Jeśli chcesz iść z nim do łóżka, zrób to zaraz. Lecz upewnij się, że się zabezpieczyłaś”.

Poczuła ulgę i rozczarowanie.

„I to wszystko? Tylko tyle?”

Tarma potrząsnęła głową.

„Dziecko, nawet gdyby to była dozgonna miłość — a nie jest, o czym obie wiemy — on jest księciem krwi, a ty będziesz zwykłym najemnikiem. Nie może sobie pozwolić na poślubienie ciebie, a ty nie powinnaś się zadowolić niczym pośledniejszym. Drzemią w tobie olbrzymie możliwości, inaczej ten przeklęty miecz Keth nie opowiedziałby się za tobą. Nie masz prawa marnować życia jako nałożnica księcia Darena. Przed tobą wiele do zrobienia, a więc ciesz się chwilą, lecz wiedz, że gdy ona przeminie, musisz wyruszyć i dokonać dzieła”.

Jednak trudno było jej pamiętać o radach Tarmy, gdy ścisnęła zachłannie dłoń Darena i gdy obejmowało ją mocno jego ramię, kiedy wchodzili po schodach. Była w tym także i odwrotna strona medalu — rodzaj ulgi. „Wszystko ze mną

w porządku, nie jestem she'chorne ani nikim podobnym. Nie różnię się tak bardzo od innych dziewcząt. Daren mnie pożąda i ja pożądam jego. . .”

Nie było to takie złe uczucie: być pożądaną. Lubił ją jak przyjaciela i pragnął jak kobiety — niezła kombinacja, jeśli uda jej się nie dopuścić, aby zamieniło się to w coś poważnego. Częściowo poszła za radą Tarmy i zabezpieczyła się. Nauczyła ją tego Lenora: pyłek stokrotki przez cały czas, by kontrolować księżycowe dni albo jad na wypadek ciąży. Lecz pyłek stokrotki był zdrowszy, łagodniejszy dla organizmu.

Doszli na szczyt schodów. Kero była zadowolona z nieobecności służby. Nikt ich nie będzie niepokoił ani rzucał porozumiewawczych spojrzeń. Przeczuwała, że coś takiego onieśmieliłoby Darena całkowicie. Poczwała fale gorąca, rumieniec na twarzy, podniecenie i to osobliwe uczucie w żołądku i pachwinie.

Daren musiał ją puścić, aby otworzyć drzwi do siebie i miała wrażenie, że to go ponownie onieśmieliło. Nie dotykając jej, wszedł za nią do środka i odegrał całą komedię, z opróżnianiem krzesła, by na nim usiadła.

Starannie unikał spojrzeń na łóżko i ona poszła za jego przykładem, zachodząc w głowę, jakby poprawić jego samopoczucie. Gdyby było cieplej, zaproponowałyby wyjście na balkon. Lecz nie było. Rano lód na stawie będzie tak gruby, że będzie można jeździć na łyżwach. Zimne dłonie i stopy nie ułatwiały romansów i temperatura na balkonie zamroziłaby każdą żądzę.

Poczwała skurcz w gardle i bez powodu zarumieniła się. Raptownie to ona poczuła lęk; przed czym — tego nie umiała stwierdzić. Aby ukryć ten fakt, nie zwróciła uwagi na krzesło i rozciągnęła się na owczej skórze przed paleniskiem, współoparłszy się o poduszkę.

„Mów. Powiedz coś.” — ponaglała w myślach Darena.

— Gdybyś mógł wybierać — zapytała go, wpatrując się w płomienie, kiedy siadał obok niej — kim chciałbyś być? Królem, minstrelem, żebrakiem? Kim?

Zamyślił się. Przyjrzała mu się kątem oka i zobaczyła, że na jego twarzy zastygła zmarszczka skupienia.

— Wiesz, myślę, że zostałbym kupcem. Musiałbym dużo podróżować, zobaczyłbym wszystko, co zawsze chciałem zobaczyć. Jednakże byłbym bogatym kupcem — dodał pośpiesznie. — A więc mógłbym podróżować wygodnie.

Zachichotała.

— Jak w jednym z przysłów Tarmy: „Jaki jest pożytek z oglądania cudów świata, skoro jesteś zbyt obolała od siodła, aby je podziwiać?”

Roześmiał się, odprężył się trochę, jego ręka spoczęła niby przypadkowo na jej plecach.

— A ty?

— Przyjemnie byłoby zostać bogatym kupcem — zgodziła się. — Jednak wolałabym być osobą, która podróżuje tylko dlatego, że ma na to ochotę, niezależną od karawan i harmonogramów handlowych.

— Aha — powiedział, kiwając mądrze głową. — Rozpuszczona amatorka.

— Kto? — zapytała, prostując się.

— Dyletantka — droczył się z nią. — Bachor. . .

Nie zdążył dokończyć, ponieważ uderzyła go poduszką.

Atak zamienił się w zapaśniczą walkę, którą on, jako cięższy i silniejszy, musiał wygrać, o ile ona nie uciekłaby się do taktyki, kładącej kres wszelkim planom na ten wieczór. Dostarczyło im to niemałej radości, tym bardziej, że udało jej się odkryć jego jedną słabość i nieco wyrównać szansę w zawodach. Był wrażliwy na łaskotki. Bardzo wrażliwy, szczególnie po bokach i pod podeszwami stóp.

Łaskotała go zatem bez litości, a śmiali się tak głośno, aż oboje zakłuło w boku. W końcu żadne z nich nie było w stanie oddychać i upadli razem na dywan, nie mogąc się ruszać.

— Ty. . . — wysapał Daren - . . . oszukujesz.

— Nic. . . takiego — odpowiedziała, próbując odrzucić włosy z oczu jedną ręką, drugą w tym czasie trzymając jego bosą stopę. — Jedyne. . . jestem posłuszna. . . mojej nauczycielce.

— Wykorzystując słabości przeciwnika? — odzyskiwał dech szybciej niż ona i udało mu się wywinąć tak, że jej głowa znalazła się na jego kolanach. — Ależ, Kero. . . ja nie jestem twoim przeciwnikiem.

— Nie jesteś. . . ? — zaczęła, kiedy on zakończył dalszą rozmowę pocałunkiem.

Nie był to w żadnym wypadku niewinny pocałunek. Zaczynał się w momencie, w którym ustała ich dotychczasowa działalność badawcza i prowadził ich do logicznego zakończenia. Kero puściła wolno jego stopę i schwyciła rzemienie tuniki. Dłonie chłopca wsunęły się pod koszulę dziewczyny i ujęły jej piersi z delikatnością, która ją zaskoczyła, gdy masował je zgrubiałymi kciukami. Rzemienie od tuniki wymykały się z jej palców, które wydawały się tracić sprawność. Przerwała pocałunek i przeklęła je. Roześmiał się, zrzucił tunikę, po czym cisnął ją gdzieś w ciemność. Pod luźną koszulę, identyczną jak jej własna, z łatwością mogła wsunąć ręce; zrobiła to, przyciskając go do siebie, czując we własnych żyłach gorącą krew i prężące się pod jego skórą mięśnie.

— Zwierzę — powiedziała i wróciła do pocałunku. Wolno opadł na podłogę, pociągając ją za sobą. Jego ręce gładziły jej skórę. Podkasała koszulę, by lepiej do niego przylgnąć. Przetoczył się na bok i nagle poderwał się z okrzykiem, gdy jego nagie plecy dotknęły kamiennej podłogi.

— Nienawidzę zimnych posadzek — wyjaśnił skruszony, gdy chichotała na widok jego zbolącej miny.

Podniósł się z podłogi i wskazał w ciemność. Pod tym kątem nie była w stanie dostrzec jego twarzy i widziała tylko krąg światła, rzucany przez ogień, zerwała się więc na nogi. . .

... po to jedynie, by dać się wziąć na ręce, przenieść przez komnatę i ułożyć na łóżku Darena. W chwilę później spoczął obok niej.

— Och — odezwała się. — Jak to się tutaj znalazło?

Nie odpowiedział, a jej tak naprawdę wcale na tym nie zależało.

Koszule i spodnie leżały dookoła, wyrzucone z łóżka, odepchnięte na bok. Jakoś udało się jej pozbyć ubrania, nic przy tym nie rozdzierając; on nie był taki zręczny. Nie potrafił rozwiązać tasemek przy mankietach swojej koszuli i mrużąc pod nosem przekleństwa, rozerwał je.

Każde jego dotknięcie wywoływało dreszcze w całym jej ciele i budziło jeszcze większe pragnienie. Odkrywali siebie nawzajem, od czasu do czasu niezdarne. Ona trafiła go łokciem w nos, on uderzył jej głową o podnózek łóżka. Kero ledwie to poczuła. Ogarnęła ją taka namiętność, że przekroczyłaby z nim krawędź klifu i nawet by tego nie zauważyła.

Zabolało, kiedy ją wziął, czy też ona go wzięła. Pragnęła go tak samo, jak i on jej. Ból nie był zbyt dotkliwy. Daren starał się być delikatny na tyle, na ile pozwalała mu na to jego chłopięca niecierpliwość. Kero zaczęła odczuwać coś, do czego tęskniła, co było niemal w zasięgu jej ręki...

Lecz trwało to zbyt krótko i pozostawiło w niej uczucie niedosytu, czy raczej nienasycenia, a nawet głodu...

Mogłaby go zabić. I to dwukrotnie.

Skuliła się na boku, wpatrując się w ciemność i wsłuchując się w jego oddech. — „Co źle zrobiłam?” — pomyślała.

Później doszła do wniosku, że nic. Praktyka spowodowała, że oboje stali się bardziej sprawni, bardziej zdolni do zadowalania siebie nawzajem. W końcu wynik spełnił oczekiwania dwojga i żadne nie zasypiało niezaspokojone. Kero zrozumiała, na czym polega cała ceremonia — i obsesja. Zrozumiała, lecz czuła się jakby od tego oddzielona. Jej pożądanie zostało nasycone, ale to, co budziło prawdziwą ekstazę u innych, jej nie dotyczyło. I nic nigdy nie wynagrodziło jej rozczarowania tej pierwszej nocy. A Daren nigdy tego nie zrozumiał, ani się nawet domyślał.

Zima zamieniła się w wiosnę, a potem wydawała się zmierzać wprost do jesieni bez przystanku na lato. Nigdy na wszystko nie starczało dnia. Kero dziwiła się, co w nią wstąpiło, że na to przystała. Często zastanawiała się, czy postępuje słusznie. Nie wątpiła, że normalne życie byłoby bardziej — o ileż bardziej! — wygodne. „I nie musiałabym wstawać o wschodzie słońca, gdybym nie miała na to ochoty” — stwierdziła w duchu.

Drewnianych mieczy ćwiczebnych nie było nigdzie widać, co wydawało się osobliwe. Kero wymieniła pytające spojrzenie z Darenem i odwróciła wzrok, zanim rzut oka zmienił się w coś bardziej intymnego.

„Nie wiem, jak długo zdołam utrzymać to na czysto przyjacielskich zasadach” — pomyślała, zerkając na piaszczystą podłogę ćwiczebnego ringu. „Babka bała się, że złamię sobie serce, lecz to chyba zanosi się na coś wręcz odwrotnego. Naprawdę lubię Darena... ale... ale... błogosławiona Agniro, jestem suką o lodowatym sercu. Powinnam na kolanach dziękować, że mnie kocha, czy też wydaje mi się, że mnie kocha. Zamiast tego myślę jedynie, jak się od niego uwolnić. Z drugiej strony, Tarma miała rację. Nie wygląda na to, aby kiedykolwiek pozwolono mi go poślubić... Choć wcale tego nie pragnę”.

Nadejście Tarmy przerwało jej rozważania. Spojrzała z wdzięcznością na swoją nauczycielkę. „Od tych wszystkich myśli pęka mi głowa”. Daren, który właśnie sięgał po rękę dziewczyny, zeszytniał i odsunął się odrobinę. Kero westchnęła z ulgą.

Tarma objęła Darena przelotnym spojrzeniem; w żaden inny sposób nie dała poznać po sobie, że zauważyła ten ruch.

— Sądzę, że jesteście przygotowani na coś poważniejszego — rzekła Shin’a’in. — Nadchodzi czas, abyście oboje przyzwyczaili się do posługiwania się bronią, której będziecie używali. Nie myślcie, że będziecie ćwiczyli nią przez cały czas — dodała. Wzniosła dłoń, aby wstrzymać wszelkie pytania. — Ale będziecie to robić codziennie, przynajmniej przez jedną markę na świecy. Mogę w przybliżeniu ocenić jej ciężar i wyważenie, ale nie jestem w stanie wykonać idealnych kopii. Wasze ciała wyczują różnicę.

Podążyła Darenowi długi, ostro zakończony miecz obosieczny. Ostrze było wspaniałe. Klejnot na rękojeści — rubin tak ciemny, że niemal czarny — wart był tyle, co Kero razem z całą swoją rodziną. Dziewczyna zaś z pewnym drżeniem wzięła do ręki Potrzebę. Chociaż poczuła mrowienie, kiedy położyła dłoń na rękojeści, miecz nie wykazał żadnych innych oznak życia. Bardzo jej to odpowiadało.

— Tarmo — powiedziała z wahaniem — czy to dobry pomysł? To znaczy, myślałam, że powinnam uczyć się fechtunku na miecze, lecz jeśli będę używać Potrzeby...

Tarma zaśmiała się.

— Nie martw się o to. Po pierwsze, będziesz walczyła przeciw mnie, a nie przeciw Darenowi, a miecz nie pozwoli ci skrzywdzić kobiety. Po drugie, on działa na osobliwą modłę. Teraz, gdy ugruntowałaś swój talent fechtmistrza, nigdy nie będzie pomagać ci w walce. Aaa, co do magii, to będzie cię chronić. O ile wiem, nie ma takiego maga na świecie, który by mógł cię skrzywdzić wtedy, gdy masz go przy sobie.

— A więc to w ten sposób on działa — mruknęła pod nosem Kero.

— Właśnie. Dlatego zrobił dla ciebie i jedno, i drugie, kiedy ruszyłaś w pościg za narzeczoną Lordana; było z ciebie wtedy jeszcze ni to ni sio. — Tarma uśmiechnęła się szeroko. — A teraz, ponieważ nie jest on w twoich rękach ni-

czym innym, jak tylko rzetelnym ostrzem — broń się, dziewczyno!

„Błogosławiona Agniro, to był długi dzień” — pomyślała Kero. Odwiesiła miecz na ścianie, ściągnęła zbroję, rozwieszając ją na stojaku, i rozluźniła mięśnie. „Tarma miała rację, mówiąc o przyzwyczajeniu się do ciężaru i wyważenia Potrzeby. Istnieje wyraźna różnica pomiędzy nim a ćwiczebnym ostrzem”. Przeciągnęła się ponownie, sięgając w stronę powały, czując trzeszczenie w łopatkach. „Gorąca kąpiel sprawi mi. . .”

Skierowała się do komory kąpielowej i uzmysłowiła sobie, że wciąż dzierży w dłoni swój miecz.

„To dziwne”. Zmarszczyła brwi. „Przysięgłabym, że go odwiesiłam”.

Odwróciła się ponownie w stronę ściany i próbowała umieścić miecz na właściwym miejscu. Lecz nie była w stanie uwolnić rąk.

— Och, nie! — wymamrotała. — Nigdy więcej po pierwszym razie.

Położyła miecz na stelażu i skoncentrowała się na uwolnieniu swej lewej ręki palec po palcu.

„Idź. . . sobie. . . ode. . . mnie”. Wpatrywała się w swoje dłonie, jakby nie należały do niej, skupiona aż do bólu głowy.

Rozluźniła palce jeden po drugim; pojedynczo oderwała je od pochwy. Kiedy uwolniła ostatni, poczuła, jakby na dnie jej mózgu coś pękło. Szybko cofnęła prawą rękę, zanim miecz zdołał ponownie objąć nad nią kontrolę.

— Będę ci wdzięczna za zachowanie tych kaprysów dla siebie — powiedziała zimno, nie przejmując się osobliwością odzywiania się do nieożywionego przedmiotu.

Potem odwróciła się i umyślnie odeszła do komory kąpielowej. „Usłyszała” coś, jakby myśli; słabiutko, na granicy zdolności odbioru. Brzmiało to tak, jakby ktoś mruknął przez sen. . . zaniepokojony, lecz nie przebudzony. Nalewając sobie wody, nie zwróciła na to uwagi. Cokolwiek to było, odeszło, kiedy rozebrała się i zanurzyła w gorącej wodzie.

Gdy jednak odprężona legła w kąpeli, poczuła przyciąganie — tak jakby ktoś próbował nakłonić ją do udania się w określonym kierunku. Ponieważ kierunek ten wyznaczał jej sypialnię, nie miała wątpliwości, kim ten „ktoś” jest. Zignorowała to, ale uczucie stało się bardziej natarczywe, a następnie bolesne, podobne do bólu na dnie czaszki. „Przestań” — pomyślała ostro, siadając w kąpeli. Ból zelżał nieco, lecz przyciąganie nie ustawało. Przez jakiś czas siedziała zamyślona, po czym otoczyła swe myśli ochronną barierą, której nawet Warrl nie byłby w stanie przełamać.

Nieprzyjemne wrażenie ustało. Czekala, lecz wydawało się, iż miecz nie zdoła przebić jej ochronnej bariery.

„Mieczu, rządziłeś moją babką. Mną nie będziesz rządził”. Przymknęła oczy, wyciągając się w wannie i pozwalając, by woda złagodziła napięcie mięśni.

W końcu kąpiel wystygła i Kero poczuła się dostatecznie odprężona, aby pójść spać. Podniosła powieki i zamyślona wpatrzyła się w sufit. „Nie mogę w nieskończoność otaczać się tak szczelną barierą. Jeśli poszczęści mi się, nie będzie to konieczne, a jeśli nie — zamieni się to w interesującą potyczkę o władzę”.

Powoli opuściła ochronną barierę, oczekując, że miecz ponowi swe dokuczliwe działania. „Może i jesteś stary, stoi za tobą magiczna kultura — kierowała do niego swe myśli — ale idę o zakład, że ja jestem dużo bardziej uparta od ciebie”.

Nic.

„To dobrze, że Daren był zbyt znużony po ćwiczeniach, aby tej nocy interesowały go igraszki w łóżku”.

Czekała przez chwilę, a potem wyszła z kąpeli. „To było zbyt łatwe. Nie da mi spokoju”. Wysuszyła ciało i wróciła do komnaty, aby wejść do łóża. „Gdybym była Potrzebą, jak bym postąpiła na jego miejscu? Bezpośrednia próba nie powiodła się... Kiedy spróbuje tego samego jeszcze raz, mogę otoczyć się barierą i zablokować go. A więc, logicznie myśląc, następna próba będzie bardziej subtelna”.

Przyszło jej na myśl, kiedy otuliła się przykryciami nieco ciaśniej, że, być może, nieodwracalnie osłabiła władzę miecza nad sobą, kiedy wszedłszy w jego posiadanie, nie tknęła go przez kilka miesięcy.

„Księgi babki. Myślę, że ciągle je mam. Było w nich coś o więzach ducha”. Westchnęła. W łóżu było tak ciepło, a w komnacie już zaczynało panować przejmujące zimno. Ona zaś czuła potworne zmęczenie...

„Jednakże... bardziej niż sen potrzebna jest mi wiedza”. Zaciśnęła zęby i reżolutnie odrzuciła przykrycia, kurcząc się odruchowo, gdy przerzuciła nogi nad brzegiem łóża i stopami dotknęła zimnej posadzki. Przynajmniej Wieża była dużo lepiej ogrzana niż zamek, gdzie kubek z wodą, postawiony w środku zimy obok łóża, do rana zamarznął całkowicie.

Owinęła się szatą, złapała świecę ze stołu obok łóża, zbliżyła się do kominka i odgarnawszy popiół, zapaliła świecę od żarzących się węgli.

Księgi były dokładnie tam, gdzie sądziła, że je pozostawiła — wciśnięte w kąt biblioteczki obok stołu, zapomniane na rzecz otrzymanych od Tarmy do przeczytania woluminów o historii wojen, strategii i taktyki. Pracowała nad nimi z zainteresowaniem, przepełniona entuzjazmem, na który nie potrafiła się zdobyć w stosunku do ksiąg z poezją i historią wręczanych jej przez guwernerów.

„Myślę, że ona była w czerwonej okładce” — doszła do wniosku, przeglądając je i próbując przypomnieć sobie, która księga zawiera potrzebną jej wiedzę. „Lecz... Ach, mniejsza o to. Są tylko trzy”. Studiując pod kierunkiem Tarmy, nauczyła się jednej rzeczy: by nigdy nie pozbywać się ksiąg. Nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć, która z nich, kiedy i dlaczego może się przydać. Nawet te najniewinniejsze tomy poezji.

Wyciągnęła je i z księgami w ręku popędziła do łóża, stawiając świecznik

u wezglowia i naciągając pledy na nogi. Zaczęła kartkować pierwszą księgę, szukając działu o zaklętach i więzi dusz. Był tam, gdzie pamiętała, i tym razem przeczytała go dokładnie, zwracając szczególną uwagę na wszystko, co mogłoby odnosić się do Potrzeby. W końcu zamknęła księgę, odłożyła wszystkie trzy na stół i zdmuchnęła świecę. Położyła się na boku i obserwowała żarzące się w palenisku węgle, zastanawiając się nad tym, co właśnie przeczytała.

Wyglądało na to, że swoją determinacją, aby nauczyć się fechtunku, nieodwracalnie osłabiła władzę miecza nad sobą. Zgodnie ze źródłami cytowanymi w księdze, w przypadku więzów dusz decydujące znaczenie miało kilka początkowych księżyców. Po pierwszym zetknięciu niezbędne były zarówno fizyczna bliskość, jak i posługiwanie się danym przedmiotem.

„A więc, wieszając miecz na ścianie i nie tykając go, przeszkodziłam mu w zdobyciu władzy nade mną, jak stało się to w przypadku babki oraz prawdopodobnie wszystkich, w których posiadaniu się znalazł w ciągu ostatnich — właściwie nie wiadomo dokładnie, ilu — lat” — rozmyślała.

Więź dusz została zadziergnięta, ale słabo. Gdyby Kero używała magii, ta okoliczność mogłaby okazać się niefortunna. Mogłoby to nawet doprowadzić do katastrofy w zależności od tego, na ile osoba korzystająca z magii skłonna byłaby polegać na zdolności miecza do przejmowania kontroli i dzielenia się wojennym mistrzostwem. Dobrze się stało — w świetle niektórych opowieści zasłyszanych przez Kero od Kethry i od Tarmy — że babka była z tym przedmiotem związana tak mocno więzami dusz.

Aby uchronić się przed magią, Kero potrzebna będzie jedynie fizyczna bliskość miecza. A to oznacza, że są tu zbędne jakiegokolwiek inne więzy. . .

„Pomijając to, że Potrzeba chce wiedzieć, o co właściwie walczy. I musi istnieć jakiś rodzaj powinowactwa, by mogła ochronić właściciela przed mocą magii. Wystarczą jednak luźne więzy, by mnie chronić. Nie będzie mu się to pewnie podobało. Założę się, że będzie zmagać się ze mną, próbując dostać to, czego chce. Ja nie mam zamiaru ulec. Ciekawe. . . czy nie powinnam z tej rzeczy zrezygnować? Jeśli zdołam. . .”

Kethry nic nie wspominała, że miecz zmieniał właściciela, kiedy ten wybrany przez niego gotów był go porzucić. „To mogłoby się wydarzyć. Jedyne, co Potrzeba musiałaby zrobić, to zadecydować, że nie ma ochoty ochraniać mnie w chwili, gdy jakiś mag obrałby mnie za swój cel”. Doskonale, to prawda, tyle, że byłoby to sprzeczne z sensem istnienia samego ostrza. Mimo wszystko nadal nie była to odpowiedź na pytanie, czy chce zrzec się miecza.

„Myślę, że nie. Jest zbyt wartościowy. I nie przeszkadza mi, że płacę za to od czasu do czasu wykonaniem jakiejś roboty za darmo. Mówiąc prawdę, byłoby to coś, co i tak prawdopodobnie zrobiłabym z własnej woli. Miecz podpowie mi tylko, kiedy trzeba będzie coś uczynić i kto potrzebuje pomocy”.

Coraz trudniej przychodziło jej utrzymać oczy otwarte, zwłaszcza że nie wy-

dawało się, aby istniały rozsądne powody, dla których miałyby przedłużać czuwanie. Zapadała w sen, pełna ciekawości, jak miecz zamierza z nią walczyć i kto wyjdzie z tej walki zwycięzcą.

Następne cztery tygodnie były nieustannym przypomnieniem o potędze przekleństwa Shin'a'in: „Obyś miał ciekawe życie”. W nocy, z chwilą, gdy zasypiała, nachodziły ją sny. Żywe, kolorowe sny o kobietach w opresji, w których, dosiadłszy konia, kładła kres niebezpieczeństwom. Sny o życiu w ciągłym ruchu, w których wszyscy szynkarze byli przyjacielscy, towarzysze zabawni, pogoda idealna. Krótko mówiąc: życie opiewane w balladach.

W końcu, idąc za radą Warrla, zdjęła miecz ze ściany i wyjęła go z pochwy. Trzymając go w dłoniach, skierowała myśli wprost do niego, całkowicie otwarcie.

„Skończyłam trzynaście lat i nie zwiedzisz mnie heroicznymi opowieściami” — stwierdziła twardo. „Zachowaj je dla minstreli i małych dzieci”.

Czy to imaginacja, czy też doszło do niej westchnienie rozczarowania, gdy odwieszała go na ścianę? W każdym razie marzenia senne minęły, ich miejsce zajęła ponura rzeczywistość. Noc w noc była świadkiem całego zła, jakie może zadać kobiecie mężczyzna. Obelgi, złe traktowanie, fizyczne i psychiczne; gwałty, morderstwa i tortury. Zło na subtelniejszą modłę: małżeństwa, które okazywały się zalegalizowanym niewolnictwem, staranną manipulacją bystrym i wrażliwym umysłem, dopóki jego właścicielka rzeczywiście nie uwierzyła z całego serca we własną bezużyteczność. Zdrada, nie raz jeden, lecz po wielokroć. Wszelkiego rodzaju cierpienia, jakie można zadać osobie zakochanej w kimś, kto nie kocha nikogo prócz siebie. Trudno było to nazwać wypoczynkiem. A w ciągu dnia, za każdym razem, gdy nie była całkowicie otoczona ochronną barierą, miecz manipulował jej emocjami, wzbudzał niepokój, rozpałał w niej pragnienie opuszczenia tego miejsca i wyruszenia przed siebie. Ona jednak nie była gotowa i wiedziała o tym; nawet jeśli ostrze nie wiedziało. Dzień w dzień toczyli tę samą bitwę — czy raczej zapaśniczy pojedynek mózgów. Miecz nakazywał jej: „Idź”, a Kero odpowiadała: „Nie”.

I jakby dla podkreślenia sytuacji, Daren coraz bardziej ślepo się w niej zadurzał. I nie było to nic innego: jedynie ślepe zadurzenie; Kero była tego niemal pewna. Długo rozmawiała z babką o różnicy pomiędzy miłością a pośledniejszymi uczuciami; Daren po omacku szukał kogoś, kto byłby lekarstwem na jego własne emocjonalne potrzeby. Tarma wyłożyła to bez ogródek:

— On ledwie przestał ssać mleko matki, a ty jesteś dojrzałą łanią. Jesteś dla niego samicą i matką. Nie podoba mi się, że muszę ujmować to w ten sposób, dziecko, ale pod względem rozwoju uczuciowego wyprzedzasz go o wiele lat... Młody Daren nie jest w tobie zakochany — mały jastrząb — on jest zakochany w miłości.

Kero nie powiedziała nic, ale w duchu czuła, że słowa Tarmy zgrabnie ujęły całą sytuację. Daren może będzie bardzo dobrym mężem, gdy dorośnie. Była

prawie pewna, że gdy przyjdzie na to pora, wszystko odbędzie się za jednym zamachem, lecz że trzeba to będzie na nim wymusić. A tymczasem nie miał takich planów. Nie z kimś takim jak ona.

Uczynił pewne sugestie, którymi poczuła się raczej poruszona. Nikomu się z tego nie zwierzyła. Otóż oznajmił, że byłby skłonny się z nią ożenić, gdyby tylko w ten sposób mógł ją przy sobie zatrzymać. Tak jakby myślał, że ją można zatrzymać! To także nie pozwalało jej zmrużyć oka.

Pewnej nocy uczynił coś więcej niż tylko sugestię. Powiedział jej, że porozmawia ze swoim ojcem o nadaniu szlachectwa jej, jeśli uda się z nim na dwór królewski. Znała jeden jedyny powód, dla którego mógł uczynić jej taką propozycję: myślał o niej poważnie. A ona go nie kochała. Lubiła go, i owszem, lecz jej odpowiedź na pytanie: „Czy możesz bez niego żyć?” zdecydowanie zabrzmiałaby „Tak”. Gdyby opuścił ją nazajutrz i miałaby go już nigdy nie zobaczyć, tęskniłaby za nim, lecz natychmiast wróciłaby do ćwiczeń szermierczych, nie tracąc czasu na rozmyślania, a jej snów raczej nie zakłóciłyby duchowe cierpienia.

Następnego dnia rano, po szczególnie źle spędzonej nocy, wstała wcześniej po to, by przechadzając się po komnacie, zebrać myśli. Do świtu brakowało co najmniej jednej marki na świecy, ale ona nie mogła dłużej wytrzymać w łóżu. Zapaliła świecę i ubrała się w przejmującym zimnie przed świtem. Zaczęła przemierzać swoją komnatę tam i z powrotem, stawiając kroki tak starannie, jakby dokonywała jej pomiaru.

„Lubię Darena” — myślała, masując ramiona, aby się rozgrzać. „Jest roztropny, inteligentny — a także niezły w łóżku. Umyślnie nigdy by mnie nie skrzywdził”.

Ale miecz wypełnił kilka godzin jej snu dość przerażającymi scenami. Gdyby poślubiła Darena, w żaden sposób nie mogłaby uczynić niczego w sprawie nie-szczęść, które ukazywał miecz. „Żona księcia po prostu nie może dosiadać konia, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota. Prawdę powiedziawszy, wątpię, czy książęca żona byłaby w stanie cieszyć się w połowie taką wolnością, jak ja”.

Wszystko tak naprawdę sprowadza się do dylematu: przywileje czy wolność? Ulga bycia „taką jak inne dziewczęta”, czy też podniecenie bycia kimś odmiennym od wszystkich; ustanawiania własnych norm? Potęga i bogactwo czy zdolności? W kółko to samo. Dobrze czy źle?

Jeśli poślubi Darena, nigdy nie będzie całkowicie sobą. Jeśli nie, może spędzić resztę życia, ledwie utrzymując się na powierzchni, w obawie, czy następne pchnięcie miecza, następna strzała nie jest posłańcem śmierci. Bezpieczeństwo czy wolność?

Było tego dość, aby każdego przyprawić o ból głowy. Ją nawiedził wprost niewiarygodny, kiedy wstał perłowoszary świt i ktoś cicho zapukał do drzwi. Niemal upadła, potykając się o własne stopy, gdy spieszyła się z otworzeniem. Spodziewała się Tarmy, ale ujrzała Darena.

Był blady i roztrzęsiony. Płakał. Od łez płynących po policzkach poczerwieniały mu oczy. Próbował wziąć się w garść i kiedy starał się oddychać spokojniej, górna warga mu drżała.

Kero zamarła, wciąż z ręką na klamce. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, co spowodowało, że Daren tak wygląda. Z pewnością nie ona była przyczyną takiego zmartwienia. Następne słowa wyjaśniły jej wszystko.

— Kero... — zaczął. Strumyczki łez ponownie spłynęły z jego policzków. — Kero, to z powodu śmierci mojego ojca.

Dziesiąty

Przez jedną, długą chwilę wydawało się, że nie jest zdolna zrobić nic, jedynie stać i głupio się w niego wpatrywać. Nagle jego ramionami wstrząsnął bezgłośny szloch. Zareagowała odruchowo, wciągnęła go do środka, podprowadziła do łóża i usadowiła na brzegu.

— Co się stało? — spytała zaciekawiona.

Słyszała ostatnio, że król cieszył się znakomitym zdrowiem, a księżę Thanel został szczęśliwym małżonkiem królowej Valdemaru. „Na niebiosy — pomyślała — upłynął od tego już rok. Prawie dwa lata Daren oczekuje, że zostanie wezwany do domu, lecz tak się nie stało i to wtedy zaczął przebąkiwać o nadaniu mi szlachectwa. Czy jestem tutaj już od tak dawna?”

Przeliczyła pory roku i uzmysłowiła sobie, lekko wstrząśnięta, że jest wychowanicą Tarmy od ponad trzech lat. W zamyśleniu rzuciła okiem w lustro wbudowane w szafę, na Kerowyn, która na nią stamtąd patrzyła — mocną, muskularną, o oczach rozszerzonych zaskoczeniem, nie przypominającą zupełnie przybyłej tutaj, słabo wyszkolonej, dziewczynki.

„Mniejsza o to. Teraz muszę wydobyć z niego coś sensownego”. Przytuliła Darena i pozwoliła mu się wypłakać. To było najlepsze, co mogła dla niego w tej chwili zrobić. W miarę jak różowe światło poranka wypełniało pokój, odzyskiwał stopniowo panowanie nad sobą i zaczął szukać chusteczki. Tak jak zwykle zapomniał o niej. Nigdy nie była tak świadoma tego, że był od niej przynajmniej o rok młodszy. Teraz wyglądał raczej na brata niż kochanka.

— Th-thanel — wyjąkał w końcu. — To wszystko przez Thanela. Nie żyje. Od około tygodnia. Próbował zamordować własną żonę.

„Co takiego? Ależ jego żona. . .”

— Próbował zamordować królową Valdemaru?! — wykrzyknęła. — Najmilsi bogowie. . . lecz, co to ma wspólnego z twoim ojcem?

— Kiedy powiedzieli o tym ojcu, on. . . Ja nie wiem, coś się wydarzyło. Może z-z-zawiodło go serce. Niedaleko stolicy usytuowany jest wydział szkoły magów Kethry; tam przesłano wiadomość i jeden z magów przekazał ją Kethry, a ona mnie o-o-obudziła.

Ponownie zaczęło go dusić wzruszenie. Nic nie mógł z siebie wydobyć poza

łzami. Poklepała go z roztargnieniem po plecach, część jej osoby ze wszystkich sił starała się go pocieszyć, reszta jej mózgu zajęta była rozplątywaniem możliwych wątków spisku.

„Valdemar nie jest szczególnie wojowniczym krajem. Dopiero co uporano się z rozgardiaszem, wywołanym przez kompanie Tedrel. „Kompanie” Tedrel, rzeczywiście! Zaufaj Karsytom, a wynajdą cały naród szumowin i zatrudnią ich jako wolnych zaciężnych, a potem będą się na nich uskarżać, gdy po poniesionej klęsce zwrócą się przeciw nim, aby grabić w powrotnej drodze do domu. Dobrze im tak. . .”

Otrząsnęła się i wróciła myślami na właściwe tory. „Lecz to wydarzyło się tuż przed przybyciem Darena. Valdemar sporo ucierpiał i prawdopodobnie nie był w stanie wypowiedzieć wojny. To prawda. A więc — Thanel próbuje uśmiercić swoją żonę, przypuszczalnie po to, żeby zająć jej tron. Musiała mu się powinąć noga. Muszę wiedzieć, kto go pochwycił i jaki spotkał go los. Do króla docierają wieści i on natychmiast załamuje się, a następnie umiera, co wynosi brata Thanela na tron. . . Żadna to strata, co oznacza, że jest on zdolny opanować sytuację w Valdemarze. A niech to! Muszę się dowiedzieć, co zamierzał Thanel i czy pomagał mu ktoś stąd, albo z samego Valdemaru”.

Starała się uspokoić nieco Darena, lecz był zupełnie roztrzęsiony. Nie miała pojęcia, że tak bardzo kochał swojego ojca. A więc tylko przytuliła go mocno, kołyszając nim lekko w tył i przód. Nie wydał żadnego dźwięku, po tym jak przestała zadawać mu pytania, co spowodowało, że serce jej krwawiło. Bezgłośny szloch świadczył o większym bólu, niż ona kiedykolwiek czuła w całym swoim życiu. . .

Na koniec przestał drżeć. Fala rozpaczyny zaczynała opadać. Tuliła go do siebie, dopóki nie poczuła małego oporu, tak jakby chciał się od niej odsunąć. Wtedy puściła go, a on powoli podniósł głowę z jej ramienia.

Promienie słońca oświetliły okno Kero, zapowiadając piękny dzień jakby na przekór wszystkiemu. Daren wykrzywił się, mrużąc podkrążone, zapuchnięte i czerwone oczy. Jego twarz wciąż była biała, jak leżący na zewnątrz śnieg.

— Sądzę, że powinieneś odpocząć — cicho odezwała się Kero. — Wiem, że wydaje ci się, iż nie będziesz mógł zasnąć, ale powinieneś przynajmniej poleżeć przez chwilę.

Najeżył się. Wzięła to za dobry objaw. Przynajmniej nie zamierzał poddawać się bezradnie i zmuszać jej, aby zajęła się jego życiem.

— Naprawdę, jeśli przynajmniej nie zrobisz sobie zimnego kompresu na oczy, nie będziesz w stanie patrzeć — nalegała.

W końcu kiwnął głową i wstał.

— Przyjdiesz do mnie, jeśli dowiesz się czegoś. Zrobisz to, prawda? — Wydawał się uznawać za pewnik to, iż ona spotka się z babką i Tarmą.

To był tak samo dobry pomysł, jak każdy inny.

— Zrobisz to — obiecała i wstała, aby odprowadzić go do drzwi.

Rozstali się na progu. Kero popędziła korytarzem do klatki schodowej. Zbiegła schodami na dół najszybciej, jak mogła, starając się nie skręcić przy tym karku.

Wspólna komnata była pusta, lecz w szparze pod drzwiami do „pracowni” Kethry było widać światło. Zawahała się na moment, rozdarta między potrzebą dowiedzenia się czegoś a niechęcią przestąpienia progu tych drzwi. Koniec końców ciekawość zwyciężyła i Kero nacisnęła klamkę.

Drzwi ustąpiły; otworzyła je szerzej. Na końcu długiej komnaty, przy małym stolyczku z marmurowym blatem, siedziała Kethry, pochylona nad dużą, czarną misą. Obok niej spoczywała Tarma, o twarzy jak beznamietna maska. Światło bijące z dna misy oświetlało od dołu oblicze Kethry; rozpuszczone, srebrne włosy tworzyły miękki obłoczek dookoła jej głowy. Kero kaszlnęła cicho. Kethry nie zwróciła na nią uwagi, lecz Tarma podniosła oczy i skinęła, aby dołączyła do nich.

Żwawo przebyła zagracony pokój. Nigdy nie była pewna, ile z tych sprzętów miało zastosowanie magiczne, a ile było tylko zwykłymi gratami, usuniętymi tutaj na przechowanie. Na przykład to olbrzymie, zasłonięte zwierciadło, czy też kompletna zbroja, której najprawdopodobniej nie byłaby w stanie nałożyć żadna istota ludzka, ani nawet żadna żywa istota, ponieważ hełm przymocowany był na stałe do ramion, a przyłbica po obu stronach do hełmu.

Przeważnie starała się nie przyglądać niczemu zbyt dokładnie. Stało tam nieco wypchanych zwierząt — przynajmniej wydawało jej się, że były to zwierzęta — na półkach wzdłuż ścian; kształty, na które lepiej było nie zwracać baczniejszej uwagi, jeśli komuś marzyły się spokojne sny.

Kiedy zbliżyła się do obydwu kobiet, zobaczyła, że na dnie misy panuje jakiś ruch; światełko błąkało się i mieniło, rzucając drobne, dziwne cienie na twarz Kethry. Kiedy w końcu stanęła obok nich, ze strachem i zdumieniem stwierdziła, że z dna misy spogląda na Kethry miniaturowy człowieczek, gestykułujący od czasu do czasu i wywołujący zmiany światełka. Za plecami człowieczka jarzyła się różowa mgiełka. Światełko wydawało się padać z tego miękkiego, migotliwego tumanu.

— To jest tylko obraz — powiedziała łagodnie Tarma, kiedy Kero znalazłszy zydel postawiła go obok. — Syn Kethry, twój wuj Jendar.

-... a więc, zgodnie z oświadczeniem herolda, księżę od jakiegoś czasu należał do grupy spiskowców. Jeden z heroldów, zbrojmistrz, jakoś zwietrzył próbę zabójstwa i kiedy Selenay wyjechała konno na ćwiczenia, zabrawszy oddział młodych wojowników, w pewnej odległości ruszył potajemnie jej śladem. Tak więc, gdy wpadła w pułapkę zastawioną przez spiskowców, sprawiła im pewnego rodzaju niespodziankę. Po pierwsze, nikt z nich nie spodziewał się, że Selenay jest tym wojownikiem, a po drugie, nie liczyli się z odsieczą. Podczas walki Thanel odniósł śmiertelne rany. Zmarł wkrótce potem.

— Żadna strata — odparła Kethry, odprężywszy się odrobinę. — Czy są oznaki, że Thanel mógł być wspierany z Rethwellanu?

— Nie. Nie ma. Nikt z dworu nie wydaje się skłonny doszukiwać się tego. — Brodaty mężczyzna przekrzywił głowę na bok gestem, który bardzo upodobił go do matki. — Matko, chcesz, abym się tym zainteresował?

— Nie. Prawdę powiedziawszy, nie — odparła. — Najchętniej zostawiłabym to Valdemarowi. W tej sytuacji nie jest bezpośrednio zagrożony ani Rethwellan, ani królewska rodzina. I mam nadzieję, że wybaczysz mi moją małostkowość.

Jendar potrząsnął głową.

— Jeśli nalegasz. Muszę przyznać, że i ja wolałbym nie wchodzić w zbyt dużą zażyłość z heroldami. Mają dobre zamiary, są naprawdę porządnymi ludźmi, lecz zbyt uczuciowymi jak na mój gust. Zbyt przypominają mi ciebie w momentach, gdy ten miecz miał na coś ochotę.

— Jeśli chodzi o mnie, to jedna wizyta w Valdemarze wystarczy — odpowiedziała. — Cieszę się, że ledwie przekroczyłam granicę. Czy ty kiedykolwiek tam byłeś?

Wzdrygnął się.

— Raz. Tak jak i ty, ledwie przekroczyłem granicę. Bez przerwy czułem oczy wlepione w mój kark, lecz kiedy próbowałem odkryć, co tak mnie obserwuje, nigdy nic nie znalazłem. Miałem wrażenie, że to coś było bardzo nieprzyjemne i nie zamierzałem przedłużać swojego tam pobytu i dowiadywać się, co to jest i dlaczego wzbudza takie wrażenie.

— Jest jeszcze gorzej, jeśli posłużysz się magią — powiedziała Kethry z kamienną twarzą. — Dużo gorzej. A przy okazji: to Kero, twoja siostrzenica.

Miniaturowy człowieczek spojrział na Kero z głębin misy.

— Wydaje się dziedziczką ze strony Shin'a'in — powiedział z czymś, co — jak założyła sobie Kero — było uśmiechem pełnym aprobaty. — Kero, gdybyś kiedykolwiek była w Wielkim Harsay, wstąp do nas. Szkoła jest tuż za miastem, na jedynym wzgórzu w promieniu wielu mil. Nietrudno do nas trafić, jest nas tutaj około czterdziestu, lecz i osada nie liczy więcej niż dwieście osób.

Z pewnym wysiłkiem przełknęła ślinę.

— Yhm... dziękuję. Ja... ech... zrobię to na pewno.

Mężczyzna roześmiał się wesoło i Kero stwierdziła, że ma takie same, szmaragdowe oczy jak jego matka.

— Taka sama jak każdy wojownik, którego dotąd spotkałem... Pokaż jej odrobinę magii, a kuli się i mizernieje.

— Tak, a co ty robisz, kiedy ktoś zamierza się mieczem na twoją szyję? — odparowała Kethry. W jej głosie pojawiła się nutka rozbawienia.

— Ze wszystkich sił staram się, by nigdy nie być w tym szczególnym położeniu, droga matko — odpowiedział. — Jak do tej pory taka strategia znakomicie się sprawdza. Kero, dziecko, jeśli trapisz się magią, proponuję, abyś popróbowowała

w Valdemarze. Wydaje się, że rzucono tam jakąś klątwę. Mówiąc prawdę, przeżywałem tam piekielne chwile. Dlaczego? Nie wiem. Byłoby interesujące zobaczyć, co stałoby się z tym dokuczliwym mieczem matki na północ od granicy.

— Tego eksperymentu nie miałabym ochoty podejmować — stwierdziła Kethry. — Czy to już wszystko?

— Jak dotąd, wszystko — odrzekł Jendar poważniejąc. — Porozumiem się z tobą w zwykły sposób, jeśli coś nowego wyniknie. Wiem, że chcą zobaczyć młodzieńca tutaj tak szybko, jak to jest możliwe. Wyślij go w drogę jutro, jeśli zdołasz. Możesz mu powiedzieć, jeżeli będzie zainteresowany, że jego brat jest zdecydowany przydzielić go do świty lorda wojny, z zamiarem uczynienia jego samego lordem wojny za kilka lat. Z mojej oceny wynika, że zajmie to najwyżej ze trzy lata. Biedny, stary koń bojowy ledwie stoi na nogach i utrata Jada coś w nim odmieniła. Dziś rano wyglądał szczególnie mizernie. Tarmo, mam nadzieję, że młody człowiek sprosta wyzwaniu.

— Sprosta — powiedziała z mocą. — Nie puściłabym go, gdyby było inaczej. Pamiętaj, zatrzymałam go, kiedy Thanel wyruszał na północ, ponieważ nie był gotów.

— To wystarczy. Rozpuszczę pogłoskę pomiędzy członkami Rady. Uważaj na siebie, matko. — Raz jeszcze człowieczek uklonił się, a światełko w misie zamigotało i zgasło.

Kethry powoli uniosła głowę, tak jakby była bardzo ciężka.

— Dzięki ci, Wietrzna Pani, za to, że jestem Adeptem — powiedziała. — Naczynie Obrazów wyczerpywało mnie, kiedy byłam młoda. Strach pomyśleć, co by to było w dzisiejszych czasach.

„Co... och, prawda. Podczas czynności magicznych Adeptci potrafią czerpać energię z otoczenia” — przypomniała sobie Kero. Zarówno Kethry, jak i Tarma nalegały, aby Daren i ona uczyli się o możliwościach magów różnych stopni. „Wiedza, do czego jest zdolny mag waszego przeciwnika, a do czego nie, może pomóc wam wygrać walkę przy najmniejszym rozlewie krwi” — powtarzała z naciskiem Tarma. „Daren, krew ta powinna być dla ciebie tak cenna, jak twoja własna, już choćby dlatego, że utracony wojownik jest utraconym poddanym. Kero, mówimy o wojownikach, za których jesteś odpowiedzialna. Oni, z drugiej strony, są źródłem twojego utrzymania, a więc utracony wojownik może oznaczać utratę przyszłorocznego dochodu. Brzmi to jak zimne wyrachowanie, wiem o tym, ale musisz o tym pamiętać”.

— Co to było? — ostrożnie zapytała Kero.

— To jest zaklęcie, które mogą rzucać jedynie Adeptci i Mistrzowie — powiedziała Kethry, odsuwając włosy z czoła i upinając je grzebieniem. Wyglądała na strasznie zmęczoną, miała tak samo zaczerwienione oczy jak Daren. — W gruncie rzeczy zaklęcie komunikacyjne w czasach pokoju... bardzo wyczerpuje, rzuca się w oczy, jak odpalenie sztucznych ogni i naraża obie strony na atak. Jednak osobi-

ście sądzę, że zyski są znacznie większe od strat.

— Możesz rozmawiać z drugą osobą tak łatwo, jakbyś siedziała z nią twarzą w twarz — stwierdziła Kero z niedowierzaniem. — Nie miałam pojęcia, że to jest możliwe.

— Jak wiele innych zakłęb, tak i to staramy się utrzymać w tajemnicy — wyjaśniła Kethry z krzywym uśmiechem. — Istnieje pokaźna liczba wojennych przywódców, którzy użyliby go, gdyby musieli, mimo że jest bardzo niebezpieczne dla samego rzucającego.

— Rozumiem. Czy to był naprawdę mój wuj?

— Ciałem — że tak powiem — i duszą — odezwała się Tarma. — To on przejął po twojej matce szkołę Białych Wiatrów i przeniósł ją niedaleko stolicy. W Wielkiej Radzie Rethwellanu zasiada spora liczba jego przyjaciół, a więc natychmiast dowiaduje się o wszystkich wydarzeniach. Pożyteczny rodzaj krewnego.

— Wolałabym tylko, żeby był mniej zainteresowany polityką, a bardziej szkołą — powiedziała Kethry odrobinę za ostro. — Pewnego dnia poprzez niewłaściwego człowieka.

— Może tak — spokojnie odpowiedziała Tarma. — Może nie. Ma nieprawdopodobne szczęście, to twój nieodrodny syn. A jest przy tym dwa razy mądrzejszy od nas obu razem wziętych. Przy tym wiesz tak samo dobrze jak ja, że aby zachować neutralność szkoły, trzeba brać udział w politycznej grze z najlepszymi. Ty przetrwałaś tam tylko dlatego, że byłaś pod opieką Korony, a jeśli to nie była gra polityczna, to co nią jest?

— Poddaję się — westchnęła Kethry. — Masz rację, jak zwykle. Powiedziałam tak dlatego, że nienawidzę gier politycznych.

— Nienawidź ich z całego serca, jak długo dobry z ciebie gracz — odparła Tarma. — No dobrze, jastrząbku — kontynuowała, zwracając się do Kero. — Teraz wiesz tyle samo, co my. Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć?

Ani Tarma, ani Kethry nie pisnęła na ten temat słówkiem, lecz Kero wyczuła, że chcą, by wyszła i zostawiła je same.

— Sądzę, że nie — powiedziała. — Dziękuję.

— Jak czuje się chłopak? — zapytała Tarma, kiedy Kero odwróciła się do wyjścia.

— Do tej pory pewnie zasnął — odparła, przypominając sobie, że zostawiła go rozłożonego na łóżku, otępiatego z wyczerpania. — Myślę, iż poczuje się trochę lepiej, gdy się dowie, że Faram chce go widzieć. Z tego, co powiedział, jest z nim w znacznie bardziej zażyłych stosunkach, niż był ze swoim ojcem.

— Nic dziwnego — w tajemniczy sposób wyraziła się Tarma. — No dobrze, usłyszysz ode mnie wieści, kiedy się obudzi.

To był ostateczny sygnał do wyjścia i Kero opuściła komnatę tak szybko, jak tylko mogła. Z pewną ulgą zamknęła za sobą drzwi do pracowni Kethry. Wolnym

krokiem zbliżyła się do kominka, czując się nieco zagubiona, nie wiedząc, co robić. Była jedyną osobą w Wieży — za wyjątkiem, być może, rzadko widywanych służących — której zupełnie nie poruszyła śmierć króla. Dotyczyło ją to o tyle, że miało związek z Darenem.

Poszła na górę do swojej komnaty, przysunęła krzesło do okna i usiadła wpatrzona w pokrytą śniegiem łąkę u stóp Wieży. Siedziała tak do późnego popołudnia, aż z tej zadumy wykrystalizowały się myśli. Nieprzyjemne myśli.

Król wzywał swojego brata i Daren opuści ich rano, co spowoduje, że ona zostanie jedynym uczniem w Wieży. Była świadoma, że Tarma już niewiele zdołają nauczyć. Reszta była rzeczą doświadczenia i własnych błędów. Krótko mówiąc, także i dla Kero nadszedł czas wyjazdu.

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi, wrywając ją z zamyślenia.

— Tak? — powiedziała i przybysz powoli i ostrożnie otworzył drzwi.

— Kero? — odezwał się Daren miękko, całkowicie wrywając ją z apatii.

— Wejdz. — Odwróciła się od okna, badając wzrokiem jego twarz, chociaż prawdę powiedziawszy, nie wiedziała, czego szuka. — Czy z tobą. . .

— Czuję się dobrze — rzekł, zbliżając się do niej powoli.

Kiedy jego twarz wyłoniła się z cienia, dostrzegła, iż wyglądał o wiele spokojniej. W rzeczy samej, wyglądał tak, jakby pogodził się z wieściami i zapanował nad swoimi uczuciami.

— Naprawdę, ze mną jest wszystko w porządku. Powiedziano mi, że Faram chce, abym wrócił do domu.

Kiedy to mówił, twarz mu się zmieniła. Pod warstwą smutku pojawiła się nadzieja i odrobina podniecenia.

— Trochę się bałem, że Faram o mnie zapomniał — powiedział nieśmiało. — Z łatwością mogłoby się tak stać. I. . . i pomyślałem, że skoro jeden brat obrócił się przeciw niemu, może nie ufać i mnie także. Wiesz, nie winiłbym go za to. Mnie by kusiło, gdybym był na jego miejscu. Pomyślałem, że to była przyczyna, dla której ojciec wysłał mnie tutaj. Chciał mnie usunąć, oddać pod opiekę kogoś, kto dopilnuje, bym go nie zdradził. Pomyślałem, że może dlatego nie przysłał po mnie, kiedy Thanel udał się do Valdemaru.

Kero skinęła głową. To było poprawne rozumowanie; na jego miejscu podejrzewałyby to samo.

— Lecz Faram chce, abym przyjechał. Co więcej, chce, abym terminował u lorda wojny — w jego głosie zabrzmiała nutka tłumionego podniecenia. — To jest spełnienie wszystkich moich marzeń, Kero. . .

— I zasługujesz na to — wtrąciła z naciskiem. — Ciężko nad tym pracowałeś.

— I teraz możesz jechać ze mną — kontynuował, tak jakby jej nie usłyszał. — Nic mnie nie powstrzyma od zatrzymania cię. Faram uczył się pod kierunkiem Tarmy, zna Kethry, nie będzie potrzebne to nonsensowne nadanie szlachectwa, abyśmy mogli się pobrać. . .

„Pobrać?”

— Hola! — powiedziała ostro. — Kto tu gadał o ślubie?

To spowodowało, że raptownie przerwał. Jej porywczosć zaskoczyła go tak, że aż wybałuszył na nią oczy.

— Myślałem, że tego chcesz! — stwierdził ogłupiały. — Bo ja chcę, abyś była ze mną, Kero. Nie ma innej osoby, którą pragnąłbym poślubić. . .

— Czy chcesz mnie tak bardzo, że zgodzisz się, abym terminowała razem z tobą? — zapytała zgryźliwie.

Patrzył na nią wstrząśnięty, tak jakby nie mógł uwierzyć w to, co ona mówi.

— Wiesz, że to nie byłoby możliwe! — wykrzyknął. — Jesteś kobietą! Kobietom nie wolno robić takich rzeczy!

— Dorównuję ci na koniu i z mieczem w ręku — odparła, czując narastające podniecenie. — Jestem lepsza w strzelaniu z łuku i taktyce. Dlaczegoż nie miałbym pracować u twego boku?

— Ponieważ jesteś dziewczyną! — wyrzucił z siebie. — Prawdopodobnie nie mogłabyś. . . tego się nie robi. . . nikt by na to nie zezwolił!

— Doskonale, co zatem mogłabym robić? — zapytała. — Zasiadać w Radzie? Spełniać rolę wojskowego doradcy?

— Oczywiście, że nie!

— Świetnie, czy będę mogła trenować? — Czekwała na odpowiedź, nie zwracając szczególnej uwagi na jego długie milczenie. — W porządku, co będę mogła robić?

— Jeździć na koniu, jeździć na polowania. . . polowania w dobrym tonie, z sokołami i lekkim łukiem — powiedział bez zastanowienia. — Nie na takie polowania, jakie urządzaliśmy tutaj. Nie na odyńce czy jelenie. Dobrzy bogowie, to doprowadziłyby połowę dworu do apopleksji! Nie można ich obrażać.

— Innymi słowy, nie mogłabym robić ani jednej z tych przeklętych rzeczy, których się uczyłam i które ćwiczyłam w ciągu ostatnich trzech lat? — dodała z goryczą w głosie. — Nie mogę ich obrażać — przez „ich”, zakładam, rozumiesz mężczyzn — współzawodnicząc z nimi. Chcesz, abym zrezygnowała ze wszystkiego, nad czym pracowałam przez cały ten czas, nawet z moich rozrywek.

— Mogłabyś być moim osobistym doradcą — powiedział pośpiesznie. — Potrzebuję tego, Kero, tak samo, jak potrzebuję ciebie! I moglibyśmy ćwiczyć razem.

— Na osobności, tak aby nikt nie dowiedział się, że twoja żona potrafi stłuc cię na kwaśne jabłko dwa razy na trzy — stwierdziła zjadliwie, z rozmysłem mówiąc prawdę w najbardziej dosadny sposób.

— Oczywiście, że na osobności! — odpowiedział gniewnie. — Nie można robić takich rzeczy, aby ludzie mogli się o tym dowiedzieć! Poza tym nie będziesz zwykłym najemnikiem! Czy ty myślisz, że ja chcę, aby ktoś dowiedział się, że. . .

-... że dorównuję tobie, a innych przewyższam. Że jestem dobra. — Wstała. — Krótko mówiąc, pragniesz kombinacji żołnierzyka do zabawy i kosztownej prostytutki; delikatnej kobietki na pokaz, a w zaciszu domowym, co ci tylko wpadnie do głowy. Pozbawionej własnego zdania i mózgu — za wyjątkiem prywatnego zacisza. Dziękuję, nie. Powiedziałam ci podczas naszej pierwszej, nocnej rozmowy, że nie jestem skłonna sprzedawać nic poza moim mieczem. To się nie zmieniło, Daren. I raczej się nie zmieni.

Wstała i poszła dumnym krokiem w stronę drzwi, tak rozgniewana, że obawiała się stracić panowanie nad sobą w jego obecności. Chciała jedynie oddalić się od niego, aby nie zrobić lub nie powiedzieć czegoś jeszcze gorszego niż do tej pory. Wychodząc, złapała swój płaszcz. Nie uczynił żadnego gestu, aby ją zatrzymać.

Szła szybko, tak bardzo oślepiona tłumioną wściekłością, że nie zdawała sobie sprawy — dopóki nie znalazła się w słabo oświetlonej stajni, zmierzając do tylnej furty — że po drodze schwyciła także Potrzebę. Przystanęła. Przez chwilę czuła trwogę i przerażenie. Czy to miecz zapanował nad nią, czy też wpadła w taką złość, że aż utraciła ochronną barierę przeciw jego wtrącaniu się? Powrócił zdrowy rozsądek. „To tylko prawidłowy odruch” — doszła do wniosku. „Kiedy opuszczam swoją komnatę, łapię za broń, nie myśląc o tym”. Zarzuciła sobie płaszcz na plecy, spięła zapinką pod brodą i wsunęła miecz za pas. „Czy on się po prostu nie domyśla?” — wściekała się, wychodząc na przejmujące zimno rozświetlone promieniami popołudniowego słońca. „Kiedy w końcu staję się zawodowym wojownikiem, Daren zwała mi się na głowę. Ofiarowuje mi wszystko, czego zapragnę, o ile tylko nie zrobię niczego, co byłoby dla niego krępujące — na przykład, zachowując się jak istota ludzka zdolna do samodzielnego myślenia.”

Gdy wyobrażała sobie siebie w roli rozpieszczanego pieska — o czym najwyraźniej marzył Daren — jeszcze jedna myśl przyszła jej do głowy. „Diurna zaprzedałaby swoją duszę za okazję taką jak ta...”

Stała jak wryta w pół kroku, tuż przed ukrytym wejściem do stajni. Wiatr przycisnął płaszcz szczelnie dookoła jej ciała. „A więc co ze mną jest? Dlaczego nie chcę wziąć tego łatwego, podanego na talerzu życia?”

Wstrząsnęły nią dreszcze. Dokładniej otuliła się płaszczem, kiedy przeszyły ją kolejne podmuchy wiatru. „Dlaczego zamierzam wyruszyć, aby walką zarabiać na życie? Dlaczego chcę tego? Cóż za głupiec ze mnie?”

Ponownie zaczęła iść, lecz teraz znacznie wolniej. Z opuszczoną głową przemierzała stwardniałą od mrozu ścieżkę. Patrzyła na zamarznęty śnieg niewidzącymi oczyma. „To, co on mi proponuje, jest niemal zaprzeczeniem tego, co mu powiedziałam przy pierwszej rozmowie: że zamierzam zostać najemnikiem, ponieważ nikt mnie nie nakarmi ani nie odzieje... On mi to ofiaruje. Nie muszę być najemnikiem. A więc dlaczego wciąż tego chcę?”

Podniosła głowę i rozejrzała się dookoła, na poły z nadzieją na jakiś znak lub odpowiedź. Puszczając milczała jednak. Słychać było tylko odległe szydercze

echo kruków i monotonne skrzywienie śniegu pod stopami. Nagie, czarne konary nie wypisały odpowiedzi na niebie. Z chmur nie spłynęło objawienie. Szła przed siebie, z przyzwyczajenia krocząc znajomą ścieżką do rzeki. Miała lodowaty nos i stopy skostniały jej z zimna.

„Doskonale” — zdecydowała się w końcu — „przypuszczam, iż jednym z powodów jest to, że jestem dobra w walce. Byłby to nielichy wstyd, gdyby taki talent się zmarnował. Byłoby głupotą pozwalać wykonywać tę robotę komuś innemu, kto nie jest w tym tak dobry jak ja. . .”

Wiatr zamarł. Płaszcz ciążył jej na ramionach, jakby zawierał w sobie wszystkie jej troski. Ta myśl prowadziła okrężną drogą do drugiej: „Jestem dobra w walce. Oczywiście, przyjemnie by było, gdyby w ogóle nie było walk, gdyby rabusie zaprzestali napaści i ludzie przestali prowadzić ze sobą wojny i wszyscy mogli żyć w pokoju. Lecz na to się nie zanoszą, póki ja żyję — i prawdopodobnie jeszcze przez bardzo, bardzo długi czas. A więc tak się składa, że lepiej, by ludzie dobrzy w walce wyruszali w pole i walczyli, ponieważ to, że są w tym dobrzy, oznacza, że nie zginie wielu innych”.

To właśnie setki razy powtarzała im obojgu Tarma; zadaniem jej i Darena było nauczyć się wszystkiego, co możliwe o planowaniu, aby chronić służących razem z nimi i pod ich komendą; aby ich straty były jak najniższe.

„Lecz zawsze znajdują się tacy rabusie czy Karsyci, którym nie zależy, ilu ludzi zginie. Pozbawieni sumienia i honoru. Wiem, iż wielu utrzymuje, że i najemnicy są z nich także wyrzuci — lecz gdyby to była prawda, po co byłby kodeks?”

Wszystko zaczęło się układać i nabierać powoli sensu. Przystanąła ponownie i zmrużyła oczy w zachodzącym słońcu. „Wojny będą zawsze. Nie mogę sobie wyobrazić, że za mojego życia świat nagle zamieni się w oazę pokoju. Ludzie honoru muszą być jego częścią, bo jeśli nie, jedynymi prowadzącymi walkę będą ci, którym na niczym nie zależy, którzy nie mają honoru, którzy nie przejmują się, ilu zginie ludzi. To słuszne. Dlatego robię to, co robię. W przedziwny sposób jest to obrona Diern i Lordanów, ludzi, którzy mogliby paść ofiarą przemocy. Nawet jeśli mi zapłacą za to, co zrobię, mimo wszystko będzie to obrona”.

Gdyby wojny prowadzili wyłącznie ludzie bez sumienia, wszyscy pragnący pokoju nigdy i nigdzie nie byłiby bezpieczni.

To była odpowiedź, której szukała. Poczwała, jak ulatnia się z niej napięcie. Odwróciła się plecami do zachodzącego słońca i skierowała w stronę domu. Przed nią widniał cień na niebieskawym śniegu.

„Teraz jestem dobra, lecz muszę stać się bardzo dobra. Wyjątkowa. Do tego stopnia, żeby móc wybrać sobie kompanię i kapitana. Wybrać kogoś z tak dobrą kompanią, kto może nie podejmować pracy, gdy proponuje ją niewłaściwa strona w niewłaściwym celu. Dokładnie tak, jak postępowały babka i Tarma”.

I to dlatego nie ulegnie Darenowi i jego propozycjom. Miłość, ofiarowana przez niego, była ograniczona zakazami, które wzbraniały jej zajmować się tym,

w czym była wyjątkowa. Gdyby naprawdę kochał ją taką, jaką była, nigdy by swej miłości w ten sposób nie obwarował.

„I jest jeszcze ostatnia rzecz ze wszystkich: ja go nie kocham” — pomyślała trzeźwo. „Lubię go, ale to nie wystarczy”.

Gdyby przystała na jego małżeńską propozycję, odpłaciłaby znacznie mniej rzetelną monetą. Nie kochała go, nie sądziła, aby kiedykolwiek zdołała się tego nauczyć. Z czasem mogłaby nawet znienawidzić go za kłamstwo, w którym musiałyby przez niego żyć.

A co by się stało, gdyby kiedyś wyrósł ze swego zadurzenia i znalazł kogoś, kogo by naprawdę pokochał? To byłaby tragedia jak z romantycznej ballady. Tyle że gorsza, bo prawdziwa: żyliby w podwójnym kłamstwie, schwytani w pułapkę porozumienia, do którego doszli, kiedy żadne z nich nie potrafiło zdobyć się na trzeźwy osąd.

A gdyby ona sobie kogoś znalazła?

Na samą myśl wyszczerzyła zęby w szyderczym uśmiechu. „A to dobre, ja i miłość. Mniej więcej tak samo prawdopodobne, jak to, że własny koń zacznie ze mną rozmawiać. Może nie jestem she'chorne, lecz nie sądzę, aby narodził się mężczyzna, który mógłby zostać moim towarzyszem, a mnie nic innego nie interesuje”. Nie. Sympatia do Darena była złym usprawiedliwieniem dla wzięcia udziału w jego układance. Byłoby to tak samo fałszywe, jak włożenie sukni i udawanie kogoś, kim się nie jest dla zachowania pozorów.

Zakrawało na ironię, że coś, co ją tak odróżniało — coś, czym teraz tak pogardzała — było tym, co go w niej pociągało od pierwszej chwili.

„Jeśli marzy mu się oryginalna niewiasta, to dlaczego chce, aby zachowywała się tak samo jak inne kobiety?” — zapytała samą siebie, stanąwszy tuż za wejściem do stajni, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do półmroku. „Mężczyźni. Dlaczego nigdy nie możecie nauczyć się logicznie myśleć?”

Daren nie mógł otrząsnąć się z gniewu i oszołomienia. Najpierw Kero wybiegła pędem, zostawiając go na środku swojej komnaty, zniechęconego i ogłupiałego. Nie potrafił zrozumieć, co jej się stało; dlaczego ona nie umie pojąć, że będzie musiała dostosować się do ludzkich oczekiwań? Świat się nie zmieni tylko dlatego, że ona jest inna! zaproponował jej coś, za co każda kobieta przy zdrowych zmysłach — a na pewno każda kobieta na dworze — zaprzedałaby duszę, a tymczasem ona wybiega, usłyszawszy słowa prawdy.

Spodziewał się, że zmądrzeje i wróci, by go przeprosić, ująć za rękę, powiedzieć, iż nie zamierza ponownie wzniecać podobnej kłótni... Ona jednak nie przyszła.

Tuż przed zachodem słońca zjawiła się Tarma; wyglądała, jakby się jeszcze bardziej postarzała. Przypuszczał, że śmierć jego ojca i ją musiała mocno dotknąć.

— No cóż — powiedziała — to oficjalna wiadomość. Faram chce, abys przy-
był tam „na wczoraj”, a więc lepiej się spakuj. Jutro musisz być w drodze.

— Czy będę potrzebował eskorty? — zapytał z powątpiewaniem.

Prawdę mówiąc, chciał eskortę, a świta tylko zwolniłaby jego marsz.

Tarma potrząsnęła głową.

— Sądzę, że nie. Możesz zupełnie dobrze sam o siebie zadbać, młodzieńcze. Jeśli są tam jacyś twoi wrogowie, nie będą się spodziewać samotnego jeźdźca na koniu, będą wypatrywać raczej jakiegoś orszaku.

Westchnął.

— Dobrze. Sądzę, że to koniec mojego pobytu tutaj. Nie powiem, że to lubiłem, lecz — Tarmo — doceniam to, co dla mnie zrobiłaś. Nie jestem na razie w stanie tego ocenić, ponieważ jeszcze przez wiele lat nie będę dokładnie wiedział, ile się od ciebie nauczyłem.

Uśmiechnęła się lekko.

— Jeśli się tego domyśliłeś, jesteś mądrzejszy, niż myślałam. Mądry na tyle, aby wiedzieć, że lepiej będzie od razu się spakować i wyruszyć skoro świt.

— Czy Kero wie, że opuszczam was rano? — udało mu się wykrztusić.

Przez moment Tarma patrzyła na niego osobliwym wzrokiem, a później pokiwała głową.

— Powiedziałam jej — odezwała się z kamiennym wyrazem twarzy. — Nie zareagowała. Czyżbyście się pokłócili?

Już zaczął opowiadać jej, co zaszło między nimi, lecz powstrzymał się. Dlaczego? Nie zdawał sobie z tego sprawy. Może po prostu nie miał ochoty, aby ktokolwiek dowiedział się o tej szczególnej kłótni.

— Nie, prawdę mówiąc, nie — powiedział. — Tylko nie widziałem się z nią przez całe popołudnie... — pozwolił popłynąć słowom tak, aby Tarma mogła odczytać z nich cokolwiek się jej podobało.

Pokiwała głową.

— Pożegnania to suki — stwierdziła krótko. — Nigdy się do nich nie przyzwyczaiłam. Przyjemnej i lekkiej podróży, jel'enedre. Będzie mi ciebie brakować.

Uścisnęła go szybko i mocno. W jej oczach zabłyśły łzy. A potem zostawiła go w jego raptownie opustoszałej komnacie, sam na sam z tą odrobiną przedmiotów, które chciał zabrać ze sobą. Nic do ubrania, oczywiście, za wyjątkiem tego, co musiał włożyć na podróż. Natychmiast po przekroczeniu bram miasta, Faram odzieje go w najcieńsze jedwabie, wełny, aksamit i skórę. Żadnych ksiąg, te należały do Tarmy. Broń i zbroję, nieco notatek i listów. Lecz gdzie jest Kero? Dlaczego nie przyszła do niego?

Tego wieczoru ani razu nie pokazała się przed drzwiami do jego komnaty. Zakończył pakowanie i próbował zająć się czytaniem, lecz nie mógł się skupić. W końcu wziął długą, gorącą kąpiel i dla odprężenia wypił dobre pół butelki wina. Przyszedł mu na myśl ojciec; to także łączyło jego i Kero. Ledwie znał króla.

Większość czasu spędził z dala od dworu, głównie za sprawą Thanela. Faram był dla niego bardziej ojcem niż Jad. Król był królem i wiadomość o jego śmierci wystarczała, aby wstrząsnąć wiernym poddanym do łez. Gdyby to był Faram. . .

Opróżnił butelkę i ponownie próbował zająć się czytaniem, lecz dał za wygraną i wszedł do łóża. Był przekonany, że Kero wślizgnie się przez drzwi, kiedy zdmuchnie świecę.

„Ona musi przyjść” — pomyślał. „Musi. Kocha mnie; wiem, że tak jest. Zawsze nam było ze sobą dobrze w łóżku. Jestem w stanie ją nakłonić, by ze mną została”.

Lecz nie przyszła, chociaż czekał tak długo, że nie mógł utrzymać otwartych oczu, chociaż napięcie ścisnęło jego żołądek, a mięśnie zamieniło w stalowe warokocze. Jednak dopiero rano nabrał pewności, że Kero nie przyjdzie i że on zachował się w sposób niewybaczalny.

Kiedy siodłał swojego starego rumaka, na schodach do stajni nieoczekiwanie pojawiła się Tarma, aby go wyprawić na drogę.

Jego kontakty z lady Kethry były zawsze bardzo luźne i dlatego nie zaskoczyła go jej nieobecność, przy boku Tarmy, której widokiem z kolei poczuł się niespodziewanie wzruszony.

— Nie mogłabym pozwolić ci odejść bez pożegnalnego prezentu, chłopcze — powiedziała. — Będziesz go potrzebował. Weź Roana.

— Zabrać Roana? — ledwie mógł w to uwierzyć.

Wałach, na którym tutaj jeździł, był doskonałym wierzchowcem ze stadniny Klanu. Chłopiec był więc zdziwiony i wzruszony. O mało ponownie nie przyniósł sobie wstydu, rozczulając się do łez.

— Najmilsi bogowie, jest z nami Ironheart i Hellsbane oraz kilka mułów. Jeśli go nie weźmiesz, nic nie będzie robił, tylko obzerał się w stajni do nieprzytomności. — Wyprowadziła wałacha z jego zagrody i przywiązała go obok rumaka Darena. — Spójrz na niego, będzie z tego bardzo zadowolony. Powiedziałabym, że twoim obowiązkiem jest ocalić tego spalonego żarłoka przed jego własnym żołądkiem.

— W takim razie — rzekł — sądzę, że nie mam wyboru.

— Nigdy nie próbuj okpić Shin'a'in, chłopcze — odparła z powagą w głosie. — Zawsze stawiamy na swoim.

— Tego się nauczyłem. — Odważył się objąć jej kościste ramiona i uściskać ją.

Oddała uścisk i oboje poczuli napływające do oczu łzy.

— A teraz zabieraj się stąd, zanim będę musiała ponownie cię nakarmić — powiedziała, delikatnie odpychając go od siebie. — Na błogosławieństwo Gwiazdstoockiej, o jakież góry zaopatrzenia musiałyśmy się troszczyć, byś nie był głodny! Ty i twój wałach, dobrana z was para!

To był kiepski żart, ale go ocalił i pomógł mu odejść z suchymi oczami, osiodłać Roana i odjechać ścieżką do drogi. Tam jednak, kiedy odwrócił się, aby spojrzeć na Wieżę, mimo wszystko poczuł pieczenie i kłucie w oczach. Kero nie pojawiła się.

Nawet nie przyszła, aby się z nim pożegnać.

Z animuszem odwrócił się do tego miejsca plecami. Dokonała wyboru; on miał przed sobą własne życie. Jedynie oczy nie przestawały go piec i żadnym mruganiem nie mógł się tego pozbyć. Tarł je grzbietem dłoni, kiedy, jak w zakończeniu ballad, za plecami usłyszał tętent kopyt — tętent, który był mu znajomy: ostry, urywany stukot kopyt drobnej klaczy Kero po ubitym śniegu. Poznałby ten nierówny rytm zawsze i wszędzie; Verenna uważała na swoją prawą nogę od wypadku w drugim roku pobytu tutaj i ten krok był mu znajomy jak tętno własnego serca.

Zawrócił swojego wałacha, aby ją powitać z sercem rozpieranym szczęściem. „Zmądrzała! Jedzie ze mną! Zdobyłem ją. . .”

Nagle ukazała się na drodze. Poczuł wstrząs i wytrzeszczył oczy, które rozszerzyły się tak bardzo, że wydawało się, iż wypadną mu z orbit.

To była Kero, niewątpliwie, z twarzą umalowaną jak jedna z dam dworu, z kunsztownie upiętymi włosami, na co straciła pewnie wiele godzin. Ubrana w suknie — w wymyślny aksamitny strój, parodię rynsztunku łowieckiego, który od lat, od dziesięcioleci, był już niemodny, który musiała wydobyć z dna skrzyni swojej babki.

Wyglądała jak idiotka. Nie tylko z powodu sukni, a raczej nie tyle z powodu sukni, starej i niemodnej. Chodziło o jej głupawy uśmiech, rozszerzone i wilgotne oczy, usta sztucznie rozchylone, twarz przyobleczoną w staranną maskę ochoczej, słodkiej radości.

— Och, Daren — wyrzuciła z siebie, kiedy znalazła się w zasięgu głosu. — Jakże mogłeś pomyśleć, że cię zostawię? Po tym wszystkim, co mi ofiarowałeś, po tym, jak wiele dla siebie znaczyliśmy. Jakże mogłeś żywić co do mnie jakiegokolwiek wątpliwości?

Zrównała się z nim i położyła rękę na jego łokciu, delikatnym, wystudiowanym i sztucznym gestem.

— Przemyślałam twoje słowa, zrozumiałam twą mądrość, Darenie. Świat się nie zmienia, a więc ja mogę równie dobrze się do niego dostosować! Mimo wszystko niecodziennie księżę krwi proponuje, bym została jego małżonką!

Zachichotała. Nie był to zwykły śmiech ze szczerego serca, ani nawet jej ciepły, przyjacielski, zmysłowy uśmieszek, lecz idiotyczny chichot. Jej klacz wykonała drobny unik w bok, a ona, zamiast ściągnąć lejce, pozwoliła jej na to.

Wtedy doznał olśnienia. Zachowywała się dokładnie tak samo, jak zachowują się wszystkie dworskie ciamajdy — próżne, sztucznie bezradne, o pustych głowach, chciwe. . . Można było od tego dostać mdłości. Odsunął się od niej, reagu-

jąc odruchowo, bez namysłu.

Raptownie jej zachowanie zmieniło się. Sztuczna, mała idiotka zniknęła tak całkowicie, jakby jej nigdy nie było. Kero patrzyła na niego trzeźwo. Absurdalny sposób dosiadanania konia, wymalowane policzki, śmieszna fryzura — absolutnie nie wydawały mu się zabawne. Verenna ponownie próbowała uskoczyć w bok, tym razem Kero natychmiast ją poskromił.

— Dałam ci właśnie to, czym — jak powiedziałeś to wczoraj — chciałbyś, abym była. Chciałeś, abym się zachowywała dokładnie w ten sposób.

— Publicznie! — zaprotestował. — Nie wtedy, kiedy jesteśmy razem!

— Och, nie? — Przekrzywiła głowę na bok. — Naprawdę? A gdy prywatną osobą jest księżę krwi? Kiedy będziesz zupełnie pewny, że twoje sekreciki nie zostaną odkryte, że nikt nam nie przerwie lub nie będzie nas z dala podglądał?

Poczuł się tym raczej zaskoczony. Zalała go fala żywych wspomnień o intymnych spotkaniach, które stawały się publiczną tajemnicą w ciągu tygodnia, o tajemnicach ujawnianych natychmiast po ich wypowiedzeniu, o tych wszystkich przypadkach, kiedy szukał odosobnienia po to tylko, aby wszędzie natykać się na obserwatorów. Roan niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, reagując na zaniepokojenie swojego jeźdźca.

— Nawet jeśli uda ci się ująć przed swoimi dworzanami — nie ustępowała, marszcząc brwi i z przejęciem pochylając się w siodle — nawet jeśli uda ci się uniknąć plotek, jak zachowasz tajemnicę przed służbą? Jest wszechobecna, dowiaduje się o wszystkim i natychmiast rozpowiada po całym dworze.

Wyprostowała się w siodle, wpatrując się w jego twarz i uważnie śledząc jego oczy.

— Ponadto, jakim żyjesz, takim się stajesz. Im dłużej będę się zachowywała jak kompletna idiotka, tym bardziej będzie prawdopodobne, że się w nią zamienię. Naprawdę chcesz tego ode mnie?

— Nie! — wykrzyknął. Przestraszony Roan parsknął. — Nie, kocham w tobie twoją siłę, rozsądek, to, że zachowujesz się jak przyjaciel — że mogę z tobą rozmawiać jak z mężczyzną. . .

Przerwał przerażony, lecz było już zbyt późno. Kiwała głową.

— Lecz proszę mnie, abym stała się właśnie taka — odparła, gestem wskazując suknię, fryzurę i całą resztę. — Daren, kochanie ty moje, tak naprawdę niepotrzebna ci jestem jako kochanka, chcesz we mnie mieć przyjaciela, kompana. Lecz ja nie mogę być twoim kompanem w twoim świecie. . .

Próbował zaprzeczyć, ale nie znalazł odpowiednich słów.

— Daren, towarzysz i partner czeka na ciebie — ktoś, kto potrzebuje twojej pomocy, poparcia, tego, że go kochasz. To jest mu bardziej potrzebne niż moja osoba — podkreśliła miękko.

— Twój brat będzie zawsze dla ciebie ważniejszy, niż ja byłabym kiedykolwiek. Gdybyśmy razem pojawili się na dworze, sam byś się o tym przekonał. Nie

byłabym wtedy dla ciebie niczym więcej jak tylko brzemieniem. Szczerze powiedziawszy, moja obecność na dworze szybko stałaby się dla ciebie krępująca.

— Ja... ty... — jękał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową, podczas gdy jego wąż ze zniecierpliwienia gryzł wędzidło. — Sądzę... sądzę, że masz rację — powiedział strapiony. — Nie mogę w każdym razie podać żadnej przyczyny, dla której mogłabyś się mylić. — Spuściwszy wzrok, przez chwilę wpatrywał się w łęk swego siodła, a potem buntowniczo zmierzył się z nią wzrokiem. — Ale, do licha, nie musi mi się to podobać!

— Nie, nie musi — zgodziła się. — Lecz to niczego nie zmienia.

Patrzyła mu prosto w oczy i w końcu to on był tym, który musiał opuścić wzrok.

— Daren — powiedziała po chwili grobowego milczenia, przerywanego jedynie tupotem kopyt końskich, skrzypieniem skóry i pobrzękiwaniem uprzęży — zaczekaj kilka lat. Zaczekaj, dopóki nie znajdę miejsca dla siebie. Wtedy mogę być twoją przyjaciółką, szaloną kobietą-wojownikiem. Od książąt oczekuje się, że będą mieli jednego czy dwóch naprawdę dziwnych przyjaciół. — Roześmiała się przy tym.

Podniósł oczy i z ociąganiem też się uśmiechnął.

— Spodziewam się. — Zdobył się na odwagę. — Mogłabyś nawet podnieść moją reputację.

— Och, z pewnością. — Jej uśmiech zamienił się w wisielczy grymas. — Tylko pomyśl sobie o reakcji ludzi, kiedy się dowiedzą, że jestem twoją kochanką. „Książę Daren, pogromca dzikiej kobiety-najemnika!” Już widzę, jak będą się zachwycać twoją budzącą grozę męskością!

Zarumienił się — tym bardziej, że wiedział, iż to była prawda.

— Kero... — zaprotestował.

— Jesteśmy ponownie przyjaciółmi? — zapytała go znienacka.

Zamrugnął powiekami, do jego oczu znowu napłynęły łzy. Tym razem jednak nie próbował udawać, że ich tam nie było.

— Tak — odpowiedział. — Chociaż na co ci taki głupiec jak ja?

— Och, muszę mieć kogoś, od kogo mogę pożyczać pieniądze — rzekła lekceważąco, wyciągnęła ręce i bardzo mocno go uścisnęła.

A kiedy oderwała się od niego, łzy były i w jej oczach.

— Tylko uważaj na siebie, gburze nieokrzesany — wychrypiąta grubym głosem. — Chcę cię mieć pod ręką, kiedy będę miała ochotę wziąć pożyczkę.

— Najemnik — zareplikował równie zachrypniętym głosem.

Kiwnęła głową i powoli wycofała konia.

— Właśnie, mój przyjacielu. Właśnie. — Wstrzymała klacz tuż poza zasięgiem jego ręki i pomachała mu na pożegnanie. — Przed tobą miejsca, które musisz odwiedzić i ludzie, którzy cię oczekują, książę.

Zawrócił konia i przynaglił go do żwawego stępa, oglądając się do tyłu przez ramię. Spodziewał się, że zobaczy ją w drodze do Wieży, ale ona wciąż siedziała na nieruchomym koniu obok ścieżki. Kiedy stwierdziła, że na nią patrzy, raz jeden zamachała w sposób bardziej przypominający salut niż pożegnanie.

Dokładnie wojskowym salutem był pożegnalny gest Darena. A potem chłopak skierował wzrok przed siebie, na szlak. I ani razu się nie obejrzał.

Kero czekała, dopóki Daren nie zniknął jej z oczu i zawróciła konia w stronę Wieży.

„Sama nie wiem, co jest bardziej zaskakujące — to, że on zaczął myśleć rozsądnie, czy mój talent krasomówczy”. Nie zdawała sobie jasno sprawy, co zamierzała powiedzieć, znała jedynie ogólne zarysy. Na pewno nie spodziewała się, że zdoła wygłosić tak przekonującą mowę. Jedno nie było zbyt zaskakujące: już tęskniła za Darenem, lecz nie aż tak, jak się tego obawiała. Oznaczało to — zgodnie z jej sposobem myślenia — że nie jest w tym człowieku zakochana. Podczas samotnie spędzonej nocy nawiedziły ją niemal koszmary, że po udanym wyprawieniu go w drogę, odkrywa, iż nie jest w stanie bez niego żyć.

Westchnęła i na ten dźwięk Verenna zastrzygła uszami.

— No dobrze — odezwała się do klaczy — sądzę, że teraz na mnie kolej wymyślić, co począć z własnym życiem.

I w tym momencie zaatakował miecz Potrzeba.

Na mgnienie oka wcześniej Kero poczuła ostrzeżenie, przebłysk czegoś poruszającego się, jakby starej, gderającej przez sen kobiety, tuż przed tym, jak ostrze zaczęło wywierać potężny nacisk. Udało jej się nie dopuścić do całkowitego zażądnięcia jej osobą, lecz nie mogła ustrzec się przed częściowym obezwładnieniem.

Miecz uczynił wszystko, co w jego mocy, aby ogarnęła ją żądza ucieczki od tego wszystkiego, żądza całkowitego wyzwolenia się. Żądza była tak paląca, że gdyby nie miała już za sobą podobnych przeżyć wywołanych przez miecz, prawdopodobnie przynagliłaby Verennę i pognała w ślad za Darenem, dogoniłaby go i wyprzedziła. Biorąc jednak te fałszywe popędy za to, czym w rzeczywistości były, przeciwstawiła im zahartowaną jak stal wolę, nieustępliwą dumę, wzdragając się ugiąć przed kawałkiem metalu, choćby był zaklęty. Miała jedynie tyle czasu, aby zarzucić na szyję Verenny lejce i spętać ją przy ziemi, zanim miecz zapanował nad jej ciałem.

Usiadła, sztywna i roztrzęsiona; każdy mięsień ciała zmagał się z jej wolą. Nie mogła nawet powrócić do Wieży i prosić o pomoc Kethry — zakładając, że Kethry, po latach spędzonych w osobliwej niewoli ostrza, w ogóle była zdolna udzielić jej pomocy. „Bądź przeklęty” — skierowała swe myśli do ostrza, gdy jej ciało zaczęło ogarniać zimno. Verenną wstrząsnął dreszcz. Nie rozumiała, co dzieje się z jej jeźdźcem, ale to, co poczuła, wcale jej się nie spodobało. „Bądź przeklęty, wiem kim i czym jestem, czego chcę i nawet dlaczego tego chcę i jeśli

mężczyzna, którego lubię, nie jest w stanie zmusić mnie, abym się tego wyrzekła, żadna kupa metalu także nie zdoła mnie od tego odwieść!”

Stopniowo, mięsień po mięśniu, odzyskała panowanie nad własnym ciałem. Przymknęła powieki, aby móc lepiej skupić uwagę i zmagła się z sobą, nieświadoma tego, co się dookoła niej działo.

W końcu sztywno dosiadła konia. Znow była panią samej siebie. Znużona, czekała, czy miecz nie podejmie ponownej próby. Zimno zamieniało oddech jej i Verenny w kłęby pary. Przeczuwała, że miecz podejmie kolejną próbę, jeśli nie wynajdzie sposobu na zakończenie zmagania, tutaj i teraz.

Ściągnęła rękawicę i położyła na wpeł zamarzniętą dłoń na rękojeści. „Słuchaj mnie, ty” — skierowała swe myśli do miecza i poczuła jakby ciszę, tak jakby zaczął słuchać, aczkolwiek niechętnie. „Słuchaj mnie i uwierz mi. Jeśli nie przestaniesz, nie zostawisz mnie w spokoju i nie pozwolisz mi samej o sobie decydować, wrzucę cię do najbliższej rozpadliny. Mówię poważnie. Posiadanie miecza chroniącego przed magami może i jest wygodne, lecz niech mnie licho, jeśli w zamian zamierzam utracić kontrolę nad własnym życiem!”

Poczuła raptowne, tępe uderzenie ciepła, jakby odległy poryw gniewu.

„Słuchaj, wiesz, co myślę! Zgadza się z wytkniętymi przez ciebie celami, do licha! Jestem całkowicie gotowa nieść pomoc kobietom w potrzebie! Lecz będę, przysięgam na wszystkie świętości, robić to na własnych warunkach. A ty, jeśli na to nie przystaniesz, będziesz miał nielichy kłopot z udzielaniem kobietom pomocy z dna rozpadliny”.

Gniew ulotnił się, zamiast niego pojawiło się zaskoczenie i na koniec zapanał spokój. Odczekała jeszcze chwilę, lecz teraz miecz wydawał się zwykłym ostrzem, wykutym z żelaza. Nie, nie wydawał się zupełnie martwy, lecz przeniknęła ją świadomość, że jej argument okazał się trafny.

— Milczenie oznacza zgodę — powiedziała na głos i nałożyła rękawicę.

Następnie, pochyliwszy się, wzięła do ręki wodze i ku uldze Verenny, skierowała ją w powrotną drogę do Wieży.

Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, było spotkanie Tarmy w stajni. Shin’a’in odebrała od niej lejce natychmiast po tym, jak zeskoczyła z siodła, i poprowadziła klacz do jej zagrody; wszystko bez słowa. Kero zaczęła, głowiąc się, co teraz nastąpi. Nagana za odrzucenie propozycji Darena? To wydawało się mało prawdopodobne. Lecz milczenie Tarmy coś zwiastowało.

Tarma uwiązała Verennę w jej zagrodzie, lecz zamiast natychmiast ją rozsiodłać, powstrzymała Kero, łapiąc ją za rękę.

— Powiedziabym to w ciągu kilku następnych miesięcy — zaczęła — lecz wyjazd Darena pozwala mi zdradzić to wcześniej: jesteś gotowa, jastrząbku. A ty też sądzisz, że jesteś gotowa wyswobodzić się z pęt?

Kero zamrugła powiekami.

— I odjechać? Ale dokąd? — zapytała po chwili zastanowienia. — Znając ciebie, wiem, że masz wobec mnie jakieś plany.

Tarma kiwnęła głową. Lodowaty wyraz jej niebieskich oczu odrobinę złagodniał.

— Od tej pory doświadczenie będzie lepszym nauczycielem ode mnie — powiedziała. — W ciągu minionych kilku miesięcy rozglądałam się za miejscem dla ciebie. Tak się złożyło, że syn dobrego znajomego właśnie objął zaprzysiężoną kompanię. Zwań ich Piorunami Nieba. Są harcownikami-zwiadowcami, tak jak moja dawna kompania, Słoneczne Jastrzębie. Nazwisko kapitana brzmi Lerryn Twoblades. Otacza go sława uczciwego, sprawiedliwego i honorowego wojownika, na tyle, na ile może takim być najemnik. Z przyjemnością cię przyjmie, jeśli zamierzasz udać się wprost do kompanii.

— A jeśli nie? — zapytała Kero, zaciekawiona, co ma do wyboru.

Tarma wzruszyła ramionami.

— Możesz wyruszyć szukać szczęścia na własną rękę. Łączą mnie niejake powiązania z karawanami Gildii Handlarzy Klejnotami, jednak twoje umiejętności lepiej będą wykorzystane w kompanii takiej, jak Pioruny Nieba. Możesz odejść do domu, jeśli tego naprawdę chcesz. Możesz ruszyć śladami Darena, nawet masz na sobie odpowiednie ubranie — stwierdziła z grymasem na twarzy. — Lecz nadszedł czas, byś wyruszyła w drogę, zanim nie opuści cię ochota.

W stajni zaległo głębokie milczenie; nawet konie wyczuły, że na coś się zanosi i nie zachowywały się hałaśliwie jak zazwyczaj. W końcu Kero skinęła głową.

— Sądziłam, że przyjdzie na to czas wiosną, lecz jestem gotowa. I pójdę do Piorunów Nieba. Byłabym głupia, gdybym odrzuciła taką propozycję.

Tarma odprężyła się i uśmiechnęła.

— Próbuję nie uczyć głupców — odpowiedziała. — I... Kero, należysz do Klanu, chcę, abyś zabrała Hellsbane.

— Co? — zapytała Kero z niedowierzaniem. — Nie mogę tego zrobić!

— Dlaczego nie? — odparła Tarma. — Jeździłaś na niej przez cały rok; lepiej to robisz niż ja. Zostaw Verennę Keth, koń jeździecki nie przyda się na nic najemnikowi. Mnie nadal pozostanie Ironheart, a Keth nigdy już nie będzie potrzebowała bojowej klaczy i mówiąc prawdę, zawsze z pewnym niepokojem takowych dosiadała. Będzie szczęśliwa, mając Verennę, a i jej z nami będzie dużo lepiej.

Zza pleców Shin'a'in jak cień wyłonił się Warrl.

— *Ona ma rację. Wiesz o tym. Hellsbane przeszła szkolenie bojowe, tak jak i ty. Jej byłoby wstyd, gdyby zmarnowała swoje możliwości.*

Kero potrząsnęła głową, częściowo z niedowierzaniem, częściowo z rozbawieniem.

— Rozumiem, że zostałam przegłosowana.

Zachrypnięty od wzruszenia głos Tarmy zabrzmiał jeszcze bardziej szorstko:

— Należysz do mojego Klanu. Jesteś mi bliska jak córka. Jesteś moją jedyną, prawdziwą protegowaną. I, do licha, jesteś najlepszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek szkoliłam. Chcę, żeby twój ekwipunek też był najlepszy. — Nagle uśmiechnęła się, jej głos i oczy ponownie się rozjaśniły. — Prócz tego, gdy zobaczysz resztę wyposażenia, które przygotowałyśmy dla ciebie, Keth i ja, Hellsbane wypadnie przy tym blado!

Kero ledwie mogła wydusić słowo, a nawet przełknąć ślinę.

— Nie wiem, co powiedzieć. . . — zaczęła.

Tarma ściągnęła z Verenny siodło i ponownie odprowadziła klacz do jej zagrody.

— Możesz zacząć od „dziękuję” i od tego zaczniemy. Myślisz, że będziesz gotowa, by wyruszyć w drogę pod koniec tygodnia?

— Ja. . . — Kero zająknęła się. — Ja. . .

— Jeśli tak — kontynuowała Tarma — Keth może wysłać wiadomość do Two-bladesa, a my możemy zacząć dopasowywać dla ciebie twoją nową, piękną zbroję, abyś nie przyniosła nam hańby, kiedy już tam dotrzesz.

— Mogę być gotowa — wydusiła. — Wolałabym. . . wolałabym nie opuszczać was, czy raczej zabrać cię ze sobą. . .

Tarma prychnęła.

— Mało prawdopodobne. Odsłużyłam swoje na pierwszej linii. Kurczę nie może powrócić do skorupki, a młody jastrząb nie może stracić pierza. Czas, abyś spróbowała rozwinąć skrzydła.

„Czas, abym zobaczyła na własne oczy, jak wygląda świat na zewnątrz. Kto wie, może nadszedł czas, aby zacząć żyć naprawdę. . .”

-...*a nawet zacząć latać* — dodała, myśląc na głos.

— Och, będziesz latać, jastrząbku — odpowiedziała Tarma. — Będziesz latać.

KSIEGA DRUGA
Obosieczne ostrze

Jedenasty

— Wielka Jaesel — powiedziała Shallan, jej jasnoniebieskie oczy rozszerzył podziw na widok tego, co blokowało ubity trakt. — Cóż to, u diabła, jest?

Musiała podświadomie naprężyć nogi, gdyż jej narowisty koń wierzgnął na bok i nadział się na Hellsbane.

Niedobrze... Kero natychmiast ściągnęła lejce tak, że jej klacz jedynie stuliła uszy, a nie zareagowała, jak to miała w zwyczaju, błyskawicznym kłapinięciem zębami.

Shallan zakłęła, zwinęła dłoń w pięść i grzmotnęła krnąbrnego rumaka pomiędzy uszy, przez co nieposłuszne zwierzę uspokoiło się. Jeszcze raz uwaga wszystkich zwiadowców skupiła się na bezładnej kupie ludzi, tarasującej im przejście. „Beładna kupa” było zdecydowanie właściwym określeniem, doszła do wniosku Kero. Przed sobą mieli kłębowisko około dwudziestu lub trzydziestu ludzi. Niektórzy z nich stali, większość ułożyła się w różnorodnych pozycjach. Z owego kłębowiska wystawały długie na dziesięć stóp piki, na szczęście pozbawione grotów.

— Czy aby ostatniej nocy sierżant z kompanii Bękartów Bornama nie wspominał o poborze? — za plecami Kero rozległ się męski głos. Rozpoznała Giesa, jednego z dwóch bliźniaków; tego, który obdarzony był głębszym głosem.

— Myślę, że tak — odpowiedział Tre, jego brat, równie śniady jak on. Zorientowała się, że właściwie odgadła imiona bliźniaków. — Sierżant nie był prawdziwym optymistą.

— Powiedziałabym, że ma ku temu powody — odparła Shallan, potrząsając ze wstrętem swoimi białymi jak lód włosami. — Lepiej się oddalmy, zanim się pozbierają i staną na nogi.

Kilku ludzi, odłączywszy się od pozostałych, stało z boku. Ich sierżant nie krzyczał głównie dlatego, że — jak podejrzewała Kero, widząc karmazynowy odcień na jego twarzy — przed apopleksją chroniła go jedynie siła woli.

— Zgoda — powiedziała Kero.

Nominalnie przewodziła tej grupie, lecz tylko podczas zwiadowczej wycieczki, a teraz nie wyruszali w pole.

— Wybierzmy jedną z bocznych ścieżek.

Czterej jeźdźcy zawrócili wierzchowce i popędzili je tą samą drogą, którą tutaj przybyli: ubitym szlakiem pomiędzy łysinkami wyciętymi w zagajnikach karłowatych krzewów. Za ich plecami sierżant w końcu odzyskał głos i zaczął go używać.

Cztery kompanie, zwerbowane przez Radę Menmellithu do „wytępienia bandytów”, obozowały w wąwozie, z którego wiodły na otwartą przestrzeń co najmniej cztery znane Kero drogi; nie wątpiła przy tym, że bliźniacy znali jeszcze przynajmniej kilka innych. „Boczna ścieżka”, będąca drugą drogą wjazdową, wyprowadziła ich na wertepy, które jednak nie były przeszkodą dla koni; wszystkie one pochodziły bowiem z hodowli Shin’a’in.

Po kilku stajach szlaku obsadzonego karłowatą roślinnością, który na skutek nieustannego ruchu, w ciągu paru ostatnich dni zamienił się w klepisko ubitej gliny, ludzkie ślady przeciął trop dzikiej zwierzyny, znikający w potarganych surową pogodą krzewach i skarłowaciałych dębach. Prawdę powiedziawszy, ta boczna ścieżyna była tak spokojna, że wciąż jeszcze wzdłuż niej żyły dzikie zwierzęta. Ptaki zrywały się z drzew, gdy przejeżdżali obok, a stadko przepiórek przyglądało im się bacznie ze swojej kryjówki pod ciernistymi krzewami.

— Bogowie! — zawołała Shallan, ponownie uderzając konia, gdy ten znów spłoszył się na widok przebiegającego im drogę zająca. — O bogowie! Rekruci, żółtodzioby! Dzięki świętej Keshal, że Lerryn nigdy nie wysyła żółtodziobów w pole.

— Mogłoby być gorzej — zauważył Tre. — Mogłoby tutaj być poborowe wojsko Menmellithu i Rethwellanu.

Shallan jęknęła. Kero pokręciła głową.

— Z Menmellithu — to prawdopodobne, ale nie z Rethwellanu. Oficjalnie Rethwellan nie jest nawet naszym pracodawcą. Oficjalnie udzielił Radzie pożyczki w gotówce — na nasz żołąd. Wiem o tym z listu.

Nie powiedziała od kogo był ten list. Każdy z Piorunów Nieba wiedział o jej przyjaźni z Darenem, orientując się zarazem, że nie będzie nią frymarczyć. Jednakże mogła przekazywać wiadomości otrzymywane od niego czy to przez przypadek, czy rozmyślnie.

— Och? — Shallan i pozostała dwójka okazali wyszukaną obojętność, z czego Kero wnioskowała, że nie dotarła do nich jeszcze ta plotka. — Dlaczego?

— To bardzo proste. Wszyscy wiemy, że to Kars finansuje tych „bandytów” — założywszy, że już nie są wcieleni do regularnych formacji Karsytów. Ale w obrębie tych granic? — Kero wzruszyła ramionami. — W każdym razie, to dlatego my jesteśmy tutaj, a Rethwellan trzyma się od tego z dala. Oficjalnie nie jesteśmy jednostką żadnej armii. Cokolwiek zrobimy, nie może to wywołać dyplomatycznego incydentu. A jeśli zdarzy się, że nas poniesie i okaże się, że zabici są żołnierzami z armii Karsytów... No cóż, Kars pogwałcił kodeks tyle razy, że Gildia nie tylko nie nałoży grzywny na winowajców, lecz być może nawet ich nagrodi. Oczywiście

ście, nieoficjalnie.

— Naturalnie. — Tre przytaknął z entuzjazmem.

Kero zerknęła przez ramię. O identycznych uśmiechach na twarzach bliźniaków można było powiedzieć tylko jedno — kryła się w nich „żądza krwi”.

A może była to jedynie chciwość. Nieczęsty to był przypadek, aby zaprzysiężona kompania mogła łupić na własną rękę, a na to przyzwoliła im Rada Menmellithu, ich domniemany pracodawca. Kero nie miała im tego za złe. Przypuszczalnie połowa dobytku „rabusiów” wprawdzie należała do ludności miejscowej. Jeżeli już komukolwiek miały przypaść w udziale łupy, tubylcy woleliby prawdopodobnie, aby to byli przyjaciele, a nie wrogowie.

Rethwellan objął Menmellith kuratelą, zgadzając się na jego ograniczoną autonomię. Miał to być rodzaj ofiary dziękczynnej za narodziny Darena, trzeciego syna; w rzeczywistości, widząc wszystko na własne oczy, Kero zaczęła podejrzewać, że król wykorzystał sposobność, aby uwolnić swój kraj od ciężaru, który opróżniał królewską szkatułę. Menmellith składał się głównie z gór, przemierzyć go było piekielnie trudno, bez ustanku niepokojony był najezdami „bandytów” z Karsu i przypuszczalnie nie można tutaj było skutecznie ani rządzić, ani ściągać podatków. Teraz, rządzony przez krnąbrny, milczący lud, służył za bufor pomiędzy Karsem i bogatszymi ziemiami Rethwellanu. Król, mając wolną rękę, co pewien czas werbował jedynie kompanie najemników, aby zaprowadzać tutaj porządek. Nie był już zmuszony utrzymywać na tych terytoriach regularnych oddziałów wojskowych.

— Niewielki z nas w tej chwili pożytek — powiedziała Shallan, kiedy jej koń ostrożnie stawiał kroki w wyschniętym łożysku strumienia, który częściowo leżał na szlaku. — Wysyłamy tylko oddziały zwiadowcze, aby mieć pewność, że wszystko jest jeszcze tam, gdzie powinno być.

— Wiem — westchnęła Kero. Przynajmniej jednej rzeczy nauczyła się, przestając z Piorunami Nieba: tego, że wojna polega głównie na czekaniu. — Nie muszę nawet nikomu się meldować, chyba że w wyjątkowej sytuacji. Przypuszczam, że nie byłoby tak źle, gdyby coś się zaczęło dziać, ale ci dranie nie wychyła się z kanionu.

— Nie mogę ich za to winić — lakonicznie wtrącił Gies. — Gdybym znalazł się w kanionie bez wyjścia, nie wystawiłbym nosa. Mogą trzymać nas tutaj tak długo, jak długo wystarczy im żywności i wody. A nam może się to znudzić i pójdziemy sobie.

Shallan zaśmiała się; nie była to oznaka rozbawienia, lecz szczególnie obrzydliwy rodzaj śmiechu.

— Zdaje się, że Wilki i Bękarty są chętni, by tym tam zgotować naprawdę nieprzyjemne chwile. Kiedy już stamtąd wychyną, my będziemy czyhać. A wraz z nami Trzęsący Ziemią.

Kero wołała zbyt wiele o tym nie myśleć. Wykurzenie „bandytów” z ich no-

ry będzie kosztować obydwie kompanie piechoty niemało krwi. Dla kompanii ciężkiej jazdy i harcówników spod znaku Piorunów Nieba było to łatwe, a nawet nudne zajęcie. Lecz jeśli „bandyci” faktycznie wyłonią się z kanionu, będą jak zapędzone w kozi róg zwierzęta i Shallan będzie prawdopodobnie miała okazję nasycić się walką. Gadanie o tym nie przyniosłoby jednak nikomu żadnej korzyści, a więc Kero utrzymywała nadane tempo, uważnie obserwując niepewny szlak. Ostatnim, czego by sobie życzyła, byłoby okulawienie Hellsbane.

— Stój! — zawołała do Hellsbane.

Siwa klacz zrobiła jeszcze jeden niespokojny krok, ale usłuchała bez dalszych oznak buntu. Kero poklepała ją po prawej przedniej nodze i bojowa klacz, podniósłszy kopyto, podała je posłusznie Kero.

Kero wyciągnęła zza pasa hak do czyszczenia kopyt i starannie zaczęła wydłubywać z nich stwardniałe błoto. Dookoła leżało mnóstwo twardych kamieni i Kero nie miała ochoty okulawić konia. Shallan już straciła w ten sposób luzaka na zmianę.

— Doprawdy byłabym w stanie znienawidzić Menmellith — powiedziała.

Siwa klacz zastrzygła uchem, z wszelkimi oznakami inteligentnego zainteresowania.

— Rozumiem, dlaczego Jad pozwolił im oderwać się i zamienił ten rejon w protektorat. Nie ma tutaj niczego poza owcami, skałami i tępyimi pasterzami. Niczego, co warto byłoby zatrzymać dla siebie. Z całą pewnością. A tego, dlaczego Kars wciąż ponawia próby inwazji, nigdy nie pojmę. — Zamyśliła się na chwilę i dodała: — Chyba, że jest to jeszcze jeden dowód na to, jak szaleni są Karsyci.

Uporała się z prawym, przednim kopytem i zajęła się tylnym.

— Stój — powtórzyła, tym razem z nieco większym naciskiem, gdyż jakieś odgłosy z drugiego obozu spowodowały, że Hellsbane zaczęła wywracać oczami i narowić się. Kero wyprostowała plecy na chwilę dostatecznie długą, aby stwierdzić, co to za zamieszanie.

Mały zagajnik drągów maszerował w kierunku koni, które zaczynały nerwowo tupać kopytami wzdłuż całej linii.

„Błogosławiona Agniro — znowu włócznicy? Toż to Wilki Joffrey’a! Co za dureń posłał włóczników na musztrę w pobliże spętanych koni? Czyż nie wiedzą o tym, jak bardzo konie bojowe nienawidzą włóczni? W mgnieniu oka doprowadzi to do szaleństwa całe stado”. Właśnie szykowała się, aby przeciąwszy im drogę, przegonić ich, częstując potężną dawką przekleństw, kiedy ktoś ją w tym ubiegł.

— Stój, niech was diabli porwą! GodoŹech — na prawo marsz, a nie na cholerne lewo!

Front zamarł w miejscu. Sierżant włóczników, z twarzą czerwoną jak zachód słońca i nabrzmiałymi od gniewu żyłami na czole, obszedł od tyłu nieruchomą w tej chwili formację.

— Na cholerną dupę Jecreny — dudnił — myślita, że jesteście kupą pacholków łot pługą, a nie zawodowi żuźnierze?

Od tego momentu jego tyrada utonęła w szczegółach natury seksualnej i skatologicznej, opisujących zwyczaje podwładnych oraz ich przodków. Kero, słuchając w zdumionym podziwie, oparła się o bok Hellsbane. Język, którym posługiwał się sierżant, był plastyczny, oryginalny i całkiem zabawny. Przebywała z Piorunami Nieba już od ładnych paru lat, a nigdy jeszcze czegoś takiego nie słyszała.

„Powinam sobie to spisać” — pomyślała, przypatrując się, jak sierżant zmusza swoich ludzi do zawrócenia w prawidłowym kierunku. Kiedy włócznie wycelowały w odwrotną stronę, podziałało to uspokajająco na konie. „W naszym obozie nigdy czegoś takiego nie słyhać”.

Po części było to spowodowane tym, że harcownicy nie ćwiczyli w taki sam sposób, jak robili to frontowi włóźnicy. Brak było sierżantów, to po pierwsze.

Kero zajęła się ponownie kopytami Hellsbane. „Na wojnie wyczekiwanie przedłuża się w nieskończoność”. Tarma wielokrotnie to powtarzała. Wtedy Kero nigdy jej do końca nie uwierzyła. Teraz tak.

„No dobrze, mogłoby być gorzej” — pocieszała się. „Moglibyśmy prowadzić działania razem z regularną armią Rethwellanu. Wtedy każdy najemnik z kompanii, który ośmieliłby się wychynąć poza swoje obozowisko, częstowany byłby powłóczystym spojrzeniem.” Co, u licha, powoduje, że każdy poborowy pacholek, który nie odróżnia własnej głowy od odwrotnej strony, który nie ma pojęcia, co jest zawarte w trzech czwartych kodeksu, przeświadczony jest o swojej moralnej wyższości nad najemnikiem?”

Westchnęła. Nie warto było zaprzętać sobie tym głowy. Każdy najemnik, który się kiedykolwiek narodził, był nie dostosowany i przede wszystkim dlatego kończył jako najemnik. „Bogini świadkiem, że nie jestem wyjątkiem” — pomyślała ponuro. „Podczas mojej ostatniej wizyty w domu Dierna zachowywała się tak, jakbym chciała pożreć jej dziecko, a Lordan zdawał się sądzić, że planuje uprowadzenie chłopców, kradzież koni, owiec, a może nawet wszystko to naraz”. Za każdym razem, kiedy tam jechała, czuła się coraz bardziej obco i po ostatnich odwiedzinach zadecydowała, że nigdy już tam nie powróci.

„Jedyni, prawdziwi przyjaciele są tutaj” — pomyślała smutno, wydłubując odłamek skalny z lewego, tylnego kopyta Hellsbane. Bojowy rumak niespokojnie trzepnął ogonem, ale nie protestował. Kero stwierdziła kiedyś, że Hellsbane przypomina zachowaniem bardziej psa niż konia. Tarma tylko uśmiechnęła się i powiedziała zagadkowo:

— A jak myślisz, dlaczego nie pozwalamy ich hodować nikomu innemu, poza naszymi krewnymi?

Usłyszawszy to, Kero z nadejściem każdej wiosny miała się szczególnie na baczności. A potem stwierdziła, że jest to całkowicie zbyteczne. Bojowa klacz potrafiła świetnie zadbać sama o siebie, unikając niewczesnych zalotów. Najwy-

rażniej jeszcze nie narodził się ogier, który by sprostął jej wysokim wymaganiom.

Po oczyszczeniu kopyt klaczy Kero włączyła się chwilę wzdłuż szeregu splepanych koni, później ponownie zaplotła ogon siwej klaczy i przyjrzała się ćwiczeniom Wilków. Władanie tymi długimi włóczniami było znacznie trudniejsze, niż to się komukolwiek wydawało. Wziąwszy wszystko razem, poczuła wdzięczność za to, że jest w szeregach Piorunów Nieba.

Kompania Lerryna zaczęła od tego, do czego doszły Słoneczne Jastrzębie Idry: była wyłącznie kawaleryjskim oddziałem specjalistów. Do tej pory we wszystkich kampaniach, w których brała udział Kero, mieli pełne ręce roboty. Ich największym atutem była użyteczność, a także wielka ruchliwość. Każdy z Piorunów Nieba mógł zastąpić zwiadowcę, a kiedy nie brali udziału w bitwie, mogli służyć jako konny oddział posłańców. Nie tym razem jednak. Przynajmniej jak do tej pory.

Oczywiście wciąż odbywali zwiadowcze wycieczki po to jedynie, aby przekonać się, że nieprzyjaciel nie znalazł wyjścia z pułapki, lecz było to jedyne, co Piorunom Nieba przypominało ich pracę. Nieprzewidziane wakacje, o które nikt nie prosił, zaczęły wywierać niekorzystny wpływ na kompanię. „To dlatego jestem tutaj, a nie w obozie”. Zazwyczaj zmuszonych do bezczynności najemników interesowały trzy rzeczy: hazard, pijaństwo i seks. Kero była zbyt sprytna, aby dać się namówić na to pierwsze, zbyt ostrożna, by robić to drugie, a co do trzeciego. . .

„Jestem dziwną rybą w stawie pełnym przedziwnych ryb” — pomyślała z odrobiną smutku. „Pomiędzy mieczem a tym tak zwanym darem. . .”

Dar był głównym powodem, dla którego nie piła alkoholu: kiedy to robiła, jej starannie wypracowany system ochrony rozlatywał się i rozwiązywał się jej język. Jeden, jedyny raz pozwoliła sobie na to i wszyscy zebrani w tawernie żołnierze wytrzeźwieli ze strachu, słysząc rzeczy, które mówiła na ich temat. Jedyne misterne słówka pozwoliły jej następnego dnia przekonać ich, że się przesłyszeli. A więc teraz nie piła w ogóle; a przynajmniej nie w kompanii i nie po to, aby się upić, czym odróżniała się od większości pozostałych.

Paraliżował ją strach, co mogłoby się zdarzyć, gdyby inni kiedykolwiek dowiedzieli się prawdy. „Najemnicy skrywają zbyt wiele sekretów, aby darzyć szacunkiem kogokolwiek, kto grzebie w ich myślach. Nawet tego, komu ufają. Każdego z nas coś zmusiło do wybrania takiego, a nie innego trybu życia i większość nie życzy sobie, aby ujawniano, co to takiego było. Nawet ja. Gdyby dowiedziano się o tym moim „darze” nie wiedziałabym, co począć”.

No i miecz na dodatek, który wyróżniał ją jeszcze w inny sposób. Była wnuczką Kethry — to nie tajemnica — i jak do tej pory wyglądało na to, że wszyscy słyszeli pieśń o „pościgu Kerowyn”. Nie można było ukryć faktu, że miecz wciąż jest w jej posiadaniu. Nigdy się z nim nie rozstawała i nie odpasałaby go, nawet idąc z kimś do łóżka. No cóż, to nie całkiem tak było, lecz ona rzeczywiście przekonała się, że rozłąka może okazać się torturą.

Przed kilku laty nastał okres naprawdę kiepskiej pogody. Musieli przeprowiać

się przez wezbraną od powodzi rzekę i juczny koń Kero poszedł na dno. Zdarzyło się to, zanim postanowiła nosić miecz przy sobie przez cały czas; wtedy wydawało się jej, że bezpieczniej jest przytroczyć go do kulbaki. Ledwie dotarła do brzegu rzeki, kiedy poczuła ból naprężonej do ostateczności więzi dusz. Kompanijny Uzdrowiciel sądził, że jest to jakiś rodzaj uroku, dopóki pomiędzy obezwładniającymi spazmami nie wykrztusiła słów wyjaśnienia. Cała kompania wyruszyła, aby odszukać ten przeklęty przedmiot i przynieść go z powrotem. Odnaleźli go tuż przed zachodem słońca, lecz przez to stała się ich dłużnikiem, który z determinacją chce spłacić zaciągnięty dług. Poświęciwszy mnóstwo czasu na staranne rozważania przy udziale kompanijnego czarodzieja, znalazła sposób: przymusiła ostrze — kładąc wielki nacisk na to, jak wiele kobiet służy w szeregach Piorunów Nieba — do ochrony przed magicznymi zaklęciami pokaźnego obszaru dookoła niej. W rzeczywistości, jej osoba chroniona była na obszarze większym, niż mógłby to zapewnić mag kompanii, co czyniło z niej bardzo popularną postać, gdy zaczynały błyskać magiczne pioruny.

Myśląc o tym, poklepała rękojęć miecza tak, jak zwykła poklepywać po karku Hellsbane. „Teraz zmusiłam cię do współpracy, mój panie. A nawet jesteś jeszcze bardziej pożyteczny niż byłeś dla Kethry. Słyszałam niejednego Pioruna Nieba mówiącego, że ufa bardziej tobie niż naszemu magowi”.

Wydawało jej się, że na dnie mózgu rozległ się jakby senny pomruk zadowolenia, lecz był on bardzo słaby. Nigdy nie domyśliła się, jak dużą czy też jak małą inteligencją dysponuje miecz; ani ile rozumie lub słyszy z tego, co ona do niego mówi. Cichutkie szepty, sporadyczne, niewyraźne pomruki jakby gadającego przez sen człowieka były wszystkim, co przypominało próbę porozumienia.

Wielu spośród Piorunów Nieba nieco obawiało się ostrza; odnosili się z szacunkiem do niego i jego potęgi. Tak więc wyróżniała ją i to. Do tego wszystkiego dochodziła sprawa seksu. . .

„Nigdy nie rób tego w łonie własnej kompanii. Zbyt wielkie to źródło możliwych trosk. Musisz żyć pomiędzy tymi ludźmi”.

W kompanii żyły ze sobą pary. Niektórym wiodło się znakomicie, lecz innym się to nie udawało, a wtedy niesmak obejmował i pozostałych. „Podczas kampanii coś takiego może narazić ludzi na śmierć”.

Tarma także ją przed tym ostrzegała i miała całkowitą rację. „Nie sypia się z nikim spośród kompanii” — powiedziała. „Oni są twoją rodziną, a z własnymi siostrami i braćmi nie idzie się przecież do łóżka” — dorzuciła po namyśle.

Mądra rada; tyle, że jej wynikiem było wielkie osamotnienie Kero oraz to, że w sytuacjach takich jak ta — na biwaku odległym o wiele stajañ od domu — nie bardzo miała co ze sobą zrobić.

„Wszystkie narzędzia do obróbki szlachetnych kamieni pozostały na kwatery zimowej; nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że będę ich teraz potrzebować. Przypuszczam, że mogłabym odnaleźć Uzdrowicielkę i nakłonić ją, aby nauczyła

mnie splatania bransoletek na kostki u nóg” — pomyślała, przeczesując palcami sierść Hellsbane. „Albo przystrzyc grzywę klaczy. Albo obłożyć kataplazmem potłuczonego luzaka Shallan. Albo poszukać płaskich, rzecznych kamyków i wybrać dla kogoś jeszcze jeden komplet do gry. Skoro już przyszło mi to do głowy, to Shallan chciała mieć taki komplet”.

Jakby wezwana jej myślami, Shallan podeszła wolnym krokiem do linii splepanych koni, niosąc zgrzebła w jednej i hak do czyszczenia kopyt w drugiej ręce. Jej jasne włosy lśniły na słońcu jak posrebrzana czasza.

— Co słysząc? — zagadnęła ją Kero. — Coś nowego?

— Chodzą słuchy, że mamy brać jeńców — odpowiedziała Shallan, rzucając Kero jedno zgrzebło. — Jak wieść niesie, istnieją dosyć mocne poszlaki, że ci synowie ładacznicy są regularnym wojskiem z Karsu, tyle że to nic pewnego. Lerryn chce to udowodnić, a pozostali kapitanowie zgadzają się z nim.

— A więc bierzemy jeńców? — zapytała Kero. — To oznacza, że potem kogoś zmusimy do mówienia.

— W kontrakcie napisano, że są to bandyci — nadmieniła Shallan z krwiożerczym uśmiechem. — Kars również twierdzi, że oni są bandytami. Bandyci nie są objęci kodeksem, co jest równoznaczne z faktem, że gdy wpadną w nasze ręce, zmusimy ich do mówienia.

— A jeśli okaże się, że są regularnym wojskiem Karsu? — nie ustępowała Kero.

Shallan wzruszyła ramionami. Skóra jej czarnej, obcisłej tuniki poruszyła się w takt ruchu ramion.

— Pięć lat temu „bandyci” wymordowali wszystkich, co do jednego, z kompanii Zęba Feldara po ich poddaniu się. Trzy lata temu pół tuzina mężczyzn od Doomsleyerów — prawdziwych jeńców wojennych, czekających na wykupienie przez Gildię — było torturowanych przez kapłanów z Karsu. To, co potem udało się wykupić, przypominało strączek bezmózgich fasolek. Dwa lata temu, kolejna grupa tych „bandytów” zdobyła zimowe kwatery Hootersów i do nogi wybiła ludność cywilną, podczas gdy sami Hootersowie wyruszyli tłumić rebelię w Ruvanie i nawet się do granic Karsu nie zbliżyli. — Głos Shallan zdradzał gniew, którego nie dałoby się wyczytać ani z jej postawy, ani też z twarzy. — Za każdym razem, gdy Gildia nakłada olbrzymią grzywnę, Kars po prostu ją płaci, nie pisnąwszy słówkiem — zwyczajnie płaci i już.

Kero zmarszczyła brwi, otrzepując dłonie o swoje brązowe, skórzane spodnie.

— To dziwne.

— Dziwne? O wielcy bogowie! Toż to jest policzek wymierzony w naszą twarz! To tak, jakby głosili, że jesteśmy podłym, występny robactwem i że chcą, aby wszyscy o tym wiedzieli. — Zniżyła głos, więc Kero musiała bardziej pochylić się w jej stronę, aby słyszeć. — Widzisz, Kero, ja wiem, że jestem od ciebie o rok młodsza, lecz jestem w tym zawodzie od czternastego roku życia. Moja mat-

ka była w Słonecznych Jastrzębiach. Diabelnie dużo widziałam, w większości nie było to zbyt piękne z cywilizacyjnego punktu widzenia i naprawdę nie spędza mi to snu z powiek. To jest mój zawód, rozumiesz, i nie podniecam się tym zanadto, ale powiem ci od razu: za to, co Karsyci wyrządzają moim przyjaciółom i przyjaciółom przyjaciół, zabijałabym ich za darmo i potem tańczyła na ich grobach.

Kero wiedziała, jak nieustępliwa jest Shallan, chociaż była od niej niższa o głowę i tak krucha, że zdawało się, iż wiatr może ją porwać. Pozory były to z gruntu fałszywe: Shallan okazała się nie do zdarcia tak samo jak czarna skóra, którą nosiła na grzbiecie. Przez cały okres swojego pobytu w szeregach Piorunów Nieba Kero nigdy nie widziała przestraszonej Shallan. Teraz jednakże najemniczka bała się. Obawiała się Karsytów i wszystkie jej buńczuczne słowa o „zabijaniu ich za darmo i tańczeniu na grobach” nie mogły tego ukryć.

Na krótką chwilę Kero poczuła się złapana w pułapkę intensywnie niebieskich oczu Shallan. A potem uwolniła się od tego hipnotycznego spojrzenia, w czym pomogło jej niecierpliwe tupanie kopyt Hellsbane.

— Słyszałam o braniu jeńców — powiedziała cicho, wracając do czyszczenia sierści siwej klaczy. — Im więcej dochodzi do mnie wieści o Karsytach, tym mniejszą mam ochotę spotkać się z nimi. Niemal odnoszę wrażenie, że jeśli będę postępować tak jak oni, upodobnie się do nich. Jednak skoro Lerryn chce jeńców — no cóż, to jest rozkaz. Nieprawdaż?

— Tak jest — zgodziła się Shallan.

Kero nie podobał się ton jej głosu.

„Najmilsi bogowie, mówi tak, jakby rozpiekało ją szczęście, że idzie jako ochotnik do oddziału, który będzie „nakłaniał” jeńców „do rozmowy” — o ile kogoś złapiemy. Teraz, gdy o tym pomyślę, widzę, że nie tylko ona jedna wyraża się w ten sposób o tych, tak zwanych, bandytach i w ogóle o Karsytach”.

Poczuła lekkie mdłości. Mimo tego, że byli nieprzyjaciółmi, pomimo wszystkich zbrodni, jakich się dopuścili, nie mogła sobie wyobrazić siebie odpłacającej innym tą samą monetą. Zabić ich — i owszem, ale czysto. Nie mogła pogodzić się z postawą Shallan. „Jakże są w tej sprawie mściwi. Wszyscy. Być może jedynie ja się wyróżniam. Ukochany Shallan stracił siostrę w jakiejś potyczce. Pośród Piorunów Nieba są inni, którzy w ciągu minionych pięciu lat utracili przyjaciół i członków rodzin. Być może Karsyci nie budzą we mnie takiej mściwości, bo ja — widocznie — nie czuję się przywiązana do nikogo, nawet do własnych krewnych”.

Pochyliła się nad zgrzeblem, rozważając wszystkie wypadki, które zaprowadziły ją na drogę tej kariery, próbując przypomnieć sobie, co właściwie czuła, widząc rannego brata i martwego ojca.

„Tylko... odpowiedzialność. O ile mogę sobie przypomnieć, wszystko, co naprawdę czułam, sprowadzało się do tego, że ktoś musi zająć się tym bałaganem i że tylko ja mogę to zrobić. Najmilsi bogowie, co ze mną jest? Dlaczego jestem

taka zimna? Być może jest tak dlatego, że nikt nigdy nie był mi bliski — z wyjątkiem matki”.

Lecz i to nie wydawało się normalne. W innych ludziach uczucie nieustannie budzi się i zamiera, jednak w jej przypadku zdawało się, iż angażuje się tylko ciało i od czasu do czasu mózg.

„Pierwsza miłość powinna być czymś wyjątkowym, ale w przypadku Darena w grę wchodzi chyba tylko przyjaźń i nic innego — no dobrze — chwilowe żądze”.

Obrzuciła spojrzeniem Shalla, tak by ona tego nie widziała. Jej towarzyska miała skłonności — i często jej się to przydarzało — do wpadania w pasję przy byle wyzwaniu, gdy w grę wchodziły ludzie i racje. To najczęściej wpędzało ją w tarapaty, lecz Shalla nie miała zamiaru się zmieniać, utrzymując, że lepiej jest żyć pełnią życia i intensywnie.

Kero była jej zupełnym przeciwieństwem. Po spięciach z Darenem nigdy już z nikim nie kłóciła się naprawdę. Oszczędzała swój gniew i siły na pola bitewne, a poza nimi rozważała wszystko dokładnie, przygotowywała się na każdą okoliczność, a potem, chłodna i pewna siebie, zmierzała prosto do celu.

„Czasami, dążąc do tego, czego chcę, jestem tak skoncentrowana, że samą mnie to przeraża” — pomyślała, przypatrując się Shalla, czyszczącej swojego konia tak, jakby szcztokując każdą plamkę kurzu, mogła zetrzeć Karsytów z powierzchni ziemi. „Nie chciałabym wiedzieć, co inni o mnie myślą”.

To była nieprzyjemna refleksja i mało prawdopodobne, aby mogła poprawić jej samopoczucie. Była zadowolona, kiedy rozległ się okrzyk od strony obozu. Patrzyła ponad grzbietem Hellsbane na wzywającego ich Tre. Nawet z dużej odległości wyróżniał się swoją wypłowiałą, szkarłatną koszulą. Wychodząc na zwiad, nigdy jej nie zakładał, lecz nieodmiennie się w nią przebierał, ledwie postawiwszy stopę w obozie.

— Kero! Shal! Do obozu, tylko szybko! Wiec!

Machnięciem ręki dała znać, że usłyszały, i odrzuciła zgrzebło do Shalla. Młodsza kobieta złapała je zręcznie. Obydwie zanurkowały pod sznurem otaczającym konie i truchtem pobiegły do namiotu-kantyny.

— Ciekawa jestem, o co tu chodzi? — odezwała się Shalla, mknąc z łatwością, która przypominała Kero leniwe susy Warrla. W jej oczach błyszczał zapal, w którym, zdaniem Kero, tliła się iskierka bitewnego szaleństwa. — Może zdecydowali się ruszyć, abyśmy mogli z tym skończyć!

W tym momencie dołączyły do rosnącego tłumu i dzięki temu Kero nie musiała odpowiadać. Większość Piorunów Nieba już się zebrała. Przecisnęły się z boku; ranga zezwalała Kero na zajęcie miejsca w pobliżu kapitana.

Lerryn Twoblades nie wyglądał na wielkiego wojownika. Ubrany był w tak samo zniszczone skóry, jak każdy członek jego kompanii. Pozwolił sobie jedynie na wpięcie okrągłej szpili z rżniętego srebra, przedstawiającej dwa przecięte

błyskawicą miecze, wykonanej dla niego przez Kero. Szczupły, niezbyt wysoki i w tej chwili odprężony, także nie sprawiał imponującego wrażenia. Jednak kiedy powstał, aby przemówić, natychmiast stało się widoczne, że jest to człowiek ze stali, a z leniwej gracji jego ruchów ktoś obeznany z walką wręcz mógł mnóstwo wyczytać. Jego przejrzystym, brązowym oczom nie uchodziło nic; wymuskane włosy osłaniały czaszkę, kryjącą przerażającą inteligencję. W całym obozie nie było konia, którego by nie umiał dosiąść, włącznie z Hellsbane, co diablo wystraszyło Kero oraz jej wierzchowca. Wystarczyło, że wypowiedział trzy słowa. Nie było zatem tajemnicą, dlaczego Pioruny Nieba były fanatycznie oddane swojemu kapitanowi.

Powoli ogarnął spojrzeniem zebranych ludzi, wszelkie pomruki zamarły. Gdy zapanowała bezwzględna cisza, zaczął przemawiać spokojnym, lecz donośnym głosem.

— Głosowaliśmy i zadecydowaliśmy, by nastąpić — powiedział. — Inaczej pozwolimy, aby przez tych synów ładacznicy nasze wojska tutaj marniały, podczas gdy inne bandy, których nie zapędziliśmy w koziego róg, mogą przekradać się przez granicę.

Zerwały się wiwaty. Wtedy podniósł dłoń, prosząc o ciszę, i to życzenie zostało spełnione; było to coś, co zawsze wywierało wrażenie na Kero.

— Pioruny Nieba nie będą walczyć — stwierdził mocno — i nie zgodzę się na żadnych tymczasowych ochotników do innych kompanii. To rozkaz!

„O Agnir, teraz zerwą się protesty, to pewne”. I tak się istotnie stało. Rozpętała się prawdziwa burza. Ludzie zaczęli krzyżeć, wymachiwać rękami dla zwrócenia na siebie uwagi, słowem: zachowywali się jak tłum niesfornych dzieci. Lerryn pozwolił zapaleńcom po prostu się wyszumieć, a potem jeszcze raz wznosił dłoń.

— To nie jest nasz rodzaj walki — powiedział; jego wzrok prześlizgiwał się od twarzy do twarzy, tak że w końcu każdy skłonny byłby przysiąc, że kapitan mówił wprost do niego. — Nie mamy odpowiedniego treningu — nikt z nas — w tego rodzaju walce frontowej, która się tam odbędzie. Przeważnie jesteśmy małymi bękartami drobnej budowy — ciągnął z ponurym uśmiechem, siebie też w to wliczając. — Nie moglibyśmy położyć olbrzyma w walce ramię w ramię, skoro nasza kariera została oparta na treningu szybkości i zwinności. Nie moglibyśmy wykorzystać naszych krótkich mieczy i łuków, a te małe, okrągłe tarcze byłyby diablo nieprzydatne przeciw maczugom i toporom. Niczego nie osiągniemy, walcząc pieszko przeciw ciężkiej piechocie. Jeśli uczciwie to rozważycie, zgodzicie się ze mną.

Ponownie rozległy się pomrukiwania. Było nieco namiętnego potrząsania głowami, ale niezbyt wiele. Słowa Lerryna dotarły nawet do najbardziej zuchwałych. Kapitan rozłożył ręce w geście, który oznaczał: „Słuchajcie, nie podoba mi się to tak samo, jak i wam, ale wszyscy potrafimy zrozumieć fakty, kiedy je widzimy”.

— Wykonaliśmy nasze zadanie — ciągnął dalej. — Nikt nie może nas winić. To my ich wytropiliśmy, to my w pierwszym rzędzie zapędziliśmy ich do tej pułapki. Teraz nadeszła pora, aby inni zabrali się do pracy, a my musimy usunąć się z drogi, aby mogli to zrobić bez przeszkód. Hmm? — Lekko przekrzywił głowę na bok; ponownie rozległ się pomruk — należało się spodziewać, że była w to zamieszana Shalan — lecz szybko zmarł. — Nie sądzicie, że odchodzimy, ot, tak sobie — powiedział. — Przydzielam połowę z was do straży tylnej, aby się upewnić, że nikt się nie wymknie. Gdyby wyrwali się z pułapki, będziecie walczyć. Straż tylna jest równie ważna, jak pierwsza linia. Co więcej, to jest pozycja, gdzie może przytrafić się okazja schwywania języka. Nie chcemy, aby ktokolwiek się stąd wymknął z wieścią — dokądkolwiek.

„Taktownie nie mówi tego, o czym wszyscy myślą”. Wargi Kero zadrgały w uśmiechu. „My możemy o tym mówić, lecz on nie, ponieważ jest kapitanem. Nie może, dopóki nie będzie dowiedzione, że „dokądkolwiek” oznacza Kars i że jeśli ktokolwiek przedrze się z wieścią o tym, Karsyci mogą przysłać większe siły, zanim będziemy gotowi”.

Raz jeszcze Lerryn obrzucił ich spojrzeniem. Lekki wiatr zwiewał jego długie włosy z twarzy.

— Pozostali zwiną obóz i przygotowują się do natychmiastowego marszu. Spakujcie rzeczy swoich przyjaciół, którzy wyruszyli na patrol. Kiedy oblężenie zostanie przerwane, powrócimy w bezpieczne strony tak szybko, jak to tylko możliwe.

„Znowu nie mówi, czego nie może powiedzieć — spodziewa się schwywania jeńców. A ja założę się o następną premię, że obiecano mu, iż to my dostaniemy ich pod opiekę. Jesteśmy najszybsi i jeśli uda nam się doprowadzić więźniów do bezpiecznego aresztu, zdołamy zmusić ich do śpiewania jak skowronki, zanim Karsyci się dowiedzą, że wpadli w nasze ręce. Jestem pewna, że bezpiecznym aresztem okaże się Abevell. Miasto zostało właściwie wyciosane na górskim zboczu”.

Lerryn czekał na dalsze komentarze, ale Pioruny Nieba znały swojego przywódcę i wiedziały, że jego postanowienia są ostateczne. Później, znalazłszy się pod ochroną przyjaznych murów, wszyscy dowiedzą się, dlaczego taka decyzja została podjęta. Do tego czasu skłonni byli przyjąć na wiarę istnienie jakiś ukrytych powodów.

— Rozejść się — powiedział i zanim się rozproszyli, wskazał palcem na tuzin dowódców zwiadowców.

Wybrani weszli za nim do namiotu. Przez moment reszta kręciła się niespokojnie dookoła, lecz po chwili zaczęto dwójkami i trójkami odchodzić w stronę obozu, aby rozpocząć jego likwidację.

Kero nie było między wybranymi i nie spodziewała się tego. Jej oddział odbył już zwiad — tego rana, a Lerryn nie należał do kapitanów obarczających kogoś

podwójnym obowiązkiem, nie będąc do tego zmuszonym. Poczwała ulgę, zarówno z tego powodu, że Pioruny Nieba nie będą brały udziału w bitwie, jak i tego, że nie została członkiem sfory pościgowej.

„Tego byłoby za wiele” — doszła do wniosku. Dyplomatycznie odpowiadała Shallan, kiedy wracały do swoich kwater pomiędzy rzędami równo ustawionych namiotów. „Pościg konny za ludźmi, jak za królikami — a niech to ognie piekielne — nawet królików konno nie ścigam! Po prostu jestem szczęśliwa, że nie muszę brać w tym udziału. Myślę, że i kapitan się tego także domyślił. Popatrzył na mnie w ten swój sposób, nie sądzę, aby i jemu się to podobało”.

Namiot Shallan stał najbliżej i blondynka zanurkowała do niego, lamentując:

— ... takie to już moje szczęście. Relli jest u Hagena, co oznacza, że ona tam będzie, a mnie przypadło pakowanie jej betów!

Rzeczywiście namiot był pusty i Shallan rzuciła się na rzeczy swojej partnerki z posępną determinacją. Kero ulotniła się, zanim została nakłoniona do pomocy, nie miała zamiaru odpowiadać za każdą najmniejszą zmarszczkę na tunice. Relli była czymś w rodzaju wieszaka na ubranie.

Namiot Kero był tej samej wielkości co namiot Shallan, ale sprawiał wrażenie większego, gdyż miała go wyłącznie dla siebie. Właściwie namioty były czterosobowe, lecz pomieściłyby tylu ludzi wtedy, gdyby poupychać ich jak kłody i gdyby każdy miał tylko jeden plecak z dobytkiem. Dwóm osobom było wygodnie, jednej — doskonale; przynajmniej jeśli chodziło o Kero. Lerryn nie zaprzętał sobie głowy wypoczynkiem swoich żołnierzy, dopóki każdemu przypadał w udziale własny skrawek płótna nad głową. Gdyby przyjęli kogoś bez własnego namiotu i gdyby wyczerpały się zapasy kompanii, Kero otrzymałaby rozkaz, aby się z tym kimś podzielić, lecz jak do tej pory, mogła nacieszyć się odosobnieniem.

Czuła zadowolenie, pakując wprawnie swoje rzeczy. Zaczęła zwiajać posłanie. Bandyci w potrzasku zostaną zmasakrowani. Wiedziała, jak żelazna logika się za tym kryje. Nie podobało jej się to. Gdyby mieszkała z kimś, musiałaby o tym rozmawiać, a na to nie miała ochoty. „Im szybciej strąsnę kurz tego miejsca z kopyt Hellsbane, tym lepiej. . .”

Nagle usłyszała coś na peryferiach obozu: pomieszane okrzyki, zbyt odległe, aby rozróżnić słowa, lecz wystarczająco bliskie, by nie pomylić się co do tonu. Wydarzyło się coś złego, coś bardzo złego.

Zaledwie po raz drugi od czasu przyłączenia się do Piorunów Nieba rozchyliła zasłony otaczające jej myśli, starając się wyłowić spójny obraz pośród myślowego zgiełku — szukając osoby, która wiedziałaby, co się dzieje.

Lerryn.

Odnalazła go przy spętanych koniach, dowodzącego nadjeżdżającymi galopem w panice zwiadowcami, podczas gdy obok niego kompanijny mag wysyłał alarmowy sygnał „na zbiórkę”. Myśli kapitana były jasne i zorganizowane, chłodne i spokojne, takie same jak jej, gdyby znalazła się na jego miejscu. Tyle tylko,

że to, co w nich wyczytała, wpędziłoby każdego innego w taką panikę, jaką okazywała reszta obozu.

Przypuszczenia okazały się prawdziwe — to nie byli „bandyci”, to było regularne wojsko Karsytów. W jakiś sposób, osaczeni „bandyci” przesłali wiadomość o swojej pozycji przez granicę i Kars wysłał żołnierzy, aby zaszli kompanie od tyłu i wzięli je w kleszcze. Szansę były — zależnie od tego, komu Lerryn to mówił — dwa albo trzy do jednego na korzyść Karsytów.

Kero wycofała się z mózgu Lerryna tak samo niezauważalnie, jak się tam wśliznęła, ciesząc się teraz, że nie uległa pokusie i zabrała ze sobą tylko to, co Hellsbane mogła z łatwością unieść na grzbiecie. Namiot trzeba będzie oczywiście porzucić. Nie było sensu wychodzić w pole i walczyć. Jedynym sposobem poradzenia sobie z pułapką, zanim wszyscy się w niej znajdą, była ucieczka.

Od tej chwili każdy kapitan troszczył się tylko o swoich ludzi; był to najsłabszy punkt oddziałów najemnych. Kero nie mogła nie litować się nad losem ciężkiej piechoty, Wilkami. Nie było nikogo, kto mógłby udzielić im wsparcia i nękać napastników. Nie miała pojęcia, jak się z tego wywiną.

„Z drugiej strony — pomyślała w poczuciu winy — ja także nie mam ochoty osłaniać ich odwrotu”.

Wyskoczyła z namiotu, niosąc na grzbiecie i w rękach wszystko, czego potrzebowała ze swego dobytku, aby przetrwać oraz — dodatkowy tobołek z racjami żywnościowymi dla siebie i konia. Nic, czego nie mogłaby unieść Hellsbane. Resztę Kero porzuciła bez wahania.

Nie wszyscy byli tak rozsądni. Wraz z Shallan musiały siłą oderwać Relli od jej garderoby i zaciągnąć ją do spętanych koni. W drugim obozie Wilki już wyruszyły w drogę, wylewając się „tylną drogą” najszybciej, jak potrafiły. Ze wszystkich kompanii Pioruny Nieba miały największe szansę wydostać się cało z opresji. Każdy z nich dosiadał lekkiego, zwinnego wierzchowca i znajdowali się w górzystym terenie z mnóstwem możliwych kryjówek. Jednak oznaczało to, że przetrwa kompania; ocalenie pojedynczych ludzi było jak zwykle problematyczne.

Shallan i Relli przybyły niemal na szarym końcu. Relli rzuciła okiem na posępne oblicze Lerryna i powstrzymała się od lamentów. Cała trójka bez słowa odebrała z rąk kwatermistrza tobołki z racjami, przytroczyła je z tyłu siodła i dosiadła wierzchowców. Lerryn zaczął na ostatniego marudera, zanim ten dosiadł swojego konia — kościstego rumaka, o dłoń przewyższającego wszystkie zwierzęta w kompanii, który znany był z tego, że potrafi zrzucić każdego jeźdźcę, prócz Lerryna, nim serce zdąży uderzyć dziesięć razy.

— Ludzie, jesteśmy w tarapatkach — odezwał się kapitan bez wstępów. — Karsyci zablokowali główny szlak, tylna droga jest pełna piechoty, a pozostałe cztery ścieżki są pod obserwacją. Zaczekamy do powrotu ostatnich zwiadowców, aby piechota zyskała na czasie. Zdaje się, że wpadliśmy w potrzask. Co na to powiecie?

— Ruszajmy na wschód, do Karsu — zaproponował Gies. — Nie będą się tego spodziewać. Odkryliśmy ścieżynę dla zwierząt za skalnym grzbietem na północno-wschodnim krańcu doliny. Nigdy nie zadaliśmy sobie trudu, aby tamtędy jeździć, bo to diabelnie trudna wspinaczka.

— Jedziemy! — natychmiast powiedział Lerryn. — Gies!

Zwiadowca stanął na czele, inni ustawili się za nim w luźnym szyku. Kiedy ostatni z Wilków zniknął na ścieżce wydeptanej przez dziką zwierzynę, Kero posłała życzenia szczęścia w stronę ich oddalających się pleców.

Będzie im wszystkim bardzo potrzebne.

Dwunasty

Na ścieżce wydeptanej przez dziką zwierzynę byli obserwatorzy, nie tak wielu jak na innych drogach, ale dostatecznie dużo. Gies myślał, że wskazał ich wszystkich i Lerryn wysłał kilku Piorunów Nieba, aby się nimi zajęli, lecz albo Gies kogoś przeoczył, albo któremuś udało się wyśliznąć, dość, że jeden wymknął się z pułapki. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie wydostali się z doliny, kierując się w stronę jednej z dróg, która miała ich zawieść w bezpieczne miejsce. To wtedy odkryli, że Karsyci także mają w swych szeregach konnych harcówników, którzy jednak posiadali więcej łuków, szybsze konie i co najważniejsze — byli liczniejsi.

Ucieczka zamieniła się w klęskę, walkę, ucieczkę i znowu walkę. Jakoś zdołali utrzymać się razem; w desperacji odkryli w sobie szybkość i spryt, o który siebie nie podejrzewali. Udało im się wprowadzić w błąd napastników i zostawić ich za plecami. W ten sposób zyskali na czasie, by dokonać przegrupowania. Ile sił w nogach ruszyli na północ, zdążając korytem strumienia, zatarli trop — przynajmniej na jakiś czas. O zachodzie słońca Lerryn rozdzielił siły. Osobiście stanął na czele jednej części, jego zastępca objął komendę nad drugą. Shallan i Relli odjechały z kapitanem, a Kero pozostała z zastępcą Icolanem Ar Perdinem, zaszepionym małym człowieczkiem, który przeżył więcej klęsk, niż Kero mogła zliczyć. Oddział Lerryna odjechał na południe. Icolan ponownie poprowadził swoją grupę na północ, zbaczając później nieco na wschód.

Mieli nadzieję wprowadzić w błąd ścigających, co dałoby obydwu oddziałom czas na dotarcie w bezpieczne miejsce. Ale pech prześladował grupę Icolana: Karsyci, znalazłszy rozwidlony trop, szybko dokonali wyboru i zdecydowali się ścigać jego oddział.

„Pech albo klątwa” — pomyślała Kero, prowadząc w ciemnościach Hellsbane za lejce, co rusz potykając się to o kamień, to o korzenie. Niektórzy z pozostałych już zaczęli szemrać o tym samym, bo zdawać by się mogło, że Karsyci w jakiś niesamowity sposób odnaleźli ich ślady po tym, jak się rozłączyli. Cokolwiek zrobili, bez względu na to, jak starannie zacierali ślady, gdy przystanęli nawet na chwilę, aby wypocząć, zwiadowca wysyłany na tyły zawsze wracał z niepomysłną wiadomością, że wciąż są ścigani.

Luźno trzymała lejce. Uszy i nos Hellsbane były nieskończenie doskonalsze od jej własnych; Hellsbane dwa razy ostrzegła ich przed pogonią, zanim zdążyła tego dokonać Kero.

„Chyba, że opuszczę zasłonę i poszukam ich myślą. Nie. Boję się. Co by się stało, gdyby między nimi był ktoś silniejszy ode mnie?”

Warrl ostrzegł ją o niebezpieczeństwie spotkania kogoś nieprzyjaznego, obdarzonego znacznie potężniejszym darem czytania myśli. Ktoś taki mógłby zawładnąć Kero, słyszeć jej uszami, widzieć jej oczami.

„Dla dobra nas wszystkich nie mogę ryzykować” — zdecydowała. „Dopóki nic nie przebije mojej zasłony, jestem bezpieczna. Jeśli to zrobię — mogę wystawić na ryzyko nie tylko siebie. Mogę zgubić całą grupę”.

Tego nigdy by nie zaryzykowała; bez względu na to, jak kuszące wydawało się wykorzystanie jej talentów do zbadania tych, którzy szli ich tropem.

Wrodzony, czuły słuch i węch Hellsbane były powodem, dla którego to właśnie one zamykały kawalkadę, gotowe wszcząć alarm w przypadku, gdyby Karsyci ponownie ich odnaleźli.

Może ciążyła na nich klątwa, a może była to sprawka Pana Słońca, Vkandisa, boga Karsytów. Kero była niemal pewna, że dostrzegła w szeregach „bandytów” kapłańskie mundury, jednak nie miała na to żadnych dowodów. Zameldowała o swoich podejrzeniach, ale Lerryn tylko wzruszył ramionami. Nigdy nie miał do czynienia z żadnym bóstwem — przyjaznym lub nie — a więc skłonny był po wątpiewać w potęgę kapłanów. Lecz Kero miała przeczucie, że to właśnie kapłani Pana Słońca przesłali do Karsu wiadomość o oblężeniu i że nie dokonali tego bynajmniej fizyczni posłańcy, gdyż Kero miała wszelkie podstawy, by sądzić, że istnieją inne sposoby porozumiewania się.

Właściwie dotarli tuż nad granicę Karsu. Na Równinach Dhorisha Kero słyszała od Tarmy o opiece, jaką bóstwo otaczało swój lud i o sposobie działania, jeśli — dla kaprysu — chciało uprzedzić swoich kapłanów o tym, gdzie są ich zaprzysięgli wrogowie. . . No cóż, z pewnością nie byłoby w tym nic niesłychanego.

Istniało inne, jeszcze bardziej tajemnicze wyjaśnienie. Religia Pana Słońca zakazywała magii. Lecz zdolności magiczne były zarówno wrodzonym darem, jak i rezultatem nauki. A więc, co działo się z magami urodzonymi w granicach Karsu?

Kero żywiła pewne podejrzenia od czasu, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się o tym zakazie. Magowie z wrodzonym darem oczywiście lądowali w stanie kapłańskim. Kapłani Pana Słońca z łatwością mogliby twierdzić, że ich magia jest cudem zesłanym przez boga i nikt nie byłby od tego mądrzejszy. Mogły istnieć jeszcze i inne przyczyny faktu, że ich ścigano. Tropem mógł podążać mag, a skoro ich mag opiekuńczy, Tarres, został z oddziałem Piorunów Lerryna, nie trzeba było zbyt długo łamać sobie głowy, aby domyślić się, kto będzie ścigany. Oddział nie posiadający w szeregach maga jest znacznie łatwiejszy do wytropie-

nia, zwłaszcza że Tarres na pewno odczytał swe ziemskie zaklęcia, by ukryć swoich najemników przed czarownikiem. Kero próbowała dogadać się ze swoim mieczem, aby zmusić przeklęty przedmiot do magicznego ukrycia ich śladów, ale był głuchy jak zwykły kawałek żelaza.

Ścieżka doprowadziła ich na polanę. Nad ich głowami raptownie rozbłysły gwiazdy w miejscu, gdzie do tej pory zwisały się splątane konary drzew. Do uszu Kero dobiegły odgłosy mnóstwa kopyt końskich i pojedyncze szepty. Domyśliła się, że Icolan postanowił zarządzić postój.

— O co chodzi? — wyszeptała, gdy tylko znalazła się niedaleko najbliższej ciemnej sylwetki.

— Narada — sylwetka odparła szeptem, osłaniając dłonią końskie nozdrza, aby zwierzę zachowało spokój.

Nie jest to zatem odpoczynek. Spotkało ją rozczarowanie, lecz raczej nie było to dla niej niespodzianką. Kero zawróciła Hellsbane, kierując ją łbem w stronę, skąd przybyli, wykorzystując wyjątkowe zmysły klaczy do pilnowania całej grupy.

— Pilnuj — szepnęła siwej do ucha i, przerzuciwszy sobie lejce przez ramię, pozostawiła jej stosunkowo dużo swobody.

Podczas, gdy klacz nasłuchiwała i węszyła czujnie, Kero zdjęła z łęku siodła bukłak z wodą i upiła łyk, o którym od tak dawna marzyła. Żołądek ścisnął się jej z napięcia i strachu tak, że jedzenie nawet nie przyszło jej na myśl, lecz niektórzy z pozostałych wykorzystali krótki popas na przełknięcie kęsa lub podrzucenie garści ziarna wierzchowcom.

Na koniec wieść zatoczyła koło:

— Ścieżka rozwidła się. Rozdzielimy się po raz wtóry.

Kero westchnęła. To było logiczne posunięcie, lecz nie wprawiło jej w zachwyty. Oznaczało bowiem, że wyruszą nocą. Uspokajająco poklepała Hellsbane po szyi; klaczy nie spodoba się to także.

Rozdzielali się dwa razy podczas tej okrutnej, na ślepo prowadzonej podróży i kiedy pierwsze, poranne promienie światła pojawiły się nad szczytami pagórków oraz przedarły się przez gęste korony drzew, w grupie Kero pozostało nie więcej niż dwudziestu jeźdźców. Nie można powiedzieć, aby byli jej dobrze znani. Wyjątek stanowił przywódca, naczelnik wszystkich zwiadowców, biała kobieta imieniem Lyr.

Na znak Lyr dosiadła konia wraz z innymi. Utworzyli dookoła niej grupę.

— Wiem, że wszyscy jesteście zmęczeni — odezwała się Lyr matowym głosem. — Jednak ktoś wciąż podąża naszym tropem. Mam zamiar czegoś spróbować: możliwe, że ci za nami stracili w ciemnościach orientację, kto kogo tropi i jeśli przystaniecie na mój plan, to zamierzam ruszyć wprost przez granicę do Karsu.

Mężczyzna z prawej strony Kero — wojownik zaprawiony w bojach, odziany

w zniszczone skóry — zakaszłał, jakby tłumiąc okrzyk zachwytu czy też protestu. Na moment Lyr zatrzymała na nim swoje pozbawione wyrazu oczy.

— Wiem, o czym myślisz, Tobe — powiedziała bez najmniejszej oznaki żalu. — Uważasz, że jestem szalona. Nie powiem, że cię obwiniam. Oto, co myślę: jeśli ruszymy otwarcie na drugą stronę granicy i przestaniemy zacierać za sobą ślady, być może oni pomyślą, że w ciemności pomylili się i podążają za jednym ze swoich oddziałów. Tutaj granica nie będzie tak starannie patrolowana; liczniejsze oddziały są oszczędzane do pilnowania położonych dalej terenów.

— Naprawdę? — odezwała się krępa dziewczyna, która wstąpiła do nich tuż przed rozpoczęciem kampanii; brązowowłosa, brązowooka, o smagłej cerze „chłopki”. Musiała być dobra, w przeciwnym wypadku nie zostałaby Piorunem Nieba. — Dlaczego?

— Bandyci — odparła Lyr zgryźliwie. — Ci prawdziwi. Karsyci pozwalają im tutaj przebywać po to, aby dodatkowo gmatwać całą sprawę, kiedy ich własne, regularne oddziały dokonują najazdów, jak i po to, aby zniechęcać swoich własnych ludzi przed podejmowaniem prób przekraczania granicy w poszukiwaniu innych miejsc. Jest to więc coś w rodzaju ziemi niczyjej, o którą nie troszczą się patrole Karsytów.

Dziewczyna kiwnęła głową. Jej usta zacisnęły się odrobinę.

— To oznacza, że jest coś, czego musimy się także wystrzeżać.

Lyr wzruszyła ramionami.

— Ich albo prawdziwych Karsytów za naszymi plecami. Bandyci — jeśli przegramy — zabiją nas tylko.

— Dobra uwaga — powiedziała ponuro dziewczyna i z tonu jej głosu Kero domyśliła się, że był to jeszcze jeden Piorun Nieba, którego wiązało z Karsytami osobiste doświadczenie.

— Dla mnie brzmi to jak dobry plan — cicho rzekła Kero, kiedy Lyr spojrzała na nią.

Zobaczyła, że kilku innych, smagłolicej dziewczyny nie wyłączając, kiwnięciem głowy potakuje. — W takim razie do dzieła.

Lyr zawróciła wierzchowca i skierowała go na wschód, w kierunku granicy. Przez noc opuścili pustynne, pokryte jedynie karłowatą roślinnością wzgórza i zeszli w krainę o soczystszej zieleni, gęsto porośniętej drzewami; w odczuciu Kero nazwa „drzewa” była usprawiedliwiona. Wzgórza były wyższe i chociaż były one zarazem bardziej skaliste oraz urwiste, to gleba wydawała się tutaj urodzajniejsza. Gdyby miało to być terytorium, które Karsyci próbowali zająć, Kero by to zrozumiała, aczkolwiek z oczywistych powodów nie mogłaby się z tym pogodzić. Na przestrzeni kilku staj ścieżka dla zwierzyny zamieniła się w prawdziwy trakt z odcisniętymi śladami podkutych koni. Zamiast unikać — jak do tej pory — szlaku, Lyr wjechała wprost na niego. Zdążali gęsiego, tak jakby przynależeli do tego miejsca. Kero, która ponownie zamykała pochód, ciągle musiała siebie

upominać, aby nie odwracać się i nie spoglądać do tyłu. Od chwili, kiedy wyszli z ukrycia, wydawało jej się, jakby pełno tu było oczu i wymierzonych w jej plecy grotów strzał, pomimo że ścigający ich nie byliby jeszcze w stanie znaleźć się w zasięgu wzroku. Jedynie obecność ptaków i, od czasu do czasu, widok królika czy też wiewiórki przynosiły jej ulgę. Gdyby ktoś był przed nimi, nie byłoby żadnych ptaków, podrywających się w górę na skutek ich przemarszu. Gdyby ktoś podążał za nimi szlakiem, ptasi spokój byłby podobnie zakłócany. Tymczasem ptaki szybowwały w powietrzu zajęte własnymi sprawami. Zobaczyła, że Lyr także je obserwuje, wyciągając te same wnioski, gdyż jej ramiona rozluźniły się odrobinię.

Stopniowo, wraz ze wschodzącym ponad drzewami słońcem, opuszczało ją poczucie czyjejs obecności za plecami. Od czasu do czasu Lyr zatrzymywała grupę. Jednakże nie wysyłała nikogo do tyłu na poszukiwanie napastników — czego spodziewała się Kero — lecz robiła to osobiście. Z początku dwa razy wróciła z leciutko zmarszczonymi brwiami, ale za trzecim razem, tuż przed południem, na jej ustach gościł leciutki uśmiech. Kiedy ich ścieżkę przecięło koryto czystej, zimnej rzeki, zezwoliła na popas, za co wdzięczni jej byli zarówno jeźdźcy, jak i konie. Nie powiedziała ani słowa, ale wszyscy się domyślili, że nikt nie podążał ich tropem i że można było bezpiecznie zatrzymać się na krótki odpoczynek, posilić się, napoić konie i dać im chwilę wytchnienia.

Pojenie koni było rzeczą dla wszystkich najważniejszą. Na początku ich ucieczki pokaźna liczba Piorunów Nieba prowadziła luzaki na zmianę — bardzo niewiele wierzchowców było tak wytrzymałych jak Hellsbane i większość zwiadowców miała dwa lub trzy zapasowe. Teraz tych luzaków nie było, utracono je w walkach i po całonocnej jeździe zwierzęta były znużone; nie ochwacone, tylko znużone. Kiedy Lyr skończyła poić konia, obrządziła go i podrzuciła mu nieco ziarna do jedzenia; pozostali odetchnęli z ulgą i poszli za jej przykładem. Od koni zależało przecież ich życie.

— Kto wczoraj nie stał na czatach? — zapytała Lyr i w odpowiedzi podniosły się cztery ręce. — Dobrze — powiedziała. — Wasza czwórka pierwsza obejmuje wartę. Wy obudzicie następnych czterech.

Kero spętała Hellsbane, pochłonęła garść suszonych owoców i położyła się na czymś, co przypominało paprocie, kładąc sobie własne, zrolowane posłanie pod głowę, straciwszy jedynie nieco czasu na rozluźnienie rzemieni od zbroi. Zasnęła, gdy tylko ułożyła się jako tako wygodnie.

Wydawało się, że zaledwie przymknęła oczy, zbudziło ją potrząsanie za prawy bark. Wstrząsanie prawym było budzeniem „bezpiecznym”, lewy bark oznaczał, że ktoś chce, abyś wstał szybko i cicho, ponieważ sytuacja jest zła. Nie ociągając się usiadła i przetarła oczy. Obudził ją Tobe. Uśmiechnął się do niej, gdy zamru-

gała oczami. Chociaż wydawało się, że upłynęło niewiele czasu, to jednak słońce przesunęło się dużo dalej na zachód od chwili, kiedy zapadała w sen. Nie było wątpliwości, że pozwolono jej wypocząć tak długo, jak obiecywano.

Pewny, że ją obudził, Tobe podszedł do następnego leżącego ciała. Krzywiąc się lekko od potłuczeń i otarć, Kero podniosła się z paproci. Cieszyła się, że jest jeszcze zbyt młoda, aby cierpieć na ból stawów od snu na gołej ziemi. „I bogom niech będą dzięki, że wyszłam z tego wszystkiego cała — oby tak dalej!” Sztwym krokiem udała się nad strumień, tam, gdzie znajdowały się konie, i uklękła na nadbrzeżnym, płaskim kamieniu. Kiedy zaczerpnęła pełne dłonie lodowatej wody, przyłączył się do niej Tobe. Przemyślała twarz. To podziałało cudownie, szczególnie na jej piekące oczy.

— Napełnij swój bukłak — poradził jej. — Lyr mówi, że weszliśmy na teren, którego nie ma na naszych mapach i nie wie, kiedy znowu trafimy na wodę.

Kero kiwnęła głową i ponownie spryskała twarz, mając ochotę na kąpiel. Brud mógł narazić na niebezpieczeństwo, nie mówiąc o tym, że był nieprzyjemny. Nieprzyjaciel mógł wykorzystywać do ochrony psy lub świnię albo też jego konie mogły być nauczone (jak Hellsbane) wzniesić alarm, czując nieznaną zapach — trzeba było być głupcem, aby nie kąpać się możliwie często.

Lecz z braku czasu nie było na to żadnej szansy. Pozwoliła sobie tylko na ściągnięcie zbroi i zmianę tuniki oraz koszuli. Lyr oraz kilkoro innych czynili już to samo, a więc można było założyć, że Lyr nie urwie głowy Kero za powodowanie niepotrzebnej zwłoki. Brudna koszula i tunika zostały zwinięte tak ciasno, jak to tylko możliwe, i upchane na samym spodzie juków.

Potem przyszedł czas na posiłek. Najpierw swoją pełną rację otrzymała Hellsbane. Kero dodatkowo zbierała dla niej pełne naręcze trawy, by potem wydobyć dla siebie garść suszonego mięsa i drugą — suszonych owoców. Osiodłała Hellsbane, gdy obie jeszcze jadły. Dookoła wędrował kociołek. Kiedy przyjęła go z rąk smagłolicej dziewczyny, okazało się, że w połowie wypełnia go jakiś ziołowy napar. Kero uniosła brwi, ale że dziewczyna tylko wzruszyła ramionami, więc zanurzyła w płynie cynowy kubek i wypijała do dna.

To był napar feka — podwójnie mocny i nie osłodzony — gorzki jak śmierć. Niektórzy zwiadowcy używali go na długich patrolach. Lyr musiała znaleźć kogoś, kto miał jego zapas — chyba że był to jej własny — i własnoręcznie przyrządziła napar na słońcu, kiedy wszyscy spali. Z ziół pozostawionych w czarnym kociołku na słońcu otrzymano tak mocny jak po przegotowaniu, a Lyr była zbyt przebiegła, aby ryzykować rozpalenie ognia. Prawdopodobnie byłoby im to i tak potrzebne, nim noc dobiegłaby końca; wyczerpanie zabijało niejednokrotnie, gdy ktoś, zasypiając zostawał z tyłu podczas takiej jak ta wędrówki.

Kiedy kociołek zatoczył koło, Lyr odebrała go z rąk ostatniego i wezwała wszystkich do siebie. Stanęli bark w bark, obejmując się ramionami jak dzieci przed zabawą.

— Jesteśmy teraz na terenie Karsu, w strefie buforowej — powiedziała cicho. — Podczas naszego tutaj pobytu nie będzie ognia ani niczego, co zwróciłoby czyjąkolwiek uwagę. Patrol Karsytów także nie rozpalałby ognia; zawsze obozują w ten sposób, chyba że biorą udział w oblężeniu. Wyruszmy nieco dalej na wschód, będziemy iść wzdłuż tego tropu aż do zachodu słońca. Następnie, przez całą noc będziemy jechać na północ i na zachód, gdy tylko dotrzemy do czegoś, co będzie przypominało drogę. Kiedy skierujemy się na zachód, będziemy poruszać się tylko nocą. Karsyci czasami postępują podobnie i trudniej będzie stwierdzić, że nie jesteśmy jednym z ich patroli, jeśli natkniemy się na kogoś w ciemności. Czy w takim przypadku znajdzie się ktoś, kto zna język lepiej ode mnie?

— Moja matka jest Karsytką — odezwała się młoda dziewczyna.

— Czy możesz powiedzieć coś o jeździe na zachód, aby nękać pogan z dodatkiem tych wszystkich bzdur o Panu Słońca?

Dziewczyna wyklepała coś płynnie. Trudno uwierzyć, że ludzie tak nieprzejednani i brutalni, jak Karsyci, mówili tak pięknym językiem. Kero nic nie zrozumiała, ale najwyraźniej Lyr tak, bo pokiwała głową z zadowoleniem.

— O całe niebo lepiej niż ja. Doskonale, jeśli wpadniemy na patrol, ty jesteś dowódcą. Myślisz, że sama zdołasz wymyślić, co można im powiedzieć bez moich wskazówek?

— Aye — stwierdziła pewnie dziewczyna, rumieniąc się odrobinę. — Mama opowiadała nam, jacy są ich oficerowie. Trochę tacy jak regularni wojskowi Rethwellanu, tyle że wypchani tym religijnym gnojem i bardziej przestrzegają rozkazów i regulaminów. Gdy będę się upierać, że wypełniamy rozkazy i często chwalić Vkandisa, wszystko powinno być w porządku. Połowa z nich nie potrafi czytać ani pisać, a więc ustne rozkazy nie powinny ich dziwić.

Lyr wyglądała na zadowoloną i poklepała dziewczynę po ramieniu.

— W takim razie dobrze, wsiadajmy na koń i w drogę.

Zwrócili się do koni. To wtedy Hellsbane potrząsnęła łbem i zarżała ostrzegawczo. Kero nawet nie zatrzymała się, aby pomyśleć, tylko rzuciła się przez polanę i na siodło. Nie całkiem jej się to udało; zanim jej koń skoczył do przodu, wspięła się zaledwie do połowy. Z zaciśniętymi zębami wisiała na rękach, gdy klacz, uchodząc przed nadlatującą siekierą, uskoczyła na bok. Wydawało się, jakby ziemia obrodziła mrowiem zbrojnych. Przejmujące rżenie Hellsbane było jedynym ostrzeżeniem przed atakiem. Lyr musiała rozstawić jakichś wartowników, ale równie pewnym było, że ci wartownicy już nie żyli.

Hellsbane zawirowała w miejscu. Kero udało się wykorzystać pęd klaczy, usadowić się w siodle. Dobyła Potrzeby i rozejrzała się, szukając celu. Ogarnęła ją bitewna gorączka. Teraz była całkowicie trzeźwa i czujna. Czowała się tak świeżo, jakby miała za sobą noc spędzoną w wyściełanym puchem łóżku. Ktoś inny patrzył teraz jej oczami, ktoś, kto odczuwał dziką przyjemność, biorąc się ze śmiercią za bary. Później będzie zmęczona i nie będzie się czuć najlepiej, ale nie teraz.

Nie teraz, kiedy serce biło jak szalone i krew szumiała w uszach i wydawało się, że wszystko dookoła jest ostrzejsze, wyraźniejsze niż poza polem bitwy...

Miała przed sobą mnóstwo celów do wyboru. Pstrokato odziani napastnicy byli prawdziwymi bandytami; mieli nad Piorunami Nieba przewagę liczebną i potrafili walczyć. Jeździec ma zawsze przewagę nad pieszym, lecz ci bandyci umieli sobie z tym radzić.

Kiedy zajęta była szukaniem celu, zauważyła szczerbatego, brodatego mężczyznę wywijającego w jej stronę długim hakiem, pomyslanym tak, aby wczepić się w zbroję i wysadzać jeźdźca z siodła.

Pod warunkiem, że Hellsbane zezwoliłaby mu na to...

Klacz dostrzegła go w tej samej chwili, co Kero. Wierzgnęła lekko, aby ostrzec swojego jeźdźcę, a potem stanęła dęba, młóćąc w powietrzu przednimi kopytami i podskakując na tylnych nogach jak kruk. Napastnik nie spodziewał się tego i znieruchomiał z otwartymi ustami, gapiąc się na konia. Potężne kopyta trafiły i złamały drzewce dzidy, po czym spadły wprost na głowę tego, który nią machał. Runął bez dźwięku. Hellsbane, dla pewności, opadła na jego ciało, a potem zawróciła na zadnich kopytach, aby zabić swoimi strasznymi zębami tego, którego topora uniknęła wcześniej. Kero w tej samej chwili zajęła się miecznikiem, nadchodzącym z przeciwnej strony. Głupiec. Nie powinien był wywijać mieczem nad głową. Kero odcięła miecznikowi ramię, a zęby Hellsbane kłapnęły o kilka cali od twarzy draba uzbrojonego w siekiere, który próbował uskoczyć jej z drogi. Potknął się, upadł i Hellsbane skoczywszy do przodu, stratowała go kopytami.

Duży cień, tętent kopyt. Kero poczuła, że ktoś zbliża się od tyłu, lecz Hellsbane już ją uprzedziła. Klacz wierzgnęła zadnimi nogami, trafiając obcego konia prosto w szczękę. Kero przywarła do siodła, a Hellsbane skrzyła się błyskawicznie jak wąż, umożliwiając jej zadanie ciosu. Raniony koń zachwiał się. Hellsbane zadała ponownie cios przednimi kopytami, tym razem trafiając go w szyję i łopatki. Obcy wierzchowiec zaczął się przewracać z jeźdźcem wywijającym dla odzyskania równowagi szeroko rozłożonymi w powietrzu rękami. Kero rozpruła mu na wylot skórzaną zbroję razem z żołądkiem. Hellsbane ponownie okręciła się dookoła i Kero stanęła twarzą w twarz z dwoma miecznikami. Tym razem to ona dała Hellsbane znak do szarży. Nie mieli się na bacności i doszła do wniosku, że rozbiegną się, zobaczywszy szarżującą na nich klacz. Tak się stało. Mijając jednego, Kero cięła mieczem, chociaż nie sądziła, aby wyrządziła mu prawdziwą krzywdę. Dzięki temu zyskała nieco czasu na złapanie tchu. Rozejrzawszy się stwierdziła, że jest osamotniona i poza polaną. Innych ledwie było widać daleko w dole strumienia. W jakiś sposób została od nich oddzielona i wyglądało to tak, jakby bandyci po niej najwięcej sobie obiecywali i skupili swoje wysiłki na jej osobie.

„Może to z powodu Hellsbane” — pomyślała, odparowując kolejne uderzenie miecza. Teraz zauważyła, że jej ramię zaczyna być ociężałe od zmęczenia. „Ona

jest smakowitym kąskiem, nawet jeśli nie wiedzą, czym jest. Najmilsi bogowie, o czym ja myślę? Muszę dołączyć do reszty!”

Ponagliła klacz w kierunku pozostałych, lecz odcięto ją ponownie i odniosła nieprzyjemne wrażenie, że jest spychana krok po kroku na brzeg rzeki.

„Rzeka! Jeśli zdołam się do niej dostać, osłoni mnie przynajmniej z jednego kierunku!

Dała Hellsbane sygnał. Klaczy nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, spięła się i dała susa w kierunku wody. Bandyty próbowali zagrozić jej drogę — na darmo. Chociaż przeszkodzili jej w dotarciu do brzegu, od którego dzieliło ją zaledwie kilka stóp, to straciła dwóch z nich do wody. Hellsbane zarżała i rzuciła się ponownie naprzód, tym razem kierując się bardziej w dół strumienia, oddalając się od znikających Piorunów Nieba.

Kero zmrużyła powieki, kiedy przedarli się przez krzewy i stanęli na niskiej, nadwodnej skarpie. To nie było z pozoru to samo koryto, nad którym obozowali, lecz jakby głębsze i szersze. Przeciwny brzeg był tak odległy, że Kero nie odważyłaby się tutaj przepłynąć. Lecz wyższa skarpa była lepszym miejscem do stawienia oporu. . .

Hellsbane co innego było w głowie. Nie miała zamiaru zatrzymywać się na szczycie skarpy. Szarżując na wprost, przedarła się przez ostatnie krzewy i przeskoczyła nad krawędzią skarpy głową do przodu, nurkując w zimne wody.

— No cóż — odezwała się Kero do swojego konia, wykręcając koszulę. — Przynajmniej zgubiliśmy ich.

Hellsbane chrupała mokre ziarno i suchą trawę, z flegmą odnosząc się do niezbyt delikatnych zabiegów Kero. Klacz odniosła w potyczce sporo ran. Żadna nie była zbyt głęboka. Podczas opatrunku Hellsbane była zadziwiająco spokojna. Nie sprzeciwiła się nawet, kiedy Kero zszywała jej pomniejszych skaleczeń. Co do Kero, to jej prawie nic się nie stało — poza tym, że prawie utonęła. Nie odniosła żadnych ran. Była tylko przemoczona, potłuczona i posiniaczona od rzecznych kamieni, śmiertelnie zmęczona i zziębnięta. Tym razem nie zgubiła nic ze swego ekwipunku, co samo w sobie było drobnym błogosławieństwem. Zabłądziła jednak kompletnie. Miała jedynie mgliste pojęcie o tym, dokąd dotarła, przynajmniej na podstawie odtwarzanej w pamięci mapy, lecz przekroczywszy granice określone na mapie, równie dobrze mogłaby być tam, gdzie pieprz rośnie. Mocny prąd zniósł ją w dół rzeki, na południe, w przeciwnym kierunku do tego, w którym, jak widziała, podążała reszta oddziału. Hellsbane uderzyła w wodę dokładnie w miejscu silnego wiru i kiedy wyrwała się z jego objęć, Kero nie zdołała nakłonić klaczy do powrotu na zachodni brzeg, z którego zeskoczyła. Nic nie można było na to poradzić. Klacz była przekonana, że na zachodniej skarpie kryją się wyłącznie wrogowie i nie popłynęłaby tam za żadne skarby. Kero dała za wygraną i pozwo-

liła jej płynąć w stronę przeciwną. W chwili kiedy Hellsbane wydostała się na wschodni brzeg, zniosło je z biegiem rzeki przynajmniej na odległość jednej staj.

Zachodnie niebo ponad drzewami, stało się krwistoczerwone. Wkrótce nadejdzie noc, a Kero znajdowała się w samym środku terytorium Karsytów, zupełnie sama, przemoczona do suchej nitki. Mapa, gdyby ją miała, i tak by nie ocalała.

Niewiele udało się uratować. Jej łuk owinięty w naoliwione płótno na szczęście przetrwał skok do wody, podobnie zawiniątko z lekarstwami i zestaw do rozniecania ognia. Jednak wszystko inne zamieniło się w mokrą papkę. Na nieszczęście, ten los spotkał racje żywnościowe. Chleb stał się niejadalny, reszta (mięso suszone na słońcu, suszone owoce, ziarno Hellsbane) była w tragicznym stanie. Ta odrobina, która ocalała, w najlepszym razie zepsuje się w ciągu kilku dni, a potem ją i Hellsbane będzie musiała wyżywić ziemia.

— Nie jest tak źle, spójrzmy na to od jaśniejszej strony — odezwała się do kłaczy — mamy przynajmniej wodę. No i wzięłam kąpiel.

„Jednak jestem zziębnięta, bez żadnej szansy na rozgrzanie. Mogę jedynie wykręcić ubranie najlepiej, jak potrafię, najeść się tym, co nie uległo zniszczeniu i poprowadzić Hellsbane na północ. Jeśli będę miała szczęście, ubranie wyschnie na mnie, zanim dostanę dreszczy”.

Potem wpadł jej do głowy lepszy pomysł. „Jestem zupełnie sama i nie ma tutaj drogi. Prawdopodobnie. Może lepiej będzie jeśli postawię szałas i rano spróbuje trafić na ścieżkę lub szlak”.

Tarma nauczyła ją, jak się stawia szałas niemal w każdym terenie; w lesie nie było to zbyt trudne zadanie. Odrobina pracy siekierą i miała dostateczny zapas giętkich witek wierzbowych oraz gałęzi sosnowych, aby z nich spleść szałas oparty jedną stroną o drzewo. Kiedy ostatni promień słońca zniknął za horyzontem, uplotła matę, która powinna ochronić ją od podmuchów wiatru i kropel deszczu, gdyby szczęście opuściło ją całkowicie. W ostatnich promieniach światła zebrała suche liście i ułożyła jedną ich warstwę; na tym położyła mokre ubranie i przykryła drugą warstwą suchych liści. Suszone mięso rozmoczone wodą smakowało jeszcze gorzej niż w postaci naturalnej, ale i tak łapczywie je zjadła; gdyby tego nie uczyniła, musiałaby wszystko wyrzucić. Odwróciła siodło dołem do góry i zawiesiła je pod krzewami, aby wyschło.

— Pilnuj! — rzekła do kłaczy, która bacznie zastrzygła uchem. Powiedziawszy to, wpełzła do swojego miniaturowego szałasu, drżąc z zimna. Była pewna, że nie rozgrzeje się za żadne skarby i nie zaśnie nigdy. W obu przypadkach myliła się całkowicie.

— Północ czy południe? — zadała Hellsbane pytanie.

Klacz zastrzygła uchem, ale nie skomentowała tego w żaden inny sposób.

Ubranie Kero było suche, posłanie wciąż wilgotne. Koc Hellsbane wysechł, a więc po osiedłaniu i objuczeniu kłaczy rozwinęła posłanie i przewiesiła jej przez grzbiet jak jakąś kiepską końską zbroję. Klacz wygięła szyję do tyłu i parsknęła

ze wstrętem.

Kero poczuła jakby delikatne przyciąganie, które — jak się domyśliła — pochodziło od Potrzeby. Poganiała ją na zachód. Jednym spojrzeniem obrzuciła rzekę, jeszcze szerszą tutaj niż w miejscu, gdzie wskoczyła w jej nurt, i powiedziała do klingi, aby trzymała „język” na wodzy, czy co tam spełniało u niej jego rolę.

Wskoczyła na konia i rozsiadła się na swoim posłaniu, mając nadzieję, że nie natknie się na nic nieprzyjaznego. Gdyby trzeba było uciekać, utraciłaby posłanie.

— Na południe, jak myślę — powiedziała głośno. — Nie mam najmniejszych szans dogonienia reszty oddziału, a oni nie będą na mnie czekali. Posuwaliśmy się na północny wschód, a więc jeśli pojedę na południe i zdołam ponownie przebyć rzekę, powinnam znaleźć się w okolicy, gdzie mogłabym znów trafić nad granicę.

Nie uzyskała żadnej odpowiedzi. Nawet ptaki milczały. Z głębi puszczy dochodziły ptasie głosy, lecz tutaj w obawie przed nią zamilkły. Dlatego miała wrażenie, że jest złym omenem, zwiastunem śmierci; czymś, od czego nawet ptaki trzymają się z dala. . . Dopóki nie dostrzegła zuchwałej sójki o zielonym grzbieniu sfruwającej w dół z drzewa, aby skraść wyrzucone okruchy zepsutego chleba.

Wtedy roześmiała się niepewnie i odpędziła myśli o nadciągającej katastrofie. „Na ognie piekielne” — myślała, gdy klacz szła, omijając drzewa. „Już miałam swój udział w nieszczęściu, to powinno wkupić mnie w łaski losu”.

A jednak pech nie opuścił jej jeszcze — czy też, być może, naprawdę wisiało nad nią przekleństwo. Trafiła na ścieżkę — dobrze przetartą dróżkę prowadzącą od rzeki — i poszła wzdłuż niej pieszo, kryjąc się przed niepowołanym wzrokiem, zostawiwszy Hellsbane za krzewami w bezpiecznym miejscu. Dobrze zrobiła, ukrywając konia, ponieważ ścieżka zawiodła ją do otoczonej niezdobytymi murami wioski, tarasującej jedyną drogę na południe. Obserwując to miejsce przez pół poranka, odkryła, że wioska tętni życiem. Wyglądało na to, że jest to wojskowa baza dla lokalnych karsyckich patroli. Wjeżdżający i wyjeżdżający jeźdźcy nie nosili uniformów, jednak byli zdyscyplinowani i po wojskowemu precyzyjni. Pomiędzy nimi Kero dwa razy dostrzegła szaty kapłańskie.

Zakłęta w duchu, ale poczołgała się z powrotem do kryjówki Hellsbane, po własnych śladach wróciła na miejsce biwaku i zatarła wszelkie ślady pobytu zwiadowcy w tym miejscu. Nie można było ukryć faktu czyjeś bytności, ale uczyniła, co w jej mocy, aby odnosiło się wrażenie, iż biwak był dziełem dzieci.

„Mam nadzieję, że dzieci Karsytów wymykają się do lasu, aby urządzać zabawę w żołnierzy, tak jak my” — rozmyślała posepnie, pozwalając Hellsbane samej wybierać drogę przez las, starając się jedynie, aby trzymała się miejsc, gdzie by nie zostawiała odcisków kopyt — kamieni, sosnowych igieł i tym podobnych. Otuliła kopyta klaczy skórzanymi workami, co powinno ślad dodatkowo zgammać, ale Hellsbane nie znosiła „kapci” i Kero nie była w stanie zmusić jej do noszenia ich przez dłuższy czas.

Rzeka wykręcała na zachód, lecz teren rozciągający się wzdłuż brzegu stał

się bardziej niedostępny i musiały go opuścić, oddalając się na wschód. Późnym popołudniem natknęły się na drugą ścieżkę. Tym razem widać było na niej ślady niepodkutych koni, co budziło nadzieję, że przechodziły tędy jedynie gospodarские zwierzęta. Późne popołudnie przyniosło odkrycie liczniejszych oznak ludzkiego osadnictwa i Kero, tak jak poprzednio, samotnie udała się na pieszy zwiad, bezpiecznie spętawszy klacz ukrytą głęboko w krzakach.

Dalej od rzeki teren stawał się bardziej suchy. W dolinie rosły drzewa, lecz wzgórza były porośnięte trawą i krzewami. Usłyszawszy odgłosy ludzi przy pracy, wspięła się na drzewo i uzmysłowiła sobie, badając najbliższą osadę ze swej kryjówki na najwyższej jego gałęzi, że ta zmiana szaty roślinnej jeszcze bardziej utrudni jej podróż.

Osada, mniejsza od pierwszej, nie była raczej schronieniem karsyckich wojowników. Dostrzegła jedynie samotnego kapłana. Tuż po zachodzie słońca zebrał on wszystkie dusze wioski w centrum osady i odprawił długi i najwyraźniej nudny obrządek religijny. Kero zachichotała, przyglądając się niektórym z celebrantów, zapadającym w drzemkę w środku głównego kazania.

Kero obserwowała ich, aż zapadły głębokie ciemności, a potem wróciła po Hellsbane przekonana, że nikt nie wytknie nosa na zewnątrz poza wychodzącymi za potrzebą. Kiedy nad wsią zapadły ciemności, jej czułe uszy wyłowiły odgłos ryglowanych drzwi w całej osadzie. Ci ludzie obawiali się ciemności i tego, co kryła w sobie, a więc ciemność była jej sprzymierzeńcem.

„A zatem nie wyśpię się tej nocy” — westchnęła, biorąc do ręki lejce Hellsbane i ostrożnie kierując się w stronę pogrążonej we śnie wioski. Szła obok drogi, gotowa — na najmniejszą oznakę życia — wciągnąć klacz do kryjówki. „Zastanawia mnie, w jaki sposób zmuszają żołnierzy do podróżowania po nocy, skoro zwykli ludzie tak bardzo boją się ciemności? W takim razie może obawiają się właśnie oddziałów wojskowych”.

Sama wioska nie była bezładnym zbiorowiskiem domów, do którego była przyzwyczajona. To miejsce było zwartym blokiem trzydziestu czy też czterdziestu chat, w większości identycznych, z trzech stron otaczających wioskowy rynek. Czwartą stronę zajmowały cztery większe domostwa i coś, co — jak przypuszczała Kero — było świątynią. Cała zaś osada otoczona była terenem całkowicie oczyszczonym z drzew i krzewów, a porośniętym jedynie trawą. Umożliwiło jej to okrążenie osady pod osłoną drzew i równocześnie obserwowanie, czy pomiędzy drzewami panuje spokój.

Miejsce to było niesamowite, z całą pewnością. Raz jeszcze odniosła wrażenie, że stamtąd patrzyły na nią czyjeś oczy, lecz tym razem wydawało się jej także, iż spojrzenie tych oczu jakoś ją omija. Coś tam w tej wiosce było. Coś, co zmuszało mieszkańców do pozostawania w ciszy w domach; coś, co badawczo obserwowało noc w poszukiwaniu tego, co obce. „Tak, jak ja” — pomyślała zadowolona, że znów obuła Hellsbane w jej „kapsie” i nie mniej zadowolona z faktu,

iż Hellsbane jest zbyt dobrze wyszkolona, aby rzeniem zdradzić swoją obecność zwierzętom gospodarskim. „To szuka kogoś takiego jak ja, tyle że nie jest w stanie mnie znaleźć. Może... może Potrzeba w końcu zaczęła coś robić. Niech mnie licho, jeśli opuszczę zasłonę, aby przekonać się, co to!”

Wydawało się, że przekradanie się obok wioski zajęło jej połowę nocy. Kiedy miała ją już za sobą, nie osłabiła czujności. Całymi milami posuwała się w cieniu drzew, aby potem, dosiadłszy klaczy i ruszywszy drogą na wschód, nie wychodzić spod ich osłony.

Ta ostrożność przyniosła owoce tuż przed świtem, kiedy odniosła wrażenie, że z przodu dobiega odgłos kopyt. Dźwięk ucichł po chwili zaledwie, lecz ona, znalazłszy szparę w zaroślach, zeskoczyła z siodła i wprowadziła klacz do kryjówki. Czekala. Wciąż czekała. Zaczęło się jej wydawać, że się wygłupia, ale nawet wtedy nie zdecydowała się wyjść na drogę, mając ciągle wątpliwości, czy ktoś inny się nią nie porusza. Wtem znów poczuła, że coś rozpoczęło swoje poszukiwania i zamarła. Po raz kolejny to coś przeszło jej nad głową, a ona czuła się tak bezradna jak mysz na otwartym polu, która wie, że nad jej głową szybuje jastrząb, na najmniejsze drgnienie gotów bezlitośnie runąć z góry.

Wrażenie przeminęło, lecz zanim zdążyła wyprowadzić Hellsbane na drogę, usłyszała tętent kopyt, ten sam, co uprzednio, lecz znacznie bliżej, właściwie na wysokości kryjówki. „Kaprys wzgórz odbił je echem w samą porę, aby mnie ostrzec” — uzmysłowiła sobie zdrętwiała. „Błogosławiona Agniro! Gdybym ich nie usłyszała...”

Minęło sporo czasu, zanim zdołała przekonać siebie, że można ruszyć w dalszą drogę.

Na wschód. Na północ. Nieco na zachód; ponownie na północ. Ani o piędź bliżej celu. Kero nie miała pojęcia, jakie jest jej prawdziwe położenie. Teraz wkroczyła w krainę owiec. Na szczęście mniej było kapłanów, lecz pasterze to lud dociekliwych samotników, których wołała unikać za wszelką cenę.

Dwukrotnie zrezygnowała z wszelkiej ostrożności i wykorzystywała swój dar, aby pomógł jej znaleźć żywność na farmach. Za każdym razem czuła, jak szukające „oko” mijało ją w jakiś czas potem, tak jakby korzystając z myślczenia, nieodwołalnie wyzwoliła jakiś rodzaj alarmu. Za drugim razem zdecydowała się szczerzej zacisnąć pasa. Za nic na świecie nie chciała znaleźć się ponownie w obecności tego niewidzialnego tropiciela.

Hellsbane była twardą sztuką i mogła żyć szczęśliwie, jedząc wyłącznie trawę, ponieważ nie musiała się zbytnio wysilać. Prawdę mówiąc, połowę drogi Kero pokonywała pieszo i zamiast jechać wierzchem, zwłaszcza w nocy prowadziła klacz za uzdę. Kero spała w dzień, tam gdzie mogła ukryć swojego wierzchowca. Niemal za każdym razem śniła. Były to mgliste, osobliwe sny, w których występowała Potrzeba. Potrzeba, stara kobieta oraz młodzianka, ledwie nastoletnia dziewczyna. Sny nie były zbyt spójne, były w nich rzeczy, jakby żywcem wyjęte z najbardziej

szalonych legend z czasów tak zamierzchłych, że stawały się niemal niezrozumiałe. To po pierwszym z tych snów napotkała pierwszą kapłankę — a nie kapłana — Vkandisa.

Przespała niemal cały dzień, wiedząc, że tej nocy trzeba będzie przejść obok kolejnej osady. O zachodzie słońca zbliżyła się do tej wioski, aby obserwować ją uważnie, dopóki wszyscy nie udadzą się bezpiecznie na spoczynek. W idealnej zgodzie z rozkładem dnia, zakapturzona, odziana w długą szatę postać wyszła ze świątyni otoczonej kamiennymi murami i zwołała mieszkańców. Kero zastanawiała się leniwie, czy i w tej wiosce msza o zachodzie słońca będzie tak samo nudna, jak te, które podpatrywała do tej pory, gdy postać odrzuciła nagle kaptur, odsłaniając swe zmierzwione, purpurowe loki i — nie było co do tego wątpliwości — twarz kobiety. Szok przygwoździł Kero do ziemi. Zamarła, kiedy kapłanka podniosła głowę i spojrzała tam, gdzie leżała ukryta. Ocalił ją zachód słońca. Trzeba było odprawić mszę i Kero pozostawała pod wrażeniem, że gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi, szarża nieprzyjaciela czy eksplozja wulkanu, wyznawcy Vkandisa mimo wszystko oddaliby mu cześć w ostatnich promieniach słońca.

W połowie mszy Kero udało się otrząsnąć z odrętwienia i czołgając się wrócić tam, gdzie zostawiła spętaną Hellsbane. Tym razem nie czekała aż do zachodu słońca, lecz wskoczyła na siodło i odjechała dalej na wschód, okrążając wioskę szerokim łukiem, zacierając za sobą ślady i stosując przy tym każdą, wyuczoną od Tarmy sztuczkę.

Od tamtej pory po każdym nocnym widzeniu napotykała wyznawczynię Vkandisa. I wydawało się, że każda z nich była w stanie wykryć obecność jej czy też miecza.

To było niepokojące, już choćby dlatego, że nie wiedziała — tak jak i nikt inny do tej pory — że kobiety zajmowały tak wysokie stanowiska w hierarchii kapłanów Vkandisa. Aż do tej pory wszyscy, z którymi rozmawiała, opowiadali o kulcie będącym wyłącznie sprawą mężczyzn. Oczywiście szczątkowa wiedza na ten temat poza granicami Karsu prowadziła do poglądu, że jest to kult całkowicie wrogi kobietom. Według Karsytów, z kobiet niewielki był pożytek, a już szczególnie gardzili wojowniczkami podobnymi do tych z szeregów Piorunów Nieba, które w razie pojmania traktowali wyjątkowo okrutnie.

A jednak zakon Vkandisa był zakonem walczącym. Każda z kobiet widzianych przez Kero nosiła miecz. W zakonie Vkandisa magia była wyklęta; mimo to czuła, że poszukiwano jej przy pomocy magii, a i to, co kobiety te wydawały się ochoczo zaprzęgać na swe usługi, było niezwykle bliskie magii.

Wyglądało na to, że prócz tego, co zewnętrzny świat wiedział o Karsie i jego państwowej religii, działały się tutaj rzeczy, o których nie można się było dowiedzieć, dopóki ktoś nie spenetrował tego kraju osobiście. Co one oznaczały, Kero nie miała pojęcia — wiedziała tylko, że lepiej będzie trzymać głowę nisko, a zadek dobrze ukryty, bo nikomu nie opowie o swoich odkryciach. Za wyjątkiem,

być może, inkwizytora.

„Mam już wrażenie, że ukrywam się przez całe życie” — rozmyślała przygnębiona, leżąc między skałami ponad drogą. Wkrótce nadejdzie zachód słońca i będzie mogła ruszyć w dalszą drogę. „Choć tyle temu zawdzięczam”.

Tętent kopyt zdradził nadciągający patrol Karsytów; nauczyła się, że wojskowi byli jedynymi podróżującymi wierzchem. Tym razem zobaczyła między nimi jedną z kapłanek. Przejeżdżała w wielkim pośpiechu. I znów Karo łamała sobie głowę, co oznacza obecność wysokiej rangą kapłanki.

„Może to znaczy, że oni uważają, iż z kobiet pożytek jest tylko w granicach Karsu. Kobieta może czynić wszystko dla chwały Pana Słońca, ale jeśli nie jest kapłanką, nie wolno jej myśleć o niczym, poza siedzeniem w domu i płodzeniem nowych czcicieli Pana Słońca. . .”

Nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy aby nie powinna porzucić Potrzeby. Jak dotąd, z pół tuzina razy tylko o włos uniknęła pojmania. Miała wrażenie, że udało się jej to jedynie dzięki reakcji ostrza, które z opóźnieniem uzmysławiało sobie, że sam fakt istnienia kobiet, nie oznacza ich przyjacielskich uczuć w stosunku do aktualnej właścicielki.

Lecz jeśli porzuci go, trafi on do rąk jakiegoś biednego, nieświadomego dziecka, które zginie, gdy jakiś kapłan zdecyduje się nadużyć zaufania owieczki ze swej trzody, korzystając z własnej potęgi oraz pozycji. Kero od dawna zdawała sobie sprawę, że to samo mogłoby przytrafić się jej, gdyby tamtej nocy Tarma nie spełniła roli opiekunki. Ostrze nie miało wyczucia proporcji, a i jego poczucie odpowiedzialności za zdrowie i bezpieczeństwo właściciela zdawało się mieć płynne granice.

Albo, co gorsza, mógłby on trafić do rąk jednej z kapłanek i Kero nie byłaby w stanie nawet sobie wyobrazić, co by się wtedy wydarzyło.

Wszystko.

Snuła na ten temat refleksje, wodząc zamyślonym wzrokiem wzdłuż drogi. „Myślę, że Potrzeba jest dużo starsza, aniżeli nawet sądziła babka. Stąd — prawdopodobnie — tyle potrafi. Każda rzecz tak stara posiada cele nadrzędne i plany, które różnią się bardzo od naszych, którzy jesteśmy podatni na śmierć, jeśli ktoś nas przekłuje”.

Im więcej o tym rozmyślała, tym łatwiej przychodziło jej wyobrazić sobie, jak też miecz postąpiłby w niektórych przypadkach.

„Zawładnie jedną z tych kapłanek i doprowadzi do religijnej krucjaty. Karsyci wydają się bardzo skłonni do oddawania się tego rodzaju rozrywkom. Zdaje się, że tak właśnie Pan Słońca awansował do rangi religii państwowej. Mam wrażenie, że przypominam sobie, iż w jednej z ksiąg historycznych coś takiego napisano i że to właśnie wtedy Karsyci stali się naprawdę dziwni”.

Prychnęła pod nosem. „No myślę. Uczyni z kogoś dewota, fanatyka, a pomiesza mu się w mózgu zupełnie. No cóż, nie mam zamiaru przyczynić się do jeszcze jednej krucjaty Karsytów, to pewne”.

Przed wszystkim nic nie wskazywało na to, że miecz przyzwoliłby jej na to. Gdyby próbowała go porzucić, mogłoby to zakończyć się jej agonią.

Zapadał zmierzch. Nadszedł czas, aby ruszyć w dalszą drogę. W ciągu minionych kilku dni z rzadka porośnięte lasem pagórki zaczęły ustępować borom sosnowym. Z dała majaczyły wyniosłe wzgórza. Kero miała wrażenie, że znajduje się bardzo blisko granicy Karsu z Valdemarem; z pewnością zabrnęła dostatecznie daleko na północ. Nigdy w życiu nie spodziewała się, że dotrze aż tak daleko.

„Jakże, u licha, chciałabym, by mnie tutaj nie było”.

Ze smutkiem opuściła głowę.

„Ja chcę do domu. Chcę się stąd wydostać!” — szlochała w myślach. „Chcę zobaczyć zimowe kwatery i Shallan, i Tre... Najęść się gotowanego jedzenia i wypaść w prawdziwym łóżku... Chcę się wykapać... Chcę spać... i nie budzić się na byle westchnienie, za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że coś usłyszałam...”

Była wyczerpana do cna, a jej nerwy przypominały rozpalony do czerwoności żelazny drut. Ostatnio najmniejszy szmer wyrywał ją przerażoną ze snu, ale wiedziała, że jeśli nie utrzyma takiego stanu napięcia, to pewnej nocy położy się po to, aby zbudzić się z mieczem Karsyty na gardle. Jednak najgorszy był brak nadziei, poczucie, że nie powróci już nigdy, nie zobaczy znajomych twarzy, domu czy też tego, co zań uchodziło. I ta samotność na dodatek. Wydawało się jej, że jest oziębła, pozbawiona uczuć, teraz czuła się odmiennie. Być może ludzie nie byli jej potrzebni tak bardzo jak Shallan, ale niemniej nie mogła się bez nich obejść.

Zazwyczaj umiała otrząsnąć się z takiego nastroju, pozwalając, aby opanował ją tylko na chwilę, lecz nie tej nocy. Tej nocy towarzyszył jej, gdy schodziła ze wzgórza do płytkiej dolinki, nad strumień, obok którego stała spętana Hellsbane. Jadąc za nią, był jej niewidzialnym towarzyszem, którego obecność dawała się jednak we znaki, gdy podążała za plecami patrolu Karsytów. (W przypadku Karsytów najbezpieczniej znajdować się za ich plecami). Okrył ją smutkiem tak głębokim, jak zmierzch — i był dla niej niemalże równoznaczny ze śmiercią.

Dopiero kiedy Hellsbane parsknęła i stawiała opór oraz kiedy Kero poczuła pod czaszką dźwięczenie pochodzące od miecza, usłyszała przed sobą głosy. Skierowała Hellsbane do lasu, zeskoczyła z siodła i poprowadziła klacz cichutko pod sosnami wzdłuż wąziutkiej ścieżki dzikiej zwierzyny, ponad dnem doliny i wiodącej tamtędy drogi. Miażdżone igły sosnowe zapachniały ostro i to zmusiło ją do chwilowego postoju. Zapach mógł ukryć woń klaczy i pozwolić im na okrążenie jadącego przed nimi patrolu bez wzbudzania czujności karsyckich koni.

Nabrała pełne garście opadłych z konarów igieł i rozgniotła je o zbroję. Otrzy-

maną masę wtarła w sierść Hellsbane. Klacz wciągnęła powietrze nozdrzami jeden jedyny raz i obrzuciła Kero raczej zdumionym spojrzeniem, lecz nie wyglądało na to, aby to był protest. Uporawszy się z tym, Kero dostrzegła dobry punkt obserwacyjny. Spętała klacz i czołgając się na brzuchu, przebyła dzielącą ją od niego odległość. Odsłonięta skała nie była najlepszą kryjówką, lecz zmierzch poprawił sytuację. Na miejscu znalazła się w samą porę, aby zobaczyć powracający z jeńcem patrol — ten sam, który minął ją wcześniej.

Od razu można było poznać, że to jeńiec. Mężczyzna jadący na zaniedbanym mule, przywiązany do siodła; od stóp do głów odziany na biało.

Trzynasty

Na dnie jej znużonego umysłu drgnęły na poły zagrzebane w pamięci wspomnienia. „Czy ma to związek z kapłaństwem? Nie, to nie może być to... I...”

Ciągle próbowała w jakiś sposób połączyć wszystko w całość, kiedy jej uwagę przykuło coś poruszającego się poniżej niej, tak cicho, że gdyby nie jego kolor — czy też raczej jego brak — nie spostrzegłaby tego. A gdyby nie widziała tego człowieka, nie pomyślałaby „koń”, pomyślałaby — „duch”. Albo obłok mgły; bo przypominało to strzęp tumanu prześlizgujący się pomiędzy drzewami. Jednak połączenie odzianego na biało mężczyzny z białym koniem nawet dla znużonego, otępiatego umysłu najemnika mogło oznaczać tylko jedno: jeńcem był któryś z Heroldów Valdemaru. A Karsyci cenili Heroldów nawet mniej jeszcze niż kobiety-wojowników.

„Ten koń wcale nie jest koniem, przynajmniej zgodnie z tym, co mówiła Tarma” — pomyślała ze wzrokiem wlepionym w niewyraźny, biały kształt, przemyskający się od jednej zasłony do drugiej. „Ona nazywała je — leshy’a, jak sądzę. Duch. Hm... Wygląda całkiem solidnie jak na ducha. Nie wydaje się też nadmier- nie magiczny”.

Karsyccy żołnierze stanęli na środku drogi i naradzali się szeptem, rzucając przestraszone spojrzenia, w kierunku wiszącego nad nimi górskiego zbocza i za plecy, tam, skąd przybyli. Zgarbiony bezwładnie w siodle mężczyzna wydawał się o niczym nie wiedzieć, lecz Kero miała osobliwe przecucie, że nie był tak poważnie ranny ani tak otępiały, na jakiego wyglądał.

„Jednak sam spryt i magiczny koń to za mało, potrzeba czegoś więcej” — pomyślała. „Przyjemnie byłoby mieć na usługach armię. A przynajmniej jednego przyjaciela na wolności, zdolnego zwieść Karsytów, że on jest armią. Albo ona...”

Natychmiast skarciła siebie za myśli godne głupca. Ten człowiek nie miał prawa ani do niej, ani do jej współczucia. Valdemar nie wynajmował najemników i prawdopodobnie nigdy tego nie zrobi. Nie musiała być lojalna wobec jego kraju i nie musiała żywić żadnych uczuć dla niego... Tyle że Karsyci nie obejdą się z nim delikatnie. No i masz ci los, przez Potrzebę z bożym błogosławieństwem, nadjeżdża ona...

„Niech to lichy, niemal wy dostałaś się stąd! Nie jesteś armią. Nie jesteś nawet w dobrej formie do walki, a on nie jest kobietą i Potrzebie ani się będzie śniło troszczyć o niego”.

Kapłanka wydała stanowczy rozkaz — co ucięło dalszą dysputę. Żołnierze zeskoczyli z siodła i zaczęli odprowadzać konie do niewielkiego, ślepego kanionu, prawdopodobnie po to, aby rozbić tam obóz, podczas gdy ona objęła nadzór nad jeńcem. Podjechała do niego, za włosy szarpnęła jego głowę do góry i uderzyła go w twarz tak mocno, że zachwiał się w siodle. Byłby spadł z konia, gdyby nadal nie trzymała go za włosy. Echo uderzenia odbiło się od skał. Puściła go i bezwładnie opadł w siodle do przodu, na łęk. Nawet z tak dużej odległości nie było cienia wątpliwości, że uśmiech, który Kero ujrzała, przepojony był okrucieństwem.

To wtedy Kero podjęła decyzję. „Świetnie. On jest Heroldem. Prawdopodobnie jeśli go uratuję, dostanę nagrodę, a nawet jeśli nie, to pomoże mi wydostać się stąd przez Valdemar. Wyrwę go z łap tej suki”.

W zakamarkach mózgu część jej osoby wszczęła rwetes, że czyniąc to, będzie szalona, że szaleństwem jest nawet myśleć o ratowaniu nieznanego. Przed wszystkim ona sama nie była jeszcze bezpieczna, zdana na własne siły, a pomysł ratowania kogokolwiek innego był z gatunku czysto samobójczych.

Zignorowała tę część siebie i zawróciła. Czołgała się płasko po ziemi, nie zwracając uwagi na zadrapania, dopóki nie znalazła się poza zasięgiem wzroku ludzi stojących na ścieżce. Chociaż zlekceważyła zdrowy rozsądek, nie zaniedbała środków ostrożności — nie było wiadomo, czy Karsyci nie wysłali zwiadowcy do lasu. Poruszała się cicho jak ścigany królik, prześlizgując się od jednej kryjówki do drugiej, wracając do Hellsbane okrężną drogą.

Nie licząc ptaków, las wydawał się opustoszały. Oczywiście inny zwiadowca, dobry zwiadowca, mógł nie zaniepokoić ich bardziej, niż robiła to Kero. A jednak nie było tam żadnego, którego ona zdołałaby zauważyć, co oznaczało prawdopodobnie, że Karsyci czuli się tak bezpieczni, iż nie zatroszczyli się o sprawdzenie dalszej okolicy. Co równało się temu, że być może nie zadali sobie trudu pilnowania i okolicy najbliższej. Gdyby tak było, jej zadanie okazałoby się wykonalne.

Dotarli do Hellsbane, związała lejce i przymocowała je do siodła, zanim zaczęła nakładać klaczy jej „kapsie”. Hellsbane zastrzygła uszami; doskonale wiedziała, co to oznacza, chociaż Kero nieczęsto to robiła. Jej zadaniem było strzec pleców Kero. Iść za nią jak pies do czasu, kiedy Kero będzie jej potrzebować. Tarma ćwiczyła z nimi ten manewr w sposób absolutnie bezwzględny. Nie każdy rumał bojowy był w stanie się tego nauczyć, lecz Hellsbane była równie posłuszna, jak dociekliwa. Dzięki tym cechom mogła nauczyć się tej sztuczki i zapamiętała lekcję znakomicie.

Kapłanka i jej podopieczny przenieśli się już w inne miejsce, ale nie było wcale trudno domyślić się dokąd. Żołnierze stratowali roślinność z obu stron wąskiej, odchodzącej od głównego szlaku ścieżki. Kero czekała nasłuchując i badała

wzrokiem okolicę tak długo, aż jej nerwy wszczęły alarm. Pośpiesznie jak przestraszony jeleni przekroczyła leśny szlak i wspięła się na zbocze, by śledzić ich, idąc górą. Hellsbane podążała za nią krok w krok, wcale nie czyniąc przy tym hałasu.

Odnalazła ich na końcu ścieżki, biwakujących w małym kanionie bez wyjścia, gęsto porośniętym drzewami. Do tej pory słońce zapadło już gdzieś za drzewami; zaczynało być coraz ciemniej. Już choćby przez to zadanie było trudne; uwolnienie nieznanego w takich okolicznościach będzie wymagało nielicznego trudu, a co gorsza, żołnierzy było teraz więcej niż w grupie, którą widziała przedtem. Nie miała pojęcia, skąd się wzięli; być może już tutaj byli, kiedy nadjechała kapłanka ze swym podopiecznym. Szansę powodzenia zmniejszyły się. Miała przeciw sobie nie pięciu, a dwudziestu.

„Na ognie piekielne” — pomyślała, przyglądając się, jak niektórzy z „nowych” wiąza swojego więźnia. Na sam widok środków bezpieczeństwa Karsytów zabolęły ją stawy: kostki nóg przywiązane do szeroko rozstawionych palików, ramiona wykręcone przez grubą gałąź na plecach, nadgarstki uwiązane do kostek u nóg, tak że jeńiec mógł jedynie klęczeć. Absolutnie nie traktowaliby jeńca w ten sposób, gdyby zamierzali trzymać go dłużej. A zatem — nie zamierzali.

„Wciąż jeszcze mogę pójść swoją drogą” — powiedziała do siebie, opierając brodę na rękach. W nosie wiercił ją mocny zapach liści. „Jeszcze nie jestem w to zamieszana. Nie widzieli mnie, nawet jego koń nie wie, że tutaj jestem. On nie jest kobietą, a więc Potrzeba nie sprawi żadnych kłopotów, jeśli zostawię go jego losowi...”

Ale im dłużej się przypatrywała, tym decyzja opuszczenia go stawała się trudniejsza... Kimkolwiek był ten Herold, był też istotą ludzką, i to zupełnie pocziwą, jeśli wszystko, co Tarma i Kethry o nich opowiadały, było prawdą. Znac było, że kapłanka ma zamiar urządzić przesłuchanie, a Kero orientowała się, co to oznacza. Widziała rezultat jednego z takich przesłuchań i nie miała ochoty pozwolić, by obcego coś takiego spotkało. Ponadto jeśli ci dranie zatrzymywali się, by wziąć go na spytki tak blisko granicy, musieli mieć po temu ważne powody. Tym sowitsza będzie zatem nagroda za jego wolność, a wieści, które zebrał i zapamiętał, będą dla kogoś bardzo cenne. Gdyby udało się jej go uwolnić, niewątpliwie wskazałby jej najkrótszą drogę z Karsu i przez granicę do Valdemaru, gdzie będzie przynajmniej bezpieczna, jeśli nie gorąco witana. A stamtąd można będzie wrócić do domu...

To rozstrzygnęło — myśl o „domu” wyzwoliła zagłuszającą wszystko tęsknotę.

„Musi być jakiś sposób” — myślała ponuro. „Musi być”. Obserwowała bacznie, jak kobieta podwija rękawy swej szaty, wybiera z ognia jeden z włożonych tam przez siebie pogrzebaczy, ogląda go krytycznie i odkłada z powrotem. „Ha. Jak dotąd, ta kapłanka nie podniosła wzroku ani razu. A więc, albo nie umie wy-

czuć ani mnie, ani Potrzeby, albo jest zbyt zajęta. Tak czy siak, mogłabym ostrożnie spróbować podsłuchać jej myśli. Może dowiem się czegoś istotnego”.

Ostrożnie usunęła zasłonę i wysłała delikatną wiązkę myśli, która ulatując przebyła dzielącą ich odległość.

I nagle ktoś uczeplił się tego malutkiego palca myśli i zacisnął na nim, rozpaczliwą, mentalną garść.

„Błogosławiona Agniro!” Panika dodała jej sił, o które siebie nie podejrzewała. Uwolniła swe myśli i wtuliła twarz w liście, leżąc z bijącym ze strachu sercem. Jej pierwszą, paniczną refleksją było, że odkryła ją kapłanka; następnie doszła do wniosku, że tam w dole był mag. Ale w obozie nie dostrzegła najmniejszych oznak poruszenia, nikt nie bił na alarm, nie wskazywał jej kryjówek. Zdusiła w sobie panikę i ponowiła próbę, szukając „istoty”, która się jej uczepliła.

„To” uchwyciło ją ponownie, już nie tak na ślepo, lecz równie rozpaczliwie.

— *Kim jesteś?* — pomyślała, formułując jasno pytanie, jak nauczył ją tego Warrl.

— *Eldan. Kim ty jesteś? Myślałem, że jestem tutaj jedyny!*

— *Kerowyn...*

— *Musisz mi pomóc wydostać się stąd* — zażądał, przerwawszy jej; jego myślgłos drżał. — *Muszę wrócić i złożyć raport!*

— *To świetnie* — odpowiedziała — *Ile to jest dla ciebie warte? Czy raczej powinnam rzec — dla Valdemaru?*

To go zastopowało. Wydawał się, że jest bardziej zdumiony niż wstrząśnięty. Z jego myśli wynikało jasno, że nie rozumie zupełnie, o co jej chodzi.

— *Jaką wartość ma dla ciebie wolność? Ile...* — powtórzyła cierpliwie — *pieniędzy, mój przyjacielu. Jaka jest nagroda za wyzwolenie cię? Nie biorę w tym udziału dla zabawy. Zarabiam na życie, choć są łatwiejsze sposoby.*

— *Ja...* — zająknął się — *Ja... myślałem, że jesteś Heroldem...*

Zaległa cisza. Powoli docierał do niego fakt, że ona najwyraźniej była kimś innym.

— *Oczywiście, że nie, przyjacielu. Wyjaśnię ci sytuację: jestem zawodowym żołnierzem. Najemnikiem. A teraz chcesz, abym cię uwolniła czy nie?* — Nie mogła oprzeć się drobnemu okrucieństwu. — *Za moment te pogrzebaczki rozgrzeją się na dobre.*

Czekała na jego odpowiedź. Nie trwało to długo. Wymienił kwotę. Ze zdziwienia zamrugła powiekami. Było to więcej, niż odważyłaby się zażądać i spodziewała się, że cena zostanie zbita po targach. „Albo jest ważniejszy, niż myślałam, albo ma wyolbrzymione mniemanie o własnej wartości. Tak czy inaczej, trzymam go za słowo”.

— *Dajesz słowo?* — zapytała.

Dał słowo. Wydawało się, że zarazem odrobinę się na jej żądanie zachnął.

— *Mój Towarzysz ci w tym pomoże* — dodał.

Doskonale, było to jedynie potwierdzeniem wszystkich opowieści Tarmy o koniach-duchach.

— *W porządku...* — powiedziała i stwierdziła, że wydawał się nieco zaskoczony tak spokojnym przyjęciem propozycji. — *Oto, co zrobimy...*

Karsyci liczyli na to, że rozbicie obozowiska w ślepym kanionie uchroni ich przed atakiem z trzech stron. Prawdopodobnie założyli, że utrudnieniem dla przeciwników będzie gęstwina drzew porastająca zbocza. Chociaż stok, na którym ukrywała się Kero, był w istocie stromy, jednak okazał się nie dość stromy dla bojowej klaczy Shin'a'in, która przeszła szkolenie także w lesie.

Zaatakowali bez uprzedzenia. Kero wiedziała, że Karsyci nie wezmą trzasku towarzyszącego przedzieraniu się jej konia przez zarośla za atak, dopóki nie będzie za późno. Wydobyła swój łuk i okazało się, że ani celność oka, ani jej strzały nie ucierpiały z powodu przerwy w ich używaniu. Sylwetki wojowników wroga były dobrze widoczne na tle ognia. Jeszcze z siodła położyła czterech karsyckich strażników, dwóch strzałami w serce, a dwóch — w szyję. Gorączka bitewna wzięła nad nią górę i cały jej świat zawęził się do celu i reakcji. Nie było w nim miejsca na nic innego.

Równocześnie tumult u wejścia do kanionu oznaczał szarżę Towarzysza. Kero czuła się nieco winna, że skierowała tam bezbronnego konia, lecz Towarzysz nie mógł — w przeciwieństwie do niej — rozciąć więzów Eldana.

Hellsbane ześlizgnęła się na czterech nogach i stanęła obok klęczącego herolda. Kero przerzuciła nogę ponad łękiem, wykonała salto przez plecy, wypuściła kolejną strzałę i zdobyła piąty punkt. Tygodnie spędzone za liniami Karsytów pozwoliły jej poznać nieco ich język. Usłyszała okrzyki i z użytego rodzajnika zrozumiała, że pomyłkowo wzięli jej siwą, bojową klacz za białego Towarzysza, a ją samą za jeszcze jednego herolda — to byłoby nawet zabawne, gdyby starczyło jej czasu na pomyślenie o tym.

Przecięła więzy Herolda, podczas gdy Towarzysz, szarżując w ich kierunku, stratował po drodze kolejnych dwóch Karsytów, a Hellsbane stanęła dęba i rozplątała czaszkę trzeciemu. Z pętami na kostkach i nadgarstkach więźnia łatwo było sobie poradzić, ale kiedy zamierzała przeciąć rzemienie krępujące ramiona Eldana do drewnianej kłody, napadło na nią dwóch Karsytów. Cisnęła nóż do stóp Herolda, zasłaniając się przed raczej niezdatnym atakiem pierwszego napastnika. Z nim szybko się uporała, lecz nadbiegł jego przyjaciel, a po nim następny...

Hellsbane ją wyprzedziła, przysiadła na tylnych nogach i załatwiła pierwszego żołnierza od tyłu. Towarzysz wywalczył sobie drogę do boku Herolda. Teraz przynajmniej nie musiała się martwić ochranianiem jego pleców, podczas gdy on uwalniał się z więzów.

Wydawało się, że została uderzona kilka razy, lecz rany nie bolały. Ponieważ to nie zwalniało jej ruchów, jak zwykle nie zwracała na nie uwagi. Konie zastępowały w pracy czterech do pięciu wojowników, atakując i tratując ludzi, pędząc

ich przed sobą jak stadka przerażonych przepiórek i Kero przyszło do głowy, że to się uda. . .

Nagle odwróciła się na pięcie, aby stawić czoło przeciwnikowi, który zaszedł ją od tyłu. . . I miecz powstrzymał ją w połowie cięcia.

Nowym przeciwnikiem była kapłanka-wojownik. Kobieta. Miecz nie zezwolił Kero na atak.

„PuśćmnietydurnykęsacynySYNU!” — wrzasnęła w myślach na ostrze, widząc śmierć w roześmianych oczach kapłanki, w okrutnym grymasie jej ust, w powolnym kołysaniu maczugi. . .

Wtedy w zapadających ciemnościach zawirował konar drzewny i z głośnym trzaskiem przełamał się na pół na głowie kobiety. Kapłanka upuściła swoją maczugę i runęła na ziemię.

Potrzeba uwolniła Kero. Gdzieś w zakamarkach mózgu dziewczyna usłyszała zanikający, senny pomruk.

— Dziękuję — powiedziała do Herolda ze szczerością, na jaką tylko mogła się zdobyć.

— Proszę bardzo — odpowiedział, uśmiechając się szeroko. Lecz w obozie wciąż było zbyt wielu Karsytów, a i pełne zdumienia niedowierzanie, które ich ogarnęło, kiedy padł ich przywódca, nie miało trwać długo.

Kero skoczyła na Hellsbane w pełnym biegu szeroko rozstawiając nogi nad grzbietem klaczy i wylądowała w siodle. Nie minęła chwila, a Herold poszedł w jej ślady.

Nie potrafiła oprzeć się pokusie i — gdy tętniąc kopytami, wypadli z gardzieli kanionu, tratując przy okazji kolejnych dwóch Karsytów nie dość szybko schodzących im z drogi — pozwoliła sobie na ścinający krew w żyłach okrzyk wojenny Shin'a'in.

Niech się domyślają, z kim mieli do czynienia.

— Jak sądzisz, dostatecznie się oddaliliśmy? — znużona zapytała Eldana.

Od świtu dzieliła ich mniej więcej jedna marka na świecy.

— Mam taką nadzieję, to pewne — odpowiedział. Jego głos był tak samo matowy, bez życia, jak i jej. — I bardzo wątpię, aby szli naszym tropem. Gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego? Mam na myśli zacieranie śladów.

— To mój zawód — przypomniała mu i krytycznie przyjrzała się niebu.

Na zachodzie wciąż świeciły gwiazdy, lecz na wschodzie ponad gęstymi sośnami niebo rozjaśniało się zauważalnie. Nadeszła pora, aby zaszyć się w jakiejś dziurze.

— Przydałoby się znaleźć jaskinię albo półkę skalną wiszącą nad krzewami, cokolwiek — mówiła. — Potrzebna nam kryjówka na dwa, może trzy dni, może na dłużej, a więc musi być niewidoczna nawet dla bardzo bystrego oka. Marzę o jaskini; naprawdę marzę.

Wyglądał na oszołomionego i niezbyt szczęśliwego.

— Dwa dni? Trzy? Ale...

— Wiem, o czym myślisz — ucięła krótko. — Zaufaj mi w tym przypadku. Ja jestem ranna, ty jesteś ranny, a Karsyci będą się spodziewać, że wyruszymy prosto do granicy. Potrzebny nam jest czas na powrót do sił, potrzebny jest czas, aby i nasz trop się zestarzał. Jeśli zatrzymamy się tutaj i zaszyjemy w jakieś dziurze, znajdziemy się za ich plecami. Tam nie będą nas szukać.

Ciemniejsza sylwetka Herolda Eldana ledwie rysowała się na tle jaśniejszego nieba i Kero uzmysłowiła sobie, że nie wie, jak on naprawdę wygląda. Potrząsnął głową z powątpiewaniem i wzruszył ramionami.

— W porządku. Oczywiście wiesz, co robisz. — Wykonał wytworny gest: — Prowadź, moja pani.

Zwykle odgryzłaby się krótko: „Nie jestem niczyją panią, tym bardziej twoją”, lecz coś w Eldanie, podświadoma gracia, poczucie, że potraktowałby pomywaczkę i księżniczkę z taką samą kurtuazją, zmusiło ją do uśmiechu. Wyprzedziła go, z Hellsbane idącą trop w trop za nią jak olbrzymi pies.

Wiedziała, czego chce, kiedy rozpoczęła poszukiwania pomiędzy skałami z boku drogi, śledząc najniklejsze tropy dzikiej zwierzyny. Czuła, że uda jej się znaleźć kryjówkę pośród tych nierównych, piaskowcowych zboczy: jaskinię, gdzie mogliby się ukryć i odpocząć, nie obawiając się wytropienia. Przede wszystkim ich przysła kryjówka powinna być dostatecznie duża, by mogła pomieścić konie. Towarzysz Eldana może i był w stanie upodobnić się do mglistego obłoczka i nie zwracać na siebie uwagi, lecz Hellsbane wyglądała aż nadto solidnie.

Zbadała kilka miejsc obiecujących na pierwszy rzut oka, lecz żadne nie było dostatecznie obszerne. Zaniepokojonym wzrokiem zaczęła spozierać w niebo. Wschodzące słońce zabarwiło wschodni horyzont na delikatny różowy kolor i kiedy Karsyci odprawiają swoje poranne pacierze, pościg rozpocznie się na dobre. Miało to i swoją dobrą stronę — niewielką, ale zawsze. Nietoperze będą wracały do swoich nor, a tam gdzie są nietoperze, tam są i jaskinie.

Zauważyła skalną półkę. Wydawało jej się, że dostrzegła wyzierający spod niej ciemny kształt. Wdrapała się na nią po omacku. Zmęczone członki nie były posłuszne, straciła refleks i, jak się tego należało spodziewać, potknęła się, całkowicie utraciła równowagę, bezradnie starając uchwycić się krzewów. Nie zdążyła. Tocząc się spadła w dół po zboczu i wylądowała w splątanych zaroślach...

Poprzez zwarte, cierniste gałęzie, z jękiem, którego nie udało jej się zdusić, zapadała się w ciemność. Na twarz posypało się jej mnóstwo kamieni; wciąż spadała i w końcu uderzyła o coś głową. Na moment przed oczami stanęły jej gwiazdy.

Leżała na plecach. Otaczały ją ciemności, w uszach jej dzwoniło i zastanawiała się, co tutaj robi.

— Kerowyn?

Zamrugnęła oczami, próbując przypomnieć sobie, gdzie jest i do kogo może należeć ten głos.

— Kerowyn? — z pewnością ten głos brzmiał znajomo.

Usiadła i jej głowa ostro zaprotestowała, ale pamięć powróciła. To uratowany Eldan.

— Jestem tutaj! — krzyknęła.

Powracające do niej z głębokich ciemności echo pobrzmiwało nastrojem uniesienia, którego nawet jej obolała głowa nie była w stanie popsuć.

— Czy wszystko z tobą w porządku?

Skierowała wzrok w stronę, skąd słychać było głos i zobaczyła jaśniejącą w ciemnościach płamę. To musiało być wejście, zasłonięte krzewami tak gęstymi, że nawet ona nie domyśliła się jego istnienia.

— Mniej więcej — odpowiedziała, ostrożnie stając na nogi. Natychmiast usiadła ponownie, gdy zakręciło jej się w głowie.

— Czy możesz sprowadzić tutaj konie? Akurat teraz lekko trzęsą mi się kolana.

— Myślę, że tak.

Rozległ się odgłos jakby ktoś torował sobie drogę przez krzewy, odszedł i po chwili wrócił.

— Wydaje się, że jest wystarczająco obszerna. Trzymaj się, zapalę świecę.

Zmrużyła oczy wskutek nagłego rozbłysku światła i odwróciła wzrok w głąb jaskini. Interesujące, nie mogła dostrzec, gdzie ciemności się kończą. Kiedy zerknęła ponownie, Eldan ze świecą w ręce wprowadzał Hellsbane. Koń sprzeciwiał się rzeniem, lecz szedł posłusznie. To granoczyło z cudem.

— Powinna wyłamać ci ramię. Wiesz? — powiedziała spokojnie, kiedy Eldan zmuszał klacz do zejścia w dół śliskiego zbocza na spód jaskini. — Jest nauczona nie słuchać nikogo oprócz mnie albo kogoś, kogo wyznaczyłam i z kim pracowała w mojej obecności. Powinna próbować cię zabić lub przynajmniej zranić.

— Jednym z moich Darów jest myślomowa zwierząt — rzekł od niechcenia. A potem wypuścił z rąk lejce, błysnął zębami w uśmiechu na widok jej zdumionego wyrazu twarzy i wspiął się z powrotem po zboczu, zostawiwszy przylepioną na kamieniu świecę.

— No tak — powiedziała słabo do klaczy. — Myślomowa zwierząt. No oczywiście. Powinnam to wiedzieć. . .

— Czy to boli? — zapytał Eldan, odklejając przesiąknięty krwią, wyschnięty kawałek płótna z przecięcia na jej nodze.

Rana nie była głęboka, ale paskudna. Kero krwawiła jak przysłowiowe zarżnięte prosię.

Teraz, kiedy znaleźli bezpieczne schronienie, rana zaczęła boleć. Nawet bardzo. Prawdę powiedziawszy, solidnie dawała jej się we znaki.

— Tak — odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. — Boli.

— W takim razie dlaczego nie pojęczysz sobie trochę? To może ci dobrze zrobić.

— Wycie w niczym tu nie pomoże bez względu na to, jaką mam na nie ochotę — zwróciła mu uwagę. — A tam może być ktoś, kto mógłby mnie usłyszeć.

Westchnął i powtórzył:

— Jednym z moich Darów jest myśl-mowa zwierząt, moja pani. Gdyby tam ktoś był, dzikie zwierzęta wiedziałyby o tym i ja bym wiedział. Jedynymi stworzeniami, które cię usłyszą, będzie kilka jeleni i parę wiewiórek.

— Nazwij to zatem siłą przyzwyczajenia — odrzekła, zaciskając pięści, kiedy rozmawiając z nią czyścił ranę.

Ona opatrzyła go wcześniej, napotykać głównie siniaki i kilka brzydko wyglądających nacięć oraz oparzeń tam, gdzie kapłanka wstępnie zaczęła go „ura-biać”. Okazało się, że jest całkiem przystojnym chłopcem; szczupłym, muskularnym i nieco wyższym od niej, o oczach w ciepłym, brązowym kolorze, ciemnobrązowych włosach i — co zaskakujące — z dwoma białymi kosmykami, po jednym na każdej skroni. Miał wysokie policzki, podbródek zdradzający upór i wspaniałomyślne usta, które wyglądały tak, jakby bardzo często gościł na nich uśmiech.

— Nie sądzę, aby potrzebne było szycie — stwierdził na koniec. — Wystarczy jedynie dobrze zabandażować.

— Co za ulga. — Pozwoliła sobie na uśmiech. — Dziękuję za wszystko. Szkoda, że odszukanie tego miejsca spadło na moją głowę.

Eldan strawił sporo czasu na zbieraniu i znoszeniu do jaskini całych naręczy traw dla koni, a potem ruszył na poszukiwanie jedzenia dla nich obojga. To wtedy zapewnił ją, że jego dar rozumienia myśli zwierząt gwarantuje mu bezpieczeństwo. Jakoś nie zdziwiła się nadmiernie, kiedy przyniósł korzonki, jadalne mchy i ryby. Oczywiście było, że jeśli trzeba będzie przynieść nieco czerwonego mięsa lub dzikiego ptactwa, ona będzie musiała być myśliwym. Jednakże nie prędzej jak jutro, gdyż upadając nabawiła się lekkiego wstrząsu mózgu.

Sklepienie jaskini było tak wysokie, że rozpalenie ognia nie okazało się uciążliwe dla nich i gorąca ryba — oblepiona gliną, nadziewana grzybami i z dodatkiem pieczonych w popiele korzeni — smakowała niczym najdelikatniejsza potrawa, jaką kiedykolwiek miała w ustach.

— Na niebiosy, jak trafiłaś do najemników? — zapytał Eldan, owijając bandażem jej nogę.

— Przez przypadek; mniej więcej — odpowiedziała. — Spodziewam się, że to zabrzmi potwornie w twoich uszach, ale tak się składa, że jestem doskonała w walce i nie miałam ochoty robić żadnej z tych rzeczy, które powszechnie uważa się za właściwe dla młodych kobiet.

— Takich jak mąż i dzieci? — Ku jej łagodnemu zdziwieniu Eldan kiwnął potakująco głową. — Moja siostra podzielała te uczucia. Tylko że ja nie mogę sobie po prostu wyobrazić, by ktokolwiek z darem myślmowy czuł się dobrze,

zabijając ludzi.

— Nieczęsto z niego korzystam. Mam na myśli Dar.

Nic by się nie stało, gdyby go utraciła — przebiegł ją lekki dreszcz. Eldan był jedyną istotą, jeśli nie liczyć Warrla, który wiedział o tym tak zwanym Darze, i to ją przeraziło bardziej niż cokolwiek innego w przeciągu ostatnich pięciu lat.

— Nie zdradź tego nikomu. Dobrze?

— Nie ma powodu, dla którego miałbym to zrobić — upewnił ją i uwierzyła mu. — Jednak muszę przyznać, że nie rozumiem, dlaczego chcesz utrzymywać to w tajemnicy, jeśli nie korzystasz z tego zbyt często.

— Żyję pośród najemników — wyjaśniła. — Ludzi, którzy cenią sobie prawo do prywatności i którzy, generalnie mówiąc, mają swoje tajemnice.

— Aa... — Kiwnął głową. — Podczas gdy wśród Heroldów taki dar jest rzeczą zwyczajną i my rozumiemy, że nie grzebie się w cudzych myślach jak w koszu na starą bieliznę. Istnieje specjalny protokół, którego przestrzegamy. Nawet zwykli, nieutalentowani ludzie Valdemaru to rozumieją.

Przez chwilę próbowała sobie wyobrazić miejsce, gdzie coś takiego byłoby prawdą — krainę, gdzie nie unikano by jej z powodu daru, gdzie nie uważano by, że jest niebezpieczna.

— No cóż, różnimy się — przyznał. — Pozwolisz mi obejrzeć przecięcie na twoich żebrach, hmm?

Ściągnęła tunikę i podciągnęła koszulę bez zastanowienia; tak samo jak w przypadku Tre albo Giesa, czy też Shalla. Jednak kiedy Eldan czyścił jej długą, płytką ranę swymi delikatnymi dłońmi, poczuła, iż rozgrzewają się jej policzki i stwierdziła zmartwiona, że jego dotyk jest podniecający.

„Nic dziwnego” — rozumowała rozsądnie. „Oboje otarliśmy się o śmierć. Ciało tak reaguje, łatwo się podnieca po przejściu przez niebezpieczeństwo. Widywałam Shalla znikającą w najbliższych zaroślach z Relli, obie jeszcze parujące posoką. Zagłębienie śmierci w oczy wydaje się nadawać wartość życiu. Do diabła, czułam to mnóstwo razy, tyle że nie robiłam nic, ponieważ nie było w pobliżu nikogo, z kim miałabym ochotę się obudzić. On jest tym, obok kogo nie wzbraniałabym się powitać wschodu słońca”. Zorientowała się, w jakim kierunku zmierzają jej myśli i sama siebie surowo skarciła. „Ależ to nie powód, aby z nim zaczynać”.

— *Czy wiesz, moja pani* — szepczące myśli pieszczotliwie gładziły jej mózg — *iz to, że zawsze obawiałaś się czegoś, nie oznacza, abyś miała wiecznie żyć przed tym w strachu?*

Przez chwilę czuła zmieszanie, potem rozzłościło ją podsłuchiwanie jej myśli, aż wreszcie zrozumiała, że on mówił o myślmowie, a nie o seksie. Dotknięcie jego myśli było zmysłowe, tak samo jak dotyk jego dłoni tuż poniżej jej piersi. Jedynym myślmówcą, z którym do tej pory dzieliła się myślami, był Warrl, który nie tylko nie był istotą ludzką, ale był też bezpłciowy. Nigdy nie czuła nic tak intymnego jak teraz, kiedy myśli Eldana łączyły się z jej własnymi... Zawierały

odcienie, których mową nie udałoby się wyrazić; poczucie, że ona się jemu podoba, tak jak on jej. Napomknienie, że jego ciało otarłszy się o śmierć, reaguje tak samo...

„Będziemy musieli zatrzymać się tutaj, dopóki polowanie się nie skończy” — pomyślała z roztargnieniem, większość uwagi poświęcając jego ciepłym dłoniom, łagodzącym ból żeber i jedwabnym muśnięciom jego myśli w swoim mózgu. „To stanie się, prędzej czy później. Oboje jesteśmy młodzi, zainteresowani sobą. Nie istnieje powód, dla którego nie powinniśmy tego uczynić. Jeśli tego nie zrobimy, sytuacja stanie się naprawdę napięta”.

Pochwyciła go za ręce, gdy tylko skończył ją bandażować i powoli, całkowicie rozmyślnie, przyciągnęła go do siebie.

Był zaskoczony — och, niezupełnie, lecz nie spodziewał się, jak podejrzewała, że ona jest tak bezpośrednia. Poczwała nagły błysk, jakby szok, lecz trwało to bardzo krótko. Świadomie otworzyła mózg przed dotykiem jego myśli i po krótkiej chwili ich myśli połączyły się, tak jak ich wargi, a potem położył się obok niej na posłaniu.

Rozwarła usta przygotowana na jego pocałunek tylko po to, aby stwierdzić, że on zrobił to samo. Zachichotała krótko na widok tego wyraźnego entuzjazmu. Wsunął ręce pod jej koszulę, kładąc dłonie na piersiach, których jeszcze przed chwilą tak bardzo starał się nie dotknąć. Rozwiązała rzemienie jego spodni i pomogła mu się z nich wyplątać, podczas gdy on pomógł jej pozbyć się koszuli. Zmęczeni i obolali nie spieszyli się zbytnio, biorąc za wskazówkę to, co odnajdywali nawzajem w swych myślach. Miłość taka jak ta, wprost z mózgu do mózgu, była niesłychanie intymnym i zmysłowym doświadczeniem dla Kero, jakiego nie doznała nigdy w życiu; było zaś jasne, że dla Eldana nie była to nowość. Prawdę mówiąc, musiała przyznać, że jest bardzo doświadczony w wielu dziedzinach, obdarzony dużą wiedzą. Zupełnie inny niż Daren. W pewnym momencie wypaliła się świeca i jaskinię rozświetlał jedynie ogień. Ledwie zwróciła na to uwagę. Widziała go tak samo wyraźnie rękami, swoim umysłem, jak i oczami.

Najbardziej odróżniała go od Darena niewiarygodna cierpliwość. Minęło sporo czasu od momentu, kiedy po raz ostatni miała kochanka; Eldan był wyrozumiały i delikatny. Upewnił się, że to ona najpierw poczuła satysfakcję, że została w pełni zaspokojona, zanim sam przeżył przyjemność. Przyjemność, do której się przyłączyła z dreszczem wzmagany przez to, co napływało z jego mózgu. Wygiął się w łuk i krzyknął z radości, potem zwolnił, dysząc nierówno, płytko i znieruchomiał na niej. Leżeli spleceni. Stopniowo Kero uzmysłowiła sobie, że on zwalcza nadchodzącą senność. Końcami palców delikatnie musnęła uspokajając jego kark. Westchnął na tę wymianę myśli bez słów i poddał się. Wyszedł z niej, powoli i delikatnie, wciąż świadomy wszystkiego, co przeżyły ich ciała. Kiedy nabrała pewności, że się nie obudzi, ostrożnie wyswobodziła się, znalazła kawałek suchego drewna i dorzuciła do ognia. Zrobiło się jaśniej i mogła się rozej-

rzec. Wyciągnęła rękę i złapała za brzeg pościeli, potrząsnęła Eldanem i nakryła jego i siebie kocem. Kładąc się obok, zdążyła zauważyć, że Towarzysz westchnął, patrząc na niego, zanim odwrócił się, by stanąć u wejścia do jaskini „na straży”. To była ostatnia rzecz, którą zobaczyła przed zapadnięciem w sen.

Kiedy się przebudziła, Eldan już wstał i krzątał się dookoła. Prawdę mówiąc, właśnie to ją obudziło; zachował się rozsądnie i nie próbował być cicho. Coś, co przypominałoby skradanie się, wyrwałoby ją ze snu na równe nogi z bronią w rękę. Obudziła się na tyle, aby stwierdzić, gdzie jest i z kim, aby później rozkoszować się luksusem powolnego dochodzenia do pełnej świadomości. Nie było pośpiechu. Było absolutnie pewne, że nigdzie nie wyruszała. . .

Zwłaszcza dzisiaj, kiedy była jednym, wielkim bólem od stóp do czubka głowy. Oczywiście bolały ją jedynie mięśnie i siniaki, bo rany cięte były już na wpół zabliznione. Podejrzewała, że odniesione przez nią rany były znacznie poważniejsze w momencie, kiedy je zadano, ale jedną z właściwości Potrzeby było, iż zawsze uzdrawiała właściciela, wyjąwszy przypadki ran fatalnych. Ukradkiem zadbała o to, aby miecz znalazł się pod jej pościelą, dobrze wyściełaną dla uniknięcia niewygody, zanim rozebrała się, aby Eldan ją opatrzył. Nie musiała pozostawać w fizycznym kontakcie, by mógł ją uzdrowić; wystarczyło, że znajdował się w pobliżu, lecz lubiła mieć go pod łóżkiem, kiedy miała sobie radzić z bólem. Było pewne, że nigdy by nie zasnęła ze wstrząsem mózgu bez uzdrawiającej mocy Potrzeby. Ciekawiło ją, co pomyśli Eldan o jej szybkim dojściu do zdrowia.

„Mam nadzieję, iż pomyśli sobie, że odrobina daru uzdrowicielskiego jest jedną z moich zdolności. Wolałabym, aby nie zadawał zbyt wielu pytań o Potrzebie. Babka powiadała, że jest coś dziwnego w stosunku heroldów do magii. Raczej wolałabym nie dowiadywać się co”.

Eldan zabrał się do urządzania jaskini, by mogli wygodnie zatrzymać się tutaj przez kilka dni. Właśnie w tej chwili zasypywał liśćmi orlicy wgłębienie i pokrywał je warstwą trawy. Po chwili domyśliła się dlaczego. Miało z tego powstać łóżko o wiele wygodniejsze niż pościel na zimnej skale jaskini. Obserwowała go, mrugając zaspanymi oczami, jak odwraca swoje i jej siodło, aby je wysuszyć oraz rozpościera obydwie czapraki, aby je przewietrzyć.

— Ściesz gniazdo, sokole? Jesteś ambitniejszy ode mnie — powiedziała ziewając.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

— Łap — odrzekł, rzucając jej suche ubranie. — Jest czyste. Wyprałem je, kiedy spałaś.

Odrzuciła koce i przesunęła ręką po włosach, krzywiąc się, kiedy ich dotknęła.

— Niemal z niechęcią myślę o założeniu czystego ubrania, kiedy jestem taka brudna.

— I temu można z łatwością zaradzić — stwierdził. — To jest jaskinia z pia-

skowca, co oznacza wodę. Wystarczy zapasu dla nas wszystkich, a nawet na małą kąpiel.

Jedną z rzeczy, które zwędziła, szukając żywności, była kostka szarego mydła, ostrego od ługu — jednak można się było nim umyć. Znajdowało się w jej jukach. Eldan najwyraźniej odnalazł je, grzebiąc tam w poszukiwaniu medykamentów. Podał jej mydło i skrawek płótna, który kiedyś był częścią jej koszuli. Na jego dobytek składało się niewiele poza zwijanym podróżnym pościelaniem i odzieniem.

— Chodź, dotrzyмай mi towarzystwa — rzekła, kierując się w głąb jaskini, w stronę obiecaną wody.

Rzeczywiście, płynął tam niewielki, lodowaty strumyk. Żłobiąc okrągły stawek, strumień wpływał z jednej, a wypływał z drugiej strony jaskini. Aż się skrzywiła, zanurzwszy w nim rękę, jednak lepsza lodowata woda od brudu.

— A więc w jaki sposób udało ci się znaleźć tak atrakcyjne towarzystwo? — zapytała, wcierając w brud, który wydawał się częścią jej osoby, ostre mydło i zimną wodę.

— No cóż, byłem skrępowany przez cały czas...

— Miałam na myśli Karsytów, głuptasie — powiedziała, pryskając na niego wodą.

Schował głowę i zaśmiał się.

— Ostrożnie, bo zgasisz świecę — ostrzegł. — A nie mam ich zbyt wielu. Prawdę powiedziawszy, powinniśmy zadowolić się światłem ogniska. A więc chcesz wiedzieć, w jaki sposób znalazłem się w towarzystwie Karsytów? Zaproponuj ci coś: ty odpowiesz na pytanie, to i ja na jedno odpowiem. No jak, uczciwa umowa?

— No... — odpowiedziała ostrożnie.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie tak dobrze nauczyłaś się posługiwać swoim Darem, skoro nikomu o tym nie mówiłaś — ochoczo wpadł jej w słowo. — Twoje panowanie nad sobą jest zdumiewające!

— Powiedziałam to jednej... osobie — przyznała z ociąganiem. — Tak naprawdę, to on przyszedł do mnie, ponieważ przeze mnie... hmm... w nocy miał kłopoty z zaśnięciem.

Zanurzyła głowę w zimnej wodzie. Przebiegł ją dreszcz, wywołany nie tylko lodowatą kąpielą. Lata ukrywania swoich zdolności spowodowały, że zwyczaj utrzymywania tajemnicy zbyt szybko stopił się z jej osobowością, aby łamanie go poprawiało samopoczucie. Milczenie między nimi przedłużyło się.

— Zrozum — rzekła z zakłopotaniem, w jej włosach pełno było mydła. — Wołałabym raczej o tym nie rozmawiać. To... to po prostu nie wydaje się właściwe. Naprawdę nie wykorzystuję go tak często i wołałabym zapomnieć o tym, że go posiadam.

Westchnął, ale nie nalegał.

— Sądzę, że na mnie kolej, he? No dobrze, to naprawdę głupie. Czy raczej to ja okazałem się głupi. Byłem tuż po drugiej stronie granicy, w małej osadzie. Nie byłem szpiegiem — niezupełnie. Zbierałem jedynie miejscowe wiadomości, plotki.

Odwróciła się, aby mu się uważnie przyjrzeć.

— Mając na sobie to? Błogosławiona Agniro, a cóż z ciebie za dureń?

— Nie taki znowu dureń! — odgryzł się, a potem powiedział: — Przepraszam. Nie byłem aż tak głupi. Nie. Miałem na sobie normalne ubranie i szedłem pieszo. Pozostawiłem Rathę w lesie, poza murami osady. Wydawało mi się, iż moje przebranie jest bez zarzutu i sądziłem, że znajomy zasługuje na zaufanie, ale najwyraźniej coś nie poszło tak, jak trzeba. Myślę, że ktoś mnie wydał, ale prawdopodobnie nigdy nie będę tego wiedział na pewno. W każdym razie, kiedy po raz pierwszy wywleczono mnie poza mury, było tam ledwie kilku strażników. Kapłanki nie zauważyłem. Ratha próbował mnie uwolnić i wtedy udało im się zdobyć jeden z moich juków, chociaż jego samego nie byli w stanie pochwytać.

— A kiedy znaleźli uniform, nie mogli się oprzeć i założyli go tobie.

Wyplukwała włosy i wytarła ciało szmatą, którą jej podał. Z uśmiechem rozbawienia rozpoznała resztę swojej zniszczonej koszuli.

— Mogę zrozumieć tok ich rozumowania: chcieli jak najdobitniej ukazać kapłance, że schwytany jeniec to naprawdę Herold.

Kiwnął głową. Włożyła czyste ubranie poprzez ociekające wodą włosy.

— I to wszystko. Krótko i węzłowato.

„Pomijając powody, dla których znalazłeś się tutaj. Jedynie zbieranie wiadomości, he? Posiadając zdolność odczytywania myśli? Niezbyt prawdopodobne, a niech mnie. Zostałeś przydzielony dotej wioski, aby podsłuchiwać wszystko, co się da. Jesteś większym głupcem, niż sądziłam, jeśli nie uzmysłowiłeś sobie, że ja się tego domyśliłam. A więc wy, Heroldowie, nie jesteście tak szlachetni — ani tak głupi — jak twierdzicie. Istnieje coś takiego jak moralność, ale jest także coś takiego jak oportunizm. Mam jedynie nadzieję, że zachowasz swój oportunizm dla wrogów”.

Jednak nie odezwała się ani słowem, po prostu podeszła do ogniska.

— A ty, skąd ty znalazłaś się tutaj? — zapytał, podając jej pieczone trufle i bukłak z wodą. — Najbliższe walki toczono na granicy Menmellithu, a to o wiele staj stąd.

— Czysty pech — odpowiedziała mu. — Najgorsze pasmo nieszczęść, jakie mogło mnie spotkać za wyjątkiem jednej rzeczy — o ile wiem, nikomu nie udało się mnie zabić.

Uśmiechnął się na to, a ona opowiedziała mu o klęsce, pogoni, skoku do rzeki i o trwającej w nieskończoność ucieczce, coraz bardziej w głąb nieprzyjacielskiej krainy.

... i tak trafiłam tutaj — zakończyła. — Jak już mówiłam, czysty pech.

— Nie dla mnie — zwrócił jej uwagę.
Prychnęła.
— No tak, jeśli wasze obrane bóstwo przywiodło mnie tutaj, aby ocalić twój grzbiet, to będzie cię kosztować podwójnie. Nie będę w stanie ściągnąć tego od boga, lecz nie ulega wątpliwości, że uda mi się to w twoim przypadku!
Zaśmiał się.
— Jeśli jakieś nadprzyrodzone siły miały swój udział w sprowadzeniu cię tutaj, to nie na moje żądanie — zaprotestował. — Nie chodzi o to, że nie modliłem się o wybawienie, lecz oni pochwycili mnie ledwie wczoraj, a ty uciekasz... jak długo? Od tygodni?
— Co najmniej — stwierdziła posępnie. — Wydaje się, że od miesięcy. Czasami mam wrażenie, że nigdy nie wrócę do domu żywa.
— Wrócisz — odpowiedział miękko.
Tylko wzruszyła ramionami.
— A więc zamierzasz przedstawić mnie swojemu przyjacielowi? Udawanie, jakoby był niewiele bystrzejszy od Hellsbane, nie wydaje się zbyt uprzejme.
Eldan rozpromienił się.
— Masz na myśli, że ty...
— Mój zbrojmistrz opowiedział mi o Towarzyszach — odrzekła, wpadając mu w słowo. — Oni są... d... d...
Ni z tego, ni z owego język stanął jej kołkiem w gębie. Za nic nie potrafiła wykrztusić słowa „duch”.
— Wyjątkowi — wydusiła, pocąc się z wysiłku. — Dorównujący umysłowo tobie czy mnie. Prawda?
— Właśnie — promieniał. — Ratha, to jest Kerowyn. Kerowyn, Towarzysz Ratha.
— Zha'hai'allav'a Ratha — rzekła uprzejmie, kiedy Towarzysz zszedł z warty, którą objął z własnej woli, i przydreptał do niej z gracją. — To Shin'a'in, pozdrowienie mojego Klanu — powiedziała do Rathy i herolda. — Oznacza ono „niech zawsze unosi cię na skrzydłach wiatr”. Mój klan zwie się Tale'sedrin, Dzieci Jastrzębi.
Nie wiedziała, dlaczego odpowiednim wydawało się pozdrowienie Shin'a'in. Po prostu pasowało. Ratha skinął jej z kurtuazyjną powagą. Oczy Eldana rozszerzyły się.
— Shin'a'in?! — wykrzyknął i odwrócił się, aby popatrzeć na Hellsbane, drzemającą nad swoją stertą świeżo zerwanej trawy. — W takim razie... z pewnością... nie jest to...
— Ona jest rumakiem bojowym, jak najbardziej — powiedziała Kero z dumą. — I prawdopodobnie jedynym, jakiego można zobaczyć poza Równinami. Ma na imię Hellsbane. Sprytna jak kot, posłuszna jak pies i jeśli ją o to poproszę, staje się prawdziwą czworonożną śmiercią.

— Tyle sam zauważyłem. — Wstał i podszedł do klaczy. Jego ruchy przebudziły ją i spojrzała na niego czujnie.

— Hellsbane! — zawołała Kero, ściągając na siebie uwagę klaczy. — Kathal, dester'edre.

Hellsbane odprężyla się i pozwoliła na bardzo szczegółowe oględziny. Eldan przyjrzał się jej ze starannością urodzonego koniarza. W końcu pozwolił jej zapnąć ponownie w drzemkę, a sam usadowił się przy ognisku.

— Zadziwiające — odezwał się zdumiony. — Najbrzydszy koń, jakiego kiedykolwiek widziałem, lecz pod tą skórą... Gdyby przyszło mi stworzyć bojowego wierzchowca, poczynając od kości, takim go właśnie bym stworzył.

— Mój zbrojmistrz twierdzi, że dokonali tego Shin'a'in — powiedziała Kero. — Bogowie jedynie wiedzą, jak to zrobili i czy naprawdę to zrobili.

— Zdumiewające — powtórzył, potrząsając głową. Następnie podniósł ją do góry. — A więc opowiedz mi o twoim zbrojmistrzu. I jakim sposobem udało ci się zostać zaadoptowaną przez Klan?

Uśmiechnęła się.

— To długa historia. Usadowiłeś się wygodnie?

Byli bardziej znużeni, niż się obojgu wydawało. Poprosił ją, aby zaczęła od początku i uczyniła, jak sobie życzył. Opowiedziała mu o pościgu i ku własnemu zakłopotaniu odkryła, że pieśń dotarła aż do Valdemaru. Kiedy przebrnęła przez opowieść o tym, jak postanowiła opuścić dom, wyprosiwszy pomoc u babki, przyłapała go na ziewaniu.

— Nie jestem... o... aż tak nudna, prawda? — zapytała, stwierdzając, że ziewanie jest zaraźliwe.

— Nie — powiedział. — Tylko nie mogę utrzymać oczu otwartych.

— No cóż, nie sądzę, aby jacyś Karsyci zamierzali podkraść się do nas w ciemności — przyznała — a już jest dawno po zachodzie słońca. Nigdy nie zauważyłam, aby ktokolwiek kręcił się po nocy z wyjątkiem patroli wojskowych. A nawet one nie zbaczają z ubitych dróg.

Nie wspomniała o dziwnych i przerażających chwilach, kiedy czuła się, jakby ktoś na nią polował. Lecz nie miała żadnych dowodów i nic złego jej się nigdy nie przytrafiło.

Wstała i podeszła do sterty splątanych koców, chcąc rzucić je na grubo wysciełane posłanie z paproci, które on wymościł. Wciąż ziewając, Eldan przyłączył się do niej.

— Zdaje się, że wierzą w krążące po nocy demony — odezwał się, strzepując swój koc. — Wygląda na to, że ludzie znikają z własnych domów — czasami całymi rodzinami — i nikt ich nigdy nie widzi. Nie jest tajemnicą, że znikający należą do tych najmniej pobożnych, czy też tych, którzy zadali niewygodne pytania albo okazali jakiegokolwiek inne oznaki buntu.

Przyszły jej na myśl patrole wojskowe przemieszczające się po nocy i znakomicie mogła sobie połączyć te dwie rzeczy.

— Hmm. Sądziysz, że to demony na końskich grzbietach? Odziane w mundury?

— Celna uwaga — przyznał jej rację.

— Czuję ogromną ulgę, że nie urodziłam się w Karsie.

Eldan rozłożył ostatni koc na zaimprovizowanym pościeliu i przekrzywił głowę.

— Nie wszyscy, którzy znikają, zostają nieboszczykami, moja pani — powiedział. — Niektórzy z nich stają się kapłanami.

— Nigdy w życiu! — wykrzyknęła.

— Jeszcze nie skończyłem. Zachowują swoje zdolności, ale zapominają wszystko o swoim minionym życiu. Wszystko! To właśnie przytrafiło się komuś, z kim — jak sądziłem — mogłem wejść w porozumienie. Posiadała dar myślowy, który dopiero się wykluwał. Kiedy ją później widziałem, nie rozpoznawała nikogo, kto niegdyś był jej znajomym. Jej mózg był jak tabula rasa, a oddanie Panu Słońca absolutne. — Pokiwał głową, a ona poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

— Twierdzisz, że każdy posiadający Dar trafia do stanu kapłańskiego i że jakiś kapłan pozbawia go mózgu?

Idea była przerażająca bardziej niż gwałt czy tortury, po których pozostaje przynajmniej własny mózg.

— Ktoś z kapłanów wymazuje ich mózgi, do czysta. Byłem w stanie wyzwolić wspomnienia u kogoś, kto cierpiał na zanik pamięci w następstwie uszkodzenia głowy... — (zapamiętała sobie to na przyszłość) -... lecz nigdy nie zdołałem uczynić tego z jedną z tych kapłanek. — Westchnął. — Ktoś mógłby powiedzieć, że i tak lepsze to niż śmierć, ale czy ja wiem.

Nie umiała opanować drżenia.

— Ja wolałabym umrzeć.

Aby ją uspokoić, otoczył ją ramieniem.

— Powiedziałem ci o czymś, co na pewno przyprawi cię o koszmary senne — stwierdził ze skruchą. — Przepraszam. Nie miałem zamiaru...

Pod wpływem nagłej zmiany nastroju mocniej przytuliła się do niego; uczucie gorąca w jej łędźwiach podsycalo ciepło jego rąk i bliskość mocnego ciała.

— Możesz zrobić coś, abym zapomniała — szepnęła i delikatnie skubnęła płatek jego ucha.

— A mogę? — Roześmiał się.

I tym właśnie się zajął.

* * *

W dzień myśliwi rozpoczęli łowy i choć żaden nawet nie zbliżył się do jaskini, to Kero z Eldanem nie mieli ochoty ryzykować, wychodząc na zewnątrz. Całkiem spora liczba myśliwych grasowała na wzgórzach i przynajmniej z pół tuzina kapłanów. Zbiegły Herold i jego wybawicielka byli, jak się wydawało, usilnie poszukiwani.

Szczęśliwie to Ratha był tym, który ostrzegł Eldana przed kapłanami, zanim jeszcze Herold skorzystał ze swego Daru. Pamiętając o tym, dokładnie określił pozycję wroga i zidentyfikował kapłanów oczami otaczających ich zwierząt. Miał wielką chęć dotknąć myśli koni, których dosiadali, aby podsłuchać, o czym ze sobą rozmawiają, lecz oboje czuli, że szczególnie ten pomysł jest nadmiernie ryzykowny.

— Może w pułapce bez wyjścia — powiedziała. — Powiem ci, co zrobiłabym, będąc tobą, z twoim Darem wtedy, gdy oni dostali cię w swoje łapy. Czekałabym, aż nabraliby pewności, że jesteś całkowicie bezsilny i wtedy zamieształabym w głowach ich koni. Przegoniłabym kilka z nich przez ogień, aby go rozproszyć i aby nie mogli dostrzec twojej ucieczki. Potem ukryłabym się gdzieś bardzo blisko obozowiska, dopóki nie nadarzyłaby się okazja, by wynieść się stamtąd, gdzie pieprz rośnie. Tak jak ci powiedziałam, nikt się nie spodziewa, że jeniec kręci się w pobliżu swoich oprawców.

Eldan spojrział na nią z dużym uznaniem.

— Czasami żałuję, że nie mogę wpłynąć na ciebie, abyś wróciła ze mną. Tak jest i teraz: byłoby cudownie, gdybyś została wychowawcą w naszym kolegium.

Wstrząsnęły nią dreszcze.

— Dziękuję, nie. Wolę żyć w obłączeniu.

Potem zaczęły się inne poszukiwania, które zaniepokoiły ich bardziej. Dwa razy Kero „poczuła” myszkujące „oczy”, z czym spotkała się już podczas samotnej podróży. Tym razem biła z nich wściekłość; czuła płomień gniewu, który je poprzedzał i który szedł za nimi. Za pierwszym razem, odwrócona, obserwowała wejście do jaskini i nie miała możliwości, by stwierdzić, czy Eldan poczuł je także. Lecz za drugim razem stało się to tuż po zapadnięciu zmroku, kiedy oboje usadowili się obok rozżarzonych węgli, nie chcąc ryzykować, aby światło zostało dostrzeżone. Wtedy rozpląszczyła się na szorstkiej skale dna jaskini. Krew w jej żyłach przemieniła się w lodowatą wodę.

Słyszając szmer, podniosła wzrok i stwierdziła, że Eldan czyni to samo.

— Co to jest? — wyszeptwała, tak jakby brzmienie głosu mogło sprowadzić to coś ponownie.

— Też to poczułaś? — On również wydawał się zmuszony do wypowiedziania

słów szeptem. — Nie wiem, co to jest. Z tego rodzaju zjawiskiem spotykam się po raz pierwszy. To tak, jakby... — szukał właściwego określenia -... jakby tam rzeczywiście coś błdziło, coś z pogranicza naszego i innego świata, a możemy wyczuć obecność tego, gdyż pozwala wymykać się swoim myślom, nie chroniąc ich zbyt dokładnie.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

— I demony chodzą po nocy — powiedziała.

Wlepił w nią wzrok.

— Demony występują jedynie w bajkach! — podkreślił z godnością, tak jakby pomyślał, że pragnie zrobić z niego głupca. A potem zawahał się, gdy nie spuściła z niego trzeźwego spojrzenia. — Prawda?

— Zgodnie z doświadczeniami mojej babki, nie tylko — odparła, prostując się powoli. — Lecz nie mogę przysiąc, że widziała jakiegokolwiek. Przypomnij sobie jednak tych ludzi, którzy znikają w nocy z własnych domów i nikt w rodzinie nie zauważa ich nieobecności aż do następnego dnia.

Rozmyślał nad tym przez chwilę, z wysiłkiem podnosząc się ze skalnego podłoża. Obserwowała, jak tężeje jego twarz.

— Jeśli jest w tym choć cień prawdy, to mój powrót z raportem staje się tym ważniejszy.

W tej chwili nie wyglądał na kogoś, kogo miałyby ochotę wprawić w gniew.

— Staram się, jak mogę — zauważyła, nie tracąc panowania nad sobą. — Przede wszystkim, to ja sporo zarobię na twoim bezpiecznym powrocie!

Przyglądał się jej przez chwilę, tak jakby nie był pewny tego, co powiedziała. Zauważyła, jak ciekawość powoli wypiera z jego twarzy gniew. W końcu zapytał:

— Gdybym wtedy nie przystał na twoją cenę, czy zostawiłabyś mnie w ich rękach?

„Dobrze by ci zrobiło, gdybym powiedziała *tak*” — pomyślała, lecz uczciwość skłoniła ją do innej odpowiedzi:

— Gdybym mogła cię uwolnić i ocalić przy tym życie, zrobiłabym to — odparła. — Lecz zamiast zabierać cię do Valdemaru, przekonałabym cię, że bezpieczniej jest jechać przez Menmellith i natychmiast po drugiej stronie granicy, w otoczeniu mojej kompanii, przekazałabym cię do Gildii Najemników jako łup wojenny. Oni zwróciliby cię Valdemarowi w zamian za okup. Straciłabym dziesięć procent na tym interesie, ale mimo wszystko dostałabym zapłatę.

Wlepił w nią wzrok, wstrząśnięty i obrażony.

— Nie wierzę ci! — wyrzucił z siebie. — Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby być takim... takim...

— Najemnikiem? — zasugerowała łagodnie.

To zamknęło mu usta i po kilku chwilach jego gniew zamarł; sytuacja rozweseliła go.

— No dobrze, na zbyt wiele sobie pozwoliłem. Masz prawo zarabiać na życie. . .

— Dziękuję za pozwolenie — odparła z przekąsem. „Naprawdę zaczynam być zmęczona jego postawą. . .”

Wyrzucił ręce nad głowę.

— Poddaję się! Nie udaje mi się powiedzieć nic dobrego, prawda? Przepraszam. Nie rozumiem cię. Nie sądzę, aby mi się to kiedykolwiek udało. Ja walczę za kraj i dla idei. . .

— A ja utrzymuję się z walki. — Wzruszyła ramionami. — Jestem tak samo wszeteczna, jak każda inna kobieta czy też mężczyzna, dla których nierząd jest utrzymaniem — i nie udaję, że tak nie jest.

„I może to właśnie tak nas naprawdę różni. Najemnicy są jak ladacznice, natomiast wyznawcy idei są jak połowice par związanych węzłem na całe życie. Robimy dokładnie to samo, tylko ja czynię to dla pieniędzy, a ty z miłości. Co także jest jakąś formą zapłaty, a więc. . . mimo wszystko powinien zmienić zachowanie”. Wzruszyła ramionami, czuła się odrobinę zraniona i dziwnie osamotniona. Wyglądało na to, że umiejętność odczytywania myśli niekoniecznie zapobiega nieporozumieniom.

„I to jest właśnie przyczyna — tak samo dobra, jak każda — aby unikając uzależnienia, nie posługiwać się Darem zbyt często” — zawyrokowała. „Jeśli nie uchronił on dwojga ludzi, którzy się lubią, przed nieporozumieniem, nie uchroni mnie od błędów i w innych sprawach”.

— A więc — odezwała się, kiedy upewnili się, że ścigający nie pojawią się ponownie i kiedy oboje odrobinę ochłonęli. — Nie wiem jak ty, ale ja nie będę mogła zasnąć przez dobrą chwilę; nie po tym, jak to coś krążyło nad moją głową.

Eldan westchnął i podniósł oczy znad swego przyodziewku, który starał się pocerować nicią wysnutą z osnowy, używając ciernia zamiast igły.

— Cieszę się, że nie ja jeden to czuję. Obawiałem się, że możesz wziąć mnie za potwornego tchórza, dzieciucha lękającego się ciemności.

— Gdy coś takiego krąży w ciemności, sama także się boję!

Rozluźniła się trochę. „Nie będzie sprawiał trudności. Bogom niech będą dzięki”.

— Nie wiem, czy czuwanie coś zmieni w tej sprawie, lecz wolę spotkać się z tym, czuwając, a nie śpiąc. Zatem porozmawiajmy. Wiesz o mnie wszystko, co najważniejsze. . .

Zaczął protestować i nagle ujrzał nikły uśmiech na jej twarzy, uśmiechnął się w odpowiedzi i wzruszył ramionami.

— Wiem o tobie tylko tyle, że w pewnym momencie swojego życia postanowiłaś wystawić się na cel; wielki tłusty cel.

Spojrzała na niego z udaną surowością.

— No więc, mów — ponagliła.

Eldan odłożył przybory krawieckie, przysunął się do ognia, do jej boku, i wyciągnął się na wspólnym łożu.

„I to też jest dobry omen”.

— Trzeba na początek stwierdzić, że nie ja „zadecydowałem” o tym, iż zostanie Heroldem. Nikt o tym nie decyduje. Zostałem wybrany.

Ze sposobu, w jaki to powiedział, wynikało niezbitcie, że nie ma na myśli czegoś w rodzaju doboru czeladników przez starszą Heroldów. Dla Kero brzmiało to jak kapłańskie powołanie.

— Przedtem byłem zwykłym młokosem, średnim synem spośród około tuzina dzieci. Mieliśmy posiadłość dostatecznie dużą, aby ojciec mógł tytułować się „panem”, gdyby miał do tego głowę, ale on wpoił nam, co to trud. Zanim ukończyliśmy dwanaście lat, wszystkim nam przypdzielano obowiązki, a po przekroczeniu tego wieku wychodziliśmy w pole ramię w ramię z naszymi dzierzawcami. Pewnego dnia pielilem z chwastów poletko, kiedy usłyszałem za plecami zwierzę. Myślałem, że to znowu wymknęło się jedno z naszych źrebiąt albo cieląt i odwróciłem się, aby przepędzić uciekiniera z powrotem na pastwisko. Tylko że to nie był cielak. To był Ratha.

Eldan westchnął i przymknął powieki. Kiedy migotliwe światło płomieni igrało na jego spokojnej twarzy, Kero pomyślała, że musiało to być jedno z najpiękniejszych wspomnień w jego życiu.

Przez chwilę panowała cisza.

— No więc, co ma z tym wspólnego Ratha? — zapytała, kiedy się nie odezwał więcej.

— Co... ach. Przepraszam. Wybierają nas Towarzysze. Nie możesz, ot, tak sobie, pomaszerować do Haven i oświadczyć, że zamierzasz zostać Heroldem, ani też ojciec nie może wkupić ciebie jak czeladnika do terminu. Jedynie Towarzysz władny jest zadecydować, kto będzie Heroldem, a kto nie.

Ratha parsknął na potwierdzenie tych słów. Kero rzuciła nań okiem i zobaczyła, że przytakuje łbem.

„Doskonale, jeśli są tacy, jak leshya’e Kal’enedral, to nabiera sensu. Duch byłby w stanie wejrzeć w czyjeś serce i dowiedzieć się, czy jest to osoba zdolna wyważyć proporcje pomiędzy moralnością a osobistą wygodą”. Przez chwilę Ratha patrzył prosto na nią, w jego niebieskich oczach przedziwnie zatańczyły odbite płomienie. I ponownie kiwnął łbem. Zamrugnęła powiekami, czując całkiem spory lęk.

— Towarzysze, kiedy są gotowi iść za swoim wybranym, pojawiają się w stajni i żądają, aby ich osiodłać. To bywa zabawne, zwłaszcza widok nowych stajennych — zachichotał. — Byłem tam pewnego dnia, kiedy sześciu zstąpiło do stajni, każdy niedwuznacznie dając do zrozumienia, że chce, aby się nim zaopiekowano natychmiast. Dziękuję. Musiałem wezwać kilku uczniów do pomocy, zanim biedny chłopiec stajenny utracił zmysły. W każdym razie wiedziałem, co oznacza

obecność Rathy stojącego pośrodku warzywnej grządki, chociaż szczerze ci powiem: zawsze wyobrażałem sobie siebie raczej w mundurze straży, a nie w bieli Herolda. Myślę, że dla rodziców była to ulga — o jednego młokosa do karmienia mniej. Mieszkaliśmy niedaleko Haven, wiedzieli, że będę przyjeżdżał w odwiedziny, prawdopodobnie nawet kilka razy w tygodniu. Mama rozczułała się nad dorastającym „dzieciątkiem”, oczywiście, ale mimo wszystko wyglądało na to, że robiła to wyłącznie dla zachowania pozorów.

Oboje roześmiali się.

— Kilka moich kompanek przeżyło takie pożegnania — dodała Kero. — I żadnej na myśl by nie przyszło, że nie troszczą się o nią jak o wszystkich członków rodziny, tyle że kiedy plemię jest bardzo liczne, to ktoś w końcu musi odejść.

— Lepiej jest, gdy taki ktoś odchodzi z własnej woli. Tak. . . — Eldan przytaknął głową energicznie. — W moim przypadku rzeczy przedstawiały się dokładnie tak, jak w przypadku każdego młokosa w kolegium. W klasie byłem średniakiem, wyróżniałem się jedynie darem rozumienia myślmowy zwierząt. Miałem talent do przebierania się. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi z kruszyną imieniem Selenay. A jednak doznałem lekkiego wstrząsu, dowiedziawszy się, że to ona jest następczynią!

„Jest z królową po imieniu, hmm?” Myśl ta mroziła jej lekko krew w żyłach; to pogłębiało dzielące ich różnice. Aby ukryć ten fakt, zaczęła się z Eldanem przekomarzać.

— Gdybym o tym wiedziała, moja cena byłaby jeszcze wyższa.

Otworzył oczy, aby stwierdzić, czy żartowała i uśmiechnął się, widząc, że tak.

— To wszystko — zakończył. — To wszystko, co można o mnie powiedzieć. Nie było zuchwałych pościgów, głębokich ran, aż do tej tutaj. Nic ponad przeciętność.

Kero prychnęła.

— Tak jakby Herold mógł kiedykolwiek być przeciętny. Prawda? Powiedz mi coś innego.

— Zbieram kamienie — dodał.

— Wspaniała rozrywka dla kogoś, kto spędza życie na końskim grzbiecie.

— Nie powiedziałem, że to łatwe — zaprotestował ze śmiechem.

Kero roześmiała się razem z nim.

— No, to ja też muszę się przyznać. Wyrabiam błyskotki, Prawdę powiedziawszy, rzeźbię w szlachetnych kamieniach.

— Pisywałem kiepską poezję — odpalił.

Zerknęła na niego groźnie.

— Już przestałem.

Odegrała wielkie przedstawienie: oczyściła nóż i starannie zbadła jego ostrze.

— Mędrzec. Gdybyś powiedział mi, że nadal to robisz, byłabym zmuszona

cię zabić i pożreć. Świat stałby się miejscem bezpieczniejszym. Nie ma nic groźniejszego niż kiepski poeta, chyba że kiepski minstrel.

Powiedziała to z tak poważną miną, że zaczął się śmiać.

— Sądzę, że jestem w stanie zrozumieć, o co ci chodzi — chichotał. — Myślę, że na twoim miejscu zacząłbym szczerze nagradzać bardów!

— Myślałam już o tym — odrzekła. — I to nie na żarty. Tradycyjna nietykalność bardów może prowadzić do pewnego nadużycia ich potęgi; nikt ich nie poskramia, by prowadzili się jak Uzdrowiciele, czy też jak wy, Heroldowie.

— Jedynie Gildia — przyznał. — W Valdemarze ich zachowanie jest poprawne, ale poza granicami? Nie wiem, założę się, że Karsyci wykorzystują swoich bardów do niecnych celów.

— Wykorzystują swoich Uzdrowicieli — zauważyła Kero. — Nie pomagają nikomu poza murami świątyń Pana Słońca. Kiedy im co do łba strzeli, ścigają nawet biednych zielarzy i kabalarki. Akuszerkom nie dobiorą się do skóry tylko dlatego, że przecież kapłanom nie można zaprzętać głowy czymś, co ma znaczenie jedynie dla kobiet.

Eldan spoważniał.

— Nie wiedziałem o tym. Nikogo takiego nie było w wioskach, które obserwowałem. To skłania do zastanowienia. Co innego jeszcze wykorzystują?

— Tak, skłania — zgodziła się Kero, której wyobraźnia podpowiadała, co też mogli wykorzystywać.

Czarną magię? Całkiem prawdopodobne. Nikt ich nie powstrzyma. Można by z równym skutkiem stanąć na drodze huraganu. A wszystko to sprzysięgło się przeciw nim.

Teraz wydawało im się, że na zewnątrz jaskini zapadły jeszcze głębsze ciemności. A kiedy się kochali, było to raczej wtulanie się w siebie dla dodania otuchy niż cokolwiek innego.

Poszukiwania w ich okolicy trwały dłużej niż Kero przewidywała. Nabrała przekonania, że kapłanki otrzymują jakieś wskazówki o miejscu ich pobytu. Przez ten czas bardzo dobrze poznała Eldana; prawdopodobnie lepiej, niż mógłby się tego spodziewać. Najemnicy szybko się uczą, jak przeniknąć dusze tych, przeciw którym albo u boku których przyjdzie im walczyć; wszystko, czego się dowiadywała o Eldanie, zwiększało jej zaufanie do niego.

Pomimo użycia swojej mocy do szpiegowania Karsytów, był szczery w swej odmowie wyrządzania im krzywdy. Nie tyle wścibiał nos w mózgi obcych ludzi, co po prostu łowił umykające myśli, zwykle wtedy, kiedy ludzie rozmawiali pomiędzy sobą. Tak jak się tego nauczyła sama Kero; istnieje specyficzna zapowiedź tego, co ludzie zamierzają wyrazić na moment przed wypowiedzeniem słów. Dla kogoś posiadającego Dar, myśli te mogą być tak samo donośne jak krzyk. W mniemaniu Kero nie było to bardziej niemoralne niż rozsyłanie szpiegów po tawernach i rozmieszczanie dziur podsłuchowych, gdzie popadnie.

Kiedy wyleczyła się z wstrząsu mózgu, podzielili się obowiązkami — jedynym wyjątkiem było polowanie. Eldan zjadał ze smakiem to, co upolowała, lecz sam nie zniósłby zabijania. Kero to odpowiadało; on wiedział, jakie rośliny nadają się do jedzenia, ona nie. Tak więc kiedy następowały przerwy w patrolach Karsytów, ona polowała, a on zajmował się zbieraniem. Sytuacja ta wydawała się jej nawet zabawna.

Opuścili swoją kryjówkę w dwa dni po wyniesieniu się tropicieli w inne strony. Prześladowcy nie trudzili się zacieraniem śladów, co niezmiernie zadowoliło Kero, bo było dowodem na to, iż Karsyci nie będą się oglądać za plecy, uważając, że ich ofiary są gdzieś z przodu.

Podróżowali nocami, pomimo demonów czy też czegokolwiek innego, co tam było. Kero miała przeczucie, że Potrzeba zarówno przyciągała to coś, jak i ukrywała przed tym ją i Herolda. Kero z całych sił starała się sobie przypomnieć wszystko, co kiedykolwiek o czymś takim czytała lub słyszała.

Niektóre wiadomości wydawały się nieprzydatne, takie jak na przykład opowieść Tarmy o Thalkarsh. To, co ich dwoje poszukiwało, nie wydawało się odznaczać nadmierną bystrością; nie był to więc raczej prawdziwy demon, lecz być może wytwór magii, a najprawdopodobniej niezgłębiony żywioł Równin. Niemal każdy Mistrz magii mógł nad czymś takim panować, bo to nie grzeszyło bystrością. Przyciągały go miejsca, w których magiczna aura osoby albo przedmiotu zakłócała naturalny przepływ prądów, lecz znalazłszy się w ich pobliżu, nie było w stanie odnaleźć źródła zakłóceń, jeśli było ono zdolne dobrze się zamaskować; podobnie z dużej odległości z łatwością można dostrzec bardzo wysokie drzewo, lecz po wkroczeniu do puszczy odnalezienie go graniczy z cudem.

W każdym razie tak Kero wyjaśniła to Eldanowi, chociaż coś skłoniło ją do użycia mglistych, nieokreślonych pojęć, które mogły dotyczyć zarówno daru umysłu, jak i magii. Co prawda, nie była w stanie wyjaśnić mu, iż jest ono samo w sobie wytworem magii, jednak bez zająknięcia wytłumaczyła, że może to być stworzenie z Pelagiru — niewidoczne i nieuchwytnie, lecz mimo to obecne. Skąd takie wyjaśnienie wpadło jej do głowy, nie miała pojęcia, lecz czuła, że on strawi to łatwiej niż cokolwiek, co trąciłoby „prawdziwą” magią.

Znaleźli kryjówkę o świcie: zarośniętą jamę, pokrytą winoroślą do tego stopnia, że Kero nie podejrzewałaby jej istnienia, gdyby nie zwracała bacznej uwagi na ukształtowanie terenu. Winorośl te krzewy podtrzymywały z obu stron jamy, lecz samo zagłębienie nie było niczym porośnięte. Nie było ono tak bezpieczne jak jaskinia i nie chroniło zbytnio przed deszczem, lecz doskonale nadawało się na kryjówkę.

To wtedy, kiedy kochali się w cieniu upstrzonym słonecznymi plamami, Kero uzmysłowiła sobie, że jest coś niezwykłego w jej stosunkach z tym mężczyzną. Czuła, że był jej znacznie bliższy niż ktokolwiek do tej pory, z wyjątkiem być może Tarmy i Warrla. Stwierdziła, że myśli o tym, na co on miałby ochotę tak samo

często, jak o tym, czego ona by chciała. Uczucie było tak odmienne, iż w końcu musiała przyznać, że zaczyna tego człowieka kochać. Nie była to już tylko cielesna żądza — choć i ona miała w ich związku swój udział — ale miłość. Shal-lan pękłaby ze śmiechu. Zawsze twierdziła, że pewnego dnia „Żelazna Dziewica” stopnieje, a wtedy wpadnie aż po same uszy.

„Zdaje się, że miała rację” — pomyślała Kero z uczuciem bardzo zbliżonym do bólu, przytulona do jego pleców, z głową opartą poniżej jego karku i z ręką położoną na biodrze. „Tak czy siak, niech ją licha. Ciekawa jestem, jak obstawiła zakłady?”

Oczywiście zakochać się w nim nie było trudno. Był miły, przystojny, czysty, o łagodnym spojrzeniu; wytworny w pełnym tego słowa znaczeniu. Traktował ją jak wartościową istotę ludzką, lecz nie protekcyjnie. Śmiało wyrażał własne zdanie, kiedy się z nią nie zgadzał i nie uważał jej — jak większość cywili — za dziwaczkę tylko dlatego, że była kobietą-wojownikiem. We wszystkim traktował ją tak samo, jak robiłby to jej wybrany spośród Piorunów Nieba.

Przytuliła się mocniej; poranek był chłodny. Lecz jej potrzebna była pociecha duchowa na równi z fizyczną. Właśnie teraz czuła się bardzo samotna.

„Zna moje najpilniej strzeżone sekrety. Podzielił się ze mną swoimi myślami”. Czy to wystarczy, aby złagodzić dzielące ich różnice? Czy cokolwiek jest w stanie to uczynić?

* * *

Eldan przykucnął obok Kero w kryjówce na jednym z konarów drzewa i gderał w duchu: „Wrócić. Selenay musi się o tym wszystkim dowiedzieć, trzeba było to zrobić już miesiąc temu. Każda stracona chwila może nas drogo kosztować”.

Jednakże wyglądało na to, że patrolom Karsytów kręcącym się po biegnącej dołem drodze ani się śniło zezwalać mu na to. Pomimo że słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc niebo na złoty i różowy kolor, po jeźdźcach krążących poniżej ich kryjówek nie było widać żadnych oznak, że zamierzają wycofać się na noc do swoich koszar. Kerowyn obrzuciła go wzrokiem i zacisnęła usta.

— Unosząc się gniewem, nie zmusisz ich do szybszego ustąpienia nam z drogi — wyszeptwała później. — Nabawisz się tylko wrzodów żołądka. Rozluźnij się. Oddalą się, kiedy się oddalą.

„Ona po prostu nie rozumie” — pomyślał żałośnie, kiedy jeźdźcy zniknęli za zakrętem, kierując się na północ. „W jaki sposób zdołam jej to przekazać? Nie zależy jej, kiedy wróci do domu... niech to ognie piekielne pochłoną... ona nawet nie posiada domu...”

— Słuchaj, równie mocno jak i ty chcę wrócić do Piorunów — ciągnęła, przerywając potok jego myśli. — Wciąż możemy spróbować przedrzeć się w stronę Menmellithu. . .

„Jeśli pójdziemy do Menmellithu, to powrót potrwa trzy razy dłużej. Do licha, dlaczego tego nie może zrozumieć?” Wiedział, że jeśli otworzy usta, w jego głosie ujawni się gniew, a więc tylko gwałtownie potrząsnął głową, próbując przynajmniej na zewnątrz zachować pozory spokoju. Odwróciła wzrok, jej twarz okrył smutek. Smuzki ostatnich promieni słońca przedzierające się przez konary drzew wydobyły złocisty kolor jej włosów. Zachodził w głowę, co też ona sobie myśli.

„Chce ominąć Valdemar. A ja chcę przyprowadzić ją ze sobą do Valdemaru. Gdyby mogła zobaczyć, jak tam jest, wtedy by zrozumiała. Wiem, że by zrozumiała”.

Gdzieś na północy, powyżej drogi, Ratha przeprowadzał zwiad. Niesamowity był sposób, w jaki wtapiał się w tło drzew. Eldan opanował zamęt w głowie, przymknął oczy i sięgnął myślami do drogiej osoby.

— *Hola, pożeraczu siana!*

— *Tak jest, nieowłosiona małpo?*

Ratha widział pogromcę zwierząt z małpą na jednym z jarmarków. Zwierzę szczyliło się parą bliźniaczych kosmyków we włosach, niemal identycznych jak u Eldana. Od tego czasu Towarzysz nie pozwał mu o tym zapomnieć.

— *Nigdy nie dajesz za wygraną, prawda?*

— *Próbuję poprawić twój nastrój* — odparł Towarzysz. — *Zgryzota doprowadzi cię do tego, że spadniesz z drzewa, jeśli się nie uspokoisz.*

— *Czy po tym drugim patrolu widać jakąś oznakę, że się wynosi w inne strony?*
— zapytał z obawą.

Poczuł, że Ratha westchnął.

— *Rozluźnisz się, prawda? Zatrzymali się, ale nie rozbili stałego obozu. Sądzę, że zamierzają wyruszyć przed zapadnięciem ciemności. W każdym razie możemy ich ominąć, idąc ponad drogą. Znalazłem koźlą ścieżkę.*

Eldan stłumił jęk. Kiedy ostatnim razem Ratha odnalazł boczny szlak, przez całą noc przebyli zaledwie około jednej staj.

— *Jakim. . . och. . . „wyzwaniem” będzie ta koźla ścieżka?*

W myśl głose Rathy pojawił się ślad rozbawienia.

— *Dostatecznym. Dobrze ci to zrobi.*

— *To samo powiedziałeś o tej, którą odkryłeś ostatnio.*

— *Ja mam cztery nogi zamiast dwóch, nie mam rąk i ważę dużo, dużo więcej od ciebie. Jeśli ja mogę ją pokonać, to ty też.* — W tonie Rathy była odrobina łaskawości i dużo więcej zniecierpliwienia.

— *I żadne napady gniewu nie przyspieszą twojego powrotu do Valdemaru. Dojdziemy tam, kiedy dojdziemy.*

— *Mówisz jak Kero* — odparł Eldan i otworzywszy nieco powieki, spojrzął z ukosa na najemniczkę.

Kero patrzyła na niego. Zobaczył, że przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Wiedziała, iż prowadził myślrozmowę z Ratha i była tym jak zwykle strapiona.

„*Chciałbym, żeby i ona tam trafiła.*”

— *Przeszła dobrą szkołę cierpliwości. Mógłbyś wiele skorzystać, biorąc ją za przykład.*

Ratha zawahał się na chwilę i Eldanowi wydawało się, że Towarzysz powiedziałby więcej, ale nie miał pewności, czy powinien.

W końcu na drodze poniżej znów ukazali się Karsyci, wracając tam, skąd przyszli. Pozostał jedynie patrol obserwowany przez Rathę. Kiedy ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem, zerwał się wiatr. Eldanem, czującym powiew na szyi, wstrząsnął lekki dreszcz. Kolejne słowa Rathy zmroziły go jeszcze bardziej.

— *Bardzo lubisz... tę kobietę* — odezwał się Ratha.

— *Myszę, że zakochałem się w niej* — rzekł ostrożnie Eldan czując ulgę, że w końcu zostało to jasno powiedziane, lecz nie był pewny, czy zadowolają go sformułowania i ton oświadczenia Rathy.

— *Ja... też tak myślę* — odpowiedział Ratha, wyraźnie zatroskany. — *Cieszę się, lecz zarazem chciałbym, abyś nie był zakochany.*

Eldan nigdy niczego nie ukrywał przed swoim Towarzyszem i nadal nie zamierzał tego robić.

— *Dlaczego?* — zapytał otwarcie. — *Czy jest w niej coś złego? Wiem, że ją lubisz.*

— *W tej chwili patrol wyrusza w drogę* — zameldował radośnie Ratha.

— *Dziękuję. A ty zmieniasz temat rozmowy.* — Eldan nie zamierzał pozwolić mu tak łatwo się wywinąć. — *Przynajmniej przez połowę marki na świecy nie będziemy mogli ruszyć się z tego drzewa. Nigdzie nie idę. Co właściwie jest z Kero?*

Wydawało się, że Ratha odpowiada z ociąganiem.

— *Ona nie rozumie ciebie — nas. Nie potrafi zrozumieć, jak możemy być lojalni wobec ludzi, których nigdy nie widzieliśmy na oczy, że jesteśmy skłonni bronić ich przed nieszczęściem i nie dla zysku. Nie rozumie poświęcenia dla idei. A jednak...*

— *Co jednak?*

— *Jest w niej coś bardzo szlachetnego. Postępuje zgodnie ze swoimi prawami. Przestrzega własnego kodeksu. Była bardzo dobra dla ciebie; od kiedy ją spotkałeś, żyjesz pełniej.*

— *Czuję, że żyję pełniej.* — Eldan zadumał się nad stwierdzeniem Rathy.

Przyłapał Kero na tym, że spogląda na niego z dziwnym uśmiechem na ustach i poczuł ucisk w sercu. Ta zdumiewająca, przerażająco kompetentna kobieta była

niepodobna do nikogo, kogo do tej pory w życiu spotkał. Ona była... jak idealny miecz Mistrza; śmiało mogła stanąć w zawody z każdą pięknoscią na dworze. Z tymi długimi blond włosami, drobno zarysowaną twarzą i bladoniebieskimi oczami...

„Zawody? Nie. Nigdy by nie zadowolili się zajęciem drugiego miejsca. Była nie tylko piękna, ale i wytworna. Nie było w niej nic, co nie zostałoby udoskonalone aż do perfekcji. Przy niej każda kobieta wygląda jak śliczna lalka — bez ognia, bez duszy. Za wyjątkiem, być może, Heroldów... lecz...

Jego związki z innymi Heroldami nigdy nie wyszły poza stadium przyjaźni i odrobiny intymnego współżycia. Zazwyczaj to on musiał być inicjatorem tego ostatniego.

Kero była inicjatorką miłości tak często, jak on; zaskakiwała go delikatnym kąsaniem przy wtórce pomruku jakby dużego, rozbawionego kota; ospale masowała jego ramiona albo drapała go po plecach, co przechodziło w bardziej intymne pieczyoty. Zadrżał lekko; ten uśmiech igrający w kącikach jej warg... Była naprawdę wyjątkową, podniecającą partnerką w łóżu...

Jednak była i kimś więcej. Poza łóżkiem traktowała go jako całkowicie równego sobie. Wykonywała swoją część obowiązków bez uskarżania się, bez dyskusji zajmując się rzeczami, których on nie mógł robić — jak polowanie, na przykład. I odwiedzała go w myśli tak, jak tego nikt do tej pory nie czynił, ani mężczyzna, ani kobieta. Pragnął pokazać jej swój dom, widzieć jej podniecenie, jej reakcje. Chciał dzielić się z nią wszystkim.

Zwłaszcza zaś pragnął, by zrozumiała. Ponieważ chciał usłyszeć jej słowa, że zostanie z nim na zawsze...

— *Zamierzam sprowadzić ją do Valdemaru. Wiem, że kiedy tam się znajdzie, zrozumie, dostrzeże, co on dla nas oznacza i wtedy pojmie wszystko.*

— *Jeśli będzie kiedykolwiek do tego zdolna, ona...*

Towarzysz uciał swoje myśli i Eldan zachodził w głowę, o co też mu chodziło

— *Ona, co?*

— *To bez znaczenia. Nie teraz. To tylko próżne spekulacje. Zgadzą się, powinniśmy ściągnąć ją do Valdemaru, jeśli zdołamy. Sądzę, że to zmieniliby wszystko.*

Eldan wyczuł ociąganie się Rathy i nie nalegał. Czymkolwiek było to spowodowane, musiało mieć swoje znaczenie. Ratha powie mu to z własnej woli, kiedy uzna, że nadeszła odpowiednia pora.

— *Teraz przed wami droga wolna — dokończył Towarzysz. — Sprawdzę z przodu.*

Dodatkowo Eldan sprawdził drogę oczami każdego ptaka i zwierzęcia, którego był w stanie dosięgnąć myślą i potwierdził oświadczenie Rathy. Otworzył oczy i ostrożnie dotknął łokcia Kero.

— *Możemy ruszać — powiedział cicho. — Sprawdziliśmy to obydwaj.*

— To dobrze — odrzekła, a w jej głosie pojawił się ślad ulgi. — Zaczęłam się zastanawiać, czy nie spędzę całej nocy na tym drzewie.

Uczepiła się konaru, na którym siedziała i opuściła się na gałąź znajdującą się niżej. Eldan zrobił to samo, podziwiając jej zwinność i zdolność do tak pewnego poruszania się o zmierzchu.

— Och, znam gorsze miejsca do spania niż drzewa — odpowiedział wesoło, kiedy stanął obok niej na ziemi.

— Także i ja prawdopodobnie spałam już wszędzie. Możemy wyjść na drogę?

Otrzeptała ręce o spodnie i odwinęła lejce Hellsbane od pieńka, do którego ją przywiązała.

— Na razie tak. Ratha pójdzie przodem. Powiada, że znalazł koźlą ścieżynę, którą zdołamy przejść, jeśli tu zaroi się od patroli.

Zwróciła ku niemu swoją poważną twarz.

— Mam nadzieję, że znalazł też dla nas kryjówkę na wypadek, gdyby pojawiło się więcej tych... rzeczy... Nie chciałabym natknąć się na to, nie mając gdzie się skryć.

— Ani ja. — Zadrzał na samą myśl, podziwiając ją za to, że odważyła się stawić czoło tym stworzeniom — czymkolwiek były — i nie wpadła w panikę.

„Ona jest niewiarygodna” — pomyślał po raz setny, idąc trop w trop za Hellsbane. „Muszę wrócić z nią do Valdemaru. Muszę. Nigdy nie będzie chciała go opuścić”.

Czternasty

— Znowu myślą do siebie — zauważyła Kero, próbując zachować się godnie. Eldan siedział przed leżącym Towarzyszem pod żywym parasolem z sosnowych gałęzi. Herold patrzył głęboko w oczy Rathy, obydwaj byli całkowicie obojętni wobec otoczenia. Ziemi nie było widać spod warstwy igieł sosnowych, które musiały zbierać się w tym miejscu od dziesięciu, a może dwudziestu lat. Postawili na straży Kero, a sami się naradzali. Gdyby Kero nie wiedziała, że niebo jest bezchmurne, przysięgłaby, że nadciąga zawierucha; takie pod tym drzewem panowały ciemności.

Po chwili odwróciła wzrok i stwierdziła, że w połowie wysokości tej sosny znajdzie najlepszy punkt obserwacyjny. Powinna móc stamtąd zajrzeć daleko w głąb głównej doliny. I nie będzie zmuszona patrzeć na Eldana i jego Towarzysza.

W nawyk weszło im podróżowanie nocą; przed świtem zatrzymywali się, szukając miejsca, w którym mogliby zaszyć się na cały dzień. Poprzedniego dnia posuwali się równolegle do głównego traktu, aż dotarli do serca systemu połączonych ze sobą dolin. Im bliżej byli granicy Valdemaru, tym kraina stawała się coraz bardziej wyludniona, za to teren coraz trudniejszy do pokonania i pozbawiony bocznych szlaków. Tym razem ich kryjówką stała się mała dolinka-kieszonka, biegnąca obok głównej rynny; nie było to miejsce, gdzie Kero zatrzymałaby się, gdyby miała jakikolwiek wybór. Znajdowało się tutaj miasteczko pasterzy — nie wioska, lecz miasteczko, z małym rynkiem, targowiskiem i największą świątynią Pana Słońca, jaką Kero dotąd widziała.

Nie było to szczególnie bezpieczne miejsce na postój, ale najlepsze w ich sytuacji. Schronili się w sporym gaju sosnowym, w którym gałęzie drzew zwisały aż do ziemi. Nie było tutaj ani trawy, ani nawet wody. Nikt, prowadząc swoje owce na pastwisko, nie mógł natknąć się na nich przez przypadek. Sosny zapewniły skuteczną osłonę.

Jednak mimo wszystko był to otwarty teren i znajdowali się zbyt blisko tego miasteczka, aby którekolwiek z nich czuło się dobrze. Kero wiedziała, że jej sen jest lekki i była pewna, iż to samo można powiedzieć o Eldanie i Racie. Po przebudzeniu Herold wydawał się czymś bardzo zaaferowany i w końcu poprosił

Kero, aby stanęła na warcie podczas jego rozmowy z Towarzyszem. Kero nabrała pewności, że to ona, a nie strategia, będzie tematem rozmowy. Odniosła po raz kolejny wrażenie, że Ratha ją lubi, lecz że jeszcze nie zaakceptował jej całkowicie. Z pewnością Towarzysz nie był skłonny zaakceptować jej długotrwałego związku z jego heroldem.

„Ma bardzo podobne poglądy do swojego Herolda” — pomyślała, ostrożnie wspinając się po iglastych, sosnowych gałęziach, aby drzewo się nie zatrzęśło. Nie mogli sobie pozwolić na jakąkolwiek nieostrożność; w ciągu minionych kilku dni zbyt wiele razy tylko o włos unikali niebezpieczeństwa. Myśliwi stawali się coraz liczniejsi i bardziej nieustraszeni.

W następnych dniach będą musieli podjąć próbę przekroczenia granicy. A to oznaczało bliskie rozstanie. Usadowiła się na mocnej gałęzi i zamrugnęła piekącymi, zażawionymi oczami. „Błogosławiona Agniro, co ja pocznę? Jestem w tym człowieku zakochana i on jest zakochany we mnie. Jak doprowadzić do szczęśliwego zakończenia? Gdybyż to była tylko ballada. . .”

Zagryzła wargę, aby powstrzymać łzy. „Ten cały związek jest bez przyszłości, i tyle. To samo przeszłam z Darenem, lecz teraz jest gorzej, ponieważ Eldana naprawdę kocham. Chcę z nim być bardziej niż z jakąkolwiek inną osobą do tej pory w życiu”.

Ale w tym był pies pogrzebany: z jakąkolwiek osobą. Niezależność drogo ją kosztowała i nie zamierzała z niej teraz zrezygnować.

Gdyby z nim pojechała, porzucając swe miejsce w kompanii Piorunów Nieba, co by z sobą poczęła w Valdemarze? Do regularnej armii zapewne by jej nie przyjęto, a jeśli nawet, to gdziekolwiek by się obróciła, byłoby to wbrew jakimś zasadom i regulaminom. Z jej przeszłością mogła żądać od kompanii tego, czego nigdy nie otrzymałaby w siłach regularnej armii. Nie była ani pieszym, ani żołnierzem szturmowym i w żaden sposób nie pasowałaby do formacji ciężkiej albo lekkiej kawalerii. Była zwiadowcą — no dobrze, to jest zadaniem żołnierza pieszego. Była harcownikiem — to mogłaby robić pod egidą albo lekkiej piechoty (łuk), albo lekkiej kawalerii (miecz). Wiedziała więcej o taktyce od większości oficerów, których do tej pory poznała i to na pewno nie przysporzyłoby jej punktów. Lerryn życzliwie spoglądał na inicjatywy swych młodszych oficerów, lecz poza kompaniami najemników tego się po prostu nie praktykowało. Poza tym w regularnych siłach zbrojnych niechętnie widziano byłych najemników, ponieważ wywierali zły wpływ na dyscyplinę.

„W rezultacie żyłabym na jego łasce. Nie ma mowy. Nigdy nie postawię się w takiej sytuacji po raz drugi”. Pomimo dławienia w gardle i bólu w klatce piersiowej na myśl o rozstaniu z Eldanem, postanowienie było nieugięte. „Nigdy, mam własne życie i nie porzucę go”.

On nie rozumiał, czym kierują się ci, którzy chcą utrzymywać się z walki i nie sądziła, by zrozumiał to kiedykolwiek. Próbowала mu wykazać, że gdyby ludzie

z zasadami nie zajmowali się walką, to stałaby się ona polem do działania tylko dla ludzi pozbawionych wszelkich zasad; wytrzeszczył na nią oczy, tak jakby mówiła w języku Shin'a'in. Ona zaś nie była w stanie pojąć jego fanatycznego oddania abstrakcji: krajowi. Cóż, u licha, może kryć się w byle skrawku ziemi, aby za niego umierać? Przecież najczęściej właśnie spory terytorialne sprawiały, że opłacano umiejętności najemników — wciąż tego nie umiała pojąć. Na swój sposób była mu tak obca, jak jedna z tych karsyckich kapłanek. Niepokoiliła go jednak bardziej niż one, gdyż była kobietą, którą kochał, która wydawała się myśleć zupełnie rozsądnie — dopóki nie palnęła czegoś, co całkiem mu umykało, albo dopóki on nie powiedział czegoś całkowicie dla niej bezsensownego.

Nie tylko tym się różnili. Na przykład jego podejście do myślmowy. Sposób, w jaki dzielił się swobodnie swoimi myślami z Rathą, wywoływał ciarki na jej skórze i odruchowo kurczyła się w sobie, nerwowo napinając ramiona.

„Nikt nie powinien móc wnikać tak głęboko do twojego umysłu. To sprawia, że stajesz się bezbronny” — myślała z dreszczem prawdziwego strachu. „Co dzieje się, kiedy tak bardzo otwierasz się przed innymi? Bogowie i demony! Władza, jaką to im daje nad tobą. . . nawet jeśli jedni nigdy z niej nie skorzystają, to jest słabość, którą drudzy mogą wykorzystać bez skrupułów. I zrobią to. Nie istniał jeszcze zburzony mur, przez który nie dokonano by najazdu”.

I na dodatek ta jego fanatyczna obowiązkowość. Wróciłby do Valdemaru nawet, gdyby go to miało kosztować życie, po to tylko, aby osobiście zanieść wieści. „To szaleństwo” — myślała ponuro. „Po prostu szaleństwo. Istnieje tuzin sposobów, aby wysłać wiadomość i gdyby użył ich wszystkich, to właściwie mógłby być pewny, że dotarłaby do adresata. Może nie tak szybko, ale dotarłaby. On jednak musi to zrobić osobiście. . .”

Przerażał ją; tak jak go kochała, tak się bała jego i o niego. Była rozdarta pomiędzy miłością a strachem i gdy dodać do tego jej niechęć do znalezienia się na jego łasce, wnioski nasuwał się tylko jeden.

„To jest niemożliwe. O, bogowie, to jest niemożliwe. A ja mimo wszystko go kocham. . .”

Udręczona uchwyciła mocno pień drzewa; kora wpiła się w jej dłonie; ból przegnał łzy z jej oczu. Zmagiła się, aby zapanować nad sobą. Odzyskała równowagę w chwili, gdy pod drzewem zjawił się Eldan, machając do niej ręką, aby zeszła na ziemię.

Odetchnęła głęboko kilka razy, by mieć pewność, że dławienie w gardle nie powróci. A potem odmachnęła mu w odpowiedzi, szeroko się do niego uśmiechając, tak jakby wszystko było w porządku. Nikła zmarszczka zniknęła spomiędzy jego brwi i odwzajemnił uśmiech.

„Mamy poważniejsze zmartwienia” — powiedziała do siebie, ześlizgując się z drzewa tak samo ostrożnie, jak na nie wchodziła. „Najważniejsze, byśmy przeżyli i dotarli nad granicę”.

Kamień wiercił dziurę w brzuchu Kero, ale w tej chwili nie chciała się poruszyć, aby go usunąć.

— Skąd one wszystkie się biorą? — wyszeptał Eldan, kiedy obserwowali jeszcze jedną kapłankę Pana Słońca, zatrzymującą się tuż poniżej wejścia do ich kryjówki.

Odrzuciła do tyłu kaptur swojego płaszczu i patrzyła w górę na skalną płaszczyznę klifu. Gdy się spoglądało pod tym kątem, ściana była gładka; skalny występ, na którym leżeli, zasłaniał wejście. Kero dostrzegła je tylko dlatego, że siedziała na potężnym dębie, badając okolicę. Nie można było dostać się tutaj wprost z dna doliny; aby dotrzeć w to miejsce, musieli zawrócić i przebyć grań. Dawało to nadzieję, że nikt nie będzie ich tu szukał. Za wyjątkiem kapłanki, która — jak i pozostałe — zdawała się coś wyczuwać.

Z góry nie byli w stanie określić rysów jej twarzy; ledwie odróżniali twarz od jasnych włosów. Purpurowy płaszcz, który miała na sobie, był nieomylną oznaką wysokiej rangi — jeszcze wyżsi rangą ubrani byli już tylko w złoto i wśród nich nigdy nie było ani jednej kobiety. Na tle zielonej łąki pod nimi wyglądała jak jakiś egzotyczny kwiat.

— Nie mam pojęcia, skąd one wszystkie się biorą — wyszeptała w odpowiedzi Kero. Było to w połowie kłamstwo. W tym momencie była niemal pewna, że w jakiś sposób podążały za Potrzebą, gdyż ani ona, ani Eldan nigdy nie wykorzystali otwartej myślmowy. Z faktu, że magia była zakazana, wynikałoby, iż kapłani mieli sposoby jej wykrywania. A Potrzeba została przez magię stworzona. Nawet jeśli w rzeczywistości miecz nic nie robił, musiał być „widoczny” dla kogoś uzdolnionego. Bez wątplenia mógł ukryć siebie, ale musiał też wiedzieć o tym, że wystawia na niebezpieczeństwo właściciela, który nie był niczego świadomy, dopóki kapłanka nie zjawiała się w polu widzenia.

Kero wstrzymała dech. Czekała. Tym razem ich maskowanie nie zda się na nic; zostaną dostrzeżeni. Odziana w purpury kobieta była kapłanką najwyższej rangi, jaką dotąd widzieli, wszystkie pozostałe były rangi białej, błękitnej albo czarnej. Tym razem to początek końca.

Kobieta naciągnęła kaptur na głowę i odjechała łąką. Kero wypuściła trzymane w płucach powietrze. Eldan otoczył ją ramieniem i bez słowa przytulił. Na moment przylgnęła do niego, aby się nacieszyć i jego ciepłem. Lecz jej mózg nie przestał pracować.

„To była trzecia kapłanka dzisiaj. Co dzień widzimy dwie do trzech grup poszukiwaczy. Z dnia na dzień coraz trudniej jest znaleźć kryjówkę o świcie”.

Niektórych z tych rzeczy należało się spodziewać. Teraz znajdowali się na granicy, regularnie patrolowanej przez straż pogranicza. Eldan wspominał o tym, napomknął przy okazji, jak ich w przeszłości unikał. Lecz nic nie wspominał o tym, aby kiedykolwiek uprzednio natknął się na kapłanów; dla Kero było to bardzo interesujące przeoczenie.

Jednakże widać było całkiem wyraźnie, iż jest poważnie zaniepokojony, chociaż starał się to ukryć, udając, że tego rodzaju działania były całkowicie normalną rzeczą. A to oznaczało, że sporą liczbę z tych patroli przysłano tutaj dodatkowo, prawdopodobnie z zadaniem odszukania uciekinierów. Wiedział, że kapłanki wykrywały coś, jakby słabe emanacje ich obecności, lecz nie orientował się, skąd to się brało, gdyż Kero nie zdradziła dotąd właściwości Potrzeby.

Do tej pory kapłanki, nie kapłani, potrafiły wyczuć to coś, czymkolwiek to było. Na szczęście Eldan okazał się wyzbyty ciekawości w sytuacji, w której Kero obawiała się prawdziwej powodzi pytań. To było dziwne, lecz nie bardziej niż fakt, że nie mogła porozmawiać z nim o niczym związanym z prawdziwą magią. Wprost fizycznie nie była w stanie. Próbowwała i nie zdołała wykrztusić słowa. Podejrzewała, że to sprawka Potrzeby. I wcale jej się to nie podobało, chociaż zaczynała się już przyzwyczajać. Miecz był niezwykle wyczulony na problemy kobiet, dlatego kapłanki, a nie kapłani, je wykrywały. Tak rozumując Kero próbowała równocześnie nacieszyć się chwilą w ramionach Eldana. Lecz ta część jej osobowości, która nie poddała się uczuciom, przemówiła do niej: „Trzykrotnie wywinęliśmy się o włos. Za każdym razem był cieńszy od poprzedniego. Nie ma wątpliwości, to Potrzeba ściąga na nas kapłanki. Nigdy nie przedostaniemy się przez granicę”.

Eldan złożył przyrzeczenie, że wyśle jej okup za siebie i miała wszelkie podstawy wierzyć, iż nie złamie słowa. Nie było żadnego powodu, aby przy nim zostać. Prawdę mówiąc, jeśli chciała być pewna jego ocalenia, powinna go opuścić. Skoro cel ruszy na zachód, ten mały odcinek granicy powinien otworzyć się na tyle, że on zdoła ją przekroczyć.

Wczołgała się z powrotem do jaskini, szorując brzuchem po piaskowcu, czując w dole żołądka rozwierającą się pustkę. Przez cały czas wiedziała, że ta chwila się zbliża, co bynajmniej niczego nie ułatwiało.

Znalazszy się wewnątrz, wstała i otrzepała się z kurzu. Dzisiejszej nocy zjedzą skradzione Karsytom racje. Dziś rano ledwie udało im się wymknąć. Skończyło się to śmiercią zwiadowcy, który odkrył ich, gdy przekraczali grań. Jego ciało spoczęło w płytkim zagłębieniu tuż poniżej szlaku. Koń został przepłoszony dzięki Eldanowi. Racje zwiadowcy trafiły do ich juków. Przy ograbianiu trupa Eldan jęczał odrobinę, lecz ona po prostu zabrała wszystko, co mogło się przydać, bez żadnych komentarzy, i po chwili poszedł w jej ślady.

Eldan przyłączył się do niej w miniaturowej jaskini. Miejsca ledwie starczało dla nich i koni — Kero nigdy nie umiała się zmusić, by uważać Rathę za zwierzę. Nie opuszczało jej uczucie zaskoczenia, że patrząc na niego, widziała „konia”, nie zaś inną istotę ludzką.

Eldan podał jej pasek wysuszonego mięsa. Przyjęła go i ze stosu swoich rzeczy wyciągnęła bukłak z wodą.

— A więc — odezwał się z ustami pełnymi twardego, paskudnego pożywienia

— wygląda na to, że jutro podejmiemy próbę przekroczenia granicy.

Przełknęła swój kęs. Smakował mniej więcej jak podeszwa.

— Prawdopodobnie będziemy musieli ukryć się tutaj na jakiś czas — zaproponowała, czując, że ścisła jej się serce i że łzy napływają jej do oczu z powodu kłamstwa. — Prawdopodobnie dadzą za wygraną i opuszczą ten teren. Wtedy będziemy mogli spróbować.

Eldan przytaknął kiwnięciem głowy.

— To brzmi rozsądnie. Zapasów nam wystarczy. Potrzebujemy tylko wody i jedno z nas może zejść na dół około północy.

— Dziś w nocy ja to zrobię — odpowiedziała. — Radzę sobie z poruszaniem się w ciemnościach lepiej od ciebie.

Uśmiechnął się w taki sposób, że krew zawrzała w jej żyłach.

— Co do tego zgadzam się — stwierdził ciepło. — Mamy przed sobą cały dzień czekania. Co powiesz na to, byśmy coś zrobili, żeby czas płynął odrobinę szybciej?

Bez słowa przyciągnęła go do siebie. Rozpacz spowodowała, że pragnęła go jeszcze bardziej niż zwykle. To miał być ostatni raz, absolutnie ostatni. . .

Ośloniła swoje myśli i wykorzystała każdą sztuczkę, jaką знаła, aby go wyczerpać. Potem zdrzemnęła się w jego ramionach, mając ochotę płakać, zbyt zmęczona jednak, by się na to zdobyć. W końcu słońce zaszło i przebudziła się z nerwowego, płytkiego snu, wypełnionego niespokojnymi marzeniami i strzępami obrazów pozbawionymi sensu.

Wysunęła się z objęć Eldana tak, że nawet nie drgnął, spakowała swoje rzeczy i zaczęła, by niebo pociemniało, a wschodzący księżyc oświetlił łąkę pod nimi. Spływające po policzkach łzy przytępiły jej wzrok i zacierały kontury. Nie usłyszy nawet: „do widzenia”.

Zostawiła dla niego wiadomość na wierzchu pozostałych racji żywnościowych, radząc mu pozostać tutaj aż do wyczerpania się żywności i dopiero wtedy podjąć próbę przekroczenia granicy. Napisała mu, że go kocha bardziej, niż była to w stanie kiedykolwiek powiedzieć i — o bogowie najmiłsi, jakież to trudne! — napisała, że nie może jechać razem z nim. „Zbyt różni. Jesteśmy zbyt inteligentni, aby tego nie przyznać. A więc. . . wybrałam wyjście godne tchórza. Przyznaję: uciekam. Prócz tego nienawidzę pożegnań. I nie zapomnij, że jesteś moim dłużnikiem: muszę czymś zastąpić zużyty ekwipunek!”

Nie odwróciła się, aby spojrzeć na niego, skulonego pod tylną ścianą jaskini; to tylko utrudniłoby odjazd. Zamiast tego osiodłała Hellsbane, przytoczyła juki i poprowadziła do wyjścia, wiedząc, że znajomy stukot kopyt po skalnym podłożu nie wyrwie go ze snu.

Jednak raptownie pojawił się Ratha i stanął pomiędzy nią a wyjściem, zastępując jej drogę. Zanim zdążyła coś uczynić, echo dziwnego głosu rozległo się w zakamarkach jej mózgu. Zabrzmiało surowe:

— *Dokąd idziesz? Dlaczego odchodzisz ukradkiem?*

Głośno przełknęła ślinę, zbyt przestraszona raptowną manifestacją potęgi Rathy, aby uczynić cokolwiek poza wytrzeszczaniem oczu. Lecz Towarzysz ani drgnął i w końcu była zmuszona odpowiedzieć. Nie zwykła stosować myślmowy, gdy chciała coś zakomunikować, lecz gdyby odezwała się głośno, obudziłaby Eldana, a wtedy nie byłaby w stanie go opuścić. . . Zapanowała więc nad myślami i zwróciła się do Rathy tak, jak nauczył ją tego Warrl.

— *Muszę odejść. Dopóki tego nie uczynię, Eldan będzie w niebezpieczeństwie.*

— *Był w niebezpieczeństwie, kiedy go spotkałaś* — napomknął Towarzysz z nieubłaganą logiką. — *Co się zmieni, gdy go opuścisz?*

Westchnęła głęboko, jakby raptem zabrakło jej tchu.

— *To miecz* — wydusiła w końcu. — *On jest magiczny i jestem pewna, że ściga na nas tropicieli. Co więcej, jest to magia, która broni jedynie kobiet i może dlatego tylko kapłanki na nią reagują. Jest bardzo potężna, naprawdę nie mam pojęcia, jak potężna.*

— *A więc* — podsumował Ratha — *twój miecz musi przyciągać te kobiety. Zgadzam się, że prawdopodobnie dlatego na nasz trop nie trafił żaden kapłan. Dlaczegoż nie pozbedziesz się tak zdradliwego oręża?*

— *Aby oni go odnaleźli?* — wybuchnęła. — *Chcesz, by coś takiego trafiło do rąk naszych wrogów? Miecz nie pozwoli mi odejść, a jeśli nawet tak, bądź pewien, że znajdzie sobie nowego właściciela jeszcze przed świtaniem. Założę się, że to kapłanka by go odnalazła, co mogłoby wyjść twojej ojczyźnie albo na dobre, albo na złe. Nie sądzę, aby którekolwiek z nas miało odwagę ryzykować.*

— *To prawda.* — Wydawało się, że Ratha spogląda na nią nieco łaskawiej. — *A gdy zabierzesz ten twój miecz, wszyscy myśliwi ruszą za tobą i granica będzie nie strzeżona. Łatwo ją zatem przekroczy my.*

— *Mam nadzieję* — powiedziała z westchnieniem. — *Mam nadzieję. Zamierzam po własnych śladach wrócić do Menmellithu, co byłoby logicznym posunięciem, gdybyśmy zostali tutaj odcięci. To powinno się im wydać rozsądne, a ponieważ podążają za mieczem, a nie rzeczywistym tropem, pójdą za mną, nie dbając o was.*

Towarzysz kiwnął głową.

— *Jesteś bardzo mądra. . . i odważniejsza niż sądziłem. Dziękuję.*

Usunął się z drogi. Poprowadziła Hellsbane obok niego na wąską perć i ścieżkę, która wiodła w górę; ciągle broniła się przed spojrzeniem w tył.

— *Szczęśliwej drogi* — usłyszała za plecami, kiedy wyszła w zalaną księżycowym światłem noc.

— *Niech przez ciebie wybrani bogowie staną u twego boku, Kerowyn. Zastugujesz na tę łaskę. I obyśmy znów się spotkali pewnego dnia.*

To wycisnęło z jej oczu strumień łez. Mrugając powiekami, powstrzymywała się od łez na tyle, aby widzieć ścieżkę. Musiała iść powoli, ponieważ posuwała się

po omacku, czując niezwykle zadowolenie z faktu, że krok Hellsbane był pewny, a ona sama była w stanie dostrzec ścieżkę. Nie mogła przestać płakać, dopóki nie dotarła do grani powyżej jaskini. Tam wzięła kilka bardzo głębokich wdechów i zmusiła się do popatrzenia na gwiazdy, póki nie odzyskała panowania nad sobą.

„Już po wszystkim; i własnoręcznie położyłam temu kres. Poczucie obowiązku Rathy powstrzyma go przed pójściem moimi śladami. Tak czy siak, nigdy nie było szans, aby się między nami dobrze ułożyło i przynajmniej zerwałam z tym wtedy, kiedy wciąż byliśmy w sobie zakochani”.

Zamknęła oczy i tarła je grzbietem dłoni, aż zniknęły ostatnie ślady łez i ustąpiło pieczenie. Wówczas skierowała pysk Hellsbane na zachód i zeszła z grani, ruszając do Menmellithu. Musiała zdobyć przewagę nad prześladowcami, którzy wkrótce podążą w ślad za nią.

„Robiłam już w życiu mądrzejsze rzeczy” — pomyślała, kuląc się w cieniu olbrzymiego głazu i pragnąc ukryć się na szczycie grani. To było jedyne nadające się na kryjówkę miejsce, skąd mogła obserwować szlak, którym przybyła. Stwierdziła, że przydałaby się jej umiejętność Eldana polegająca na patrzeniu oczami otaczających zwierząt.

Została wytropiona w środku nocy, kiedy przechodziła z dębowo-sosnowej puszczy w gąszcz sosen i krzewów. Poczwała na sobie te niewidoczne „oczy” dokładnie około północy, ale tym razem nie odeszły, dopóki dwa razy nie przekroczyła strumienia, mając nadzieję, że stary przesąd, iż „magia nie może pokonać płynącej wody”, jest prawdą. Do chwili kiedy świt rozkwitł za jej plecami, polujący na nią ludzie zdążali jej gorącym tropem i w nie tak znów wielkiej odległości. Przyszło jej do głowy wyjaśnienie, że to — czymkolwiek było — zaalarmowało swoich panów i oni z kolei powiadomili bezpośrednio ścigający ją oddział.

Wschód słońca zastał ją, gdy zawzięcie wiodła kłacz przez niskie góry. Tutaj było niebezpieczniej niż w terenie, który zostawiła za sobą, ponieważ podobne do łupków skały były kruche i podatne na odłamywanie się bez ostrzeżenia. Zobaczywszy grupę żołnierzy na grzbiecie wzniesienia, o kilka wzgórz za sobą, i błysk purpury sygnalizującej obecność czerwonej szaty w ich szeregach, nie odważyła się zatrzymać na popas. A więc dzisiaj nie będzie dla niej odpoczynku. Zamiast tego zmusiła Hellsbane do przemierzania w okrutnym tempie najbardziej posępnej krainy, jaką kiedykolwiek widziała. To terytorium było gorsze od dziewiczej puszczy, ponieważ wciąż napotykała dowody, że mieszkali tu niegdyś ludzie. W młodszej roślinności zawsze trudniej jest wyrąbać ścieżkę niż w starym lesie. W miejscach, które ongiś wykarczowano pod pola uprawne albo gdzie niegdyś stały domostwa roślinność wyrasta ze zdwojoną siłą. Ta należała do drugiego lub trzeciego pokolenia: sosny, gęste krzewy, cierniste winoroślą i ostra trawa — wszystko to wydawało się pętać nogi Hellsbane i wczepiać się w ubranie Kero.

Około południa opuściła gaszącą pragnienie Hellsbane i wspięła się na następną grań, aby rzucić okiem za siebie. Kiedy wyjrzała zza głazu, zobaczyła pościg

wciąż na swoim tropie. Zauważyła, jak szybko żołnierze przecinają otwartą przestrzeń, zanim ponownie zniknęli jej z oczu. Tym razem nie dzieliło ich od niej kilka wzgórz, lecz zaledwie jedno.

Zakłęła szpetnie. Każde ukłucie serca, żal, który pielęgnowała od chwili opuszczenia Eldana, poszedł w niepamięć. Miała na głowie coś ważniejszego niż złamane serce: własne ocalenie.

„Na ognie piekielne. Oni są dobrzy. Lepsi niż myślałam”. Z każdą chwilą jej mitręgi oni zmniejszali dystans.

Zsunęła się z powrotem po grani i wskoczyła na grzbiet klaczy, kierując ją pod osłonę sosen. Mogła być wdzięczna za jedno: że dzień był pochmurny i oszczędził Hellsbane słonecznego żaru.

„Dościgną mnie” — pomyślała pośepnie. „Znają ten teren, a ja nie. Przed wszystkim to pozwoliło im zbliżyć się tak bardzo. Jestem w tarapatkach. I nie wiem, czy tym razem uda mi się z tego wywinąć”.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu korciło ją, aby wykorzystać Dar. Zaniechała tego w samą porę.

„Nie jestem sobą” — uzmysłowiła sobie, popędzając Hellsbane, kiedy gramoliła się w dół pokrytego drobnymi kamieniami skłonu. „Coś tam z tyłu chce, abym skorzystała z Daru; prawdopodobnie wtedy mogliby mnie odnaleźć albo usidlić i zatrzymać, aż nadejdą”.

Zwalczyła ogarniającą ją panikę; Hellsbane była poczciwym zwierzęciem, bystrością górowała nad każdym zwykłym koniem, lecz jeśli Kero wpadnie w panikę, to i Hellsbane spłoszy się, a wtedy może ponieść. Kero nie była pewna, czy będzie umiała poskromić klacz, jeśli tej ostatniej przyjdzie do głowy rzucić się do ucieczki, by w galopie wyładować lęk. Mogłoby to skończyć się dla jednej z nich — albo i dla obu — złamaniem karku.

Kero prowadziła Hellsbane pod osłoną drzew, mimo że wymagało to więcej wysiłku niż jazda po otwartym terenie. Odruchowo zerknęła do tyłu, kiedy wspięły się na następne wzniesienie i zobaczyła niejedną, ale już dwie grupy prześladowców; obydwie właśnie zjeżdżały ze zbocza, które dopiero co opuściła. Ścigający byli tak pewni swego, że nie starali się ukryć. Nie traciła więc czasu na próby zatarcia tropu.

Dopadliby ją być może po upływie jednej marki na świecy, gdyby zatrzymała się w tym miejscu. Pokusa, aby opuścić kryjówkę i rzucić się do ucieczki, była wielka. Jeśli pozwoli Hellsbane galopować, przypuszczalnie zdoła ich zgubić do zapadnięcia zmroku. Pod warunkiem, że ich konie nie są wypoczęte.

Hellsbane szła przez całą noc i nie mogła galopować zbyt długo. Ich konie mogły. I zrobią to.

Kiedy ścigający zniknęli jej z oczu, Kero skierowała Hellsbane na odsłonięty szlak, mając nadzieję przebyć go, zanim ponownie zjawią się w polu widzenia. To był jeden z najgorszych odcinków szlaku, jakim do tej pory jechała: dzielił na pół

urwiste zbocze, które po jednej stronie stromo opadało, po drugiej równie stromo się wznosiło i koń ledwie mógł się tędy przecisnąć.

Odetchnęła z ulgą, kiedy dotarła w okolicę gęściej pokrytą roślinnością, zanim myśliwi znaleźli się w zasięgu wzroku. Nie chciała poganiać klaczy, lecz czuła, że jej plecy są obrzydliwie odsłonięte.

Zagrzmiało nad głowami. Kero spojrzała w niebo i znalazłszy się pod osłoną zagajnika karłowatych drzew, wysokich na tyle, aby mogła się tutaj ukryć, ściągnęła wodze. Uciekając na zachód, nie zwracała uwagi na pogodę, a teraz najwyraźniej zbierało się na burzę. Na zachodzie poczerniało i obszar ciemności przesuwiał się bardzo szybko. Jak szybko, tego nie uzmysłowiła sobie dokładnie, dopóki błyskawica nie uderzyła w sosnę tuż przed nią, płosząc Hellsbane, która zaczęła wierzgać. Następny grzmot zupełnie Kero ogłuszył. Zaś w ulewie, która wnet lunęła z dziką furia, dziewczyna niemal utonęła.

Było tak, jakby stała pod wodospadem; nie zdołała niczego zobaczyć dalej niż na kilka stóp przed sobą. Zeskoczyła z konia i wlepiła wzrok w kurtynę deszczu, która zasłoniła widok na szlak za jej plecami. . . W samą porę, aby dojrzeć, jak rozplywa się pod strumieniami deszczu. Gapiła się z niedowierzaniem, jak szlak dosłownie znika w oczach, nie zostawiając jej prześladowcom żadnej wskazówki, dokąd się udała ani dokąd teraz zmierza. Prawdę mówiąc, ta część ścieżki, na której stały ona i jej klacz, też zaczęła niepokojąco się rozmywać. . .

Kero, wiedzioną intuicją, chwyciła wodze Hellsbane i poprowadziła ją, brodząc w potokach wody. Strumienie spływały w dół zbocza i przecinały ścieżkę, woda sięgała do kostek, kipiące nurty wymywały spore kamienie i porywały ze sobą. Dziewczyna przekonała się o tym na własnej skórze, kiedy jeden z nich trafił ją w kostkę z trzaskiem, który raczej usłyszała niż poczuła.

Osunęła się na jedno kolano. Łzy bólu wypełniły jej oczy, lecz nie była to ani pora, ani miejsce na postój bez względu na dokuczliwość owego bólu. Zmusiła się do dalszego marszu, w strumieniach lejącej się z nieba lodowatej wody. Zmarzła i skostniała tak bardzo, że nie była nawet w stanie drzeć z zimna.

I była wdzięczna za wybawienie; zbyt wdzięczna, aby przeklinać ten zabłąkany kamień. „To nadeszło tak raptownie — pomyślała, usilnie poszukując przed sobą wzrokiem tego, co pozostało ze ścieżki i prowadząc Hellsbane krok za krokiem. . . że można by to uważać za niemal nadnaturalne”.

Gdzieś w zakamarkach mózgu czaiło się podejrzenie, że to właśnie Potrzeba miała z tym coś wspólnego. Nie było sposobu, aby się o tym przekonać. Mógł to być przecież czysty przypadek. W każdym razie została ocalona. Pod jednym warunkiem: że zdoła ukryć się gdzieś, zanim woda zmyje ją ze zbocza.

„I to by zakrawało na ironię” — stwierdziła w myślach. „Ocalona przed Karzytami jedynie po to, aby utonąć w burzy! Kto tu mówi, że bogowie pozbawieni są poczucia humoru”.

Piętnasty

Cieszę się, że Hellsbane może patrzeć na oczy, bo ja nie mogę. Powieki Kero wyn były ciężkie jak ołów. Wjechała do obozowiska Piorunów Nieba tak otumaniona zmęczeniem, że nie była zdolna uczynić wiele więcej poza kurczowym czepianiem się siodła Hellsbane. Klacz była w niewiele lepszym stanie; wlokła się raczej, niż szła z opuszczonym łbem i ogonem; Kero czuła pod kolanem źebro zamiast mocnych mięśni, które tam być powinny.

Jechała w deszczu, który towarzyszył jej od momentu, kiedy przekroczyła granicę Karsu. Czy też może to ona ściagała przez cały czas burzę, tego nie była pewna. Wiedziała tylko tyle, że deszcz ją ocalił i pomagał jej przez całą drogę, zmywając jej tropy w tej samej chwili, w której je pozostawiała — to po pierwsze. Wydawało się również, że przeszkodził tym nadnaturalnym szpiegom Karsytów wzbicie się w powietrze — to po drugie. W każdym razie nie czuła na sobie tych „oczu”, gdy zaczęło padać. I na koniec, błoto i deszcz zupełnie wyczerpały konie napastników, które nie były tak wytrzymałe, jak Hellsbane.

Dokładnie od chwili, kiedy zerwała się pierwsza burza, Kero mogła przemierzać rozmiękłe drogi Karsu właściwie bez przeszkód. Oczywiście nie było to przyjemne. Przez większość czasu była przemoczona do gołej skóry i skostniała z zimna, lecz nie musiała się bać, że zostanie „gościem” karsyckiego więzienia. Miała żal o jedno: od rozpętania się burzy musiała dosiadać Hellsbane; kamień nie złamał jej nogi w kostce, ale wyrządził pewne szkody. Uważała, że to stłuczenie. Nie była Uzdrowicielem, ale tak właśnie się czuła.

Dzięki łutowi szczęścia, mieczowi czy jakiejś przychylniej bogince przedostała się na drugą stronę granicy przez jeden z nielicznych posterunków Menmellithu. Powiedziała, kim jest, okazała znak Gildii Najemników i swój emblemat Piorunów Nieba. Liczyła na ciepły posiłek i suche postanie, lecz spotkała się tylko z chłodną uprzejmością ze strony regularnej armii.

„O mało nie przepędzili mnie siłą. Dranie. Mogli przynajmniej pozwolić mi się wysuszyć”.

Dowiedziała się od nich, dokąd udały się Pioruny Nieba. Jechała przez dwa dni, w deszczach coraz bardziej rześistych, tak skostniała, że nie myślała nawet o tym, co tam prawdopodobnie zastanie.

Obóz nie wydawał się dużo mniejszy — najbardziej obawiała się, że ubędzie połowa albo trzy czwarte Piorunów Nieba — lecz wyglądał o wiele nędziej; zużyte albo sklecone naprędce namioty nie sprawiały dobrego wrażenia, a przy posterunku wartowniczym wisiał porzecz niezdarne uszyty z czegoś, co stanowiło niegdyś część opończy.

Ulewa osłabła nieco, kiedy Kero dotarła na obrzeża obozowiska. Hellsbane stanęła przy posterunku wartownika; był nim jakiś młokos, którego Kero nie rozpoznała, prawdopodobnie świeży rekrut. Wydawał się bardzo młody, tak młody, że jeszcze nie utracił blasku młodości.

I robił wrażenie gorliwego oraz nieco zaniepokojonego, kiedy na nią spojrzął. „Prawdopodobnie dlatego, że wyglądałam tak, jakbym wlokła się przez przysłowiowe sześć piekieł”.

Wydobyła emblemat Piorunów Nieba i machnęła nim w jego kierunku.

— Zwiadowca Kerowyn — zaskrzeczała; noce i dni spędzone w chłodzie i wilgoci przyprawiły ją o kaszel oraz podrażnienie gardła. — Melduję się po powrocie znad granicy Menmellithu.

Zanim chłopiec zdołał odpowiedzieć, spoza pierwszego rzędu namiotów rozległ się pisk i odziane na czarno widmo wyprysnęło przez obóz w jej kierunku, pokonując susami rozpięte linki od namiotów i stopy drewna opałowego pokrytego smołowanym papierem, złożone obok każdego namiotu.

— Kerowyn! — wykrzyknęła Shallan ponownie i z kilku namiotów sąsiadujących z posterunkiem wychyły jakieś głowy.

Hellsbane była tak znużona, że nawet jej to nie spłoszyło; tylko zastrzygła uchem, kiedy Shallan dopadła ich i złapała Kero za but.

— Kero, ty żyjesz!

— Oczywiście, że żyję — zakaszła Kero, powoli zsiadając z siodła. — Zbyt kiepsko się czuję jak na umarlaka.

Do tej pory więcej głów wynurzyło się z namiotów i wokół niej oraz Shal-lan zebrał się mały tłumek — same znajome twarze, za którymi Kero tak tęskniła, a czego dotąd sobie nie uświadamiała. Tłoczyli się dookoła, odpychając strażnika, biedaczysko, z drogi. Wszyscy się śmiali, niektórzy ze łzami w oczach: ponadto krzyczeli, próbując zbliżyć się do Kero i uścisnąć ją albo pocałować. To był powrót do domu, powitanie jakiego nigdy jeszcze jej nie zgotowano.

Zaskoczona rozejrzała się dokoła. Jej znużenie ustąpiło nieco wskutek ich wylewnego powitania. Nie wiedziała, że tak wielu ludzi żywi wobec niej tak mocne uczucia i ku swojemu zakłopotaniu rozplakała się, odwzajemniając uściski, rzadkie pocałunki, poklepywania po plecach oraz życzliwe przekleństwa. „Oni są moją rodziną, bardziej niż moja własna krew. To jest to, co Tarma próbowała mi powiedzieć. Tak jest w przyzwoitej kompanii; to właśnie czyni Lerry na dobrym kapitanem”.

— Muszę się zameldować! — przekrzyzczała wrzawę.

Shallan pokiwała swoją blond głową i złapała ją za łokieć, z uporem przeciskając się w tłoku. Obok uzdy Hellsbane pojawił się Gies i pomachał jej dłonią przed odprowadzeniem klaczy do innych koni.

„Ona go zna — tak, pójdzie za nim, wszystko będzie z nią w porządku”.

Wieść zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i ludzie rozstąpili się przed Kero, kiedy do nich dotarło to, co powiedziała. Gdzieś w tym zamieszaniu komuś wpadło do głowy, że wszyscy powinni zebrać się w namiocie kantyny i cały tłum ruszył w tę stronę, podczas gdy Shallan poprowadziła Kero w kierunku namiotu kapitana.

— Mam wieści bajecznie dobre i złe — powiedziała.

Brodziły w błocie po kostki i Kero błogosławiła nieustępliwość Lerryna w sprawach obozowej czystości. W grzęzawisku takim jak to, gorączka i biegunki były śmiertelnie poważnym zagrożeniem, o ile w obozie surowo nie przestrzegano czystości. Jasnowłosa spojrzała do góry, kiedy z szarego nieba znowu jeło kropić i skrzywiła się z obrzydzeniem.

— A więc na co najpierw masz ochotę?

— Na złe, i niech to będzie lista ofiar.

Kero westchnęła, przygotowana na to, że usłyszy, ilu przyjaciół zostało zabitych lub odniosło nieuleczalne rany. To była ostatnia rzecz, którą chciała usłyszeć, lecz pierwsza, o której musiała wiedzieć.

„Kogo będę oplakiwać dziś w nocy?” — zapytała siebie samą.

— To prawda. — Na twarzy Shallan pojawił się grymas. — Oto najgorsze ze złych: numer jeden to Lerryn, a numer dwa to jego zastępca, kolan. Prawdę powiedziawszy, większość oficerów nie wyszła z tego cało, tak jakby każdy z nich miał na plecach wymalowaną wielką tarczę. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam.

Zerknęła na Kero, by sprawdzić, jak dziewczyna przyjęła wiadomości, a Kero nie całkiem wiedziała, co powiedzieć czy zrobić. Było tego po prostu zbyt wiele jak na jeden raz. Poczowała oszołomienie, tak jakby ktoś uderzył ją w żołądek, a ból nie zaczął jeszcze dawać się we znaki. Lerryn? Miła Agnetho... Wydawało się to niemożliwe. Lerryn uosabiał wszystkie zalety dobrego kapitana. On w żadnym wypadku nie powinien był zginąć...

— On? Jego? — odezwała się ostro, kiedy dotarło do niej i znaczenie usłyszaných słów.

Shallan nigdy nie gadała niczego na próżno.

— Czy to oznacza...?

Głowa Shallan podskoczyła. Deszcz przykleił jej krótkie, jasne włosy do skóry na głowie.

— Obie kobiety przeżyły. Jedyne kłopot w tym, że wyższa rangą jest...

— Ardana Flinteyes.

Kero westchnęła ciężko. Dla kompanii była to zła wiadomość, w każdym razie tak sądziła Kero, będąc prawie przekonaną, że Shallan myśli podobnie. Ardana ni-

gdy nie powinna zostać awansowana ponad rangę, jaką miała przed klęską. „Jest dobrym wojownikiem, lecz nie ma głowy do strategii, unosi się o byle drobiazg i gorączkuje się tym przez wiele miesięcy i... nie podoba mi się jej brak zasad. Nie, to jest prawda. Nie lubię tego, że sprawia wrażenie, jakby była zupełnie pozbawiona skrupułów”.

— A więc Ardana jest najwyższą rangą? Nie...

— Gorzej — pośpiesznie odparła Shallan, a potem spojrzała znacząco na kapitański namiot z łopoczącym ponad nim postrzępionym sztandarem.

Nie było już na nim skrzyżowanych mieczy, lecz stał krzesząca piorun o krzemień.

— Ona jest kapitanem? — wyszeptała Kero z widoczną trwogą.

Shallan przytaknęła; raz jeden.

Kero odetchnęła głęboko. Kompania musiała pójść w czyjeś ręce. Ardana przynajmniej miała doświadczenie, a wraz z tym kompanię. To było lepsze niż rozwiązanie kompanii. No dobrze, to było prawdopodobnie lepsze niż rozwiązanie kompanii. Zatrzymała się w miejscu, w którym stała, wpatrzona w nowy sztandar, nie zważając na zalewający ją deszcz. Zresztą i tak była już mokra.

— Dobra wiadomość jest taka, że wszystkim zwiadowcom lepiej się powiodło niż oficerom — powiedziała pośpiesznie Shallan, tak jakby chciała pozbyć się niespokojnej myśli o Ardanie w roli kapitana. — I ja mam namiot, cały namiot dla siebie; jest czteroosobowy i mieszkamy w nim tylko z Relli. Możesz się do nas przyłączyć, nie przeszkadza nam to.

Kero westchnęła. Wolałaby raczej z nikim nie dzielić kwatery, lecz wątpiła, aby istniała możliwość wyboru. Bądź co bądź, to było schronienie, a towarzystwo było przyzwoite. W ciągu kilku następnych dni być może uda jej się zorganizować własny namiot. Oczywiście było, że kompania utraciła cały porzucony w czasie ucieczki ekwipunek.

— Trzymam cię za słowo — rzekła, zaskoczona wdzięcznością, która przebiegała poprzez zmęczenie w jej głosie. Wyprostowała plecy i ramiona. — Równie dobrze mogę przebrnąć przez to, póki jeszcze jestem w stanie utrzymać się na nogach.

Kero gapiła się na poplamione i zwilgotniałe płótno nad głową. To nie był jej namiot, ale nie przemakał i Shallan wraz z Relli zdołały jakoś pozbyć się stęchłego zapachu wilgoci. Była szczęśliwa, że mogła się położyć, że jest sucho i ciepło. Pewne było, iż posłanie zostało komuś złupione — kto by tam wiedział komu — zalaatywało koniem i jego najlepsze dni dawno już przeminęły; było to nieistotne. Ciepłe, suche miejsce w tej chwili znaczyło bardzo wiele.

Rozmowa z Ardana nie okazała się taką torturą, jakiej się Kero obawiała. „Wyjawszy to, że puściła mimo uszu połowę z tego, co jej powiedziałam o Karsytach, podczas gdy Lerryn trzymałby mnie tam i robił notatki, dopóki bym nie padła”. To było niepokojące; jeszcze bardziej niepokoiło, że Ardana naprawdę nie spr-

wiała wrażenia zainteresowanej tym, o co sama pytała. Tak jakby odprawiała jakiś rytuał i jakby miała na myśli innych przeciwników, a nie Karsytów.

Jednak chyba wszyscy domyślili się po wyglądzie Hellsbane, w jakim stanie musi być Kero, i kiedy Ardana pozwoliła jej odejść, przysłali Shallan, aby przyprowadziła ją do kantyny. Posadzili ją, nakarmili i nie zadawali zbyt wielu pytań. Raptem ktoś przyniósł zapasową koszulę, ktoś inny spodnie, a ktoś trzeci grubą, wełnianą opończę.

Rozebrali ją do naga pośród śmiechu i rubasznych żartów, że w tej chwili przyjemniej byłoby położyć się do łóżka raczej z jej mieczem niż z nią.

— Więc zmieńcie to! — odgryzła się. — Wszyscy możecie od razu zacząć kupować dla mnie pieczyste!

A tymczasem zakładała pierwsze od tygodnia ciepłe, suche ubranie.

Potem odprowadzili ją do namiotu Shallan pod osłoną zwędzonego skrawka nasmołowanego płótna, aby znowu nie przemokła. Wszystko to było demonstracją opiekuńczości, od której trochę zabrakło jej tchu w piersiach. Może to dlatego nie potrafiła zasnąć.

„Miałam rację” — myślała, patrząc na cętkowany dach, wsłuchana w bębniący po nim deszcz. „Postąpiłam słusznie wracając. To jest miejsce, do którego należą. Nigdy nie pasowałabym do Eldana i jego przyjaciół, tak samo jak do Darena i dworu. Uczyniłabym z nas tylko parę nieszczęśników”.

Piekły ją oczy; pociągnęła nosem i przetarła je rękawem, ciesząc się, że Shal-lan i Relli gdzieś zniknęły. Prawdopodobnie w kantynie. Obie były niezłe w opatrywaniu strzał w pierzaste lotki, a Pioruny Nieba utraciły mnóstwo strzał... .

I sporo innych rzeczy na dodatek. Kero z pewną ulgą pomyślała o kłopotach ogólniejszej natury. Kompania była w tarapatkach. Ekwipunek utracono, oficerowie zostali zdziesiątkowani, poległa prawie jedna trzecia stanu, kolejna jedna trzecia znalazła się na liście rannych, a Menmellith odmówił zapłacenia więcej niż połowy należnego żołdu twierdząc, że nie przepędzili „bandytów” ani nie wrócili z namacalnym dowodem, iż działali oni z polecenia Karsytów. Gildia niechętnie przyznała rację Menmellithowi.

„Zawsze mogło być gorzej. Wilki będą musiały szukać innej kompanii, aby połączyć z nią siły. Liczba ocalałych z ledwością starczyłaby na sformowanie jednego oddziału. Najmilsze boginie! Będzie mi brakować Lerryrna”.

Wielu ludzi będzie jej brakować. A na pierwszym miejscu listy znajdzie się Eldan. Jej gardło ścisnęło się ponownie i zdusiła szloch. „Kocham go, lecz nigdy by nam się nie udało. Kocham go i nigdy go już nie zobaczę. Prawdopodobnie myśli, że uciekłam od niego w ogniu bitwy czy coś takiego”.

Miała nadzieję, że otrzyma od niego jakąś wiadomość. Wiedział, do jakiej należała kompanii, a pod opiekuńczymi skrzydłami Gildii wiadomości rozchodziły się szybko. Jednak nic nie nadeszło.

„Pewnie dotarł do Valdemaru i odzyskał zdrowy rozsądek. Prawdopodobnie

przesiaduje teraz ze swoimi przyjaciółmi i otaczają go śliczne, dworskie panienki roztrzęsające jego szczęśliwe ocalenie i, że trafił w łapy barbarzyńskiej najemniczki o figurze jak miecz i twarzy jak kawałek granitu”. Zamrugła oczami, dwie gorące łzy spłynęły na jej skronie i na włosy. „On jest prawdopodobnie tak wdzięczny za to, iż go opuściłam, że zapalił bogom kadzidło. Pewnie opowiada na mój temat żarty. Na przykład: Czy wiecie, ilu najemników zmienia świecę...”

Za pierwszymi łzami popłynął cały ich strumień. „To nie ma znaczenia. I tak go kocham. Zawsze go będę kochać. Samotność dobrze mi robi. Nam obojgu”.

Odwróciła się na bok, twarzą do ściany namiotu, jeden koc naciągnęła na głowę, tak że gdyby ktoś przyszedł, pomyślałby, iż zasnęła. Ukryła twarz w rękawie i płakała najciszej, jak umiała; delikatne drżenie ramion ledwie ją mogło zdradzić; jedynie od czasu do czasu słyhać było pociąganie nosem i regularne kapanie łez na poduszkę. Płacz jakoś utulił ją do snu.

Kiedy się przebudziła, w namiocie było ciemno i po drugiej stronie słyhać było oddechy. Shallan i Relli powróciły bez zwracania na siebie uwagi. Nie zbudziła się całkowicie, jedynie na tyle, aby stwierdzić, że nie jest sama i przypomnieć sobie, gdzie jest.

„Nie jestem sama” — w jakiś sposób myśl ta dodała jej otuchy. „Mam przyjaciół. Mogę bez niego żyć”. Taka była druga myśl. Pamięć o tym rozgrzewała jej serce, dzięki czemu ponownie zapadła w sen.

Znowu padał deszcz. Szóstka ich zebrała się w kantine, mocując groty i lotki do strzał. Kero policzyła tygodnie w pamięci i otrzymała nieprzyjemną liczbę.

— To są zimowe deszcze, prawda? — zapytała Shallan, kiedy jednocześnie sięgnęły po pióra. — Doczekaliśmy się zimy, nieprawdaż?

Uporczywe badanie upierzenia strzały nie zwiódło Kero ani odrobinę.

— Odezwij się — powiedziała ostrzegawczo. — Prędzej czy później dowiem się. Wykrztuś wreszcie.

— Weszliśmy w zimową porę deszczową. Tak — odrzekła Shallan, spoglądając niespokojnie na Kero. — Rzeczywiście jest okropnie blisko, ale...

— Ale nic. Jeśli to jest zima, dlaczego nie jesteśmy na zimowych kwaterach?

— Kero ściszyła głos po ostrzegawczym spojrzeniu Relli. — Co my wciąż robimy w polu? — syknęła.

— No cóż — powiedziała nieszczęśliwa Shallan, bardzo długo osadzając swoje lotki. — Wiesz, że nie dostaliśmy wystarczającej zapłaty. I utraciliśmy ludzi oraz zapasy...

— No i co? — Kero miała przecucie, że wie, co teraz nastąpi i że nie będzie się jej to podobało. — Po to są rezerwy. Nieprawdaż?

— No cóż... ech... — zająknęła się Shallan.

Na koniec Relli przyszła w sukurs przyjaciółce.

— Nie będziemy zużywać naszych rezerw — wyjaśniła zwięźle. — Ardana ma dla nas robotę.

„To tego się obawiałam”.

— W zimie.

Shallan kiwnęła głową.

— W zimie. Na południe stąd...

Kero tylko prychnęła.

— Ja pochodzę z południa. Będziemy walczyć w zimnym deszczu, jeśli dopisze nam szczęście. Jeśli nie, to w śniegu aż po pośladki przez następne trzy miesiące i na lodzie. Ćwiczyłam w takiej pogodzie, lecz reszta z was nie. Pomyśl, co stanie się z końmi!

— Nie jest tak źle — odrzekła Relli, chociaż nie spojrzała w twarz Kero.

— To w Seejay, kraju płaskim jak twoja dłoń i prawie bez opadów śniegu przez całą zimę. I nie ma to być ciężka robota, lecz sprawa jakiejś gildii kupieckiej. Ekonomiczna. Jednej albo drugiej stronie znudzi się płacenie i będziemy mogli odjechać do domu. Szczerze mówiąc, lepiej jest walczyć tam w zimie niż w lecie. W lecie gotujesz się w swojej zbroi.

„A więc zamiast tego utoniemy pod warunkiem, że nie umrzemy z wyczerpania po forsownym marszu przez Ruvan”.

— Czy to są tylko pogłoski, czy też macie coś bardziej namacalnego? — zapytała.

— Jestem mocno przekonana, że tak będzie — odparła Relli. — Dowiedziałam się tego od Williego.

Ponieważ Willi był kompanijnym księgowym, było niemal pewne, że propozycja została złożona. Kero westchnęła.

— Sądzę, że zawsze może być gorzej...

Trzy miesiące później stwierdziła, że życzyłyby sobie tego śniegu sięgającego pośladków.

Usunęła błoto z ekwipunku własnego i Shallan, zdzierając wściekle rdzę ze spodniej strony kolczugi. Deszcz bębnił o dach jej namiotu i o wewnętrzne, dziurawe ściany. Właściwie wszystko byłoby lepsze od tego trzęsawiska, w jakie zmieniło się Seejay zimą.

Lodowatego trzęsawiska. Takiego, które zamarza w nocy i topnieje w środku dnia po to tylko, aby znowu zamarznąć natychmiast po zachodzie słońca.

I byli jedyną kompanią, która została wynajęta.

„To powinno od początku dać nam jakąś wskazówkę” — po raz tysięczny stwierdziła w duchu. „Powinniśmy odejść przed podjęciem się tej roboty”.

U ich boku walczyli najtańsi spośród wolnych zaciężnych, których tylko krok dzielił od poziomu więziennych szumowin; opoje i szaleńcy, okrutne szczury z rynsztoka, którzy i sprzymierzeńca zakłuli tak szybko, jak wroga. Nie można było na nich polegać, nie można było odwrócić się do nich plecami. Każdej nocy, każdego dnia strażnicy łapali drani na węszeniu dookoła obozu i każdemu coś zginęło.

Za przeciwników mieli więcej więziennych szumowin i „kompanie” zaciężnych nie należących do Gildii; starców zbyt upartych, by rzucić walkę oraz oszłomionych wieśniaków spędzonych tuż po żniwach.

To była główna przyczyna prowadzenia tej „wojny” w zimie, po żniwach i po sezonie handlowym. „Żadna okazja zrobienia pieniędzy nie została poświęcona dla walki” — myślała cynicznie. „Świadczy o tym ten mały bazar tuż poza granicami obozu. Jest tam wszystko, co ich zdaniem potrzebuje najemnik: od zapchlonych ladacznicy po rozwodnione wino”.

Cała sceneria napawała Kero odrazą. Cały ten „interes” Ardany miał posłużyć do odzyskania utraconej części zapłaty i zapasów. „Po pierwsze, powinniśmy od początku im nie ufać. Po drugie, powinniśmy z góry otrzymać uzupełnienie zapasów”.

W sumie okazało się, że otrzymali połowę swego zwykłego wynagrodzenia, z czego Ardana wytłumaczyła się, piszcząc we własnej obronie i wskazując, że brakowało im ludzi i nie mogła żądać pełnej zapłaty za coś, co w istocie było połową kompanii. Wtedy nadszedł konwój z „uzupełnieniem” zapasów — opóźniony — i Ardana nie mogła powiedzieć nic w obronie tego, co przysłano.

„Dostaliśmy namioty, to prawda — tak stare, połatane i gnijące, że mogłyby służyć Słonecznym Jastrzębiom w czasach, kiedy wojowała moja babka. Dostaliśmy broń — tanie i zardzewiałe. Dostaliśmy broń — lepszej jakości był ćwiczebny oręż Tarmy; i żywność — stęchłe porcje tak pozbawione smaku, że nawet Karsyci dostaliby torsji; beczułki pełne mięsa zbyt posolonego, aby je można było zjeść, mąkę pełną wołków zbożowych. A jeśli chodzi o konie...” — Kero zatrzęsła się. Musieli zabić połowę z nich, a połowa z tych zabitych była tak schorowana i przeżarta pasożytami, że nie można ich było zjeść.

Lecz wtedy było już za późno. Złożyli przyrzeczenie. Gdyby je złamali, reputacja Piorunów Nieba — już nadwątlona porażką w Menmellicie — zostałaby zrujnowana.

„Powinniśmy byli złamać dane przyrzeczenie” — myślała gniewnie Kero, klnąc pod nosem, gdy metalowe łuski kolczugi Shallan zostawały jej w dłoni. „Mimo wszystko powinniśmy złamać dane słowo. Wszystko byłoby lepsze niżli to. Gildia poparłaby nas, gdyby usłyszała o zaopatrzeniu”.

Okazało się, że „wojna” wybuchła pomiędzy dwoma frakcjami tej samej gildii kupieckiej. Kero nie była pewna, o co w niej chodziło — sądziła, że o kopalnie czy też jakieś surowce — i nie była przekonana, czy jej na tym zależy. Żadnej ze stron ani się śniło zatroszczyć się o dobro wynajętych przez siebie oddziałów — Pioruny Nieba były jedynie gromadą żywych ciał, noszących broń i w ogóle zdawano się zakładać, że członkowie kompanii z radością witają kolejne straty, gdyż to powodowało, iż było ich mniej do ostatecznego podziału zapłaty.

Kero została oficerem zwiadowców i przez to było jej ciężiej. Musiała wypełniać idiotyczne rozkazy Ardany — wywodzące się z jeszcze bardziej idiotycznych

rozkazów ich pracodawców — i próbować uczynić z nimi coś, co dawało jakąkolwiek szansę powodzenia.

Kero sięgnęła do swojego przybornika po kawałek na wpół wyprawionej końskiej skóry — jedynie to udało im się ocalić z tych biednych, zarżniętych luzaków — i starannie załatała kolczugę Shallan na plecach. Następnie wpięła z powrotem łuski, które odpadły, przeklinając dziury pojawiające się tam, gdzie rdza przeżarła kolczugę na wylot.

Coraz mniej i mniej przyjaciół powracało z każdej kolejnej potyczki. Ona zdołała ocalić większość ze swoich zwiadowców, lecz reszta. . .

To było bardzo demoralizujące. Ardana nie stosowała żadnej strategii. Handlarze dyktowali jej warunki, a ona słuchała ich rozkazów, kierując Pioruny Nieba, czyli harcowników, do walki, jakby byli lekką kawalerią. W wyniku wyprawy do Menmellithu ich liczebność spadła do dwóch trzecich normalnego stanu, a teraz było ich jeszcze o połowę mniej; głównie rannych, a nie poległych, za co bogom niechaj będą dzięki, ale tym niemniej definitywnie wyeliminowanych z walki.

Potrząsnęła kolczugą i jęknęła. Podobnie jak w przypadku jej dowództwa, kuśiło ją, by uczynić tylko to, na co było ją stać, a resztę zostawić bogom, ale. . . „Niech mnie licho, jeśli pozwolę, aby moi przyjaciele byli chronieni połowicznie”. Przecięła uszkodzone łuski. Kamień z paleniska posłużył jej za młotek, kawałek drewna za kowadło, a ćwiek za szydło; przebiła nowe otwory poniżej starych, po czym przytwierdziła łuski z powrotem.

Nędzni, skąpi dranie. Gdyby odeszła z Eldanem, kto by pomagał Shallan?

„Gdyby odeszła z Eldanem” — myśl ta gnębiła ją z tuzin razy na dzień i nie była przez to mniej bolesna.

„Nie odeszłam z Eldanem. Wróciłam między swoich. Jeśli Ardana się o nich nie zatroszczy, ja muszę zrobić wszystko, aby zapobiec nieszczęściu”.

Jednym z jej zadań było zapewnienie jak najlepszej ochrony jej zwiadowcom.

Podniosła do góry kolczugę i potrząsnęła nią; zmarszczyła brwi dokładnie w momencie, kiedy przez drzwi do namiotu wpadła Shallan, wrywając po drodze jedną z linek.

— Atakują nas! — krzyknęła, kiedy płonąca strzała wbiła się w płócienną ścianę namiotu. Kero zerwała się na równe nogi w chwili, kiedy coś dużego w panice zderzyło się ze ścianą ich namiotu.

Kero oprzytomniała, leżąc na plecach. Jej lewe ramię i bark były w ogniu. Dosłownie. W ramieniu tkwiła płonąca strzała.

Krzyknęła z bólu i szoku i potoczyła się w błoto. Zdusiła ogień, ale złamała strzałę i wbiła grot głębiej w ramię; z bólu ponownie straciła przytomność.

Kiedy znów ją odzyskała, pożałowała tego faktu. Ból był niewiarygodnie dotkliwy. Zgodnie z naukami Tarmy oddychała głęboko i powoli, nie otwierając oczu, z nadzieją, że ból odpłynie, choć odrobinę.

„Gdybym. . . tylko miała przy sobie Potrzebę. . .”

Nigdy jeszcze nie została ranna, będąc bez miecza u boku i teraz uzmysłowiła sobie, co to za różnica. Zmusiła się do otworzenia powiek.

Płótno.

Odwróciła głowę w lewo, ponieważ odwracanie jej w prawo tylko zwiększało ból. Najwyraźniej nie była jedyną ofiarą napadu na obóz. Dookoła leżało z tuzin innych, którzy odnieśli różnorakie rany.

Ktoś się pojawił — kompanijny Uzdrawiciel, Erden. Za bardzo się poruszyła i głośno westchnęła. Podskoczył, jakby to jego zraniono, i w powietrzu udało mu się obrócić tak, że stanął zwrócony do niej twarzą.

— Co to? — zapytał, kładąc delikatnie dłoń na jej zabandażowanym ramieniu.

Ból ustąpił na tyle, że mogła mówić.

— Jest mi potrzebny ten przekłety miecz — wyszeptała. — Potrzebuję go... to wszystko.

— Jeśli go dostaniesz, mogę o tobie zapomnieć?

Przytaknęła. Jego oczy zwęziły się lekko.

— Cokolwiek oszczędzi mi wysiłku, jest mile widziane. Poślę kogoś po niego.

Puścił jej ramię i zalały ją fale bólu. I nagle, bez ostrzeżenia, ból minął. Zachłysnęła się ponownie, lecz tym razem z ulgą i powoli otworzyła oczy. Obok niej klęczała Shallan, podtrzymując jej prawą rękę, zaciśniętą na jelcu Potrzeby.

— Co się stało? — zapytała.

— Zostaliśmy zaatakowani przez miejscowych. — Shallan wyglądała tak, jakby od dawna nie spała. — Dość mają tratowania gospodarstw, płądrowania domostw i gwałcenia córek.

— Ależ my nie... — Zamilkła na widok spojrzenia, jakim ją obdarzyła Shal-lan.

— Wam, oficerom, nie mówi się wszystkiego. Mimo to nie było gwałtów; chłopcy wiedzą, że my, kobiety, zrobiłybyśmy z nich stado sopranów, gdybyśmy się o tym dowiedziały. Lecz kiedy jesteśmy głodni i zziębnięci jak wszyscy diabli, różnie bywa. Tak czy siak, przeważnie to nie byliśmy my, ale oni po prostu mają gdzieś to, kto to był.

— W takim razie, co się stało? — zapytała Kero; ze wstydu nie mogła się nawet zarumienić. „Czyżbyśmy aż tak szybko, aż tak nisko upadli?”

— Jesteś niemal jedyną osobą poważnie ranną w tym napadzie. Utraciliśmy kilka koni, kilka namiotów, ale przeważnie gorzej to wyglądało, niż było w istocie. Ci wszyscy... — machnęła ręką na rannych leżących za Kero -... zostali ranni w zasadzkach zastawianych przez partyzantów na obie strony. Wypadłaś z obiegu na jakieś cztery dni. Wykańczają nas po jednym, po dwóch. Pewnego dnia przyłapaliśmy dwunastoletniego chłopca. Powiedział, że próbują zatruć nam życie, nam, Piorunom Nieba, abyśmy spakowali swoje rzeczy i odeszli. Powiedział, że ich przywódca wykombinował sobie, iż kiedy nas nie będzie, wojna się skończy.

— Ja... nie widzę błędu w jego rozumowaniu. — To nie dlatego zajęła się wojaczką, aby niszczyć życie szarych ludzi.

Shallan wzruszyła ramionami.

— Ani tym bardziej ja — przyznała. — No cóż, dzisiaj to była absolutnie ostatnia kropla goryczy. Kupcy! Żądają wyjaśnień, dlaczego jeszcze nie odnieśliśmy dla nich zwycięstwa, chociaż podobno jesteście tacy dobrzy.

Poryw wściekłości targnął nią i równie szybko zamarł. Ci tłuści, zadowoleni z siebie łajdacy nie wiedzą o wojnie nic i na niczym im nie zależy. Prawdopodobnie tak samo wykorzystywali swoje zwierzęta: by wycisnąć z nich wszystko i przegnać. „Nade wszystko jesteśmy tylko najemnikami. Nikt nie będzie za nami tęsknił...”

— Ardana zwołała wiec — dokończyła Shallan. Przebiegły i wyrachowany wyraz jej twarzy powiedział Kero, że czyta ona w myślach niemal tak doskonale, jakby posiadała umiejętność myślczenia, tak jak Kero. — Sądysz, że jesteś w stanie?

Kero spróbowała usiąść. Udało się. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła niczym nie zmaconą wdzięczność wobec Potrzeby.

— Podaj mi rękę, abym mogła wstać, i ramię, na którym będę mogła się oprzeć, a pójdę z tobą — zapewniła, chociaż w głowie jej się kręciło.

Ramię ją nie bolało, lecz swędziało; swędziało potwornie, co podsunęło jej myśl, że miecz nadrabiał ich czterodniowe rozstanie. Z każdą chwilą czuła się mocniejsza i kiedy Shallan pomogła jej stanąć na nogach, zdołała zapanować nad bólem, który jeszcze czuła, i przy odrobinie pomocy trzymać się prosto.

„To bardzo dobrze. Mam przecucie, że wiec nie będzie mi się podobał”.

W chwili kiedy dotarli do namiotu kantyny, jedynie żelazo powstrzymywało ją przed zderzeniem bandaży z barku i drapaniem rany do krwi. Zaciśnęła zęby, z wysiłkiem starając się o tym zapomnieć.

Shallan znalazła miejsce, rzuciwszy wściekłym spojrzeniem na dwóch harcowników, aż ustąpili im miejsca na nie heblowanych ławach z przepiłowanych na pół bali. Po ich przybyciu nadeszło jeszcze kilku ludzi, jednakże niezbyt wielu. Kiedy Kero rozejrzała się, uzmysłowiła sobie ze strachem, że kompania zmniejszyła się o połowę od chwili, kiedy tutaj wjechali. To brak kompetencji Ardany tak ich zdziesiątkował. Gorszy niż liczby był fakt, że wielu najemników nie patrzyło jej prosto w oczy, albo też, po krótkiej chwili, odwracało wzrok.

Zamiast poczucia jedności — jak wtedy, kiedy wiec zwoływał Lerryn — królowało poczucie nieszczęścia, niepokoju i rezygnacji, jakby wszyscy zdawali sobie sprawę, że rozkazy będą złe, lecz nikt się o to już więcej nie troszczył.

W końcu ukazała się Ardana, a za nią — jak tłusty cień — podążał kupiec, krocząc przed frontem namiotu podrygującym, sztywnym krokiem, co przypominało Kero na poły wściekłego, na poły zagłodzonego psa, którego raz widziała, gdy próbował nad kością stawić czoło znacznie większemu zwierzęciu.

Ponury grymas Ardany, który tak bardzo zrosł się z jej twarzą, oczy o wyrazie twardym jak krzemień, absolutnie nie wpływały na zmianę tej oceny. „Wie, że nie jest w stanie temu podolać, lecz nie może się do tego przyznać” — myślała zadziwiona Kero. „Tak ją pożera ambicja i to, że jest kapitanem, iż nie ustąpi, mimo że zabija własną kompanię. Co jest z tą kobietą? Czy ktoś rąbnął ją w głowę, gdy wszyscy stali odwróceny? Cóż przemieniło ją w takiego potwora?”

Kobieta kapitan bez przerwy obciągała rąbek swojej tuniki, próbując wygładzić zagięcia, których tam nie było. Podobnie jak ponury grymas, to przyzwyczajenie pojawiło się, kiedy podniesiono ją do rangi kapitana.

— Nasi pracodawcy nie są zadowoleni z postępów naszej pracy — odezwała się Ardana w otaczającej ją posępnej ciszy, która zapadła po jej wejściu. — Powiadają, że mają podstawy przypuszczać, iż zaniedbujemy obowiązki.

Kilka miesięcy wcześniej oświadczenie to spotkałoby się z gniewnymi okrzykami. Teraz cichy, zmęczony pomruk służył za całą odpowiedź. „Na niczym im nie zależy — ani na reputacji, ani na sławie. Są jak ochwaczone konie, idące do przodu tylko dlatego, że ktoś je popędza, a przystąpienie wiąże się z jeszcze większym bólem”.

Usta Ardany zacisnęły się z — jak to odczytała Kero — zadowoleniem, kiedy nikt nie zaprotestował.

— Powiedziały im, że zamierzamy z tym natychmiast skończyć. Chcę, aby jutro każdy z was był czujny i przygotowany do ataku. . .

Rozkazy, które nakreśliła, opisywały ni mniej, ni więcej tylko samobójstwo. Otwarty atak wprost na linie, bez żadnego wsparcia, a ich przeciwnicy będą tkwili ukryci w ruinach wioski. Miejsce to było labiryntem na poły zburzonych domów; idealne do obrony, a nie do szarży kawalerii. Tak jakby Pioruny Nieba były kawalerią.

Kero słuchała z rozdziawionymi ustami, niezdolna uwierzyć w monumentalną głupotę tego planu. „To oni, kupcy” — z wolna jej myśli zaczęły krążyć, łącząc w całość to, co słyszała, z tym, czego nie słyszała, lecz przeczuwała. Sięgnęła w głąb umysłu kupca i poczuła mdłości od tego, co tam znalazła. „Najmilsi bogowie! Powinnam była czytać w ich myślach w chwili, kiedy pojawiliśmy się tutaj. Powinnam była. . .”

To, czego się dowiedziała, było gorsze od najgorszych wyobrażeń. Ci ludzie nie zamierzali wypłacić zaległego wynagrodzenia i chcieli rozwiązać ten problem, upewniając się, iż nie będzie żadnej kompanii do opłacenia.

O ile chodziło o nich, ten ostatni atak byłby zręcznym rozwiązaniem wszelkich kłopotów. Większość Piorunów Nieba poniosłaby śmierć; pozostali, pozbawieni przewodnictwa, rozpierzchliby się; sześć miesięcy temu rzecz była nie do pomyślenia, lecz w stanie takiej demoralizacji jak teraz, było to już nie tylko możliwe, ale i prawdopodobne. Samobójcza szarża zdziesiątkowałaby także szeregi wroga do tego stopnia, że wolni zaciężni starliby ich ze szczętem, czego podjęli-

by się bardzo chętnie w zamian za możliwość brania łupów.

„Jestem na liście rannych, nie pójdę tam” — taka była jej pierwsza myśl, kiedy Ardana nakreśliła „plan bitwy”. Teraz zarumieniła się, wstydząc się tego. „Nawet ja upadłam tak nisko i myślę tylko o sobie. Jakże mogę zawieść pozostałych?”

Fakt, że ona była na liście rannych, dał jej jednak do ręki oręż, czego nie przewidział tłusty kupiec. Poświęci swoją karierę, lecz lepsze to niż śmierć fizyczna i moralna ostatnich przyjaciół.

Zgodnie z prawem Gildii, każdy na liście rannych mógł zerwać kontrakt, chociaż niewielu jak dotąd skorzystało z tego prawa.

Może jeśli odejdzie teraz, obudzi ich, zmusi, by zrozumieli, w co ich wplątano. Warto było spróbować.

Wstała i nagle wszystkie oczy w namiocie zatrzymały się na niej. Nawet Ardana zamilkła w pół słowa i patrzyła na nią lekko zaskoczona.

— W życiu nie słyszałam takiego steku bzdur — powiedziała Kero głośno i wyraźnie. Wyciągnęła oskarżycielsko palec w kierunku kupca.

— On doprowadzi nas wszystkich do śmierci. — Wskazała na Ardanę. — A ty pozwolisz, aby mu to uszło na sucho. Lerryn musi obracać się w grobie jak oś wozu.

Ardanie twarz się wyciągnęła; kupiec-tłuszcioch przeżył podobny szok, zaskoczony, że głupi najemnik ma czelność jawnie rzucać mu wyzwanie.

Kero rozejrzała się dookoła, wolno i znacząco.

— Prawdę powiedziawszy, nie widzę tutaj nikogo, kogo mogłabym nazwać Piorunem Nieba. — Zwróciła się ku do Ardanie, zerwała emblemat z rękawa i rzuciła kapitanowi do stóp. — Zrywam nasz kontrakt. Nuże, dokonaj na moje miejsce zaciągu pośród okolicznych szumowin. Jeśli zdołasz znaleźć takiego głupca, który by na to przystał.

Odwróciła się i przecisnęła przez tłum. Ardana ocknęła się nagle za jej plecami i piskliwie rozkazała jej zatrzymać się.

Kero zignorowała rozkaz, jak i te, które po nim nastąpiły, każdy bardziej histeryczny od poprzedniego. W końcu rozkazano komuś innemu, by ją zatrzymał w celu postawienia przed sądem wojennym. Kero odwróciła się i spojrzała swemu byłemu kapitanowi w oczy, kładąc dłoń na jelcu miecza.

— Nie próbowałabym tego — rzekła spokojnie w śmiertelnej ciszy, która raptem wokół zapanowała. — Naprawdę nie próbowałabym. Nie spodoba ci się wynik takiego działania.

I dobyła miecz na cal.

Ardana poczerwieniała, a potem zbladła. Zbliżyła dłonie do jelca swego własnego miecza.

Pół tuzina zwiadowców skoczyło na równe nogi i zerwało swoje emblematy, ciskając nimi obok emblematu Kero. Rychło przyłączyło się do nich dziesięciu, dwudziestu... aż powietrze wypełnił odgłos rozpruwanego materiału. Rozdzieliło

je tylu ludzi, że Kero nie mogła nawet dostrzec Ardany, chociaż była w stanie usłyszeć, jak piskliwie nakazuje spokój.

Spokój, którym nie będzie już mogła dowodzić.

Kero odwróciła się i przecisnęła obok pozostałych Piorunów Nieba. Nagle własne postępowanie nappełniło ją strachem.

„Wciąż ma kilku lojalnych popleczników. Ma ludzi, których kupił handlarz. Może im rozkazać, aby mnie zatrzymali — teraz to jedyny sposób zmuszenia kogokolwiek do posłuchu. . .”

Niemal upadła, potykając się o czyjeś stopy; wybiegła, kierując się do swego namiotu, by złapać, co się da ze swoich rzeczy i ruszyć drogą na północ, dopóki Ardana jest zbyt zmieszana, żeby zebrać myśli. Namiot nie stał zbyt daleko i chociaż była wyczerpana swoją słabością i biegiem, dzięki Potrzebie była całkowicie zdolna do jazdy konnej. Hellsbane mogła z łatwością prześcignąć każdego innego konia Piorunów Nieba, szczególnie teraz.

Wpadła do namiotu i szarpnięciem otworzyła juki.

„Błogosławiona Agniro” — modliła się żarliwie, upychając rzeczy. „Błogosławiona Agnetho, nie pozwólcie jej zebrać myśli. Pozwólcie mi zdobyć przewagę. . .”

Szesnasty

Hellsbane zmierzyła wzrokiem leżącą na wprost jej pyska stertę suchych i zwiędłych traw z niezwykłym jak na istotę parzystokopytną powątpiewaniem. Spojrzała na Kero z wyrzutem, błagalnie i pogrzebała kopytem w twardo zbitym śniegu.

— Przykro mi, staruszko — powiedziała ze znużeniem Kero, sama aż nadto świadoma własnego głodu i zimna, od którego kostniały jej stopy i dłonie. — To wszystko, co mamy. Powinnaś się cieszyć, że możesz jeść trawę; tobie lepiej się powodzi niż mnie.

Wątpiła, czy bojowa klacz cokolwiek z tego rozumiała, ale można było przynajmniej ze zwierzęciem rozmawiać. Rozmowa odciągała jej myśli od tego, jak jest zmęczona.

Od kiedy rozpoczęła swoją ucieczkę na północ, unikała osad, domyślając się, że cokolwiek Ardana postanowiła w jej sprawie, nie będzie to dla niej korzystne. Opuściwszy obóz Piorunów Nieba, codziennie jechała od świtu do zachodu słońca. Tymczasem deszcz zamienił się w deszcz ze śniegiem, a potem w prawdziwy śnieg. Pokrywa śnieżna stawała się coraz grubsza. Cieszyła się, że miała za sobą cały trening Tarmy, gdyż bez niego nigdy nie utrzymałaby się przy życiu na otwartym terenie w zimie. Obie z Hellsbane były w bardzo kiepskim stanie, ale przynajmniej były żywe i zdolne do dalszej podróży, gdyby zaszła taka potrzeba. Uciążliwa ucieczka niemal dobiegała końca. Z zapadnięciem nocy znajdzie się w zimowej siedzibie Piorunów Nieba; weźmie swój ekwipunek i opuści to miejsce. Kiedy zbierze swoje rzeczy, między innymi emblemat Gildii Najemników, będzie mogła wystąpić ze swoją sprawą przed Arbitrami.

Popatrzyła na ołowiane niebo i pomyślała z goryczą o tym, jaka to szkoda, że Ardana nigdy nie zostanie wezwana, żeby zdać sprawę ze swej nieudolności. Kero nie miała złudzeń, czy Ardana zostanie w jakikolwiek sposób ukarana — przede wszystkim bezcelowe było karanie kogokolwiek za głupotę; będzie to przynajmniej rodzaj ostrzeżenia w Gildii dla wszystkich, którzy chcieliby przystąpić do Piorunów Nieba. A Kero oczyści swoje imię i kartotekę z wszelkich zarzutów podniesionych przeciw niej przez Ardane.

„Potem mogę zostać wolnym zaciężnym” — pomyślała, żując nieco odżyw-

czych, lecz pozbawionych smaku korzeni rogoży, które wygrzebała dla siebie z na wpół zamarznętego strumienia. Z zimna bolały ją zęby, a ręce bolały ją tak bardzo jak zęby. „Niech licho porwie tę sukę! Jestem niewinna. Ona powinna trzymać to w zębach, ale to ja będę cierpieć. Z zarejestrowaną w kartotece niesubordynacją — nawet jeśli była ona usprawiedliwiona i legalna — żadna zaprzysiężona kompania nigdy nie zaryzykuje przyjęcia mnie ponownie w swoje szeregi. Na zawsze zdobyłam dla siebie miano trudnej. Ale to lepsze od śmierci”.

Zaczekała, aż Hellsbane zje swoją porcję do ostatniej łydźki, zacisnęła popręg i wskoczyła na siodło. Ból stóp, przytulonych do boków klaczy ustąpił jedynie częściowo. „Jazda na koniu, który właśnie skończył się paść, nie jest dobrym przykładem troski o zwierzę. Przepraszam, Hellsbane, nie mam wyboru. Oszczędziłabym cię, gdybym mogła”.

Klacz otrząsnęła się i prychnęła, ale ruszyła z dostateczną ochotą. Jechała stępa pod obniżającym się niebem, tak jak to robiła od tyłu dni. Kero całkiem straciła rachubę. Długie, pochmurne dni oznaczały jedynie kolejne, pokonane mile dzielące ją od celu. Obliczenia dziewczyny okazały się jednak bardzo trafne: zachód słońca zastał ją wjeżdżającą do wioski, stanowiącej zimową kwaterę Piorunów Nieba. Poczowała ten sam przypływ ulgi co wtedy, kiedy wróciła do obozowiska Piorunów Nieba. Pośpiesznie zdusiła to w sobie, lecz nie uniknęła wzruszenia. To nie był i nigdy nie będzie dom. Nie dla niej.

Wioska była skupiskiem dość niezwykłych budynków — trzech gospod, kuźni, zbrojowni i kilku innych, trudniej rozpoznawalnych obiektów, gdzie najwyraźniej prowadzono jakieś interesy. Ani śladu wioskowego rynku, ani śladu rzemieślników i rolników. Ponad wszystkim wyrastała potężna palisada.

Każda z osad, służących za zimową kwaterę kompanii, wyglądała mniej więcej tak samo. Kompania budowała lub wykupywała odpowiednią posiadłość; każdej — bez względu na wielkość — potrzebnych było kilka obiektów: koszary i zbrojownie, plac do ćwiczeń, stajnie oraz zabudowania administracyjne. Po upływie roku od wzniesienia budynków i wprowadzenia się mieszkańców napływali inni osadnicy. Jedynymi rzemieślnikami, którzy zakładali w pobliżu swoje warsztaty, byli kowale i płatnerze; Gildia Handlarzy i Kupców zaspokajała wszelkie potrzeby materialne, na jakie zimujące oddziały miałyby ochotę wydać pieniądze. Co zaś tyczy się potrzeb pozamaterialnych, oberżyci troszczyli się o każdą taką zachciankę. Pioruny Nieba nie zamieszkiwały w tym miejscu na tyle długo, aby dookoła murów wyrosło miasteczko zaludnione weteranami, którzy żyjąc z renty, osiedlaliby się w pobliżu i zakładali rodziny. Jastrzębie Gniazdo, zimowa siedziba Słonecznych Jastrzębi, było ostoją kwitnącej cywilnej populacji.

W sezonie wojennym pozostawiano tutaj symboliczny oddział, który szkolił nowych rekrutów i troszczył się o utrzymanie siedziby w dobrym stanie. Zwykle byli to członkowie kompanii niezdolni do służby polowej, lecz nie mogący odejść na emeryturę lub nie mający na to ochoty. Jeśli kapitan ocenił, że są dosta-

tecznie sprawni i były wolne posady, zostawali zwykle dozorcami i instruktorami, zwłaszcza jeśli byli oficerami. Trwonienie ludzkiego potencjału nie miało przecież sensu.

Najwyraźniej wieść o dezercji nie wyprzedziła Kero, ponieważ strażnik przy bramie frontowej — małomówny, jednooki mężczyzna, którego ledwie знаła — przepuścił ją do środka. Otworzył boczną, mniejszą furtkę, aby nie przepychać w śnieżnych zaspach wielkich wrót. Kero była niezwykle zadowolona, że to on był na służbie; rzadko wypowiadał więcej niż trzy słowa pod rząd, i to wyłącznie wtedy, gdy został zagadnięty. Nie chciała, by ją zmuszano do odpowiedzi na pytania, a zwłaszcza nie miała ochoty kłamać. Znużenie, które udała, było tylko odrobinę większe od tego, jakie naprawdę czuła. Wiedziała, że i ona, i klacz są wychudzone i wyczerpane i że to jest dostatecznym usprawiedliwieniem milczenia.

Na pokrytym śniegiem placu ćwiczebnym zaległa cisza. Kiedy obok niego przejeżdżała, bezлюдna okolica wyglądała dziwnie. Pomyślała, że być może wszyscy nowi rekruci jedli kolację, lecz kiedy zeskoczyła z siodła i wprowadziła klacz do tonącej w ciemności stajni, zobaczyła, jak niewiele stoi tam koni. Uzmysłowała sobie, że — o ile wie — po raz pierwszy nie było nowych rekrutów.

Widocznie jeźdźcy z nowego zaciągu, po wstępnym przeszkoleniu w miesiącach letnich, zostali odesłani na południe, aby dołączyć do reszty kompanii, ponieważ tutaj i tak nie miałby kto ich szkolić. A to oznaczało, że aby podjąć się jakiegokolwiek pracy w regularnym sezonie wojennym, resztki kompanii będą musiały przyjąć zielonych rekrutów lub też wolnych zaciężnych, których nigdy uprzednio nie było w kompanii, i wysłać ich na linię frontu razem z innymi.

Był jeszcze jeden dowód na krótkowzroczne myślenie Ardany. I chociaż Piorny Nieba przyjmowały jedynie wytrawnych wojowników, prawdopodobieństwo śmierci nowego rekruta było dwukrotnie większe. Ale nie dotyczyło to tylko kompanii specjalnej; w kompanii harcówników Kero nie dałaby rekrutom najmniejszej szansy na przeżycie pierwszej utarczki.

Teraz wyjaśniło się, skąd wzięło się tyle nowych twarzy, w czasie gdy ona była po drugiej stronie karsyckiej granicy. I dawało Ardanie możliwość zręcznego wytłumaczenia się na wypadek śledztwa ze strony Gildii, dlaczego liczba ofiar jest tak wysoka.

Nie rozsiodła Hellsbane. Wprowadziła ją po prostu do najbliższej, pustej przegrody, podrzuciła treściwej paszy i poszła do koszar po swoje rzeczy.

Niewiele tego było — ciepłe, zimowe odzienie, nieco broni w miejsce utraczonej lub porzuconej. Z rzeczy prywatnych najmniejszy drobiazg mógł okazać się przydatny. Niewątpliwie będzie musiała sprzedać półszlachetne kamienie, które zebrała, aby tej zimy rzeźbić miniaturowe figurki. Przyrządy szlifierskie nie były zbyt wartościowe i nie zajmowały wiele miejsca; zatrzyma je na jakiś czas w nadziei, że pewnego dnia znów zajmie się szlifierstwem.

W koszarach było ciemno, większość okien była zasłonięta okiennicami. Jej kroki odbijały się głuchym echem. Oddech bielił się w mroku, co znaczyło, że to miejsce nie było ogrzewane przez całą zimę.

Ta pustka przygnębiała ją jeszcze bardziej niż cała powrotna podróż. Może miało to coś wspólnego z tym, że owo opustoszałe miejsce powinno roić się od ludzi.

Nie ściągnęła nawet swoich znoszonych rękawic ani płaszcza; było za zimno. Nie zamierzała tutaj spać. Jeśli będzie miała czas odetchnąć, wykorzysta pewien niewielki kredyt, jaki posiadała u Wełnistego Barana, i tam spędzi noc. Poruszając się po omacku, przeszła przez budynek, wspięła się po trzeszczących schodach na piętro dla weteranów i dotarła do swojej koszarowej klitki.

Zimno wdarło się pod jej płaszczyk, a przygnębienie do serca. Otworzyła okiennice, aby złapać ostatnie promienie światła. Obok jej pustej pryczy stał stojak na zbroję z zapasową kolczugą, którą będzie można z łatwością sprzedać. U stóp pryczy znajdowała się zamykana na zamek skrzynia zawierająca drobiazgi, których nie chciała zabierać ze sobą na kampanię, a pod pryczą leżała bieliźniarka z pozostałą garderobą.

Zebrała całe zimowe odzienie i zawinęła w pakunek z zapasowego koca. Otworzyła skrzynię i splądrowała ją równie starannie, choć było w niej zdecydowanie mniej rzeczy. Noże, jej przyrządy do szlifowania klejnotów, kilka nie dokończonych rzeźb, różne inne drobiazgi. Niektóre były zbyt masywne, aby mogła je ze sobą wziąć, a inne nie miały praktycznego zastosowania. Dopiero kiedy wszystko spakowała, zauważyła list leżący na półce nad łóżkiem pośród rozmaitych przedmiotów i rzeźb.

„Kto mógł przysłać mi list? Mój brat?” Jednak pieczęć była nieznana, a i pisma nigdy dotąd nie widziała. Wzięła złożony pergamin. Z niewiadomych dla niej przyczyn drżały jej ręce. Otworzyła go, łamiąc dziwną, niebiesko-srebrną pieczęć.

List zawierał dwa skrawki papieru. Pierwszy był prostą, podpisaną notatką na dwie linijki.

„Dotrzymałem litery naszej umowy — przeczytała — lecz nie możesz winić mnie za to, że na warunkach najbardziej mi odpowiadających. Jeśli chcesz ją zrealizować, będziesz musiała przybyć tutaj i zobaczyć się ze mną”.

Podpisano po prostu „Eldan”.

Drugi dokument był czekiem w języku Valdemaru na sumę okupu za Herolda. Musiałaby udać się do Valdemaru osobiście, aby zamienić go na gotówkę. A dokładniej, musiałaby udać się do Haven, ponieważ czek został wystawiony na rachunek Korony w tym miejscu i musiał być podpisany przez wystawcę, którym

w tym przypadku był sam Eldan. Aby zażądać nagrody, zmuszona byłaby zatem spotkać się z nim na jego własnym terenie.

Ofiarował jej gorzki rodzaj zbawienia. Jeśli pojedzie do niego, do Valdemaru, będzie to kres jej kłopotów, przynajmniej na jakiś czas. Żywa gotówka umożliwiłaby jej przetrwanie do momentu, kiedy udałoby się jej wstąpić w szeregi wolnych zaciężnych. Być może zdołałaby otrzymać zajęcie w Valdemarze. Tam też potrzebowano na pewno ochroniarzy: strażników osobistych czy do eskortowania karawan.

Lecz jeśli tam pojedzie, Eldan będzie bez wątpienia próbował przekonać ją, by z nim została, może nawet jako nauczyciel w tym jego kolegium, tak jak to już proponował. Obecnie nie miała przed sobą innego wyboru, jak ulec tym namowom. Jeśli jednak ulegnie, znajdzie się właśnie w sytuacji, której chciała uniknąć, najpierw uciekając z zamku Lordana, a potem od samego Eldana. Na myśl o całkowitej zależności od kogoś obcego zrobiło jej się duszno.

Ale żyłaby z jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek zdolna była pokochać, któremu mogła całkowicie oddać swe serce, poświęcić myśli i duszę, bo on uczynił to w tym samym stopniu.

Zamarła w bezruchu; stała, wpatrując się w pustą ścianę ponad półką, nieświadoma, że zgmiotła obydwie dokumenty w dłoniach, dopóki zgiełk spoza bramy wjazdowej nie wyrwał ją z transu.

Nie można było pomylić się co do istoty tego hałasu; przyjazne okrzyki, wyčia, uderzenia pięścią w bramę świadczyły o tym, że tłum jeźdźców chce dostać się do środka.

Pośpiesznie wepchnęła dokumenty do sakiewki u pasa. Później podejmie decyzję, co dalej. Teraz powinna szybko się stąd wydostać. „Wysłannicy Ardany musieli przybyć tuż za mną” — pomyślała, z trudem opanowując panikę. „Muszę stawić się w Gildii, zanim wtrącą mnie do aresztu!”

Nie wątpiła, iż Ardana postawi ją przed sądem wojennym, jeśli kiedykolwiek wpadnie jej w ręce. Gdyby to zależało od Ardany, Kero nigdy by nawet nie zobaczyła Arbitra Gildii.

Chwyciła swoje pakunki i pomknęła schodami dokładnie w chwili, kiedy poprzez uchylone okiennice doszedł ją odgłos otwieranych wrót wjazdowych, czemu towarzyszyło skrzywienie zagarnianego śniegu.

Zbiegając po schodach w dół, a potem wypadając bocznym wyjściem z baraku, obmyślała możliwe drogi ucieczki. Za zabudowaniami znajdowała się tylna furka. Kero czekała do momentu, gdy zyskała pewność, że nikt nie może jej zobaczyć, i pognęła do stajni przez otwierającą się pomiędzy budynkami przestrzeń. Po omacku otworzyła przegrodę i złapała lejce Hellsbane, aby ją wyprowadzić. Teraz usłyszała odgłosy ludzi i koni, tłoczących się tuż za bramą wjazdową; ludzi było co najmniej dwudziestu. Zaprowadzenie porządku potrwa jeszcze kilka chwil, potem będą musieli wyjaśnić cel swojej misji wartownikowi, który na

pewno zapamiętał, w jakim kierunku się udała. Na to wszystko potrzeba czasu, cennego czasu, który ona może wykorzystać do ucieczki.

Zarzuciła pakunki na zad Hellsbane, nie przywiązując ich, i wyprowadziła ją ze stajni obok śmierdzącej sterty gnoju na tyły palisady. Tam znajdowała się wąska furtka — jej wysokość ledwie wystarczała, by przeprowadzić tamtędy konia, jeździec już się nie mieścił. Zmuszenie zwierzęcia do przejścia przez coś, o czym sądziło ono, że jest za ciasne, było prawdziwym testem umiejętności jeźdźców. Ale klacz poszłaby za Kero, dokądkolwiek by ją ona powiodła; tak została nauczona i takie zaufanie łączyło je obie. Kero musiała ściągnąć pakunki i rzucić je w zasy, aby klacz przedostała się przez furtkę, ale Hellsbane, przeciskając się, nie sprawiła kłopotów, pomimo że siodło zaszurało z obu stron o ściany palisady. Zamek obciążonych przeciwwagą drzwi trzasnął za końskim ogonem. Na ten dźwięk Hellsbane zastrzygła uchem i nerwowo parsknęła.

Kero wydobyła bagaże ze śniegu i zarzuciła je ponownie za siodłem, przywiązując je tak mocno, jak tylko mogła, do umocowanych już pakunków. Szybko wskoczyła na siodło; teraz liczyła się każda chwila. „Nie miałam pojęcia, że tak bardzo się zbliżyli” — pomyślała z obawą. „Wiem, że nie miałyśmy najlepszego czasu, bo omijając osady ludzkie, musiałyśmy trzymać się bocznych szlaków, a i Hellsbane nie była w najlepszej formie, ale sądziłam, że bardziej ich wyprzedziłyśmy”.

Była i inna możliwość. Jeśli Ardana tak bardzo pragnęła dostać ją w swoje ręce, że obsadziła najświeższe konie najlepszymi jeźdźcami kompanii, i wyposażyła ich w dostateczną ilość pieniędzy, aby mogli zmieniać wierzchowce po drodze przy każdej placówce pocztowej, to faktycznie łatwo by ją doścignąć. Dlatego dotarcie do miasta z przedstawicielstwem Gildii stało się jeszcze ważniejsze. Nawet jeśli oznaczało całonocną jazdę.

Okazało się, że jazda trwała nie tylko przez całą noc, ale jeszcze i po wschodzie słońca.

Kero nigdy nie przypuszczała, że ktoś może być tak bardzo zmęczony, tak do cna wyczerpany i mimo wszystko trzymać się na nogach. Zdusiła ziewnięcie, recytując po raz trzeci swoją opowieść przed reprezentantami Gildii.

Za każdym razem stawała przed innymi ludźmi. Po raz pierwszy nastąpiło to natychmiast po przekroczeniu bram miejskich. Chciała posilić się i położyć do łóżka, ale ponieważ w okolicy poszukiwali ją poplecznicy Ardany, wiedziała, że nie odważy się tracić czasu ani na jedno, ani na drugie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy przekroczyła drzwi Gildii — mocnego, kamiennego gmachu, który z wyglądu nie różnił się zbyt od siedziby jakiegokolwiek cechu. Znalazłszy się wewnątrz, zapytała, gdzie znajdują się Arbitrzy. Została odesłana na górę, po wydeptanych, drewnianych stopniach, do małego pomieszczenia,

gdzie opowiedziała skróconą wersję swojej historii jakiemuś sekretarzowi o lodowatej twarzy.

Kiedy skończyła, sekretarz podał jej krzesło i gdzieś odszedł. Po jego powrocie wydawało się, że lód jakby nadtopniał i sekretarz zabrał ją do innego pokoju. Tam powtórzyła swą opowieść dużo bardziej przyjacielskiemu i współczującemu urzędnikowi, który zdawał się dokładać starań, aby poprawić jej samopoczucie i przekonać ją, że jemu może zaufać. Zaufała mu, lecz głównie dlatego, iż była pewna swych racji i że próbowała jedynie bronić siebie i swojej pozycji w Gildii. Zrozumiała, iż ktoś opowiadający temu człowiekowi fałszywą historijkę, wpadłby w poważne tarapaty. Zadał on bowiem wiele ostrożnych pytań, a wszystkie pomyślane tak, żeby sama siebie obwiniła albo żeby odkryć błędy w jej opowieści, które zdemaskowałyby kłamstwa.

To zajęło większość przedpołudnia. Kiedy ją odesłał, kręciło jej się w głowie ze zmęczenia. Nie próbowała nawet tknąć jego myśli, ale miała bardzo realne poczucie, że wszystko, co powiedział, stanowiło część starannie przygotowanego scenariusza, którego by nie zmienił, chyba że w całkiem wyjątkowych okolicznościach.

Nie mogła nie pomyśleć, ile spraw przedstawionych Arbitrom nigdy nie przeszło przez tego człowieka. Prawdopodobnie całkiem sporo, sądząc z jego zachowania wobec niej. Chociaż nie powiedział niczego, co — jak przypuszczała — wykraczałoby poza przygotowaną mowę, wyraźnie odczuła, że pod maską z rodzaju: „cześć chłopie, miło się z tobą widzieć” zaczyna być przychylniejszy.

Jeszcze raz odesłano ją, aby czekała, tym razem w małym pokoiku razem z trzema innymi ludźmi. Wszyscy byli tak samo milczący jak ona, a dwóch z nich wyglądało na znacznie bardziej udręczonych od niej. Trzeci był sinoniebieski, z ramieniem w łupkach. Odniosła wrażenie, że ten człowiek był w desperacji, otumaniony środkami uśmierzającymi ból i, jeśli Arbitrzy odmówią mu sprawiedliwości, posunie się do ostateczności.

Był pierwszym wezwanym i nie ujrzała go powtórnie. Widocznie petenci nie wychodzili tymi samymi drzwiami, przez które weszli, ponieważ po chwili wezwano następnych, a kiedy do pomieszczenia zaproszono Kero, nie zostało po nich ani śladu.

Znalazła się w dużym, dobrze oświetlonym, pustym pomieszczeniu, pozbawionym jakichkolwiek sprzętów za wyjątkiem długiego stołu i trzech stojących za nim krzesel. Na tych krzesłach zasiedli Arbitrzy, dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy troje stanowili wzory doskonałych żołnierzy. Siedzieli sztywno jak na placu defilad, ubrani w identyczne tuniki z brązowej skóry z długimi rękawami, z jednakowo krótko obciętych, siwiejącymi włosami.

Trzeci i ostatni raz wyrecytowała swą opowieść przed trzema Arbitrami Gildii, którzy byli tak nieporuszeni i pozbawieni uczuć jak posągi. Pomyślała, że to dobry znak. To miasto, Selina, położone było poza bezpośrednim zasięgiem Arda-

ny i posiadało własną, silną radę miejską. Tutejszy oddział administracyjny Gildii był znany ze swej uczciwości. Ich całkowicie bezstronne zachowanie ostrzegło ją, że będą rozważać nie tylko wszystko to, co powiedziała, ale i sposób, w jaki to zrobiła.

Była wyczerpana i ogromnie zazdrościła Hellsbane, zaprowadzonej do bezpiecznej i ciepłej stajni Gildii oraz nakarmionej, oporządzonej i prawdopodobnie pogrążonej we śnie.

Próbowała mówić prosto i wyraźnie i w miarę możliwości wkładać w to jak najmniej emocji; próbowała być taką, jakimi wydawali się jej sędziowie.

Nie było trudno zdobyć się na beznamiętność. Kiedy uczyniła wszystko, aby przedstawić suche fakty, przekonała się, że nie zależy jej w tej chwili na niczym. Czuła jedynie nagłą potrzebę snu i pustkę w żołądku. Zbyt późno wpadło jej do głowy, iż być może jej postępowanie było całkowicie błędne, że powinna mówić z pasją, przepełniona słusznym gniewem, i być bardziej przekonująca. Mogli poczytywać jej spokój za mękę kogoś, kto wszystko zmyśla. Było jednak za późno, aby cokolwiek zmieniać, a prócz tego była na to zbyt zmęczona. Dobrnęła do końca opowieści, a Arbitrzy zakończyli zadawanie pytań. Odesłali ją drzwiami po przeciwnej stronie pomieszczenia, gdzie znalazła się w małej komórce, identycznej jak ta, w której czekała przed „audiencją”. Był to mały, duszny pokój bez okien. Stały tutaj trzy krzesła, wszystkie puste i wszystkie jednakowo niewygodne, co ją ucieszyło. Nie byłaby w stanie oprzeć się wygodzie wyściełanego fotela i usadowiwszy się na czymś takim, natychmiast zapadłaby w sen; to pewne.

Czekając na werdykt, zajęła miejsce na środkowym spośród trzech krzesel, twardym sprężynie o wysokim oparciu. Była tak znużona, że jedynie ból skręcanych głodem kiszek nie pozwalał jej usnąć; głód i wyobrażenia, która zaczęła wymykać się spod kontroli. Odosobnienie, niemożność skierowania myśli na coś innego niż to, jak wypadła i jaki los ją czeka, tylko powiększyły jej obawy.

„A jeśli nie wierzą w ani jedno moje słowo? Jeśli uważają, że kłamię?” Kiedy mówiła, nie można było w żaden sposób stwierdzić, co myśli. Gdyby od czasu do czasu nie oddychali, wzięłaby ich za kukły. „Lecz jakie mogłabym mieć powody do kłamstwa? Ambicję? Ardana mnie awansowała. Zemstę? Nigdy nie wyrządziła mi bezpośrednio żadnej krzywdy”. Zdarzały się już przypadki, że ludzie buntowali się przeciw swoim przywódcom bez wyraźnej przyczyny. Nie zdołała całkowicie wyzbyć się strachu. Wydawało się, że Arbitrzy będą przedłużać podjęcie decyzji w nieskończoność.

Wstała i zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem, zacisnąwszy ręce mocno na plecach; próbowała chodzić miękko, lecz nie była w stanie uciszyć swych kroków na drewnianej podłodze. „A jeśli poplecznicy Ardany dotarli najpierw tutaj zamiast na zimowe kwatery? Jeśli opowiedzieli wersję Ardany i Arbitrzy uwierzyli im?”

To było możliwe. Jeśli zmieniali konie i poruszali się po traktach handlowych,

mogli wyprzedzić ją z łatwością. „Lecz nie podważy liczby ofiar. Nie może podważyć tego, że nie posiadała żadnej strategii”.

Jednak istniało mnóstwo usprawiedliwień, którymi Ardana mogła to tłumaczyć i wyobraźnia szybko je Kero podsunęła. Choroba, brak doświadczenia, zdrada ze strony sojuszników, nieznanie terytorium, oficerowie, dla których ich obowiązki były czymś całkowicie nowym. . .

Ogarnęło ją takie napięcie, że kiedy otworzyły się drzwi za jej plecami, podskoczyła, wydając zduszony i niegodny okrzyk przestachu. Była tak roztrzęsiona, że odwróciła się i zamarła, z bijącym sercem wlepiając wzrok w przybysza, przez dłuższą chwilę niezdolna wykrztusić słowa.

W drzwiach stał jej drugi przesłuchujący, przyjacielski mężczyzna w średnim wieku, który tak zręcznie wziął ją w krzyżowy ogień pytań. Patrzył na nią, w oczywisty sposób zaskoczony jej nerwowym zachowaniem.

— Ja. . . ja przepraszam — zająknęła się. — Nieco mnie ponosi. Pozwalam, żeby rządziły mną nerwy.

Odzyskał pewność siebie i uśmiechnął się. Tym razem poczuła, że jest to szczery uśmiech, a nie maska, którą nosił, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

— To ja powinienem przeprosić — powiedział. — Doskonale wiedziałem, przez co przesłaś, nie wziąłem tego pod uwagę. Mam szczęście, że sprowokowałem cię tylko do podskoku, a nie do przyłożenia mi noża do gardła.

Uśmiechnęła się słabo, on zaś gestem zaprosił ją do wejścia.

— Arbitrzy zdecydowali na twoją korzyść, Kerowyn — ciągnął dalej, wygładzając swoją skózaną tunikę ruchem, który wydawał się nawykiem. — Ale chcę, abyś usłyszała to od nich. Chociaż to pomyślny werdykt, może nie być całkowicie taki, jakiego się spodziewasz.

Całe napięcie odpuściło, pozostała słabość i gotowość pogodzenia się niemal ze wszystkim. Posłuchała jego polecenia i ponownie stanęła przed stołem i Arbitrami o granitowych twarzach.

Teraz, znając ich decyzję, przyjrzała im się nieco bliżej. Wszyscy troje byli starsi, niż w pierwszej chwili sądziła, mogliby być jej dziadkami, chociaż nie wątpiła, że byliby zdolni wyzwać ją na pojedynek w wybranym sposobie walki i wygrać go. Otaczała ich nieuchwytna aura zawodowego najemnika — chłodnego, opanowanego, o niezmaconym spokoju, gotowego niemal na wszystko. Dwóch mężczyzn i jedna kobieta; prawdopodobnie rozpoczęli karierę od stopnia szeregowca. Uśmiechnęła się lekko pod nosem. Jeśli tak było, nie spodoba im się to, co kapitan Piorunów Nieba uczynił swoim ludziom, szybko podsumują Ardane, jeżeli już tego nie dokonali. Odezwała się kobieta, siedząca po lewej stronie Kero; wyglądała na nieco starszą od pozostałych dwóch.

— Zdecydowaliśmy na twoją korzyść, Kerowyn — powiedziała głosem zaskakująco miękim i melodyjnym. — Przyznajemy, że miałaś wszelkie prawo i powody, aby zerwać swój kontrakt i że uczyniłaś to legalnie.

To, co usłyszała, przeszło jej najśmielsze oczekiwania.

— Dziękuję. . . — zaczęła mówić, lecz kobieta przerwała jej podniesieniem ręki.

— Twój kapitan jest głupcem — stwierdziła — lecz w Kodeksie Gildii nie ma nic, co przeszkodziłoby głupcom w obejmowaniu komendy, ani nic, co uchroniłoby ich ludzi przed ranami czy śmiercią. Nie udzielamy kapitanom wskazówek, jak się dowodzi. Nas interesuje wyłącznie łamanie litery kodeksu. Gildia zezwala na jeden rodzaj kary dla kapitana pokroju Ardany — taki, jaki ty zastosowałaś: zrywanie kontraktów, zgrabnie i zgodnie z prawem. Czy mnie rozumiesz?

Kero stłumiła odruch niezadowolenia i kiwnęła głową.

— Tego się mniej więcej spodziewałam — odparła, próbując nie myśleć o wszystkich przyjaciółach, wciąż uwikłanych w sieć Ardany do czasu wygaśnięcia kapitańskiej kadencji.

Oczywiście, będą mieli jedną przewagę nad Kero: w ich kartotece nie będzie zapisu o niesubordynacji.

Uśmiech kobiety był jeszcze bardziej nikły.

— Niestety, bez względu na to, co wpisemy do twoich akt, mimo wszystko jest mało prawdopodobne, by jakakolwiek zaprzysiężona kompania przyjęła cię ponownie. Mam nadzieję, że uzmysłowiłaś to sobie, jeśli nie w chwili, kiedy zrywałaś kontrakt, to przynajmniej wtedy, kiedy miałaś szansę to przemyśleć. Najemnicy nie zrywają kontraktów na polu bitwy, nawet w przypadku tak krańcowej prowokacji, jaka tobie się przytrafiła, bo to mogłoby przynieść im ujmę w oczach innych komendantów. Pomyślą oni, że skoro zrobiłaś to raz, co powstrzyma cię przed powtórzeniem tego kroku? Dla nich jest to inna forma dezercji w ogniu walki.

„No cóż, to samo przyszło mi na myśl, chociaż wołałabym, aby ona tego nie mówiła” — westchnęła Kero.

— Rozumiem to — powiedziała, kołyszając się nieco, aby ulżyć swym obolałym stopom.

— Lecz zastanawiam się, czy naprawdę wiesz, jakie to będzie miało dla ciebie konsekwencje w najbliższej przyszłości — ciągnęła kobieta. — Są chude czasy. Zaciągu dokonują jedynie kompanie. Rozumiem, że posiadasz niewielkie oszczędności. Przekonasz się, że znalezienie posady tutaj, w Selinie, będzie niemożliwe, a nie masz funduszy, aby udać się gdzie indziej.

Kero zamrugała powiekami.

— A. . . gdyby zwrócić się do zaprzysiężonych wolnych zaciężnych? — zapytała, zastanawiając się, co też, u licha, jej umyka. — Myślałam, że zawsze było zapotrzebowanie na wolnych zaciężnych. Sprawdzają jedynie, czy jest się związanym przysięgą. . .

— Jeśli w ogóle będziesz mogła znaleźć jakakolwiek pracę — powiedziała kobieta. — Nie masz doświadczenia poza służbą w kompanii. Jest zima. Nie ma

karawan, wojen, polowań, do których byłby komuś potrzebny tropiciel i jednocześnie wojownik, nie ma pracy dla strażnika miejskiego ani, u licha, żadnej pracy dla strażnika osobistego. Żadnego ruchu. Nikt nie wybiera się donikąd. Zapewniam cię, że w Selinie nie ma żadnej pracy dla kogoś z twoim talentem.

Kero głośno przełknęła ślinę. „Nie przyszło mi nigdy do głowy, że będzie tak źle. Ale ponížanie się nic tu nie pomoże. Muszę przybrać dobrą miną do złej gry. Rozklejeniem się niczego nie osiągnę; na pewno nie zasłużę sobie na ich szacunek. A myślę, że go zdobyłam. Nie mam zamiaru tego utracić”.

Wyprostowała sztywno plecy i wysunęła podbródek.

— Będę musiała przetrwać — odparła. — Posiadam i inne umiejętności. Potrafię obchodzić się z końmi albo je szkolić bez względu na to, jak są krnąbrne. Mogę pracować w tawernie, jeśli będę musiała. Mam nawet niejaki doświadczenie w leczeniu. Tarma — mój nauczyciel — kazała mi uczyć się innych rzeczy na wypadek, gdybym musiała się z nich utrzymywać.

Pozostali dwaj pokiwali głowami, aczkolwiek wydawało się, że kobieta żywi niejaki wątpliwości.

— Nawet jeśli znajdziesz posadę wolnego zaciężnego, nigdy nie pracowałam nigdzie poza kompanią — nie ustępowała. — Nie masz pojęcia, co oznacza praca wolnego zaciężnego. Jest ona ciężka dla mężczyzny, ale dla kobiety. . .

— Podołam — odpowiedziała Kero. — Jestem twardsza, niż na to wyglądam. Dziękuję, że wydaliście pomyślny dla mnie wyrok. Słyszałam, że Gildia jest sprawiedliwa i będę bardzo szczęśliwa, mogąc o tym zaświadczyć.

Kobieta potrząsnęła głową, ale nic więcej nie rzekła. Kero ukloniła się lekko i odwróciła się. Przyjaźnie usposobiony mężczyzna stał obok drugiego wejścia, skinął lekko palcem i Kero poszła za nim.

— Przysługuje ci prawo zatrzymania się przez trzy dni tutaj, w Radzie Gildii — powiedział do niej. — Trzy dni, wikt i opierunek dla ciebie i twojego zwierzęcia.

Westchnęła. Przynajmniej jeden kłopot z głowy. Trzy dni łaski, trzy dni, podczas których nie będzie musiała trapić się, gdzie znajdzie miejsce do spania.

— Trzymam cię za słowo — rzekła. — W tej chwili nie umiałabym trafić do gospody, nawet gdybym mogła za nią zapłacić.

— Tak właśnie myślałem — odpowiedział z prawdziwym współczuciem. — Pozwoliłem sobie odesłać twoje rzeczy do jednego z pokojów. Jedzenie byle jakie, pokój nieszczególny, ale bezpieczny i stoi w nim łóżko.

— W tej chwili to wszystko, czego potrzebuję. Znajdę rozwiązanie moich kłopotów, kiedy będę w stanie nad nimi pomyśleć. Może jestem zbyt wielką optymistką, ale nie mogę uwierzyć, abym nie zdołała znaleźć pracy.

Po solidnej, trwającej cały dzień i całą noc drzemce i po spędzeniu połowy dnia na szukaniu pracy doszła do wniosku, że kobieta Arbiter miała rację. W Selinie nie było pracy dla najemnika, nie mówiąc już o kobiecie.

Pozostały inne możliwości. Po pierwsze, nim minął dzień, sprzedała wszystko, co nie było jej naprawdę niezbędne; pozostała jej jedna zbroja, broń, ubranie, Hellsbane i jej uprząż. Gildia kupiła od niej zbroję i broń za przyzwoitą cenę — przyzwoitą, jak na miasto w środku zimy. Przyzwoitą, zważywszy, że jej druga kolczuga na zmianę była teraz jej najlepszą kolczugą, a zbroja, którą chciała sprzedać, została zanurzona w rzece, przemoczona deszczem, pokryta błotem, ogólnie mówiąc — zniszczona. Za to, co dostała, wynajęłaby pokój i opłaciłaby utrzymanie za siebie i Hellsbane przez dwa tygodnie.

Zrozpaczona przeliczyła starannie niewielką kupkę monet, lecz nie rozmnożyły się, a i nominały się nie zmieniły.

Zaczęła wkładać je ponownie do sakiewki i jej dłoń natrafiła na coś, co zaszeleściło. Wyciągnęła to, przez chwilę zaciekawiona, a potem poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, gdy rozpoznała list od Eldana i czek.

To byłoby łatwe rozwiązanie.

„Nie muszę niczego robić” — pomyślała niechętnie, jedynie tam pojechać. Mogę po prostu odebrać swoje pieniądze i wyjechać, nie słuchając niczego, co ma do powiedzenia”.

Okłamywała siebie i wiedziała o tym. Wepchnęła pergamin na powrót do sakiewki. Leżąc na łóżku, przetarła obolałe skronie. „Pojadę tam, to on powie mi, jak bardzo mnie kocha i zaproponuje mi jakąś ciepłą posadkę, a ja ją przyjmę, wiem, że to zrobię. Wtedy znajdę się w potrzasku, ponieważ będzie to praca otrzymana od niego i prawdopodobnie posada pozorna, by złagodzić poczucie, że wszystko mu zawdzięczam. O bogowie, kocham go, jakże łatwo przyszłoby mi przystać na to. . .”

Jednak miłość to nie wszystko, nie dla niej. Musiała być przy tym wolna. Musiała mieć świadomość, że zarabia na siebie, a nie jest tylko cieniem kogoś innego.

„Nie”. Z uporem zacisnęła zęby, aż zazgrzytały. „Nie! Nie, dopóki istnieje jeszcze wybór. Pojadę na Równiny i zostanę nomadem, tak jak moi szaleni kuzyni. Nie wyczerpałam wszystkich możliwości. Wciąż mam przed sobą dwa dni”.

Jak to się często zdarza, dopiero o zachodzie trzeciego dnia znalazła pracę. Nie taką, na jaką liczyła; szukała pracy jako masztalerz. Próbowała wszędzie tam, gdzie często pojawiali się najemnicy, potem tam, gdzie przychodzili strażnicy miejscy i na koniec w gospodach dla handlarzy. Nikt nie miał dla niej miejsca, nawet gdy zaprezentowała swą zręczność w obchodzeniu się z krnąbrnymi i opornymi zwierzętami.

Jedną z ostatnich pozycji na jej liście zajmowała gospoda dla objazdowych handlarzy; tanie miejsce, z którego korzystali głównie drobni kupcy. Nie podjęłaby tutaj pracy, gdyby miała w czym wybierać. Weszła na podwórze stajni i wkroczyła prosto w bijatykę. Konflikt dodatkowo komplikował mimowolny udział w nim osła i kucyka, które kopały, gryzły i rżały, ile pary w płucach. Kero

korciło, by natychmiast zabrać się ostro do dzieła, lecz lata rozrób w tawernach nauczyły ją nie wdawać się w bójkę bez zebrania posiłków. Burdzie przyglądali się, wyciągając szyję, liczni posługacze i stajenni. Zegnała ich wszystkich razem i uformowała z nich siłę uderzeniową, którą wprowadziła do walki.

Kiedy kucyk i osioł znalazły się po drugiej stronie podwórza, kiedy stuknięto w kilka głów i nastął pokój, odwróciła się do tego, który wydawał się piastować stanowisko naczelnego masztalerza, a który mógł się teraz poszczycić imponującym siniakiem pod okiem.

— Potrzebuję pracy — oświadczyła krótko. — Jestem zaprzysiężonym wolnym zaciężnym, ale mogę podjąć się niemal wszystkiego, szczególnie jeśli ma to coś wspólnego z końmi. Myślisz, że twój pan znalazłby dla mnie miejsce w stajni?

Mężczyzna zmrużył oczy w świetle zachodzącego słońca, przykładając sobie garść śniegu do oka.

— Nie ma posady w stajniach — powiedział; w jego głosie zabrzmiała jakby nutka podziwu i zawodu.

Odwróciła się, aby odejść, nie zadając sobie trudu, żeby wysłuchać, co jeszcze miał do powiedzenia; ponownie poczuła w ustach gorzki smak porażki.

— Czeka! — usłyszała zza pleców.

Niemal przyspieszyła kroku, nie chcąc słyszeć kolejnej propozycji posiłku albo, co gorsza — zostania nałożnicą właściciela. Lecz tym razem coś ją powstrzymało. Może szczerzy podziw w głosie mężczyzny; może własna desperacja. Stała i odwróciła się powoli.

— Nie trza nam nikogo w stajniach — rzekł mężczyzna. — Ale potrza nam kogoś takiego jak ty w piwiarni, to pewne.

— Nie jestem ladacznicą — ucięła, wiedząc, że w tej gospodzie od usługujących dziewczek tego się oczekuje.

— Ladacznicą? — Człowiek wydawał się szczerze zdziwiony. — Na ognie piekielne, nie! Marnowałabyś się! Potrza cię w piwiarni na uspokajacza.

— Kogo? — Podniosła brwi, próbując się nie roześmiać.

— Uspokajacza. Do przerywania bójek i wyrzucania każdego, kto robi za dużo kłopotu. — Ten człowiek wydawał się mówić szczerze i Kero utrzymała powagę na twarzy. — Chłopom nie przyjdzie do głowy bić się z dziewczuchą, rozumiesz? Robią awanturę, coby wyzwąć każdego wielkiego, krzepkiego osiłka. Nie uważają, coby warto było zawracać sobie głowę dziewczuchą. A jak zaczną się kłopoty, ani im we łbie, że to dziewczka ich uspokoi. Rozumiesz?

Zaskakujące, ale Kero zdołała dostrzec w tym sens.

— Jak ci się udało do tego dojść? — zapytała.

Mężczyzna westchnął.

— Przez lata była u mnie uspokajaczem dziewczucha. Utraciłem ją dla Wilków, bo możemy dać jeno wikt i kawałek dachu nad głową. Myślałem, że znajdę kogoś

nowego, ale nie spotkałem takiego, komu mógłbym ufać; a co dopiero zaprzysiężonego.

Kero wciąż miała wątpliwości, ale zaczynała jej brakować czasu, a musiała coś ze sobą począć. To była jedyna przyzwoita oferta, jaką dostała.

— A skąd będę wiedziała, że właściciel się zgodzi? — zapytała.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

— Bo właścicielem jestem ja. I jesteś przyjęta, jeśli zgodzisz się na wikt i kawałek dachu nad głową. Od dzisiaj w nocy.

Było jej lepiej, niż sądziła, ale nie było to miejsce, gdzie mogłaby wypocząć i odzyskać siły. Hellsbane musiała spędzić zimę w zagrodzie dla koni, ponieważ stajnie były dla płacących gości. Ona musiała spać na podłodze wraz z resztą służby — wyjąwszy usługujące dziewczki, które spędzały nocę z gośćmi. Podłogę pokrywała skorupa brudu, ciągnęło tutaj od chłodu. Na wpół zabliznione rany bolały ją w nocy. Rozumiała postępowanie właściciela — miał zaledwie trzy pokoje sypialne na piętrze, lecz to nie polepszało jej sytuacji. Żywność była kiepska, ale świeża i było jej pod dostatkiem, więc mogła jeść tyle, ile zdołała. Przeważnie zadawała się chudą zupą i gruboziarnistym chlebem. Nigdy nie czuła się całkiem dobrze i nie odzyskała utraconej wagi, mimo że obzerała się w czasie posiłku.

Właściciel gospody, pogodny, żywy jak wróbelek mężczyzna, był uczciwym i przyzwoitym człowiekiem, popierającym wszystkie podjęte przez nią decyzje. On był w porządku, ale pozostali pracownicy unikali jej, zwłaszcza od chwili, kiedy obita komiwojażera, który przyłapał ją w kuchni i próbował zgwałcić.

Utraciła rachubę czasu. Była wyczerpana do cna w chwili zamknięcia gospody i wydawało się, że nigdy nie wypoczywała należycie. Dni zlewały się, jeden przechodził w następny i nigdy nie zdobyła się na to, aby udać się na poszukiwania innej posady, tak jak zamierzała. Jej niewielki zapas monet stale się zmniejszał, kiedy musiała zamienić znoszone ubranie i zreperować kolczugę oraz uprząż. Nawet miecz ją opuścił. Nie czuła już żadnych jego poszturchiwań.

Oparła się o kontuar, starannie ukrywając się w cieniu, i zbadła tłum. Dziś w nocy zebrała się większa grupa niż zazwyczaj, co spowodowało, że Rudi skakał z uciechy, ale ona jakoś nie miała ochoty śpiewać z radości. Więcej ludzi oznaczało więcej okazji do burd oraz to, że więcej chętnych będzie chciało wykupić miejsca do spania na podłodze. Płacącym gościom przysługiwało miejsce blisko ognia, co powodowało, że służba drżała z zimna pod swoimi kocami. Zimna noc zaś oznaczała poranne bóle.

„Może zdołam namówić Rudiego na coś gorącego do picia” — pomyślała, pocierając kciukiem rękojeść Potrzeby. „Albo na wino. Wtedy mogłabym przynajmniej szybko zasnąć. Boginie, jestem zmęczona. Szkoda, że nie mogę spędzić w łóżku przynajmniej jednej nocy”. Przy drzwiach rozległy się ochryple okrzyki, nie była pewna, kto jest sprawcą i postanowiła zachować czujność.

Zamieszanie zbliżało się, śmiechy i przekleństwa w równej mierze znaczyły

drogę, którą przechodził klient, coraz bliżej kontuaru. W końcu przyczyna tumultu znalazła się dostatecznie blisko Kero, aby ta mogła ją dojrzeć.

Był to strażnik miejski, pijany jak bela, zataczający się i buńczuczny. Nikt tutaj nie chciał go tknąć i ryzykować aresztowanie, a on to cynicznie wykorzystywał.

Serce w niej zamarło, kiedy zobaczyła go, rozglądającego się dookoła, jakby czegoś szukał, a potem uśmiechającego się, kiedy ją zauważył. Odepchnął na bok kilku poganiaczy bydła i odtrącił barkiem garncarza, który stał obok niej.

— A niech mnie — odezwał się obrzydliwie — jeśli to nie jest kobietka w spodniach Rudiego. Co ty tutaj jeszcze robisz, laleczko? Nie znalazłaś dotąd mężczyzny, który wyciągnąłby cię z tych spodni i ubrał w suknię?

Zignorowała go. W pierwszej chwili zdawał się nie dostrzegać, że ona obserwuje tłum z zupełnie znudzonym wyrazem twarzy. Nauczyła się dawno temu, iż najgorszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić, byłoby zareagowanie na zaczepkę takiego osiłka. Jej jedyną możliwą obroną było nie robić nic.

Ten drab jednakże był szczególnie napastliwy. Wypił jeden czy dwa kieliszki, od których krew w nim zawrzała. Tarma nie na próżno uczyła ją opanowania; trzymała więc w ryzach swój temperament i wciąż nie zwracała na niego uwagi, pomimo że dookoła zaczęli gromadzić się ludzie, ciekawi, czy uda mu się zmusić ją do walki.

Był pijany, ale na tyle tylko, by stać się agresywnym, nie na tyle, by jego ruchy spowolniły się czy stępił się refleks. Byłaby głupia, gdyby dała się sprowokować do walki z nim; nawet podwójnie głupia, ponieważ sprzeczne z prawem było podniesienie ręki na strażnika miejskiego.

Tak więc stała milcząc i w końcu wyglądało na to, że znudziła mu się ta zabawa. Zaczął pochylać się coraz bliżej i zrozumiała, na co się zanosí; na starą sztuczkę „przypadkowego” oblania kogoś napitkiem — jej, mówiąc precyzyjniej. Stwierdziła, że ma tego dość. W mgnieniu oka, nim strażnik zdążył się poruszyć, wyciągnęła rękę i wepchnęła jednego z gapiów na swoje miejsce, a potem wśliznęła się w tłum. Ponieważ była niższa od większości gości, nie było jej widać tak długo, że bez trudu umknęła do bezpiecznej kuchni. Pracownicy kuchni patrzyli, jak przechodzi obok nich i wychodzi tylnymi drzwiami, ale nic nie powiedzieli. Przez krótką chwilę czekała w drzwiach, upewniając się, że kuchenne podwórce jest puste. Na zewnątrz spotkała tylko przechadzającego się kota. Zamknęła drzwi za plecami i przetarła powieki grzbietem dłoni. Od dymu piekły ją oczy, czuła w nich piasek, zastanawiała się, ile jeszcze upłynie czasu, zanim Rudi zamknie karczmę.

„Najmilsí bogowie, jestem zmęczona”. Mimo że miała pełny żołądek, nie była w dobrej formie. „Ten strażnik... mam nadzieję, że nas opuści. Nie sądzę, aby Rudi mógł mnie ochronić przed prawem miejskim, gdybym została zmuszona do zaatakowania go. Nie jestem pewna, czy nawet Gildia mogłaby to zrobić i czy miałyby na to ochotę na dodatek”. Spacerowała wolnym krokiem po nierównym

klepisku kuchennego podwórza, zdraдлиwego tam, gdzie stopiony śnieg zamarł ponownie w grudy. Księżyc był w ostatniej kwadrze i rzucał nikłą poświatę, która niewielką stanowiła pomoc w wypatrywaniu drogi. „Mogłabym równie dobrze sprawdzić stajnie. Może do czasu, kiedy wrócę, temu pijaczynie znudzi się szukanie mnie. Albo spije się do utraty przytomności. Wystarczyłoby jedno albo drugie”.

Tej nocy w stajni były tylko dwa konie. Obydwa spały. Jeden z chłopców stajennych drzemał obok wejścia, ale zerwał się na równe nogi, kiedy go mijała. Tłumiąc uśmiech pełen zmęczenia, poklepała go po ramieniu.

— Dobry chłopiec — powiedziała spokojnie, dodając mu otuchy, jakby zrobiła to w przypadku psa. — Sprawdzam tylko to i owo.

Patrzył na nią szeroko rozwartymi, przestraszonymi oczami. Odwróciła się do niego plecami, nic więcej nie mówiąc.

Wiedziała, że na wygonie będzie kilka innych zwierząt, a wśród nich Hellsbane, lecz rzadko kłopotowała się ich doglądaniem; strażnikiem była klacz i to wystarczało aż nadto. Przystanęła obok ogrodzenia, czując się osamotniona, tęskniąc do jakiegokolwiek przyjaznej twarzy, nawet końskiego pyska. Ale Hellsbane spała i Kero zdecydowała się nie budzić jej. Bojowa klacz była tylko koniem, a nie inteligentnym stworzeniem, takim jak Towarzysz. Hellsbane nie mogłaby z nią porozmawiać i prawdopodobnie nie wiedziałyby nawet, jak nieszczęśliwa jest jej pani.

Odwróciła się od wybiegu i rozpoczęła długą drogę powrotną do gospody. W chwili kiedy mijała stajnie, ktoś wyskoczył z cienia rzucanego przez drzwi. Jej refleks, stępiony znużeniem i niewłaściwym pożywieniem, nie był taki jak dawniej. Zanim zdołała odwrócić się i stawić czoło napastnikowi, ten uderzył ją w plecy mieczem, nie wyjmując go z pochwy. Upadła. Z bólu zobaczyła gwiazdy i zaparło jej dech w piersiach. Nim zdążyła dojsć do siebie, nieznamy silnym szarpnięciem postawił ją na nogi. Próbowwała poruszyć ręką albo nogą, lecz okazały się bezwładne. Została obrócona dookoła, twarzą do swego napastnika, który ujął w garść jej tunikę i przyciągnął jej twarz do swojej twarzy. Oddech stęchły od piwa przyprawił ją o kaszel. Nawet w nikłym świetle nie miała kłopotów z rozpoznaniem ani munduru, ani jego samego. To był strażnik miejski, wciąż pijany i najwyraźniej doprowadzony do szaleństwa.

— Myślałaś, że mi się wymkniesz? — warknął. — Zamierzam nauczyć cię, jak powinna prowadzić się dziewczka.

Dłonią masywną jak trzonek maczugi, trzymając miecz za rękojeść, uderzył ją z boku w twarz tak mocno, aż zagrzechotały jej zęby. To był błąd, gdyż cios zdołał wybić ją z ogluszenia. Podciągnęła kolana — nie, nie po to, aby uderzyć go w krocze, czego się spodziewał, ale aby nadepnąć mocno jego śródstopie. Miała na nogach buty do konnej jazdy z twardymi obcasami — to było jej jedyne obuwie; on był obuty w miękkie, miejskie buty. Coś pod jej obcasem trzasnęło. Jęknął

i wypuścił ją z rąk. Nie na długo. Musiał wlać w siebie tyle piwa — możliwe, że i czegoś innego — iż ból trwał tylko chwilę. Podczas gdy ona próbowała złapać oddech i przejrzeć na załzawione od bólu oczy, on odwrócił się i grzmotnął ją z boku w głowę swoim mieczem, którego wciąż nie wyciągał z pochwy. Krzyknęła i, padając na kolana, odruchowo sięgnęła po rękojeść swojego własnego miecza. I w tym momencie ocknęła się Potrzeba. Podczas gdy jej wciąż jeszcze wirowało w głowie, ciało zerwało się na równe nogi i obnażonym mieczem zadało cios prosto w serce strażnika. Odparował go niezdarnie. Potrzeba prześliznęła się po jego ostrzu. Strażnik, jedynie dzięki temu, że potknęła się i upadła na zamrożoną ścieżkę, uniknął sztychu w serce. Gramoląc się stanął na nogach jeszcze bardziej rozwścieczony, a Kero pośliznęła się na innej tafli lodu. Władza miecza osłabła na moment. Wciąż na poły zamoczona próbowała odzyskać panowanie nad swym ciałem, kiedy Potrzeba ponownie objęła kontrolę i zmusiła ją do kolejnych natarć, podczas gdy strażnik wycofywał się niezdarnie. Po drugim ataku wydawało się, że dotarło do niego, iż jego życiu zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo. Teraz usiłował jedynie uciec od niej.

W końcu oparł się o ścianę stajni. Za plecami Kero pojawiły się światła i rozległy się pokrzykiwania, lecz nie poświęciła im najmniejszej uwagi; zbyt była pochłonięta próbą zapanowania nad sobą, zanim ostrze uśmierci tego człowieka.

Potężne uderzenie Potrzeby rozbroiło strażnika. Kero myślała przez moment, że miecz puści ją wolno, lecz nie — panował nad nią surowo, tak jak uprzednio. Najwyraźniej zbrodnie tego człowieka przeciw kobietom były takie, że ostrze nie zamierzało puścić mu tego płazem. Oczy strażnika rozszerzyło przerażenie, odbijały światło pochodni spoza jej pleców. Wyrzucił obie ręce przed siebie w daremnej próbie osłonięcia się, kiedy miecz Kero zadał sztych, celując w gardło. I w tej ostatniej chwili Kero odzyskała panowanie nad sobą na tyle, aby przekręcić ostrze i uderzyć napastującego ją człowieka w podbródek gałką miecza. Gdy osunął się na ziemię, a miecz utracił nad nią władzę, od tyłu pochwytyły ją jakieś ręce.

Kero leżała na brzuchu na twardej, drewnianej półce, która służyła za prycę w wilgotnej, nieogrzejanej celi. Ułożenie się na plecach czy na boku było zbyt bolesne. Nie traktowano jej źle. Wcześniej przyniesiono jej żywność i wodę, lecz za każdym razem, kiedy próbowała się poruszyć, ból przeszywał jej obie nogi, a więc zrezygnowała z jednego i drugiego. Plecy bolały ją tak bardzo, że obawiała się, czy strażnik nie złamał jej czegoś.

Nie miało to znaczenia. Użycie miecza przeciw strażnikowi miejskiemu było przestępstwem karanym chłostą, pozbawieniem dobytku i wypędzeniem z miasta, co w jej położeniu równało się wyrokowi śmierci. W tej chwili nie mogłaby się poruszyć, aby ocalić życie nawet z Potrzebą w dłoni.

Oczywiście odebrano jej miecz, co znaczyło, że ponownie pozbawiona była

jego uzdrowicielskiej i uśmierzającej ból mocy. Upadła w chwili, kiedy przestała trzymać go w dłoni, lecz raczej nikt sobie tego z niczym nie skojarzył. Prawdopodobnie przyjęto, że była pod wpływem takiego samego szału, jak strażnik. Oczywiście było, iż nie zostawiono by jej miecza, nawet gdyby wiadano, że jest ranna.

Nie spodziewała się, że ktokolwiek się za nią wstawi. Większość strażników miejskich miała jednego lub więcej wpływowych znajomych. Rudi nie odważyłby się sprzeciwić komuś, kto mógłby zamknąć jego gospodę. Od Gildii usłyszała już, że nie może spodziewać się pomocy, jeśli wywoła kłopoty.

„A nawet gdyby odważył się wstawić za mną, będzie musiał mnie zwolnić i znajdę się w tej samej sytuacji, tyle że w obrębie murów miasta. Prawdę mówiąc, szybciej mógłby mnie ktoś odnaleźć i zabić. Nie sądzę, aby nawet Potrzeba zdołała uleczyć moje plecy w przeciągu krótkiej chwili”.

Co gorsza, była osamotniona jak nigdy w życiu. Nie było nikogo w całym mieście, kto mógłby stanąć u jej boku albo przyjąć ją do siebie czy choćby zaoferować przyjacielskie słowo. Jej cała „rodzina” była gdzieś na południu — przyjmując, że wciąż żywiła w stosunku do niej przyjacielskie uczucia, co było śmiałym założeniem, zważywszy na to, co zrobiła.

„Przynajmniej jeśli zapadnie na mnie wyrok, ten, kto będzie próbował przywłaszczyć sobie Hellsbane, dokładnie zapozna się z jej kopytami” — pomyślała pomiędzy kolejnymi ukłuciami bólu w plecach. „Mam nadzieję, że będzie to ten drań, który próbował mnie obić. Dobrze mu tak, jeśli moja klacz zgruchocze mu czaszkę”.

Wiedziała, że powinna obmyślić sposób na wydostanie się z pułapki, lecz nie była w stanie wykrzesać z siebie sił, by w ogóle zebrać myśli, a cóż dopiero — by wykoncypować plan obrony. Próbowwała leżeć tak spokojnie, jak to możliwe, i przetrzymać ból w plecach oraz opuchniętej twarzy. To wszystko, do czego była obecnie zdolna.

Powoli z oczu wypłynęły jej gorące łzy, zbierając się pod policzkiem. Wsłuchiwała się w ciężkie kroki kogoś mijającego drzwi do jej celi. Był to chyba regularny patrol. Nie miała pojęcia, jak długo tutaj przebywa. Pozbawiona okien cela także tego nie ułatwiała. Człowiek z żywnością i wodą wszedł raz jeden, co mogłoby oznaczać jeden dzień albo tylko kilka godzin.

Leżąc w tej pozycji, była odwrócona twarzą od wejścia i jedynym ostrzeżeniem, iż ktoś zmierza do jej celi, był zgrzyt klucza w zamku. Spodziewając się pojmania, naprężyła ciało i jęknęła, kiedy z pleców spłynęły w nogi strumienie ognia. Przez chwilę jej myśli zaprzątnięte były tylko bólem.

— Członek Gildii Kerowyn? — odezwał się dziwny, męski głos. — Nie ruszaj się, proszę.

„Nie ruszaj się, proszę?” Spodziewała się, że zostanie postawiona na nogi siłą. Słowa te zdumiały ją tak bardzo, że prawdopodobnie nie poruszyłyby się nawet,

gdyby miała na to ochotę.

Łagodna dłoń dotknęła jej pleców, wzmagając cierpienie, w porównaniu z którym przez poprzednie kilka godzin dokuczały jej jedynie zwykłe bóleści. Wydała pojedynczy jęk i zemdląła.

Kiedy się ocknęła, ból opuścił ją niemal całkowicie; uśmierzony tkwił w niej — tępy, ale do zniesienia. Ten, kto dotykał jej pleców, odszedł, lecz wyczuła czyjąś obecność w celi; świadczyły o tym szmery, które dochodziły do niej od strony drzwi. Dźwignęła się i odwróciła w kierunku tych odgłosów. Stał tam inny strażnik miejski, prawdziwy ludzki gigant, o dobre dwie głowy wyższy od kogokolwiek, kogo Kero widziała w życiu do tej pory. Wpatrywała się w niego gamoniowato, w odległym zakamarku mózgu zaświtała jej myśl — gdzie, u licha, udało im się znaleźć pasujący na niego mundur?

— Członek Gildii Kerowyn? — odezwał się mężczyzna zaskakująco miękkim głosem. — Kilku świadków stawiło się, aby zeznać, że strażnik Dane prowokował cię, lecz ty na to nie zareagowałaś w gospodzie. Chłopiec stajenny stawił się, aby oznajmić, że to strażnik zadał pierwszy cios. Twoja Gildia zaświadczyła, że jesteś rozsądnym i godnym zaufania zaciężnym, a z twoich akt wynika, iż nigdy nie byłaś awanturnikiem. Na podstawie tych zeznań zostało dowiedzione, że działałaś jedynie w obronie własnej, choć z całego serca radzimy, abyś w przyszłości w obrębie miejskich murów wybierała inną broń, a nie obnażony miecz.

Zamrugła powiekami, czując się całkowicie ogłupiała.

— Ponieważ to on wywołał walkę — ciągnął dalej strażnik — został ukarany grzywną i za te pieniądze opłacono usługi Uzdrowiciela.

Olbrzym przerwał. Wyglądał tak, jakby oczekiwał, że ona coś powie. W końcu udało się jej zmusić mózg i usta do złożenia kilku słów.

— Co to więc znaczy? — zapytała.

— Twoje obrażenia zostały opatrzone. Jesteś wolna — wyjaśnił cierpliwie i usunął się na bok.

Za jego plecami drzwi stały szeroko otworem. Niepewnie podniosła się na nogi i chwiejnym krokiem wyszła.

Strażnik pomógł jej, ujmując ją pod ramię. Nie miała wątpliwości, że gdyby przyszła mu na to ochota, mógłby wziąć ją jak bochenek chleba i wynieść na zewnątrz, lecz ograniczył się jedynie do tego, co niezbędne. Przystanęli w komnacie na końcu długiego, kamiennego korytarza i od drugiego strażnika odebrała swoją broń. Kiedy przypasała Potrzebę, poczuła się po stokroć lepiej. Ból, który jeszcze odczuwała, zniknął. Tamten Uzdrowiciel był dobry, lecz jej miecz jeszcze lepszy.

Kiedy wchodziła po schodach, prowadzona przez strażnika do drewnianego budynku nad więzieniem, i kiedy otwierał przed nią drzwi, wciąż była oszołomiona i zaskoczona. „Rudi wstawił się za mną i chłopiec stajenny, i Gildia? Czy to magia Potrzeby, czy też wynik moich uczynków? Cóż takiego, u licha, uczyniłam, że ujeli się za mną?”

Lecz ta niespodzianka była niczym w porównaniu z tym, co spotkało ją na zewnątrz więzienia.

Oczekiwał tam na nią tłum; tłum odziany w srebrnoszare kaftany, takie jak ten, w który ona zwykła się odziewać, z emblematem skrzyżowanych błyskawic na rękawie. Tłum zaczął wiwatować w momencie, kiedy kulejąc ukazała się w promieniach słońca. Zmrużyła oczy przed ostrym blaskiem.

— Co to? — zająknęła się. — C... co to?

Ktoś wziął ją pod rękę. Odwróciła się na widok błysku znajomej, złocistej czupryny. U jej boku stała Shallan, głupkowato się uśmiechając.

— To jasne jak słońce. Wpadłaś w tarapaty, kapitanie. Nieprawdaż? — powiedziała.

Kilka godzin później miała niejakie pojęcie o tym, co się stało; gdy udało się jej połączyć jako tako w jedno wszystkie opowieści, którymi zasypano ją w drodze powrotnej na zimowe kwatery Piorunów Nieba. Trzeba było sutego posiłku, snu od świtu do świtu i ponownego posiłku, zanim mogła próbować połapać się, o co w tym wszystkim chodzi.

Zwołała pół tuzina swoich przyjaciół do zewnętrznej izby kapitańskiej kwatery. Z tym wciąż miała kłopoty. Nie czuła się kapitanem i bez względu na to, jak często zwracano się tak do niej, wciąż oglądała się przez ramię, szukając tego, do kogo miałoby się to odnosić.

Od ordynansa zażądała herbaty dla wszystkich, czując wielkie skrępowanie, chociaż jednoręki weteran o dwudziestoletnim stażu, który służył Lerrynowi, wydawał się z równą ochotą służyć i jej.

— Sprawdźmy, czy wszystko rozumiem — powiedziała, kiedy pozostali dzierżyli kubki w dłoniach tak samo wychudzonych, jak jej własne. — Kiedy odeszłam, wasza grupa powstrzymała Ardanę przed wysłaniem swoich chartów moim śladem. A potem zażądaliście głosowania?

— To odwieczne prawo, artykuł najstarszej części kodeksu, wywodzący się z ceremonii złamania przysięgi — odrzekł z powagą Tre. — Nikt z tego zbyt często nie korzysta, lecz nikt go nigdy nie unieważnił. Sprowadza się do tego, że kompania, utraciwszy połowę oficerów i dwie trzecie stanu, może przegłosować pozbawienie kapitana jego rangi. Ja i Shallan... rozmawialiśmy o tym od czasu, kiedy zostałam ranna. Wielu innych uważało, że to jest dobry pomysł, lecz nikt nie miał ochoty pierwszy z nim wystąpić. — Pociągnął łyk herbaty i uśmiechnął się ponuro. — Nawet ja.

— Lecz kiedy opuściłaś nas w taki sposób, a Ardana była gotowa przywlec cię z powrotem w kajdanach za to, że broniłaś swoich praw, no cóż, wszyscy wpadli we wściekłość. — Shallan przesunęła dłońmi po krótkich włosach i podrapała się po świeżej bliźnie. — A zatem wiedząc, że każdy słyszał o prawie do głosowania,

wszczeliśmy wrzawę, domagając się tego. Resztę wiesz. Ardany nie ma. Nie jest już kapitanem i nie ma jej w kompanii.

— A więc potrzebny nam był kapitan — podjął wątek Tre — i jedyną osobą, na którą wszyscy mogli się zgodzić, byłaś ty.

— Błogosławiona Agniro! — Zakryła twarz dłońmi. — Nie jestem do tego przygotowana. . .

„Lecz kto jest?” — na dnie jej mózgu rozległ się cichy głosik.

Reprezentant Gildii, który był razem z nimi, odezwał się po raz pierwszy:

— Ani Tre, ani Kynan nie są wyszkoleni w taktyce i kwatremistrzostwie tak jak ty, Kerowyn. Ich doświadczenie kończy się na grupach większych od szwadronu. I oboje lekceważą rolę magów.

„I to definitywnie przemawia przeciw nim” — pomyślała z niechęcią. „Jedno jest niezwykle potrzebne tej kompanii: para wykwalifikowanych magów opiekuńczych”.

— Skąd wiecie, że będę lepsza? — zapytała, opuszczając dłonie.

— Nie możesz być gorsza — odparła Shallan dobitnie.

— Przekonałaś się na własnej skórze, jak bezbronna jest kompania w przypadku złego przywództwa — poważnym głosem stwierdził człowiek Gildii. — Sądząc po twoim zachowaniu, uważamy, że raczej byś ustąpiła, niż wyrządziła kompanii krzywdę.

Spojrzała w jego beznamiętną twarz. Był ulepiony z tej samej gliny co Arbitrzy, lecz o całe niebo młodszy. „Ty wiesz, że tak bym postąpiła” — wysłała w jego stronę myśli, tak jakby mógł je usłyszeć. „To są moi przyjaciele, moja rodzina. Prowadzenie ich tam, gdzie niektórych z nich spotka śmierć, przez resztę życia będzie piekłem na ziemi. . .”

. . . lecz jeszcze gorsze byłoby widzieć, jak ktoś o dobrych chęciach przez nieumiejętność i brak wyszkolenia podwaja liczbę poległych. Jeszcze gorzej byłoby odjechać samotnie, wiedząc, że do tego dojdzie.

I w tym momencie pojęła nagle Eldana i jego sposób rozumienia obowiązku wobec własnego narodu. Jego „kompania” była po prostu znacznie większa.

Zacisnęła zęby i wysunęła dolną szczękę nieco do przodu.

— W porządku — zwróciła się do wszystkich. — Przekonaliście mnie.

Shallan wydała okrzyk radości, a pozostali zaczęli składać jej gratulacje, lecz ona podniosła dłoń, powstrzymując ich.

— Pozwólcie, że sprawdzimy, czy w rzeczywistości mamy jeszcze jakąś kompanię. — Odwróciła się do kompanijnego księgowego i kwatremistrza zarazem. — Skrybo, jak to się przedstawia?

Człowiek, którego zapytała, nie bardzo przypominał pisarza. Był żyłasty i twardy jak każdy z Piorunów Nieba. Tajemnicze oczy kryły bystry umysł. Żując koniuszek swojego pióra, studiował rozłożoną przed sobą księgę, mrużąc do siebie pod nosem. Koniec końców podniósł wzrok.

— Na uzupełnienie strat ludzkich i zapasów, kapitanie, wyczerpiemy nasze konto bankowe do cna. Nie zostanie nam nic, abyśmy mogli wiosną wyruszyć. Być może nie starczy nam środków na przetrwanie zimy.

Reprezentant Gildii poruszył się niespokojnie i Kero skorzystała z okazji, aby odczytać jego myśli.

„Moglibyśmy... powinniśmy sprolongować im kredyt. Lecz nie jestem upoważniony...”

Zacisnęła zęby. „Wziąć kredyt, który trzeba będzie spłacać latami? A jeśli rok będzie kiepski albo nadejdzie seria złych lat. Co wtedy?” Zmieniła ułożenie ciała i szelest pergaminu w sakiewce wywołał zmarszczkę na jej czole.

„Co jest w...”

Wtedy sobie przypomniała. Okup Eldana. Ona nie może go odebrać. Ale Gildia?

Uśmiechnęła się wolno i wyciągnęła czek. List został w sakiewce.

— Proszę — powiedziała, wręczając czek człowiekowi Gildii. — To jest od Herolda, którego wydostałam z opresji. Sądzę, że dostrzeże pan, iż stoi na pozycji straconej, stawiając talie. Czy Gildia będzie w stanie sobie z tym poradzić?

Przedstawiciel Gildii rozłożył pergamin i wydał wargi, jakby gwizdał bezgłośnie:

— Wszystko to za zwykłego Herolda? Jesteś pewna, że nie był on księciem?

Wzruszyła ramionami.

— Chodzi mi teraz jedynie o to, czy ten świstek papieru pomoże nam stanąć na nogi, jeśli będziemy mogli go zrealizować.

Człowiek Gildii zbadał starannie pismo i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— Określa on, że okaziciel tej noty jest tym, kto może go osobiście zrealizować — stwierdził. — Jeśli podpiszesz go nam w zamian za wypłatę w gotówce sumy minus... e... dziesięć procent, nasz reprezentant będzie okazicielem.

„Nigdy mi tego nie przebaczy”.

— Zgoda — powiedziała, sięgając po pióro skryby. — Przyślijcie połowę w zapasach i broni. Do waszej Gildii mam zaufanie.

Z resztą uporali się szybko i w izbie została osamotniona Kero, zaciskając dłonie na sakiewce, w której tkwił list. Wydobyła go powoli i długo wpatrywała się w niego. W jej zmęczonej głowie panowała pustka. A potem złożyła go i przedarła na dwie równe części, później na ćwiartki i powtarzała to do momentu, aż nie było skrawka większego od paznokcia jej małego palca. Patrzyła na usypane na kupkę skrawki, poruszając je wskazującym palcem. Hałas na zewnątrz zmusił ją do podniesienia oczu i wyjrzenia przez okno wychodzące na plac.

Shallan ćwiczyła nowego rekruta w strzelaniu do tarczy z konia idącego stępa. Podskakiwał obolały i jego strzały trafiały wszędzie, tylko nie w słomianą kukłę. Na ten widok zaboląły ją współczująco pośladki. Spojrzała na dół na kupkę małych, białych skrawków i raptownym gestem zgarnęła je dłonią, by wrzucić do

ognia.

Wstała i podeszła do drzwi. Wszedł jej ordynans z przygotowaną opończę w rękach, tak jakby zawezwała go swymi myślami. Przystanęła na chwilę dostatecznie dłużej, aby mógł okryć jej plecy, upinając opończę w poprzek jej ramion, i wymaszerowała na plac ćwiczebny. Jej plac ćwiczebny. Dla własnych rekrutów.

Na jej widok Shallan wyprężyła się dziarsko, stając na baczność, a rekruci niezdarnie poszli za jej przykładem. Otworzyła usta i wypowiedziała słowa, którym nie musiała nawet poświęcać zbytnej uwagi:

— A więc to są ci nowi — skinęła głową, tak jak to robił Lerryn. — Bardzo obiecujący, sierżancie. Proszę sobie nie przerywać.

KSIEGA TRZECIA
Cena przywództwa

Siedemnasty

Kero przetarła oczy. Piekły ją czy to od dymiącego kaganka, czy to z powodu późnej pory; nie wiedziała tego i naprawdę o to nie dbała.

— Mapy — mruknęła do siebie. Irytacja w jej głosie była słyszalna nawet dla jej własnych uszu. — Przekłete mapy. Nienawidzę map. Jeśli zobaczę jeszcze jedną mapę taktyczną albo listę zaopatrzeniową, rzucę się z jakieś przeklętej skały. Z radością.

W namiocie komendanta było tak gorąco jak we wszystkich dziewięciu piekłach naraz, lecz na zewnątrz nieruchome powietrze nie było ani odrobinę lepsze i na dodatek pełne gryzących owadów. Przynajmniej to, co Uzdrowiciel Hovan nalał do oliwnego płomienia kaganka, dymiło tak niesamowicie, że owady trzymały się z dala od namiotu. W takt migoczącego płomienia kaganka, na ścianach namiotu w kolorze pergaminu, tańczyły powolne cienie.

Wbijała wzrok w szczególiki i drobniutki, podobne do śladów pazurów symbole swojej terenowej mapy, aż jej oczy zaszyły łzami i nie mogła dostrzec planu lepszego od tego, który już ułożyła. Prychnęła, widząc niebieską linię strumienia, który uparcie wzbraniał się zmienić swój bieg, co przysłużyłoby się jej strategii — i powoli wyprostowała się na krześle.

Jej szyja i barki były napięte i zeszywniałe. Przeciągnęła dłonią po włosach. Żałowała, że nie zabrała ze sobą Rasilra, swojego ordynansa. Może i był jednoręki, lecz umiał sobie radzić z mięśniami i odrobiną olejku do masażu. . . Jednakże był tak stary, że mógłby być jej dziadkiem i pole bitwy nie było miejscem dla niego. Mógłby poczuć nieprzewartą chęć wzięcia udziału w jednej małej potyczce, i to byłby jego koniec.

Butelka wina stojąca tuż obok, na wyciągnięcie ręki, kusiła osiadającymi na niej kryształowymi perełkami wody. Kusiła i ustawiona za składanym stołem przy- cza. Jak dotąd Kero nie pozwoliła sobie ani na jedno, ani na drugie. Przeciągnęła się tak, jak ją tego nauczył Warrl: powoli, leniwie, każdy miesiąc po kolei. Strze- liło jej w kręgarach szyjnych oraz w prawym stawie barkowym i ulotniło się nieco napięcia z jej karku. „Albo się starzeję, albo dobiera się do mnie wilgoć. A może i jedno, i drugie”.

Kaganek wypuł obłoczek dymu. Odegnęła go od siebie, krztusząc się, i się-

gnęła po butelkę wina. Pomimo złożonego wcześniej przyrzeczenia, że skoczy z urwiska, jeśli będzie musiała przejrzeć jeszcze jedną listę, rzuciła okiem na arkusz zestawieniowy. I uśmiechnęła się. Wciąż jeszcze mogła zdobyć się na uśmiech przed bitwą, przed wysyłaniem ludzi na pierwszą linię, aby zabijali, albo też zostali zabici. „Gdybym mogła ich wysyłać do walk nie różniących się od bezkrwawych zawodów, w których braliśmy udział minionego roku, wtedy byłabym zupełnie zadowolona”.

Lecz lata takie jak rok ubiegły, kiedy wystarczyło, że się tylko pojawili, były wyjątkiem raczej niż regułą i dobrze o tym wiedziała. Mimo wszystko zestawienie było imponujące. „Nieźle, jeśli mogę to przyznać przed sobą”. Od chwili kiedy zrobiono z niej kapitana, upłynęło dziesięć lat i przez cały ten czas nie było ani jednej poważnej skargi czy to z szeregów Piorunów Nieba, czy ze strony Gildii. Z pobitego oddziału, który z Seejay powrócił z podwiniętym ogonem, stworzyła podwaliny specjalistycznej kompanii dwukrotnie liczniejszej niż pod dowództwem Lerryna.

Pod pewnymi względami były to cztery kompanie, a nie jedna, każda dowodzona przez dwóch poruczników. Z powodów, których nie potrafiła się domyślić, podział dowództwa doskonale służył Piorunom Nieba, choć nikt inny nie odniósł na tym polu sukcesu. Największą grupą była lekka jazda, potem łucznicy na koniach; razem stanowili oni dwie trzecie sił. Pozostałe trzydzieści procent rozdzielonych było równo między zwiadowców i prawdziwych specjalistów.

Oddział specjalistów składał się z: posłańców dosiadających najściślejszych zwierząt, jakie sprzedali Kero jej kuzyni Shin’a’in, ekspertów od dywersji i tych, którzy nie byli wojownikami — dwóch Uzdrowicieli z czterema pomocnikami oraz trzech magów i sześciu terminatorów. Naczelnikiem wszystkich, klejnotem — czym Kero rozkoszowała się często — był Mistrz Magii ze szkoły Białych Wiatrów, mag Quenten; bystry, szczupły, nieuleczalnie pogodny rudzielec, przysłany jeszcze jako czeladnik wprost do Piorunów Nieba przez wuja Kero.

„Powie ci, że pragnie — bogowie miejcie go w swojej opiece — przygód” — napisano w liście polecającym młodego maga i Kero zawahała się na moment, wiedząc, że żądza „przygód” uśmierciła licznych rekrutów, a rozczarowanie mnóstwo następnych. Ale czytała dalej. „Nie zrozum mnie źle, siostrzenico. Jest on tak cierpliwy, jak tylko mógłbym sobie tego życzyć. Umysł jego potrafi radzić sobie zarówno z nudą, jak i podnieceniem. To, co dla niego jest przygodą, ja nazwałbym wyzwaniem. Poza magią wojenną niewiele może rozwinąć jego umiejętności tak szybko, jak to jest możliwe. Tak więc, co prawda, jesteśmy szkołą pokoju, wysyłam jednak Quentena do ciebie, wiedząc, że wam obojgu przyniesie to pożytek”.

I okazało się to prawdą; nie słyszała nigdy, aby jej wuj się mylił, a więc przyjęła młodego człowieka i wkrótce przekonała się, jakież szczęśliwy los przypadł jej w udziale. Mag zdołał z biegiem lat przekonać Potrzebę, aby objęła swą ochroną przeciw magii całą kompanię. Kiedy zapytała go, jak mu się to udało, triumfalnie

się uśmiechnął.

— Uczyniłem coś, aby wyglądało, jakbyś to ty była kompanią, a kompania tobą — rzekł z błyskiem w oczach, na który Kero odpowiedziała mu uśmiechem.

Jeśli nawet Potrzeba zdawała sobie sprawę z manipulowania jej magią, to nie zatroszczyła się, aby cokolwiek z tym zrobić. Teraz Pioruny Nieba znalazły się w wyjątkowej sytuacji posiadania magów, których skoncentrowane wysiłki mogły być skupiane na czymś innym niż sztuczki obronne. Taką przewagą nikt nie mógł się poszczycić. Pozwalało to ich trzem magom pracować za szczęściu. Jedyne armie narodowe stać było na wysłanie tylu magów z grupą wielkości kompanii. Pioruny Nieba wykorzystywały swą przewagę bez pardonu.

Po wszystkich tych latach Kero wciąż nie była pewna, do jakiego stopnia miecz uświadamiał sobie, co działo się w jego otoczeniu. Na początku kapitańskiej kariery Kero, od czasu do czasu próbował wywalczyć nad nią kontrolę, jednakże odnosiła wrażenie, że ostrze nie było prawdziwie „rozbudzone”, podejmując te próby. Czasami myślała, że reagowało na jej pewność siebie w sposób, w jaki śpiący opęda się od denerwującego owada.

„Kiedy po raz ostatni wystawił mnie na próbę?” Zadumała się, pociągnąwszy długi łyk z butelki. Ściekająca po cynowych ściankach woda chłodziła dłoń, a zimny płyn spłynął jej do gardła. Smakowała go z przymkniętymi oczami. „Mniej więcej przed pięciu laty. Pamiętam, że miałam wrażenie, iż nie będzie próbował ponownie. Bogowie, mam nadzieję. Nie teraz w każdym razie. To przekłete lichy mogłoby przeważać szalę na korzyść wroga!”

A to dlatego, że bieżącą kampanię prowadzili przeciw jej dawnym wrogom — Karsytom. To wspomnienie wywołało u niej uśmiech gorzkiej satysfakcji. Miała u Karsytów niezły dług do odebrania, a to była pierwsza od dziesięciu lat okazja, aby to uczynić. Pioruny Nieba walczyły u boku regularnej armii Rethwellanu w imieniu monarchy Rethwellanu — mężczyzny, przeciw samozwańczemu prorokowi Vkandisa — kobiecie, a to mogłoby ściągnąć na nich kłopoty ze strony Potrzeby, gdyby ostrze połąpało się w sytuacji. Kero żywo pamiętała chwilę, kiedy miecz odmówił walki przeciw kapłance z Karsu. Nie była zachwycona myślą, że byłby zdolny zwrócić się przeciw niej ponownie.

— Jeśli istnieje coś, poza mapami, czego nie mogę znieść — wymamrotała pod nosem — to świętej wojny. Ci fanatycy religijni są tak okropnie... nieprofesjonalni.

Bałagan, ot, czym to jest. „Wydawać by się mogło, że z chwilą, kiedy kwestia zaczyna ocierać się o religię, ludzkie umysły zamieniają się w papkę. Bałagan na wojnie, bałagan w myślach. Bałagan w myślach rozpętujący bałaganiarskie wojny”.

Karsyci sprawiali kłopoty na długo przed katastrofą w Menmellicie i później też nie przestali. Lecz tym razem, po raz pierwszy, wyznawcy Pana Słońca otwarcie wystąpili przeciw Rethwellanowi. Kobieta utrzymująca, że jest autentycznym

prorokiem, odrodzonym w ciele kobiety w dowód boskiej jedności, zdołała zgromadzić sporą armię, opierając się na sile swojej charyzmy oraz „cudach”, których dokonywała. W zimie przeprowadziła armię do prowincji na południe od Menmellithu, wtedy gdy podróż nie jest łatwa, a wieści rozchodzą się wolno. Wiosną opanowała tę prowincję całkowicie i odcięła od zewnętrznego świata.

Król Rethwellanu nie robił sekretu z faktu, że podejrzewa gubernatora prowincji o zмовę. Kero była całkiem pewna — dzięki własnym źródłom informacji w łonie Gildii — że się nie myli. Gubernator był starym człowiekiem, cierpiącym na liczne schorzenia. Kero widywała już podobnych. „Założę się, że po raz pierwszy przyszło mu do głowy, iż jest śmiertelny, jak my wszyscy, i szuka gorączkowo kogoś, kogokolwiek, kto by mu obiecał szybką i wygodną drogę do jakiegoś raj, kiedy już wyciągnie kopyta”.

Ponownie zaczęła ostrożnie saczyć wino. Niedobrze by było z rana mieć kaca. Ale wino było jedyną rzeczą, która przepędzała od niej sny.

Rezolutnie odwróciła myśli od tych snów. Nie dlatego, że były nieprzyjemne, przeciwnie — były one nazbyt przyjemne. Zniewalające. Kłopot w tym, że występował w nich Eldan, a o nim chciała z determinacją zapomnieć.

„Nie może mi przebaczyć, że posłałam Gildię po odbiór okupu, zamiast zrobić to osobiście. Albo do tej pory zupełnie o mnie zapomniał, zakładając, że wciąż jeszcze żyje”.

W pierwszych latach marzenia pojawiały się często, wtedy czuła się niepewnie na posadzie komendanta; była nieszczęśliwa i samotna. Czasami w tych nocnych wizjach jedynie rozmawiali i Kero budziła się z odpowiedziami, które rozpaczliwie jej były potrzebne. Lecz niekiedy, zwłaszcza z upływem czasu, zajmowali się czymś znacznie ciekawszym niż tylko rozmową. Sny te stanowiły okrutne odbicie jej samotności i chociaż te bezcielesne przewracanki na sianie były czymś, czego chciała, to ranne przebudzenie wcale nie było przez to lżejsze.

Powtarzała sobie w kółko, że narzucona sobie samotność nie ma znaczenia. Przecież wiele dokonała w ciągu minionych kilku lat! Większość mężczyzn nigdy nie osiągała rangi kapitana, a większość kapitanów awansowała na to stanowisko dobrze po czterdziestce. Zaś na to, że zapłaciła za sukces odrobiną ciężkiej pracy, bezsennymi nocami i brakiem czułego towarzystwa, trudno się było uskarżać. Wiedziała doskonale, dlaczego musi trzymać się z dala od miłosnych komplikacji. Tę stronę stanowiska dowódcy wyjaśniła jej Tarma, szczegółowo, podpierając się licznymi przykładami, co wolno, a czego nie wolno robić.

Kapitan kompanii nie wybiera kochanka spośród szeregowych; to był najszybszy na świecie sposób wzniesienia podejrzeń o faworyzowanie, co doprowadza do podziałów i rozłamów. Kapitan zawsze pozostawał kapitanem, nawet pośród starych przyjaciół.

Płatny urok popleczników obozowych był Kero zupełnie nie w smak, a równi jej rangą uważali ją — i słusznie — za ewentualną konkurentkę. Lecz było

w tym i coś więcej: prawdziwym proszeniem się o kłopoty byłoby iść do łóżka z kimś, z kim pewnego dnia mogłaby skrzyżować miecze. „Nigdy nie wiadomo, kto zostanie wynajęty, aby ruszyć przeciw tobie. Mieć naprzeciw siebie kogoś, kto posiadał ten rodzaj wiedzy o mnie? Nie ma mowy, abym podjęła się takiego ryzyka”.

Odstawiła butelkę i mokrym palcem nakreśliła na stole niewielkie wzory. „To jedyna rzecz, przed którą Tarma nigdy mnie nie ostrzegła” — uzmysłowiła sobie, odganiając od siebie jeszcze jeden obłoczek dymu o ostrej woni. „Nigdy nie powiedziała, że ranga i trzymanie się z dala od związków prowadzi do samotnych nocy. Babka była zawsze jej przyjaciółką i nigdy nie pragnęła kochanka z powodu złożonej przysięgi. Bogowie świadkami, że bycie zaprzysiężoną mieczowi byłoby łatwiejsze niż przysłuchiwanie się temu, co dzieje się w namiotach po zmroku. Ona mogła nie zwracać na to uwagi; ja też potrafię, ale nie zawsze mi się to udaje”.

Bycie kapitanem niekoniecznie oznacza puste łożo. Wielu znanych jej kapitanów przedzierało się przez dziewczki jak barany przez stada owieczek. Starali się wybierać dziewczki wiejskie, oszołomione przepychem i niebezpieczeństwem, by porzucić je natychmiast, gdy ich kochanki stawały się odrobinę zbyt zaborcze. Kero nigdy nie była zdolna zmusić się do uwiedzenia jakiegoś parobka o szeroko rozwartych oczach. Ponadto mężczyźni, których spotykała, byli zwykle przytłoczeni jej osobowością.

„Okazałam się nieślychaniem roztropna” — myślała, czując przewrotną dumę, gdy spoglądała na minione lata. „Było trzech... nie, czterech minstreli. Wszyscy czterej nazbyt jurni, abym ich onieśmiała. Jedyny kłopot w tym, że nie mogłam im wiele zaoferować, choć Pioruny Nieba były odwiecznym tematem do pieśni. Tak więc utraciłam ich wszystkich na rzecz ciepłych posadek na pańskich dworach. Było paru kupców, lecz nie trwało to dłużej niż kilka nocy. No i był jeszcze Uzdrowiciel. Ale za każdym razem, kiedy go opuszczałam, zamieniał się w kłębek nerwów po moim powrocie, myśląc, że to mnie niosą, aby on mnie poskładał; ten związek był od początku skazany na niepowodzenie. Łoże stygło przez ostatnie dwa lata. Nie tak jak Darena”.

Musiła się przy tym uśmiechnąć, ponieważ kampania przeciw Karsytom była przyczyną jej osobistego kontaktu z „chłopcem”, jak wciąż o nim myślała. Ponowne spotkanie z nim zmusiło ją do drastycznej zmiany tych wspomnień. Zmęźniał; nie na twarzy, która wciąż była chłopięco przystojna, choć odrobinę ogorzała — lecz w kącikach oczu i ust. Nie był już z niego taki chłopiec...

Nie spowodowało to odrodzenia się ich związku. Byłoby z ich strony nierozsądne uczynić to w środku wojennej zawieruchy, to po pierwsze, a po drugie: chociaż stwierdzili, że łączy ich głębsza przyjaźń niż kiedykolwiek, odkryli przy pierwszym spotkaniu, że nic ich już do siebie nie ciągnie.

Daren spełnił swoje marzenie i został Lordem Wojny w armii swojego brata.

Jedno nie uległo w nim zmianie: wciąż darzył głęboką czcią swojego starszego brata. Kero bawiła się butelką, przez chwilę przyciskając jej chłodną powierzchnię do czoła, zastanawiając się, czy król wiedział, jak całkowicie bezinteresownie oddany skarb posiada w osobie swojego brata. Miała nadzieję, że tak; w ciągu minionych kilku lat nauczyła się, że w wyższych sferach lojalność trudno było brać za rzecz pewną.

Tam, gdzie Kero była roztropna, Daren otwarcie okazywał lubieźność. Przeskakiwał z łoża na łożo od niechcienia, jak pierwszy lepszy kapitan, którego znała, i krążyła plotka, jedna i druga, o zaręczynach, lecz nic z tego nie wyszło.

„Zbyttno jesteśmy do siebie podobni, aby kiedykolwiek ponownie zostać kochankami, jak sądzę. Wywołuje u mnie nadmiernie siostrzane uczucia, aby wzbudzić we mnie pożądanie”.

— Kapitanie? — adiutant wetknął głowę między klapy namiotu. — Shallan i Geyr do ciebie.

„Bogowie! Zapomniałam, że posłałam po nich. Na pewno przez ten upał”.

— Doskonale, wpuść ich.

Upewniła się, że dwa specjalne skrawki płótna są pod ręką, wyłowiła ze sterty właściwą mapę i rozprostowała na powierzchni stołu.

— Kapitanie? — z powątpiewaniem w głosie zaczęła Shallan.

— Wejź do środka — odpowiedziała spokojnie. — Bez formalności.

Jej stara przyjaciółka — którą Kero chciała awansować na porucznika korpusu specjalnego — wśliznęła się do środka, a za nią człowiek, którego Kero zamierzała uczynić zastępcą Shallan.

Rok temu Shallan utraciła Relli od zabłąkanej strzały i przez dłuższy czas Kero obawiała się, że melancholia i szaleństwo zabiją ocalałą partnerkę. Ale po przekazaniu Shallan dowództwa szwadronu zaszła w niej godna podziwu zmiana na lepsze. Nigdy właściwie nie pracowała razem z Geyrem, tubylcem z południowej krainy tak odległej, że Kero nawet o niej nie słyszała, dopóki on nie opowiedział jej swojej historii; był prawdziwym czarnoskórym człowiekiem od stóp do głów.

Zatrzymali się przed stołem, oboje odrobinę skrępowani. Kero pozostała na krześle; pomimo że sformułowanie „bez formalności” wyszło od niej samej, zamierzała utrzymać niewielki dystans pomiędzy nimi. Byli przyjaciółmi, to prawda, lecz musieli grać rolę kapitana i podwładnych; także w tej chwili.

— Co tam z Belem? — bez zwłoki zapytała Shallan.

Porucznik zwiadowców nie padł ofiarą ran, lecz zabójcy, którego wojownicy boją się bardziej niż bitwy — gorączki. Tej samej gorączki, która już powaliła jednego z dowódców konnych łuczników.

— Musiałam odesłać go, tak samo jak Dende — odpowiedziała z goryczą Kero. — Uzdrowiciele uważają, że wydobrzeje, ale jedynie wtedy, gdy znajdzie się w górach, gdzie jest chłodno i sucho. To dlatego chciałam was widzieć. Zamierzam przesunąć Losha na dowódcę konnych łuczników i postawić was dwoje na

czele specjalistów.

Shallan zaniemówiła, Geyr myślał, że niewłaściwie zrozumiał to, co powiedziała. Drapał się po kędzierzawej czuprynie, gdy Shallan oddychała głęboko.

Czekała, aż dojdą do siebie. Pierwszej udało się to Shallan:

— Ale... ale...

— Zasłużyliście na to oboje — stwierdziła Kero. — Potrzebowałam kogoś do łuczników i tam właśnie jest miejsce Losha. Żołnierze znają was obydwój. Dowodziliście szwadronami aż do tej pory i nie było słychać żadnych skarg. Myślę, że dacie sobie radę doskonale.

— A co z psami? — powoli zapytał Geyr, białka jego oczu odbijały się jaskrawo na tle ciemnej skóry. — Czy w dalszym ciągu opiekujecie się psami?

— U licha, oczywiście — odparła Kero. — Jediną różnicą, jaką spowoduje objęcie przez ciebie dowództwa, będzie to, że teraz jedynie ty i ja będziemy decydowali, kiedy je wysyłać, a kiedy jest to zbyt niebezpieczne. Wiem, że nie zawsze byliście w tym zgodni z Loshem.

Geyr uśmiechnął się szeroko, błyskając przednimi zębami inkrustowanymi złotem.

— *Khala il rede he, Ishuna* — odpowiedział w sobie tylko znanym języku. — Niech błogosławieństwo pójdzie za tobą, a szczęście niech cię poprzedza, lenna pani. Ja i moje psy dziękują tobie.

— Proszę bardzo — odrzekła z rozbawieniem.

Będzie musiała jeszcze uzmysłwić Geyrowi różnicę pomiędzy przyrzeczeniem najemników i hołdem lennym. Może w jego krainie nie było żadnych różnic.

Zwróciła się do Shallan:

— Co masz do powiedzenia, poruczniku?

— Ja... — Shallan przełknęła głośno ślinę. Jej źrenice rozszerzyły się w świetle kaganka. — Dziękuję, kapitanie. Przyjmuję — wykrztusiła.

Spojrzała kątem oka na Geyra; Kero spostrzegła, że na jej twarzy odbiło się zamyślenie, jej rysy zdradzały, iż nad czymś się zastanawia.

— To nie jest przypadek, prawda? — Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. — Wybrałaś nas, ponieważ jesteśmy she'chorne i możemy pracować wspólnie bez mieszania w to seksu.

Kero zachichotała.

— Jedna przyczyna z wielu, tak — przyznała. — Skoro to rozumiesz, myślę, że mogę bezpiecznie stwierdzić: zacznasz myśleć jak oficer. To dobrze. — Rozwinęła mapę przed sobą i przesunęła w ich kierunku. Shallan wzięła ją do rąk. — To jest jutrzejka linia frontu. Chcę, abyście ją przestudiowali i wrócili do mnie, gdybyście planowali jakieś zmiany. Jeśli nie, to wszystko, co miałam wam do powiedzenia.

Chwyciła dwa emblematy poruczników, ukryte pod stertą papierów po jednej stronie stołu. Nowo mianowani porucznicy odebrali je z powagą z jej rąk, zasa-

lutowali czysto, z precyzją — i opuścili namiot. Klapy wejściowe załopotwały za ich plecami, przepuszczając powiew powietrza, nieco świeższego, ale ani o jotę chłodniejszego.

„Dziś w nocy nie zasnę bez jakiegoś lekarstwa”. Kero westchnęła jeszcze raz, wyciągając rękę po flaszkę z winem i opróżniając resztę zawartości jednym haustem. „Lepiej ryzykować małym bólem głowy niż brakiem snu”.

Zdjęła ubranie, zanim wino zdążyło ją zamroczyć, zrzuciła mundur i cisnęła go na stertę. Upadając na łóżko, poczuła tchnienie lekkości ogarniającej głowę.

„Może to i dobrze, że nie mam kochanka” — myślała głupawo, poddając się ogarniającej ją senności. „Między planem bitwy a listą dostaw nigdy bym nie mogła się z nim zobaczyć, chyba że przedzierzgnąłby się w jakąś przeklętą mapę”.

— Cóż ty próbujesz zrobić, zapracować sobie na przedwczesną śmierć? — Eldan skrzyżował ręce na piersi i patrzył na nią gniewnym wzrokiem. — Czy też może się zapić?

Kero przyjęła wyzwanie. Zmierzyła się z nim oko w oko. Ze złości i wstydu piekły ją policzki. Dobrze wiedziała, że sięga po butelkę z winem nieco zbyt często i nie była zadowolona, iż ktoś jej o tym przypomina.

— Nie piję nadmiernie, jedynie tyle, abym mogła przespać noc, i powinienś myśleć o mnie ciepło, choćby dlatego, że pracuję teraz tak ciężko — tym razem wyruszyłam przeciwko wrogom twojego cennego Valdemaru.

Cała się trzęsła w środku, zimny strach ścisnął jej serce. Wypiła swoje wino. Nie powinna mieć takich snów.

— Och, w istocie walczysz z jedną z frakcji karsyckich. Jedną z pomniejszych frakcji, a w tym czasie prawdziwa tamtejsza potęga ma wolną rękę do...

— Co? Wolną rękę? Nikt nie ruszył palcem w Karsie, od kiedy kobieta-prorok zaczęła swoją grę o władzę. A więc na czym polega ten wielki problem?

Odwróciła się do niego plecami i mówiła do ulotnej, szarej mgły, która zawsze otulała ich w snach, mając nadzieję, że nie spostrzeże, jak drżą jej ramiona. Niczego nie była pewna. Przerazało ją, że on może ją dotknąć, i równocześnie tak bardzo tego pragnęła, tak bardzo...

— Wiesz, co myślę? — odezwała się, zanim zdołał odpowiedzieć. — Myślę, że wielki problem polega na tym, iż walczę za pieniądze. Nie możesz przełknąć, że jestem w tym dobra, i że mogłabym nauczyć twoich tego i owego...

Dłoń dotknęła jej barku i słowa zamarły jej w gardle.

— Kero — powiedział pokornie. — Przepraszam. Nie powinienem... Martwię się o ciebie. Naprawdę zbyttnio się zapracowujesz.

— Nie mam wielkiego wyboru — przypomniała mu cierpko, nie odwracając się. Bała się, że jeśli to uczyni, nie zdoła zapanować nad sobą. — Odpowiadam za wielu ludzi... I wiesz, co naprawdę cię trapi? To, że robię to dla pieniędzy.

Eldan obszedł ją dookoła wolno i bezszelestnie, tak że teraz spojrzął jej prosto w oczy. Odwróciła wzrok i patrzyła pod nogi. To tylko sen, powtarzała sobie. Nie

ma żadnego znaczenia.

— To mnie martwi — stwierdził z powagą. — Uważam, że tak nie można. Mogłabyś walczyć o co innego. Możesz zginąć. Czy warto ginąć za pieniądze? Honor...

I znów to słowo. To idiotyczne, samobójcze słowo. Spowodowało, że rozgorzały jej policzki, tym razem od szczerego gniewu.

— Honor nie poda żywności do stołu moich żołnierzy ani nie nasypie pieniędzy do kieszeni — warknęła. — Honor za nic wiele nie zapłaci. To świetnie paplać o honorze, kiedy jesteś z królową po imieniu, lecz moi ludzie polegają na mnie, że będą mieli środki do życia!

— Ale... — zaczął.

— O honor stoczono więcej idiotycznych wojen, niż mam ochotę zawracać sobie tym głowę — mówiła dalej nieubłaganie, podnosząc wzrok na tyle, by móc patrzeć z gniewem w środek jego klatki piersiowej. — Wydaje mi się, że honor jest słowem, którego używa się, aby ukryć mnóstwo rzeczy. Rzeczy takich, jak chciwość, ambicja, nienawiść, bigoteria. Czy to honorowe napadać na tych, którzy nie wierzą w to samo co ty? Czy to honorowe walczyć z kimś o skrawek ziemi, którego pożądasz. Czy to honorowe...

Podniosła wzrok, zobaczyła na jego twarzy kompletny brak zrozumienia i wyciągnęła ramiona do góry.

— Nie wiem, co mnie to obchodzi! Ja, zabijając, jestem przynajmniej uczciwa. Robię to dla pieniędzy. Próbuję wybrać stronę, która została zaatakowana, a nie napastników. Większość świata dookoła toczy wojnę w obronie tego czy innego kłamstwa...

— Nie tutaj — powiedział miękko. — Nie my.

Wolałaby, aby się z nią spierał. Wolałaby, aby podniósł głos. Zamiast tego ten urażony wyraz twarzy, to spojrzenie, proszące, aby mu uwierzyła.

— Znam tylko to, co widziałam — burknęła. — Przeważnie to, co ludzie nazywają „honorem”, jest niczym innym, jak oszukiwaniem siebie. Może ludzie w Valdemarze są inni.

— Jesteśmy inni — powiedział. — Proszę, Kero, znasz mnie, wiesz, jaki jestem. Byłaś w środku mojego mózgu...

— To prawda — przerwała pośpiesznie. — W porządku, jesteście odmienni. Może wy wszyscy, Heroldowie. Ale to w niczym nie umniejsza tego, co ja robię. Reszta świata nie jest taka jak wy i jeśli będą istnieć gdzieś ludzie wywołujący wojny z innymi ludźmi, nie sądzisz, że dobrym pomysłem jest, aby niektórzy z nich przestrzegali etycznego kodeksu? Nie „honoru”, lecz czegoś konkretnego, pewnego, reguł, które są takie same dla wszystkich. My to właśnie robimy. I jeśli czynimy to dla pieniędzy, niech tak będzie. Przynajmniej ktoś to w ogóle robi.

Dojrzała jego uśmiech pełen spokoju.

— Punkt dla ciebie — rzekł z westchnieniem. — Kero, nie z tym tutaj przychodzę...

Nim zorientowała się, co robi, odpowiedziała na ten uśmiech, na zaproszenie w jego oczach — i zamarli w objęciach.

Część jej osoby była przerażona. To było realne, nazbyt realne. Ramiona Eldana wydawały się tak prawdziwe, przytulone do niej ciało tak ciepłe.

Lecz reszta jej osoby z radością przyjęła jego objęcia, ciepło jego ust na czole. Jedyne intymne dotknięcie istoty ludzkiej...

Nawet jeśli nieprawdziwe.

— Nie chciałem kłócić się z tobą — szepnął jej do ucha. — Niepokoję się o ciebie. Próbujesz zrobić zbyt wiele. Zbyt wiele bierzesz na swoje barki. Tłumisz uczucia, niczego nie uzewnętrzniasz. Sama siebie zniszczysz w ten sposób, nie możesz być dla każdego wszystkim.

— Myślałam, że nie przyszedłeś tutaj, aby się ze mną kłócić — usłyszała własne słowa. — Rób tak dalej, a zaczniesz od początku.

— Och, Kero. — Potrząsnął głową i ona spojrzała mu w oczy. — Kero, co ja mam z tobą zrobić?

— Mógłbyś spróbować...

Uciszył ją pocałunkiem, po którym przyszły następne, a potem coś bardziej intymnego... Ciepłe dłonie na skórze, iluzoryczne ubranie znikające, gdy dotknęli siebie w zachwycie, przyjemność połączona z radością...

Błogosławiona Agniro!

Kero obudziła się ze strachu. W chwili przebudzenia od razu zatrzęsała się z przerażenia. Wino nie poskutkowało. Sny wróciły, żywsze niż dotąd; wino nie zdało się na nic. Tym razem — to działa się naprawdę. Było zbyt prawdziwe, zbyt jej bliskie. Część jej osoby tego pragnęła, to było najgorsze; z radością powitała nie tylko sen, ale i fantazję miłosną.

Odrzuciła cienki koc i usiadła na krawędzi pryczy, cała drżąca. „Popadam w szaleństwo. To dla mnie za wiele”.

Nietrudno było uwierzyć, iż popada w szaleństwo. Łatwiej niż wierzyć w to, że sama stworzyła ten sen, bo tęskni za Eldanem, pragnie go tak bardzo...

Nim to sobie uzmysłowiła, łyzy zapiekły ją w oczach i coś ścisnęło ją w gardle. Ukryła twarz w dłoniach.

„To nie był błąd. To by się nigdy nie udało. My...

O bogowie! Eldanie...”

Schwyciwszy stojącą obok łóżka butelkę z wodą, opróżniła ją do dna z nadzieją utopienia w niej łez. Lecz łyzy płynęły szybciej. Była bezradna, nie mogła ich powstrzymać. Tak bezradna jak w przypadku samotności, która była ceną dowództwa...

Chwyciła tunikę, po omacku szukając opończy, i wyszła w chłodną noc, łudząc się, że spacer rozproszy wątpliwości, odegna lęki i, co najważniejsze, pomo-

że jej zapomnieć.

Zanim ziemię pokryły blizny wojny, okolica była piękna; niskie pagórki zarastała trawa, rzędy drzew znaczyły łożyska strumieni i rzeczne koryta. Teraz trawę stratowano, a pył jak dym unosił się nad potykającymi się armiami. Słońce wypalało pole bitewne jak klątwa samego Vkandisa. Kero stała obok starego przyjaciela, wspaniałej postaci w szkarłatnej opończy Lorda Wojny, i mrużąc oczy, wpatrywała się w dal. U jej boku znajdował się Geyr, nieruchomy jak posąg z czarnego kamienia. Nie mogła zrozumieć, jak mu udaje się stać tak spokojnie i ani drgnąć.

„Może nie czuje upału. Może nie jest dla niego tak dotkliwy. Jeśli tak, nie sądzę, aby kiedykolwiek przyszła mi ochota odwiedzić jego ojczyznę”.

Jak do tej pory kobieta-prorok trzymała kilka grup piechoty w odwodzie. Teraz wydawało się, że te ostatnie odwody w końcu włączyły się do bitwy.

— To jest to — powiedział cicho Daren, potwierdzając jej obserwację. — Prorok właśnie rzucił wszystkie siły. Tak jak i ja. Jeśli tym razem nie wygramy...

— Przegrasz wojnę, stracisz prowincję i, do licha, twarz — dokończyła za niego Kero, ocierając oblicze z potu chustą, którą trzymała za pasem. — Lecz nie to byłoby najgorsze. Jeśli przegrasz, ona zdobędzie przyczółek i będziesz musiał walczyć z nią przy byle okazji albo utracisz kraj, staja po stai. — Zasepiła się na tę myśl.

Obok nich przystojny — i to bardzo przystojny — szlachcic, wyznaczony na adiutanta Darena, wydawał się zaintrygowany.

— Dlaczegoż to, milordzie? — zapytał. — Czyż nie zadowolili się zdobyczą?

Daren prychnął i otarł twarz chustą, która nie była ani czystsza, ani piękniejsza od chusty Kero.

— To mało, u licha, prawdopodobne. Jeśli nie wyeliminujemy jej teraz, to będzie dowód, że jej bóg naprawdę jest po jej stronie i będziemy bić się z religijnymi fanatykami w całym Rethwellanie. Ten rodzaj „świętej wojny” jest jak gangrena: jeśli nie pozbędziesz się jej, zatrauwa całe ciało. Jeżeli nie zdołamy tego wyplenić, zabije nas wszystkich.

Młody adiutant zerknął kątem oka na Kero, jakby prosząc o potwierdzenie słów Darena. Odkryła już, że u młodych, wysoko urodzonych pożeraczy ognia Darena cieszy się sławą niezwykłej; korzystała z tej sławy, aby wzmocnić jego autorytet. Może być tylko jeden dowódca całej armii, tak samo jak może być tylko jeden kapitan kompanii.

— Masz całkowitą rację w tej sprawie, milordzie — rzekła w odpowiedzi na spojrzenie chłopca, nie mówiąc bezpośrednio do niego. — Nie mogę wyobrazić sobie nic gorszego od walki z religijnym fanatykiem, zwłaszcza takim, który jest pewny, że trafi do jakiegoś raj, jeśli umrze za swego boga. Taki typ ruszy na twoje linie, rzuci się na twoje ostrze i narazi się na śmierć, byle tylko uciąć ci głowę.

Przebijała wzrokiem słońce, upalny tuman, pył i ponownie zakłęła pod nosem,

otrząsając się ze znużenia, spuścizny bezsennej nocy. Jasne było, że obydwie armie znalazły się w patowej sytuacji. Jak do tej pory jej ludzie nie brali w tym udziału. Zrobili, co mogli, wczesnym rankiem i teraz znajdowali się za liniami, czekając na dalsze rozkazy i korzystając z chwili wytchnienia. „Tylko garść poniosła śmierć, a dwa razy tylu odniosło rany. Przeważnie nowi rekruci, nikt kto byłby moim dobrym znajomym. Bogowie, przyjmijcie ich dusze”.

Raz przynajmniej nie musiała nikomu udowadniać wartości swojej ani kompanii. Daren zostawił jej sporą niezależność; ufał jej rozsądkowi i intuicji. Wiedział, że w walce jest dwakroć bardziej doświadczona od niego i jego dowódców. Wiedział, że jeśli Kero dostrzeże lukę, gdzie Pioruny Nieba mogłyby uczynić coś dobrego, ona ich tam pošle. Takim zaufaniem Kero nie cieszyła się u żadnego dowódcy i zastanawiało ją, czy Daren podchodzi w ten sposób do wszystkich kapitanów najemników, czy tylko ją tak traktuje, ponieważ ją zna.

W tej chwili cała bitwa rozgrywała się na piechotę, wrzała walka wręcz i nie było miejsca dla konnicy, poza ciężką jazdą, która próbowała przeorać linie nieprzyjaciela i nie wpaść za nimi w pułapkę.

Spostrzegła błysk słonecznego odbicia i skrzywiła się na widok chramu Vkan-disa znajdującego się na lewym skrzydle. „To przeklęte miejsce skupia ich całą linię” — pomyślała ze złością. „Za każdym razem, kiedy ci idioci przebrną kilka kroków, postępuje za nimi lewe skrzydło”.

Chram był wleczony na niekształtnych walcach przez prawie setkę największych fanatyków spośród czcicieli kobiety-proroka. Jak dotąd każdego dnia zdo-bili go tym, co złupili, dodawali ornamenty, czyniąc go bardziej imponującym, wyszukany i bez wątpienia cięższym zarazem. Ostatnio pozłócili dach. To właśnie przyciągnęło jej wzrok — lśnienie słońca na złotych liściach. Zastanawiała się, ilu biednych wieśniaków głodowało, aby zapłacić za nową ozdobę.

Ponownie w jej oko wpadła niewyraźna, poruszająca się plama, tym razem bardziej znajoma — żółtoszara smużka znacząca przebycie linii przez jednego z psów-posłańców Geyra. Biedactwa wyglądały jak worki z kośćmi, lecz poruszały się jak błyskawice. Geyr przyprowadził je ze sobą, kiedy wstępował w ich szeregi. Kero wywnioskowała, że w jego kraju ludzie urządzali wyścigi psów, tak samo jak ludy północy wyścigi koni. Intuicja podpowiadała mu, że można by z nich zrobić posłańców, lecz jedynie Kero była skłonna wziąć na siebie ryzyko jego pomysłów. Psy były zadziwiająco inteligentne jak na swoje rozmiary. Gdy raz dowiedziały się, że jakaś osoba nosi u pasa rożek pełen kawałków łożu albo kulek masła, jej imię i zapach na wieczność wrzynały im się w pamięć. Każdy mógł umieścić im wiadomość w obroży, polecić odnaleźć tę osobę, a one to robiły bez względu na to, co stanęło im na drodze. Chudzinki dosłownie potrafiły rzucić się w ogień za kawałek tłuszczu. Geyr zażartował pewnego razu, że gdyby posmarować cegłę masłem, to one by ją zjadły.

Niewielki piesek omijał konie i ludzi z jednakową łatwością, a potem zatrzy-

mał się na chwilę. Zanim Kero zdążyła zapytać Geyra, co jest z nim nie w porządku, zwierzę wystartowało ponownie, tym razem pędząc w ich kierunku tak spłoszone przy ziemi, że jego klatka piersiowa musiała po niej szorować.

— To do mnie, co oznacza, że do ciebie, kapitanie — wymamrotał Geyr, kiedy pies mężnie rzucił się między kopyta koni Piorunów Nieba i wynurzył się z drugiej strony. Rozpoznała go teraz po szkarłatnej obroży — to był ten wysłany ze zwiadowcami Shallan.

Pies dał susa w powietrze i wylądował w ramionach Geyra, zdyszany, ale nie z wyczerpania. Okrutny upał nie doskwierał ani psom Geyra, ani jemu samemu.

Czarnoskóry porucznik nagroził zwierzątko i przekazał Kero wiszący u obroży cylinder z wiadomością. Otworzyła go i z zamierającym sercem przebiegła wzrokiem zwięzłą treść. Shallan zobaczyła coś ważnego i w poczuciu obowiązku złożyła raport. Daren bez żadnej wątpliwości dostrzeże sposobność przerwania pata, którą otwierała obserwacja Shallan. Znała sposób jego myślenia i to był jedyny możliwy ruch, tyle że tym razem nie ryzykowali pionkami na blacie „piaskowego stołu”, stawką było życie jej kobiet i mężczyzn. Ale trzeba było coś począć albo zaryzykować zmasowany atak Karsu, zanim zdążą unieszkodliwić kobietę-proroka. Nawet jeżeli oznacza to, że jej ludzie zginą.

„A jeśli przez przypadek nie zauważy tego, będę musiała zwrócić jego uwagę. Bogowie, miejcie nas w swojej opiece. . .”

Dławiło ją w gardle. Bez słowa wręczyła mu wiadomość. Jego brwi wygięły się w łuk, kiedy rozszyfrowywał kulfony prawie niepiśmiennej Shallan. A potem spojrzał jej w oczy.

— Pisze, że można zbliżyć się do chramu, idąc w górę łożyskiem strumienia.

Kero kiwnęła głową i ukradkowym chrząknięciem oczyściła gardło. „Wiedzą, za co dostaną pieniądze”.

— Jeśli wyślesz pieszych, w porę zobaczą, jak nadchodzą i wzmocnią tam swoje linie.

— Lecz jeśli wyślę konnych łuczników z płonącymi strzałami. . . zbyt szybkich, aby dowódcy proroka spostrzegli, co jest ich celem, nie będą mieli czasu na przesunięcie piechoty na miejsce. Jeśli chram zostanie zniszczony, całą armię ogarnie panika.

Kero przymknęła na chwilę oczy, aby pomyśleć. Może istnieje sposób na oszczędzenie jej ludzi.

— Próbowaliśmy tego — przypomniała mu. — Dostanie się do świątyni było jednym z naszych pierwszych pomysłów i nie zdołaliśmy jej nawet tknąć.

— Lecz nie skorzystaliśmy z konnych strzelców — odparł. — Uprzednio nie mieliśmy pozycji do oddania strzału przez łuczników; próbowaliśmy magii. Świątynia jest chroniona przed magią, ale jestem skłonny się założyć, że nie jest odporna na zwyczajne płonące strzały. Nie była odporna na pocisk balisty, który strącił kawałek dachu. Jeśli można w nią trafić, można ją i spalić.

„Najmilsi bogowie, nie ma nadziei. Albo pójdą stawić czoła niemożliwości, albo przegramy”. Poczowała ucisk w żołądku i gardło zabolęło ją z żalu na myśl o zbliżającej się rzezi. „Wolę posyłać ludzi na zwykłą bitwę, gdzie mają większe szansę dzięki taktyce szybkich uderzeń. Ale to...”

Przełknęła ślinę, zapatrzyła się w dal i próbowała myśleć o nich jak o pionkach na stole. Jeśli uderzy frontalnie, utraci połowę z tych, którzy pójdą. Dysponowała jednak siłą, która mogła się przedrzeć, wykonać robotę i wrócić.

„To samobójcza misja!” — krzyczała jej jedna połowa. „To konieczne” — odezwała się druga — zimno, logicznie.

Odetchnęła głęboko, spuściła wzrok i popatrzyła prosto w oczy Darena. Stwierdziła, że i jemu szansa ta nie bardziej przypadała do gustu niż jej. Cena tak samo niezbyt mu się podobała. Na dnie jego oczu zobaczyła ten sam ból i to ją uspokoiło.

— W porządku — powiedziała. — Daj mi czas na zorganizowanie tego, prawo do zaopatrzenia we wszystko u twojego kwatermistrza i przydziel eskortę tam i z powrotem. Resztę pozostaw nam. Geyr, do mnie.

Obróciła się na pięcie i odeszła bez dodatkowych słów. „Jak mogę wyrównać szansę? Musi istnieć sposób”. Czarnoskóry człowiek gwizdnął na swojego psa i ruszył za nią, gdy szła w dół, w stronę koni, które drzemały w słońcu, nie zważając na toczącą się dookoła bitwę.

— Sprowadź Quentena! — zawołała, kiedy dotarła do linii i odpoczywający wojownicy zerwali się na nogi.

Szukała wzrokiem śnieżnobiałych emblematów poruczników. Dostrzegła jeden; była to właśnie osoba, której potrzebowała.

— Losh — rozkazała, ani na jotę nie zwalnając kroku. — Wezwij łuczników konnych do namiotu Uzdrowiciela. Reszta — spocznij.

Jedna trzecia Piorunów Nieba schroniła się w skrawki cienia, weterani dobrze znali i stosowali maksymę, że wojownik odpoczywa, kiedy ma do tego okazję. Inni pozostawili wierzchowce pod opieką swoich przyjaciół i podążyli za Kero do namiotów Uzdrowicieli.

Quenten pojawił się w chwili, kiedy tam dotarła, wynurzył się niespodziewanie z namiotu, zdawać by się mogło, że spadł z nieba, jakby był jedną ze swoich własnych iluzji. Na ten widok na dnie mózgu zaświtał jej pomysł. Pozwoliła, aby dojrzał tam przez chwilę, zbierając dookoła siebie swoich żołnierzy i wyjaśniając misję. Strzelcy siedzieli lub stali, każdy w zgodzie z własną naturą, lecz wszystkich łączyło jedno: całkowite skupienie uwagi i zupełna cisza.

Kero nakreśliła na ziemi schematyczną mapę i wyłożyła plan. Nie mogła się oprzeć spostrzeżeniu, jak przerażająco młode były twarze zebranych. Wszyscy co do jednego byli weteranami — tak, nie było wątpliwości — lecz żaden nie przekroczył dwudziestu pięciu lat. Większość miała mniej niż dwadzieścia. „Dostatecznie młodzi, aby wierzyć we własną nieśmiertelność i odporność na ciosy.

Zbyt młodzi, aby naprawdę zrozumieć, co oznacza marna szansa, i aby się tym nadmiernie przejmować. Każdy z nich uważa, że potrafi oszukać los i zły omen bez względu na to, jak jest niekorzystny”. Poczuli się obrzydliwie, popełniała wobec nich zdradę.

Kiedy skończyła wyjaśniać, świtający jej w głowie pomysł nabrał konkretnych kształtów i zwróciła się do Quentena:

— Jesteś tutaj, ponieważ chcę, abys uczynił coś, by trudniej w nich było trafić, by stali się mniej widoczni. I tak będą ruchomym celem, ale chcę, aby trudno było na nich patrzeć. Chcę, by wróg nie miał w kogo celować.

Podrapał się po łuszczącym się nosie, zamyślony; jak większość rudowłosych ulegał oparzeniom na najmniejszy przebłysk słońca. To prawdopodobnie dlatego był w namiocie Uzdrowicieli, albo mądrze unikając ran, albo poddając się opatrunkowi.

— Nie mogę spowodować, aby strzały odbijały się od nich, kapitanie — odrzekł niespokojnie. — Myślę, że wiem, co masz na myśli, ale nie jestem tak dobry jak twoja babka. Nie jestem tak potężny, aby rzucić zaklęcie, pod wpływem którego wydawałoby się, że jest ich mniej tam, gdzie byliby naprawdę. I — to pewne jak piekło — nie mogę uczynić ich niewidocznymi.

— Nie to miałam na myśli — odparła, zniecierpliwiona, że nie potrafi jasno sprecyzować swoich myśli. — Jesteś diablo zręczny w iluzji. Tam jest dzisiaj mnóstwo słońca! Na ognie piekielne, popatrz, jak odbija się od dachu tego chramu! Mroczki zaczynają latać przed oczami, gdy się patrzy w tym kierunku. Jeśli zdobędę dla każdego prawdziwie wypolerowaną zbroję, czy możesz uczynić coś, aby wydawała się jeszcze jaśniejsza?

Quenten rozpozgodził się natychmiast.

— Teraz to mogę zrobić! — wykrzyknął z zapałem. — Mogę podwoić odbite od nich światło, a może nawet potroić.

— Dzielny człowiek. — Klepnęła go lekko w plecy, a on uśmiechnął się jak chłopiec. — Zajmij się tym, ja zobaczę, co można uczynić w sprawie zbroi.

W końcu wyprosiła z zapasów Darena lśniące napierśniki i hełmy dla wszystkich swoich łuczników. Gejr wpadł na pomysł umieszczenia luster na każdej uździenicy. Quenten w przeciągu krótkiego czasu, jaki mu wyznaczyła, dokonał prawdziwego cudu — nie tylko wykoncypował zaklęcie, nie mając niczego poza urokiem skupiającym światło, używanym przez magów pracujących w słabo oświetlonych miejscach, ale rzucił je tak, że Pioruny Nieba były uodpornione na jego efekt.

— To wszystko, co potrafię zdziałać — stwierdził na koniec.

Kero sprawdziła rezultat na kilku żołnierzach Darena; skrzywili się, zmrużyli oczy i zostali zmuszeni do odwrócenia wzroku. Kiwnęła głową; nie zapewniało to całkowitego bezpieczeństwa, ale mogło przechylić szalę nieco bardziej na ich korzyść.

„Teraz muszą się jedynie martwić strzałami wypuszczonymi do nich na ślepo. I mieć nadzieję, że żadnemu z oficerów proroka nie wpadnie do głowy genialny pomysł oddania salwy”.

— Quenten, prześcignąłeś siebie samego — powiedziała szczerze, pełna wdzięczności, wycierając szyję chustą. — Udało ci się stworzyć nowe zaklęcie w czasie krótszym od jednej marki na świecy. Myślę, że mój wuj osobiście by ci zasalutował.

Quenten zaczerwienił się. I nie było to tylko wynikiem słonecznych oparzeń. Kero zwróciła się w stronę jednego z magów — juniorów: poważnej, bezbarwnej dziewczyny, której imienia nigdy nie umiała zapamiętać.

„Jana. No właśnie”.

— Jana, czy droga do chramu w dalszym ciągu jest wolna?

Oczy Jany przybrały nieostry wyraz, jak wtedy, kiedy korzystała ze swej mocy widzenia na odległość.

— Tak — powiedziała głosem tak matowym i bezbarwnym, jak i ona cała. — I będzie tak dalej.

Kero spojrzała ponad głową Jany na pozostałych łuczników.

— Plan jest bardzo prosty. Ci z zapalającymi strzałami jadą w środku. Pozostali próbują ocalić życie ich i własne. Wjeżdżacie i zaraz wyjeżdżacie. Nie bierzemy w tym udziału dla sławy ani z zemsty, a więc nie podejmujcie głupiego ryzyka. Zrozumiano?

Wojownicy coś odmruknęli, pokiwali głowami albo też w inny sposób okazali swoją aprobatę. „Rzykanci przynajmniej zostali odsiani wcześniej” — pomyślała, obserwując z kamienną twarzą, jak dosiadają koni i czując ból w sercu. „Jeśli będą chcieli się z tego wydostać, może się im to udać”.

Zasalutowała im, kiedy zawrócili swoje wierzchowce i poderwali je do galopu. Losh prowadził ich pozornie w kierunku środka lewego skrzydła. Dopiero w ostatniej chwili mieli skręcić i runąć w górę potoku. Lecz wtedy znajdują się poza jej polem widzenia i nie będzie musiała patrzeć, jak padają i giną. . .

„Robiliby to również, gdybym nie była kapitanem” — tłumaczyła sobie po raz setny. „To jest to, co potrafią robić; sami dokonali wyboru. I gdybym nie przewodziła im ja, ktoś inny by to robił. Ktoś, kto mniej by się o nich troszczył, może o mniejszej wyobraźni. . .”

I jak zawsze, kiedy oczekiwała powrotu tych, co przeżyją, słowa wcale nie napełniły ją otuchą.

Osiemnasty

Daren wysłał ostatni swój oddział i oparł się ciężko na składanym stole w swoim namiocie, bardzo zadowolony, że zabrał ze sobą adiutanta, który znał sztukę masażu. W tej chwili był rozdarty pomiędzy uczuciem uniesienia a poczuciem winy i głębokiej straty.

Po wkroczeniu do akcji konnych łuczników chram ogarnął wspaniały rumieniec płomieni — dokładnie tak, jak to sobie z Kero zaplanowali. I tak jak on i Kero dobrze o tym wiedzieli, szeregi wojowników proroka rozpierzchły się w panice. Nie przewidzieli jedynie, że będzie to całkowity pogrom. Ale teraz, myśląc o tym, doszedł do wniosku, że jedynie taki przebieg wypadków miał sens — Vkandis był bogiem słońca, zatem i ognia — i kiedy jego własny chram strawiły płomienie, wyznawcom proroka musiało się wydawać, że to bóg we własnej osobie zwrócił się przeciw nim; tak łatwo przyszło ich pokonać, iż mogłaby się tym zająć armia nowicjuszy. Najcięższe rany odnieśli ludzie, którzy znaleźli się pomiędzy uciekającymi Karsytami i wschodnią granicą.

Doszło do niego, że wojownicy Kero stracili około dwudziestu procent stanu, co było znakomitym osiągnięciem, zważywszy, jak ryzykowne to było przedsięwzięcie.

„Znakomicie, tyle że to, o czym mówimy, to nie są zwykłe liczby ani pionki używane do zabawy w strategię. Za tymi liczbami stali ludzie. Ludzie Kero. Wojownicy, których przyjęła i z którymi ćwiczyła, którym obiecała, że ich mądrze poprowadzi”. Daren wpatrywał się w dokumenty na swoim biurku nie widzącymi oczami. Wiedział, co ona musiała czuć. Odkąd był Lordem Wojny, nie było to dla niego takie ciężkie, gdyż nie był w stanie znać każdego żołnierza swoich sił zbrojnych, tak jak Kero znała swoich; lecz z czasów, kiedy jego podkomendni nie byli tak liczni, bardzo dobrze pamiętał, jakie to uczucie utracić nawet jednego człowieka.

Wstał raptownie. „Pójdę się z nią zobaczyć. Ulżyło mi, kiedy zrzuciłem ciężar z serca przed lordem Vaulem. Może ja będę mógł zrobić to samo dla niej. I tak powinienem dowiedzieć się, czy byłaby skłonna przybyć na rozmowę z moim bratem. Przy okazji mogę zanieść jej łucznikom nagrodę. Bogowie niech zaświadczą — zasłużyli na nią. Moje szkatuły są dostatecznie pełne, mogę sobie na to pozwo-

lić”.

— Binn! — zawołał, nie krzycząc, ale dostatecznie głośno, aby jego ordynans usłyszał.

Posiwiaty weteran tuzina pomniejszych wojen wysunął się z cienia z tyłu namiotu, wychodząc spoza parawanu, który oddzielał jego miejsce do spania. Zasalutował dziarsko.

— Panie — powiedział, czekając na rozkazy.

Usłyszał je bez zwłoki.

— Osiodłaj konia i wyślij — hmm — po dwie sztuki złota na głowę dla konnych łuczników kapitana Kerowyn.

Ordynans skinął głową i jeszcze raz zasalutował.

— Panie, fundusze ogólne czy z prywatnej szkatuły?

— Z prywatnej, Binn. To jest sprawa pomiędzy mną a Kerowyn. Jeśli mój brat zadecyduje o dodatkowej nagrodzie, to będzie decyzja Korony.

— Panie, proszę Lorda Wojny o wybaczenie, ale... oni zasługują na to. Nie widuje się najemników tak zuchwałych.

Twarcz mężczyzny pozostała bez wyrazu, ale Darenowi wydawało się, że dostrzegł błysk podziwu w jego oczach. Już samo to było niespodziewane. Binn rzadko pozwalał sobie na chwalenie kogokolwiek, a najemników nigdy, o ile sobie Daren przypominał.

— Przeprosiny nie są potrzebne. Tak się składa, że zgadzam się z tobą.

Rozprostował swoje dokumenty i zamknął je na klucz w biurku, a ordynans zważym krokiem oddalił się, aby wypełnić jego rozkazy.

Daren dosiadł rumaka i odjechał, kiedy wzdłuż rzędów namiotów rozpalono pierwsze pochodnie. Swoją szkarłatną szatę pozostawił w namiocie, a więc nie miał na sobie nic, czym odróżniałby się od zwykłego oficera na koniu i jego ludzie nie zwracali na niego szczególnej uwagi, zajęci własnymi sprawami.

Ciała zabitych zebrano i spalono; ranni zostali opatrzeni i będą żyć lub umrzeć. Ci, którzy ocaleli, gromadzili się, aby się radować lub pogrążyć w żałobie. Przeważnie, by się radować; nawet żałobników można było nakłonić do zapomnienia o stracie na godzinę lub dwie przy mocnym winie, które kazał rozdzielić. Rano bóle głowy dadzą się we znaki tym, którzy będą na tyle nieroztropni, aby pofolgować sobie zanadto, ale nie było w tym nic złego. Odwróci to ich uwagę od doskwierających ran, potłuczeń i bolących serc.

Przekroczył niewidzialną linię pomiędzy obozami armii i najemników i jak zwykle był pod wrażeniem dyscypliny i porządku. Ludzie Kero mimo zwycięstwa rozstawili strażę i zanim dotarł do właściwego obozu, obwołano go trzykrotnie. Pioruny Nieba używały latarni zamiast pochodni. Nowość tę zauważył i zapamiętał jako godną naśladowania. Pochodnie były bezużyteczne w ulewie — latarnie mogły być użyte bez względu na pogodę. Latarni, raz ustawionych, nie trzeba

było doglądać, tak jak pochodni. To właśnie takie szczegóły odróżniały Pioruny Nieba od zwykłej kompanii najemników.

Kiedy dotarł do rzeczywistych granic obozu, wieści o jego przyjeździe i o tym, kim jest, wyprzedziły go w tajemniczy, znany jedynie żołnierzom sposób. Ponieważ nie był w mundurze, witano go jedynie jako „milorda Darena”, lecz z ukradkowych spojrzeń, którymi obrzucano wypchane sakwy, wynikało, iż doskonale wiadano o jego zamiarze wręczenia nagrody oraz o tym, komu się ta nagroda należy.

Zapytał o Kerowyn i skierowano go do namiotu komendanta. Wszędzie dookoła słyhać było odgłosy takiego samego świętowania jak w jego własnym obozie, lecz bardziej stonowane. Nie było tylu sztucznych ogni ani takiego szaleństwa, jakie pozostawił za plecami. Zsiadł z konia obok namiotu Kero i podał wodze jednemu z dwóch wartowników, zabierając sakwy do środka. Kiedy odchylił zasłonę namiotu i zajrzał do wnętrza, zobaczył Kero pochyloną nad składanym stołem, identycznym jak jego własny, czytającą listę. Kaganek obok niej wydawał się nadzwyczajnie dymić i kłujący odór zakręcił mu w nosie. Kichnął. Podniosła wzrok, uśmiechnęła się blado i skinęła w stronę zydlu obok stołu, po czym wróciła do swego zajęcia. Miała przekrwione, podkrążone oczy i ostro zarysowane kości policzkowe.

„Najmilsi bogowie, wygląda okropnie! Gorzej, niż się tego spodziewałem”.

Zanim usiadł, miał okazję dobrze się przyjrzeć temu spisowi nazwisk. Zorientował się, że jest to zestawienie poległych. On zawsze wykonywał to zadanie na końcu i nie sądził, aby Kero czymś się w tej kwestii od niego różniła.

Obok każdego nazwiska wpisywała coś drobnymi literami; przeważnie wyglądało to na inne nazwisko, co podsunęło mu myśl, że prawdopodobnie notowała, kto dziedziczył po poległym wojowniku. Bardzo nieliczne z tych nazwisk oznaczyła małym symbolem. . .

„To muszą być ci, którzy mają krewnych i do których będzie musiała napisać listy”. Wyciągnął odrobinę szyję, bezwstydnie zaciekawiony. To zadanie było przez niego najbardziej znienawidzone, ponieważ sam musiał jeszcze napisać listy do rodzin swoich oficerów, od porucznika wzwyż.

„Wydaje się, że jest ich niewiele.” — Skrzywił się nieznacznie. „Najmilsi bogowie! Jakież smutny musi być ich żywot, skoro tak wielu z nich żyje i umiera, nie mając nikogo, kto by po nich zapłakał, za wyjątkiem ich towarzyszy. . .”

Kero westchnęła i sięgnęła po kawałek płótna, aby przeczyścić pióro.

— No cóż, zrobione — powiedziała, odrzucając na ramiona swoje długie, jasne włosy. — Wszystko za wyjątkiem listów. Niech to licha! — Przez chwilę milczała, żując w roztargnieniu koniuszek pióra i Daren nie mógł nie zauważyć, że miała paznokcie obgryzione aż do cna. — Przynajmniej większość moich ludzi nie ma nikogo poza kompanią i całe szczęście, u licha.

Daren był tak zaskoczony jej opinią, diametralnie różną od jego własnej, że

nie umiał się oprzeć i wypowiedział pierwsze słowa, jakie przysły mu do głowy.

— Szczęście?! — wykrzyknął. — Powiadasz, że to szczęście? Na ognie demonów, Kero, jakże możesz mówić coś takiego!

Ugryzł się w język i czekał na jej gniewną ripostę. Gdy się nie odezwała, a tylko uniosła do góry brwi z niewysłowioną ironią, był tym równie zdumiony, jak jej dopiero co wypowiedzianym bez ogródek stwierdzeniem. „Zmieniła się” — pomyślał oszołomiony. „Naprawdę zaszła w niej głęboka, trudna do zauważenia zmiana. . . To niedobrze. Teraz przejmuje się wszystkim jeszcze bardziej”.

Lecz wydawało się, że problem sięga głębiej, że jest to coś bardziej osobistego.

— Jeśli ma się zamiar zarabiać na życie, sprzedając swój miecz — odezwała się oschle, celując w niego piórem, jak to zwykł był czynić jeden z jego mentorów — całkiem niedorzeczny jest pomysł zakładania rodziny, która nie rozumie albo nie zrozumie, że w zasadzie uprawia się hazard, w którym życie jest stawką zakładu.

— Ale. . . — usiłował protestować.

— Żadnych „ale”, mój przyjacielu. Moi ludzie, kiedy przeżyją cały sezon, wiedzą dokładnie, w co się pakują. Mówiąc prawdę, żal mi twoich ludzi. Ty masz parobków i kupieckich synów, drobnych szlachciców i rekrutów zmiecionych z ulicy, wszystkich obarczonych rodzinami, dziećmi, przyjaciółmi, kochankami. A kiedy oni stają się po prostu kolejnym celem, jak wyjaśniasz to tym ludziom, że ich cenne, nieśmiertelne dziecko wpadło w objęcia Kochanka z Krainy Cieni, hmm?

Zwiesił głowę, niezdolny do odpowiedzi, ponieważ nigdy nie umiał siebie samego przekonać. „Wojna jest marnotrawstwem. Moim zadaniem jest pilnować, aby była marnotrawstwem najmniejszym z możliwych”.

— Moi ludzie i ich rodziny wiedzą, co ich czeka — rzekła głosem matowym ze znużenia — I jeśli tak się zdarzy, że natkną się na kogoś, kto będzie ich nakłaniał, aby ponownie narażali życie wyłącznie za gotówkę, skłonni będą wycofywać się z tego, zanim to się stanie. Twoi ludzie nie mogą sobie pozwolić na ten luksus. Muszą tkwić na stanowiskach, dopóki ty ich nie zwolnisz albo. . . poniosą śmierć!

Wiercił się na swoim zydlu; jej słowa nazbyt bliskie były prawdy.

„Zaufaj Kero, że nie będzie w tej sprawie zbyt uprzejma. I może ma rację. Być może na wojnę powinni się wybierać jedynie ci, którzy chcą bić się za pieniądze. Nie wiem. Teraz cieszę się, że mamy to już za sobą”.

Upuścił sakwę na stół i Kero uśmiechnęła się domyślnie na odgłos brzęknięcia.

— Rozdam to jutro rano i mam nadzieję, że przyjmiesz moje podziękowania w ich imieniu. Tego rodzaju nagroda wiele dla nas znaczy.

Kiwnął głową, skrępowany wyceną tej zuchwałej odwagi, jaką okazano podczas ostatniej szarży, na dwie sztuki złota na głowę łucznika. „Lecz to jest ich zawód, nieprawdaż? Robotnik wart wynagrodzenia”.

— Dokąd się teraz wybierasz? — zapytał. — Uporaliśmy się z tym znacznie szybciej, niż myślałem; zaledwie minęła noc świętojańska. Masz na oku jakiś inny kontrakt?

Potrząsnęła głową, co nieco go zaskoczyło.

— Udajemy się wprost na zimowe kwatery — powiedziała.

— Pamiętasz, wynajęłeś nas przed równonocą wiosenną, bo kobieta-prorok ukradkiem zdobyła nad tobą przewagę w zimie; jak dla nas — to mnóstwo czasu. W tym sezonie nie musimy rozglądać się za innym zajęciem, a odkąd zostałam kapitanem, nigdy nie podjęliśmy się pracy w zimie. Wcześniejsze zakończenie sezonu da nam mnóstwo czasu na szkolenie rekrutów, musztrę nowych koni, leczenie ran. . . — Zauważyła jego zaskoczenie i zaśmiała się. — Tarma nigdy cię tego wszystkiego nie uczyła, prawda? Zimowe kwatery umacniają dobrą kompanię. Kiedy mamy gdzie przezimować, zyskujemy szansę na naukę, nie narażając nikogo na śmierć, a wszyscy nasi ranni mają szansę powrotu do zdrowia. Jest i druga strona medalu: zimowa kwatera stanowi miejsce, gdzie stajemy się. . . no cóż. . . swego rodzaju rodziną, jeśli nie zabrzmi to w twoich uszach jak coś niemożliwego. A skoro Pioruny Nieba nie muszą już więcej podejmować się dodatkowych prac, niech mnie diabli, jeśli pozbawię ich okazji do wypoczynku.

Osadziła go ostrym spojrzeniem, które powiedziało mu, że gdyby rozważał propozycję wynajęcia ich na zimę, lepiej będzie, jeśli zmieni zamiary. Ale że nie takie były jego zamysły, uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, na co jej twarz złagodniała i odprężyła się.

— Czy z jakiegoś powodu nie mogłabyś opuścić ich na miesiąc albo dwa? — zapytał niewinnie.

— No cóż, nie — odrzekła, wyraźnie zastanawiając się, dlaczego miałby zadawać to pytanie. Czekwała na jego reakcję, lecz on tylko uśmiechał się do niej, dopóki nie odezwała się zniecierpliwiona: — W porządku! Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Dlatego, że mój brat pragnie się z tobą spotkać, a to wydaje się dobrą okazją. — Uśmiechnął się szeroko, dostrzegłszy jej zakłopotanie, i ciągnął dalej: — Tarma wiele z nami ćwiczyła, pamiętasz? Ale mnie uczyła nieco inaczej niż ciebie. Wiedziała, że będziesz mieczem do wynajęcia, a więc przekazała ci to, czego nigdy nie powiedziała mnie. Mój brat chce wynająć twój mózg.

— Po co? — zapytała podejrzliwie.

— Po pierwsze, chce się dowiedzieć wszystkiego o działających zaprzysiężonych kompaniach, po drugie, rzeczy, których Gildia nam nie powie, na przykład: kto z kim nie może pracować, jakie są słabości każdego kapitana. Jesteś najlepsza, Kero. Wszyscy to mówią. Chcemy wiedzieć dlaczego. Chcemy wiedzieć, czy nie moglibyśmy się czegoś od ciebie nauczyć. Wiemy, że będziesz wobec nas uczciwa i hojnie wynagrodzimy twój czas.

— Łapówek nie przyjmuję — odparła szorstko. — Nie zmusicie mnie do wy-

jawienia sekretów Gildii.

— Nie zależy nam na poznaniu tajemnic Gildii i nie jest to łapówka — zapewnił ją Daren. — A jedynie nagroda za informację. Wolna ręka w królewskiej zbrojowni, wybór należy tylko do ciebie. Możesz zabrać wszystko, co tylko zdołasz wywieźć na trzech wozach. W zapasie mamy mnóstwo przyzwoitych uprzęży, ponieważ nie dysponujemy zbyt licznymi oddziałami jazdy. Prócz tego chciałbym dowiedzieć się, co działo się z tobą przez ostatnie piętnaście lat.

Zaczęła coś mówić, zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem i zawahała się.

— Daren — powiedziała wolno, z odrobiną smutku. — Mam nadzieję, że nie jest to próba ożywienia starego romansu. On umarł, chłopcze, i nie ma takiego maga, który swym zaklęciem mógłby go wskrzesić.

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, która nieodparcie nasuwała mu na myśl kogoś siedzącego jak na szpilkach, a potem wybuchnął szczerym śmiechem.

— Romans? — chichotał, nie mogąc złapać tchu. — Romans? Z Ognistą Klaczą we własnej osobie? Z kobietą, która za najbardziej uwodzicielski przydziełek uważa połyskujący pancerz? Z kapitanem, na którego moi ludzie najpierw patrzą, zanim nabiorą zaufania do mojej strategii?

Kero zeszywniała, a następnie, kiedy nie przestawał wyć ze śmiechu, sama się rozweseliła.

— W takim razie. . .

— Kero, jesteś piękną kobietą, lecz, na wszystkich bogów, ani mi się śni dzielić łożę z tobą i tym. — Wskazał palcem jej miecz ułożony na pryczy, z rękojeścią spoczywającą na poduszce, jakby był istotą ludzką.

Spoglądała przez chwilę osłupiała, po czym także zaczęła się śmiać. Po chwili obojgu łązy śmiechu spłynęły po policzkach.

Daren opanował się na tyle, aby obtrzeć oczy i postawić przed nią na stole kielich cienkiego wina, żeby mogła napić się i odzyskać panowanie nad sobą.

— O bogini! Kero, nigdy nie sądziłem, że uważasz mnie za takiego romantyka! — jeszcze raz zachichotał i ukradł łyk wina z jej kielicha. — Nie, obiecuję. Lubię cię, ale jesteś ostatnią kobietą, z którą chciałbym się związać. U licha, jesteś nazbyt. . . skandaliczna.

Kero pociągnęła kolejny łyk wina i zrobiła w jego stronę grymas.

— Ostrzegłam cię wiele lat temu. Nauczyłam się coś niecoś od tamtego czasu. Przez parę miesięcy mogę być wielką panią, jeśli. . .

— Och nie. — Wpadł jej w słowo. — Chcę, abyś była sobą. Im będziesz dziksza, tym lepiej. Mój brat cię oczekuje. Chce, abyś odrobinę wstrząsnęła dworem. Powiada, że to im się przyda.

Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się ze szczerego serca.

— W porządku, w takim razie trzymam cię za słowo. Przybędę przed końcem lata, jak tylko załatwię wszystkie sprawy i będę mogła wyjechać. Prawdę powiedziawszy, to może się całkiem dobrze udać: kuzyni przyprowadzają konie

każdego lata i zawsze za nimi tęsknię. Tym razem nie będę. Bałam się, że kiedy tej jesieni przyprowadzą drugą część stada, moi ludzie ciągle jeszcze będą w polu.

— Doskonale — odrzekł uszczęśliwiony. — Tylko wyślij wiadomość, abyśmy mogli zgotować właściwe powitanie. — Stłumiła ziewnięcie, lecz zdążył je zauważyć. — Jesteś zmęczona — powiedział, podnosząc się z zydlu. — Pozwolę ci złapać trochę snu.

— Chciałabym przyjąć cię uprzejmie, ale jestem zbyt wyczerpana — przyznała, kiedy odchyłał zasłone namiotu. — I... dziękuję za wszystko.

— Proszę uprzejmie, kapitanie — rzekł, zawahawszy się jeszcze na moment.

Wciąż wyglądało na to, że coś ją dręczyło. Nie sądził, aby to było związane z minioną bitwą.

— Kero — powiedział, stojąc w otwartym wejściu do namiotu — Ja... ja nie wiem, jak delikatnie zapytać, a więc spytam wprost. Czy dzieje się z tobą coś złego? Czy mogę w czymś pomóc? Czy to sprawa osobista?

Przez chwilę patrzyła na niego ściemniałymi nagle oczami, jakby pragnęła coś powiedzieć. Lecz nagle grupka jej żołnierzy przeszła obok namiotu, rozmawiając nieco zbyt podniesionymi głosami, jak ludzie, którzy wypili dostatecznie dużo, aby wierzyć, że są całkowicie trzeźwi. Podskoczyła i odezwała się z fałszywą wesołością.

— Uleczy mnie kilka dni wypoczynku i kilka nocy zdrowego snu — powiedziała i machnęła ręką na pożegnanie. — Dziękuję za troskę. Chciałabym, aby wszystkich moich pracodawców tak bardzo obchodziło moje dobro.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się i puścił klapę namiotu. Dosiadł konia, którego wciąż trzymał na uwięzi cierpliwy wartownik, i skierował pysk rumaka w stronę własnego obozu.

„To zabawne. Różnimy się w tylu drobiazgach, w których zwykle się zgadzaliśmy. Ale o rzeczach istotnych, co do których nie zgadzaliśmy się poprzednio, teraz myślimy dokładnie tak samo: odpowiedzialność, troska o ludzi, staranie, aby byli przyzwoicie traktowani, wierność osobistemu kodeksowi honoru. To zdumiewające. Bardziej jesteśmy do siebie podobni niż kiedykolwiek. I podejrzewam, że domyśliła się tego, nim stopniała jedna marka na świecy od chwili naszego spotkania”.

W obozie Piorunów Nieba zapanował spokój. Słyszał łagodne śpiewy przy jednym z ognisk i pomruk rozmowy gdzieś niedaleko, lecz nic nie przypominało gwałtownego świętowania, które wciąż odbywało się przed nim.

„Ona naprawdę zmieniła się pod wieloma względami. Zdaje się, że jej zupełna samotność czyni ją pogodną, spokojną, nawet szczęśliwą. Nawet jeśli wymaga od siebie zbyt wiele, próbując być wszystkim i wszędzie naraz. A ja wciąż czuję, że gdzieś jest ktoś, kto może być moim uzupełnieniem, partnerką. I tego właśnie pragnę. Nie chcę wielkiej damy, nie chcę nikogo na pokaz. Chcę kobiety, która byłaby dla mnie oparciem, kiedy będę potrzebował oparcia, która walczyłaby

u mojego boku, która mogłaby przytrzeć mi nosa, kiedy tego by mi było trzeba i która chciałaby, abym był dla niej tym samym: prawdziwym partnerem”.

Salutując wartownikowi stojącemu u wejścia na teren jego własnego obozu, pozwolił, aby jego wierzchowiec klusował zgodnie z własną zachcianką. „Jednakże nie mam pojęcia, gdzie na tej ziemi kogoś takiego znajdę. Tutaj byłby potrzebny cud...” Raptem rozweselił się. „Ale wiem przynajmniej jedno. Kimkolwiek ona jest, jeśli ktoś taki istnieje, to Kero nią nie jest!”

Słoneczne światło, tak okrutnie prażące na polu bitwy, teraz zalewało Bolthaven jak złocisty balsam. Kero stanęła w otwartym oknie swojej kancelarii i uśmiechnęła się. Pięć lat temu, kiedy to rozkazała wybudować nową wartownię na baraku koszar, włączyła do planu kancelarię i pomieszczenia dla siebie. Stara kancelaria, z której korzystał Lerryn, mieściła się w tym samym budynku co magazyn — niezłe to było miejsce, tyle że trzeba było dotrzeć tu również w zimowe poranki, kiedy nikt przy zdrowych zmysłach nie wychodził na zewnątrz. Obecna kancelaria miała trzy podstawowe zalety: była wygodna, znajdowała się niedaleko baraków, a z platformy roztaczał się piękny widok. Każdego dnia w czasie przyzwoitej pogody Kero otwierała okiennice wszystkich czterech okien na oścież i podziwiała niczym nie zasłoniętą panoramę jej niewielkiej dziedzi.

Za bramą wjazdową miasteczko Bolthaven rozłożyło się w słońcu jak dorodny, rozleniwiony kocur, wylegający się na wierzchołku ukoronowanego fortecą płaskowyżu. Powyżej miasta rozciągały się na wschód pola uprawnej ziemi, splecione ogrodzonymi pastwiskami, zaś akry łąk, oznaczone białymi łatami pasących się owiec, odchodziły na zachód. Tutaj, na południowo-zachodniej granicy Rethwellanu, tak blisko Wzgórz Pelagiru, nie osiedlał się żaden rolnik, nie mając w pobliżu ochrony.

Samo miasteczko nie miało dziesięciu lat, a ona nigdy nie przewidziała jego narodzin i rozwoju, powróciwszy na zimowe kwatery jako nowy kapitan Piorunów Nieba. Obok okupu jeszcze jedna rzecz przyczyniła się do ocalenia Piorunów Nieba w pierwszym roku jej dowództwa — krewni. I to nie jej brat, lecz kuzyni Shin'a'in, którzy w tajemniczy sposób usłyszeli o tym, że jest w potrzebie. Na jesieni przywieśli poprzez Puszczę Pelagiru do zimowej kwatery stado koni na sprzedaż, rozbili obóz u bram i oświadczyli, że ogłosili na świecie, iż to ona urządza końskie targi Shin'a'in, i że — innymi słowy — uczynili z niej swojego agenta.

Przyglądali się z boku, pozwalając jej targować się za nich. Kiedy kurzawa opadła i ostatni nabytek został odprowadzony, stwierdziła, iż posiada dostateczną ilość monet, aby wystawić kompanię w pełnym rynsztunku i sile. Suma równała się połowie różnicy między tym, co jej kuzyni otrzymaliby na ich zwykłym jarmarku w Kata'shin'a'in, a tym, co ona utargowała tak daleko na północy. Wtedy,

jakby nie dość było tego, przywieźli konie, które przeznaczyci dla jej kompanii, wierzchowce na zmianę, na które jej ludzie nie mogliby sobie pozwolić.

W następnym roku, kiedy zjawili się ponownie, mała armia kupców zapoczątkowała osadę Bolthaven. W trzecim roku było to już prawdziwe miasteczko, gdzie rolnicy sprzedawali swoje produkty do warowni, pasterze dostarczali mięso i wełnę dla nowego zastępu z gildii rzemiosł. Teraz o końskich targach w Bolthaven mówiono w całym Rethwellanie; ściągali tu nie tylko handlarze końmi i nie tylko jej kuzyni.

W piątym roku Bolthaven rozkwitło tak bardzo, że osiedliły się tutaj całe rodziny rzemieślników. To było zasługą naprawdę dobrej zaprzysiężonej kompanii — zwykli ludzie chcieli osiedlać się obok ich zimowych kwater. Miasteczka takie, jak Hawksnest, Bolthaven świadczyły, że wojsko jest solidne i spokojne nawet, kiedy bezczynne, a komendantowi można zaufać, iż utrzyma porządek i da ludziom zarobić.

Tak więc Kero uśmiechała się do miasta i do jaskrawych namiotów na jego obrzeżach przypominających przedziwnie zabarwione grzyby. Jej kuzyni przybyli o umówionej porze. Byli zaskoczeni i uradowani tak rychłym powrotem kompanii.

Ostatnie słowo na ten temat przypadło Eldanowi. . .

Zdecydowanie odsunęła od siebie zdradliwe wspomnienia, a wraz z nimi obraz jego, siedzącego na tym samym oknie w świetle księżyca, nie słońca.

„Wypoczynku. Tego potrzebuję. I odwrócenia uwagi. Kuzyni mogą się tym zająć. Gdy tylko uporają się ze wszystkim, będziemy mieli okazję porozmawiać” — pomyślała. „Wkrótce będę musiała znaleźć następczynię Hellsbane”. Tak naprawdę wierzchowiec Kero był drugą z kolei Hellsbane, której dosiadała; idąc za przykładem Tarmy, nadawała po prostu to samo imię nowemu zwierzęciu. Było to mniej mylące dla niej i dla konia. „Jest zbyt dobra, aby nie odsyłać jej do hodowli. Żrebię pierwszej Hellsbane powinno być już dla mnie gotowe. Dobrze, że poddali je treningowi; ja nie mam już czasu na szkolenie moich własnych koni”.

Myśli przywiodły ją do wschodniego okna, wychodzącego na tereny ćwiczebne i stajnie. Rzuciła okiem na bieżący zaciąg nowych rekrutów. Zdążyła w samą porę, aby dostrzec wałacha o smukłych nogach, z pokaźną domieszką krwi pony z Równin, potykającego się o beczkę w pełnym galopie. Koń zdołał się jakoś pozbierać, lecz jego jeździec z impetem wywinął salto przez lewe ramię. Kero wstrzymała oddech — nawet najlepszy jeździec może spaść z konia — lecz rekrut doskonale zapanował nad upadkiem i zerwał się na równe nogi. Wypuściła powietrze z płuc. Wałach nie znarowił się, stanął posłusznie tam, gdzie się zatrzymał. Jeździec wsparł ręce na biodrach i wymienił mu jego przodków, wśród których nie było ani jednego pony. Kero zakrzuszyła się od śmiechu, kiedy wałach stulił uszy, opuścił głowę w geście poddania i pojednania. Konie nie są, ogólnie mówiąc, najbystrzejszymi zwierzętami, lecz ten najwidoczniej domyślił się, że

dopuszczał się jakiejś niecnoty.

Rekrut zakończył swoją przemowę, kulejąc podszedł do boku konia i ponownie go dosiadł. Zawołał coś do jednego z towarzyszy, wycofując wałacha, najwyraźniej sprawdzając jego zachowanie i szukając ewentualnej kontuzji, zanim ukończy tor przeszkód. Pioruny Nieba po prostu nie przyjmowały nikogo, kto nie potrafiłby dobrze dosiąść konia; dzięki temu oszczędzano mnóstwo kłopotów, kiedy córki pasterzy i parobcy od pługa stawali u bram. Zwykle wystarczyło rzucić jedno spojrzenie na to, co wyczyniali rekruci; na ogół bledli i wracali do swoich owiec oraz pługów albo udawali się do innej kompanii, chyba że tak się składało, iż byli doskonałymi jeźdźcami.

Większość rekrutów przyprowadzała przynajmniej jednego wierzchowca, lecz zazwyczaj ich zwierzęta nie były tak dobre, jak tego wymagały Pioruny Nieba. Wałach dobiegający właśnie do końca toru był wyjątkiem. Był wytrzymały, mocny i bystry i prawdopodobnie będzie przyjęty. Wobec właścicieli zwierząt nie nadających się do służby stosowano inne rozwiązanie. Każdemu Piorunowi Nieba, bez wyjątku, wręczano konia wierzchowego Shin'a'in, wybranego specjalnie przez jej kuzynów. Ale konie Shin'a'in nie były tanie — kosztowały połowę rocznego żołą rekruta. Oznaczało to, że przez pierwsze sześć miesięcy rekrut otrzymywał połowę udziału, a po wyruszeniu w pole trzy czwarte bitewnego żołą przez pozostałe sześć miesięcy. Nawet kandydaci na rekrutów wiedzieli o tym przed zaciągnięciem się, co pozwalało odsiać tych, którym wydawało się, że w Piorunach Nieba żyje się w luksusie za łatwe pieniądze. Tego roku już czterech niedosłych wojowników obruszyło się na myśl, że nie dostawałoby pełnego żołą i odeszło w poszukiwaniu kompanii o mniejszych wymaganiach.

Kero kiwnęła głową z zadowoleniem, iż chłopiec, który został zrzucony, także miał luzaka Shin'a'in u boku. Gdy tylko jego wałach dobiegł do końca, zmienił konia i poprowadził go na kontrolę do tej części stajni, gdzie znajdował się kowal. Sądziła po wyglądzie, że chłopak mógł pochodzić z Ruvanu, co znaczyło, iż wałach mógł być skrzyżowaniem Shin'a'in i kuca z Równin. To byłaby dobra krzyżówka, znakomita do pracy przy półdzikich stadach bydła w tamtych strotach. A sposób, w jaki ten jeździec dosiadał wierzchowca, świadczyłby o tym, że jest prawdopodobnie jednym z konnych poganiaczy. To zaś znaczyło, iż wiedział, jak obchodzić się z łukiem.

„Jeśli strzela tak samo dobrze, jak jeździ, a mieczem posługuje się z taką troską, jaką otacza swoje zwierzęta, uda mu się”. Najwyraźniej nie sprzeciwił się płaceni barbarzyńskiej — jak to wydawało się nie wyszkolonym — kwoty za konia, skoro posiada się już jednego”.

Prawdę mówiąc, każdy weteran miał dwa wierzchowce i na kampanię często wyruszał, prowadząc długą kawalkadę. Weterani wiedzą, że nigdy nie jest trudno spłacić luzaka — zwłaszcza kiedy do zdobycia są dodatkowe nagrody, takie jak te wypłacone przez Darena konnym łucznikom, no i — łupy.

„Po upadku proroka zostało mnóstwo łupów” — przyszło jej na myśl. „Sporo było przyzwoitych rzeczy, należących do kobiety-proroka i jej kapłanów, a także do chramu. Poleciałam sprawdzić wszystko, o czym wiedziałam, lecz żołnierze mogli handlować z ludźmi Darena i kto wie, co dostali w zamian. Oprócz tego magia religijna nie zawsze jest taka jak świecka. Lepiej polecę wszystkim przynieść łup, zanim go przehandlują i rozkażę, aby Quenten razem z szamanem sprawdzili towary, czy nie ciąży na nich klątwa”.

Doskonałe wykształcenie, wyśmienite wierzchowce oraz przedni rynsztunek powodowały, że na Pioruny Nieba był popyt. Oddziały konnicy były kosztowne, większości regularnych armii nie zależało, aby je utrzymywać. Oznaczało to, że zawsze można było u nich znaleźć pracę — i bardzo niewielu konkurentów.

Twoblades spojrział daleko w przyszłość, a Kero była kontynuatorką jego filozofii. Mając dostęp do doskonałych koni, warto było poświęcić czas, wierzchowce i naukę, aby utrzymać pozycję Piorunów Nieba na rynku wojny. Nie wszystkim to się udało, nawet Słoneczne Jastrzębie ponownie stały się kompanią pieszych po śmierci Idry i jedynie zwiadowcy oraz inni specjaliści dosiadali koni.

Pod wpływem tych rozmyślań Kero skierowała swe kroki do północnego okna. Wyteżyła wzrok, aby ocenić liczbę koni przyprawdzonych przez jej kuzyńców tego roku. Zebrane były w tymczasowych zagrodach, po dziesięć w jednym miejscu, podzielone według wieku i płci. Uśmiechnęła się lekko; zanosilo się na bardzo zyskowne interesy. Powiedzieli jej, że udało im się namówić Liha'irden, aby uczynił Kero ich przedstawicielem, wskazując wysokie zyski i bezpieczeństwo handlowania tutaj, w Bolthaven. Tutaj, pod okiem Kero, musieli jedynie przysyłać dostateczną liczbę członków Klanu w celu bezpiecznego odprowadzenia koni na Targi. Gdyby ktoś ich oszukał na miedzi, Pioruny Nieba spadłyby jako siła wymuszająca godziwe warunki wymiany handlowej. Kero zawsze wysyłała z nimi szwadron, aby bezpiecznie dotarli z towarami i swoim zyskiem na Równiny.

Odruchowo przesunęła się do zachodniego okna — taka liczba koni wymagała mnóstwa paszy... Jednak wozy z sianem i ziarnem wtaczano bez przerwy, zgodnie z planem — nie tak jak zeszłego lata, kiedy to spóźniły się i każdy rekrut w warowni musiał kosić trawę dla zgłodniałych zwierząt.

„Nie sądzę, aby choć jeden członek Klanu lubił tradycyjne końskie targi. Obawiają się o bezpieczeństwo swoich koni po przybyciu, wciąż mają się na baczności, często padają ofiarą napaści w drodze. I nikt z nich nie zapomniał, jaki los spotkał Tale'sedrin. Przy targowaniu się są w gorszej sytuacji i nie ma tam nikogo, kto broniłby ich interesów. Za wyjątkiem, oczywiście, mnie”.

Przed wjazdem na teren jarmarku wozy z sianem zatrzymały się przy specjalnym punkcie kontrolnym obsługiwanym przez rekrutów. Każdy wóz sprawdzano niezwykle starannie, sami rekruci niemal śmiertelnie bali się tego, kto wydał im

dokładne rozkazy — Geyra.

„Palnął im wywierając wrażenie mowę: 'Jeśli przepuścicie cokolwiek, co wyrządzi krzywdę koniom albo zagrozi naszemu bezpieczeństwu, własnoręcznie was okaleczę'. I stał tam, raz za razem uderzając o rękawicę swoim nożem do wałaszenia ogierów”.

Tego roku Geyr miał dodatkowy atut przy kontroli — sforę olbrzymich mastyfów, wielkich jak pierwszy kucyk dziecka. Geyr twierdził, że ich nosy „potrafią tropić Zachodni Wiatr”. Zdobył je minionego lata w trakcie marszu powrotnego do domu. Poszukiwał takich psów od czasu, kiedy transport zatrutego ziarna zabił dwa konie podczas kampanii. Chciał uczynić z nich dodatkowych strażników obozowych i wykorzystywać je na wycieczkach zwiadowczych. Kero była odrobinę sceptyczna co do tego ostatniego. Nie mogła przede wszystkim zrozumieć, jak Geyr powstrzyma je od szczekania, lecz przyzwoliła na wypróbowanie ich jako kontrolerów wozów. Ich zmysł powonienia był w istocie taki, jak twierdził Geyr, i można je było nauczyć rozpoznawania każdej woni oraz powiadamiania o tym swojego pana. A samymi rozmiarami przerażały woźniców tak, jak Geyr przerażał rekrutów.

„Chyba zanosi się na to, że pozostałe kompanie zaczną nazywać nas kramem z psami i kucykami” — westchnęła. „Można było usunąć z widoku małych posłańców, ale nigdy nie zdołam ukryć tych potworów”.

Z drugiej strony Warrl był niezwykle użyteczny dla Słonecznych Jastrzębi. Braki inteligencji mastyfy nadrabiają wielkością, siłą i liczebnością.

„Ciekawe, gdzie je znalazł”. Wciąż podejrzewała, że pochodzą one z Puszczy Pelagiru. Geyr spędził sporo czasu w kompanii Kra'heera, kuzyna, który — tak się składało — terminował u szamana. To, czego szaman nie wiedział o Pelagirze, wiedzieli Bracia Jastrzębie. Szaman i Bracia Jastrzębie byli bardziej wylewni, niż to się ludziom wydaje.

„Przejeżdżaliśmy poprzez Ruvan, wzdłuż Puszczy Pelagiru; spotykając się w drodze z kilkoma kuzynami, po tym jak zostawiłam wiadomość u jednego z gońców. Przypominam sobie, że zniknął wraz z Kra'heerem mniej więcej w tej samej chwili, mówiąc mi, że wróci do warowni na własną rękę — nagle pojawia się, jeszcze przed pierwszym śniegiem, z suką i na pół odchowanym miotem czter-nastu szczeniąt. Taka płodność jest podejrzana sama w sobie i musi mieć związek z Pelagirem. Shin'a'in nie korzystali zbyt z psów, służyły im jedynie do zaganiań owiec i kóz, lecz Bracia Jastrzębie bardzo szybko mogliby sprokurować coś takiego, jak psy Geyra”.

Obserwowała je, jak sprawdzają wozy, po jednym z każdej strony, i nie uszło jej uwagi, że spełniały swoje obowiązki dziarsko i z efektywnością, która przywodziła na myśl jej własnych doświadczonych wojowników. Na pewno w ich oczach można było dostrzec dziwny błysk inteligencji, nie jak u karzełkowatych posłańców Geyra, których mózgi przyniosłyby wstyd ptakom, a przynajmniej tak

się zachowywały. Istniały dla nich jedynie trzy rzeczy — jedzenie, ściganie się i pieszczoty.

„Próbowałam myślmowy, lecz w odpowiedzi otrzymałam jedynie obrazy, a nie prawdziwą mowę jak w przypadku Warrla lub Rathy”.

Niech to lichu! Myśl o Towarzyszu zawsze przypominała jej o Eldanie — ostatniej nocy znowu nawiedziły ją sny. Przyłapała siebie na głaskaniu gładkiej tkaniny własnego rękawa na samą myśl o nich i zacisnęła dłoń w pięść. „Niech to lichu! Można by pomyśleć, że po dziesięciu latach mogę puścić mężczyznę w niepamięć”.

Może Kra’heera mógłby zaproponować coś, co położyłoby kres snom. Jednak musiałyby powiedzieć mu, dlaczego chce, aby się skończyły. A to może być... kłopotliwe. Kuzyni Shin’a’in odznaczali się tym samym oschłym poczuciem humoru co Tarma, lecz czasami nawet dla Kero wydawali się odrobinę dziwacznici; to, co w mniemaniu Shin’a’in było zabawne, nie zawsze pasowało do jej poczucia humoru.

To zadziwiające, jak szybko rozrastał się Klan, gdy dzieci, które postanowiły wstąpić do niego, odpowiednio dorosły. Młodzież dołączała do nich, gdy tylko byli w stanie dostarczyć im namiotów. Swoją rolę odgrywał mistyczny czar „Klanu, który nie może zginąć”. Rzeczywiście: sieroty i adoptowane dzieci garnęły się pod sztandar Tale’sedrinu, gdy tylko został ponownie rozwinięty.

„Swoją udział w tym ma, bez wątpienia, wspomniały wygląd moich kuzynów. Są tak piekielnie przystojni. Ich zielone oczy po babce i jasne włosy po dziadku muszą konkurentom Shin’a’in wydawać się tak samo niezwykle egzotyczne i fascynujące jak nam”.

Żadne z nich nie cierpiało na brak partnerów i w końcu niemal wszyscy skończyli w małżeńskim stadle. „Jak królowe pszczoł lub ogiery w haremie. Nie, nie sądzę, abym powiedziała Kra’heewi o moich snach o Eldanie. Dokuczałby mi tylko, pytając, dlaczego nie dałam mu w łeb i nie przywlokłam ze sobą jak worek z łupem. Nie mówiąc o tym, że mógłby być moim własnym dzieckiem. Nie mogę wypowiedzieć się z czegoś przed kimś, kto wygląda tak, jakby czekał, że opowiem mu bajkę. Bogowie, przy nich czuję się staro”.

Chociaż Klan Tale’sedrin był jeszcze niewielki, rozkwitał jak wszystkie z Równin, szcząc się co najmniej trzema szamanami, jednym Uzdrawicielem, a nawet Kal’enedralem... .

Ten ostatni został zaprzysiężony mieczowi z wyboru, nie w wyniku okoliczności, które zmusiły Tarmę do przyrzeczenia. Kero lubiła go najbardziej ze wszystkich. Nigdy nie odmówiła mu, gdy prosił o naukę i jego poczucie humoru było odrobinę mniej zjadliwe niż reszty kuzynów.

Możliwe, że wezwwała ich swoimi myślami. Nie hałasowali na schodach swoimi miękkimi butami, ale zanim ich zobaczyła, z klatki schodowej dobiegło ją echo głosów.

— Heyła, kuzynko!

Istren, jeden z dwóch treserów koni, który przybył tego roku i jedyny z całej trójki, z którym łączyły ją więzy krwi, wtargnął do izby, jakby brał ją szturmem. Za nim, bardziej statecznym krokiem, podążała druga treserka, Sa'dassan była w terminie u szamana Kra'heera. Istren mógł się pochwalić odziedziczoną po ojcu Shin'a'in skórą w kolorze starego złota i czarnymi włosami; wstrząsająco niebieskie oczy jego matki iskrzyły się na widok Kero.

— Kuzynko kuzyna, mówiąc dokładnie — odezwała się łagodnie Sa'dassan, dziewczyna o zielonych oczach tak spokojnych jak bezchmurne niebo. — I to zarówno kapitan kompanii, jak i osoba od ciebie starsza. Nieco więcej respektu, młodzieńcze.

Istren nie zwrócił na nią uwagi; kiedy zwykle pełen rezerwy Shin'a'in wpadnie w podniecenie, nie lada sztuką jest go uspokoić.

— Słyszałaś już, kuzynko Kero? Widziałaś? Co wiesz o tych ludziach północy, tych z Valdemaru?

Przez jedną przerażającą chwilę Kero myślała, że mówi on o snach i Eldanie, a jej język wydawał się przyklejony do podniebienia. Lecz Kra'heera rozwiązał ten dylemat za nią, prychnąwszy:

— Wydaje ci się, że ona jest magiem, tak jak nasz wuj? Niemożliwe, aby wiedziała o wszystkim — ci ludzie z Valdemaru dopiero co przybyli.

Otrząsnęła się z oszołomienia.

— Jacy ludzie z Valdemaru? — zapytała.

— Doszły nas słuchy, jedynie słuchy, o czterech ludziach z północy, przybyłych kupić wszystko, co im sprzedamy — powiedziała Sa'dassan precyzyjnie. — Chcielibyśmy, abyś rzuciła na tych ludzi okiem. Znasz ich język, możesz powiedzieć coś, co wywoła myśli, które chcielibyśmy zebrać z powierzchni ich mózgów, jak drobne rybki chwytają okruszki w strumieniu. Kra'heera zdoła osądzić ich myśli. I być może ty także, gdyż zawarłaś znajomość z jednym z nich, czyż nie tak?

— Tak — odrzekła powoli. — Człowiek, którego poznałam, jest godnym reprezentantem swego ludu, był dobrym i rzetelnym człowiekiem, który potraktowałby wasze jul'sutho'edrin jak dzieci własnego serca i domowego ogniska. Lecz to był tylko jeden człowiek.

— Właśnie — odparła Sa'dassan. — Czy pójdziesz z nami, kuzynko?

— Myślę, że lepiej będzie, gdy pójde — odpowiedziała Kero, zdejmując pas z bronią z oparcia krzesła i zapinając go. — Wiecie, wśród najemników krąży powiedzenie: „Kiedy wiatr wywiewa lud z Valdemaru, przygotuj się na niepogodę”. Nie są skłonni błędzić daleko od swych granic.

„Cokolwiek ich tutaj przywiodło, będzie dotyczyło nas wszystkich” — pomyślała z dreszczem przeczucia. „Im prędzej będziemy na to przygotowani, tym lepiej dla nas...”

Dziewiętnasty

— Kapitanie! — Jeden z rekrutów podbiegł, tupiąc głośno, i pośliznął się stając. Brakowało mu tchu, lecz to nie przeszkodziło mu dziarsko zasalutować. — Wiadomość, kapitanie! — wydyszał, a strumyczek potu spłynął mu po policzku.

„Na pewno jest pierwszorocznym; nie nauczył się jeszcze oszczędzać nóg”. Skinęła głową, a on wstrzymał dech, próbując nie sprawiać wrażenia zupełnie zmordowanego. „To na pewno żółtodziób; po roku złapałby dech przed wyrecytowaniem wiadomości”.

— Ludzie przed Bramą Północną, kapitanie. Z Valdemaru. Dokumenty oficjalne mają w porządku, tak mówi skryba. Chcą widzieć się z tobą. Shallan posłała ich do gościnnego. Powiada, że zmuszanie ich do zatrzymania się w gospodzie nie wyglądałoby na uprzejmość, nawet gdyby gospoda nie była już przepełniona.

— Dobrze. Dziękuję. Czy Shallan wciąż jest razem z nimi?

Młodzian potrząsnął głową.

— Przydzieliła im Lakerą. On nieźle zna ich mowę.

Skinęła głową. „Zawsze uważałam, że Shallan ma dużo oleju w głowie. Jeśli będą rozmawiać, Laker ich podsłucha”.

— Świetnie, powiedz Lakerowi, że wkrótce tam przyjdę. Niech przekaże to dalej i powiadomi tych ludzi. Powiedz, aby zrobił to w języku kupców. Żaden interes uświadamiać ich, że znamy obce języki. Widziałeś ich?

Potrząsnął głową. Szkoda. No cóż, w porządku.

— Biegnij przekazać tę wiadomość Lakerowi — rozkazała. — Potem idź do Bramy Północnej i powiadom Shallan, gdzie mnie może znaleźć.

Młodzieniec ponownie zasalutował, odwrócił się i pognał jak zając. Kero pozazdrościła mu jego energii, lecz nie tego, jak poczuje się po biegu w tym upale. „Dużo bym dała za to, aby dowiedzieć się, czy jest między nimi Herold, zanim się z nimi zobaczę”. Skierowała się do gościnnego budynku znajdującego się w obrębie obronnych wałów. Towarzyszyła jej bezszelestnie idąca trójka Shin'a'in.

— Czy ktokolwiek z was widział tych ludzi? — zapytała. — Potraficie powiedzieć, jak są ubrani?

— To nie są Heroldowie, kuzynko — odrzekła Sa'dassan, zaskakując ją ła-

twością użycia tego terminu we właściwym kontekście. — Ani nawet Heroldowie w przebraniu. Ktoś taki nie byłby w stanie ukryć swej natury przed Kra'heerem, nawet bez Towarzysza, który zdradziłby, kim jest. Gdyby Herold wjechał tutaj, Kra'heera wiedziałby o tym bez patrzenia zewnętrznymi oczami.

— O, naprawdę? — To była dla niej wiadomość.

Kra'heera dla przyzwoitości zarumienił się.

— To jest tylko coś, z czym się urodziłem — powiedział lekceważąco. — Nie jest to wielka cnota, ani umiejętność zdobyta nauką.

— Może to nie jest cnota, lecz nie można tego nie doceniać — odparła. — Dziękuję raz jeszcze za kolejne wyciągnięcie jajka z rękawa, kuzynko. Czy raczej rękawa Kra'heera. A więc jak oni wyglądają? Możesz powiedzieć?

Istren opowiadał, kiedy ominęli narożnik baraku i zobaczyli dom gościny.

— Słyszałem, że wszyscy mają na sobie kolory ciemnoniebieski i srebrny, są poważni jak Kal'enedral. Jest tam dwóch z mnóstwem srebra, którzy przemawiają rozkazująco, dwóch z niewielką ilością srebra, którzy rozmawiają tylko z tymi pierwszymi i czterech, którzy nie rozmawiają z nikim.

„Ciemnoniebieski i srebrny. To może być armia królewska. Co, w imię boga, robią tutaj Królewscy Strażnicy Valdemaru?”

— Z tego tylko wnosząc, powiedziałabym, że możecie bezpiecznie z nimi handlować — stwierdziła, kiedy obwarowania stłumiły jarmarczny zgiełk. — Sądzę jednak, że musimy ich sprawdzić mimo wszystko. Jeśli na północy dzieje się coś, co zmusza ich do przyjazdu tutaj, lepiej się o tym dowiedzmy.

Kra'heera skinął głową.

— Powiada się, że wojna nie respektuje granic tych, którzy ich nie strzegą, a mnie nie przychodzi nic innego do głowy, co przywiódłoby ten tajemniczy naród tutaj; nic poza wojną.

„Przyganiał kocioł garnkowi — Shin'a'in zarzucający komuś tajemniczość!” Ukryła swoje rozbawienie, kiedy zbliżyli się do drzwi, a strażnik — stojący tam zawsze, gdy w środku byli goście — zasalutował i otworzył je przed nimi.

W domu gościnnym był mała izba zebrań, tam napotkali pierwszych czterech gości siedzących przy stole. Udało im się usiąść w ten sposób, że nikt nie był zwrócony plecami do drzwi. Wszyscy czterej siedzieli w sztywny wojskowy sposób, którego nie zaniechaliby nawet po czterech dzbanach zimnego piwa.

Powoli wstali, popatrując niepewnie to na nią, to na Shin'a'in. Oczywiście było, że skoro nie miała na sobie munduru ani insygniów, które by rozpoznali, nie umieli odgadnąć, czym ani kim jest, ani jak się do niej odnosić; Shin'a'in w swych jaskrawo wyszywanych kamizelach, owiani nimbem barbarzyństwa i tajemnicą także stanowili dla nich trudny orzech do zgryzienia. Oparłszy się pokusie, ucięła ich niepewność.

— Jestem kapitan Kerowyn — odezwała się w ich języku i przyjęła spóźnione honory skinieniem głowy. — To moi kuzyni Shin'a'in. Ja jestem ich agentem od

handlu końmi. W czym mogę pomóc?

Obserwowała, jak to przetrawiają — kobieta-kapitan najemników mówiąca ich językiem, spokrewniona z rzekomo mało przyjacielskimi Shi'a'in, która także sprawuje rolę agenta handlowego tych samych mało przyjacielskich Shin'a'in, stojących na dodatek obok niej. Z nieskrywaną ciekawością pożerali ich wzrokiem. Mieli tu do czynienia przynajmniej z dwoma przeciwieństwami i trzema prawdziwymi niespodziankami.

— Przybyliśmy w imieniu królowej Selenay — odezwał się ten z nich, który miał najbogaciej wyszywany srebrem haft na rękawie, mężczyzna mniej więcej dziesięć lat starszy od pozostałych trzech. Żołnierz od stóp do głów, w każdym calu. — Potrzebujemy kawaleryjskich wierzchowców, dobrych wierzchowców. Koni, na których będziemy mogli polegać bez długiego szkolenia. Nigdy dotąd nie szukaliśmy ich aż tak daleko, ale wieść o tym jarmarku dotarła aż do Valdemaru. Wszyscy znają jakość zwierząt z hodowli Shin'a'in i wydaje się, że czas poświęcony na przyjazd tutaj opłaci się z nawiązką. Nie wierzyliśmy, iż wszystkie konie na sprzedaż są krwi Shin'a'in, lecz he... My wiemy, że jesteś bardzo rzetelna i prawa, a jarmark i zwierzęta są takie, jak o nich wieść niesie. Nasz wywiad w Gildii Najemników to potwierdził.

O mało wymknęłoby mu się „Heroldowie” lub nawet „Herold Eldan”. Szybko przetłumaczyła swoim kuzynom tę przemowę, próbując zapanować nad dreszczykiem uniesienia, który poczuła, gdy uświadomiła sobie, że Eldan przynajmniej wciąż jeszcze o niej myślał na tyle dobrze, aby określać ją mianem rzetelnej i prawej.

— Zapytaj ich, ile chcą — powiedziała Sa'dassan, zmierzając wprost do sedna.

— Wszystkie — skwapliwie odrzekł jeden z młodszych Strażników, kiedy powtórzyła pytanie. — Widzieliśmy je, wjeżdżając tutaj — wierzchowce, które brały udział w szkoleniu z waszymi ludźmi. Wspaniałe! Weźmiemy wszystkie!

Starszy mężczyzna spojrział na niego osobliwie, lecz ani nie zaprzeczył, ani nie zgnił go za ten niewczesny wybuch.

„A więc to jest ten, który dzierży rzemienie sakiewki. Starszy jest tylko nominalnie dowódcą, lecz ten jest najważniejszy. Hmm. Szlachcic, młodszy syn — jak sądzę — pozostali dwaj są prawdopodobnie hodowcami lub instruktorami sprowadzonymi jako doradcy. Doskonale, teraz wiem, kto jest kim”.

Wyjawiła swoje spostrzeżenia kuzynom, a potem zwróciła się ponownie do gości:

— Teraz zakładam mój kapelusz kupiecki — powiedziała. — Tyle że dziwny ze mnie kupiec, ponieważ nie zamierzam nakłaniać was do nabycia wszystkich czworonogów w zasięgu wzroku. Po pierwsze, tylko około połowa koni tutaj jest krwi Shin'a'in, a z tych nie wszystkie nadają się na wierzchowce kawaleryjskie. Tak, wszystkie są ujeżdżone i przeszły pewne szkolenie, które obejmowało walkę, lecz może to nie być to, czego wam trzeba. Shin'a'in łączą mocne więzi uczucio-

we z ich końmi; do tego stopnia, że nazywają je „młodszym rodzeństwem”. Jeśli pomyślą, że zamierzacie użyć chociażby jednego konia do celu, do którego się nie nadaje, nie sprzedadzą wam żadnego.

Skarbnik dwukrotnie otworzył usta i tyleż razy bez słowa je zamknął. Głównodowodzący zamrugał powiekami, jakby nie dowierzał własnym uszom.

— W każdym razie: są to lekkie zwierzęta; dobre dla harcowników, łuczników konnych i lekkiej kawalerii. A więc czy Valdemar kiedykolwiek do tej pory wystawił tego rodzaju wojsko, abyście wiedzieli, czego szukacie?

Czekała na odpowiedź. Usłyszała ją od dowódcy.

— Nie. W regularnej armii nie — przyznał. — Szlachta z pogranicza miała prywatne oddziały takie jak te, nikt inny. To dlatego przybyliśmy tutaj po wierzchołce.

Skinęła głową i przetłumaczyła. Kra'heera wtrącił swoje własne spostrzeżenia.

Obserwowałem ich umysły, kuzyni. Ten, który odzywa się poza kolejnością, jest majętnym człowiekiem wysokiego rodu, hodowcą koni do polowań i ciężkich bojowych. Ci, którzy milczą, są trenerami harcowników. Ten, który dużo mówi, jest wodzem wojennym. Jest tak, jak powiedział, i takich wojowników chcą teraz mieć. Nie wyjawiał ci powodów. Na ich wschodniej granicy będzie wojna; rychło, jak sądzi. Bardzo, bardzo poważna wojna.

Kero kiwnęła głową. Krążyły plotki o konflikcie pomiędzy Valdemarem i Hardornem, lecz skoro Kars leżał między Hardornem i każdym możliwym przeciwnikiem, a Valdemar nigdy nie zatrudniał najemników, nie zwracała uwagi na pogłoski.

„Możemy być bardziej w to zaangażowani niż tylko poprzez sprzedaż koni. Jeśli Hardorn zacznie nową wojnę i zwycięży, jego armia zatrzyma się na granicy Rethwellanu i nas to nie ominie”. Po czym jeszcze jedna myśl przysłała jej do głowy: to, że Valdemar nie zatrudniał najemników w przeszłości, nie oznacza, iż nie zacznie tego robić obecnie.

— Takich oddziałów nie można wyszkolić w ciągu jednego dnia — ostrzegła. — Do tego, czym jesteśmy, dochodziliśmy przez dziesięć lat. Większość regularnych armii nie troszczy się o to, lecz jeśli pewni jesteście waszych potrzeb. . .

Skarbnik skinął głową.

— Dobrze, jeśli ufacie mojej ocenie w kwestii, jakie zwierzęta są dla was najlepsze — zwróciła się do niego — myślę, że możemy usiąść przy stole i zacząć targi.

Skarbnik poklepał głównodowodzącego po ramieniu i przez chwilę się naradzali. W końcu dowódca kiwnął głową na znak zgody.

— Czy wam to odpowiada? — zapytała swoich kuzynów. Spojrzeli na siebie i Sa'dassan wzruszyła ramionami.

— Wolelibyśmy, aby nasze młodsze rodzeństwo nie szło na wojnę, lecz jeśli trafi w troskliwe ręce, będzie bezpieczne tak, jak tylko można być na tym świecie. Odpowiada nam to.

— W porządku, panowie — odpowiedziała, gestem ręki puszczając swoich kuzynów przodem. — Jeśli pójdziecie za mną, możemy przyspieszyć tę transakcję tak, że nawet wasze życzenia zostaną spełnione.

Sa'dassan ważyła w dłoni jedną z trzech ciężkich sakiewek, trzymając dwie pozostałe w zagięciu drugiej ręki. Uśmiechnęła się, widząc ostatnich poganiaczy koni z Valdemaru wypędzających z zagrody marudera, aby dogonił resztę stada. Kero zakrztusiła się wznieconym przez nich kurzem i zerknęła na treserkę Shin'a'in.

— No, oni z pewnością zapłacili godziwą cenę. Zadowolona, kuzynko?

— Bardziej niż zadowolona — odpowiedziała z przekonaniem Sa'dassan. — Kra'heera pilnował ich myśli. Mają dobrą władczynię. Królowa sprzedała nieco własnych prezentów ślubnych, żeby dać pieniądze tym ludziom na zakup najlepszych wierzchowców, jakie znajdują. Przede wszystkim myśli o swoim ludzie, jego ziemi i zwierzętach, nie o sobie.

— To właśnie powiedział mi El... Herold, którego poznałam — rzekła Kero, nie zdobywszy się na to, by wymówić imię Eldana. — Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałam, czy w to wierzyć czy nie. Wiesz, gdyby więcej monarchów opiekowało się swoimi ludźmi, mogłoby być mniej wojen.

— Być może. — Sa'dassan umieściła sakiewkę obok pozostałych: na przedramieniu jak niemowlę. — Być może. My nie pokładamy wiele nadziei w królach i im podobnych. Któż bowiem może zaręczyć, iż następca dobrego króla będzie tak samo dobry?

— Nikt, chyba że istnieje taki system jak w Rethwellanie, gdzie miecz wybiera króla — wzruszyła ramionami. — A i wtedy można zapodziać miecz, rzucić na niego zaklęcie albo podłożyć inny. Poza tym, gdyby było mniej wojen, straciłabym zajęcie. A więc co teraz planujesz? Za jednym zamachem sprzedałaś większość swoich zwierząt.

Sa'dassan obejrzała się na tymczasowe zagrody.

— To były trzy dobre lata — zauważyła. — Nasze klacze były bardzo płodne, wiele z nich miało po dwa źrebaki. Pierwsze młode konie pojawiają się na rynku — obawialiśmy się nadmiaru ich i spadku cen.

Kero roześmiała się, słysząc Shin'a'in — uznawanych za najokrutniejszych wojowników na świecie — mówiących jak kupcy.

— Dlatego pewnie Liha'irden wysłał swoje stado z naszym.

Kero uniosła brwi nieco wyżej.

— Co masz na myśli?

— Że zatrzymam klany idące do Jkatha na jarmark anduraski i przyślę je tutaj. To nie jest daleko stąd, jakiś tydzień jazdy, a oni wyruszają dopiero po nas.

Niektóre Klany losują, kto wyśle swoje zwierzęta za granicę, poza Kata'shin'a'in, i to było jedno z tych miejsc. Przed powrotem na Równiny mieli czekać na nas i twoją zbrojną eskortę.

Po raz ostatni Shin'a'in udali się na jarmark anduraski wtedy, gdy w drodze do domu Tale'sedrin wpadł w pułapkę, a z życiem uszła tylko Tarma. Kero odruchowo zacisnęła zęby. Strach przed nasyceniem rynku musiał być bardzo wielki, skoro wysłano konie do miejsca tak złowróbnego.

— Jak mówiłam, oni wyruszyli po nas, a Anduras nie leży tak daleko i sądzę, że zdołamy nakłonić kupujących, aby tutaj zaczekali — powiedziała chytrze Sa'dassan, zmuszając Kero do śmiechu.

— A w zamian za to nakłanianie będziecie, oczywiście, mieli udział w ich zyskach — potrząsnęła głową.

Sa'dassan rozłożyła ręce.

— Coś za coś i nagroda dla tych, którzy na nią zasługują. Takie zawsze były Klany, kuzynko. I uprzedzając sprawę pierwszych targów i koni przyprowadzonych tobie, pozwól, że nadmienię, iż jesteś z krwi Klanu i my jedynie dostarczyliśmy ci należny udział.

Kero wzruszyła ramionami.

— Nie będę się z tobą sprzeczać, jeśli tak na to patrzysz, ale posłuchaj, czy w zamian powierzysz mnie i moim ludziom swój utarg? Straciecie czas, jadąc tam i z powrotem. Najlepszych rzeczy już nie będzie w chwili waszego powrotu; jeśli zostawisz mi listę tego, co wam trzeba, a monety skrybie, sądzę, że kupimy wszystko, co chcecie po podanej przez was cenie.

Sa'dassan zastanawiała się chwilę nad propozycją, po czym skinęła głową.

— Skryba zaopatruje waszych ludzi, nie ma wątpliwości, że jest zręczny i zna kogo trzeba. Zgoda w takim razie, to rodzinna propozycja.

„Sądzę, że spotka ich przyjemna niespodzianka” — pomyślała Kero, prowadząc Sa'dassan do rachmistrza. „Oni są dobrzy, ale on jest lepszy! Nie słyszałam, aby kiedykolwiek przegrał targując się!”

Kiedy to zostało załatwione, Shin'a'in nie widzieli powodów do opieszałości; zostawili namioty, zabierając jednak swoją własność, i ruszyli na południe tak szybko i sprawnie, że Kero mogła im jedynie tego pozazdrościć. Odprowadziła ich, a potem objechała miasteczko i warownię... Stwierdziła, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Do zapadnięcia nocy sprawdziła każdy zakamarek targowiska, wszystko, co wiązało się z dostawą zapasów, i doszła do wniosku, że mogłoby jej tutaj wcale nie być.

Usiadła na łóżku, zdjęła buty i popatrzyła przez okno, a chłodny wietrzyk igrał jej włosami. W warowni panowała cisza. Rekruci i weterani pospołu zbyt zajęci byli szkoleniem i jarmarkiem, aby hulać w barakach po zachodzie słońca. Zresztą dlaczegóż by to mieli robić w domu, kiedy można było udać się do znanych spelunek w miasteczku, a nowe, jarmarczne rozrywki kusily co noc do wyjścia poza

bramy?

Za murami paliły się światła, wietrzyk niósł w stronę koszar dźwięki muzyki i gwar głosów. Zarówno miasteczko, jak i jarmark tętniły życiem do późna. Przyłapała się, że zastanawia się, gdzie na drodze są ci ludzie z Valdemaru. Śpieszyli się tak bardzo, iż nie spojrzeli nawet na jarmark.

I to zmusiło ją do myślenia; do myślenia o przyszłości. Tarma nauczyła ją rozpatrywać problemy szeroko i przewidywać możliwe konsekwencje. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś, co zdarzyło się o setki mil stąd, dotknie także i ciebie. „Gdybym była królową szukającą sposobu wzmocnienia moich sił, co bym zrobiła? Przy założeniu, że żywię to idiotyczne uprzedzenie w stosunku do najemników?”

Przez chwilę, gdy wpatrywała się w światła jarmarku i kolorowe kształty namiotów rozświetlonych od wewnątrz jak ogniste kwiaty, wydawało się jej, iż usłyszała głos Eldana, odległy i słaby.

— To nieuczciwe! — zaprotestował.

Zignorowała ten wyimaginowany głos. „Nie jesteś prawdziwy i nie ma cię tutaj. Tak czy siak, nawet nie interesujesz się mną” — pomyślała surowo, aby przegonić nieustępliwego ducha.

Wybryki przeciążonej wyobraźni nie powtórzyły się już więcej.

No cóż, według niej było to idiotyczne uprzedzenie. Kompanie najemników nierzadko wygrywały wojny. Ludzie wzbraniający się je wynajmować często je przegrywali.

„Młodzi idealiści walczą o medale i zaszczyty” — pomyślała cynicznie. „Doświadczeni i roztropni życiowo walczą dla pieniędzy. Spotyka się znacznie więcej emerytowanych najemników niż starych rolników ze szkatułą pełną medali”. Głównym celem najemnika, który odniósł sukces było: żyć długo i zebrać tyle, aby pójść na emeryturę, zwykle na własnej ziemi. Spora liczba najemników wywodziła się z wielodzietnych rodzin bez szans na własną ziemię i był to dla nich jedyny sposób jej zdobycia.

Lecz mniejsza o to. Gdyby Kero była królową, co by uczyniła?

Powołałyby do służby prywatne oddziały, o których wspominał Strażnik. Dałyby im jak najlepszy rynsztunek. Kiedy oni byłiby już na miejscu, rozpoczęłyby zaciąg ochotników i pobór obowiązkowy, gdyby tych ostatnich nie wystarczyło. Pośpiesznie poddałyby te wojska szkoleniu. I zaczęłyby ściągać długi od sprzymierzeńców.

W myśli odtworzyła mapę wszystkich terenów rozciągających się od górskich pasm na północ; od Valdemaru aż po Gorzkie Morze na południu; od Pelagiru i Równin na zachodzie po Wysokie Królestwo Brendanu; jedynymi możliwymi sprzymierzeńcami Valdemaru w tym konflikcie mogły być Iftel i Rethwellan.

„Iftel, to byłoby logiczne, ale — najmilsi bogowie — jacy oni są tam dziwni. Wojownicy Shin’a’in nie wkraczają tak często do akcji jak Władcy Wiatrów. Nie sądzę, aby Iftel wmieszał się w to, o ile nie będzie zagrożony. Pozostaje Rethwel-

lan. Kars leży pomiędzy Rethwellanem i Hardornem, lecz może da się przekonać króla Faramenthę, że Hardorn będzie w stanie zagrozić Rethwellanowi, jeśli podbije południowy Valdemar. To oznacza, że następnym logicznym krokiem królowej powinno być wysłanie posła na dwór Rethwellanu”.

W tych dniach jarmark nie budził w niej prawdziwego zainteresowania. Najwięcej przyjemności czerpała z funkcji przedstawiciela swoich kuzynów. Miała w zwyczaju pomagać w szkoleniu rekrutów, ale to było w czasach, kiedy brakowało rąk do pracy. Pojawili się inni, którzy byli lepsi, a ona wiedziała, kiedy usunąć się im z drogi. W gruncie rzeczy na zimowej kwaterze zajmowała się jedynie własnymi ćwiczeniami, studiowaniem strategii, prowadzeniem ksiąg, zaznajamianiem się ze słabymi i mocnymi stronami rekrutów, analizowaniem sytuacji politycznej — pod kątem wiosennych ofert — i wycinaniem swoich malutkich klejnocików. Z tego wszystkiego rachmistrz mógł prowadzić księgi samodzielnie, nowi rekruci nie odznaczają się niczym szczególnym przez kilka następnych miesięcy, klejnoty mogły poczekać, a całą resztą można było zająć się byle gdzie. Co więcej, w tym momencie życie w warowni sprawiało ból. Wciąż rozglądała się, szukając twarzy, których nigdy już tutaj nie będzie. Oczywiście zdarzało się to co roku i co roku mijało kilka miesięcy, nim uporała się z tym uczuciem, lecz kompania nigdy nie wracała do domu tak wcześnie. Zapragnęła wyjechać, dopóki czas nie ukoi bólu; bólu następującego zawsze po wysłaniu do akcji kogoś, kto już nigdy nie powrócił.

„Sen w obcym łożu przyniesie mi ulgę. Może moje zmory mnie tam nie znajdą”.

Jednocześnie jakaś część jej osoby tak bardzo ich pragnęła. . .

„Nie”.

Zanim zdążyła sobie to uzmysłwić, podjęła decyzję o wyjeździe. W zaistniałych okolicznościach podróż do Rethwellanu wydawała się odrobinę ważniejsza niż przed chwilą.

Lord baron Dudlyn najwidoczniej zaledwie rozpoczął swoją diatrybę. Daren wbił obcas w bok swojego wierzchowca i nakłonił tańczącego ze zdziwienia wałacha do skoku, zyskując tym samym wymówkę, że musi poświęcić uwagę zwierzęciu. Gdyby tego nie zrobił, parsknąłby śmiechem w twarz lorda barona Dudlyna. „Polowanie ledwie się rozpoczęło, a on już się skarży. Szkoda, że idziemy stępa. Gdybyż tak psy zwietrzyły coś innego oprócz królików! Gdy raz ruszymy, zostawimy go za plecami”.

Starzec usunął swego tłustego rumaka wałachowi z drogi i pogroził palcem Darenowi.

— Powiadam ci, nie wiem, do czego to na tym dworze dochodzi?! — wykrzyknął pytającym tonem. — To hańba. Powiadam ci! Twój brat jest królem tej

ziemi i nie wolno mu podejmować barbarzyńskich najemników, jakby byli równi członkom tego dworu i ambasadorom królestw! Kobieta najemnik, tak zwany kapitan, drwi sobie z nas wszystkich! Nie widziałem tak hańbiącego zachowania od czasów, kiedy ta dzika kobieta Shin'a'in zjawiała się w błogosławionych dniach twojego ojca. . .

Daren postanowił uciąć wykład, zmusił tańczącego wałacha do biegu i odjechał poza zasięg głosu lorda barona, choć trzeba przyznać, iż ten nie żałował tchu. . . Ale dech starzejących się płuc był ograniczony.

Daren uśmiechnął się i ostrogą przynaglił wałacha do dogonienia pierwszej linii myśliwskiej drużyny. Był tam jego brat. Jak na króla przystało, zostawił Darenowi dotrzymanie uprzejmego towarzystwa zdziennym starcom, bufonom i tępych jak but pyszałkom. Na jakiś czas, przynajmniej. W zależności od tego, co wystawią psy tym razem, przynajmniej połowa grupy może zostać daleko z tyłu albo zawróci z własnej woli, tak jak to zrobiła podczas porannych łowów.

„Nie bawiłem się tak od roku” — pomyślał rozweselony, a wałach dostrzegł kolegę ze stajni i dodatkowo wyteżył siły, aby go doścignąć. „Jednak to dobrze, że Kero i Faram przypadli sobie do gustu, bo inaczej lord baron nie byłby jedynym wylewającym żalę i z nielichym trudem przyszedłoby utrzymać tutaj porządek”.

Kiedy dogonił ich oboje — Kero na jej brzydkiej, siwej bojowej klaczy i Farama na czystej krwi kasztanie Shin'a'in — jeden z ogarów wypłoszył bażanta. Dwa łuki napięły się w tym samym czasie; równocześnie zabręczały dwie cięciwy, lecz kiedy pies przyniósł ptaka i myśliwy delikatnie wyjął go zwierzęciu z pyska, aby pokazać królowi, okazało się, że strzała Farama poszybowała daleko od celu i Kero po raz kolejny strzeliła celniej.

I co najmniej dwudziesty raz tego rana dworzanie byli zgorszeni. Za plecami Darena rozległ się gwar, usłyszał podnoszący się nieprzyjemnie głos lorda barona, chociaż nie mógł zrozumieć słów.

— Pokonałaś mnie ponownie, kapitanie — spokojnie powiedział Faram, podając ptaka gajowemu, aby go odłożył na przechowanie. — Nie jestem złym strzelcem, ale stwierdzam, że cieszę się z odrzucenia przez ciebie proponowanego zakładu o wynik tych zawodów. — Popatrzył do tyłu, za plecy Darena, i kąciki jego oczu zmarszczyły się od tłumionego śmiechu. — Obawiam się jednak, iż moi dworzanie nie aprobują twoich manier. Żaden poddany nie powinien strzelać celniej od króla.

Kero roześmiała się. Daren stanął obok niej i znalazła się pomiędzy nim a jego bratem.

— Wasza Wysokość — odpowiedziała — mogłabym być mieszkańcem twojego królestwa, lecz wiem, że w Rethwellanie honorujecie przywilej Gildii Najemników. Zgodnie z tym przywilejem jestem niezawisła i nie jestem niczym poddanym.

— Znakomita uwaga i wydaje się, że jesteś prawnikiem w tym samym stopniu

co żołnierzem. — Król ominął wzrokiem Kero i popatrzył na swojego brata. — Ostrzegałeś mnie Darenie, prawda?

— Ostrzegałem. Przed tym, że jest wykształcona i zręczna. Powiedziałem, że Tarma mówiła o niej, iż jest „naturalna”, kiedy uczyliśmy się wspólnie. Stwierdziłem, że nie sądzę, aby pozwoliła sobie na utratę jakiejkolwiek umiejętności tylko dlatego, iż jest kapitanem. A ty wciąż powtarzałeś, że przesadzam. — Daren wzruszył ramionami. — Czy uwierzysz mi, kiedy teraz coś ci powiem?

— Sądzę, że nie mam innego wyjścia. Przy każdej okazji wciąż słyszę od ciebie „a nie mówiłem”. — Faram ponownie zwrócił się do Kero, a jego koń potrząsnął łbem. — Chciałbym doprawdy dowiedzieć się, jakim cudem nauczyłaś się tak celnie strzelać. Oboje mieliśmy tego samego nauczyciela, lecz wydaje się, że ty nigdy nie pudłujesz. Podejrzewałbym w tym magię, gdyby nie to, że jesteś tak absolutnie niemagiczna.

Kero zagryzła wargę, jakby próbowała nie wybuchnąć śmiechem i odpowiedziała:

— Prawdę mówiąc, Wasza Wysokość, nigdy nie byłeś na pierwszej linii frontu, gdzie napełnienie żołądka zależy wyłącznie od własnej zręczności. Myślę, że przekonałbyś się wtedy, iż głód i chęć przetrwania to dwaj najokrutniejsi nauczyciele na świecie. Poznałam ich obu i wierzaj mi: to cała różnica.

— Na ogół — przyznał Faram — myślę, że wolałbym uniknąć tego rodzaju nauczek. Dla tych nauczycieli jestem za stary.

— Zbyt przywiązany jesteś do swoich wygod, bracie — zakpił Daren.

Faram zamierzał się odgryźć, lecz dokładnie w tej samej chwili rozbrzmiał ostrzegawczy kwik przodownika odyńców i całe stado zerwało się do biegu. Wierzchowiec Darena przeszedł ze stępa do galopu, a on, mijając myśliwych wzywających do powrotu psy, uśmiechnął się.

To było polowanie, które miało dostarczyć mięsa dla dworu na ucztę Sovvana dziś w nocy. Szczęśliwe polowanie Sovvana oznaczało szczęście na resztę zimy — jak powiadają starcy. Zima będzie pomyślna i łagodna. Rano ubili pół tuzina jeleni — kilka samotnych byków i łani, które, wszyscy byli w tym zgodni, najlepsze lata płodności miały już za sobą. To była dostateczna ilość sarniny i Faram odesłał ogary na jelenie i sprowadził psy na dziki. Królowa i jej dworki przemierzały lasy i łąki w pobliżu pałacu z sokołami na ptaki i zające. To znaczy większość dworek...

Rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że garść kobiet, które wybrały się razem z drużyną królewską, wciąż jechała za nimi, dotrzymując im mężnie kroku, i prześcigała już takich ludzi jak lord baron.

Rok temu nie było żadnych kobiet w królewskiej drużynie, ale od czasu przyjazdu Kero — i za jej przykładem — godna uwagi liczba dworek zamieniła swoje spódnice na spodnie i jechała ramię w ramię z mężczyznami. A przy tym niektóre z nich nie były młódkami; lady Sarnedelia, o ustalonej reputacji jeźdźca w swojej

posiadłości, przyjęła „innovację” Kero z ulgą i entuzjazmem. Jechała tuż obok najlepszych jeźdźców, potwierdzając pogłoski, a miała pod pięćdziesiątkę.

„Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wiele innych przyłączyłoby się do nas, lecz nie chciało ryzykować utraty konkurentów albo narażać się na wściekłość mężów. Córka lorda barona sprawiała wrażenie, jakby wolała być razem z nami. Jego wnuczka tu jest i założę się, że to sprowokowało tyradę o hańbie. Oczywiście wyszła bezpiecznie za mąż za Randela i może machnąć ręką na to, co myśli jej dziadek, ponieważ jej kochający małżonek uważa, że wszystko, co ona robi, jest cudowne. Gdybym mógł znaleźć panią, która odpowiadałaby mnie, tak jak ona jemu, to też bym tak przypuszczalnie uważał. Hej. Dziwię się, co stało się z tym drobnym kołtunem Darenem, przerażonym na myśl o lady Kerowyn polującej z konia, dokładnie w ten sposób? Może dojrzał”.

Przytulił się do końskiej szyi, unikając nisko wiszących konarów. Tuż przed sobą zobaczył przewrócony pień i spiął konia do skoku. Wałach wziął przeszkodę, potknął się, szybko odzyskał równowagę, ale i tak Daren zagrzechotał zębami.

Przedarli się przez zarośla na polanę i Daren dojrzał przed sobą wielką i brzydką klacz Kero, szybującą ponad kolejnym gigantycznym, zwalonym pniem. Poczuli ukłucie zazdrości. Pełnej krwi Shin’a’in przemierzała nierówny teren z wyzywającą łatwością tam, gdzie inne konie potykały się lub otwarcie buntowały. Niemal jedynymi, którzy dotrzymywali jej kroku, był on sam, król i myśliwi.

„I pewnie dlatego, że także dosiadamy Shin’a’in, choć nie takich jak ona. Nie dziwota, że ludzie mogą popełnić zabójstwo, aby osiąść klacz bojową”.

Odyniec ciągnął za sobą myśliwych w kółko. Był szybki i chytry. „Mam nadzieję, że to jest ten, którego szukaliśmy; rzeczywiście zachowuje się, jakby był bardzo zły”. Okoliczni rolnicy zgłaszali się do królewskich łowczych ze skargami na niezwykle dużego i złośliwego odyńca, który już zabił jednego świniopasa i poranił innych, zagarniając ich stada do swojego haremu, gdy wyprowadzali je do lasu na żołędzie. To dlatego ścigali rano jelenia, aby konie miały okazję wyładować w biegu narowistość przed pogonią za tak niebezpieczną bestią, jaką był odyniec.

„Ten jedyny raz widziałem Kero wycofującą się z czegoś” — pomyślał, kiedy wijący się trop coraz głębiej zanurzał się w puszcę, a konie musiały zwolnić biegu. „Kiedy powiedziała, że zostanie na koniu, nawet Faram był zaskoczony. Lecz ona nigdy nie walczyła pieszo i nie miała nawet ze sobą odpowiedniej dzidy na dziki, tylko pełen włóczni kołczan przy siodle”.

Osobliwa to broń. Daren nigdy nie widział czegoś podobnego. Powiedziała mu, że używali jej Shin’a’in i było jasne, iż nie było to przeznaczone do polowań na dzikiego zwierza; to była śmiercionośna broń na ludzi, z wąskimi grotami długości dłoni o ostrych jak brzytwa zadziarach.

„No cóż, jeśli odyniec będzie uciekał, zdoła w niego wbić jedną z nich i skierować go na nas”.

Sfora zaczęła ujadać przed nimi i łowczy zadął w róg. Konie wychyły na małą polankę przed legowiskiem zwierza; to było miejsce, w którym bez wątpienia zaszył się odyniec. Teraz będą musieli wypłoszyć go na otwarty teren.

Podczas gdy Kero została w siodle, tak jak to obiecała, inni zsiadli z koni i ruszyli pieszo. Sfora wciąż była przed nimi, a łowczy ogłosił sygnał „wypłoszony”. Daren ruszył pieszo. Za plecami usłyszał konia Kero, przemykającego się przez gęste krzewy, co nawet jemu przychodziło z trudnością. Ujadanie sfory zmieniło się dokładnie w tej samej chwili, gdy rogi łowczych zadęły „osaczenie”.

Daren susem pokonał splątane korzenie i wypadł na polanę. Odyniec stawiał czoła sforze. Był ogromny, o szerokim, pokrytym bliznami grzbiecie. Nie był to wcale dziki odyniec, lecz zdziczałe zwierzę domowe. Dlatego był o wiele groźniejszy. Daren odetchnął przed rzuceniem się do walki i spojrzał na swego brata. Faram odczytał plan w oczach Darena i skinął głową. Razem polowali na dziki już od wielu lat i wystarczył im tylko rzut oka, aby ocenić, jakie są zamiary drugiego. Tym razem Daren będzie przynętą. Na jego rozkaz łowczy odwołali psy i podczas gdy Faram przesuwiał się cichcem po obrzeżach polanki, Daren krzyknął na dzika, w każdej chwili przygotowany, by upaść na kolana w błyskawicznym uniku. Sukces tej taktyki opierał się na tym, że gdy raz odyniec tej wielkości rozpoczął szarżę, z trudnością przychodziło mu zmienić szybko kierunek, a jego kiepski wzrok przeszkadzał podążać za czymś, co poruszyło się w sposób dla niego nieoczekiwany. Trzeba jedynie unikać tych morderczych szabli...

Jedynie.

— Hej! — wrzasnął na niego Daren, tupiąc nogą. — Hej!

Odyniec zakołysał łbem z boku na bok, unosząc nos do góry w poszukiwaniu zapachu, maskowanego przez woń psów. Nagle spostrzegł Darena i zaatakował dokładnie przez środek polany. Daren uskoczył w bok w ostatniej chwili, dojrzał błysk szabli, gdy dzik zamierzył się na niego. Dopadł bestię, zanim zdążyła się obrócić, wbijając włócznię z grotem na dziki prosto w jej serce. Stracił na chwilę równowagę, ale o mgnienie oka później nadbiegł Faram, aby zatopić swoją własną włócznię w grzbiecie dzika. Zwierzę zakwiczało ze strachu i bólu. Z wysiłkiem ruszyło do przodu, ryjąc rozszczępionymi racicami głębokie bruzdy w miękkiej glebie. Lecz oni dwaj przygwoździli odyńca wspólnym wysiłkiem do ziemi; jeszcze chwila i nogi załamały się pod nim. Umarł, gdy jedna z włóczni, a może obie naraz, sięgnęły serca.

Daren zaczął się triumfalnie uśmiechać, kiedy ludzki krzyk rozległ się nad polaną, ucinając gwałtowne wiwaty łowczych. Ruch i błysk czerwieni przykuł jego wzrok...

Jeden z łowczych leżał z okaleczoną nogą, a nad nim stała z ociekającymi krwią szablami locha — dzika locha, wielka jak zabity przez nich przed chwilą odyniec.

„O bogowie! On miał towarzyszkę...”

Kwiknęła, stratowała łowczego i wykonała błyskawiczny obrót, aby stawić im czoło. Pierwszym, którego zobaczyła, był Faram. Kwiknęła jeszcze raz wściekle i rozpoczęła szarżę.

Daren ciągnął włócznię w próżnym wysiłku, lecz tkwiła mocno w ciele odyńca, wbita jak należy, i nie można jej było wydobyć. Klęczący Faram próbował się podnieść, ale widać było, że nie zdąży w porę usunąć się z drogi. Nagle przelatująca smuga szarości oddzieliła króla od atakującej lochy. Świnia kwiknęła i zawróciła; okręciła się i tocząc przekrzywionymi oczami, zaatakowała nowy cel. Szara klacz zawirowała na jednym kopycie i kopnięciem zadniej nogi wysłała lochę w powietrze. Dwa razy błysnął metal. Locha legła w drgawkach na ziemi z dwoma sterczącymi z boku włóczniami Kero.

Klacz okręciła się jeszcze raz, ale widząc, że „wróg” już więcej nie zagraża, parsknęła i potrząsnęła łbem. Kero zeskoczyła z siodła z nożem w dłoni i podeszła ostrożnie do leżącej w agonii bestii; schyliła się i przecięła gardło lochy jednym, doskonale wymierzonym cięciem. Zwierzę zadrżało i wyzionęło ducha.

Kero podniosła się znad cielska i otarła starannie nóż o sierść lochy. Dopiero wtedy popatrzyła tam, gdzie obok ciała odyńca leżeli bezradnie rozciągnięci Daren i jego brat.

— Sztuka przetrwania, Wasza Wysokość — wyjaśniła łagodnym głosem. — Doświadczenie nauczyło mnie zawsze zostawiać w odwodzie zwinnego zwiadowcę.

A potem podeszła do klaczy i wskoczyła na siodło, porzucając zdobycz, aby zajęli się nią łowczy.

Dwudziesty

Kero wysączyła swoje rozcieńczone wino, zwróciła się do kobiety u swego boku i powiedziała:

— Szczerze, to głównie zasługa Hellsbane. Nigdy do tej pory nie polowałam na dziki i nie wiedziałam, czego się spodziewać, To dlatego nie zsiadłam z konia.

Lady Delia kiwnęła głową.

— Dobry koń wart jest dwudziestu zbrojnych, co najmniej, tak mi się wydaje. Jednak nigdy nie widziałam konia tak dobrze wyszkolonego jak twój. Idzie za tobą i jest ci posłuszny niczym pies.

— I ja to zauważyłam — odparła lakonicznie Kero. „Pozwólmy, aby się dziwiła. Wydaje się miła, lecz im mniej ludzie wiedzą o klaczach bojowych, tym lepiej dla mnie. Kiedy ludzie nie doceniają Hellsbane albo ją przeceniają, jest to z korzyścią dla mnie”.

— Tak naprawdę, ona jest drugim koniem z jej linii, którego otrzymałam od kuzynów — ciągnęła, co pozwoliło lady Delii rozwieść się na temat własnej hodowli koni i spytać o to, które z królewskich koni krwi Shin’a’in byłoby najlepiej skrzyżować z jej zwierzętami.

Kero odpowiadała, tylko połowicznie pochłonięta rozmową; resztę uwagi skupiała na uczcie i reakcjach ludzi na jej osobę; było to zachowanie tak odruchowe jak oddech. Nie mogła oprzeć się pokusie porównywania zachowań dworu Rethwellanu i swojego brata. Mimo podobnych okoliczności — własnoręcznie ocaliła Diernę i króla Farama — w domu brata uhonorowano ją, lecz nie podziwiano. Tutaj zaznała jednego i drugiego; mówiąc prawdę, zaznała i uczucia zakłopotania wywołanego podziwem. Niektóre z młodych dworek — nastolatek w wieku zachwyty nad bohaterami — ubierały się nawet tak jak ona. Daren był tym bardzo rozbawiony, czego należało się spodziewać.

Lepsze to było od wzbudzania lęku; u wielu dworzan wzbudzała tyleż podziwu, co i lęku. Ludzie króla Farama widzieli ją przy robocie i wiedzieli, co potrafi, podczas gdy ludzie jej brata uważali, że jej sukces to głównie sprawa szczęścia. Z drugiej strony, wzbudzanie strachu nie obchodziło ją teraz tak bardzo jak w przeszłości. „Myślę, że stałam się mniej wrażliwa. Dopóki dzieci nie uciekają przede mną z krzykiem, chyba sobie z tym poradzę”.

Król Faram wywierał na niej takie wrażenie, jakie ona najwyraźniej czyniła na nim. „Rozumiem, dlaczego Daren tak bardzo kocha swojego brata” — pomyślała, obserwując ich swobodne i bezceremonialne zachowanie wobec siebie, wymianę żartów albo wspólne podziwianie jakiejś szczególnie urodziwej damy. „Jakże łatwo mógłby mi mieć za złe to, co dla niego zrobiłam, lecz nie widać najmniejszych tego oznak”.

Faktem było, że kazał przyrządzić i podać łeb lochy razem z łbem odyńca i pokazać go jej, opowiadając o całej historii. Dwór miał dobrego barda. Niewiele mu było trzeba, aby upiększyć tę opowieść, czym skłonił Kero do refleksji, czy i ta historia zatoczy tak szerokie kręgi jak „Pościg Kerowyn”. Król obiecał obdarować ją, kiedy pieśń będzie ukończona; w tej chwili nie miała pojęcia, o co poprosić, lecz warto było poświęcić czas na odrobinę rozsądnego namysłu.

W każdym razie uczta była nieco zbyt obfita, aby się dobrze czuła. Jej ludzie odżywiali się znakomicie, lecz nigdy w ten sposób. Nie знаła nazw połowy podawanych jej potraw i pomimo że dziobnęła tylko te, które rozpoznawała, była gotowa zakończyć posiłek, dobiegający dopiero do połowy. Jak zwykle opanowało ją bitewne podenerwowanie, kiedy było już po wszystkim. „Gdybym stała, kolana tłukłyby się jedno o drugie. I nigdy, przenigdy nie udałoby mi się to bez Hellsbane”.

Locha wyprysnęła z legowiska na śmiertelny kwik odyńca. Tak się złożyło, iż Kero patrzyła dokładnie w to miejsce, obserwowała z przerażeniem, jak zwierzę wściekle rzuciło się na łowczego, zanim ona albo ktokolwiek inny uzmysłowił sobie, że bestia zamierza zaatakować. Wiedziała, że świnię są krótkowzroczne, spięła ostrogą Hellsbane wprost w kierunku lochy, zainspirowana pomysłem, że tylko koń będzie na tyle duży, aby odciągnąć uwagę zwierzęcia albo zmusić je do przerwy w natarciu. Włócznia trafiła w oko przez czysty przypadek, albo też za sprawą bogów; ona miała nadzieję tylko trafić we wrażliwy ryj i odwrócić jego uwagę.

Nagle, mijając lochę, dała znak Hellsbane, aby kopnęła, mając nadzieję, że utrzyma zęby świni z dala od ścięgien klaczy. Zapomniała, iż Hellsbane została nauczona kopać zarówno nisko, jak i wysoko, tak by zdolna była zabijać leżących na ziemi ludzi dostatecznie silnych, żeby mogli ją zranić. Hellsbane postąpiła według własnego uznania, kopnęła nisko, trafiła mocno i wyrzuciła lochę w powietrze, zanim ta zdołała zebrać się do szarży.

Potem Hellsbane odwróciła się, pozwalając Kero cisnąć drugą włócznię, która utkwiała tak samo mocno jak i trzecia.

Otarła się o śmierć tak blisko jak na polu bitwy, i nie była całkowicie pewna, czy nogi ją utrzymają, kiedy zsiadała z konia. Powiedziała to Darenowi, który był tak samo roztrzęsiony.

„Gdy tylko uczta się skończy, zamierzam wziąć gorącą kąpiel we własnej komnacie przy buzującym ogniu i w świetle tylko jednej świecy. Przy herbacie,

a nie winie”.

Od zgiełku, mieszaniny woni potraw i pachnideł zaczynała boleć ją głowa. Choć tak otwarcie okazywana wdzięczność królewska nie była rzeczą złą, wolałaby raczej opuścić tłum. Nie była przyzwyczajona do takich ludzi: niezdyscyplinowanych, tak szalenie odmiennych i zarazem tak bardzo do siebie podobnych; pozbawionych szerszych zainteresowań.

Zmrużyła oczy, aby odzyskać ostrość wzroku, gdyż przez chwilę widziała tylko kolorowe i błyszczące plamy. Tysiące klejnotów migotało ku niej w świetle sepek świec; tkaniny, których nie potrafiłaby nawet nazwać, zlewały się w pstrokate plamy dookoła stołu. Świece były nasycone zapachem, ludzie oblani pachnidłami, napoje pachniały płatkami kwiatów, potrawy były korzenne. Z jednej strony komnaty popisywał się dworski bard, z drugiej — kapela flecistów, a niedaleko niskiego stołu — akrobata. Tego było za wiele; przesył luksusu.

Drzwi w dalekim końcu komnaty otworzyły się i wśliznął się przez nie człowiek w czarnym kaftanie z wyszytym herbem Farama. Zastukał trzy razy w posadzkę swoją laską i ten dźwięk jakoś przebił się przez paplaninę. Na chwilę zapadła cisza. Królewski herold zastukał powtórnie laską w posadzkę. Głowy odwróciły się w jego stronę ze zdziwieniem, nie wyłączając królewskiej. Faram był tak pochłonięty rozmową, że nie zauważył nadejścia herolda.

— Wasza Wysokość — odezwał się herold głębokim barytonem, który nie był podobny do rozkazującego tonu Kero z paradnego placu, ale wydawał się równie wyraźny i donośny. — Posłowie królowej Valdemaru, Selenay, proszą o audiencję.

Kero wyprostowała się, nagle obudziła się w niej czujność. „Z Valdemaru? Ależ co oni tutaj teraz robią? Dlaczego nie czekają na formalne przyjęcie na dworze rano?” Spojrzała na Darena i jego brata, stwierdzając, że są tak samo jak ona zbici z tropu.

— Proszę, niech wejdą — powiedział król po szeptanej naradzie z Darenem i swoim kasztelanem.

Herold wyszedł, aby powrócić w pełną oczekiwania ciszę w towarzystwie dwojga ludzi.

Jednym z nich był wysoki, kościsty blondyn o przyjemnej, przystojnej twarzy; człowiek ten wyglądał jak wiejski parobek, a poruszał się jak zawodowy zabójca. Drugą osobą była drobna kobieta kruchej budowy o słodkiej, okrągłej twarzy, lekko kulejąca. Tak wyglądali, lecz nawet Kero rozpoznała, kim byli: Heroldami z Valdemaru w białych uniformach swojego powołania. Na widok tych mundurów — czego się nie spodziewała — ból przeszył jej serce. Przez chwilę nie mogła nawet pozbierać myśli.

— Talia, Osobisty Herold królowej i Herold Dirk — ogłosił królewski herold.

I czy to był wytwór wyobraźni Kero, czy rzeczywiście nawet on czuł złowieszcze brzmienie własnych słów? O jednym wiedziała na pewno — Talia nie była zwykłym posłem. Osobisty Herold królowej był najważniejszym Heroldem

w królestwie, ustępującym jedynie władcy i dysponującym władzą królewską kiedy trzeba. Tak przynajmniej wyjaśniał jej Eldan dziesięć lat temu.

Obydwoje zbliżyli się do głównego stołu i ukłonili lekko. Mężczyzna trzymał się około pół kroku za plecami kobiety; interesująca pozycja. „Bez wątpienia jest wysokiej rangi oficerem, ale częściowo wynika to z faktu, że strzeże jej pleców. Ciekawe, czy ktokolwiek inny to zauważy”.

Młoda kobieta zaczęła przemawiać; mówiła przepięknym melodyjnym kontraltem. Wiedziała, jak go używać, aby przykuć uwagę słuchaczy. Kero słuchała bacznie wyjaśnień Talii na temat, co ich tutaj sprowadziło. Dziewczyna nieźle władała językiem Rethwellanu, lecz akcent i od czasu do czasu przekrecone frazy jasno wskazywały, że niezupełnie go jeszcze opanowała.

— ... a więc moja królowa wysłała mnie prosto tutaj, miast porozumiewać się przez ambasady. Słyszałeś, Wasza Wysokość, co działo się w Hardornie w ciągu minionych dwóch lat? — zapytała młoda kobieta.

Faram przytaknął kiwnięciem głową. Talia zacisnęła dłonie za plecami. Jedyne Kero była dostatecznie blisko, aby spostrzec, że kostki jej zbieleły z napięcia. „Ona jest śmiertelnie przerażona” — uzmysłowiła sobie niespodziewanie Kero. „Wcale nie czuje się tak swobodnie, jakie sprawia wrażenie; to jest sprawa życia lub śmierci i ona o tym wie. Ale nie zdradzi tego po sobie”. Współczuła młodej kobiecie bez żadnej przyczyny i była gotowa ją polubić.

— Ancar z Hardornu nie jest przyjacielem żadnego człowieka, żadnego narodu — mówiła jednostajnym tonem Talia i w tym braku ekspresji było coś, co wyzwoliło niejasne uczucie trwogi w Kero. Po chwili uzmysłowiła sobie, co to było. Weterani po okrutnym szoku mówili takim równym, wypranym z uczuć tonem o doświadczeniach bitewnych, które ich złamały.

„Co, u licha, król Ancar uczynił Osobistemu Heroldowi królowej Selenay? W jaki sposób Talia wpadła mu w ręce? Dlaczego?” Coś potwornego spotkało tę młodą kobietę z rąk Ancara; była tego tak pewna jak własnego imienia.

I tak samo pewny był tego miecz Potrzeba. Po raz pierwszy od wielu lat Kero poczuła, że ostrze budzi się.

— Ancar jest winny królobójstwa i ojcobójstwa — kontynuowała Talia. — Terroru, jakiemu poddał swój lud, nie dopuściłby się żaden człowiek przy zdrowych zmysłach. Zwrócił się do potęg ciemności, aby nasycić swe żądze. Mogę przedstawić dowody, jeśli pragniecie je zobaczyć.

Faram potrząsnął głową i dał znak, że nie powinna przerywać.

— Zatrzymaliśmy go raz, my z Valdemaru — powiedziała. — Zatrzymaliśmy na naszej granicy i odparliśmy. Teraz zgromadził nową armię, złożoną raczej z ludzi i stali, aniżeli tkaną z magii, i ponownie maszeruje ku naszym granicom.

— A więc czego chcecie? — zapytał Faram, opierając się na krześle tak, że na jego twarz padł cień i nie można było odczytać jej wyrazu.

— Twojej pomocy — odrzekła Talia po prostu. — Nie mamy dostatecznej liczby zbrojnych, aby go tym razem powstrzymać.

W miarę słów Osobistego Herolda królowej Kero coraz bardziej i bardziej była zaintrygowana. „Nie rozumiem tego. Babka z tuzin razy musiała mi opowiadać historię, jak to wspólnie z Tarmą pozbyły się barda Leslaca i za każdym razem wspominała ślub złożony przez króla Stefansena księciu Heroldów Roaldowi; że Rethwellan winien jest Valdemarowi przysługę równą przywróceniu prawowitego króla na tron. I o tym, że Valdemar nigdy nie skorzystał z tego przywileju”. Obserwowała, jak dłonie Talii zaciskają się mocniej i mocniej za plecami, to była jedyna oznaka wzrastającej desperacji kobiety. „Wiem na pewno, że Valdemar nie skorzystał z tego przywileju od czasu, kiedy babka opowiedziała mi tę historię. A więc dlaczego błaga o pomoc, kiedy może jej zażądać?”

Rzuciła ponownie okiem na króla Farama i zobaczyła, że jest równie napięty jak Herold, a szybka ocena Darena, którego znała lepiej niż jego brata, potwierdziła, że są wewnętrznie rozdarci. . .

„Z jakiegoś powodu” — zdecydowała w końcu — „królowa Selenay po prostu nie wie o tym ślubowaniu. A jednak Faram wie o nim. . . i Daren. Domyślili się, że Selenay nie wie o przyrzeczeniu. Jako ludzie pragną pomóc, ale jako król Faram musi niechętnie podchodzić do sprawy wmieszania Rethwellanu w wojnę z kimś, kogo nie ma nawet na jego granicy, kto nie stanowi dla niego żadnego zagrożenia.

A więc nie zamierza nikomu przypominać o przysiędze, która poszła w niepamięć”.

W pewnym stopniu Kero mogła zrozumieć takie stanowisko — tyle że było to katastrofalnie krótkowzroczne. „Połowa ich wymiany handlowej odbywa się z Valdemarem, ten handel zniknie, jeśli Valdemar zaangażuje się w przegraną wojnę. A w wypadku zwycięstwa Ancara — to on stanie na granicy i nie wydaje mi się, abym takiego sąsiada witała z otwartymi ramionami. I jeśli Faram tego nie potrafi zrozumieć. . .”

Dzięki Eldanowi Kero wiedziała nieco o Heroldach i ich kraju i to, czego się dowiedziała — nawet jeśli było prawdą tylko w połowie — całkiem jej się podobało.

A poza tym w trakcie przemowy młodej kobiety budziła się Potrzeba, stopniowo zwiększając nacisk gdzieś na dnie jej mózgu. Było to całkiem odległe, ograniczało się do niewyraźnego „pomóż jej”, ale przybierało zdecydowanie na sile. Kiedy Talia skończyła swą mowę, miecz krzyczał pełnym głosem prosto do ucha Kero.

Czekała przez moment, aby zobaczyć, co uczyni Faram; ciągle istniała szansa, że sprawi jej niespodziankę i zaofiaruje pomoc Talii. Jednak nie zrobił tego. Mówił o potrzebie utrzymywania neutralności, o kłopotach z Karsem i konieczności pilnowania granic. Grał na zwłokę, mówił uprzejmie, używając terminów dypl-

matycznych, że nie zamierza jej pomóc. Na twarzy Dirka odmalowała się rozpacz, Talia stała sztywno jak lodowy posąg. Kero razem z nimi cierpiała katusze. Jasne było, że Rethwellan stanowił ich ostatnią nadzieję.

Kero westchnęła, licząc na to że Daren jej przebaczy, i wyprostowała się.

Oczy wszystkich zebranych w komnacie zwróciły się w jej kierunku i nawet król przerwał w pół zdania, kiedy jej krzesło zaszurało po marmurowej posadzce w kolorze bursztynu.

— Wasza Wysokość — odezwała się powoli i wyraźnie z godnością i powagą, na jaką tylko mogła się zdobyć. — Na początku uczty powiedziałeś w tej ogromnej sali, że wolno mi domagać się każdego dobrodziejstwa w zamian za to, co dzisiajszego popołudnia uczyniłam na polowaniu.

Kątem oka dostrzegła, iż Daren kurczowo złapał krawędź stołu, na jego twarzy pojawiło się błaganie, aby nie powiedziała tego, co — jak był pewny — zamierzała powiedzieć. Zignorowała go. Nawet gdyby Potrzeba jej nie popędzała, zmusiłby ją do tego głos jej własnego sumienia.

— Oto, o co proszę, Wasza Wysokość — rzekła do niego, patrząc mu twardo w oczy. — I sędzę, że nie jest to więcej, niż wymaga od nas nasz własny honor, ponieważ nie tylko w imieniu tej, której należy się dobrodziejstwo, lecz jako wnuczka Kethry proszę: dotrzymajcie ślubu, który wasz dziadek Stefansen złożył Roaldowi, dziadkowi Selenay w bibliotece tego zamku.

Na twarzach Heroldów odbiła się jednakowo komiczna konfuzja. Daren ukrył oblicze w dłoniach. Kero czekała na wybuch gniewu króla. Jednak chociaż skrzywił się, gniewu nie okazał. Zamiast tego tylko westchnął, potrząsnął głową i spojrzawszy jej prosto w oczy, powiedział miękko:

— Nigdy nie sądziłem, że kapitan najemników odegra rolę mojego sumienia. No cóż, skoro słowo się rzekło, a kobyłka stoi już u płota...

Podniósł głos.

— Moi panowie, panie, mamy pewną prywatną sprawę do załatwienia, lecz pozwólmmy, aby uczta trwała dalej. Powrócimy, gdy tylko będziemy mogli.

Kiedy skończył i wstał z tronu, zerwał się szmer rozmów.

— Darenie, kapitanie — chodźcie za mną, proszę. Potrzebuję was obojga.

Zaprosił ich gestem i Kero stanęła u jego boku, choć nie bez lekkiego drżenia. Przyszło jej do głowy stare powiedzenie: ostrożnie stawiaj żądania, bo mogą się spełnić.

„Właśnie prosiłam, aby pamiętał o obietnicy swojego dziadka. On może przypomnieć mi, kim i czym ja jestem”.

Polecił obu Heroldom pójść za sobą i poprowadził tę małą procesję do niewielkich drzwi za głównym stołem, wzdłuż oświetlonego ciepłym światłem korytarza, do komnaty, której Kero nigdy do tej pory nie widziała.

Nie było wątpliwości, co to jest za pomieszczenie, skoro zawałone było od podłogi do sufitu książkami. To była owa osławiona biblioteka. Król machnął

ręką w stronę pustych krzesel — wszystkich zużytych, lecz wyglądających na wygodne — i Kero przysiadła delikatnie na krawędzi jednego z nich, nie do końca przekonana, czy ma ochotę tutaj przebywać.

Król, zanim się odezwał, zczekał, aż cała czwórka usiadła.

— Ty — powiedział do Kero w taki sposób, że pragnęła zapaść się pod ziemię — jesteś zarazem najserdeczniej widzianym oraz najbardziej niewygodnym gościem, kapitanie. Jestem niezmiernie wdzięczny, że byłaś nami dzisiejszego popołudnia na polowaniu, lecz posłałbym twoją przeklętą pamięć do piekła Shin'a'in. Być może nie świadczy to o mnie dobrze, ale nie chciałbym wplątać mojego kraju w wojnę, która nie jest dla nas zagrożeniem.

Milczała, ponieważ w żaden sposób nie umiała wymyślić odpowiedzi na jego słowa, które były w najlepszym przypadku niedyplomatyczne. Król opuścił rękę i wzruszył ramionami.

— Lecz ty przypomniałaś mi o niewypełnionym ślubie i uratowałaś, jeśli nie mój kraj, to mój honor. Przypuszczam, że powinienem ci być za to wdzięczny, nawet jeśli nie jest to lekarstwo, które ja bym wybrał.

Mężczyzna — Herold Dirk — podniósł dłoń, prosząc o głos.

— Wasza Wysokość — powiedział, kiedy Faram zareagował na ruch, obracając w jego kierunku twarz — ależ my nie mamy najmniejszego pojęcia, o czym rozmawiacie. Właściwie, co to za ślub?

Faram ponownie zwrócił się do Kero z nieco krzywym uśmiechem.

— Doskonale, kapitanie. To zaczyna się od twojej babki i twojej matki z Klanu. Czy zechciałabyś zacząć?

Kero chrząknęła, przełknęła ślinę, aby zyskać czas na zebranie myśli i zaczęła:

— Wszystko miało swój początek — przynajmniej dla babki — kiedy ona i jej siostra krwi, Tarma, przyłączyły się do Słonecznych Jastrzębi Idry...

Ostatecznie, to ona, Daren i Faram na zmianę opowiedzieli całą historię Heroldom. Faram zakończył opowieść, mówiąc:

-... a więc, jak widzicie, Rethwellan jest winien wam to, o co przybyliście nas prosić. Muszę przyznać, że gdyby kapitan Kero nie poruszyła tej sprawy, nie wiem, czy rzeczywiście pozwoliłbym wam trwać w ignorancji. Wymieniałem listy z moją siostrzenicą Elspeth. Jest czarującym dzieckiem, ale włączenie własnego kraju do waszych wojen... to nie jest krok, jaki się robi, ulegając czarowi czyjejś siostrzenicy.

— Ale... — zaczęła Talia, kiedy Faram podniósł dłoń, by jej przerwać.

— Moje sumienie jest przynajmniej dużo spokojniejsze teraz, kiedy sekret wyszedł na jaw. Prawdziwym problemem, moja pani, jest to, że armia Rethwellanu złożona jest głównie z pieszych. To dlatego wynajmujemy kompanie najemników, kiedy potrzebujemy innych formacji. Nawet gdyby udało mi się powołać ich pod broń i natychmiast rozpocząć marsz do Valdemaru, niemożliwe jest, aby dotarli tam przed...

Spojrzał na Darena, szukając odpowiedzi.

— Wiosennym zrównaniem dnia z nocą, przy założeniu, że będziemy w drodze jutro — powiedział szybko Daren. I twarze Heroldów ponownie okryła rozpacz. — Nie możemy w żaden sposób powołać ich i wymaszerować przed upływem co najmniej czternastu dni, a więc przybędą oni później. Ale...

— Ale? — rozległy się trzy głosy naraz, a król uniósł brew.

— Pioruny Nieba są konnicą i naprawdę to jest ten rodzaj wojsk, który wam i Valdemarowi jest potrzebny do początkowego starcia. Harcownicy, specjaliści w zakładaniu pułapek i nagłych uderzeniach — we wszystkim, co może wytrącić armię Ancara z równowagi i nie pozwolić mu jej odzyskać. Kero zna wojnę jak... jak nikt poza jej matką z Klanu.

Uklonił się lekko w jej stronę, a ona z nie wyjaśnionych przyczyn zarumieniła się. „Najmilsi bogowie. Rumieniec w moim wieku! I nie na komplement, lecz ponieważ on powiada, że ustępuję w taktyce jedynie Tarmie! To oczywisty znak, co stało się dla mnie sprawą najważniejszą!”

— Być może prześcignęła już Tarmę do tej pory; nie byłoby to dla mnie niespodzianką. Wziąwszy razem Pioruny Nieba, armię Valdemaru i znajomość taktyki Kero, będzie można odwrócić uwagę Ancara na tak długo, że będziemy mieli czas nadciągnąć i uderzyć na jego tyły. Prawdę mówiąc, gdybym był kapitanem, zwodziłbym ich, by szukali wiatru w polu i zmuszałbym, by tracili siły na próżno.

Kero zaświtał w głowie plan i stwierdziła, że jest niezły.

— Hm — mruknęła zamyślona — myślę, że to może się udać. Zwłaszcza, gdybyśmy przepuścili ich przez granicę, aby sądzą, że wygrywają, a potem wzdłuż niej pociągnęli ich za sobą. Będę z wami szczerą, jesteście wygodni — płacą nam, czy wygrywamy, czy przegrywamy. Nie krępuje nas żadna narodowa duma i możemy udawać, że przegrywamy. Wy moglibyście mieć trudności z przekonaniem waszych żołnierzy, by sprawiali wrażenie tchórzliwych, lecz moi ludzie robili już to i akceptują dobrą taktykę. Daren, gdyby ten plan powiódł się, prawdopodobnie dotarłbyś do nas w odpowiedniej chwili. Ancar nie będzie się ciebie spodziewał; zostanie kompletnie zaskoczony. Mam tylko jedno pytanie — my nie składaliśmy żadnych ślubów. Panowie, panie, jesteście najemnikami i nie pracujemy za darmo. Kto nam płaci?

— My — powiedzieli razem Talia i król dokładnie w tej samej chwili.

Spojrzeli na siebie i zaśmiali się słabo.

— Podzielcie między siebie wydatki — doradziła Kero. — Dla nas będzie to oznaczać zimowy marsz, a zimowe marsze nie są tanie.

Talia skinęła głową ku niejakiemu zaskoczeniu Kero.

— Brałam udział w zimowych marszach — powiedziała z kwaśną miną. — Myślę, że mogę sobie wyobrazić, co was czeka. Pełna kompania idąca przez góry w zimie. Słyszeliśmy o tobie, kapitanie, poradzono mi i upoważniono mnie do wynajęcia was. To było nasze następne zadanie: odnaleźć ciebie i przeprowadzić

rozmowy. Mam nadzieję, że wiesz, jaki to rzadki przypadek.

„Eldan? Prawdopodobnie. Jakże mogę tak tęsknić za kimś, z kim spędziłam tak niewiele czasu tak bardzo, bardzo dawno temu? No cóż, nieważne, dostanie to, czego chce. Teraz zmusił mnie do przybycia do Valdemaru. Cieszę się, że żołnierze nic o nim nie wiedzą, bo inaczej zakładaliby się o wynik pierwszego spotkania. Błogosławiona Agniro, zostając kapitanem nigdy nie sądziłam, że dojdzie do czegoś takiego!”

— Rozumiem i doceniam, że są to oznaki waszego zaufania pokładanego we mnie i moich ludziach — powiedziała, mając nadzieję, iż jej głos brzmi rzeczowo i nie zdradzi, jak bardzo jest roztrzęsiona.

Wszyscy kiwnęli głowami, a ona stwierdziła, że przysięga w głębi ducha, iż nie zawiedzie tych ludzi.

— Po pierwsze, ponieważ ufacie mojej wiedzy — spójrzmy, czy zdołamy wypracować szczegóły tego przedsięwzięcia. . .

— Nie mogę w to uwierzyć — głośno powiedziała Kero, przypatrując się z grzbietu Hellsbane mijającym ją oddziałom, wyjeżdżającym z wielkich podwójnych wrót Bolthaven drogą do Valdemaru.

Poprawiła się w siodle. To był dobry dzień na wyjazd; niezbyt chłodny, jasno-niebieskie niebo było bezchmurne. Piękna pogoda była pomyślną wróżbą, a żołnierz jest tak samo przesądny jak każdy człowiek.

Pioruny Nieba utworzyły formację marszową; jechały dwójkami, tworząc długą linię, lecz dopóki znajdowały się na przyjacielskim terenie, to było bez znaczenia. Widok był całkiem imponujący, kompania wyglądała na dużo większą, niż była nią w istocie. Każdy żołnierz wiodł co najmniej jednego zapasowego wierzchowca za sobą na postronku i konia jucznego na dodatek. Ci dysponujący dłuższym jechali z przodu; będą przecierać szlak, mogąc zmieniać wierzchowca za każdym razem, gdy ten, na którym jadą, zmęczy się. Kero nie mogła wyobrazić sobie nikogo, kto zdołałby dotrzymać im kroku. To była jedna ze sztuczek Piorunów Nieba; znali ich więcej, dużo więcej. A w tej kampanii prawdopodobnie wszystkie będą im potrzebne.

— W co nie możesz uwierzyć, kapitanie? — zapytała Shallan, wydmuchując białe obłoczki oddechu spod kaptura.

Razem z Geyrem czekała cierpliwie u boku Kero na wyjazd ostatnich żołnierzy. Pozostali porucznicy byli rozstawieni w równych odstępach wzdłuż kolumny, a więc w nagłym przypadku w zasięgu zawsze był jakiś oficer.

— Nie wierzę im — wskazała podbródkiem na ostatnich najemników w kolumnie, wyjeżdżających z bramy.

Był wśród nich kwatermistrz ze swoimi jucznymi końmi na postronku. Dzie sięć lat temu Kero podjęła decyzję, że Pioruny Nieba nie będą miały taborów. Nie

zabierano więc niczego, czego nie dało się załadować na koński grzbiet. Genialności kwatermistrza żołnierze zawdzięczali namioty, których można było umieścić dwadzieścia na jednym koniu. Maszty trzeba było wycinać co noc, ale i tak się opłacało.

— Zbyt mało było cholerowania i lamentów — ciągnęła Kero. — Oto ja wywlekam ich z przytulnych kwater, by maszerowali w środku zimy przez cały Re-thwellan i góry i ani słówka skargi. Co się dzieje?

— Są znudzeni, kapitanie — powiedział Geyr. — Kampania skończyła się wcześniej, wypoczęli i jeszcze mieli przed sobą połowę zimy. Chcieli mieć coś do roboty. Prócz tego zapłata warta jest zimowego marszu, no i nie musimy przekraczać wrogiego terytorium.

— No tak, ale nie będzie to piknik w środku lata — odpowiedziała Kero, kiedy ostatni sznur koni z zapasami przeszedł obok nich. — Grzebień nie jest złym pasmem górskim, lecz wolałabym nie przekraczać żadnych gór w zimie. Doskonale, to ostatni z nich. Zobaczymy się, kiedy rozbijemy obóz.

Obydwaj porucznicy zaszalutowali, tak opatuleni w wełny i skóry, że gdyby nie czarna twarz Geyra, Kero nie umiałyby ich rozpoznać. Każdy żołnierz otrzymał na tę kampanię nowy, podbity futrem, wełniany płaszcz. Zwykle sami musieli się martwić o ubranie, lecz Kero znała żołnierzy i nie zamierzała tracić tak potrzebnych wojowników na mrozie tylko dlatego, iż niektórzy przegrywali płaszcze w noc przed wyjazdem. Wydano rozkaz, że płaszcze są własnością kompanii, tak jak namioty i zwykły oręż, i każdy przyłapany na dawaniu ich pod zastaw w grach hazardowych, będzie przerzucał gnój, skrobał gary i trzymał psie, nocne warty. Każdy przyjmujący taki zastaw będzie ukarany jeszcze surowiej.

Kero skinieniem głowy zezwoliła na wymarsz. Spięli swoje konie, aby poboczem drogi przecwałować obok juczej kawalkady. Shallan miała jechać tuż przed kwatermistrem, Geyr w połowie linii. Jutro wszyscy oficerowie przesuną się o oczko do przodu, zmieniając kolejno miejsce w ściśle określony sposób. Wyjątkiem była Kero, jadąca zawsze na szarym końcu. Zima czy lato, ta pozycja była najgorsza ze wszystkich i dlatego ona ją zajmowała. Między innymi dzięki takim drobiazgom zdobyła szacunek i posłuch swego wojska.

Lekko trąciła Hellsbane i klacz zajęła swoje miejsce, tak do niego przyzwyczajona, że nawet nie mrugnęła okiem. Kiedy brama zamknęła się za nimi — w środku została tylko garstka obsługi i nowych rekrutów, których uznano jeszcze za zbyt zielonych, aby mogli walczyć w kampanii — Kero rozsiadła się wygodnie w siodle i raz jeszcze przemyślała wszystko, czego się dowiedziała.

Ich przewagę — na którą Kero nigdy do tej pory nie mogła liczyć — stanowiło to, że cała wiedza Selenay o ich wrogu była dana z góry. Widocznie niektórzy z Heroldów byli zdolni do aktywnego, wiarygodnego przewidywania przyszłości. Wiedzieli, kiedy wróg uderzy i gdzie.

Przeważnie. I przynajmniej na mniej więcej sześć miesięcy naprzód. Zaglą-

dając dalej w przyszłość, widzieli, według Talii różne jej warianty. Dziewczyna próbowała wyjaśnić Kero, jak to, co robią teraz, aby zmienić bieg wypadków, wpływa na to, co zostało przewidziane. Dla Kero było tego za wiele. Zawsze myślała, że przyszłość jest taka jak przeszłość, że stanowi utartą, niezmienną ścieżkę, która gdzieś ma swój początek, a gdzie indziej swój koniec. Stwierdzenie, że jest inaczej, wprawiało w zakłopotanie. Nie była pewna, czy jej się podoba pomysł, iż przyszłość jest tak mglista i płynna.

Poza tym, szkoda, że nie mogli zobaczyć, co się teraz dzieje; dobrze byłoby wiedzieć, gdzie formuje się cała armia Ancara. Gdyby Kero to wiedziała, mogłaby zaaranżować małe ćwiczenie z innego arsenału specjalności Piorunów Nieba, o którym nigdy nie rozmawiała. „Kilka starannych zabójstw, nieco dywersji, zakłócenie dostaw zaopatrzenia; to, co pomogło w skróceniu kampanii kobiety-proroka i pozwoliło zapędzić ją w kozi róg. To uderzenia od tyłu oraz zasadzki, póki nie znalazłabym miejsca, które uznałabym za dogodny do wydania bitwy. Jeśli można zniszczyć morale wroga, zmusić go do myślenia, że wszystko i wszyscy są przeciwko niemu, to należy tak uczynić. . . No dobrze, zrobimy, co się da”.

W tym przypadku mieli błogosławieństwo Gildii, co nie było takie złe. Sprawdziła w Gildii, jak to było wymagane, czy Ancar wynajął wolnych zaciężnych albo kompanie, i otrzymana odpowiedź była dla niej cudowną niespodzianką. Ancarowi starczyło tupetu, by wypędzić Gildię ze swego kraju, przez co — jeśli chodziło o Gildię — wszystkie chwytły były dozwolone i cokolwiek Pioruny Nieba zrobią wojsku Ancara albo czegokolwiek dopuszczą się w granicach jego królestwa, Gildia nie zaprotestuje.

„To była doprawdy głupota” — skrytykowała. „Nawet z Karsu czy Valdemaru nigdy nie wyrzucono Gildii. Może nie była mile widziana, lecz tolerowano ją, ponieważ prędzej czy później wszyscy przychodzą do nas. Nawet Valdemar”.

Pokiwała głową nad głupotą Ancara.

„Muszę być ostrożna, walcząc przeciw niemu. Głupiec może zabić cię tak samo jak i mędrzec, trudno przy tym przewidzieć, jak to zrobi”.

Zobaczyła coś jaskrawego w jukach konia idącego przed nią i rozpoznała należącą do Quentena skrzynię, wspaniałą, pokrytą skórą, w której przechowywał swoje księgi i która przetrwała powodzie, płomienie, a nawet uderzenie błyskawicy. To przywiodło jej na myśl głównego maga. „Powinien być już gotowy do osiągnięcia statusu Mistrza” — pomyślała. „Może on potrafi za mnie rozwikłać zagadkę, dlaczego nie ma ani jednego maga w Valdemarze”.

Talia z wyraźnym strachem poinformowała Kerowyn, że Ancar korzystał z usług magów. Spojrzała na Kero, jakby spodziewając się, że kapitan podda w wątpliwość to stwierdzenie i osłupiała, kiedy Kero tylko kiwnęła głową.

Osołomienie i strach były dość dziwaczną reakcją na magię, skoro Heroldowie mieli swoją własną myślmagię, która — z tego, co dowiedziała się Kero od Eldana — dorównywała potęgą i subtelnością potędze każdego Mistrza, każdej

znanej Kero szkoły. I prawdopodobnie byli tam tacy, którzy dorównywali także i Adeptom.

„Eldan nie rozpoznawał chyba prawdziwej magii na swej drodze, nawet kiedy Karsyci używali jej przeciw nam, i nazywał to ręką ich boga. Przypominam sobie, że z trudem przychodziło mi rozmawiać z nim o magii, tak jakbym mówiła o pewnych rzeczach, a on słyszał coś innego”.

Pudło kołysało się z boku na bok hipnotycznym ruchem wahadełka. Hellsbane już weszła w swój „marszowy rytm”.

„Choć nie jest to coś, co wybrałabym, gdybym miała kaca lub rozstrój żołądka... Ciekawe, czy magia nie działa w granicach Valdemaru? Zdaje się, że babka raz o tym mówiła. Ale jeśli to prawda, to dlaczego Ancar korzysta przeciw nim z magii? O ile to jest prawda. On albo o tym nie wie, albo zna sposób, aby temu przeciwdziałać, czymkolwiek by to było”.

Kero zrezygnowała z próżnych spekulacji i skoncentrowała myśli na najbliższej przyszłości. Zamiast zapasów kwatermistrz wziął ze sobą pieniądze. Ponieważ będą podróżować wyłącznie przez zaprzyjaźnione terytorium, a żniwa były obfite tego roku, zamierzali kupować całą niezbędną im żywność, zarówno dla ludzi, jak i koni, z wyjątkiem tej, którą potrzebowali na pokonanie gór. To pozwoli im podróżować bez obciążeń, w przyzwoitym tempie i zapewni sympatię miejscowej ludności.

„Powinniśmy spotkać się z Darenem i jego armią mniej więcej w połowie drogi między Petras i granicą Valdemaru” — dokonała w pamięci pobieżnych obliczeń. „I niech bogowie mają ich w swojej opiece. Nie ma nic gorszego od pieszego marszu w zimie. Spójrzmy: około jednego księżycy do granicy Valdemaru, potem przynajmniej czternaście dni na pokonanie gór, zakładając, że przez całą drogę będą mieli złą pogodę. Potem jeszcze jeden księżyc marszu do stolicy. Nieźle. Lepiej niż wszystkie znane mi kompanie, nie wyłączając Słonecznych Jastrzębi. Oczywiście bez pomocy kuzynów w hodowli koni jucznych wlekleibyśmy wozy przez błoto i przybylibyśmy w takim samym czasie jak inni. Nie chcę nawet myśleć o przeprawie taborów przez góry w zimie”.

Oczy Hellsbane były na pół przymknięte; Kero podejrzewała, że drzemie. Chociaż droga tonęła w błocie, naprawdę nie była ona tak zła. Było za ciepło, by błoto zamarało w grudy. Później będzie jednak gorzej.

„Niech drzemie” — pomyślała Kero. „Ta część planu jest łatwa do wykonania. Od tej pory z każdą chwilą będzie gorzej.

Proś bogów, aby nie było tak źle, jak się tego obawiasz.

Proś bogów, aby nie ściągały cię sny. Módl się...”

Dwudziesty pierwszy

Śnieg kłębił się dookoła pęcin Hellsbane. Od wiatru bolały Kero skostniałe z zimna stopy. Otuliła się opończą tak szczelnie, jak tylko mogła, robiąc w miarę dobrą minę do złej gry.

Nie zsiądzie z konia, dopóki nie stanie jej namiot. A jej namiot nie stanie, dopóki porządek nie zapanuje w całym obozie. Żołnierze, oderwawszy wzrok od własnych zadań obozowych, widzieli ją, nieporuszenie siedzącą w siodle, wystawioną na działanie wichury tak długo, jak długo im zajmie postawienie schronienia dla siebie.

Cudownym wynalazkiem były te małe, kopułowate, podbite wojłokiem namioty. Wiatr po prostu je omijał, nigdy ich nie porywał ze sobą i nigdy się nie zapadały. Niepotrzebne były sztywne maszty, zamiast nich wystarczyło odszukać zagajnik wierzb, wyciąć osiem giętkich gałęzi i przewlec je przez wszyte w namioty rowki. W ten sposób nawet nie szkodziło się drzewom, wierzby w istocie rzeczy dobrze znoszą przycinanie. Kompania przejeżdżała obok prześwietlanych w przeszłości zagajników, w których drzewa były dorodniejsze niż przed przycięciem gałęzi.

Najcięższym zadaniem, szczególnie w środku zimy, było wbicie ośmiu palików w twardą jak skała ziemię. Bez tych ośmiu palików namiot mógł — i to się zdarzyło — odlecieć z wiatrem. To zabierało czas, mnóstwo czasu, a każda para żołnierzy była mokra od potu na długo, zanim paliki zostały umocowane.

A w tym czasie kapitan musiała siedzieć na swoim koniu i wyglądać imponująco, podczas gdy tak naprawdę miała ochotę zdzielić każdego z jej podkomendnych, który tracił choćby mgnienie chwili, gapiąc się na nią i zmuszając ją do znacznie dłuższego sterczenia na zimnie. Wolałaby raczej osobiście wbijać paliki. W przeszłości pomagała przy rozbijaniu obozu, zanim nie uzmysłowiła sobie, że może to zostać poczytane za faworyzowanie. Potem rozbijała własny namiot, dopóki, ku jej strapieniu, podwładni nie powiedzieli jej, iż to „nie wypada”.

A więc siedziała niczym posąg, zamieniając się w olbrzymi sopel lodu, kupę przemokniętych skór lub też dobrze upieczony kawałek mięsa — w zależności od pory roku.

Słońce dotknęło linii horyzontu, jarząc się gniewną czerwienią pod nisko za-

wieszonymi chmurami. Śnieg nie padał — jeszcze. Dopiero się zbliżał; Kero potrafiła rozpoznać zapach śniegu.

Porywisty wiatr przyniósł cudowną woń pieczeni. Pocięła jej ślinka i zaburczało w brzuchu. W tym przynajmniej kapitan był jakoś uprzywilejowany. Kiedy w końcu będzie mogła zleźć z grzbietu Hellsbane, będzie na nią czekał namiot, ogrzany przez nie większy od naczynia kuchennego kosz na węgiel drzewny — a obok niego kolacja. Jeszcze raz wciągnęła nosem powietrze i doszła do wniosku, że to wieprzowina.

„Doskonale. Przez ostatnie trzy tygodnie była baranina i zaczynam nie lubić nawet widoku owcy”. To wywołało uśmiech na jej twarzy. Kiedy ostatnio była tak daleko na północy, sprzedawała duszę za kawałek baraniny. Prawdę mówiąc, większość kompanii najemników zadowalała się tym, co zabrała ze sobą — suszonym mięsem uzupełnionym wszystkim, co zdobyli zwiadowcy. Kupowanie świeżej żywności na każdym postoju miało swoje dobre strony. Skuszona szansą sprzedania zwierzęcia za podwójną cenę — w środku zimy, kiedy nie ma innych okazji zarobienia pieniędzy — większość rolników i pasterzy mogła wyszukać samca czy samicę w sile wieku. Tuż przed wejściem na Grzebień natrafili na osobnika ze stadem półdzikiego, wehnistego bydła; wielce uradowanego, że ma okazję rozstania się z parą kłopotliwych zwierząt po cenie zaoferowanej przez kwatermistrza.

— Jedyne te są złe — powiedział krótko i lakonicznie po doprowadzeniu do kucharza kulejących, ryczących i rzucających łbami zwierząt.

Uśmiech na jego twarzy na widok pieczeni i opowieść kwatermistrza o zarzucaniu bydła przekonały ją, że istotnie przysłużyli się temu osobnikowi.

Stanął ostatni namiot i Geyr, który teraz dowodził grupą kopiającą latryny, zjawił się po drugiej stronie obozu i pomachał ręką. Kero westchnęła z ulgą i zsiadła z siodła. Bardzo wolno. Z trudem wracało jej czucie w stopach. Hellsbane potężnie westchnęła, kiedy Kero wysunęła lewą stopę ze strzemienia, a młodziak wyznaczony na oficera stajennego przybiegł truchtem, trzymając chronione rękawiczkami dłonie pod pachami. Nieśmiało odebrał od Kero lejce i odprowadził klacz szybkim stępem.

Kero przebyła wolnym krokiem drogę dzielącą ją od namiotu. Po pierwsze — dlatego że nie wypadało, aby żołnierze zobaczyli swojego kapitana zmykającego do namiotu jak rekrut w czasie pierwszej zimowej kampanii. A po drugie — nie była pewna swoich kroków, skoro czuła w stopach jedynie zimno i ból.

Namiot komendanta był przynajmniej trzykrotnie większy od pozostałych, lecz działało się tak dlatego, że żołnierskie namioty musiały pomieścić tylko dwie osoby i ich rzeczy. W jej namiocie musiało być dość miejsca dla stołu z mapami i kilku ludzi dookoła. W tym kryła się słabość namiotów w kształcie kopuły i to było powodem, dla którego wozila w jukach swój własny, tradycyjny namiot.

Ordynans przytrzymał przed nią klapę namiotu na tyle, aby mogła wcisnąć się

do środka i aby nie ulotniło się cenne ciepło. Zaraz gdy znalazła się w prywatnym zaciszu, zzuła buty i wepchnęła przemarznięte, zbielałe stopy w pantofle z owczej skóry, ustawione specjalnie dla niej obok kosza z węglem.

Kiedy życie wróciło do jej kończyn, podziękowała bogom, że przetrwała jeszcze jeden dzień marszu.

— Musi być sposób na to, aby uchronić stopy przed odmrożeniem, gdy tylko powieje mocniejszy wiatr — powiedziała strapiona do swojego ordynansa. — Wszystko jest w porządku, kiedy nie ma wiatru; koń wystarczająco grzeje cię w stopy, lecz gdy tylko zerwie się wichur, można by równie dobrze jechać boso.

Jej ordynans, żylasty, niewysoki człowiek, pochodzący z gór, które właśnie przemierzali, zmarszczył odrobinę czoło.

— To one, te buty, kapitanie — stwierdził z namaszczeniem. — Nic tu nie ma pomiędzy stopą a wiatrem, ino cienka skórka. My tego tak nie robimy.

Pociągnęła pierwszy łyk ze swojego drewnianego kubka. Dziś wieczór była herbata, to dobrze. Nie nawiedził ją żaden ze snów o Eldanie od chwili, kiedy przekroczyli Grzebień, co wywołało w niej mieszane uczucia i dzisiejszego wieczoru nie na wino miała ochotę. Nie chciała rozczulać się nad kubkiem, żałując utraty iluzorycznych spotkań miłosnych.

„Na co bym nie cierpiała, zostałam wyleczona” — myślała rezolutnie. „Powinam się cieszyć, że z powrotem jestem sobą. Ale Potrzeba oniemiała jak kamień” — uzmysłowiła sobie z chwilowym przestraszeniem. „Nic. Nawet t'uczuciaT na dnie mózgu. Mógłby być równie dobrze kawałkiem zwykłego żelaza! Najmilsi bogowie, co będzie, jeśli nie uzdrowi mnie więcej? Poradzę sobie z tym, ot co. Za późno jest, by wracać. Pomyśl o czymś innym”.

— Oświeć mnie, Holardzie. Co robią wasi ludzie?

— Buty z owczej skóry, kapitanie — odpowiedział bezzwłocznie. — Wełniane skarpety, podwójna para. Kłopot jeno, że one wielgachne i nie mają obcasów. U nas nie ma strzemion, jak u was.

Potrząsnęła głową.

— To na nic. Coś mi się wydaje, że będę musiała cierpieć. . .

W tym momencie strażnik stojący przed namiotem zastukał ręką sztyletu o maszt podtrzymujący baldachim przed wejściem i wpuścił kogoś w tumanie wirujących płatków śniegu.

Quenten. W chwili kiedy stanął w pełnym świetle latarni, Kero przeczuła, że nie spodoba się jej to, co powie. Był wynędzniały, nerwowy, w stanie, w jakim nigdy go nie widziała — nieobecność magów od czasu, kiedy przekroczyli Grzebień, bardzo rzucała się w oczy. Coś w tym było. Cokolwiek to było, spadało na nią teraz, ponieważ nie mogli sobie z tym poradzić sami.

— Kapitanie — powiedział Quenten i głos mu się załamał na ostatniej sylabie. Czekala, aż spróbuje ponownie.

— Kapitanie — powtórzył, tym razem z nieco lepszym skutkiem. — Mamy problem. . .

„O bogowie! Najpierw Potrzeba, a teraz magowie?!”

— Domyślałam się tego, Quenten, bo wyglądasz jak jednodniowy trup, a ja nie widziałam od czternastu dni nawet skrawka rękawa maga. Czy to tylko ty, czy wszyscy tak wyglądają?

— Wszyscy — odpowiedział żałośnie Quenten. — Prosimy o pozwolenie zawrócenia z drogi, kapitanie. To nie z twojego powodu ani kompanii — ani nie z powodu zadania. Sądzymy, że tu chodzi o sam Valdemar. Dzieje się tutaj coś dziwnego, co doprowadza nas do szaleństwa.

Czekał przez chwilę najwyraźniej po to, aby przekonać się, czy ona mu wierzy. Tylko pokiwała głową.

— Nie przerywaj — rzekła, domyślając się, że zbliża się do rozwiązania swojej małej łamigłówki dotyczącej magów i Valdemaru, przynajmniej częściowego rozwiązania.

— Mówiłaś, że Heroldowie boją się magii i że nigdy nie słyszałaś o magu z Valdemaru. Myślałem, że to przypadek, czy coś takiego. — Nerwowo wykręcał mankiet swojego rękawa. — No cóż, tak nie jest. Od chwili przekroczenia granicy wszyscy coś poczuliśmy.

— Co? — zapytała niecierpliwie. — Co to jest? Jeśli w pobliżu kręci się coś, co ma mnie kosztować utratę moich magów, chcę o tym wiedzieć.

Przygnębiony Quenten zacisnął zęby.

— Nie wiem — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Naprawdę nie wiem! To jest tak, jakby ktoś nas obserwował przez cały czas. Początkowo to było tylko irytujące; sądziliśmy, że to jakiś utalentowany młokos krąży gdzieś wokoło, myśląc, że może nas tropić. Ale nigdy nikogo nie przyłapaliśmy i po pewnym czasie zaczęło nam to działać na nerwy. Jest to tak, jakby ktoś wciąż patrzył, gapił się na ciebie przez cały czas. Trwa to cały dzień i całą noc, bez przerwy, na jawie i we śnie. Z czymś podobnym nigdy ani się nie spotkaliśmy, ani o czymś takim nie słyszeliśmy. Nie byliśmy w stanie uwolnić się od tego ani odgrodzić i z każdym dniem jest coraz gorzej. Nie mogę już nawet zasnąć. Kapitanie, proszę o pozwolenie powrotu. Zaczekamy na was na kwaterze zimowej.

Gdyby to jeden z pozostałych magów prosił ją o to, mówiąc przy tym tak mgliście, podejrzewałaby oszustwo, lenistwo lub, co najmniej, przesadę. Lecz to był Quenten, godny zaufania jak nikt inny, niezbyt skory do wyolbrzymiania czegokolwiek. I w istocie wyglądał okropnie.

Gdyby to wszystko okazało się prawdą, nawet gdyby ich zatrzymała, na nic by jej się nie przydali. „Nie masz czasu na celowanie, gdy wciąż musisz się chować, a oni najwyraźniej tak się w tej chwili czują.”

— Czy Uzdrowicieli to też dotknęło? — spytała zaniepokojona. — Czy tylko was?

— Uzdrowicielom nic nie jest, kapitanie — zameldował Quenten z miną zbitego psa, jakby osobiście czuł się odpowiedzialny za to, że magowie zostali obrani za cel.

„W takim razie przy odrobinie szczęścia Potrzeba będzie mogła mnie nadal leczyć. A jeśli nie, to wciąż jeszcze jest dobrym mieczem. Nawiasem mówiąc, miecz nie dbałby o to, czy coś się na niego gapi czy nie”.

— W porządku — powiedziała nieszczęśliwa. — Możecie odejść. Wróćcie jednak do cywila i nie możemy przydzielić wam nikogo, kto by was odprowadził.

— Dobrze — odrzekł Quenten, bliski omdlenia od doznanej ulgi. — Gdy tylko przekroczymy granicę, poradzimy sobie. Dziękuję, kapitanie. Myślę, że gdybym musiał iść jeszcze dwa dni dłużej, zabiłbym kogoś. Już dwa razy musieliśmy poskramiać Arnoda; próbował uciec w śniegi ostatniej nocy, nie mając na sobie niczego prócz koszuli.

— Och — jęknęła Kero, żałując, że nie powiedzieli jej o tym wcześniej.

Wtedy, może, udałoby się namówić Quentena do pokierowania Potrzebą tak, aby objęła ochroną także i magów...

Jednak mogło się to nie powieść. Potrzeba nigdy nie chroniła magów przed magią. Prawdopodobnie oni wszyscy wychodzili na tym lepiej. I na dodatek Potrzeba zachowywała milczenie. Któż mógł stwierdzić, czy w istocie działa jeszcze czy nie?

Poleciała swojemu ordynansowi udać się z Quentenem i dopilnować, aby kwaterymistrz wydał im z zapasów, co tylko będzie mógł.

„Coś, co obserwuje bez ustanku” — pomyślała oszołomiona, zasiadając do tego, co zostało po jej kolacji. „To rzeczywiście może doprowadzić do szaleństwa. Szczególnie gdy ktoś już jest niezrównoważony, jak to często bywa w przypadku magów. No cóż, mają ku temu dobre powody.

Nic dziwnego, że w Valdemarze nie ma magów. Albo dostali pomieszania zmysłów, albo uciekli. Sprytny sposób obrony. Na tym łamigłówa się kończy. Pozostaje jedynie nadzieja, że moje ostrze wciąż działa. Rzeczy mogą przyjąć kiepski obrót, jeśli tak nie jest”.

W połowie drogi do stolicy Valdemaru, Haven, wydawało się, że sława znacznie ich wyprzedza. Ludzie wychodzili z miasteczek wzdłuż drogi, aby przyglądać się ich przemarszowi. Byli przyjaźni, choć zachowywali rezerwę i ostrożność, tak jakby nie całkiem wiedzieli, czego spodziewać się po kompanii najemników. Kero kazała reagować na zachowanie przyjazne i ignorować akcenty nieprzyjazne, które też się zdarzały. Stare kobiety i mężczyźni pamiętający wojny Tedrela przekonani byli, że wszyscy najemnicy są tacy jak Tedrel. Za każdym razem, gdy się zatrzymywali, przynajmniej raz ktoś wykrzykiwał obelgę — której i tak połowa żołnierzy nie rozumiała — ktoś inny przeproszał za „dziadunia”, a Kero lub jeden z jej poruczników cierpliwie objaśniali różnicę pomiędzy najemnikami Gildii i spoza niej. Stało się to tak nagminne, iż od momentu wkroczenia w granice

miasta żołnierze obstawiali zakłady, kto sprawi kłopoty. Osobiście Kero poczuła ulgę, że wojny Tedrela toczyły się tak dawno temu — mijające lata sprzyjały zapomnieniu, szczególnie w obliczu nowego wroga. Ancar wynajął magów, o których krążyły jedynie opowieści i każde straszdyło z dzieciństwa wyłaziło teraz z szaf, by stać się najgorszą zmorą dorosłych.

Tak więc mieszkańcy Valdemaru wylęgali przeważnie po to, aby przyjrzeć się wojownikom najętym do walki u ich boku i odchodzili uspokojeni. To byli twardzi, wytrawni weterani na szybkich, smukłych koniach, jakich ten rolniczy lud do tej pory nigdy nie widział — lecz uśmiechali się do dzieci, częstowali słodyczami i sadzali na końskich grzbietach. Stawili czoło magom i odnieśli zwycięstwo. Jeśli komuś udawało się znaleźć Pioruna Nieba, który by znał mowę kupców lub posiadał w pewnym stopniu mowę Valdemaru oraz zdołał przy wtórze rozpaczliwie powolnej pantomimy zapytać o walkę przeciw magom, odpowiedź zawsze zaskakiwała pytającego, ponieważ nieodmiennie towarzyszyło jej wzruszenie ramion i odpowiedź:

— Oni umierają.

Kero w końcu skróciła to do kilku prostych zdań i poleciła swoim oficerom, aby nauczyli ich każdego żołnierza:

— Powiedzcie im, że magowie są ludźmi. Krwawią, jeśli ich zranić, giną, jeśli zadać im właściwy cios. Muszą jeść i męczą się, jeśli pracują zbyt długo. Są rzeczy, które mogą ich powstrzymać i takie, których nie ma się ich magia. . .

Po czym następowała lista sztuczek, które znał każdy najemnik Gildii: sól i zioła, święte talizmany rozpraszające uwagę magów, poprzez swoje komponenty zakłócające zaklęcia, skradające się i zaskakujące maga od tyłu, nawet przytłaczanie maga nawałą strzał lub ciał, tak aby uległ, nie mając czasu odparować ciosów pojedynczo.

To był zwykły lud rolników, kupców, rzemieślników i pasterzy. Słyszeli wszystkie stare opowieści i nic z tego, co wiedzieli, nie przekonywało ich, że są w stanie zdziałać coś we własnej obronie. Wydawało im się, iż niewyobrażalnej potęgi magów niczym nie można powstrzymać, jak sztormu. Wieść, że magowie byli po prostu innym rodzajem wojowników, usłyszana od tych, którzy stanęli po prostu z nimi oko w oko i zwyciężyli, dawała szarym ludziom odwagę, której im dotąd brakowało; budowała zaufanie do tych zagranicznych żołnierzy.

Wszystko to obracało się na dobre, przynajmniej jeśli chodziło o Kero. „Przyjazna ludność cywilna jest najlepszym sprzymierzeńcem najemnika” — to była jedna z maksym Tarmy, a w Seejay Ardana udowodniła niezbitcie, jakim wrogiem może stać się nieprzyjazna ludność. Pioruny Nieba znały maksymę i dyscyplinę i nawet tu, gdzie połowa z nich nie posługiwała się tutejszym językiem na tyle, aby zapytać o wygódkę, zostawiały po drodze sprzymierzeńców.

Tego rodzaju zachowanie było w Kero i w jej żołnierzach tak zakorzenione, że kiedy Heroldowie Talia i Dirk wyjechali im na spotkanie o jakiś tydzień drogi

od Haven, Kero była mocno zdumiona szerokimi uśmiechami na ich twarzach.

Przybyli tuż po rozbiciu obozu, kiedy Kero grzała się przy swoim koszu z węglami. Wiał wyjątkowo przeszywający wiatr, wydawało się, że znajduje każdy słaby punkt namiotu; ścianki na zmianę to wydymały się, to zapadały. Kero marzyła o ułożeniu swoich zziębniętych kości w łóżku, gdzie miałyby przynajmniej szansę się rozgrzać. Spodziewała się przyjazdu eskorty w każdym momencie, więc gdy goniec przywiózł jej wieść o jej nadejściu, ponarzekła odrobinę, dorzuciła nieco więcej węgla drzewnych do kosza, wkopnęła luźne rzeczy pod pryczę i próbowała rozgrzać się jeszcze trochę, zanim jej ordynans nie przywiódł ich do jej namiotu, otulonych w grube, białe opończe, jakby chodzące śnieżne zaspę.

Ale kiedy weszli do środka i Kero zaprosiła ich, by razem z nią zasiedli przy gorącej herbacie, otwarcie przyjacielskie zachowanie Dirka było dla niej swego rodzaju zaskoczeniem. W Rethwellanie oboje byli małomówni; zwłaszcza Dirk był szczególnie milczący, a nawet podejrzliwy. Teraz zachowywał się jak utracony dawno temu krewny; uśmiech spowodował, że jego pospolita twarz zrobiła się przystojna.

„Czego, u licha, jest to wynikiem?” — głowiła się. Pletli przez chwilę i gdy tylko pojawiła się herbata, Kero zapytała ostrożnie:

— A więc teraz, kiedy dzieli nas tydzień jazdy od Haven, co królowa i jej lord marszałek sądzą o naszym przybyciu? Czy powinniśmy być przygotowani na coś szczególnego?

Dirk roześmiał się i potrząsnął głową.

— Jeśli spodziewacie się chłodnego powitania, nic z tego, kapitanie. Ty i twoje Pioruny Nieba zachowywaliście się wspaniale w czasie pochodu. Królowa jest bardzo zadowolona z waszej dyplomacji i powściągliwości. . .

— Dyplomacja? — powiedziała Kero, zbyt podenerwowana, aby zdobyć się na uprzejmości. — Powściągliwość? Cóż ona sobie myślała, że co zrobimy: stracimy dzieci, zgwałcimy owce i obrócimy tawerny w perzynę?

— No cóż. — Dirk wydawał się zakłopotany.

„Tego dokładnie oczekiwali. O czym, prawdę mówiąc, wiedzieliśmy”.

— Heroldzie, my jesteśmy zawodowcami — rzekła znużonym głosem. — Zarabiamy na życie wojując. To nie czyni z nas zwierząt. Prawdę powiedziawszy, myślę, że przekonacie się, iż moi żołnierze, kobiety i mężczyźni, są mniej skłonni do sprawiania kłopotów w mieście niż grupa waszych własnych rozpieszczonych, zepsutych, wysoko urodzonych urwisów.

Dirk oblał się głębokim purpurowym rumieńcem.

— Mogliśmy się jedynie opierać na opowieściach. . .

— No cóż, powinniście posłuchać niektórych opowieści na południu o ruma-kach bojowych Shin'a'in albo o Heroldach. Ci ostatni są demonami, a te pierwsze, w zasadzie, obrzydliwymi Towarzyszami — powiedziała, przywołując na twarz szczerą uśmiech. — Tak więc upiór jednego jest aniołem drugiego i po-

nieważ zuchy zwące was „demonami” były złodziejami i mętami, którzy imaliby się wszystkiego poza pracą, powstrzymam się od wydawania o tym werdyktu. Ale ja dosiadam klaczy bojowej i chociaż jest ona bardzo mądrym zwierzęciem, specjalnie hodowanym do tego, co robi, nie można jej porównywać z Towarzyszem. A więc...

— A więc nie powinniśmy zbyt pochopnie dawać wiary opowieściom — zachichotała Talia, nieco bardziej pochylając się nad ogniem. — Słuszna reprimenda. Lecz muszę ci powiedzieć, kapitanie, że — jak myślę — mieliśmy prawo poczuć się zaskoczeni sposobem, w jaki zdobywaliście po drodze przyjaciół. Spodziewaliśmy się, że będziemy musieli uspokajać naszych ludzi, którzy nie przywykli do najemników i wiedzą o nich przeważnie złe rzeczy. Jednak wy wykonaliście całą robotę za nas.

Kero wzruszyła ramionami, w głębi duszy zadowolona, i dorzuciła kolejną szufelkę węgla drzewnego do ognia.

— No tak, jedno z powiedzeń mojej matki z Klanu Shin’a’in brzmi: „Zobojętniały przyjaciel jest niebezpieczniejszy od wroga”. Próbujemy działać na zaprzyjaźnionym terytorium i, doprawdy, nie jest to takie trudne, o ile postawa ludzi nie jest naprawdę wroga wobec najemników. Prawdę mówiąc, mam tylko jeden kłopot i wydaje się, że w zgodzie z rodzinną tradycją...

— Och? — odezwał się Dirk; on i Talia wydawali się zaintrygowani.

Westchnęła.

— Plagą całego życia mojej babki i jej she’enedry były pieśni pewnego minstrela. To, co on w nich głosił, było w najlepszym wypadku tylko połową prawdy i doprowadzało do różnorakich kłopotów z tym, czego ludzie od nich oczekiwali. No cóż, kiedy byłam młoda, głupia i zadufana w sobie, ktoś napisał pieśń o mnie. Nosi tytuł „Pościg Kerowyn” i ku mojemu najwyższemu obrzydzeniu wydaje się, że pokonała wszelkie bariery językowe.

Dirk sprawiał wrażenie, jakby z trudnością przychodziło mu zachować powagę. Tak samo Talia.

— Znam tę pieśń — rzekła kobieta z twarzą pełną uciechy. — Prawdę mówiąc, sama ją śpiewałam.

— Tego się obawiałam. Czy wolno mi mieć nadzieję, iż nikt na waszym dworze nie wie, że to jest o mnie?

Talia uśmiechnęła się.

— O ile się orientuję, nie wiedzą. Ale to bardzo popularna pieśń.

Sącząc herbatę, Kerowyn zastanawiała się przez chwilę, czy istnieje na świecie ktoś, kto by nie słyszał tej pieśni.

— Moi żołnierze są śmiesznie z tego dumni i nie mogę przeszkodzić im w mówieniu ludziom, że to ja jestem tą Kerowyn. Gdy tylko wasi wieśniacy dowiedzą się o tym, skończy się na tym, że będą musiały słuchać bezbożnej interpretacji

jakiegoś rolnika. A mnie się nawet nie podoba większość melodii — dokończyła ze skargą w głosie.

Dirk poczerwieniał na twarzy, próbując zdusić śmiech. Kero spojrzała na niego groźnie, lecz to tylko pogorszyło sprawę.

— To ty powinienes siedzieć na niektórych z tych występów — burknęła. — Dziecięcy chór świątyni w Revenie, najstarszy piernik z Thornton przy akompaniamencie własnym na katarynce, para sopranów lirycznych, którzy śpiewali tak, że wydawało się, iż jest to dialog pomiędzy baranem i owcą oraz przynajmniej tuzin niedosłych bardów z rozstrojonymi harfami. Minstrele! Chciałabym podusić ich wszystkich!

To przepełniło miarę. Dirk nie mógł powstrzymać się dłużej. Przeprosił krztusząc się i uciekł na zewnątrz. Gdy już się tam znalazł, jego gromki śmiech był tak samo wyraźny jak w granicach czterech ścian namiotu.

— No dobrze — powiedziała Kero z rezygnacją. — Przynajmniej nie roześmiał mi się w twarz.

Talia nieco lepiej panowała nad sobą.

— Potrafię zrozumieć, od kiedy to może stać się męczące, szczególnie jeśli nie lubisz muzyki.

— Nie lubię muzyki wokalnej — z rezygnacją stwierdziła Kero. — A powodem, dla którego jej nie lubię, jest to, że każdemu durniowi nie odróżniającemu jednej nuty od drugiej wydaje się, iż dorównuje mistrzowi bardów. Mam słuch absolutny, Heroldzie — nic ponadto. Ja z pewnością nie jestem śpiewaczką — lecz mam słuch absolutny, naprawdę, a słuch moich krewnych jest równie dobry. Od fałszywie śpiewających amatorów cierpnie mi skóra jak od drapania paznokciami po dachówce. I niewiele pożytku przychodzi z pieśni na mój temat. Czekażcie, pewnego dnia i wam się to przytrafi, a wtedy dla tego wysokiego faceta, tam na zewnątrz, wysłuchiwanie tego co noc przez czternaście dni pod rząd przestanie być takie zabawne, zwłaszcza że tylko co pewien czas zostanie to zaśpiewane dobrze.

— Masz rację, kapitanie — rozległ się od wejścia głos skruszonego Dirka. — Proszę o wybaczenie. Lecz szkoda, że nie widziałas wyrazu swojej twarzy.

— Cieszę się, że nie. Słuchajcie, chciałabym wam coś powiedzieć. Nie wspominałam o tym uprzednio, ale w szeregach moich żołnierzy byli magowie. Prawdziwi magowie, wprawni w rzeczywistej magii. — Przyglądała im się uważnie, aby stwierdzić, jak na to zareagują. — Większość kompanii najemników ich ma, jeśli mogą sobie na to pozwolić.

— Byli? — zapytał Dirk po długiej chwili milczenia. — Czy to znaczy, że nie przyprowadziłaś ich ze sobą?

Niczego nie mogła wyczytać z ich twarzy, a to nie była odpowiednia pora na próbę wściubiania nosa w czyjeś myśli. A zwłaszcza myśli Herolda, który może ją na tym przyłapać.

— Nie — powiedziała szczerze. — Próbowałam ich ze sobą zabrać, ale zostali zatrzymani na granicy — przez co, tego nie umieli stwierdzić. Tyle że czuli się, jakby coś ich obserwowało, we śnie i na jawie. W końcu zaczęło im to tak doskwierać, że błagali mnie o odesłanie ich do domu, nim dostaną pomieszania zmysłów. To jest oczywista przyczyna, dla której nie macie prawdziwych magów w Valdemarze. Coś ich sobie tutaj nie życzy i wpatruje się w nich, dopóki nie odejdą.

Tak jak w przypadku Eldana musiała wyduszać z siebie każde słowo i dlatego mówiła powoli, aby nie można było tego zauważyć. „Nie wyjaśnia to, dlaczego coś tutaj nie życzy sobie, abyście wiedzieli o magii, lecz to nie moje zmartwienie. Dopóki słowa nie więzną mi w gardle, nie dbam o to. Potrzeba zachowywała okropne milczenie, ale nie mam poczucia, że miecz jest poddany manipulacji, zaczyna wyglądać na to, że Potrzeba nie chce zwracać na siebie uwagi. Jeśli chodzi o mnie, to wszystko w porządku. Oznacza to, że on wciąż działa”.

Wiatr wył w narożnikach namiotu i Talia ciałniej otuliła się swoją białą opończą.

— To oczywiście wiele wyjaśnia — odparła powoli. — Jednak nie jestem pewna, jakie to ma znaczenie ani skąd się bierze.

— Trzeba by prawdopodobnie bardzo potężnego maga, aby z czymś takim się uporał — dodał Dirk. — Może poprzez ukrywanie swojej natury?

Kero wzruszyła ramionami.

— Może macie rację, lecz poza faktem, że utraciłam moich magów, to naprawdę nie ma znaczenia. I gdybym była na waszym miejscu, nie liczyłabym, że ten efekt ochroni Valdemar w przyszłości. Moja babka zawsze twierdziła, że każde kiedykolwiek rzucone zaklęcie może być złamane i jeśli Ancar ma dostatecznie potężnego maga w zanadrzu, może uporać się z tym także. Ponieważ ja utraciłam moich, zamierzam porozmawiać z większą liczbą was, Heroldów, aby dowiedzieć się, na co was stać. Jestem prawie pewna, że zdołacie uzupełnić lukę, lecz muszę znać granice, których nie możecie przekroczyć. I jeszcze jedno — powiedzcie królowej, że dzięki ścisłej współpracy z moimi magami i przyglądaniu się pracy mojej babki posiadam niezłą wprawę w ocenie mocy magów i tego, co mogą, a czego nie mogą zrobić.

— To da się łatwo przeprowadzić, kapitanie — powiedział Dirk wstając. — Czy jest jeszcze coś, co moglibyśmy dla ciebie uczynić?

— Nie, dopóki nie dojedziemy do Haven i nie będziemy mogli się schronić w prawdziwych barakach, a ja będę się mogła ponownie rozgrzać. — Na skinienie dłoni Dirka, Kero nadal siedziała. — Chyba że możecie wyczarować dla mnie namiot szczelniejszy niż ten. Oczekuję z niecierpliwością na spotkanie z królową Selenay.

— A ona oczekuje ciebie — powiedziała Talia z uśmiechem. — Sądzę, że

niezwykle się sobie spodobacie.

Królowa Selenay byłaby siostrą Kero, gdyby tej ostatniej dana była moc takiego wyboru. Kero wiedziała o tym od momentu, kiedy spotkały się ich oczy: niebieskie z niebieskozielonymi. Z łatwością mogłyby być siostrami; Kero była starsza od Selenay nie więcej niż dwa do trzech lat.

— Kapitan Kerowyn — powiedziała królowa, wstając zza biurka i podając rękę na przywitanie z pominięciem wszelkiej etykiety. — Bardzo się cieszę, że nareszcie się spotykamy i jestem równie zadowolona, iż mijające lata okazały się dla ciebie tak szczęśliwe, jak na to, zgodnie z tym, co powiedział Eldan, zasłużyłaś. Usiądź, proszę.

Dźwięk imienia Eldana przestraszył ją. Z trudem przełknęła ślinę i uważnie popatrzyła w twarz królowej, zanim ujęła wyciągniętą rękę.

— To mogłoby zostać uznane za marną nagrodę, Wasza Wysokość — odpowiedziała, siadając na krześle. — Istnieje przekleństwo Shin'a'in uważane za bardzo potężne: „Obyś dostał dokładnie to, na co zasłużyłeś”.

Rozległ się śmiech królowej, aksamitny śmiech bez śladu złej woli.

— Jestem pewna, że nikt z nas nie miał tego na myśli, a ja nie jestem „Waszą Wysokością” pomiędzy moimi komendantami. W polu Lord Wojny jest mi równy rangą, tak więc jestem zwykłą „Selenay”.

Nic w wyglądzie królowej nie świadczyło o tym, że stwierdzenie to wynikało z nieśmiałości czy fałszywej skromności. Była ubrana niemal identycznie jak Talia, która teraz stała u jej boku — w strój, który, jak Kero się dowiedziała, zwano „Bielą Heroldów”. Tutaj, w Valdemarze, w biel odziani byli Heroldowie, w szkarłat bardowie, a w zieleń — Uzdrowiciele. To ostatnie raczej jej się podobało; odnalezienie Uzdrowiciela na polu bitewnym było znacznie łatwiejsze. Z drugiej strony, na tym samym polu bitwy, jak to pewnego razu powiedziała Eldanowi, te białe uniformy zdawały się wołać: „Ja jestem celem! Celuj we mnie!” Jedyna różnica pomiędzy ubiorem Talii i Selenay polegała na tym, że Talia otwarcie nosiła długi nóż i była ubrana w spodnie, a Selenay miała na sobie coś w rodzaju rozciętej spódnicy do konnej jazdy, która nadawała jej wygląd nieco bardziej formalny, nadmiernie nie krępując ruchów. Gęste, długie do ramion blond włosy królowej były upięte jednym, prostym, złotym diademem — nie było innych, zewnętrznych oznak jej rangi. Nawet ta izba, pierwsza komnata królewskich apartamentów, była urządzona całkiem prosto: na ścianach wisiały dwa stare gobeliny, na posadzce stało kilka krzeseł wybranych raczej pod kątem wygody niż pięknego wyglądu i biurko z ciemnego drewna, zarzucone papierami. Nic nie wskazywało na to, że ta komnata należy do kogoś wysokiego rangą.

— Jesteśmy w stanie wojny, kapitanie — ciągnęła Selenay, pogodnie przyjmując lustrację Kero. — Nie wiem, czego od nas oczekiwałaś, ale ja spodziewam

się od twoich żołnierzy pewnej pracy przed wyruszeniem w pole.

„He. Lepiej od razu wyjaśnić niektóre sprawy — na przykład to, że nie jesteśmy cudotwórcami”.

— Powiem ci to szczerze, Wasza... Selenay — odrzekła Kero. — Jeśli spodziewasz się, że przyłożymy rękę do wszystkiego i pomożemy nie tylko w szkoleniu rekrutów, będziemy mogli spełnić każde twoje życzenie. Ale jeśli myślisz, że możemy oderwać parobków od pługów i uczynić z nich oddział wyspecjalizowanej kawalerii w czasie krótszym niż dwa tygodnie, lepiej będzie, jeśli wyślesz nas wprost tam, skąd spodziewasz się Ancara, bo tego nie potrafimy. Nikt nie potrafi.

Selenay kiwnęła głową szybko, tak jakby to właśnie spodziewała się usłyszeć od Kero.

— Wiem o tym. Chciałabym jednak, aby twoi ludzie popracowali z konnymi, przysłanymi nam przez członków pewnych wysokich rodów, którzy dokonali prywatnego zaciągu, łożyli na nich i szkolili. Sądzę, że niektórzy z nich będą beznadziejni; chcę, aby ci zostali odsyłani i wyznaczani tam, gdzie nie wyrządzą szkody. Niektórzy będą mierni, tych przydzielimy do gwardii konnej, którą utrzymuję do ścigania rabusiów. Chcę, aby ci byli przez was jak najlepiej przeszkoleni, aby mogli działać wspólnie, nie trując jeden drugiego.

— Co właśnie teraz czynią — stwierdziła Talia zza pleców królowej. — Gdyby sytuacja nie była taka zła, poradziłabym zatrzymać ich dla rozrywki.

Kero zdołała zachować powagę na twarzy. Jeden kącik ust Selenay zadrgał, lecz i jej się to udało.

— Codziennie informuj lorda marszałka; przydzieliłam ci oficera łącznikowego.

Kerowyn była pod wrażeniem, kamień spadł jej z serca. Selenay dobrze wiedziała, co jest możliwe, a co nie, i miała zamiar przystać na to, co możliwe. Dzięki temu jej zadanie było o tyleż łatwiejsze.

— Można to zrobić — odpowiedziała odprężając się. — Kto jest moim łącznikiem z lordem marszałkiem?

— Moja córka Elspeth — powiedziała Selenay i Kero upadła na duchu. „Tego właśnie mi trzeba, wszystkowiedzącej księżniczki za plecami. Ciekawe, czy zdołam namówić Andersa, aby ją oczarował i usunął z mojej drogi — z tymi wielkimi, brązowymi oczami, wspaniałym ciałem i całą resztą powinien być w stanie...”

Przerwało im pukanie do drzwi komnat królowej i kiedy Kero odwróciła się przestraszona, jeszcze jedna szczupła, młoda kobieta w bieli wsunęła się do środka. Miała brązowe włosy, brązowe oczy i była uderzająco podobna do Farama.

— Matko, przepraszam za spóźnienie, ale... — przerwała natychmiast, gdy Selenay podniosła rękę.

— Możesz mi powiedzieć później, co cię zatrzymało. Elspeth, to jest kapitan Kerowyn. Kapitanie, twoja łączniczka, moja córka.

Oczy dziewczyny zaokrągliły się ze zdumienia. Szybko przemierzyła pokój, aby mocno, tak jak jej matka, uścisnąć wyciągniętą rękę Kero.

— Strasznie mi przykro, kapitanie — powiedziała w języku Rethwellanu bez śladu akcentu. — Gdybym wiedziała, że przybywacie dzisiaj, zorganizowałabym wszystko inaczej. My, Heroldowie, musimy spędzić pierwszy rok lub dwa, spełniając funkcję sędziów i arbitrów pod okiem starszych Heroldów. Zwykle odbywa się to poza Haven, gdzie nie możemy uciec do domu, do mamy, kiedy zagrzmie grom, lecz ponieważ ja jestem następczynią, nie pozwolą mi na to; mam w planie wyruszyć w pole, a nie uciec do domu pod skrzydła mamusi.

Kero zamrugła oczami. „No cóż, to zadziwiające. Pierwsze dziecko wysokiego rodu, które nie jest ani zepsute, ani nie wierzy, że z rangą wiąże się przywilej mądrości”.

— Potrafię zrozumieć ograniczenia — odpowiedziała w języku Elspeth. — Wystarczyłaby ledwie jedna zabłąkana strzała.

Elspeth westchnęła.

— Wiem, lecz kłopot polega na tym, że skoro nie jestem nieosiągalna, fechtmistrz zdaje się uważać, że cały mój czas mogę poświęcić na lekcje i ćwiczenia; Herold Presen wciąż posyła mnie do innego sądu miejskiego, na dodatek ciągle muszę być obecna na posiedzeniach Rady, jako że jestem następczynią — i, matko, Taren polecił powiedzieć ci. . .

— Mam radę wojenną, tak, wiem. Tak samo jak i ty. I zabieram kapitana ze sobą.

Selenay uśmiechnęła się dumna ze swojego dziecka i Kero nie winiła jej za to, lecz odwzajemniła uśmiech. Współpraca z nią nie będzie sprawiać najmniejszych kłopotów.

Wtedy jak grom z jasnego nieba ocknęła się Potrzeba, po raz pierwszy od przekroczenia granicy; skupiła się na Elspeth. . . Kero poczuła się, jakby ktoś wrzucił ją do wnętrza metalowego dzwonu, który następnie został z zewnątrz uderzony młotem. Ona i miecz wibrowali razem przez nieskończenie długą chwilę. Wszystko było skupione na Elspeth, która wydawała się całkowicie nieświadoma tego, co się dzieje. Prowadziła rozmowę ze swoją matką, podczas gdy Kero próbowała zebrać rozbiegane myśli. Nie było wątpliwości, że Potrzeba znalazła osobę, której pragnęła być przekazana.

Ale teraz?

Postawiła to pytanie mieczowi tak twardo, jak tylko mogła, lecz ostrze ponownie zachowywało całkowitą ciszę, tak jakby nic się nie stało.

„Błogosławiona Agniro” — pomyślała Kero, ciesząc się niezwykle z tego, że Selenay wciąż pochłonięta była rozmową z córką. „Czy to samo uczynił mojej babce, gdy po raz pierwszy stanęłam na progu Wieży? Nie, nie mogło tak być. Po pierwsze, nie miała go w tym momencie u pasa. Ale mogłabym iść o zakład, że to właśnie poczuł ten stary wojownik, który przekazał go jej”.

No cóż, po raz pierwszy ta durna rzecz nie zamierza nalegać, aby ją przekazano niezwłocznie. Może wyczuwa, że Kero zażąda jej potęgi w nie tak odległej przyszłości. I miecz na pewno wiedział — jeśli miał świadomość — że upierałaby się co do tego, dopóki wojna nie dobiegnie końca.

„Doskonale” — zdecydowała, gdy Selenay odwróciła się od swojej córki i gestem zwróciła uwagę, że obydwie powinny się za nią udać. „Będę się tym martwić później i niech mnie licho, jeśli dam ten miecz tak przyjemnemu dziecku jak Elspeth bez ostrzeżenia, do czego on jest wobec niej zdolny!”

I wysłała myśli wprost do ostrza.

— *A więc nie próbuj z nią swoich sztuczek albo dopilnuję, aby wrzuciła cię do studni!*

Dwudziesty drugi

Wiosna to kiepska pora na prowadzenie wojny — pomyślała Kero. Wyteżała oczy, starając się przebić wzrokiem gęstą mżawkę. Skroplona wilgoć wpływała do jej oczu i ściekała po nosie. Otarła twarz, ponura i nieszczęśliwa. „I jeśli ten dureń nosi się z zamiarem najazdu, ktoś mógłby się ludzić, że wybierze lepszą pogodę. Mgła i deszcz, co za obmierzła mieszanka”.

Stała obok klaczy na jedynym znaczniejszym wzniesieniu w tej okolicy. Choć wznosiło się ono sporo ponad okolicznymi polami, jej nic z tego nie przychodziło. Ta mżawka ograniczała widoczność do kilku końskich długości i jedynym sposobem dowiedzenia się czegokolwiek było wysłanie zwiadowców i gońców.

Hellsbane strząsnęła krople wody z sierści. Kero żałowała, że i ona nie może tego zrobić. Gdyby ludzie Selenay nie upierali się, że to właśnie tutaj i teraz Ancar zamierza podjąć próbę, nie spodziewając się żadnego oporu, wróciłaby prosto do ciepłego namiotu. Jej ręce były obolałe od chłodu, a przeciwdeszczowa oponcza przepuszczała wodę nad prawym ramieniem.

Ale namiot zwinięto, a Heroldowie z darem wróżenia przyszłości nie mylili się jak do tej pory.

Dziś jedynymi żołnierzami w polu były Pioruny Nieba w barwach Valdemaru. To na nich spadło zadanie nękania Ancara w pierwszych kilku potyczkach, zmęczenia go, zanim spotka się z prawdziwym wojskiem Valdemaru, zaskoczenia go taktyką, której nie spodziewałby się po regularnej armii.

Zorganizowali obronę, mając na uwadze to, by zmusić go do poświęcenia w pierwszych starciach swoich najlepszych wojowników. Wojsko, jakie napotka Ancar w ciągu najbliższych kilku dni, będzie konnicą; piechota zagrozi mu drogę wyżej na północy. Wtedy jego piesi żołnierze będą już wyczerpani, próbując dotrzymać kroku konnicy, a ich własne wojsko wypoczęte.

Plan Kero polegał na tym, aby każda piędź ziemi zdobyta przez Ancara okazywała się kosztownym błędem. Zamierzała zwabić go na północ, pozorując ucieczkę, gdy tymczasem przez cały czas posuwałby się wzdłuż własnej granicy.

Kiedy Kero wyjaśniła — najdelikatniej jak umiała — w czym jeszcze specjalizuje się jej kompania, Selenay ponownie sprawiła jej przyjemną niespodziankę.

— Masz na myśli to, że jesteście sabotażystami?! — wykrzyknęła zachwyco-

na. — Cała kompania podstępnych magików od brudnych sztuczek? Jasna Astero, dlaczego nie powiedziałaś o tym do tej pory? Na litość boską, jeśli ktokolwiek podważy twoją taktykę, przyślij go do mnie. Masz moje poparcie!

A więc Kero i jej Piorunom Nieba wręczono *carte blanche*, mogli robić to, co musieli robić; świetnie się składało, bo i tak by to robili.

„Wydawało mi się, iż rzeczy, z którymi zetknęliśmy się do tej pory, były dziwaczne, ale to jest bardziej zagmatwane niż ślad węża” — myślała, przypominając sobie swoje wystąpienie na radzie wojennej, gdy wreszcie ułożyła główny plan, oparty na ustaleniach nakreślonych wspólnie z Darenem. „Po pierwsze t’obserwatorzy, kimkolwiek są; potem to, że mówienie tutejszym ludziom o magii przypomina wbijanie paznokci w skałę; z drugiej strony ta sprawa z Iftelem. Tak jakby kraj ten był niewidoczny z wnętrza Valdemaru. Jest na mapie, ale ich oczy prześlizgują się tuż obok niego...”

— Musimy wziąć Ancara w kleszcze, pozostawiając mu tylko jedną drogę ucieczki. Naszą największą szansą jest zwabienia go nad granicę Iftelu i schwytanie go tam w zasadzkę — powiedziała Radzie.

A oni, każda kobieta i każdy mężczyzna, sprawili wrażenie strasznie zmieszanych.

— Iftel? — niepewnym głosem odezwała się w końcu Talia, tak jakby z trudnością przychodziło jej wymówić tę nazwę. — Dlaczego Iftel?

— Z powodu tego, co usłyszałam w Gildii — wyjaśniła im wszystkim Kero. — Iftel chroni swoje granice, sprawiając, że wszyscy zapominacie o jego istnieniu, trzymając was z dala, jeśli nie ma ochoty na wpuszczenie was do siebie. Sądzę, że właśnie potwierdziliście to pierwsze, co skłania mnie do myślenia, że i drugie jest prawdą.

— Iftel jest... dziwny — przyznała Selenay. — Mam tam ambasadora, nie jest on Heroldem. Oni — jakież to dziwne — oni nie życzą tam sobie Herolda. A jednak w całej naszej historii ani razu nam nie zagrozili i podpisali kilka całkiem zobowiązujących traktatów, że nigdy tego nie zrobią. Ze wszystkich przekazów wynika jednakże, iż kraj ten jest tak samo niesamowity jak Pelagir i to jest, w rzeczy samej, bardzo dziwaczne.

Zgadzało się to z tym, co powiedziano Kero w Gildii. Oni nie mieli tam swojego reprezentanta, lecz nie dlatego, że zakazano im wstępu, a dlatego, że za każdym razem, gdy posyłali tam kogoś, niemal umierał z nudów. W Iftelu nie było rabusiów. Iftel posiadał własną ochronę, zorganizowaną na poziomie hrabstw. Iftel nie zaciągał najemników, ponieważ Iftel nie potrzebował żadnych najemników. Od czasu do czasu młodzieńcom puszczały nerwy na tyle, aby porzucić rodzinne strony, lecz to były jedyne przypadki, kiedy Gildia pozyskiwała członków pochodzących z Iftelu. Ci nigdy nie wracali z powrotem do domu.

„Iftel troszczy się sam o siebie, dziękuję”.

No cóż, dzięki temu był dobrym miejscem, aby tam stawić czoło wrogowi.

Wojsko Ancara byłoby ściśnięte pomiędzy granicą Iftelu na północy, siłami Valdemaru na zachodzie i Rethwellanu na południu.

Kero starła z twarzy krople deszczu, lecz na niewiele się to zdało. Wciąż nie mogła sięgnąć wzrokiem dalej niż do stóp wzgórza. Ale tam, gdzieś pod osłoną mgły, działali specjaliści i jeśli wróżbici nie mylili się, pierwsze oddziały Ancara natkną się na coś nieprzyjemnego, czego nie powinno tutaj być, nim świeca stopi się o jedną lub dwie marki.

Harcownicy poniżej niej poruszyli się niespokojnie, czekając na swoją szansę. Wszystko wskazywało na to, że dzisiejszy dzień będzie najłatwiejszy w całej kampanii i to dlatego Kero chciała, aby to jej kompania tylko dzisiaj weszła do akcji. Oni wiedzieli, że wojen nie wygrywa się ani nie przegrywa w pierwszej bitwie; wiedzieli, że łatwy dzień jest wyjątkiem, a nie regułą. Gdyby mniej doświadczone wojsko Selenay brało dziś udział w działaniach, a każdy następny dzień po tym łatwym był coraz trudniejszy i trudniejszy, mogłoby uznać to za nieprzerwane pasmo porażek i utracić serce do walki. Mówiąc prawdę, Kero miała nadzieję, że w tym pierwszym dniu nie utraci ani jednego wojownika, lecz także zdawała sobie sprawę, jak i wszyscy w polu, że potyczki takie jak ta przytrafiają się raz w całej karierze i nigdy więcej.

„A więc nam to teraz przypada w udziale”.

Poprzez mgłę dobiegły stłumione odgłosy kopyt końskich; lata doświadczeń pozwoliły Kero określić dokładnie, skąd naprawdę dochodziły te dźwięki, mimo że widoczność tego dnia była kiepska.

„To od strony pułapki. Sądzę, że coś zacznie się dziać”. Jeden ze zwiadowców wyłonił się zza zasłony mżawki i pognął w górę, jego koń był ubłocony aż po brzuch.

— Nadchodzą, kapitanie. Idą prosto w pułapkę.

Jej serce zaczęło bić żywiej pomimo wieloletniego doświadczenia.

— Doskonale — odpowiedziała, a Herold u jej boku cicho przekazał to swoim towarzyszom, w tym Selenay i Elspeth. — Przekaż pozostałym, aby go podrażnili, gdyby się ociągał.

— Tak jest! — Zwiadowca zasalutował i pognął z powrotem.

Zniknął, wtapiając się w mgłę jak duch.

„Pułapka” było bagno; bagno, którego jeszcze przed tygodniem tam nie było. Miesiąc temu eksperci Kero zmienili kierunek koryta małej rzeczki, odległej o kilka mil, i spiętrzyli jej wody za pomocą ziemnej tamy ponad płaską, trawiastą łąką, na którą, jak to zapewniali wróżbici, zmierzał Ancar. Następnie, dwie noce wcześniej, przerwali tamę.

Miejsce to teraz tonęło na dwie do trzech stóp w wodzie i błocie pod kołkiem długich traw, które tam rosły, pod kożuchem porostów unoszącym się na powierzchni. Jeden z Uzdrawicieli Kero wspaniale sobie radził z roślinami... i ku zaskoczeniu i radości wszystkich Heroldowie byli w stanie zasilić go ener-

gią. Kozuch porostów pielęgnowanych troskliwie przez ostatni miesiąc na prowizorycznym jeziorze i przyśpieszony wzrost wszelkiej roślinności w ciągu dwóch minionych nocy sprawiły, iż tafla wody zniknęła pod bujną pokrywą zieleni. Stworzenie czegoś takiego w sposób naturalny zabrałoby połowę lata. Wyglądało to jak twarda ziemia — dopóki nie zaczęło się po tym chodzić.

Szczególnie teraz Kero odczuwała brak swoich magów. Oni byliby w stanie stworzyć iluzję twardego gruntu i wojska Valdemaru. To by zwabiło ludzi Ancara do szarzy w sam środek najgorszego trzęsawiska. A gdy atak raz by się rozpoczął, rozpędzeni żołnierze za pierwszą linią wpędzaliby pozostałych coraz głębiej. Całe wojny wygrywano dzięki podstępom takim jak ten.

Zamiast tego mogła jedynie czekać, aż jego pierwsza linia wkroczy w bagno — i rzucić na niego swoich harcowników, aby go zwabić głębiej w błoto. Przypuszczalnie jeden z Heroldów także zmieniał bieg wód z pobliskiego strumienia, by napływały od tyłu, tak więc Ancar miałby błoto z trzech stron, ale Kero nie liczyła na to.

We mgle ponownie rozległ się odgłos kopyt końskich, lecz tym razem zwiadowca nie pogalopował w górę po zboczu; pomachał jedynie ręką i zawrócił. To był znak, na który Kero czekała. Dała susa na siodło i zagwizdała.

Harcownicy ruszyli ostrożnie stępa, tak że każda część linii była w styczności z następną. Walka w takich warunkach była piekłem, można było przerażająco łatwo wystrzelić w kierunku niewyraźnego kształtu po to tylko, aby przekonać się, że to jest jeden ze swoich.

— Własna salwa nie jest przyjacielska — to było jedno z powiedzonek Tarmy Shin'a'in, zwięzłe i trafiające w sedno. „Jak dotąd nie utraciliśmy nikogo od własnej salwy” — pomyślała, zjeżdżając ostrożnie w dół śliskiego, trawiastego zbocza. „I nie zamierzam do tego dopuścić”.

Herold i jego Towarzysz podążali cicho w ślad za nią jak dwie zjawy. Przynajmniej raz, w takiej gęstej mgle, biały uniform dawał przewagę. U stóp wzgórza Kero przynagliła Hellsbane do krótkiego kłusu i ściągnęła lejce, gdy zrównali się z harcownikami. Zajęła miejsce na najbardziej na zachód wysuniętym skrzydle, tam gdzie ludzie Ancara mogliby ich okrążyć, gdyby nie zachowali czujności.

„Nie mogą iść na południe, to pewne”.

To była kolejna przyczyna, dla której nie można było włączyć do tej akcji regularnych oddziałów Valdemaru. Większość terenów na południu zamieniono w wielką pułapkę i Kero nie chciała, aby niedoświadczone wojsko w nią weszło. Każde miejsce, które dało się przebyć konno lub na piechotę, naszpikowano drutami, zapadniami i norami susłów. Jeden z Heroldów musiał mieć dar mowy zwierząt i zwołał każdego kreta oraz susła w promieniu wielu mil, aby podkopać te tereny. Próba przejścia na piechotę groziła złamaniem nogi w kostce. Oddziały regularne mogłyby o tym zapomnieć. Pioruny Nieba prędzej zapomniałyby o swoim żołdzie.

Tak więc południe kraju było jedną wielką pułapką, na zachodzie rozciągały się bagna. Jedyne „bezpieczny” teren leżał na północy, tam dokładnie, gdzie chcieli, aby pociągnął Ancar ze swoim wojskiem. Z tej strony zaatakują, udając, że natknęli się na Ancara przez przypadek.

Jeśli Ancar wyjdzie z założenia, że stanowią małą część sił gwardii Selenay, ruszy za nimi jak ogar za zającem, podczas gdy oni będą się starali pozostawać poza jego zasięgiem. „Jeśli przeciwnik jest w twoim zasięgu, to i ty jesteś w jego” — zaskrzeczał w jej myślach głos Tarmy. Będą próbowali unieszkodliwić tyłu z jego ludzie, ilu się da, zanim wykaraska się z błota. To było główne założenie strategii Kero dla tej pierwszej potyczki.

Przed sobą, we mgle, daleko z prawej strony, Kero usłyszała dzikie wezwanie na rogu; zabrzmiało dokładnie tak, jakby trębacz ogarnęła nagła panika. Pogratulowała w myślach Geyrowi tego udawanego strachu. To był sygnał, że prawe skrzydło stanęło na brzegu trzęsawiska i wróg znalazł się w zasięgu wzroku. Przyngliła Hellsbane do szybkiego stępa i reszta poszła za jej przykładem.

Nagle jej klacz zaryła się czterema kopytami i parsknęła; Kero gwizdnęła i linia zatrzymała się. Obrzeża zdradzieckiego terenu obsadzili dziką cebulą, aby wiedzieć, kiedy się zatrzymać, gdy Hellsbane zwietrzy jedną z nich. W tym miejscu nie były to moczary, lecz zalany wodą, miękki teren. Nikt z nich nie miał ochoty prowadzić tędy konia. Poza tym niedługo wróg sam do nich przyjdzie.

Mgła tłumiała hałasy, lecz gdy Kero wyteżyła słuch, odróżniła słabe okrzyki i coś, co brzmiało jak wykrzykiwane rozkazy, przekleństwa po prawej stronie i z przodu. Z każdą chwilą były bliżej. Ponownie zagwizdała, sygnał powtórzono wzdłuż linii i każdy z Piorunów Nieba — jak jeden mąż — pochwyił krótki łuk albo kuszę, nałożył cięciwę, napiął ją, założył strzałę, a drugą wziął w zęby lub wsadził za ucho.

Zasięg tej broni znacznie przekraczał ich obecne pole widzenia. Nadejście jedna, idealna chwila, kiedy będą wiedzieli, że przeciwnik się zbliża, lecz on nie będzie wiedział o obecności Piorunów Nieba, a wtedy będą mieli najlepszą szansę przetrzebienia jego pierwszych szeregów. To będzie prawdopodobnie najlepsza okazja podczas marszu na północ; punkt, w którym nieprzyjacielskie wojska będą ledwie widocznymi kształtami we mgle.

Nikt jeszcze nie wycelował. Kero wyteżyła wzrok, szukając oznak nieprzyjaciela. Harcownicy wiedzieli, że mają strzelać z pierwszą myślą, iż cokolwiek zobaczyli, nie troszcząc się o staranne celowanie. Mgła była zbyt myląca, aby można było precyzyjnie strzelać i im więcej strzał spadnie na pierwszą linię nieprzyjaciela, tym większa szansa, że ktoś rzeczywiście zostanie trafiony. Rana jest rzeczą dokuczliwą; odniesienie rany w bagnie może równać się wyrokowi śmierci.

Usłyszała plusk i pomyślała, że coś widzi. Zawahała się na moment. „Tam, po prawej stronie. Tak!” Myśli w rzeczywistości podążały za aktem wycelowa-

nia, wystrzelenia, nasadzenia nowej strzały i ponownego wystrzelenia. Nie była osamotniona; niemal wszyscy jej wojownicy tuż obok niej zrobili to samo. Krzyki i jęki z kotłującej się mgły były całą nagrodą, której sobie mogli zażyczyć.

Wróg skoczył do przodu, na moment stał się czymś więcej niż tylko nieuchwytnymi kształtami: wyraźnym celem zasypywanym gradem śmiertelnych strzał. Pioruny Nieba szyły z łuków bez ustanku, podczas gdy wojsko Ancara próbowało na próżno ustawić swoich łuczników, tracąc od małych, kąśliwych strzał jednego człowieka po drugim. Połowa harcowników strzelała z łuków Shin'a'in. Wykonane z wykładanego rogiem drewna i zwierzęcych ścięgien miały nośność odwrotnie proporcjonalną do rozmiarów. Małe strzały nie mogły przebić dobrego pancerza, ale mogły — i to robiły — trafiać w stawy, szyje, szczeliny w hełmach, wszystkie niewielkie, lecz liczne słabe punkty żołnierskiego ekwipunku. Druga połowa Piorunów Nieba używała ciężkich kusz zdolnych przebić zbroję, a nawet całe ciało, chociaż łucznik posyłał cztery strzały na każdy wystrzelony bełt. Zamiana taka opłacała się, ponieważ była to niszcząca kombinacja.

Hellsbane stała nieporuszona jak posąg, obojętna na wrzaski i świst latających dookoła pocisków. Wojsko Ancara brnęło w błocie dostatecznie długo, aby utracić sporo ludzi, zanim oficerowie w zbrojach, którzy nie padli od kusz, odciągnęli je z powrotem pod osłonę mgły. W kilka chwil później Kero usłyszała gwizd przechodzący wzdłuż linii. Spoza kurtyny mgły od nowa rozległy się furkot strzał i jęki.

„Prawdopodobnie ledwie uszczkniemy coś z jego armii” pomyślała, próbując ocenić liczebność wojska z dźwięków dobiegających z ciemności. „Lecz założę się, że akurat teraz pierwsza linia nie cieszy się popularnością”.

Słońce zaczęło przebijać się przez chmury i kapuśniaczek przerzedził się nieco. Czy Ancar miał magów, którzy potrafili uporać się z pogodą, czy też nadeszła po prostu pora na wypogodzenie, tego Kero nie mogła powiedzieć. „Wygląda to dość naturalnie” — zawyrokowała, gdy zza chmur wychynął słoneczny dysk. „Szczęście nigdy nie trwa wiecznie”.

Oficerowie Ancara także domyślili się, co się dzieje. Odgłosy spoza mgły uciły, jeśli nie liczyć jęków rannych i tych nieszczęśliwców, których wycofujący się kamraci pozostawili w błocie. Kero zagwizdała ponownie, także to zostało przekazane wzdłuż linii. Geyr jeszcze raz zadał w róg, wciąż udając przerażonego młodzieńca. Spodziewała się, że gdy tylko mgła się rozpierzchnie, wróg przypuści na nich szarżę, i chciała, aby Pioruny Nieba były gotowe ruszyć stąd tuż przed jego nadejściem.

Słońce przebiło się przez chmury i mgła uniosła się w pośpiechu, jakby przstraszona światłem. To wtedy Pioruny Nieba ujrzały prawdziwe rozmiary sił, które stały im naprzeciw.

Słońce rozbłysło nad polami, jakby starając się nadrobić to, że kryło się przez cały ranek. Kero nie wiedziała, jak potężnej armii ma się spodziewać i przysto-

wywała się na najgorsze. Przez ten ułamek chwili, tuż przed odegranym na trąbach nieprzyjacielskim sygnałem do szarży, Kero miała czas, aby najpierw zakląć, a potem złożyć dzięki, że jedynie jej oddziały wydały tutaj bitwę. Weterani Piorunów Nieba mogli udać panikę i rzucić się do ucieczki, tak jak to przewidziano w planie. Gdyby niedoświadczone wojsko Selenay stanęło w obliczu tego widoku, pozorna ucieczka niechybnie zmieniłaby się w prawdziwy popłoch. Nie mogła sobie wyobrazić niewytrawnych wojowników zdolnych stawić czoło czemuś takiemu.

Wydawało się, że ciągną się w nieskończoność. Wypełnili po brzegi dolinę, rozlewając się po wzgórzach za nią. Nie mieściło jej się w głowie, jakim cudem Ancar zebrał tylu ludzi i to — jak daleko sięgnęła wzrokiem — wyłącznie mężczyzn. To samo w sobie było złowieszcze: dlaczegoż by nie włączyć kobiet w szeregi wojowników, łuczników przynajmniej?

„A niech to licha! Lepiej stąd zmykać, i to szybko!” Dała znak Hellsbane i klacz przysiadła, jakby ukłuta ostrogą, zarżała, obróciła się na tylnych nogach i rzuciła do galopu. Pozostali wojownicy nie zostali daleko w tyle. Pochyliła się nad karkiem Hellsbane i zerknęła przez ramię.

Tak jak tego oczekiwała, oficerowie Ancara zareagowali na ten popłoch gorączkowymi znakami do szarży. Ale nie znali terenu tak jak Kero i jej przewodnicy.

Ich konne oddziały dosiadały znużonych zwierząt, które dopiero co brnęły przez błota. Biedne stworzenia nie pochodziły z hodowli Shin'a'in. Zdobyły się na najwyższy wysięk, lecz nim dotarły do twardego gruntu, Pioruny Nieba znalazły się poza zasięgiem nawet najcięższych kusz. Także na twardym terenie wciąż nie mogły dorównać szybkością i wytrzymałością koniom Shin'a'in. Przewaga Piorunów Nieba nadal się zwiększała. Uśmiechnęła się dziko. „Nigdy nie przyszło ci to do głowy, nieprawdaż, królu Ancarze?”

Kero na poły oczekiwała, że zaniechają pogoni i zawrócą, lecz nie uczynili tego, co oznaczało, że trzeba ich było ponownie podjudzić. Zawróciła Hellsbane na szczycie zbocza i wzniosła rękę. Jedno uderzenie serca później na grzbiecie wzgórz dołączyli do niej pozostali, przygotowujący kolejną lawinę strzał i gdy opuściła rękę, wystrzelili pociski w dół, na brnącą pod górę po zboczu kawalerię. Konie, jęcząc i rżąc z bólu, padały na ziemię razem z jeźdźcami. Przednie szeregi przewracały następne, atak zamienił się w chaos. Nienawidziła tego, ale konie było trudniej zastąpić niż jeźdźców, a więc to one stały się celem.

Tym razem zezwoliła tylko na jedną salwę z kusz i dała sygnał do kolejnego odwrotu.

Pewna była, że wrogowie zawrócą, ale kiedy spojrzała przez ramię, gdy konie Piorunów Nieba z tętentem kopyt galopowały po przeciwnym zboczu wzgórze, zobaczyła sylwetki pierwszych z nich, rysujące się na tle nieba. Ciągle szli za nimi.

„Cóż, u licha, pcha tych ludzi? Co aż tak złego jest za ich plecami, że wołają

raczej stanąć w obliczu masakry?”

Rozważała, czy nie stanąć po raz drugi i nie wypuścić kolejnej chmury strzał, lecz coś głęboko w niej przestrzegło ją, że to może nie być rozsądne. W następnej chwili poczuła zadowolenie, iż tego nie uczyniła. Na czele szarżował — na dziwnym, rogatym stworzeniu, które nie było koniem — nieuzbrojony człowiek odziany w jaskrawe szkarłaty. Mag. W mgnieniu oka powzięła decyzję. Potrzeba ochroni ją, lecz nie była pewna, czy wciąż jest ona zdolna chronić pozostałych żołnierzy, skoro nie było w pobliżu Quentena, który by dopilnował skuteczności zaklęcia. Tak jak zwykle, przewodziła Hellsbane — czy to w ucieczce, czy to w ataku. Kero machnięciem ręki dała znak porucznikom, aby jechali dalej bez niej, ściągnęła lejce i zawróciła klacz, wyciągając swój łuk.

„Za tego będzie więcej punktów...”

Podniosła łuk ze strzałą przyciągniętą do ucha. Zobaczyła, jak mag wznosi ręce gestem, jakby coś rzucał... Poczula mrowienie w całym ciele, ukłucia jak wtedy, gdy kończyła budzić się z odrętwienia... I usłyszała na dnie umysłu gniewne brzęczenie, jakby ocknął się rój rozgniewanych pszczół...

„Potrzeba — a czymże ta przeklęta rzecz robi to tym razem?”

Była zbyt oddalona, aby rozróżnić rysy twarzy maga — prawdę powiedziawszy, znajdował się on na granicy jej celnego strzału — ale podniósł ręce ponownie, gdy wypuściła strzałę. Jego raptowny gest zdawał się mówić o gniewie i zaintrygowaniu.

Nawet nie dojrzała strzały w locie; ani też on, inaczej pewnie zdołałby odprowadzić ją tajemnym sposobem. W miarę gdy narastało mrowienie, brzęczenie stało się coraz głośniejsze, aż wydawało się, iż to naprawdę brzęczy jej w uszach. I nie dalej jak na dwa wyciągnięcia ręki przed nim strzała, którą wypuściła, raptownie rozżarzyła się, rozbłysła jasnością nie do zniesienia i prostopadle uderzyła go w pierś, pogrążając się aż po bełt.

Zastygł na moment w połowie gestu i powoli zwałił się ze swojego wierzchołka, który zamienił się — ze wszystkich rzeczy w najmniej prawdopodobną — w zwykłą, mleczną krowę. Wyczerpaną, zabiedzoną krowę, która przeszła jeszcze dwa lub trzy kroki i runęła na bok, niezdolna, aby ponownie się unieść.

Brzęczenie ustało. Kero nie zatrzymała się, by przekonać się, czy jej czyn wstrzymał pościg. Zawróciła Hellsbane na zadnich kopytach i kontynuowała ucieczkę, pozwalając klaczy doścignąć resztę oddziału. Nie spojrzała za siebie. „Jeśli za mną jest coś jeszcze, nie mam ochoty o tym wiedzieć”.

Hellsbane nie galopowała już z taką łatwością; pot pieniał się na jej szyi i ciężko pracowała bokami. W końcu zmęczenie koni zmusiło Pioruny Nieba do zwolnienia tempa. Kiedy żołnierze przeszli do stępa i popatrzyli za siebie, jak okiem sięgnąć nie było nikogo. Konie opuściły łby, głębokimi haustami nabierając powietrza, sierść ich przesiąknięta była potem. Poczula ukłucie winy, iż popędzała je tak bardzo i cieszyła się niepomernie, że nie będzie już musiała tego robić.

Odnosiło się wrażenie, że Ancara nie stać było na poświęcanie większej liczby magów.

„Chwała bogom! Nie sądzę, abym mogła coś takiego powtórzyć. Nie spodziewali się Potrzeby, teraz zdwoją ostrożność. I niech mnie licho, jeśli wiem, co on zrobił z moją strzałą. Do tej pory nigdy coś takiego się nie stało. Ale i też nigdy nie walczyliśmy w służbie monarchini przeciw męskiemu napastnikowi, który pragnie zdartą z niej skórę przerobić na dywanik, i to zaledwie na początek”.

Herold zerknął na nią osobliwie, kiedy się z nim zrównała, lecz nie odezwał się ani słówkiem. Zastanawiała się, czy był świadkiem pojedynku między nią a magiem.

— Nie widzę powodów, abyśmy zmieniali plany — rzekła. — Przekaż Selenay, by lekka kawaleria chroniła nasze tyły. Nie wydaje mi się, aby coś jeszcze się dzisiaj wydarzyło. Sądzę, że jadąc za nami, nie przekroczą tego pierwszego grzbietu. Potrzebna nam jest tylna straż, przynajmniej na jakiś czas.

Kiwnął głową i pogrążył się w płytkim transie, zaś jego Towarzysz obdarzył ją spojrzeniem tych swoich niebieskich oczu, którymi czasami osadzał ją Towarzysz Eldana, Ratha. Przynagliła klacz obcasem i wysunęła się przed nich, czując raptowny niepokój wywołany przenikliwą inteligencją bijącą z tych oczu. Miała przeczucie, że jeśli nawet Heroldowi umknął atak maga i jego porażka, to jego Towarzysz widział wszystko.

„Także nie wie, co myśleć o mnie. Patrzy na mnie, jakby uważał, że jestem jednym z tych ponurych wojowników, a teraz nie jest tego taki pewny”.

To było w najwyższym stopniu denerwujące uczucie i zaczęła rozumieć, jak Quenten i pozostali musieli się czuć, zanim porzucili Valdemar i zawrócili do domu. Odniosła wrażenie, że jest oceniana i sprawdzana według pewnych nieznanych kryteriów. I wcale jej się to nie spodobało. W końcu nie mogła tego znieść. Wstrzymała Hellsbane i umyślnie zmierzyła się oko w oko z Towarzyszem. Jego Herold wciąż błędził z głową w chmurach, porozumiewając się ze swoimi braćmi i zostawiając jej wolną rękę w przeprowadzeniu swoich zamiarów...

A zamierzała odsłonić myśli i bez ogródek przekazać je wprost:

— *Słuchaj, ja cię nie pouczam, jak masz wykonywać swoją robotę. Robię to, co obiecałam Selenay; co więcej, jak do tej pory odwalam kawał solidnej roboty. Trzymaj swoje uprzedzenia przy sobie i, do licha, nie wchodź mi w drogę!*

Towarzysz gapił się na nią rozszerzonymi oczami, a potem szarpnął łbem, jakby trafiła go kamykiem w zad. Szczelnie odgrodziła swoje myśli i przynagliła Hellsbane do cwału, dzięki czemu wysunęła się na czoło oddziału. A kiedy zerknęła do tyłu, we wzroku Towarzysza dostrzegła sporo ostrożnego respektu — i nic więcej.

Nie mogła się oprzeć i przez całą drogę do obozu na jej ustach błakał się pełen zadowolenia uśmiešek. „*Nie bądź pochopna w wydawaniu sądów, abyś sama nie stała się tego ofiarą* — to było kolejne powiedzonko Tarmy. W tej chwili popeł-

niłam ten sam grzech, co Towarzysz. Ale niech mnie лихо, jeśli nie poprawiło mi to humoru”.

Obóz był zimny, bez ognisk; wojsko zaopatrzone w suchy prowiant. Namioty zwinięto. Dopóki nie dowiedzą się, jak zorganizowana jest armia Ancara, Kero nie zamierzała odsłaniać przed nim żadnych punktów wrażliwych na atak — takich jak obóz. Nawet dla jej doświadczonych wojowników słowo „obóz” wiązało się podświadomie z „bezpieczeństwem”, a w tej chwili nie chciała, aby ktokolwiek myślał o „bezpieczeństwie”.

Biwakowali w zagajniku leszczyn, urządzając legowiska w ukryciu pod krzewami, uzupełniając dodatkowymi gałęziami naturalny kamuflaż natury. Z odległości nikomu nie przyszłoby do głowy, że jest tutaj cała kompania wojowników wraz z końmi. Miejsce wyglądało jak opuszczony sad, a nikt nie mógłby się zbliżyć na tyle, aby stwierdzić, że jest inaczej, z powodu potrójnego pierścienia strażników.

Dla Kero także nie postawiono namiotu; w ten sposób podnoszono morale oddziału. Jednak dla siebie miała jeden z lepszych krzewów, prawdę powiedziawszy, całą ich kępę o gęstych, opadających gałęziach, dającą schronienie trzem albo czterem osobom, a ona tkwiła tam zupełnie sama — jedna z niewielu korzyści bycia kapitanem.

Herold zniknął po tym, jak oni zaszyli się wśród krzewów, rozstawili kręgi strażników i obserwatorów oraz wysłali specjalistów, aby urozmaicić życie Ancarowi. Położyła się na pościeli z paskiem suszonego mięsa w jednej ręce; w drugiej trzymała osłoniętą, ciemną latarenkę, której światło padało na rozłożoną na kolanach mapę. W pewnej chwili ordynans przerwał jej studiowanie mapy, przynosząc powyginany, cynowy kubek z wodą i powiedział — raczej z nadmiernym spokojem — że miejsce Herolda, który był z nimi od rana, zajął inny.

Spojrzała na niego ostro i zobaczyła, że kąciki jego ust drgają.

— Aha — stwierdziła i na tym poprzestała.

„Poczuł się niemile widziany, he? Może i byłam nieco pochopna w sądach, ale on, zdaje się, dużo bardziej”.

Zasnęła z czystym sumieniem i postanowiła, że nie pozwoli zmiennikowi działać na nerwy jej oficerom, tak jak czynił to poprzedni Herold.

Rano, gdy tylko odebrała raporty od zwiadowców, zebrała oficerów w sercu zagajnika, aby wyłożyć dalszy plan. Gdy wydawała poszczególnym porucznikom rozkazy, kątem oka zauważyła, że wchodzi coś białego.

„A więc nasz pierwszy łącznik nie mógł sobie poradzić z robotą. Nieco za późno, przyjacielu — pomyślała w duchu i mam nadzieję, że jesteś bardziej elastyczny od swojego poprzednika”. Ale poza tym nie poświęciła mu żadnej uwagi, dopóki nie zakończyła odprawy z oficerami. Dopiero wtedy odwróciła się, aby stwierdzić kogo — czy co — tym razem przysłała Selenay.

I poczuła się, jakby ktoś właśnie zdzielił ją halabardą.

— Och — powiedziała słabo.

— Ja jestem — hm — zmiennikiem — odezwał się Eldan z wahaniem, obracając w dłoni końcem lejców Towarzysza. — Selenay sądziła, że mniejsze będzie prawdopodobieństwo tego, iż będziesz nas odstraszać.

— Nie liczyłam na to, gdybym była na jej miejscu — odparła Kero ogarnięta dziwnym uczuciem, wciąż nie spuszczać z niego oczu.

Wyglądał wspaniale. Nie postarzał się w widoczny sposób, jej sen o Eldanie zmaterializował się.

— Nigdy nie jechałeś z moim oddziałem. Jesteśmy nieprzyjemną paczką i to, co nas spotyka, jest równie okrutne jak my sami.

— Nie to miała na myśli.

Eldan spuścił oczy pierwszy, dzięki czemu mogła obrzucić go szybkim spojrzeniem, nim ponownie podniósł wzrok. Nie zmienił się wiele; może srebrne pasemka w jego włosach były odrobinę szersze, a naokoło oczu i ust pojawiło się kilka zmarszczek od śmiechu, lecz pod każdym innym względem nie zmienił się wcale.

— To nie muszę być ja. Jeśli nie chcesz... Mam na myśli...

— Nie chcę — przerwała mu gwałtownie, prawie pewna tego, co zamierzał powiedzieć, równocześnie nie pragnąc tego słyszeć. — Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności, nie tutaj, nie teraz. Nie mogę pozwolić, abyś odciągał moją uwagę od ludzi. Jeśli zdołasz zrobić to, co do ciebie należy i na tym poprzestać, znakomicie; w przeciwnym wypadku znajdź kogoś innego. Upewnij się, by tym razem był to ktoś z charakterem i poczuciem humoru. Zagraża nam niedostatek jednego i drugiego.

— Zauważyłem — wymamrotał Eldan z odrobiną urazy i irytacji.

— Ty... ty co? — Patrzyła na niego przez chwilę, walcząc z chęcią śmiechu albo ochotą urwania mu głowy.

Wygrał śmiech. Oparła się o siodło Hellsbane i zatrzęsała się od bezgłośnego śmiechu, aż osłabła w kolanach, a łzy popłynęły jej po policzkach. Eldan po prostu sobie tam stał, sprawiając wrażenie nieco zaintrygowanego, ale usta trzymał zamknięte na kłódkę.

— O bogowie — powiedziała czy raczej wydyszała z siebie. — Och, najmilsi bogowie. Mam za swoje. — Oderwała się od klaczy i otarła oczy grzbietem dłoni.

— To nie ulega wątpliwości — stwierdził pojednawczo Eldan.

Potem jego oczy zaokrągliły się, a ton głosu zabrzmiał przymilnie.

— Nuże, Kero, potrzebujesz mnie, choćby po to, abyś nie straciła skromności.

— To nieprawda — odparła dotknięta. — I niepotrzebne mi są twoje scenki w rodzaju „mamusiu, czy mogę”. Tak czy siak, tak długo, jak będziesz tutaj przebywał, możesz kręcić się niedaleko.

Kusiło ją, by wskoczyć na siodło bez użycia strzemion... „Ale to byłby popis godny młokosa. Ponadto nie wywarłoby na nim wrażenia”.

— *Nie skakałbym na siodło jak młody bohater, gdybym był na twoim miejscu.*
— *Znajomy głos rozległ się w jej myślach. — Musiałbym zrobić to samo, a jestem na to zbyt stary i zanadto zmęczony.*

— *Jasne, że tak* — odpowiedziała mu w ten sam sposób, nie zdając sobie z tego sprawy, dopóki tego nie uczyniła.

Po raz pierwszy w życiu myślomowa zdawała się tak naturalna jak zwykła rozmowa. Nawet w przypadku Warrla wiązało się to z wysiłkiem, wydawało się nie-naturalne, tak jak próba chodzenia na rękach i jądania stopami.

Powinno to obudzić w niej czujność; powinna poczuć się nieszczęśliwa przypomnieniem, że posiada Dar. Młokos, wychowanek Tarmy, byłby gotów go za to zarabować. O dziesięć lat starsza Kero wydaliby go z kompanii. Ale teraz wszystkie tego rodzaju ceremonie wydawały się całkiem nierozsądne i pachniały szaleństwem. To był jej talent, taki sam jak doskonały słuch, przy tym dużo użyteczniejszy. Teraz wydawało się, że korzysta z myślmowy od lat.

— *Prócz tego najwyższy czas, abyś przekonał się, co oznacza dyscyplina wojskowa. Wyjdzie ci to na dobre. I dopóki jesteśmy w polu, mówi się kapitanie, nie Kero, nie kapitanie Kero. Kapitanie. Doszło do ciebie?*

Skinął głową, wsiadając na siodło Towarzysza.

— *Przepraszam, kapitanie. Myślę, że zrozumiałem. To jest wojskowe dowództwo i trzeba, aby każdy związany z twoimi oddziałami zachowywał właściwą postawę. Prawda? W przeciwnym razie załamuje się dyscyplina. Heroldowie zachowują się inaczej, zachęcają do zbliżenia, lecz niemal nigdy nie odnoszą sukcesu.*

— *Heroldowie nie dowodzą kilkoma setkami gorącokrwistych, nieustraszonego wojowników, z których każdy bywa od czasu do czasu przekonany, że to on może być lepszym kapitanem kompanii od ciebie.*

Przeprowadziła Hellsbane przez krzewy na pole, gdzie Pioruny Nieba stawały w ordynku. Eldan trzymał się po jej prawej stronie, tak jakby robili to od wielu lat.

— *Nie miałaś tego problemu przez ostatnich sześć bojowych sezonów — odparł. — Twoi ludzie są ci posłuszni do stopnia, którego nie potrafiłby zapewnić sobie żaden inny kapitan. Teraz twoim jedynym zmartwieniem jest obawa, że nie przyszliby do ciebie nawet wtedy, gdyby sądzili, iż coś złego jest w twojej strategii. A więc nie zaczynaj uważać się nad sobą.*

Ponieważ to było dokładnie to, z czego zwierzała się Eldanowi w ostatnim śnie, w którym występował, zrozumiałe jest, że poczuła lęk.

Ściągnęła lejce Hellsbane tak szybko, że aż koń, parskając, przysiadł nieco na zadzie, gdy ona odwracała się w siodle, aby spojrzeć mu w twarz.

— *Skąd to wiesz?* — wypaliła na głos, to rumieniąc się, to znów blednąc na zmianę. — *Nikomiu nic o tym nie powiedziałam. . .*

— *Wyjątkiem były sny.* — *I on sam lekko przybladł. — Ale to nie były sny, nieprawdaż?*

Hellsbane reagowała na jej podświadome sygnały i cofała się powoli, krok po kroku.

— Myślałam, że to były sny — powiedziała i głos jej zadrżał. — Myślałam, że przychodziłeś w nich do mnie. Myślałam, że popadam w szaleństwo. Myślałam, że to nie ma znaczenia. Gdyby nie to, nigdy bym nie powiedziała... zrobiła... ani połowy tego...

— Dlaczego nie? — zażądał odpowiedzi; Ratha szedł za Hellsbane krok za krokiem. Klacz stuliła uszy i ugryzła, Towarzysz nie zwrócił na nią uwagi. — Czyż nie byliśmy co najmniej przyjaciółmi? Ja sądziłem, że tak. Och, przyznaję, że to zagranie z okupem było poniżej pasa, lecz nie miałem pojęcia, w jak rozpaczliwej znalazłaś się sytuacji. Myślałem, że twoja kompania i kapitan są w większym lub mniejszym stopniu nietknięte. Gdybym wiedział, poprosiłbym Selenay, aby przysłała ci dwa razy tyle bez żadnych zobowiązań i nie dlatego, że ci współczułem, nie, ale dlatego, że byliśmy — jesteśmy — przyjaciółmi, a przyjaciele pomagają sobie nawzajem. Lecz potem wpadłem na pomysł, że to naprawię poprzez sny. Musiałem z tobą porozmawiać, musiałem być z tobą. Nie mogłem pozwolić ci odejść z mojego życia ot tak sobie. Kero... ja... ja cię kocham. Poświęcę dla ciebie wszystko.

Zmusiła się do racjonalnego myślenia: mimo wszystko to niewiele różniło się od sposobu, w jaki myślmówił do niej teraz; wolno odprężyła się.

— Odpląciłam ci pięknym za nadobne z tym okupem — przypomniała mu, rozluźniając uchwyt na lejcach i Hellsbane przestała cofać się.

Uśmiechnął się na to i przytaknął kiwnięciem głowy.

— *Nie ulega wątpliwości i przy tym to było całkiem sprytne. Żałuję, że nie widziałaś starego kozła przystanego w charakterze przedstawiciela Gildii. Spojrzał na mnie dokładnie raz i poczułem się jak mały chłopczyk przytępiany na zagładaniu dziewczynkom pod sukienki.*

Zachichotała na obraz, który jej przesłał; był to przedstawiciel Gildii, którego ledwie rozpoznała, ale którego sławę dobrze znała.

— *Ale nie w tym rzecz — kontynuował. — Powodem, dla którego wciąż przychodziłem do ciebie, jest to, że przede wszystkim jestem twoim przyjacielem, Kero. Przyjaciele pomagają sobie nawzajem; przyjaciele dzielą się swoimi zmartwieniami, szczególnie gdy nie mają nikogo, do kogo mogliby z nimi przyjść. A i ja zwierzyłem się tobie z mnóstwa rzeczy, nieprawdaż?*

Ociągając się przytaknęła, gdy przywołał wspomnienia.

— Naprawdę chciałeś udusić tego durnia?

— *Tak — odpowiedział Eldan. — Rozwścieczył mnie, zrobił ze mnie głupca na oczach mnóstwa ludzi, bo działałem bez namysłu, pod wpływem gniewu. Chciałem go udusić. Udało ci się mnie przekonać, że najlepiej sobie z nim poradzę, ignorując go. Ale wiesz — wciąż mam ochotę go udusić.*

Zaśmiała się bezgłośnie i pokiwała głową. Rozmawiała z nim przesyłając słowa z mózgu do mózgu i pewnie dlatego nie była w tym taka niezgrabna; słuchała rad i dawała je. Takich samych udzieliłaby lub wysłuchała, rozmawiając twarzą w twarz. To nie było takie złe. . . Mówiąc prawdę, było jej bardzo przyjemnie.

„Powinam być właściwie na niego zła, ale nie jestem”.

— *Pewny jesteś, że nadajesz się do tego?* — zapytała po długiej przerwie. — *Nie musisz być moim łącznikiem. Nie jestem najłatwiejszą osobą na świecie we współzyciu. I nie żartowałam, mówiąc o tytułowaniu mnie „kapitanem”, przynajmniej publicznie.*

— *Dostałem za swoje. Będę cię nazywał, jak chcesz. Możesz obejść się beze mnie, wiesz o tym. Radzisz sobie równie dobrze z myślmową jak ja.*

— *Nic z tego* — prychnęła. — *Jedziemy, włóczego. Muszę prowadzić wojnę.*

A potem dodała nieśmiało:

— *Kocham cię. Ale ty wiedziałeś o tym, prawda? Powiedziałam ci to już. W snach.*

— *Powiedziałeś* — odrzekł szybko. — *Nie mogę przysiąc, że rzeczy nie nabiorą rumieńców, ale mogę przyrzec, że jeśli zacznie to być kłopotliwe dla któregoś z nas, sprawię, że Selenay przydzieli kogoś innego. Ona. . . ona o nas wie. To był jej pomysł.*

Przez to rzeczy stały się jeszcze bardziej zawiłe.

— *Przede wszystkim jestem kapitanem, kochanką dopiero potem. Ale mogę być i kochanką, właśnie teraz.*

— *O ile nie stanie się to przeszkodą.* — odparł zdecydowanie.

— *O ile nie stanie się to przeszkodą* — zgodziła się. — *Jak dotąd nie było. Zostawmy to tak, jak jest.*

Uśmiechnął się.

— *Kapitanie, dobiłeś targu i zdobyłeś rekruta.*

* * *

Dzisiejszy plan wymagał połączenia sił kompanii i kawalerii Selenay. Mieli dać Ancarowi posmakować walki na tyle, aby pomyślał, że naprawdę zamierzają trzymać go z dala od Valdemaru, następnie udać panikę i uciec do następnej grupy gwardii, która rozlokowana była dalej na północy.

Kłopot w tym, że to posmakowanie zamieniło się w długi i bolesny kęs. Większość dnia spędzili, wodząc wroga po okolicy, trzymając się tuż poza jego skutecznym zasięgiem, męcząc jego konie, podczas gdy oni przesiadli się w południe na luzaki i mogli przeciwstawić zmęczonym wierzchowcom przeciwników swo-

je wypoczęte. Tuż przed zachodem słońca zaczęli pozorować opór, podjudzając ludzi Ancara do ataku i wycofali się pod ochronną salwą.

Miejsce oporu zostało starannie wybrane — teren skalistych pagórków, obfitujący w kryjówki i zbyt wiele głazów, aby kawaleria Ancara mogła przypuścić szarżę. Kero obserwowała ich, badając zmęczenie wojowników Ancara. Pozwoliła, aby trzy fale atakujących zbliżyły się do jej pozycji i zostały odrzucone; czekała, aż oficerowie Ancara wezwą swych zmęczonych ludzi na nocny odpoczynek. Ale oni wciąż nadchodzili — czwarta fala, o zachodzie słońca piąta. A potem w świetle pochodni szósta. Zaczęło brakować strzał, sił, a wróg wciąż nadchodził, tracąc dziesiątki rannych i zabitych u stóp jej skalistego schronienia.

Gdy odpłynęła ósma fala, Kero opuściła łuk i wyczerpana opadła obok kamiennego głazu. Ramiona ciążyły jej jak para ołowianych prętów, nogi drżały ze zmęczenia. A przy tym była w stosunkowo dobrej kondycji. Ludzie Selenay dużo bardziej skłonni do wystawiania siebie na ryzyko dla oddania dobrego strzału, wypełnili po brzegi surowy, naprędce przygotowany przez Uzdrowicieli lazaret. Niewielu Piorunów Nieba było dotąd w bandażach, ale jeśli to potrwa dłużej. . .

Obserwowała pochodnie, tańczące i podskakujące poza zasięgiem skutecznego strzału, i rozpaczliwie zateśniała do swoich magów. To wyglądało tak, jakby koncentrowali siły do dziesiątego natarcia.

— Nie mogę w to uwierzyć — zamruczała pod nosem, wytrzeszczając oczy w kierunku linii Ancara.

— Ja także — z drugiej strony głazu odezwała się Shallan głosem matowym ze zmęczenia. — To nie są ludzie.

— Albo pędzeni są przez coś, co nie jest ludzkie — pośepnie dodał Eldan. — Ten drań w jakiś sposób zapanował nad nimi. Wolą raczej spotkać się z naszymi strzałami niż z tym, co jest za ich plecami.

Kero odwróciła się i spojrzała przez ramię.

— Czy to domysły, czy pewna wiadomość?

Eldan wyglądał tak jak wszyscy; jego biały uniform był poplamiony i brudny, włosy miał pobrudzone ziemią, spływający pot żłobił koleiny na jego zakurzonej twarzy.

— Domysły — odpowiedział, spoglądając w kierunku nieprzyjaciela. — Nakrywa ich jakiś ekran, który uniemożliwia mi odczytanie ich myśli. Lecz uważam, że to domysł niezbyt odległy od prawdy.

— Sądząc po tym, że mieli jednego maga, który był skłonny rzucić się do szarży na nas, pewnie masz rację — stwierdziła Kero, odwracając się, aby ponownie popatrzeć na linie wroga.

— Jeśli mają magów, to dlaczego nie użyli przeciw nam magii? — głośno myślał Eldan. Kero rzuciła na niego ostre spojrzenie kątem oka, ale był naprawdę zaintrygowany, nie zaś uszczypliwy.

Wzruszyła ramionami.

— Może dlatego, że jesteśmy w granicach Valdemaru — powiedziała. — Może miał tylko jednego maga albo oszczędza ich do chwili, kiedy będzie cel, przeciw któremu warto ich będzie użyć. — Przez chwilę obserwowała krzątające się wojsko wroga i podjęła decyzję.

— Powiedz Selenay i pozostałym, że właśnie zmieniałam plan — rzuciła Eldanowi. — Najpierw idą piesi, potem konni Selenay, my pójdziemy w straży tylnej. Mamy przewagę, bo wiemy, jak okolica wygląda w nocy, a oni nie. Nie sądzę, aby zaplanowali popas, dopóki choć jeden z nas pozostanie przy życiu. Lepiej będzie, jeśli wszyscy się stąd zabierzemy pod osłoną nocy.

— Tak jest, kapitanie — odpowiedział Eldan.

Nie zapadał w trans, kiedy z kimś myślozmawiał. Zmarszczył jedynie brew odrobinę, tak jakby się koncentrował.

— Selenay i lord marszałek wyrażają zgodę. Piechota już wyrusza w drogę.

— Doskonale. Przekaż rozkaz — zwróciła się do Shallan. — Wycofujemy się naprawdę.

„O najmilsi bogowie mojego dzieciństwa! Pomóżcie, bo pomoc potrzebna jest nam rozpaczliwie”.

Dwudziesty trzeci

Był to odwrót, a nie pogrom, ale tylko dlatego, że nikt nie wpadł w panikę. Rano okazało się, że kresu odwrotu nie widać.

O świcie Kero wysłała na tyły zwiadowców, bardziej z ostrożności, niż dlatego, że naprawdę się czegoś spodziewała.

Domyśliła się, że coś jest nie w porządku, gdy zbyt szybko wrócili.

Pierwszy zasalutował jej z twarzą poszarzałą ze zmęczenia.

— Są tuż za nami, kapitanie — powiedział ochryple, gdy podawała mu własny bukłak z wodą.

Przełknął duży łyk, a resztą oblał głowę.

— Przysięgam na Apponela, w żaden sposób nie mogli nadażyć za nami, a jednak następują nam na pięty. Niektórzy z nich padają z sił jak wychłostane psy, lecz pozostali wciąż trzymają się na nogach i nie wygląda na to, aby zamierzali wkrótce przestać.

Zakłęła i zwołała oficerów. Razem nakłonili zmęczonych żołnierzy do jeszcze jednego wysiłku.

Powtarzało się to przez następne dni i — czasami — noce, w miarę jak wycofywali się na północ, coraz bardziej w głąb Valdemaru. Każdy krok na zachód był dla Kero jak ukłucie ostrogą w bok. Do tej pory nigdy oddawanie kraju w ręce nieprzyjaciela nie łączyło się z takim uczuciem nienawiści. Jak dotąd zawsze była to sprawa obojętna; liczył się tylko ostateczny rezultat, nie to, czy paru wieśniaków zostanie schwytanych, a ich dobytek obrócony w perzynę. Tym razem było inaczej. Podczas przemarszu wieśniacy wciskali im wszystko, czego potrzeba było wojsku Selenay, a potem porzucali swe gospodarstwa z oczami błyszczącymi od nie uronionych łez. Widziała w tych wieśniakach ludzi bez względu na to, jak przelotne były z nimi spotkania i dlatego na widok dymu wzbijającego się za ich plecami oraz wiedząc, co żołnierze Ancara czynią z opuszczonymi posiadłościami, wrzała gniewem. Za każdym razem, gdy odbierała zaopatrzenie od kolejnego rolnika i gdy obserwowała, jak odjeżdżał na zachód razem z rodziną oraz z tym, co zdołał załadować, narastała w niej wściekłość. „Co za piekielna niesprawiedliwość” — mówiła do siebie w duchu. „Wiem, że życie nie jest sprawiedliwe, lecz ci ludzie nie zrobili nic, aby zasłużyć sobie na taki los”.

Nigdy nie czuła się tak całkowicie bezradna. Nigdy nie darzyła przeciwnika, nie licząc Karsytów, taką nienawiścią, jaką darzyła Ancara.

Ten głupiec poganiał swoich ludzi, jakby byli bezmózgimi kukłami. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, dlaczego gromadnie nie dezerterują — chyba że magowie kontrolowali ich w jakiś sposób. To mogłoby być wyjaśnieniem, dlaczego magowie nie przypuścili ataku na armię Selenay — mieli pełne ręce roboty, by utrzymać porządek we własnych oddziałach. Była dobrym przywódcą i nie mogła znienawidzić ludzi poddanych takiemu przymusowi jak ci. Lecz bez wątplenia nienawidziła człowieka, który był za to odpowiedzialny, a także zadawał cierpienia dla czystej przyjemności.

Eldan opowiedział jej, co Ancar wyrządził Talii, i poczuła, jak podczas tej opowieści budzi się Potrzeba, unosząc się tym głębokim, sięgającym trzewi gniewem, który tak trudno było poddać kontroli. Ale Ancara nie było pod ręką, więc ostrze się uspokoiło. Przynajmniej raz jeden Kero podzieliła opinię miecza.

Jeden z oficerów armii Selenay, który żył niegdyś w Hardornie, opowiedział jej, jak postąpił Ancar z jego ojcem i całą rodziną oraz dlaczego uciekli. Do tej pory Kero spotykała się z tyranami, lecz żaden z nich nie nadużywał władzy tak jak ten. Sposób, w jaki poganiał swoich ludzi, był dobrym przykładem jego stosunku do nich. Traktował ich gorzej niż bydło, gdyż dobry rolnik dba o to, aby jego zwierzętom niczego nie brakowało. Pewnej nocy, kiedy odważyli się rozpaść ognisko, zwołała swych podkomendnych i opowiedziała im wszystko, czego się dowiedziała, doszedłszy do wniosku, że powinni wiedzieć, co stanie się z nimi, jeśli wpadną w ręce Ancara. Słuchali w milczeniu, a potem Shallan złożyła oświadczenie w imieniu ich wszystkich.

— On jest krzywoprzysięcą — powiedziała, posepnie wykrzywiając usta. — I szczęście mu sprzyja, że nie ma z nami naszych magów, gdyż rzuciłabym na niego klątwę wygnania.

Kero wodziła spojrzeniem od jednej rozjaśnionej ogniem twarzy do drugiej i nie dostrzegła ani śladu sprzeciwu. Kilku z nich przytakiwało głowami. Gildia obfitowała w ludzi o różnych, czasami antagonistycznych poglądach. Wszystkich najemników Gildii łączyło jedno: lęk przed przysięgą. Każdego krzywoprzysięcę spotykała surowa kara z rąk samych żołnierzy. Na władców i kapłanów czekała zemsta w innej postaci — klątwa wygnania. Królowie przysięgali chronić swoje ziemie i ludzi zwykle w momencie, kiedy byli na tyle dorośli, aby złożyć to ślubowanie. Ancar złamał swoją przysięgę w sposób tak samo straszliwy, jak nie żyjący król Rethwellanu, Raschar — monarcha pogrzebany z radością — którego pomogły obalić Tarma i Kethry. Kero dowiedziała się tej nocy, że nie jest osamotniona w swej nienawiści do Ancara: jej żołnierze usłyszeli opowieści od uciekinierów z Hardornu i łączyli się z nią w jej gniewie. To ich dodatkowo mobilizowało. Ale sam gniew nie wystarczał, zwłaszcza w konfrontacji z desperacją ludzi Ancara.

Już sam nieprzerwany marsz wyczerpywał ich siły; ciągłe straty w ludziach

dotatkowo ciążyły im na sercu. Oczywiście Ancar tracił taką samą ilość ludzi w potyczkach, lecz on mógł sobie na to pozwolić. Armii Selenay nie było na to stać.

W pewnym miejscu Kero próbowała zastawić pułapkę. Rozdzieliła swe siły po obu stronach rzeki, mając nadzieję, że zaskoczy sporą liczbę ludzi Ancara jeszcze w wodzie. Jedynie dzięki czujności swoich zwiadowców nie wpadła we własne sidła, kiedy okazało się, że to on ich okrążył. Ancar wysłał piechotę, aby otoczyła pierścieniem czyhającą po jego stronie rzeki grupę i tylko wieloletnie doświadczenie Kero pozwoliło jej wydostać ich z tego. Wszystkie te lata nauczyły ją, żeby zawsze pozostawić sobie jakąś drogę odwrotu — w tym przypadku najmniej prawdopodobną, bo samą rzekę. Nim to uczyniła, upewniła się, że wszyscy biorący udział w zasadzce umieją dobrze pływać i to zarówno ludzie, jak i konie.

Mimo to uratowali się o włos i od tamtej pory odwróciło się od nich szczęście.

Każdego dnia stosowali partyzanckie sztuczki i podstępny po to jedynie, aby powstrzymać Ancara od ostatecznego nastąpienia i dokończenia roboty. Z Heroldami — łączącymi ich jak ogniwa — rozdzielali swoje siły w dzień, szarpiąc obrzeża olbrzymiej armii, i łączyli się w nocy. Pojedyncze grupy, niektóre tak małe jak pierwotny oddział zwiadowców Kero, mogły błyskawicznie uderzać i wycofywać się, zmiatając z powierzchni ziemi co bardziej nieporadne oddziały piechoty Ancara — lecz cena za tę ruchliwość była wysoka: sporo z tych małych grup zaginęło, gdy żołnierze Ancara zdołali je okrążyć i schwytać w pułapkę.

Każda strata była boleśniejsza dla nich niż taka sama strata dla Ancara — o ile oczywiście straty cokolwiek znaczyły dla niego poza zmniejszeniem liczebności wojska.

— Nie mogę w to uwierzyć — mamrotała Kero do Eldana, gdy osłaniając wzrok, przyglądała się armii Ancara, ciemnemu dywanowi pokrywającemu pole poniżej punktu obserwacyjnego, miażdżącemu łany młodego zboża i zamieniającemu je w grzęzawisko.

Żołnierze Ancara maszerowali w jednostajnym rytmie przez cały dzień i każdy dowódca przy zdrowych zmysłach kazałby im założyć obóz. A jednak nacierali, pomimo że zachód słońca oblał niebo czerwienią.

— Sądziłam, że zaplanowałam wszystko, nie wykluczyłam nawet najgorszego z możliwych przypadków, ale to nie są istoty ludzkie. Nikt nie jest w stanie nadażyć za tempem nadanym przez nas. . .

— Ty nadażyłaś — zauważył Eldan. — Ty je narzuciłaś. Spojrzała na niego groźnie spod oka. Bolała ją głowa od noszonego przez cały dzień hełmu i nie miała ochoty na słowną szermierkę.

— Gadanie. Jesteśmy na własnym terenie; korzystamy z miejscowego poparcia, zaopatrzenia, no i znamy tę okolicę. On niczym takim nie dysponuje. Nie powinien być za nami nadażać, nie mówiąc już o atakach przy lada sprzyjającej okazji. A jednak robi to i niech mnie licho, jeśli wiem, jakim cudem.

— Ponieważ skłonny jest poświęcić wszystko, byle dostać ciebie czy raczej Selenay — powiedział matowym głosem Eldan. — Nic się nie liczy, byle położyć na niej łapę. Zamierza wypalić każdego swojego człowieka do cna, byle dopiąć tego jednego, jedyne go celu. — Eldan westchnął. — Nie wiem, kapitanie. Strategia nigdy nie była czymś, w czym byłbym dobry. — Nagle uśmiechnął się błado. — Ale ty coś wymyślisz, jestem pewny. Wszyscy w ciebie wierzymy.

To była słaba pociecha. „Oni we mnie wierzą. Tego mi jedynie brakowało...”

Zwłaszcza gdy cały jej geniusz skupiał się na tym, aby pozostali przy życiu jak najdłużej. Po Darenie wszelki ślad zaginął i nawet Heroldowie nie potrafili go odnaleźć. Prawdę powiedziawszy, potęga Heroldów, poza zdolnością myślową, została zakłócona albo mocno ograniczona przez magów Ancara. Ponad jego armią rozpięty był swego rodzaju ekran, którego wróżę nie byli w stanie przeniknąć i raportowali niezmiennie: „zbyt wiele możliwości”.

Dla Kero liczyły się tylko trzy możliwości: Daren przybędzie punktualnie, Daren został odparty przez rezerwy Ancara, Daren natknął się na tę samą armię i to opóźniło jego marsz. Nic innego nie miało znaczenia.

Tak czy siak, w tej chwili ważne było tylko jedno — pozostanie przy życiu.

To nie dawało jej spokoju. Pioruny Nieba zatrzymały się, aby po skończonej przeprawie zasypać bród odłamkami krzemieni. Drobne, ciężkie odłamki opadały na dno, były ostre na tyle, by wbijać się w kopyta i przecinać buty razem ze stopami. „*Ostrożnie stawiaj żądania, bo mogą się spełnić.* Chciałam, aby Ancar poszedł za nami. Teraz nie mogę nas od niego uwolnić. Lord marszałek i jego Heroldowie także nie mogli niczego zaproponować. Czuję się tak, jakbym sprawiała im zawód” — pomyślała pośpiesznie, gdy ostatni z siewców krzemieni powrócili na siodła, a kompania ponownie ruszyła w drogę. „Wydaje im się, że wyczaruje coś genialnego z rękawa i ocalę wszystkich. Nawet Ardana nie wpakowała siebie w taką sytuację. A i Lerryn — dopóki żył — był takim szczęściarzem, jakby wpadł do latryny i wyszedł stamtąd z garściami złota”.

Spojrzała przez ramię, sprawdzając, czy nie ma maruderów, chociaż to Shallan i Geyr byli za to odpowiedzialni. Nie wyglądało na to, aby ktokolwiek z jej ludzi odpadł z marszu, lecz gdyby nie dosiadali wierzchowców Shin’a’in, do tej pory na pewno doszłoby do tego. Nawet Towarzysze zaczęli okazywać znużenie. „Jak do tej pory jedyny uśmiech szczęścia, jaki nas spotkał, to fakt, że Ancar nie wykorzystał magów od czasu, kiedy zabiłam tego pierwszego”.

Odsunęła hełm i roztarta miejsce na czole, gdzie ją uwierał. „Być może to nie był uśmiech szczęścia; być może to Potrzeba ochrania całą armię lub też Ancar pozostałych magów oszczędza dla utrzymywania swoich ludzi w ryzach”. Co z tego jest prawdą? Czy przypadkiem nie wszystko naraz? Jakże pragnęła to wiedzieć!

Pioruny Nieba zrównały się z tylną strażą wojska Selenay i przejęły tę rolę na siebie. Shallan z Geyrem wysłali do tyłu jeźdźców, podczas gdy pozostali rozpro-

szyli się, zsiadając z koni i prowadząc je za uzdy, by mogły odetchnąć. Kero miała nadzieję, że jeźdźcy wrócą z wiadomością, iż Ancar szykuje popas.

„Cały wysiłek muszę skupić na utrzymaniu zwartej armii. Jest nas za mało, aby zrobić cokolwiek poza odwrotem. Ancar dziesięciokrotnie przewyższa nas siłą i to pomimo strat. Chyba jedyną naszą przewagą jest obecność Heroldów. Jesteśmy zbyt liczni i niedostatecznie wyszkoleni, aby postępować jak siły specjalne i zbyt mało nas, aby stawić mu prawdziwy opór”.

Można było od tego oszaleć: wkrótce dotrą do granicy Iftelu i będą mogli iść tylko w głąb Valdemaru. Czy tam, za nimi, maszeruje Daren? Jeśli nie, będzie musiała przygotować się na najgorsze. Czy jeśli wycofają się, to Selenay będzie w stanie zebrać dostateczną liczbę cywili, aby rzucić ich przeciw wyszkolonym żołnierzom? Można było to zrobić — to, co spotkało Pioruny Nieba w Seejay było najlepszym dowodem — lecz ceną za to jest morze krwi, a ludzie muszą być całym sercem oddani sprawie.

„Gdybyśmy mogli w jakiś sposób rozdzielić jego armię i ułożyć wszystko tak, aby zająć się każdą częścią osobno”.

Piechur idący przed nią potknął się i upadł, zobaczył Hellsbane nad sobą, przybladł, gramoląc się na nogi z powrotem na swoje miejsce w falującej kolumnie piechoty. Klacz swym zachowaniem w bitwie zarobiła sobie na reputację konia zadającego śmierć ludziom i nikt prócz Piorunów Nieba nie chciał znaleźć się w zasięgu jej zębów i kopyt.

„Co jest przed nami? Ciekawe, czy jestem w stanie zmusić Ancara, aby zaangażował swych ludzi na zbyt wielu frontach? Czy możemy jakoś wykorzystać ten teren?”

Nie, to był nierozsądny pomysł. Przed nimi były tylko pola uprawne i łagodne pagórki.

Ściągnęła hełm, zawiesiła go na łęku, otarła pot z czoła. Nic to nie pomogło. Nigdy nie była tak zmęczona, nawet wtedy, gdy uciekała przed kapłankami Karsytów i ich demonami.

„Gdyby moi jeźdźcy nie musieli być tak związani z piechotą. . .”

A może nie było to konieczne.

„Gdybyśmy połączyli Pioruny Nieba z kawalerią i okrążyli ich. Ciekawe, czy ulegliby złudzeniu, że są to posiłki. . . Czy sądziłiby, że jesteśmy armią Darena?”

Sama siebie skarciła w myślach za głupotę. „Jakże, u licha, może mi przychodzić coś takiego do głowy? Zostawiłabym ich bez jakiegokolwiek wsparcia. Gdyby Ancar dał się zwieść, to skierowałby się w złym dla nas kierunku. Nic by z tego nie wyszło. Nie chcemy, aby udał się na południe, a już na pewno nie na zachód”.

Każdy nowy pomysł wydawał się rokować mniejsze szanse powodzenia od poprzedniego. I żaden nie przyniesie pożytku, o ile nie będą mieli okazji wypożyczyć!

„Czuję się jak zaszczuty jelen” — przyszło jej nagle do głowy i zamarła, gdy uzmysłowiła sobie, jak bardzo to wyobrażenie było bliskie prawdy.

Przeanalizowała szybko w myśli całe postępowanie Ancara od momentu ich pierwszej potyczki i doszła do wniosku z zamierającym sercem, że robili dokładnie to, czego on chciał. Uciekali. Uciekali aż do utraty sił. . .

— Co się stało? — Obok niej jechał Eldan, a ona nawet tego nie zauważyła.

— Właśnie przyszło mi do głowy, że popełniliśmy fatalny błąd — odpowiedziała wolno, czując mróz wzdłuż kręgosłupa. — Wszyscy myśleliśmy, że to my wodzimy go za nos. To nieprawda. To on zaganiał nas jak jelenie płoszone przez obławę.

Rozejrzała się za jednym z poruczników zwiadowców. Zauważyła strzechę blond włosów.

— Shallan! — krzyknęła przenikliwie.

Wezwana spojrzała za siebie, ściągnęła wodze; znużona zawróciła w ich kierunku.

— Chcę, abyś rozesała zwiadowców na wschód i zachód! — zawołała Kero, gdy tylko Shallan znalazła się w zasięgu głosu. — Wyślij ich na odległość mniej więcej pół dnia konnej jazdy na najbardziej wypoczętych wierzchowcach. Niech zabiorą ze sobą Heroldów. Jeśli to, o czym myślę, naprawdę tam jest, chcę o tym wiedzieć — natychmiast.

Przez chwilę Shallan wyglądała na zamyśloną, a potem raptownie zbladła.

— Wzięli nas w kleszcze? — zapytała; jej koń stał nieporuszenie, oszczędzając siły.

Kero przytaknęła kiwnięciem głowy i obejrzała się przez ramię, mając wrażenie, że ujrzy wyłaniającego się wroga.

— Tak sądzę. Nie mogłam wymyślić, gdzie była jego kawaleria i niemal doszłam do wniosku, że nie ma jej wcale. Ale gdybym dysponowała jego możliwościami, dlaczegóż wysyłałabym w pole tylko piechotę i niepełną kompanię jazdy? Teraz myślę, że wiem, gdzie on ich wysłał. Chcę wziąć nas w kleszcze od wschodu albo od zachodu. Idę o zakład, że to będzie od wschodu, ale chcę, abyście sprawdzili teren w głąb Valdemaru, bym zyskała pewność. W całym zamieszaniu wywołanym ewakuacją mogli się prześliznąć.

— Astero, pomóż nam, jeśli się nie mylisz — posępnie stwierdził Eldan, kiedy Shallan odjechała, by zebrać swoich zwiadowców i wysłać ich w drogę.

On także obejrzał się przez ramię z grymasem na twarzy.

— Będzie miał nas tam, gdzie myśmy chcieli mieć jego: przygwożdżonych pomiędzy jego armią a granicą Iftelu.

— Wiem — odpowiedziała, obserwując, jak dwie małe grupy Piorunów Nieba odrywają się od głównej kolumny i odjeżdżają na wschód i na zachód. — Wierz mi, że wiem o tym. Oddałabym rękę za wiadomość, gdzie teraz jest Daren, i nogę,

żeby to było tak blisko, by zdążył z odsieczą.

„Musimy być w połowie drogi do Iftelu. O bogowie, nie mam pojęcia, jak daleko jeszcze będzie się ciągnąć to wymarłe terytorium”. Daren rozprostował zmartwiałe palce, otarł rękawem pot z twarzy i popatrzył w słońce. Ściągnął wodze swojego rumaka na tyle, aby zrównać się z jednym z niewielu nieuzbrojonych jeźdźców w grupie.

— Jak daleko, według ciebie, jesteśmy od granicy Valdemaru? — zapytał młodego Quentena, a jego czoło pokryła niewielka zmarszczka, oczy zaś straciły ostrość spojrzenia. — Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest to, aby zwęszyły nas kreatury Ancara.

— Dostatecznie daleko — odpowiedział mag po chwili. — Jesteśmy poza zasięgiem tego, co czuwa w Valdemarze, zaś magowie Ancara zbyt są zajęci trzymaniem w ryzach żołnierzy, aby poszukiwać nas. To piekielnie sprytne z jego strony, że trzyma własnych magów po tej stronie granicy. Nie wiem, co to za strażnik, panie, ale zakłęcie jest bardzo dosłowne. Twoja magia może przekroczyć granicę, byłeś tylko ty osobiście tego nie zrobił. I podejrzewam, że nawet po przekroczeniu granicy i zaniechaniu wszelkiej magii, nie byłbyś niepokojony.

— Chyba masz słuszość — odpowiedział Daren.

„Porządny chłopiec z tego Quentena. Chciałbym wiedzieć, jak Kero udało się go skaptować”.

— I cieszę się nielicho, że w drodze powrotnej zadałeś sobie trud odszukania nas. Gdybyśmy szli najkrótszą drogą, utracilibyśmy i naszych magów.

— Przede wszystkim nie chciałem ich opuszczać, panie — rzekł z roztargnieniem Quenten. — Wzywam bogów na świadka, zostałem, gdybym mógł! Wytropienie ciebie i udzielenie przestrogi wydawało się jedyną słuszną rzeczą — i być może przybycie razem z tobą, gdyby udało ci się znaleźć sposób na uniknięcie magicznych kłopotów.

Jego łagodna, niewielka klacz płynęła obok wysokiego wierzchowca Darena; był to jedyny koń, oprócz jego własnego, który mógł kłusować, nie trzęsąc swoim jeźdźcem. Daren milczał, zmagając się z problemem, jak nadrobić utracone dni w drodze do Hardornu, gdy przemykali się chyłkiem z nadzieją, że Karsyci zlekceważą tę małą inwazję na ich terytorium.

Dysponował podwójną liczbą magów, aby ukryć ruchy swego wojska, lecz kto tam wie, do czego byli zdolni karsyccy kapłani. Może pochłaniały ich wewnętrzne kłopoty. Od czasu porażki proroka nie było więcej problemów z Karsem, krążyły jedynie pogłoski o wojnie domowej w szeregach kapłanów Pana Słońca i o tym, że główny kapłan tegoż bóstwa został zaatakowany przez kobietę. To już samo w sobie było herezją, lecz kolejne pogłoski donosiły, że kobieta ta, przybrawszy męskie szaty i fałszywą brodę, uzurpuje sobie prawa do tytułu Prawdziwego Syna

Słońca. Jeśli te wieści choć w połowie były prawdziwe, stawało się jasne, dlaczego Karsyci nie zwracali uwagi na armię swego odwiecznego wroga. Zwłaszcza że ta maszerowała całkiem gdzie indziej.

Po przekroczeniu granicy Hardornu kusiło jednak Darena, by zawrócić i spróbować szczęścia w Valdemarze z tym tajemniczym „strażnikiem”, który doprowadzał magów do szaleństwa.

Od granicy aż na odległość trzech mil w głąb Hardornu zamieniona w perzyną kraina była wymarła i pusta. Całe wioski stały opustoszałe, splądrowane, ale z najgorszym spotkali się, gdy jego żołnierze ostrożnie zajrzeli pomiędzy zburzone domy. Osady zostały złupione, a później zrównane z ziemią. W ruinach ludzie Darena natknęli się na szczątki kobiet i dzieci — tylko kobiet i dzieci — i to jedynie poniżej trzeciego roku życia oraz, przypuszczalnie, powyżej trzydziestego.

Daren myślał w pierwszym odruchu, że jest to sprawka rabusiów, lecz wtedy natknęli się na inną wioskę, mniejszą od poprzedniej, którą spotkał ten sam los. A potem była jeszcze jedna i jeszcze jedna.

Po czwartym takim odkryciu Daren zabronił swoim ludziom zbliżać się do tych miejsc. Nie mieli ze sobą ani jednego kapłana, lecz ich magowie — zwłaszcza Quenten — czuli bijący stamtąd dziwny niepokój, zaś Uzdrowiciele odmówili — histerycznie — postawienia choćby stopy w granicach wiosek.

Sama ziemia wyglądała na chorą i do cna wyczerpaną. Wybujałe chwasty, objawszy w posiadanie pola, rosły spłowiale, o cienkich, kruchych łodygach. Liście drzew utraciły barwy. Jedynym zrzadka widywanym ptactwem były wrony i jak dotąd nie udało się Darenowi dostrzec żadnej zwierzyny, nawet czmychającego królika. Od pierwszej wioski było coraz gorzej i gorzej. W jego oczach kraina wyglądała teraz jak piękna kobieta zniszczona przez zarazę. Nie mieściło mu się w głowie, że jego ludzie mogą to znieść — w większości pochodzili z rodzin rolniczych i ich marzeniem było osiąść na własnym, małym gospodarstwie kupionym za rentę. Widok dobrej ziemi w takim stanie musiał sprawiać im niezwykłą przykrość.

— Jak myślisz, co się tutaj wydarzyło? — zapytał Quentena.

Mag spojrział na niego w osobliwy sposób.

— Dlaczego pytasz?

Daren rozejrzał się dookoła po uschniętych konarach drzew, po pożółkłych trawach, chorobliwych naroślach plamiących liście — i zadrżał.

— Bo to miejsce wygląda na zatrute. Tego, co wydarzyło się w wioskach, można się łatwo domyślić — ten bękart siłą zaciągnął mężczyzn do wojska, zabrał ze sobą przydatne kobiety i maleństwa oraz dokonał rzezi dla przykładu... Nie pojmuję jednak, jak ludzie tak łatwo mogli przejść nad tym do porządku.

Quenten z podziwem potrząsnął głową.

— O panie, oni nie widzą tego, co ty widzisz. Dla nich wygląda to zupełnie zwyczajnie, za wyjątkiem tego, że niewiele jest ptactwa i zwierząt.

Rozejrzał się znacząco po ludziach maszerujących spokojnie drogą przed nimi i przechylił swoją kudłatą, pokrytą kurzem głowę, tak jakby czekał na odpowiedź.

Daren obrzucił go ostrym spojrzeniem, lecz wyraz twarzy młodego maga był jak najbardziej trzeźwy.

— To jest ułuda? Iluzja?

Ponownie mag potrząsnął głową, lecz tym razem badawczo doszukiwał się czegoś w twarzy Darena, zanim zdecydował się odezwać.

— Nie sądzę, panie. Czy w twoich żyłach płynie krew maga?

— Nieco, niezbyt wiele — odrzekł Daren po chwili zastanowienia. — Oczywiście rodzina od strony babki wydawała na świat Uzdrowicieli dość często i linia matki podobno miała coś wspólnego z kapłankami ziemi. . .

— Aaa. . . — rzekł Quenten z zadowoleniem. — To jest to: posiadasz zmysł ziemi. Ma go wielu z tych, w których żyłach płynie krew starych kapłanek ziemi. To, co widzisz, ziemia ujawnia przed tobą poprzez twój zmysł ziemi, widzisz to, co tkwi pod zewnętrzną skorupą, wszyscy pozostali patrzą jedynie swoimi zewnętrznymi oczami. Ta ziemia jest chora; praktykowano tutaj magię krwi, zbyt wiele, by ziemia mogła ją wchłonąć bez szkody dla siebie. To jest prawdziwa potworność popełniona w wioskach za nami. Nie tylko rzeź sama w sobie, lecz to, że dopuszczono się jej, by przywołać moce magii krwi i magii śmierci.

Daren wspomniał wszystkie pogłoski, które słyszał o Ancarze — raptownie zaczęły nabierać znaczenia.

— Magia krwi, aby panować nad umysłami tych, których zabrał ze sobą? — zapytał przenikliwie. — Magia krwi dla utworzenia zapasu mocy, z którego może czerpać? — Źrenice Quentena poszerzyły się. — Magia krwi, aby ziemia utrzymywała go w zdrowiu, zapewniała mu młodość — kosztem siebie?

— Nawet jeden na dziesięciu wysoko urodzonych nie wie o tym — wyszeptał mag. — Zatrzymaj to dla siebie, panie. Niektórzy powiadają, że wiedzę dzieli pół kroku od żądy. Nie zgadzam się z tym, lecz nawet szkoły magii mają swoich fanatyków. — Przyjął swój normalny ton. — Prawdopodobnie, panie, nazbyt to wiele, by ziemia mogła podołać. To dlatego w twoich oczach wygląda na chorą. Ufaj swojemu zmysłowi ziemi, panie. Jeśli nauczysz się korzystać z niego, powie ci więcej niż tylko to.

Teraz z kolei Daren potrząsnął głową. Ziemia krzyczała do niego na swój sposób — i on nic nie mógł na to poradzić, tak jak nie mógł przywrócić życia tym niewinnym biedactwom. Chciał błagać ziemię o przebaczenie, że jej nie uzdrawia, a ludzi za to, że nie było go tutaj, gdy potrzebowali pomocy. Ale to było nierozsądne. Rozumiał Heroldów Valdemaru znacznie lepiej niż jego brat. Rozumiał, na czym polega troska o ludzi, nawet jeśli nic go z nimi osobiście nie łączy. Faram oddałby życie za własnych podwładnych, lecz nie tych z Valdemaru. Nie podołałaby mu się ta rzeź, lecz nie odczułby tego tak głęboko jak Daren. I rozumiał także, na czym polega obowiązek oraz wierność złożonej przysiędze.

— W tej chwili dbam jedynie o to, czy tę ziemię można bezpiecznie przebyć — ty mówisz, że tak — i czy Ancar posiada jakiegoś maga, który mógłby wykryć naszą obecność.

— Staramy się temu przeszkodzić, panie — odpowiedział oschle Quenten. — I... — rzucił bystrym spojrzeniem.

— Co to jest? — zapytał Daren, ściągając wodze swojego wierzchowca, kiedy klacz Quentena zamarła w bezruchu.

Mag podniósł rękę do czoła ze wzrokiem wbitym w dal. Wyglądał tak, jakby wsłuchiwał się w coś przed sobą.

— Quenten? — nalegał Daren. — Quenten?

Oczy maga ponownie spoczęły na nim.

— Tuż przed nami stoją odwozy Ancara — powiedział niewyraźnie. — Kilku magów i trzy kompanie konnych. I... Darenie, panie, oni przeważnie pochodzą stąd, z tej wyklętej krainy.

— W takim razie są zniewoleni siłą. W żaden inny sposób w tak krótkim czasie nie zrobiliby z rolników kawalerii. — Dał znak swoim oficerom, by wstrzymali pochód. — Quenten, jak daleko przed nami jest to, „tuż przed nami”?

— Pół dnia marszu, może bliżej. Niewiele bliżej. — Quenten zdawał się nie zauważać westchnienia ulgi Darena.

— Co oni tam robią? — pytał uparcie. — Nie widzieliśmy ani śladu armii Ancara. Co tutaj robią odwozy?

— Ja nie... oni... potrzebne mi jest moje naczynie.

Bez ostrzeżenia mag zsunął się z grzbietu klaczy i zaczął szperać w swoich tobołkach. Wydobył całkowicie czarny półmisek, lśniący, wykonany z czarnego szkła czy też czegoś, co bardzo go przypominało. Nalał wody z własnego bukłaka na samo dno, usiadł wprost na drodze, na ziemi, i wlepił oczy w naczynie.

Daren obracał się pośród magów dostatecznie długo, aby wiedzieć, kiedy trzymać usta zamknięte na kłódkę. Czekał cierpliwie w promieniach słońca, zbyt słabych, aby go chociaż rozgrzały. Armia czekała z równą cierpliwością, zadowolona ze sposobności do odpoczynku, przysiadłszy na poboczu drogi. Daren obserwował swoich ludzi, wymęczonych, opierających się o plecaki, i żałował, że był zmuszony nakłaniać ich do takiego wysiłku. Musieli nadrobić mnóstwo czasu, gdy tylko zeszli ze wzgórz. Na koniec dnia sam był znużony, a przecież jechał na koniu. Nie chciał nawet myśleć, jak wyglądają stopy piechurów.

— Oni wyczekują — powiedział Quenten cienkim, obojętnym głosem, który był przedziwnym odbiciem jego myśli. — Są połową łapy z pazurami, która pochwyty Selenay i zmiążdży Valdemar.

— Co? — wypalił przerażony Daren.

Quenten podniósł oczy, zamrugał powiekami, uniósł naczynie i rozlał wodę po ziemi.

— Ancar trzyma odwody tutaj. Czekają, aż zmęczy oddziały Selenay na tyle, aby zamknąć pułapkę — wyjaśnił mag głosem, który zabrzmiał normalniej. — Wtedy każe temu mrowiu runąć z boku i z góry, samemu odcinając główne siły od dołu.

— Nie wydaje mi się — odpowiedział Daren tonem posępnego zadowolenia, że w końcu jest przed nim coś, z czym może walczyć.

— No tak, ale to nie wszystko, panie — dodał Quenten, wstając z drogi, otrzepując szaty z pyłu i ostrożnie chowając naczynie. — Chodzi o to, z kogo składają się te odwody, czy raczej skąd pochodzą. Tak jak powiedziałem — są stąd. Są zniewoleni do posłuszeństwa przez krew swoich bliźnich. Teraz to ty posiadasz zmysł ziemi; to ty możesz zdradzić mi, który mag panuje nad nimi, bo ziemia dookoła niego powie ci o tym. Ona go nienawidzi i jest mu podległa, a ty zobaczysz go tak, jak ona go widzi.

— A co się stanie, jeśli go złamiesz? — zapytał Daren, pochylając się w siodle, mimowolnie zaciskając jedną dłoń na łąku. — Jakże to zobaczę? Czego musisz mnie nauczyć i czy możemy na to poświęcać czas?

Quenten czekał z odpowiedzią, dopóki nie znalazł się w siodle i odwrócił się, by spojrzeć na Darena, gdy już mocno się w nim usadowił.

— Posiadasz zmysł ziemi — powtórzył. — To sprawa instynktu raczej niż wiedzy. Złam maga, który sprawuje władzę, a uwolnisz nie tylko ofiary, lecz, co jest równocześnie możliwe, ziemia dookoła zerwie się do buntu. I da posłuch tobie, pójdzie za pewnymi twymi wskazówkami, jeśli będą dostatecznie proste.

— Naprawdę?

Quenten kiwnął głową. Daren pomyślał o stosach budzących litość ludzkich szczątków i ruin, rozejrzał się wokół siebie po umierającej krainie. Pomyślał o Kero i armii Selenay. O przysięgach. Być może to jakiś bóg obdarzył go właśnie po to, aby miał szansę wszystkiemu temu zaradzić.

— Quentenie, ty przewodzisz magom; sprowadź swoich czarnoksiężników, wywiedz się wszystkiego, czego zdołasz, i bacz, abyśmy pozostali w ukryciu.

Daren zawrócił konia i odjechał w poszukiwaniu zwiadowców, zanim mógł usłyszeć gorliwą zgodę Quentena.

„Doskonale, Ancarze, ty draniu” — nie mógł opędzić się od tej myśli, pełnej okrutnego uniesienia. „Właśnie zamierzam poszukać małego zadoścuczynienia u ciebie i u twoich ludzi”.

Nieświadomość niebezpieczeństwa w odwodach Ancara była całkowita — lecz mimo wszystko żołnierze ci znajdowali się głęboko na własnym terytorium i nie mieli powodów spodziewać się jakiegokolwiek zagrożenia. Daren osobiście zszedł ze swymi zwiadowcami w rzeczną dolinę, aby dobrze przyjrzeć się swojemu wrogowi i jego zachowaniu. To, co zobaczył, doskonale pasowało do teorii Quentena o kontroli umysłów. Ledwie ćwierć ludzi zebranych na dole poruszała się i działała w sposób przyjęty za normalny. Pozostali równie dobrze mogliby

być kukiełkami; patrzenie na nich było rzeczą niepokojącą. Ruchy ich były apatyczne, o ile w ogóle się poruszali, i nikt z nich nie próżnował — zaprzęgnięci w kierat nie tracili czasu, przystępowali do jakiegoś zadania, wykonywali je do końca i przystępowali do następnego. I wszystko to czynili, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa, nie wychyliwszy się nawet na krok. Nie gotowano żadnej strawy; mała grupka ludzi rozdawała pozbawione smaku porcje chleba, których Rethwellan nie używał już z powodu skarg swoich poddanych. Ci wojownicy odbierali chleb, zjadali go metodycznie i wracali do swojego kieratu.

Po zapadnięciu nocy w obozie nastała kompletna cisza; nie było grup towarzyskich zbierających się dookoła obozowych ognisk, hazardu dla zabicia czasu — nic. Ci ludzie po prostu owinęli się w derki i zasnęli, z wyjątkiem magów i oficerów, którzy mieli namioty i przypuszczalnie czymś się wewnątrz nich zajmowali.

Był to widok całkowicie wytrącający z równowagi dla kogoś, kto wiedział, jak obóz powinien wyglądać, jakimi dźwiękami powinien rozbrzmiewać. Ten był zupełnie nienaturalny — choć Daren musiał w duchu przyznać, że czasami życzyłby sobie, aby jego ludzie...

Odrzucił tę myśl od siebie, zanim jeszcze się wykrystalizowała, uświadomiwszy sobie z dreszczem, że sam był bliski chęci upodobnienia swych ludzi do tych nieszczęśników. Czy to mieli na myśli magowie, mówiąc, że niewiele dzieli wiedzę od żądz?

Potworny pomysł...

Przez chwilę mrugał oczami. „Nie” — powiedział sobie w duchu. „Nigdy tego nie chciałem. To jest gorsze od niewolnictwa; niewolnik przynajmniej jest panem swoich myśli. Ci biedacy nie mają nawet tego. Zniszczenie lub zniewolenie umysłu jest tak samo złe jak zabicie człowieka. Może nawet gorsze, jeśli umysł wie, co mu się przytrafiło”.

Zwiadowca pociągnął go za rękaw, więc poczołgał się z powrotem wraz z pozostałymi, unikając strażnika o szeroko rozdziawionych ustach. Powrócili do swoich oddziałów bez dalszych przygód i Daren spędził ze swymi oficerami wiele godzin, aż do północy, wyznaczając marszrutę na następny dzień.

Świt ujrział oddziały Rethwellanu na pozycjach tuż nad obozem. Niemożliwością było utrzymanie ruchu tak dużej grupy w sekrecie, lecz przez rozdzielenie swych sił na dwie części, odcinając wojownikom Ancara łatwą drogę ucieczki przez rzekę, Daren zmusił rezerwy Ancara do potyczki z nim, uniemożliwiając im połączenie się z większą armią lub ucieczkę w głąb Hardornu.

Daren czekał na stanowisku dowodzenia wraz z Quentenem, innymi magami i swoimi podoficerami. Za miejscem tym przemawiały jedynie dwie rzeczy: niczym nie przesłonięta panorama i bardzo wysokie, rzucające cień drzewo.

— Możesz już powiedzieć, kim on jest? — zapytał Quenten półgłosem, gdy oficerowie rozeszli się, aby stanąć ze swoimi ludźmi.

Daren potrząsnął głową. Nieco na prawo od centrum było coś w rodzaju małego zagłębienia „przykrych uczuć”, lecz nie stał tam żaden mag. Zakładali, iż magowie Ancara byli zbyt potężni, aby mógł ich unieszkodliwić którykolwiek pojedynczy mag Darena. By zatem kogoś takiego pokonać, będą musieli wyczerkiwać sposobności i uderzyć w niego wszyscy razem.

Jeden z magów Darena właściwie się nie liczył; uniemożliwiał wrogowi wzywanie pomocy, przynajmniej na sposób magiczny. I do tego się tylko nadawał. Pozostawili go więc w namiocie Uzdrowicieli, gdzie miał przebywać nawet, gdy cała sprawa się zakończy, aby powrócić do sił. Albo i nie; zawsze istniała możliwość, że umrze z wyczerpania czy też zostanie zabity przez magów przeciwnika. Gdyby armia Darena przegrała, niemal na pewno poniósłby śmierć. Magów trudniej było kontrolować niż pochwyconych wojowników; wróg zwykle nie zadawał sobie trudu, by próbować.

Daren dał znak do ataku. Nie było sensu szarżować; ludzie o zniewolonym umyśle nie straciliby ducha na widok szarży czy też bitewnego okrzyku. Biliby się po prostu aż do utraty sił, a wtedy inni zajęliby ich miejsce. Daren wydał swym oficerom staranne rozkazy: trzymać ludzi w ordynku, żadnej heroicznej taktyki, walczyć ze starannością jak na musztrze. Jediną przewagą w walce z ludźmi o zniewolonych umysłach jest to, że poruszają się oni wolniej. Na tym polega różnica pomiędzy wiedzą, co należy zrobić, a robieniem tego na rozkaz — pomiędzy wyuczoną reakcją i czymś, co stało się naturalnym nawykiem.

Bitwa była w rezultacie nudna. Nie było powiewających sztandarów, wrzasków, za wyjątkiem okrzyków bólu, nie było szarż; jedynymi dźwiękami były okrzyki, brzęk oręża, rżenie koni, szuranie setek stóp i tętent kopyt. Ludzie mogliby równie dobrze być tymi małymi pionkami, których on i Kero używali, aby ćwiczyć manewry taktyczne. Jeśli nie liczyć krwi, rannych, poległych. Dzięki temu było to realne i zarazem ujmowało realności samej walce.

Daren skoncentrował się na magach, skupionych w pobliżu oficerskiego punktu dowodzenia. Odróżniały ich barwy szat, jaskrawe w zestawieniu z brązowymi i płowóżłtymi skórami, w które odziani byli wojownicy i oficerowie. Lecz im bardziej był skoncentrowany, tym zdawał się mniej dostrzegać. Zaczął ogarniać go gniew i rezygnacja. „Moi ludzie giną tam na dole.” — Powstrzymał się jednak, zanim zdążył wybuchnąć na Quentena.

„To jest mój kłopot, nie jego. Powiniennem się z nim uporać. Quenten powiedział, że zmysł ziemi zbliżony jest do instynktu” — pomyślał w końcu. „A więc jeśli zaniecham koncentracji. . .

Dziwiłem się, co, u licha, dobrego wyniknie z tych medytacyjnych ćwiczeń, przy których upierała się Tarma. Wydawało mi się, że jeśli jest coś bardziej nieprzydatnego. . . Niemal słyszę teraz jej głos: „*Niespodzianka, młodzieńcze. Nic nigdy się nie marnuje*”.

Przymknął oczy i wywlókł to ćwiczenie z przepastnych głębin pamięci. Nie

było to takie trudne, jak mu się wydawało, gdyż po chwili rozluźnił się. Skupił się na ziemi pod swoimi stopami, tak jak go tego nauczyła Tarma — i kiedy czuł, że jest prawdziwym jej przedłużeniem, otworzył oczy...

Niemal stracił dech. Nigdy, przenigdy do tej pory nie widział czegoś takiego — gdyby nie to, że czuł się znakomicie, a rano dzielił z innymi te same racje żywnościowe, podejrzewałby siebie o chorobę albo odurzenie ziołami. Pole bitwy było podzielone na obszary promieniującej, zdrowej zieleni i matowej, martwej, trędowatej bieli o szkarłatnych i cynobrowych obrzeżach tam, gdzie się te obszary spotykały. Poza terenem walki krajobraz był taki sam jak wzdłuż całej drogi na północ — chorobliwa zieleń, zatruta żółć.

Za wyjątkiem jednego punktu poza liniami, pomiędzy dowodzącymi i magami, jednego czarnego punktu w aureoli wściekłej czerwieni.

— Sprowadźcie Quentena — odezwał się do adiutanta. — Mamy go.

Jedenastu z dwunastu magów zjawilo się u jego boku tak szybko, że obudziło się w nim podejrzenie, iż sami siebie tam wyczarowali.

— Gdzie on jest? — odezwał się Quenten i raptem potrząsnął głową, gdy Daren otwierał usta, aby wyjaśnić mu, że nie może mu tego powiedzieć. — Daj spokój, wiem, jestem głupi. Hadli, mogłabyś...

Czarnowłosa, pulchna dziewczyna wyciągnęła ręce i dotknęła obu jego skroni, zanim zdołał coś rzec lub coś uczynić.

— Mam go, Quentenie — powiedziała z zadowoleniem.

— Co zamierzacie zrobić? — zapytał z obawą Daren. — To znaczy, nie chcę, abyście uderzyli w niego i równocześnie w naszych ludzi.

— Nic z tego. Kero lubi rzeczy załatwiane subtelnie. Ostatniej nocy doszliśmy do wniosku, że uzyskamy ten sam efekt, zabijając go fizycznie lub raniąc — tak czy siak utraci władzę nad magią i umysłami, które zniewala.

— A więc ja umożliwię im rozpoznanie go — powiedziała Hadli. — Quenten rzuci z naczynia zakłęcie „dalekiego spojrzenia”, a Gem i Myrqan znajdą oręż, którym w niego uderzymy, podczas gdy pozostali zmylą jego czujność.

Daren odwrócił się. Quenten już klęczał na ziemi z naczyniem pełnym wody przed sobą, lecz tym razem utworzył się w nim obraz, który nawet on mógł zobaczyć.

Hadli i dwaj inni ukłękli obok niego, a Daren stwierdził, że wciąż dobrze widzi ponad ich głowami. Dojrzał plecy kilku ludzi odzianych w długie szaty o połyskliwych barwach i dziwne kształty formujące się tuż przed nimi. Jego oczy zwróciły się w kierunku jednego z nich, ubranego w niebieską szatę, i dostrzegł tę samą plamę czerni i szkarłatną aurę, którą „widział” uprzednio.

— To on — stwierdziła Hadli. — To ten w niebieskim z miedzianym pasem i węzowym emblematem na rękawie.

— Daren! — wykrzyknął Quenten, nie odwracając uwagi od naczynia. — Kiedy uderzymy w niego, poczujesz to w ziemi. Nastąpi chwilowy spazm, a po-

tem moment zawahania. To wtedy musisz skupić uwagę na tym, co chcesz, aby się stało. Jest w tym zaklęta wielka potęga. Pomyśl o wzbierających w rzece wodach powodzi. Gdy raz wprawisz to w ruch, nie będziesz zdolny ani tego zatrzymać, ani odwrócić biegu. Jeśli nie wiesz, co począć — nie myśl o niczym.

Daren powstrzymał się od kpiarskiej odpowiedzi. W naczyniu ze stołu za plecami magów zaczął się unosić lekki, zdobiony sztylet. Zanim miał okazję zapytać, co to oznacza, rzecz ta wyprysnęła do przodu tak, jakby ktoś nią cisnął i pograżyła się aż po jelec w plecach odzianego w niebieską szatę.

Raz w życiu Daren przeżył trzęsienie ziemi. Teraz było podobnie. Przez chwilę wydawało się, że ziemia ustąpiła spod jego nóg, a on zawisł w przestrzeni z uczuciem, że coś ogromnego i ciężkiego, jak fala przed załamaniem, zawisło nad jego głową.

Z opóźnieniem przypomniał sobie polecenie Quentena i uzmysłowił sobie, że niemożliwe jest nie myśleć o niczym. „Niech to będzie coś prostego. Najmilsi bogowie! To zaraz ruszy, a janie wiem, co mam temu powiedzieć...”

Niech to będzie coś prostego.

„Niech wszystko będzie tak, jak było!”

Fala wyrwała się. Daren zakołysał się i zaczął upadać, kiedy adiutant go podtrzymał. I nagle na polu bitwy wybuchła wrzawa.

Był to odgłos kilku tysięcy rozwścieczonych, na poły oszalałych mężczyzn zwracających się przeciw swym oficerom i rozrywających ich na ćwierci.

Dwudziesty czwarty

Ludzie tłoczyli się ze wszystkich stron. „O bogowie! Błogosławiona Agniro! Ja ich w to wpakowałam. Ufają, że ich z tego wyciągnę. Jak mam im powiedzieć, że nie mogą tego zrobić?” W obozie zalegała nadzwyczajna cisza. Gdzieś od strony Valdemaru Selenay także ogłaszała złe wieści swojemu wojsku. Oddziały regularne, to znaczy Heroldowie, już o tym oczywiście wiedziały. Kero chciała odwrócić wzrok od tych wszystkich oczu patrzących na nią z pełnym zaufaniem, wlepić spojrzenie w niebo albo w ziemię — gdziekolwiek, byle nie na nich. „Podlegają mi, a ja ich zawiodłam. I teraz co powiem? *Przykro mi?*”

Zamiast tego, zanim przemówiła, spojrzała im prosto w oczy.

— Nie mam dobrych wiadomości — rzekła w końcu. — Wojownicy Ancara zdołali zapędzić nas tak daleko na wschód, że ich najbardziej oddalone na południe oddziały rozdzieliły się i przesunęły się na zachód od nas. Teraz właśnie to robią, a my nie mogliśmy im w tym przeszkodzić. Na wschodzie, we własnym kraju, stoi jego kawaleria, która prawdopodobnie także podąża na północ. Dostałiśmy się w kleszcze i teraz jesteśmy otoczeni.

Czekała przez chwilę, aby to do nich dotarło, a potem ciągnęła dalej, pocierając ręką kark:

— Mają sporą przewagę liczebną. Oddziały Selenay próbowały rano przeszkodzić południowemu zgrupowaniu w obejściu nas od zachodu, lecz było ono dla nich zbyt liczne, a rolnicy nie są po prostu w stanie sprostać wyszkolonym wojownikom w boju spotkaniowym. Wygląda na to, że wielkie starcie odbędzie się jutro. Ma nas dokładnie tam, gdzie chciał nas mieć, i nie można się z tego wywinąć.

Przez moment wsłuchiwała się w ich oddechy.

— Gdzie jest lord Daren? — zza pleców rozległ się głos.

Kero popatrzyła ponad głowami najbliższej stojących i próbowała odszukać pytającego.

— Ślad po nim zaginał mniej więcej od czasu, kiedy powinien przekroczyć Grzebień od strony Valdemaru, gdzieś w górach. Nie wiemy, co się z nim stało. Ani słowa o tym, aby maszerował przez Valdemar, tak jak powinien. Może być w drodze. Mógł zostać odrzucony. Mógł zostać pokonany przez Ancara w górach.

Tego po prostu nie wiemy, a więc nie możemy liczyć na jego przybycie.

„Nie mówiąc już o tym, aby zjawił się tutaj na czas. Tak właśnie kończą się ballady, ale nie prawdziwe bitwy”. Bywali już w tarapatach, lecz nigdy w tak poważnych i nigdy pod jej komendą. Aż się ugięła pod brzemieniem odpowiedzialności.

— Oto co możemy zrobić — ciągnęła. — Jesteśmy najlepszymi specjalistami od zabawy w morderczą ciuciubabkę w tym zawodzie. Możemy się oderwać, zostawić ten bałagan za plecami i ruszyć do domu. Ani jedna dusza spoza Valdemaru nie będzie nas o to winić. Nie bierzemy w tym udziału dla chwały, patriotyzmu ani nie jesteśmy fanatykami — ponownie rozejrzała się dookoła i zobaczyła przytakujące głowy. — Jesteśmy tutaj dla pieniędzy, ot co, i nasz przywilej Gildii oraz kontrakt pozwalają na to. Ancar wyrzucił Gildię. Wiemy, że nie będzie respektował kodeksu, jeśli się poddamy. Prawdopodobnie z miejsca nas zabije. Możliwe, że zadowolony się zabiciem jedynie oficerów i zniewoleniem waszych umysłów, żołnierze. Nie sądzę, abym musiała dalej się nad tym rozwodzić.

Zauważyła, że jeden z najbliższych stojących zadrżał i sama sobie przytaknęła kiwnięciem głowy.

— Tak jak powiedziałam, kodeks i przywilej zezwalają na to. Możemy oderwać się i ruszyć do domu. Położenie jest beznadziejne, nie można z niego wyjść zwycięsko. Jednakże nie będziemy mogli zabrać ze sobą rannych i każdego, kto padnie podczas ucieczki, musimy pozostawić na pastwę losu. Według mnie, utracimy około połowy naszych żołnierzy. Nie będzie to łatwe, lecz pozostanie tutaj zmniejsza nasze szanse, przynajmniej tak mi się wydaje.

— Jak postąpią Heroldowie? — zapytał jeden z poruczników. — Oni także są konnicą i nam dorównują, przynajmniej większość z nich.

— Dobrze pytanie — odpowiedziała Kero. — Zamierzają ocalić Selenay, jeśli będą w stanie. To absolutnie nie jest takie pewne; Ancar pragnie obedrzeć ją ze skóry i jeśli dowie się, że chcą wyrwać ją z okrażenia, zrobi wszystko, aby dopiąć celu. Możemy, oczywiście, wykorzystać to dla odwrócenia uwagi, co polepsza nasze szanse.

— A potem co? — rozległ się ten sam głos co za pierwszym razem.

— Potem zawrócą i ponownie wezmą udział w bitwie — odpowiedziała tak naturalnie, jak tylko mogła. — Wszyscy, wyjąwszy eskortę odprowadzającą Selenay w bezpieczne miejsce.

Pośród żołnierzy rozległ się pomruk zdumienia i podziwu. Niektórzy z Heroldów — Eldan na przykład — zyskali wielką popularność; innych, jak ten, którego zmienił Eldan, uważano za nieznośnych. Ale Pioruny Nieba nie mogły nie podziwiać każdego, kto jest tak zuchwały, aby wydostać się z samobójczego położenia oraz zawrócić i postawić się w nim ponownie.

— To niewiele ma z nami wspólnego — przypomniała im Kero z naciskiem. — My jesteśmy najemnikami. Oni nie. Muszą dochować danej przysięgi i spełnić

obowiązek, przed czym nie będą się wzbraniać. My jesteśmy tutaj dla żołdu. To prawda, Pioruny Nieba nigdy nie były zwykłą kompanią, a ja nie byłam zwyczajnym kapitanem. Dlatego wezwałam was tutaj. Nie podejmę takiej decyzji samodzielnie, ani nawet tylko z moimi oficerami. Próbujemy wyrwać się z tego czy zostajemy? I czy pozostaję waszym kapitanem?

Pełne dezaprobaty okrzyki, z jakimi spotkało się to pytanie, wywołały u niej straszliwe wyrzuty sumienia.

— W porządku! — huknęła w końcu, gestem ręki nakazując ciszę. — W porządku, jeśli chcecie mnie aż tak bardzo, będziecie mieli. Ale pozostaje drugie pytanie — wrywamy się czy zostajemy i robimy wszystko, co zdołamy? Wiecie, na czym to polega: kamyk ciemny — „odchodzimy”, jasny lub biały — „zostajemy”. I żadnych kamieni w niezdecydowanych kolorach — nie chcę widzieć w tej sprawie żadnych „być może”.

Odwróciła się i usiadła, czekając na wynik głosowania, oddzielając szczerze swój mózg od ich myśli. Nie chciała wiedzieć, o czym myślą, i nie zamierzała na to wpływać.

Próbowała naprawdę o niczym nie myśleć. Kiedy Geyr wyszedł z koszem pomiędzy stłoczonych wojowników, ktoś rzucił pytanie:

— A ty?

— Pójdę razem z wami — odpowiedziała. — I pozostanę z wami aż do Bolthaven. Wtedy zamierzam wezwać do ponownego głosowania i zobaczymy, czy gdy będzie po wszystkim, wciąż jeszcze będziecie mnie chcieć. Mam obowiązki takie same jak Heroldowie tutaj, moją przysięgę złożyłam wam. Nie mam zamiaru jej łamać.

Usłyszała pomruk, zauważyła spojrzenia i zrozumiała tak dokładnie, co o tym sądzą, jakby otworzyła swój mózg na ich myśli. Wszyscy wiedzieli o Eldanie — sporo z nich wiedziało o ich pierwszym spotkaniu przed dziesięciu laty. Wiedzieli, co poświęciłaby, wyprowadzając ich stąd, jeśli to przegłosują, albo przynajmniej wydawało im się, że wiedzą.

Nie zwróciła uwagi na pomruki i nie zmieniła na twarzy wyrazu wyuczonej pogody. „Złożyłam przysięgi, mam swoje obowiązki. On wie o tym. To nie zmniejsza bólu ani odrobinę, ale nie ma wyboru. Przysięgi składa się po to, by ich dotrzymywać i on pierwszy przyznałby mi rację”.

W końcu Geyr przyniósł jej kosz z powrotem i przygotowała się na to, co nieuniknione. Jakżeby mogli nie głosować za ocaleniem własnej skóry? Jedyne głupiec pozostałby tutaj, by umrzeć. „A więc jestem głupcem. Ale to nie tylko Eldan...” Było prawdą, że istniała ledwie pięćdziesięcioprocentowa szansa, iż komukolwiek z nich uda się wyrwać na wolność, lecz od kiedyż to młodzieńcowi nie wydaje się, że może wygrać z losem?

Wtedy Geyr odwrócił nad stołem kosz dnem do góry... Poczowała, wstrząśnięta, jak otwierają się jej usta.

Dojrzała stos — mały, biały pagórek. Jasne piaskowe kamyki toczyły się w dół, cicho grzechocząc. Drżącymi rękami rozsypała kamyki po stole. Ciemnych nie było, nawet jednego. Oni chcieli zostać, walczyć obok ludzi z Valdemaru. Nie wyłamał się nikt.

Podniosła na nich wzrok, wpatrując się w każdą twarz, którą mogła dostrzec, i nie znalazła tam nic poza odbiciem twardego postanowienia woli.

— Jesteście szaleni — stwierdziła po prostu. — Wszyscy jesteście szaleni. Jeśli zostaniemy, nie mamy żadnych szans.

Niezdarnie powstała Shallan, jakby wybrano ją na rzeczniczkę całej kompanii.

— Nie wydaję nam się, proszę o wybaczenie, kapitanie. Poza tym, jakie najemnik ma szansę odebrać z rąk Gildii należną mu rentę, he? Wszyscy mówiliśmy o tym ostatniej nocy. Wszyscy czujemy, że ci ludzie tutaj zasługują na pomoc. Najemnik może paść w każdej chwili i jeśli ma mnie to spotkać, wolałabym raczej zginąć dla kogoś, kto zasługuje na pomoc, a nie dla jakiejś świni, handlarza spierającego się o grunt z innym knurem kosztem mojego życia i miecza.

Pozostali potwierdzili jej słowa pomrukiem. Rozległo się raz czy dwa razy: „Tak jest!” ze strony weteranów, dojrzałych na tyle, aby pamiętać Ardanę i pogrom w Seejay.

Kero podniosła się powoli i objęła zaskoczoną Shallan. Otoczyła ramieniem starą przyjaciółkę i ponownie popatrzyła na ich twarze, tym razem oczami pięknymi od powstrzymywanych łez.

— Wszyscy jesteście głupcami, bogom niech będą dzięki — powiedziała ochryple. — Każdy z was. Takimi głupcami jak ja sama — gdybyście mnie przegłosowali, pozostałabym. W porządku, Pioruny Nieba. Zostajemy. I jutro pokażemy Ancarowi, co to znaczy porywać się na najświetniejszą kompanię Gildii!

Wiwaty mogły być przypuszczalnie słyszalne w Haven.

„I nikomu nie przysłoby do głowy” — pomyślała, czując dumę z dodatkiem żalu — że wiwatuja własną śmierć. Biedni, zuchwali głupcy. To prawdopodobnie będzie nasza ostatnia bitwa. Dziesięć do jednego, że dla mnie będzie ostatnia. Niech bogowie mają nas w swojej pieczy!”

Daren wpatrywał się w martwe, matowe oczy nieznajomego i zapytał:

— A więc co powinienem z wami począć?

W namiocie było gorąco i czuć było stęchlizną, jednak za każdym razem, gdy Daren patrzył na tego człowieka, mróz przebiegał mu po karku. „Lepsza jest śmierć. Lepiej by było, gdyby poniósł śmierć. Biedak.”

— Prowadź nas, panie — odparł człowiek pozbawiony nazwiska, który jeszcze przed rokiem był prostym rolnikiem, nie dbającym o to, kto jest władcą, a kto nie. — Prowadź nas. Teraz nie mamy nic. Nasze rodziny umarły albo są jak umarłe. Nasze domostwa zniknęły. Nasze pola pełne są chwastów i dzikich roślin. Pro-

wadź nas.

— Potrójnie martwi — wymamrotał Daren pod nosem. „Prowadź nas, powiada. Rolnicy na końskich grzbietach. Jakakolwiek mieli zręczność jeździecką, ulotniła się, kiedy mag panujący nad nimi umarł. I na co mi przyszło, utknąłem z hordą niezdyscyplinowanych, na poły oszalałych rolników, nie pamiętających, co począć z mieczem i lancą”.

A jednak byli na poły szaleni i nie mieli nic do stracenia. Ancar obrabował ich ze wszystkiego, nawet nazwisk, gdyż nikt z nich nie pamiętał, kim jest. Jedyne co im pozostało, to pamięć o tym, co spotkało ich i ich ukochanych — pamięć utrwalona gniewem tak, że nic, co magowie uczynili, nie było w stanie jej wymazać. Była jedynie zablokowana do czasu, gdy Daren wydał ziemi desperackie, brzemienne w skutki polecenie — *niech wszystko będzie tak, jak było*.

Wiele rzeczy było, oczywiście, niemożliwych: umarłych nie można było wskrzesić, pamięć nie mogła zostać zniszczona ani przywrócona. Ale żołnierzom zwrócono władzę nad własnymi myślami, a uwolnione z pęt Ancara ziemię już zaczęły zablźniać rany.

„Zachowanie zawodowców można przewidzieć — brzmiało jedno z powiedzeń Tarmy — ale świat pełen jest amatorów”. Tak długo, jak długo będzie trzymał swoich żołnierzy z dala od nich, nic złego nie powinno się wydarzyć.

— Pozwól mi o tym pomyśleć — zwlekał. — Nie jestem pewny, czy mam prawo was poprowadzić. Nie jesteście moim ludem i mogą wam się nie podobać moje rozkazy. Jeśli nie będę miał prawdziwej władzy nad wami, możecie uderzyć na własną rękę, a wtedy — jak będą wyglądać moje plany?

— Ale... — zaczął człowiek i przerwał mu nadejście Quentena.

Mag był podniecony, co chwilę przeciągał dłonią po rozwichrzonych rudych włosach.

— Panie, przed chwilą przechwyciliśmy magiczną wiadomość od dowódcy Ancara — powiedział. — My...

Wtedy dostrzegł siedzącego bezimiennego mężczyznę i z trzaskiem zamknął usta.

— Proszę mi wybaczyć. — Daren przeprosił mężczyznę, który z krnąbrnym uporem rolników otworzył usta, aby podjąć swoją argumentację lub zaprotestować, że mu przeszkadzają. — Obiecuje powrócić do ciebie z odpowiedzią, lecz podejrzewam, że to, co ten człowiek ma do powiedzenia, pomoże mi podjąć decyzję.

Nim rolnik zdołał cokolwiek odrzec, Daren ujął Quentena za łokieć i wyprowadził go z namiotu. Odeszli kilka kroków, aby nie można ich było podsłuchać.

— Co to za wiadomość? — zapytał. — Czy istnieje szansa, że ludzie Ancara mogą domyślić się, iż to ty ją odebrałeś, a nie jego magowie?

— Hildra — powiedział Quenten z zadowoleniem. — Ona jest najlepsza w rozpoznawaniu i podrabianiu aury magów. Niestety, jest to prawie wszystko,

co potrafi, a to oznacza, że poza grupą na nic się nie przydaje, lecz wewnątrz grupy jest nieoceniona. Dowódca z Valdemaru przesłał zwykłego posłańca do magów na granicy i to oni przekazali wiadomość tutaj i zaufaj mi, Hildra przekonała ich, że dotarła ona do właściwej osoby. Ruszają do ataku na Selenay o świcie, panie. Ancar wysłał połowę swojej piechoty na zachód i oczekuje, że kawaleria uderzy od północy i wschodu. Kero i Pioruny Nieba są w samym środku tego. Musimy coś zrobić!

Daren głęboko wciągnął powietrze i wlepił wzrok w drzewo, przeglądając plany i oceniając możliwości. „Moi piechurzy nie dotrą przed końcem bitwy. Nie ma sposobu, by zdołali pieszo pokonać odległość pół dnia konnej jazdy w czasie krótszym niż dzień. A jeśli wyruszymy natychmiast, będą zmęczeni... chyba że...”

— Dziękuję, Quentenie — powiedział, mając już gotowy plan. — Coś zrobimy, nie martw się. Jeśli będziemy mieli szczęście, dotrzemy tam w samą porę. Powiedz magom, aby się spakowali; wyruszamy, zanim stopnieje marka na świcie.

Wrócił do namiotu. Tak jak się tego spodziewał, bezimienny rzecznik rolników zamienionych w wojowników wciąż tam tkwił.

— Panie... — zaczął, stając na nogi z dumnie wypiętą piersią.

— Ile macie zapasowych koni? — rozkazująco zapytał Daren. — Czy wasze konie uniosą dwóch jeźdźców? Czy podołają forsownemu marszowi?

Mężczyzna wyglądał na zaintrygowanego nagłymi żądaniami Darena.

— Koni było u nas dwa razy więcej niż ludzi, panie — odparł. — Wydaje mi się, że wciąż jest ich tyle, a ludzi dużo mniej. Tak jest, nadadzą się do forsownego marszu i uniosą po dwóch bez kłopotu.

— Doskonale — powiedział Daren i zajrzał głęboko w oczy mężczyzny. — Nie poprowadzę was, ale zaprowadzę na pozycje do ataku na Ancara. Oto jak postąpimy...

Wróg na zachodzie, wróg na południu. Kero stała u boku Selenay na łagodnym pagórku, który obrały na swoje stanowisko, spojrzała na morze ludzi Ancara i zaklęła pod nosem.

Selenay potrząsnęła głową.

— To jeszcze nie koniec, kapitanie — odpowiedziała, zakładając hełm na głowę. — Prawdę mówiąc, jeszcze się nawet nie zaczęło.

— Tak, pani — odrzekła Kero, poklepując własny hełm, aby upewnić się, że dobrze siedzi na ciasno zwiniętym warkoczku.

— Nie powiem, że sprawa skończona, ale niech mnie licho, jeśli podobają mi się szanse.

— Daren może jeszcze nadejść — zauważyła królowa, wsuwając stopę w strzemień i dosiadając konia.

„A rzeki mogą zmienić bieg, księżyc wzejść na zachodzie, zaś Ancar poczuć religijne powołanie”. Kero nie powiedziała jednak nic, wskakując na swoje siodło.

— Za pozwoleniem, pani, odjeżdżam. Znasz plan. Spróbujemy wyciąć na zachodzie ścieżkę dla ciebie i Heroldów.

— Nie — sprzeciwiła się królowa. — Jeszcze nie. Dopóki jest szansa, że możemy zwyciężyć tę...

— Zwyciężyć! — parsknęła Kero. — Nie możemy ich nawet powstrzymać! Zwiadowcy mówią, że oddziały kawalerii nadchodzą ze wschodu. Jeśli spotkamy się z nimi twarzą w twarz, oni zwyciężą, ich konie są bardziej wypoczęte i jest ich więcej. Jediną naszą szansą, jest wyciągnąć ciebie z tego...

— Kapitanie! — nadjechał jeden ze zwiadowców na spienionym koniu. — Kapitanie, nadchodzi kawaleria, ale po dwóch na jednym koniu i nie wszyscy z nich mają na sobie barwy Ancara.

Kero zaklęła i zwróciła się do Selenay.

— Pani, dość przekonywania albo każę Uzdrowicielowi ogłuszyć cię i własnoręcznie przywiążę do grzbietu twojego Towarzysza. Bez względu na to, co myślisz, jesteś ważną dla Valdemaru osobą...

Kero spostrzegła kątem oka ruch szybki jak błyskawica i odwróciła się z okrzykiem pełnym zdumienia. Mały, szary kształt przebiegł przez szeregi nieprzyjaciela, potem pomiędzy kawalerią Valdemaru, strasząc konie, które zaczęły przysiadac na zadzie i tańczyć, a Towarzyszy zmusił do parskania i potrząsania łbami. Kierował się wprost na Kero i rzucił się w powietrze olbrzymim susem, ładując w jej ramionach, które odruchowo wyciągnęła, aby go złapać.

Był to jeden z psów posłańców Geyra. Co ważniejsze, był to ten dziwnie wyglądający, w szare cętki, którego Geyr zostawił Darenowi.

— Doolie! — Geyr pośpiesznie zeskoczył z siodła i podszedł do nich.

Pies kręcił się uszczęśliwiony, bijąc ogonem jak pałeczką po biodrze Kero i w końcu wywinął się jej z rąk, aby rzucić się do Geyra i jego łakoci; jednak Kero udało się wcześniej odzyskać cylinder z wiadomością, przypięty do obroży. Otworzyła go i wyjęła skrawek papieru trzęsącymi się rękami.

„Jesteśmy w drodze — z przyjaciółmi” — napisano.

— O wielka, błogosławiona Agniro na łaciatym mule! — westchnęła. — Na siedem pierścieni Gabory i skałę Teylara! Ktoś przeznaczył tego bękarta na świętego — udał mu się pieprzony cud!

Krzyczała i wszyscy patrzyli na nią za wyjątkiem Geyra, który pieścił swojego wyczerpanego pieska. Odwróciła się do Selenay, która podniósłszy bladą twarz, patrzyła na nią jak na wariatkę — z przestraczem i niepokojem.

— To nie kawaleria Ancara nadciąga z zachodu, pani! — wykrzyknęła Kero, próbując opanować uśmiech szeroki od ucha do ucha. — Przynajmniej nie jest to teraz kawaleria Ancara. To Daren, on ich przekabacił. Nie wiem jak, ale ten filut ich przekabacił. To dlatego po dwóch jedzie na jednym koniu — za plecami

kawalerzystów siedzi piechota Darena. Wiem doskonale, co on robi. Tę sztuczkę odgrywaliśmy pionkami dawno temu, kiedy uczyliśmy się razem. Kawaleria rzuci piechotę na południowym i wschodnim skrzydle, aby nas wesprzeć, wtedy on poprowadzi jeźdźców na tyły piechoty Ancara, prawdopodobnie z zachodu.

Oczy Selenay zrobiły się okrągłe.

— Złapiemy Ancara w pułapkę, w którą wydawało mu się, że on nas złapał!

Kero kiwnęła głową i opuściła przyłbicę.

— Właśnie tak, pani. Ten pies niewiele wyprzedza konia. Daren będzie na swoim miejscu w każdej chwili. . .

— Kapitanie! — wykrzyknęła Shallan i Kero odwróciła się, aby spojrzeć w kierunku, który wskazała.

Race, wielkie kolorowe plamy, ogniste kwiaty na niebieskim tle wzniosły się w trzech miejscach naraz. I Kero w mgnieniu oka domyśliła się dlaczego. Sztuczkę tę Pioruny Nieba wykorzystywały uprzednio, kiedy ich magowie byli zbyt wyczerpani lub zajęci, by wysłać sygnał — magowie nie mogli zbliżyć się do granic, a tym bardziej ich przekroczyć, lecz sztuczne ognie nadawały się do tego świetnie i nie przeszkadzali im „strażnicy”, magiczni czy nie. Na południowym wschodzie i na południowym zachodzie ogniste fontanny oznaczały atak Darena na trzech frontach. I widać już było poruszenie, niektórzy wojownicy w szeregach zaczęli dreptać w miejscu. Reszta Piorunów Nieba wiedziała, co to oznacza, i pozwoliła sobie na radosny okrzyk.

Kero wydała Geyrowi rozkaz gestem dłoni. Puścił psa i wydawszy pojedyncze polecenie, odesłał go do namiotu Uzdrowiciela, po czym sięgnął po wiszący na plecach róg. „Przygotować się do ataku” — dźwięk był czysty i słodki na tle wrzawy pośród oddziałów Ancara. Trębacze Selenay podchwycili go i echo komendy potoczyło się wzdłuż frontu.

Kero zaczęła jeszcze przez chwilę na przygotowujące się Pioruny Nieba. Szarża harcowników nie była podobna do regularnego ataku i bogom dziękowała, że w ciągu minionych kilku tygodni jej ludzie mogli doprowadzić koordynację działań z armią Selenay do doskonałości, gdyż w tej potyczce będzie to miało ważne znaczenie. Pierwsze wystąpią Pioruny Nieba: ostrzelując podczas szarży nieprzyjacielskie linie, rozdzielią się na prawo i lewo i jadąc wzdłuż tychże linii, nadal szyc będą z łuków, dopóki im strzał starczy lub póki nie dotrą do krańców frontu nieprzyjaciela, by wrócić szerokim łukiem. Za nimi natrze regularna kawaleria z lancami. Najpierw ciężka jazda, która przełamie front, potem lekka kawaleria wlewająca się w dokonany wyłom. Wtedy ponownie pojawią się Pioruny Nieba, tym razem szyjąc ze swych łuków wysoko, by rażąc następne linie, nękać wrogich wojowników stojących jeszcze na nogach i by przeszkodzić nieprzyjacielowi w sprowadzeniu piechoty, która by otoczyła i pochłonęła kawalerię. W tym momencie prawdopodobnie stał zetrze się ze stałą i wówczas Kero osobiście przystąpi do boju.

Walka wciąż była nierówna, teraz jednakże pojawiła się szansa.

— *Nie ścigaj żadnych widm, ty!* — rozległo się echo w jej myślach. — *Nie dzielę się z nikim!*

Spojrzała za siebie; Towarzysz Eldana, Ratha, odepchnął klacz Shallan, aby zająć jej miejsce. Shallan wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko, a potem udała głęboki ukłon i cofnęła swojego wierzchowca.

— *Będziesz musiał dotrzymać mi kroku, aby mieć szansę tego dopilnować* — odparła. — *Na nikogo nie czekam.*

— *W takim razie na co teraz czekasz?*

— *Na nic.*

Podniosła rękę i dała znak Geyrowi, który zadął sygnał do szarzy. Za sobą, od strony namiotu Uzdrawiciela, usłyszała trzask odpalanych sztucznych ogni. Najwyraźniej komuś szybko przyszło do głowy wysłanie w odpowiedzi swoich własnych sygnałów. Pobłogosławiła go, kimkolwiek był.

Pierwszy szereg łuczników zwałił się na linię frontu, za nimi ciężka jazda Selenay i lekka kawaleria Piorunów Nieba zmieszana z kawalerzystami królowej. Kopyta ich koni wznieciły chmurę pyłu, nad polem bitwy zawisła żółtawa mgiełka, utrudniająca dostrzeżenie czegokolwiek. Kero odliczała z zapartym tchem, czekając na ponowne wyłonienie się jej łuczników. Kiedy doliczyła do stu, pędem wynurzyli się z tumanu, zawracając konie i przygotowując się do kolejnego ataku. Kero napięła cięciwę, upewniła się, że kołczan u jej siodła wypełniony jest strzałami i przynagliła konia, aby przyłączyć się do nich w chwili, gdy dokonali nawrotu.

Utraciła kontakt z Eldanem natychmiast, gdy utonął w chaosie. Ufała Hellsbane — stąpając pewnie, nie dopuści, aby upadły. Wypuścili strzały wysoko ponad zwartą zaporą skłębionych ciał, żywiąc nadzieję, że nie trafią nikogo z przyjaciół.

A potem nadszedł czas na dobyte mieczy, gdy nadciągająca biegiem piechota z impetem uderzyła w nich z boku. Kero ścięła halabardnika, próbującego wysadzić ją z siodła. Hellsbane przysiadła na zadzie i rozgniotła czaszkę innemu, który zaczepił o jej sąsiada, regularnego żołnierza Valdemaru. Nie wiadomo skąd wyłonił się miecz; Kero odparowała cios, a Hellsbane kopnęła właściciela w zęby.

Dookoła niej zbiegło się pięciu napastników; położyła dwóch, a Hellsbane jednego, lecz następnemu udało się dostać pod nią, ponieważ panował taki tłok, że klaczy zabrakło miejsca do manewru. Kero widziała, jak to się zbliża — w ten sam sposób zginęła jedna z poprzedniczek Hellsbane — i nic nie mogła zrobić, aby temu przeszkodzić. Klacz zarżała rozpaczliwie, kiedy miecz szukał jej serca, a potem upadła, gdy do niego dotarł.

Kero wyskoczyła z siodła, gdy koń ugiął się pod nią, przetoczyła się pod kopytami obcego wierzchowca i stanęła na nogi, szukając czegokolwiek na czterech nogach, a bez jeźdźca.

„Tam...” — przebłysk czegoś jasnego, złotego — bez siodła, lecz to nigdy

nie było dla niej tak ważne. „To musiał być jeden z naszych; kilku zwiadowców jeździło na oklep. . .” Wydawało się, że koń wyczuł jej potrzebę. Skoczył wprost w jej kierunku, tratując walczących po drodze, i stanął nieruchomo na tyle, aby mogła uchwycić go za grzywę i wskoczyć mu na grzbiet.

W samą porę. . .

Daren wsunął wiadomość do cylindra i Quenten wypuścił chudziutkiego, małego pieska, którego pozostawił im jakiś porucznik Kero. Ledwie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczył, jak szybko zwierzę potrafi się poruszać — było jak szare pasemko błyskawicy.

„Mam diablą nadzieję, że to do niej dotrze” — pomyślał. „Quenten powiedział, że jeden z magów włoży kierunek do psiej głowy. . .”

To nieważne. Albo otrzyma wiadomość, albo nie.

— Gotowi? — zapytał domniemanego przywódcę bezimiennych.

Człowiek przytaknął krótkim kiwnięciem głowy.

— W takim razie życzę szczęścia.

— To nie na szczęściu nam zależy — odparł człowiek i odjechał na czoło swego wojska.

Daren zadrżał. Nie podobało mu się to, co zobaczył w oczach tamtego. „Są tam tacy, którzy nie wrócą, lecz nie dbają o to i niech bogowie mają w swojej opiece tego, kto stanie im na przeszkodzie”.

Na nie wypowiedziany znak wojska wyruszyły w drogę, a Daren, oficerowie i piechota Rethwellanu poszli za nimi. Ci jeźdźcy będą pierwszymi ludźmi, jakich zobaczą żołnierze Ancara i mogą dojść do wniosku, że są to ich sprzymierzeńcy przybywający ze złej strony. To powinno wprowadzić zamieszanie i rozgniewać oficerów, którzy pomyślą, że dowódcy kawalerii lekceważą ich rozkazy.

Minęły sady, które zasłaniały ich nadejście przed wzrokiem nieprzyjaciela i kiedy w polu widzenia pojawiły się zastępy Ancara, Daren stwierdził, że jego plan się udał. Oficerowie nie mogli dostrzec, co znajduje się za linią koni i wykrzykiwali coś do jadących na przedzie. To samo działo się z innych stron oddziałów Ancara: na południowym wschodzie i na południowym zachodzie. Piechota Darena kryła się za jeźdźcami nadciągającymi ze wschodu. Daren czekał; jeźdźcy zdążali stępa, wyglądając sygnału. Pojawił się. Kolorowe ognie trysnęły nad głową za ich plecami. Jeźdźcy rzucili się galopem, rozciągnęli się na zachód jak stado ptactwa, zostawiając za sobą ukrywaną dotąd za plecami piechotę. Ona uderzy na zachodnim i południowym skrzydle, pozostawiając wschodnie Darenowi.

Trębacz Darena zadał do ataku i podczas gdy ludzie Ancara rozglądali się zmieszani, piechota, znużona całonocną konną jazdą, uderzyła na nich ze szczękiem metalu o metal.

Piechurzy zbyt byli znużeni, by zaatakować z wielkim impetem, lecz i tak byli

w lepszym stanie, niż gdyby całą tę drogę przebyli na własnych nogach. Daren spiął konia ostrogą, zamierzając zrównać się z frontem swoich ludzi; w sytuacji takiej jak ta każdy miecz będzie miał swoje znaczenie.

Kopyta jego wałacha tętniły po wyschniętej ziemi do taktu z łomoczącym sercem w piersi. Wydawało się, że w pobliżu wszyscy wrogowie związani są walką. Szukając przeciwnika, rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie toczyła się walka wręcz; konie wynurzały się i ginęły w chmurze pyłu, lecz trudno było odróżnić, czy jest to stado spłoszonych rumaków czy też prawdziwa potyczka — mimo wszystko skierował wałacha w tę stronę.

I zabłąkana strzała zabiła pod nim wierzchowca.

Poczuł, jak koń zaczął upadać. Próbował ocalić siebie, lecz biedne zwierzę zwinęło się, wyrzucając go z siodła w krzewy. Wypłatał się z gałęzi i gorączkowo rozglądał się za inną parą lejców, wiedząc, że musi znaleźć się ponad głowami piechoty, by widzieć, co się dzieje.

Biały wierzchowiec wypadł galopem z chmury pyłu, kierując się wprost na niego, jakby na jego wezwanie. Daren nie tracił ani chwili na zachwyty nad własnym szczęściem; po prostu złapał wiszące luźno wodze i...

Podniósł wzrok.

Spojrzenie błękitnych oczu wydawało się trwać w nieskończoność. Poczuł wstrząs, jakby od uderzenia maczugą w czaszkę...

— *Na imię mam Jasan* — na dnie mózgu rozległ się nagły głos. — *Ty jesteś Daren. Wybrałem cię. U licha, wskakuj na mój grzbiet, zanim ktoś cię zabije!*

Nie wiedział, kiedy znalazł się w siodle. Zaczął rozglądać się za swoimi ludźmi. Jego uwagę zwróciła mała grupka uwikłana w walkę na skraju głównej bitwy.

— *Panie?! —* ktoś wykrzyknął i Daren odwrócił się.

To był jego adiutant, próbujący zwrócić na siebie uwagę. W jakiś sposób zdołał on do niego dołączyć; tego też sobie nie przypominał.

Spojrzał za siebie, czy grupka wciąż jeszcze walczy. Widać było wyraźnie, że był tam ktoś ważny. Otoczono ich ze wszystkich stron, a większość atakujących próbowała wysadzić ich z siodła, zamiast starać się ich zabić. W samym środku znajdowała się kobieta; nosiła na sobie zbroję, lecz utraciła hełm. Jej złociste włosy lśniły w słońcu, przytrzymywane jedynie przez...

„Najmilsi bogowie! Toż to korona królewska”.

Spisywała się dzielnie, tnąc tłoczących się dookoła niej, jakby pobierała nauki w okaleczaniu u jego starej nauczycielki, Tarmy. Lecz przeciw takiej przewadze ona i jej obrońcy nie utrzymają się zbyt długo.

— *Ruszaj!* — wykrzyknął i zaczął wbijać ostrogi w boki swojego...

— *Nie rób tego. Nigdy tego nie rób. Ani mi się waź nawet o tym myśleć!*

Podmuch wiatru wywołany ich galopem porwał z jego ust słowa przeprosin, lecz to nie miało żadnego znaczenia; uderzyli na wroga od tyłu: Jasan walczył

na równi z Darenem. Po raz pierwszy Daren miał posmak, jak to jest dosiadać prawdziwego bojowego rumaka.

— *Też mi coś.* — Przednimi kopytami Jasan zamienił ludzką głowę w krwawą miazgę. — *Rumak bojowy. Myślę, że nie.*

— *Przepraszam* — słabo odpowiedział Daren, a potem zbyt był zajęty, aby myśleć, a co dopiero odpowiadać.

Raptem nie było nikogo w zasięgu jego miecza i kopyt Jasana. Selenay chowała miecz do pochwy, spoglądając w jego kierunku wzrokiem pełnym tysiąca pytań. Jasan odetchnął głęboko i rozluźnił się.

Towarzysz z wysoko uniesioną głową zbliżył się truchtem pełnym gracji do królowej Valdemaru i przystanął dostatecznie daleko, aby Daren mógł ucałować podaną dłoń, nie mając cienia wątpliwości, że tego się właśnie Towarzysz po nim spodziewa.

Podniósł przyłbicę hełmu, otarł z krwi prawą dłoń, wyciągnął rękę i...

... i napotkał wzrok Selenay. Jasne, niebieskie oczy Selenay. Poczul, jak słowa więzną mu w gardle.

— *Hmm* — odezwał się przemądrzale Jasan. — *Zobaczyłeś coś, co ci się spodobało?*

Sądząc z wyrazu twarzy królowej, jej również słowa ugrzęzły w gardle.

Kero podjechała do Geyra i poklepała go po ramieniu, aby zwrócić na siebie uwagę.

— *Ruszaj tam...* — machnęła ręką w kierunku wojowników Ancara, zaczynających uciekać ku wschodowi i porzucających broń oraz tarcze, byle biec szybciej.

Już niektórzy z Piorunów Nieba w bitewnym uniesieniu kłuli ostrogami swe zmęczone wierzchowce, aby gonić za nimi.

— *Trąb „na zbiórkę”!* — krzyknęła do niego. — *Zawróć tych głupców, nim do cna ochwacą konie!*

Geyr kiwnął głową i przynaglił wierzchowca do cwału. Kero opadła na siodle nagle wyzuta z sił. Jazda na koniu na oklep nie była łatwa — w bitwie brak siodła i wodzy w dwójnasób utrudnia zadanie. Cieszyła się teraz, że jej kuzyni nauczyli ją tego, wbijając to do głowy, dopóki nie upadała na nos.

Ale to zwierzę było najbardziej zadziwiającym stworzeniem, jakiego kiedykolwiek dosiadała; lepsze od którejkolwiek Hellsbane. To było niesamowite, w jaki sposób wydawało się czytać w jej myślach i działać stosownie do tego. Spojrzała na łeb swojego wierzchowca od tyłu; był tak pokryty żółtym pyłem, że nie można było rozpoznać jego maści.

— *Doskonale, kochasiu* — odezwała się, poklepując go po karku. — *Hellsbane odeszła na pastwiska Gwiazdzistookiej, lecz wydaje się, że ciebie zesłała Pani*

Shin'a'in we własnej osobie. Przyjrzyjmy się tobie.

Przerzuciła nogę ponad grzbietem zwierzęcia, ześliznęła się na ziemię i odwróciła się z jedną ręką na łopatkę wierzchowca, aby spojrzeć w jego oczy.

To... były... niebieskie... oczy.

I nie miał żółtej sierści, co stwierdziła, gdy otrzepał się, zrzucając chmurę pyłu; był biały. Wysoki, niebieskooki i biały jak najczystszy, letni obłok.

— Och, mój ty... — odezwała się słabym głosem, nie mogąc uwolnić się od spojrzenia tych oczu, tak jak i one nie zdołały wyzwolić się spod jej wzroku.

— *Na imię mam Sayvel! Ty jesteś moim... Uważaj!*

Ale Kero odwróciła się tylko po to, by dostrzec maczugę nadlatującą, zbyt szybko, żeby zdążyła odparować cios...

— Hydatha's tits!

Daren odwrócił wzrok od Selenay w samą porę, by zobaczyć, jak — zdawałoby się zabity — wojownik zrywa się na nogi i zamierza maczugą w głowę Kero.

Jasan zadziałał szybciej od niego. Nim zdołał wydobyć z siebie krótkie: „Nie!”, Towarzysz okręcił się dookoła jak łasica i runął galopem na napastnika Kero. Człowiek ten dostrzegł ich, lecz mógł jedynie unieść na próżno ręce, zanim znalazł się pod kopytami Jasana. I nie tylko Jasana. Drugi Towarzysz odepchnął Jasana na bok i zaczął wdeptywać wojownika w czerwoną ziemię.

Daren zeskoczył z konia, mając tuż za sobą Selenay, i ukląkł obok Kerowyn. Pomacał ręką pod brodą, potem dotknął jej nadgarstka, szukając pulsu...

„Najmilsi bogowie, och, najmilsi bogowie, ona nie oddycha — nie mogę doszukać się pulsu”.

Raptem i jego odsunął na bok osobnik w brudnej, splamionej krwią bieli; człowiek ten walnął Kero w pierś i przycisnął swe usta do jej ust, aby wtłoczyć powietrze w płuca.

Daren wciąż trzymał w dłoni nadgarstek Kero, kiedy nagle poczuł jednostajne uderzenia pod palcami, a ona kaszlnęła i zrobiła głęboki oddech. Usunął się na bok, podczas gdy Herold po omacku szukał zapinki jej hełmu, a Selenay rozluźniła osłonę na szyi. Herold przeklinał ją, przeklinał jej hełm, przysięgał we łzach spływających mu po policzkach, że jeśli ona umrze, to on ją osobiście zabije.

Otworzyła oczy w chwili, gdy Herold ściągnął jej z głowy hełm — popatrzyła prosto na niego.

— Tego już nieco za wiele, nie sądzisz, ke'a'char? — powiedziała łagodnie tuż przed tym, jak oczy uciekły jej w głąb czaszki i straciła przytomność.

Daren stwierdził, że nadeszła pora na zebranie żołnierzy Kero i objęcie do-

wództwa w czasie przeczesywania pola bitwy.

Kero obciągnęła rąbek swojej białej tuniki kapłanki i spojrzała na tereny Kolegium Heroldów ze swej pozycji na wieży obserwacyjnej. Zasepiła się na myśl o tym, co teraz robi i splotła ręce na plecach; przy okazji przesunęła dłonią po rękojeści Potrzeby. Zatrzymała dłoń na moment, lecz miecz nie dał znaku życia. Na poły oczekiwała, że gdy walka dobiegnie końca, ostrze zażąda, by przekazała je Elspeth, lecz poza pierwszą chwilą rozpoznania ostrze ani drgnęło.

„No cóż, w zgodzie z tradycją miecz ma być przekazany, gdy nowy właściciel zamierza dokonać czegoś niebezpiecznego, a Elspeth nie będzie raczej zmuszona niczego robić samotnie w najbliższej przyszłości. Ale nie powiem, bym miała zbytnio za nim tęsknić”.

Ancar, czy raczej jego armia, z podwiniętym ogonem uciekł do domu, do Hardornu. Nawet z uciętym ogonem; ci samobójczy rolnicy, których Daren sprowadził ze sobą, dokonali olbrzymich szkód, zanim zostali wycięci. Valdemar był bezpieczny, na jakiś czas przynajmniej, i połączą go z Rethwellanem ściślejsze więzy od obietnic.

Selenay była po uszy zakochana — razem ze wszystkimi ludźmi — w Darenie. A i jego poraziło w sposób równie oburzający. Ledwie można ich było rozdzielić. Eldan poprzysiągł, że to są dozgonne więzy.

„Chyba powinnam jej powiedzieć, że on chrapie, kiedy za dużo wypije”.

Talia i ta jej góra w ludzkiej skórze chichotali za każdym razem, kiedy Kero ich napotykała. Nawet księżniczce Elspeth wydawało się to bardzo zabawne. Kero zastanawiała się, jak bardzo to będzie dla niej zabawne, gdy przyjdzie jej opiekować się malutkimi siostrzyczkami i braciszczkami. Selenay nie była starą babą, a płodność dopisywała w rodzinie Darena.

„No dobrze. Faram będzie musiał po prostu nauczyć się obchodzić bez najlepszego lorda marszałka, jakiego kiedykolwiek posiadał. Nie wydaje mi się, by bez pogrzebacza udało się wypłoszyć Darena z Valdemaru”.

Przyłapała się na tym, że ponownie szarpie rąbek swojej tuniki i zerknęła na nią spode łba.

— Jakże, u licha, mogę zostać heroldem w moim wieku? — rzuciła w powietrze. — Mam wiele rzeczy do zrobienia, mam swoje życie i obowiązki!

Lecz, o ile nie zamierzała pozbyć się Sayvela — „Nigdy!” — będzie musiała pozostać w Valdemarze.

— Cóż ja pocznę z Piorunami Nieba? — zapytała na głos.

— *Nie wiem, kochanie, ten problem nie pojawił się dotąd.*

— To dlatego, że te wasze durne konie nigdy dotąd nie wybrały kapitana najemników — odparła zgryźliwie. — To nie są ludzie, którym wydaję rozkazy. Prowadziłam ich przez dziesięć lat, oni stali się moimi dziećmi! Jakże mogę ich

porzucić, ot, tak sobie, oddać ich w ręce kogoś innego, kogoś takiego jak Ardana, któremu na niczym nie zależy i poprowadzi ich na stracenie?

— *Żaden z twoich zastępców nie jest taki jak Ardana* — zwrócił jej uwagę Towarzysz.

— Lecz przy tym żaden z moich zastępców ani w połowie nie jest tak wyszkolony! — Chodziła tam i z powrotem, niemal zdecydowana rzucić się w dół i skończyć z tym wszystkim. — Oni nie są gotowi i ja nie jestem gotowa. Albo porzucę ciebie, albo ich — i jakże mam podjąć taką decyzję?

— *Jesteś jedyną osobą, która może to zrobić.*

— Powiedziałem ci, że ona będzie tutaj, na górze. — Czarna głowa Geyra wyjrzała spoza krawędzi platformy obserwacyjnej.

— Kapitanie, twoja obsesja wysokości jest piekielnie nienaturalna. — Wspiął się, by stanąć w całej okazałości, za nim ukazali się Shallan, skryba i sfera jego małych pieszków.

— *Zgadzam się, stopy przynależą ziemi.*

— Kapitanie, głosowaliśmy ponownie — powiedziała Shallan. — Doszliśmy do wniosku, że znajdziesz się w kropce, nie wiedząc, czy utkwisz tu jako Herold na zawsze i pożegnać nas, a więc postanowiliśmy podjąć tę decyzję za ciebie. Zostajemy.

— Wy, co? — Kero zająknęła się. — Jak to? Dlaczego?

— Ach, to bardzo proste — rzekł z uśmiechem skryba. — Królowa zaoferowała nam kontrakt na czas nieograniczony, z tobą na stałej posadzie kapitana, gdy tylko skończysz nauki, których chcą ci udzielić.

— Na ognie piekielne — wymamrotała Kero. — Szkoła w moim wieku.

— Ponieważ Quenten i pozostali nie mogą przekroczyć granicy, powrócą do Bolthaven i przyślą wszystkich tutaj. Quenten obejmuje Bolthaven, chce tam urządzić szkołę.

— Tak jak twoja babka — wtrąciła Shallan. — Miasteczko na tym nie ucierpi, ani rentierzy. Rozmawiałam z twoimi kuzynami przed naszym wyjazdem. Uważają, że nieźle by było pociągnąć niektóre nici Klanu aż tutaj, gdzie jest lepszy rynek. Podejrzewam, iż przyprowadzą konie Tale'sedrinu tutaj i pozwolą innemu klanowi objąć targi końskie w Bolthaven. I niech bóg ma w swojej opiece tego, kto by im w tym przeszkodził. Quenten właśnie został Mistrzem. Nikt nie zaryzykuje żadnego oszustwa wobec nich; teraz ani nigdy.

Kero odwróciła się do nich plecami, czując się tak, jakby ktoś starał się ją udobruchać.

— A więc wszystko postanowiliście za mnie, nieprawdaż? „Przede wszystkim nie jestem im potrzebna. Jestem całkiem zbędna, jak myślę. . .”

— Niech to piekło pochłonie, kapitanie! — Shallan warknęła tak gwałtownie, że zmusiło to Kero do odwrócenia się i popatrzenia na nią. — To był jedyny sposób, aby te białe kabaty pozwoliły nam cię zatrzymać! Myślisz, że dopuścimy, byś

hasała po tym pogańskim kraju samotnie? Nigdy! Jeśli zamierzasz brać w czymś udział, chcemy też coś z tego mieć!

— Adalnda, kapitanie, zgarnęłaś dla nas samą śmietankę — odezwał się posępnie Geyr. — Skryba nie powiedział ci, na co opiewa kontrakt zaciągu. Królowa nadaje nam prawo własności do granicznego miasteczka.

— Możesz sobie to wyobrazić? — zaśmiał się skryba. — My ziemianami! Ni mniej, ni więcej! Nie ma mowy, abyśmy spuścili z ciebie oko! Doprowadziłaś Pioruny Nieba od kompanii z połową stanu do statusu ziemian; chcemy być świadkami, z czym jeszcze wystąpisz! Możemy skończyć jako diukowie czy coś takiego!

— Prócz tego — pomrukiwała Shallan, skrobiąc końcem buta ścianę — ci ludzie nas potrzebują. I nieco z twoich przeklętych skrupułów udzieliło się nam.

— *Najwyższy czas.*

— *Zobaczmy, jak to jest. Przyda się wam niezły wstrząs, Sayvel.*

Kero pokręciła głową i spojrzała na swoją nieskazitelnie białą tunikę.

— A niech to licha! Nie mam wyboru, jak myślę, skoro mam z was, łotrzyki, uczynić przykładowych obywateli.

Geyr wydał grubiański odgłos, a Shallan odegrała swoją imitację wiejskiego przygłupka.

— Najmilsi bogowie, w co ja się wpakowałam?

— Zdrowo nimi potrząśniemy, kapitanie — powiedział skryba.

— Przyda im się — zgodziła się. — O bogowie, jest jedna rzecz, którą chcę uczynić: czy jest coś, co można by zrobić, aby zakamufłować ten „z punktu mnie ustrzel” uniform?

— Możliwe, kapitanie — odrzekł skryba, mrugając okiem. — Popracuję nad tym.

— Wydaje mi się, że będą musieli przyzwyczaić się do nowego rodzaju Herolda, kapitanie — szeroko uśmiechnęła się Shallan.

— *I na to nadeszła już najwyższa pora. Podobno nie należymy do ludzi skostniałych. Możesz trzymać nas krótko i możesz zacząć od Eldana, jak myślę. Powinnaś domyślić się, że twoi żołnierze zwrócili uwagę na to, co oboje czujecie do siebie. Uważają, że to rozwiązuje tę sprawę doskonale. Obstawiają zakłady, kiedy odbędą się zaręczyny.*

Kero zachichotała.

— *O pani, staniecie się elastyczni jak nigdy. I Eldana spotka kilka prawdziwych niespodzianek.*

— W takim razie wydaje mi się, że to się uda. — Zasalutowała im, a oni oddali honory.

— Idziemy — powiedziała do nich. — Chodźmy zasiać nieco zgorszenia w Valdemarze.

— Na początek — rzuciła Shallan — zamierzamy nauczyć te białe kabaty, na czym polega prawdziwa zabawa.

— *Jak to powiadają w Tale'sedrinie: „Obyś żył w ciekawych czasach”.*

Kero odrzuciła głowę i roześmiała się.

— *To ci się udało, końska damo.*

— *I obyś dostała nie to, na co zasługujesz, lecz do czego tęskni twe serce.*

— *Racja! Kochana pani* — Kero posłała jej w odpowiedzi, schodząc śladem swych żołnierzy, aby powiedzieć pozostałym, że przystaje na ich rozwiązanie. — *Wydaje mi się, że to dostałam. Wbrew wszelkiej logice i oczekiwaniom, rzeczywiście wydaje mi się, że dostałam.*